fantastyka

Connie Willis

NIE LICZĄC PSA

Connie Willis

NIE LICZĄC PSA

Przełożyła Danuta Górska

WARSZAWA 1999

Tytuł oryginału: TO SAY NOTHING OF THE DOG
Copyright © 1997 by Connie Willis
Redaktor prowadzący: Arkadiusz Nakoniecznik
Redakcja językowa: Lucyna Łuczyńska
Korekta: Anna Sidorek
Redakcja techniczna: Anna Troszczyńska
ISBN 83-7180-501-2
Fantastyka

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY
ROZDZIAŁ CZTERNASTY
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
ROZDZIAŁ SZESNASTY
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
NOTA BIBLIOGRAFICZNA

Dla Roberta A. Heinleina
Który w książce „Wkładaj kombinezon i w drogę“

Po raz pierwszy przedstawił mi Jerome K. Jerome'a
„Trzech panów w łódce nie licząc psa"

Serdecznej pamięci
Loreny i Bertiego

„...nieszkodliwy, użyteczny kot”
William Shakespeare

„Bóg jest w szczegółach”
Gustaw Flaubert

- Miło byłoby zacząć od nowa bez tych starych ruin -powiedziała

- One są symbolem kochanie – odparła przyjaciółka

Mollie Panter-Downs

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Oddział poszukiwaczy - Wojskowe nakrycie głowy - Problem nepotyzmu - Królewskie nakrycie głowy - Strusia noga biskupa zaginęła - Kiermasze staroci - Wskazówka, gdzie jej szukać - Astronomiczne obserwacje - Psy - Kot - Najlepszy przyjaciel człowieka - Nagły odjazd

Było nas pięciu. - Carruthers, nowy rekrut i ja oraz Pan Spivens i kościelny. Późnym popołudniem piętnastego listopada znajdowaliśmy się w ruinach tego, co zostało z katedry w Coventry, szukając strusiej nogi biskupa.

W każdym razie ja szukałem. Nowy rekrut gapił się na wybite witraże, Pan Spivens wykopywał coś przy schodach do zakrystii, a Carruthers usiłował przekonać kościelnego, że jesteśmy z Pomocniczej Straży Pożarnej.

- To jest dowódca naszego szwadronu, porucznik Ned Henry - oznajmił, wskazując na mnie - a ja jestem komendant Carruthers, oficer posterunku straży.

- Którego posterunku? - Oczy kościelnego zwęziły się.

- Trzydziestego szóstego - strzelił na oślep Carruthers.

- A tamten? - zapytał kościelny, pokazując nowego rekruta, który teraz próbował zrozumieć, jak działa jego nowa kieszonkowa latarka, i wyglądał przy tym za mało inteligentnie nawet jak na członka Obrony Cywilnej, nie mówiąc o PSP.

- To mój przyrodni brat - zaimprowizował Carruthers. - Egbert.

- Żona chciała mnie zmusić, żebym przyjął jej brata do służby pożarowej - powiedział kościelny, współczująco kiwając głową. – Nie potrafi przejść przez kuchnię, żeby się nie potknąć o kota. „Jak on ma gasić bomby zapalające?", pytam. „On potrzebuje pracy", mówi moja żona. „Więc niech Hitler go zatrudni", powiadam.

Zostawiłem ich i ruszyłem wzdłuż czegoś, co przedtem było nawą. Nie mogliśmy tracić czasu. Późno dotarliśmy na miejsce i chociaż dopiero minęła czwarta, dym i pył wiszący w powietrzu prawie całkiem zaciemniały wnętrze.

Rekrut przegrał walkę z latarką i teraz przyglądał się, jak Pan Spivens kopie z determinacją w gruzach obok schodów. Spojrzałem w jego stronę, żeby ustalić, gdzie znajdowała się północna nawa boczna, po czym zacząłem torować sobie drogę w stronę końca nawy.

Strusia noga biskupa stała zwykle na postumencie z kutego żelaza przed ozdobną przegrodą Kaplicy Kowali. Brnąłem przez zwały gruzów, próbując odnaleźć tamto miejsce. Tylko zewnętrzne mury katedry i wieża z piękną iglicą jeszcze stały. Cała reszta - dach, łukowe sklepienie, kolumny, arkadowe okna - runęła, tworząc jeden olbrzymi stos osmalonych, zniekształconych szczątków.

No dobrze, pomyślałem, wspiąwszy się na belkę dachu, to jest apsyda, a tam dalej była Kaplica Sukienników, chociaż świadczyły o tym jedynie wybite okna. Kamienne arkady zawaliły się i pozostała tylko wykrzywiona ściana.

A oto Kaplica Św. Wawrzyńca, myślałem, gramoląc się przez gruzy na czworakach. W tej części katedry odłamki kamienia i zwęglone belki piętrzyły się na wysokość pięciu stóp. Prawie przez cały dzień mżyło, więc popiół zmienił się w czarniawe błoto, a ołowiane dachówki zrobiły się śliskie jak lód.

Kaplica Pasamoników. A tam musi być Kaplica Kowali. Nie zostało ani śladu po przegrodzie. Oceniłem z grubsza, jak daleko od okien powinna stać, i zacząłem kopać.

Pod warstwą skręconych dźwigarów i potrzaskanych kamieni nie było ani strusiej nogi biskupa, ani ażurowej przegrody. Znalazłem natomiast odłamany kawałek poręczy klęcznika i fragment

kościelnej ławki, co oznaczało, że zapuściłem się za daleko w głąb nawy.

Wstałem i próbowałem zorientować się w otoczeniu. Zdumiewające, jak mocno ruiny zniekształcają percepcję przestrzenną. Ukląkłem i spojrzałem w stronę chóru. Próbowałem dojrzeć podstawę którejś kolumny z północnego przejścia, żeby ocenić, jak daleko zabrnąłem w głąb nawy, ale wszystkie zostały całkowicie zasypane.

Musiałem ustalić, gdzie znajdowała się arkada, i stamtąd zacząć. Ponownie spojrzałem na wschodnią ścianę Kaplicy Pasamoników, ustawiłem się pod odpowiednim kątem do okien i znowu zacząłem kopać, szukając kolumny wspierającej arkadę.

Złamała się sześć cali nad podłogą. Oczyściłem miejsce dookoła, spojrzałem wzdłuż niej, oceniłem na oko, gdzie przedtem stała przegroda, i zacząłem kopać od nowa.

Nic. Dźwignąłem odłamany fragment drewnianego sufitu i odsłoniłem masywny, pęknięty w poprzek blok marmuru. Ołtarz. Powinienem przesunąć się dalej. Jeszcze raz zerknąłem na nowego rekruta, który wciąż przyglądał się kopiącemu Panu Spivensowi, odmierzyłem dziesięć kroków i zacząłem kopać.

- Ale my naprawdę jesteśmy z PSP - usłyszałem głos Carruthersa.

- Na pewno jesteście z PSP? - powątpiewał kościelny. - Wasze kombinezony wcale nie wyglądają jak mundury PSP.

Nie dał się nabrać, i nic dziwnego. Mieliśmy nosić te kombinezony podczas nalotu, kiedy byle kto w blaszanym hełmie mógł uchodzić za oficera. I w środku nocy. Jasny dzień to całkiem inna para kaloszy. Hełm Carruthersa miał insygnia Królewskich Wojsk Inżynieryjnych, na moim wypisano przez szablon „COP", czyli Cywilna Obrona Przeciwlotnicza, a hełm nowego rekruta pochodził z zupełnie innej wojny.

- Nasze normalne mundury wyleciały w powietrze - wyjaśnił Carruthers.

Kościelny nie wydawał się przekonany.

- Skoro jesteście ze straży pożarnej, czemu was tu nie było wczoraj w nocy, kiedy mogliście się na coś przydać?

Doskonałe pytanie, lady Schrapnell na pewno spyta mnie o to samo, kiedy wrócę. „Co to znaczy, że przeszedłeś piętnastego, Ned?", słyszałem już jej głos. „To cały dzień spóźnienia".

I właśnie dlatego przedzierałem się przez dymiące zgliszcza, sparzyłem palec w kałuży roztopionego ołowiu, który spłynął z dachu wczorajszej nocy, i krztusiłem się wapiennym pyłem, zamiast zgłosić się do raportu.

Wyszarpnąłem kawałek żelaznego wzmacniającego dźwigara, chroniąc sparzony palec, po czym wdrapałem się na stos dachówek i zwęglonych belek. Rozciąłem sobie oparzony palec o odłamek metalu. Zatrzymałem się i wyprostowałem, ssąc skaleczenie.

Carruthers i kościelny ciągle nie mogli się dogadać.

- Nigdy nie słyszałem o żadnym trzydziestym szóstym posterunku - mówił podejrzliwie kościelny. - Posterunki PSP w Coventry dochodzą tylko do siedemnastego.

- Jesteśmy z Londynu - odparł Carruthers. - Specjalny oddział przysłany na pomoc.

- Jak się przedostaliście? - zapytał kościelny, groźnie wznosząc łopatę. - Wszystkie drogi są zablokowane.

Najwyższy czas ruszyć na odsiecz. Podszedłem do nich.

- Przyjechaliśmy przez Radford - wyjaśniłem, całkowicie pewien, że kościelny nigdy nie był w tamtej okolicy. - Podwiozła nas ciężarówka z mlekiem.

- Myślałem, że tam są barykady - powiedział kościelny, wciąż ściskając łopatę.

- Mieliśmy specjalne przepustki - oznajmił Carruthers.

Błąd. Kościelny na pewno zechce je zobaczyć. Wtrąciłem pospiesznie:

- Królowa nas wysłała.

To załatwiło sprawę. Blaszany hełm sfrunął z głowy kościelnego, który stanął na baczność i oparł łopatę w postawie „do nogi broń".

- Jej Wysokość?

Przyłożyłem swój hełm COP do serca.

- Powiedziała, że nie mogłaby spojrzeć Coventry w twarz, gdyby nie spróbowała jakoś pomóc. „Ta piękna, piękna katedra", powiedziała do nas. „Musicie zaraz jechać do Coventry i udzielić im wszelkiej możliwej pomocy".

- Tak powiedziała - powtórzył kościelny, z szacunkiem kiwając łysą głową. - „Ta piękna, piękna katedra". Naprawdę całkiem w jej stylu.

Przytaknąłem z powagą, mrugnąłem do Carruthersa i wróciłem do kopania. Reszta zwalonej arkady znajdowała się pod warstwą dachówek, razem z kłębem elektrycznych przewodów oraz pękniętą tablicą wotywną z napisem: „Niech spoczywa w spokoju na..." - życzenie, które najwyraźniej się nie spełniło.

Oczyściłem wokół kolumny przestrzeń szerokości trzech stóp. Nic. Przeczołgałem się po gruzach, szukając resztek kolumny, znalazłem następny fragment i znowu zacząłem kopać.

Carruthers zbliżył się do mnie.

- Kościelny chciał wiedzieć, jak wyglądała królowa - szepnął. - Powiedziałem mu, że nosiła kapelusz. Nosiła, prawda? Nigdy nie pamiętam, które nosiły kapelusze.

- Wszystkie. Oprócz Wiktorii. Ona nosiła koronkowy czepek - odpowiedziałem. - I Kamilli. Nie była królową dostatecznie długo. Powiedz mu, że Jej Wysokość uratowała Biblię królowej Wiktorii, kiedy zbombardowano pałac Buckingham. Wyniosła ją w ramionach jak dziecko.

- Naprawdę? - zaciekawił się Carruthers.

- Nie - odparłem - ale to go powstrzyma od wypytywania, dlaczego nosisz hełm oddziałów bombowych. I może skłoni go do opowiadania, co uratowano wczoraj w nocy.

Carruthers wyciągnął kartkę papieru z kieszeni kombinezonu.

- Świeczniki ołtarzowe i krzyż z wielkiego ołtarza oraz Kaplicy Kowali ocalił rektor Howard i służba pożarowa. Zabrano je na posterunek policji. Także srebrną patenę i kielich, drewniany krucyfiks, srebrną puszkę na komunikanty, Listy Apostolskie, Ewangelie i barwy pułkowe Królewskiego Regimentu Warwickshire, Siódmy Batalion - odczytał.

To zgadzało się z listą rektora Howarda, zamieszczoną w raporcie z nalotu.

- Ale nie strusią nogę biskupa - mruknąłem, wpatrując się w gruzowisko. - Co znaczy, że ona jest gdzieś tutaj.

- Nie poszczęściło ci się?

- Nie - przyznałem. - Pewnie nie ma szans, że ktoś przyszedł wcześniej i już ją znalazł?

- Nikt z naszych - odparł Carruthers. - Davis i Peters nawet nie mogli się dostać do właściwego roku. Dopiero przy czwartej próbie dotarłem tak blisko. Za pierwszym razem wylądowałem w dziewiętnastym roku. Za drugim razem wpadłem w połowę grudnia. Za trzecim razem trafiłem dokładnie w dziesiątkę, właściwy miesiąc, właściwy dzień, dziesięć minut przed początkiem nalotu. I na środku pola ze śniadaniami w połowie drogi do Birmingham.

- Ze śniadaniami? - powtórzyłem, sądząc, że się przesłyszałem. Przecież śniadania nie rosną na polach.

- Z dyniami - poprawił mnie zirytowany Carruthers. - Na polu, gdzie rosły dynie. I nie ma z czego żartować. Żona farmera myślała, że jestem niemieckim spadochroniarzem, i zamknęła mnie w

stodole. Ledwie się wydostałem.

- A co z nowym rekrutem? - zapytałem.

- Przeszedł tuż przede mną. Znalazłem go, jak błąkał się po Warwick Road. Nie wiedział, dokąd pójść. Gdybym go nie znalazł, wpadłby do leju po bombie.

Co może wyszłoby na dobre, zważywszy sytuację. Nowy rekrut zrezygnował z obserwacji Pana Spivensa i znowu usiłował rozgryźć sposób zapalania kieszonkowej latarki.

- Dwie godziny trwało, zanim tutaj dotarliśmy - powiedział Carruthers. - A ty, Ned? Ile prób, zanim się zbliżyłeś?

- Tylko ta jedna. Wyciągnęli mnie z kiermaszów dopiero wtedy, kiedy tobie się nie powiodło.

- Kiermasze?

- Lady Schrapnell wpadła na pomysł, że strusia noga biskupa mogła trafić na któryś katedralny kiermasz staroci - wyjaśniłem. - No wiesz, żeby zdobyć fundusze na wojenny wysiłek. Albo oddano ją na zbiórkę żelaza, więc wysyłała mnie na każdą kościelną i komunalną uroczystość od września. Nie wiesz przypadkiem, jak się używa wycieraczki do piór?

- Nawet nie wiem, co to jest wycieraczka do piór.

- Ani ja - przyznałem. - Kupiłem siedem. Dwie dalie, różę, kotka, żabę i dwie narodowe flagi. Trzeba coś kupić, a skoro nie mogę przenieść żadnego przedmiotu z powrotem przez sieć, musiałem wybrać coś, co mogłem niepostrzeżenie podłożyć na stragan z robótkami, a wycieraczki do piór są małe. Z wyjątkiem róży. Była wielka prawie jak piłka, zrobiona z kilku zszytych warstw wełny w kolorze jaskrawej fuksji, obrębiona na różowo. Nie rozumiem tylko, do czego takie rzeczy mogą się przydać, oczywiście oprócz sprzedawania na kiermaszach. Wszędzie je mieli, na Dobroczynnym Jarmarku Dla Ewakuowanych Dzieci, na Kiermaszu Wypieków Na Fundusz Masek Gazowych Dla COP, na Wencie Robótek w Dniu Świętej Anny...

Carruthers dziwnie mi się przyglądał.

- Ned - zagadnął - ile skoków zrobiłeś w zeszłym miesiącu?

- Dziesięć - odpowiedziałem, wytężając pamięć. - Nie, dwanaście. Festyn Dożynkowy Kościoła Świętej Trójcy, Kiermasz Robótek Instytutu Kobiecego Na Rzecz Zwycięstwa, Herbatka Na Spitfire'y. Och, i żony biskupów. Trzynaście. Nie, dwanaście. Do pani Bittner nie musiałem skakać.

- Pani Bittner? - powtórzył Carruthers. - Żona ostatniego biskupa Coventry?

Przytaknąłem.

- Jeszcze żyje. I dalej mieszka w Coventry. Lady Schrapnell wysłała mnie, żebym ją wypytał.

- Co ona może wiedzieć o starej katedrze? Spłonęła, zanim ta kobieta przyszła na świat.

- Lady Schrapnell wpadła na pomysł, że jeśli strusia noga biskupa przetrwała pożar, mogła trafić do magazynu gdzieś w nowej katedrze, więc wysłała mnie na rozmowy z żonami biskupów, ponieważ, cytuję: „Mężczyźni nigdy nie wiedzą, gdzie co jest".

Carruthers zasmucony pokręcił głową.

- I żony wiedziały?

- Nigdy nawet o niej nie słyszały, z wyjątkiem pani Bittner, a ona powiedziała, że nie widziała jej, kiedy pakowali wszystko przed sprzedażą nowej katedry.

- Ale to dobrze, prawda? - zauważył Carruthers. - Skoro tutaj też jej nie ma, to znaczy, że nie było jej w katedrze podczas nalotu, więc możesz powiedzieć lady Schrapnell, że nie potrzebuje rekonstrukcji tej rzeczy w katedrze do konsekracji.

- Sam jej powiedz - zaproponowałem.

- Może schowali to w bezpiecznym miejscu - rzucił, spoglądając na okna. - Jak wschodnie okna.

- Strusią nogę biskupa? - zapytałem z niedowierzaniem. - Chyba żartujesz.

- Masz rację - przyświadczył. - To nie jest taka rzecz, którą chciałoby się chronić przed zniszczeniem. Wiktoriańska sztuka! - Wzdrygnął się.

- Poza tym - dodałem - sprawdziłem już na probostwie Lucy Hampton... tam, gdzie zabrali okna. Nic z tego.

- Och - powiedział Carruthers. - Nie mogli jej przestawić na inne miejsce?

Dobra myśl. Pewnie któraś pani z Kółka Parafialnego, nie mogąc znieść tego widoku, schowała strusią nogę biskupa gdzieś w kącie za kolumną.

- Dlaczego w ogóle lady Schrapnell ma obsesję na tym punkcie? - zapytał Carruthers.

- Dlaczego ma obsesję na punkcie każdego szczegółu tego projektu? - zareplikowałem. - Zanim mnie przydzieliła do strusiej nogi biskupa, robiłem nagrobki. Chciała mieć kopię każdej inskrypcji na każdym nagrobku w katedrze, włącznie z grobowcem kapitana Gervase Scrope'a, gdzie był istny tasiemiec. Carruthers współczująco pokiwał głową.

- Piszczałki organowe - mruknął, - Kazała mi ganiać po całym średniowieczu, żeby mierzyć piszczałki organowe.

- Oczywiście podstawowe pytanie brzmi: dlaczego ona ma obsesję na punkcie odbudowy katedry w Coventry? - rzuciłem.

- Jej pra-pra-prababka pojechała do Coventry i...

- Wiem, wiem, to doświadczenie zmieniło całe życie owej pra-pra-prababki, a kiedy lady Schrapnell znalazła jej pamiętnik, to zmieniło z kolei jej życie, dlatego postanowiła odbudować katedrę dokładnie taką, jak przed pożarem, na cześć... i tak dalej. Słyszałem ten tekst kilka razy. Również o Bogu...

- ...który jest w szczegółach - dokończył Carruthers. - Nie cierpię tego przemówienia.

- Najbardziej nie znoszę tego: „Trzeba zajrzeć pod każdy kamień". Pomóż mi.

Wskazałem krawędź wielkiej kamiennej płyty. Carruthers pochylił się i chwycił za drugi brzeg.

- Raz, dwa, trzy - zakomenderowałem - do góry! Dźwignęliśmy głaz i przetoczyliśmy na drugą stronę przejścia, gdzie uderzył w kikut kolumny i przewrócił ją.

Strusiej nogi biskupa nie było pod głazem, ale znaleźliśmy tam postument z kutego żelaza, na którym zwykle stała, oraz jedną poprzeczkę z ażurowej przegrody, a pod odłamkiem czerwonego piaskowca odkryliśmy na wpół zwęgloną łodygę kwiatu. Nie wiadomo jakiego kwiatu, nie zostało nawet listka, wyglądałby jak patyk lub żelazny drążek, gdyby nie cal zieleni na jednym końcu.

- To stało przed przegrodą? - upewnił się Carruthers, rozgniatając stopami chrzęszczące szkło.

- Przed tą przegrodą. Na tym postumencie - potwierdziłem, wskazując postument z kutego żelaza. - Aha, dziewiąty listopada, Modły za Służbę RAF i Kiermasz Wypieków. Dwie szydełkowe serwetki na oparcia foteli, wycieraczka do piór w kształcie bratka i pół tuzina pierników brukowców. Bardzo stosowna nazwa.

Carruthers patrzył na szkło.

- Czy podmuch nie mógł tego rzucić w inną część nawy?

- To nie bomby burzące zniszczyły katedrę, tylko bomby zapalające.

- Och - mruknął. Obejrzał się na kościelnego, który zbliżał się do nas. - Biblia królowej Wiktorii, mówiłeś?

- Tak. Z datami zgonów, urodzin i załamań nerwowych tych wszystkich Jerzych - powiedziałem. - Dowiedz się, czy czegoś nie zabrano na przechowanie gdzie indziej niż na probostwo Lucy Hampton przed pożarem.

Kiwnął głową i podszedł do kościelnego, a ja patrzyłem na postument z kutego żelaza i zastanawiałem się, co dalej.

Bomby, które spadły na katedrę, to były głównie bomby zapalające, ale Carruthers miał rację. Wstrząsy wywołują niekiedy dziwne skutki, a w sąsiedztwie nastąpiło kilka wybuchów, od bomb burzących po zbiorniki z gazem. Podmuch mógł cisnąć strusią nogę biskupa na środkowe przejście nawy albo na chór.

Usunąłem więcej gruzu, próbując ocenić, w którą stronę poleciało szkło z Kaplicy Sukienników. Większość odłamków wymiotło chyba na południe i zachód. Powinienem szukać po drugiej stronie, na końcu nawy.

Wróciłem do przegrody i zacząłem kopać na południowy zachód. Trzeba zajrzeć pod każdy kamień.

Dzwony zaczęły wybijać godzinę i wszyscy, nawet Pan Spivens, przerwaliśmy nasze czynności, żeby podnieść wzrok na wieżę. Dach zniknął, więc widzieliśmy iglicę, nietkniętą, wznoszącą się ponad dymem i kurzem. Dzwony brzmiały pięknie, jakby nie dosięgło ich zniszczenie.

- Patrz, tam jest gwiazda - powiedział Carruthers.

- Gdzie? - zapytałem.

- Tam - pokazał. Widziałem tylko dym.

- O tam - powiedział. - Nad iglicą. Nad dymiącymi zgliszczami wojny, nad ruinami świata. Spogląda z góry na nieludzkie czyny człowieka, jasny herold piękna i nadziei, zapowiedź lepszej przyszłości. Świetlisty symbol odrodzenia, które rychło nadejdzie.

- Które rychło nadejdzie? - Spojrzałem na niego z niepokojem. - Jasny herold piękna i nadziei?

Jednym z pierwszych symptomów dyschronii jest skłonność do sentymentalnego bełkotu, niczym pijany Irlandczyk lub całkiem trzeźwy wiktoriański poeta. Carruthers wykonał ostatnio co najmniej cztery skoki, dwa w ledwie kilkugodzinnych odstępach, a kto wie, ile więcej musiał zrobić przy mierzeniu piszczałek organowych. Sam mówił, że od dawna nie spał.

Zmarszczyłem brwi i próbowałem przywołać z pamięci listę symptomów dyschronii. Sentymentalny bełkot, trudności z rozróżnianiem dźwięków, zmęczenie - ale przecież usłyszał dzwony, a każdy nieszczęśnik związany z projektem lady Schrapnell cierpiał na brak snu. Przez cały zeszły tydzień udało mi się zasnąć tylko podczas Bazaru Wysiłku Wojennego w dniu Św. Kryspina. Zasnąłem przy „Witamy" i przespałem połowę wstępnej mowy komitetu organizacyjnego.

Jakie były inne symptomy? Skłonność do roztargnienia. Spowolnienie reakcji. Zaburzenia wzroku.

- Gwiazda - powiedziałem. - Jak wygląda?

- Co to znaczy, jak wygląda? - zdziwił się Carruthers, wcale nie reagując powoli. - Wygląda jak gwiazda.

Dzwony umilkły i tylko echo rozbrzmiewało w zadymionym powietrzu.

- Myślisz, że jak wygląda gwiazda? - fuknął Carruthers i zamaszystym krokiem ruszył na spotkanie kościelnego.

Rozdrażnienie stanowiło oczywisty symptom. A przewodniki sieciowe wyraźnie ostrzegały, że osoby cierpiące na dyschronię należy natychmiast „usunąć ze środowiska" i odsunąć od obowiązków, ale gdybym to zrobił, musiałbym wytłumaczyć lady Schrapnell, co robimy w Oksfordzie zamiast w Coventry.

Przecież głównie dlatego grzebałem tutaj w gruzach, ponieważ wolałem nie tłumaczyć, dlaczego nie wylądowałem czternastego o ósmej przed frontem katedry, jak planowano; zresztą daremnie próbowałbym wyjaśniać, że przyczyną był poślizg, ponieważ lady Schrapnell nie wierzyła w poślizgi. Ani w dyschronię.

Nie, dopóki Carruthers całkiem się nie rozsypał, lepiej było zostać tutaj, znaleźć strusią nogę biskupa, a potem wrócić i powiedzieć lady Schrapnell, tak, ona była w katedrze podczas nalotu, a

potem złapać trochę snu. Sen, który ceruje podarte rękawy niepeespowskich mundurów, który wygładza usmolone czoło i odpędza smutki, który zsyła na znużoną duszę błogosławiony, kojący spoczy...

Carruthers podszedł bliżej i nie wyglądał ani na zmęczonego, ani na roztargnionego. Dobrze.

- Ned! - powiedział. - Nie słyszałeś, że cię wołałem?

- Przepraszam - mruknąłem. - Zamyśliłem się.

- No chyba. Wołam od pięciu minut - oświadczył. - Czy ona miała ze sobą Dookie?

Widocznie znowu się przesłyszałem albo dyschronia Carruthersa pogłębiła się jeszcze bardziej.

- Dookie? - powtórzyłem ostrożnie.

- Tak, Dookie! - warknął. - Czy miała ze sobą Dookie?

O nie, będę musiał odstawić go do Oksfordu, nie budząc podejrzeń w kościelnym, zabrać go do infirmerii, a potem wrócić tutaj, żeby dokończyć przeszukiwania katedry, chociaż prawdopodobnie wyląduję na polu z dyniami w połowie drogi do Liverpoolu.

- Ned, słyszysz mnie? - pytał z niepokojem Carruthers. - Mówiłem: „Czy ona miała ze sobą Dookie?"

- Kto? - spytałem, zastanawiając się, jak go przekonać, że powinien stąd zniknąć. Ofiary dyschronii nigdy nie wiedziały, że cierpią na dyschronię. - Lady Schrapnell?

- Nie - odparł bardzo zirytowanym tonem. - Jej Wysokość. Królowa. Kiedy nas tutaj skierowała. „Ta piękna, piękna katedra" i tak dalej. - Wskazał kościelnego, który kierował się w naszą stronę. - Zapytał mnie, czy miała ze sobą Dookie, kiedy ją widzieliśmy, a ja nie miałem pojęcia, kto to jest.

Ja też nie miałem pojęcia. Dookie. Mało prawdopodobne, żeby tak nazywała króla. Może swojego szwagra nicponia? Nie, Edward abdykował przed 1940 rokiem, a królowa nie nadała mu żadnego przezwiska.

Pies królowej, pomyślałem, ale to niewiele pomogło. W późniejszych latach, jako Królowa Matka, miała walijskie corgi, ale co miała podczas drugiej wojny światowej? Yorkshire teriera? Miniaturowego spaniela? I jakiej płci, skoro o tym mowa? A jeśli Dookie była jej pokojówką? Albo przezwiskiem jednej z księżniczek?

Podszedł kościelny.

- Pytał pan o Dookie - powiedziałem. - Obawiam się, że Dookie nie było z Jej Wysokością. Chwilowo przebywa w Windsorze. Boi się bomb, pan rozumie.

- Zdarza się co poniektórym - przyznał kościelny, spoglądając w stronę Pana Spivensa i nowego rekruta. - Słabe nerwy.

Nowy rekrut odkrył wreszcie, jak działa kieszonkowa latarka. Zapalił ją i dla zabawy kierował snop światła to na poczerniałe ściany prezbiterium, to na Pana Spivensa, który najwyraźniej postanowił wykopać tunel w gruzach obok schodów.

- Zaciemnienie? - przypomniałem Carruthersowi.

- O Boże - jęknął Carruthers. - Zgaś to! - krzyknął i pospieszył do rekruta.

- Dwa tygodnie temu wchodzę na dach i co widzę? - zaczął kościelny, zerkając w stronę prezbiterium, gdzie Carruthers wyrwał rekrutowi latarkę i próbował ją zgasić. - Mój szwagier spokojniutko zapala sobie zapałkę. „Co ty wyprawiasz najlepszego?", wołam do niego, a on mówi: „Zapalam papierosa". „Może od razu zapalisz flary, mówię - żeby Luftwaffe na pewno wiedziała, gdzie nas szukać". „To tylko jedna zapałka - on mi odpowiada. - Co komu szkodzi jedna zapałka?"

Z ponurą miną rozejrzał się po tym, co Luftwaffe najwidoczniej znalazła, i zaciekawiło mnie, czy obwinia swojego szwagra, ale on powiedział:

- Biedny rektor Howard. - Potrząsnął głową. - Dla niego to był cios, stracić katedrę. Nie chciał iść

do domu. Został tutaj przez całą noc.

- Przez całą noc? - upewniłem się. Kościelny kiwnął głową.

- Pewnie ze względu na szabrowników. - Popatrzył z żalem na ruiny. - Chociaż niewiele zostało do zrabowania. No, ale jeśli coś zostało, nie chcemy, żeby ludziska to rozdrapali.

- Nie chcemy - przytaknąłem. Ze smutkiem pokiwał głową.

- Trzeba go było widzieć, jak chodził po gruzach tam i z powrotem. „Niech pan wraca do domu i kładzie się do łóżka - powiedziałem mu. - Ja i Pan Spivens pana zastąpimy".

- Więc po ugaszeniu pożaru ktoś tu był przez cały czas - nalegałem.

- Niby tak - przyświadczył - tylko raz poszedłem do domu na herbatę. I rano zaczęło padać, więc posłałem szwagra do domu po płaszcz od deszczu i parasol, ale nie wrócił, więc sam musiałem pójść do domu. Ściemnia się - dodał, spoglądając nerwowo na niebo po wschodniej stronie. - Szkopy niedługo wrócą.

Tak naprawdę nie wrócili. Luftwaffe postanowiła tej nocy zaatakować Londyn. Ale rzeczywiście robiło się ciemno. Drugi koniec kościoła, gdzie Carruthers sztorcował nowego rekruta za naruszenie przepisów o zaciemnieniu, pogrążony był w mroku, a wybite wschodnie okno ukazywało ciemniejącą czarnoniebieską chmurę dymu, pokreśloną światłami reflektorów przeciwlotniczych.

- Lepiej zróbmy jak najwięcej, zanim zapadnie noc - zasugerowałem i wróciłem do przekopywania gruzów. Próbowałem odgadnąć, jak daleko podmuch mógł odrzucić strusią nogę biskupa. Jeśli nie wynieśli jej szabrownicy. Kościelnego nie było co najmniej przez godzinę, kiedy poszedł na herbatę, a w tym czasie każdy mógł wejść przez rozwalone południowe drzwi i zabrać, co mu się żywnie podobało. Włącznie ze strusią nogą biskupa.

Widocznie z braku snu traciłem zdolność myślenia. Nikt, nawet człowiek w ciężkim szoku, nie ukradłby strusiej nogi biskupa. Ani nie kupiłby jej na kiermaszu. Odrzucono by ją nawet na zbiórce złomu żelaznego na amunicję. Chyba że ktoś doceniłby jej wartość jako broni psychologicznej przeciwko nazistom.

Więc musiała gdzieś tutaj być, razem z resztą ażurowej przegrody i kawałkiem płyty nagrobnej ze słowem „wieki", i powinienem się pospieszyć, jeśli chciałem ją znaleźć przed zmrokiem. Podniosłem poduszkę z klęcznika, wciąż dymiącą i cuchnącą spalonym pierzem, położyłem ją w przejściu i zacząłem przekopywać się na koniec nawy.

Znalazłem poręcz klęcznika, pojedynczy świecznik z brązu oraz nadpalony śpiewnik otwarty na hymnie: „Wszyscy, którzy żyją pod niebem". Za okładkę z tyłu wetknięto kartkę papieru.

Wyciągnąłem ją. Był to program nabożeństwa na niedzielę, dziesiątego listopada. Rozłożyłem arkusik, z którego odpadały płat sadzy.

Zmrużyłem oczy, próbując coś odczytać w półmroku; przydałaby się latarka nowego rekruta, „...i czerwone goździki na Wielkim Ołtarzu - odczytałem - dla uczczenia pamięci porucznika Davida Halberstama, RAF. Wiązanka różowych begonii na kazalnicy oraz bukiet żółtych chryzantem w strusiej nodze biskupa zakupione i ustawione przez Komitet Kwiatowy Kółka Parafialnego, kierowniczka Lo..."

Reszta kierowniczki spaliła się, ale przynajmniej mieliśmy dowód, że strusia noga biskupa znajdowała się w katedrze przed pięcioma dniami. Więc gdzie była teraz?

Kopałem dalej. Zapadła ciemność, a księżyc, który tak pomógł Luftwaffe poprzedniej nocy, wzeszedł i szybko zniknął w kłębach dymu i pyłu.

Ta część kościoła najwyraźniej zawaliła się w całości, toteż wkrótce skończyły się gruzy, które mogłem samodzielnie podźwignąć. Obejrzałem się na Carruthersa, on jednak był pogrążony w królewskiej konwersacji z kościelnym i prawdopodobnie wyciągał z niego informacje. Nie chciałem

mu przeszkadzać.

- Pomóż mi! - zawołałem do nowego rekruta, który przykucnął obok Pana Spivensa i obserwował drążenie tunelu. - Tutaj! - krzyknąłem i pomachałem do niego.

Żaden z nich nie zwrócił na mnie uwagi. Pan Spivens prawie cały schował się w tunelu, a nowy rekrut znowu majstrował przy swojej latarce.

- Halo! -wrzasnąłem. - Tutaj!

Kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie. Pan Spivens znowu się pojawił, nowy rekrut zatoczył się do tyłu i upadł, latarka włączyła się i omiotła niebo snopem światła niczym jeden z reflektorów przeciwlotniczych, a z tunelu wyprysnął długi, ciemny kształt i dał susa na kupę gruzów. Kot. Pan Spivens pogonił za nim, szczekając zajadle.

Podszedłem do nowego rekruta, z ciekawością obserwującego pościg, zgasiłem latarkę, pomogłem mu wstać i powiedziałem:

- Chodź, pomóż mi przy tych belkach.

- Widział pan kota? - zapytał, spoglądając na miejsce, gdzie zwierzak zniknął pod stopniami prezbiterium. - To był kot, prawda? Są mniejsze, niż myślałem. Sądziłem, że będą raczej wielkości wilków. I są takie szybkie! Czy wszystkie były czarne?

- Przypuszczam, że wszystkie, które łaziły po spalonej katedrze - odpowiedziałem.

- Prawdziwy kot! - zachwycał się rekrut, idąc za mną i otrzepując swój niepeespowski kombinezon. - Niesamowite, żeby zobaczyć stworzenie, które wymarło prawie czterdzieści lat temu. Nigdy jeszcze żadnego nie widziałem.

- Potrzymaj ten koniec - poleciłem, wskazując fragment kamiennej rynny.

- To takie niesamowite - powtórzył rekrut. - Naprawdę być tutaj, gdzie wszystko się zaczęło.

- Albo skończyło - dodałem sucho. - Nie ten, ten z wierzchu. Dźwignął z wyprostowanymi kolanami, zatoczył się lekko.

- To takie podniecające! Lady Schrapnell mówiła, że praca w katedrze Coventry będzie cennym doświadczeniem, i tak jest! Patrzeć na to i wiedzieć, że nie zostało naprawdę zniszczone, że powstaje z popiołów w tej samej chwili, odrodzone i przywrócone do dawnej chwały. Mówił jak dyschronowany, ale pewnie był w porządku. Wszyscy nowi rekruci lady Schrapnell mówili jak dyschronowani.

- Ile skoków zrobiłeś? - zapytałem go.

- To mój pierwszy - oznajmił z przejęciem - i ciągle nie mogę w to uwierzyć. No, że jesteśmy tutaj, w 1940, szukamy strusiej nogi biskupa, odkrywamy skarby przeszłości, piękno minionej epoki.

Popatrzyłem na niego.

- Ty nigdy nie widziałeś strusiej nogi biskupa, prawda?

- Nie - przyznał - ale musi być naprawdę niezwykła. No wie pan, zmieniła życie pra-pra-prababki lady Schrapnell.

- Wiem - przytaknąłem. - Zmieniła życie nas wszystkich.

- Tutaj! - zawołał Carruthers z Kaplicy Sukienników. - Coś znalazłem.

Klęczał w niewłaściwym miejscu w stosunku do podmuchu i początkowo widziałem tylko stos potrzaskanych desek, ale Carruthers wskazywał na coś w głębi stosu.

- Widzę! - zawołał kościelny. - Wygląda jak metal.

- Poświeć latarką - zwrócił się Carruthers do nowego rekruta. Rekrut, który już zapomniał, jak się zapala latarkę, majstrował przy niej przez chwilę, a potem zaświecił Carruthersowi w twarz.

- Nie na mnie - zgromił go Carruthers. - Tam!

Wyrwał latarkę rekrutowi i oświetlił stos drewna. Dostrzegłem błysk metalu. Serce we mnie

skoczyło.

- Zrzućmy te deski - zawołałem i wszyscy zabraliśmy się do roboty.

- Mam - oznajmił kościelny. Razem z Carruthersem i nowym rekrutem wyciągnęli coś z rumowiska.

Metal poczerniał od sadzy, wygiął się i popękał, ale od razu rozpoznałem przedmiot, podobnie jak kościelny.

- To tylko kubeł na piasek - stwierdził i wybuchnął płaczem. Fizycznie było niemożliwe, żeby kościelny cierpiał na dyschronię, chyba że jakimś cudem się zaraził. A jednak wykazywał podobne objawy.

- Widziałem ten kubeł jeszcze wczoraj wieczorem - zaszlochał w bardzo usmoloną chusteczkę - a teraz patrzcie.

- Wyczyścimy go - przyrzekł Carruthers, niezręcznie klepiąc kościelnego po ramieniu. - Będzie jak nowy. - W co wątpiłem.

- Rączka całkiem się urwała - chlipnął kościelny i głośno wysiąkał nos. - Sam napełniłem ten kubeł piaskiem. Sam go powiesiłem przy południowych drzwiach.

Południowe drzwi znajdowały się po drugiej stronie kościoła, oddzielone od Kaplicy Sukienników całą długością nawy oraz niezliczonymi rzędami solidnych dębowych ławek.

- Znajdziemy rączkę - obiecał Carruthers, w co również wątpiłem, po czym ukląkł jak do modlitwy i zaczął rozgrzebywać deski.

Zostawiłem go i nowego rekruta, który zaglądał pod schody, pewnie wypatrując kotów, i wróciłem do miejsca, gdzie dach zawalił się w jednym kawałku.

Stanąłem tam, w dawnym środku nawy, i próbowałem ustalić zakres poszukiwań. Wybuch cisnął kubeł z piaskiem prawie przez pół kościoła, w kierunku przeciwnym do podmuchu z okna Kaplicy Sukienników. Co oznaczało, że strusia noga biskupa mogła być dosłownie wszędzie.

Zrobiło się całkiem ciemno. Reflektory włączyły się i omiatały niebo długimi łukami, zaś na północy jaśniała pomarańczowobrązowa łuna pożaru, jeszcze nie ugaszonego przez posterunki od pierwszego do siedemnastego, ale to wszystko dawało niewiele światła, a księżyc gdzieś się schował.

Wkrótce będziemy musieli przerwać pracę, a lady Schrapnell spotka nas przy sieci i zażąda wyjaśnień, gdzie byliśmy i dlaczego nie znaleźliśmy strusiej nogi biskupa. Odeśle mnie z powrotem, żebym dalej próbował, albo - co gorsza - znowu każe mi zwiedzać kiermasze, z tymi okropnymi wycieraczkami do piór, haftowanymi obrusikami i piernikami twardymi jak prawdziwe brukowce.

Może powinienem raczej zostać tutaj, zaciągnąć się do piechoty i błagać, żeby mnie wysłali do jakiegoś cichego, spokojnego miejsca, na przykład na plaże Normandii. Nie, inwazja nastąpiła dopiero w 1944 roku. Do Afryki Północnej. El Alamein.

Odsunąłem na bok spalony koniec ławki i uniosłem przyciśnięty przez nią kamień. Pod spodem zobaczyłem bruk, kamienną posadzkę Kaplicy Sukienników. Usiadłem na kawałku zwieńczenia muru. Pan Spivens podbiegł do mnie i zaczął drapać posadzkę.

- Daj spokój, piesku - powiedziałem do niego: - Nie ma jej tutaj. Pomyślałem z rozpaczą o wycieraczkach do piór w kształcie dzwonków polnych, które będę musiał nabyć. Pan Spivens usiadł u moich stóp i spoglądał na mnie ze współczuciem.

- Pomógłbyś mi, piesku, gdybyś potrafił, prawda? - zagadnąłem go. - Nic dziwnego, że nazywają cię najlepszym przyjacielem człowieka. Wierny i lojalny, dzielisz z nami smutki i radości, świętujesz nasze triumfy i opłakujesz klęski, darząc nas stałym uczuciem, na jakie nie zasługujemy. Z nami związałeś swój los, towarzyszysz nam w zdrowiu i chorobie, na polu bitwy i przed kominkiem, nie

opuszczasz swojego pana nawet w obliczu śmierci. Ach, szlachetny psie, tyś jest futrzastym zwierciadłem, w którym odbija się nasze lepsze ja, człowiek potencjalnie doskonały, wolny od agresji i ambicji, oczyszczony z...

I nagle znalazłem się z powrotem w Oksfordzie, odholowany do infirmerii, zanim jeszcze skończyłem klepać go po łbie.

Gdyby każdy wtrącał się tylko do swoich spraw – warknęła ochryple Księżna – świat kręciłby się o wiele szybciej, niż się kręci

Lewis Carroll

ROZDZIAŁ DRUGI

Hiszpańska Inkwizycja - Oksford, miasto sennych iglic - Ucieczka – Zaplątanie - Wyplątanie - Wyjaśnienie - Boisko w Merton - Podsłuchiwanie – Różnica pomiędzy literaturą a prawdziwym życiem -Jakiś rodzaj nimfy - Ważna wskazówka - Sherlock Holmes uratowany - Dobry pomysł

- Pański partner mówi, że pan cierpi na zaawansowaną dyschronię - powiedziała pielęgniarka, opasując mi nadgarstek bransoletką tachometru.

- Proszę posłuchać - powiedziałem - zdaję sobie sprawę, że trochę mnie poniosło przy tym psie, ale muszę natychmiast wracać do Coventry.

Fatalnie się stało, że wylądowałem piętnaście godzin po zaplanowanym terminie. Na domiar złego zostawiłem katedrę tylko częściowo przeszukaną, czyli tak jakby wcale nie przeszukaną, i nawet gdybym tam wrócił zaraz po swoim odejściu, straciłbym kilka chwil, a w tym czasie kościelny, kierowany przez kota, mógł znaleźć strusią nogę biskupa i oddać ją na przechowanie swojemu szwagrowi, na skutek czego ostatecznie znikłaby z historii.

- Koniecznie muszę wrócić do tych ruin - nalegałem. - Strusia noga biskupa...

- Skłonność do dygresji - powiedziała pielęgniarka do komunikatora. - Wygląd niechlujny i zaniedbany.

- Pracuję w spalonej katedrze - wyjaśniłem. - I muszę tam wracać. Tam...

Wpakowała mi termometr do ust i przyczepiła monitor do mojego nadgarstka.

- Ile skoków pan wykonał przez ostatnie dwa tygodnie? - zapytała. Patrzyłem, jak wstukuje odczyty do komunikatora, i próbowałem sobie przypomnieć, ile wynosi legalny limit skoków. Osiem? Pięć?

- Cztery - powiedziałem. - To Carruthersa trzeba zbadać. Jest jeszcze brudniejszy ode mnie i powinna pani posłuchać, co on wygaduje o gwiazdach i przyszłości, „która rychło nadejdzie".

- Jakie pan ma objawy? Dezorientacja?

- Nie.

- Senność?

To było trudniejsze. Wszystkie osoby harujące pod batem lady Schrapnell automatycznie pozbawiono snu, ale wątpiłem, czy pielęgniarka weźmie to pod uwagę. W każdym razie odczuwałem nie tyle senność, co raczej swoiste otępienie jak u „żywych trupów", ludzi bombardowanych noc po nocy podczas wojny.

- Nie - powiedziałem w końcu.

- Spowolnienie reakcji - powiedziała do komunikatora. - Kiedy pan ostatnio spał?

- W 1940 - odpowiedziałem szybko, co stanowiło symptom przyspieszenia reakcji.

Wpisała coś jeszcze.

- Zauważył pan trudności w rozróżnianiu dźwięków?

- Nie - odparłem, uśmiechając się do niej. Pielęgniarki ze szpitala zwykle przypominają coś w rodzaju hiszpańskiej Inkwizycji, ta jednak miała prawie przyjazną twarz, niczym katowski pachołek, który przywiązuje cię pasami do koła albo przytrzymuje przed tobą otwarte drzwi Żelaznej Dziewicy.

- Zaburzenia wzroku? - zapytała. Zaprzeczyłem, próbując nie mrużyć oczu.

- Ile palców pokazuję?

Bez względu na zarzut spowolnienia reakcji, ta odpowiedź wymagała namysłu. Dwa to najbardziej prawdopodobna liczba, ponieważ łatwo je pomylić z trzema albo z jednym, ale ona mogła pokazać pięć, żeby mnie podejść, a jeśli tak, czy powinienem odpowiedzieć „cztery", skoro technicznie biorąc kciuk nie jest palcem? A może ona trzyma rękę za plecami?

- Pięć - palnąłem wreszcie.

- Jak to możliwe, że według pana zrobił pan tylko cztery przeskoki?

Nieważne, jak daleko mój domysł odbiegał od rzeczywistej liczby wystawionych palców, odpowiedź wyraźnie nie spodobała się pielęgniarce. Już chciałem ją poprosić, żeby powtórzyła pytanie, ale zreflektowałem się; wtedy wpisałaby „trudności w rozróżnianiu dźwięków". Zdecydowałem się na frontalny atak.

- Pani chyba nie rozumie powagi sytuacji - oświadczyłem. - Za siedemnaście dni odbędzie się konsekracja katedry i lady Schrapnell...

Pielęgniarka podała mi sztywny kartonik i dalej dyktowała uwłaczające uwagi do komunikatora. Spojrzałem na kartę z nadzieją, że nie będę musiał niczego przeczytać jako dalszej części testu na zaburzenia wzroku. Zwłaszcza że karta wydawała się pusta.

- To bardzo ważne, żeby strusia noga biskupa... - zacząłem. Pielęgniarka obróciła kartę na drugą stronę.

- Proszę powiedzieć, co pan widzi.

Wyglądało to jak pocztówka z Oksfordu. Widok od strony Headington Hill, kochane stare senne iglice i omszałe kamienne mury, zaciszne dziedzińce w cieniu wiązów, gdzie wciąż słychać ostatnie echa średniowiecza, szepczące o dawnych uczonych i odwiecznej tradycji, o...

- Wystarczy tego dobrego - przerwała i wyjęła mi kartę z ręki. - Ma pan zaawansowaną dyschronię, panie Henry. Zalecam dwa tygodnie wypoczynku w łóżku. I żadnych podróży w czasie.

- Dwa tygodnie? - powtórzyłem. - Ale konsekracja jest za siedemnaście dni...

- Niech inni martwią się o konsekrację. Pan musi koniecznie odpocząć.

- Pani nie rozumie... Skrzyżowała ramiona.

- Z pewnością nie rozumiem. Podziwiam pana poświęcenie dla sprawy, ale dlaczego chce pan ryzykować zdrowie, żeby odbudować jakiś archaiczny symbol przestarzałej religii, to w głowie się nie mieści.

Wcale nie chcę, pomyślałem. Chce tego lady Schrapnell, a lady Schrapnell zawsze dostaje to, czego chce. Podporządkowała już sobie kościół angielski, uniwersytet oksfordzki, brygadę budowlaną czterech tysięcy robotników (którzy informowali ją codziennie, że nie można zbudować katedry w sześć tygodni) oraz przezwyciężyła wszelkie sprzeciwy, od Parlamentu po Radę Miejską Coventry, żeby odbudować swój „archaiczny symbol". Nie miałem szans.

- Czy pan wie, co oznacza dla medycyny pięćdziesiąt miliardów funtów? - rzuciła pielęgniarka, wstukując dane do komunikatora. - Moglibyśmy znaleźć lekarstwo na ebolę II, zaszczepić dzieci z całego świata przeciwko HIV, kupić porządne wyposażenie. Tylko za to, co łady Schrapnell wydaje na witraże, Szpital Radcliffe mógłby zbudować całe nowe skrzydło, wyposażone w najnowszy sprzęt.

Komunikator wypluł pasek papieru.

- To nie jest poświęcenie dla sprawy, tylko...

- Tylko zbrodnicze niedbalstwo, panie Henry. - Oddarła papier i podała mi. - Chcę, żeby pan dokładnie wypełniał te zalecenia.

Spojrzałem ponuro na listę. Pierwsza linijka nakazywała: „Czternaście dni całkowitego wypoczynku w łóżku".

Nigdzie w Oksfordzie nie mógłbym spokojnie wypoczywać, zresztą nigdzie w Anglii. Gdyby lady Schrapnell dowiedziała się, że wróciłem, wytropiłaby mnie i dopadła niczym mściwa furia. Już widziałem, jak wpada do sypialni, zrywa ze mnie koc i prowadzi za ucho do sieci.

- Musi pan stosować wysokoproteinową dietę i wypijać co najmniej osiem szklanek płynu

dziennie - ciągnęła pielęgniarka. - Żadnej kofeiny, żadnego alkoholu, żadnych stymulatorów.

Uderzyła mnie pewna myśl.

- Czy zostałem przyjęty do szpitala? - zapytałem z nadzieją. Jeśli ktoś potrafi utrzymać na dystans lady Schrapnell, to tylko ci Wielcy Inkwizytorzy, pielęgniarki oddziałowe. - Zamkną mnie w izolatce?

- W izolatce? - powtórzyła. - Ależ skąd. Dyschronia nie jest chorobą zakaźną, panie Henry. To zaburzenia biochemiczne spowodowane przez rozregulowanie wewnętrznego zegara i ucha środkowego. Nie potrzebuje pan leczenia. Potrzebuje pan tylko wypoczynku i teraźniejszości.

- Ale ja nie zasnę...

Komunikator zaczął popiskiwać. Podskoczyłem.

- Zwiększona pobudliwość nerwowa - stwierdziła, wstukała to do komunikatora i powiedziała: - Chcę pana zbadać. Proszę zdjąć ubranie i nałożyć to. - Wyjęła z szuflady papierową koszulę i rzuciła mi pod nogi. - Zaraz wracam. Tasiemki do zawiązywania są z tyłu. I proszę się umyć. Cały pan jest w sadzy.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Zsunąłem się ze stołu zabiegowego, na którym została długa czarna smuga, i podszedłem do drzwi.

- Najgorszy przypadek dyschronii, jaki widziałam - mówiła do kogoś pielęgniarka, miałem nadzieję, że nie do lady Schrapnell. - Mógłby pisać wierszyki do gazet.

To nie była lady Schrapnell. Wiedziałem, bo nie usłyszałem odpowiedzi.

- Zdradza nadmierny niepokój, co nie jest zwykłym objawem - ciągnęła pielęgniarka. - Chcę mu zrobić skan i poszukać przyczyn tego niepokoju.

Mogłem od razu jej wyjaśnić przyczynę mojego niepokoju, wcale nie nadmiernego, gdyby tylko zechciała mnie wysłuchać, w co wątpiłem. I chociaż taka groźna, nie miała szans wobec lady Schrapnell.

Nie mogłem tutaj zostać. Podczas skanowania zamykają człowieka w długiej rurze na półtorej godziny i porozumiewają się przez mikrofon. Już słyszałem głos lady Schrapnell huczący w słuchawkach: „A więc tutaj jesteś. Wychodź natychmiast z tej maszyny!”

Nie mogłem tutaj zostać i nie mogłem wrócić do swojego pokoju. Lady Schrapnell najpierw tam zajrzy. Może znajdę jakiś kącik w infirmerii i złapię trochę snu, żeby przejaśniło mi się w głowie.

Pan Dunworthy, pomyślałem. Kto jak kto, ale pan Dunworthy na pewno znajdzie dla mnie jakąś cichą kryjówkę. Włożyłem papierową koszulę, trochę zabrudzoną sadzą, z powrotem do szuflady, naciągnąłem buty i wyskoczyłem przez okno.

Kolegium Balliol znajdowało się niedaleko infirmerii, przy tej samej Woodstock Road, ale nie ośmieliłem się zaryzykować. Obszedłem budynek dookoła, przy wjeździe dla karetek pogotowia skręciłem w Adelaide i przez podwórze dotarłem do Walton Street. Jeśli Somerville będzie otwarty, przejdę na skrót przez dziedziniec do Little Clarendon, a potem ulicą Worcester do Broad, i wejdę do Balliol tylną bramą.

Somerville był otwarty, ale wędrówka trwała znacznie dłużej, niż się spodziewałem, a kiedy dotarłem do bramy, coś się z nią stało. Skręciła się do wewnątrz, a woluty z kutego żelaza powyginały się, tworząc kolce, haki i zadziory, które zaczepiały o mój kombinezon.

Najpierw pomyślałem, że w bramę trafiła bomba, ale to było niemożliwe. Luftwaffe miała zbombardować Londyn dopiero dziś wieczorem. Brama, włącznie z kolcami i zadziorami, była pomalowana na jasnozielono.

Próbowałem przecisnąć się bokiem, lecz epolet na moim niepeespowskim mundurze zaczepił o hak, a kiedy próbowałem się wycofać, jeszcze bardziej się zaplątałem. Miotałem się gorączkowo, ale

nie mogłem się uwolnić.

- Pozwoli pan, że mu pomogę - odezwał się uprzejmy głos. Odwróciłem się, na ile mogłem, i zobaczyłem sekretarza pana Dunworthy'ego.

- Finch - zawołałem. - Dzięki Bogu, że to pan. Właśnie szedłem do pana Dunworthy'ego.

Finch odczepił epolet i wziął mnie za rękaw.

- Tędy, sir - powiedział - nie, nie tędy, tamtędy, o tak. Nie, nie, tędy - i wreszcie wyprowadził mnie na wolność.

Ale po tej samej stronie, gdzie byłem na początku.

- Nic z tego, Finch - powiedziałem. - Ciągle musimy przejść przez tę bramę do Balliol.

- To jest Merton, sir - odparł Finch. - Pan wszedł na ich tereny sportowe.

Odwróciłem się i spojrzałem tam, gdzie pokazywał. Miał rację. Zobaczyłem boisko do piłki nożnej, a dalej plac do krykieta, a jeszcze dalej, na Błoniach Christ Church, otoczoną rusztowaniem i okrytą niebieskim plastikiem wieżę katedry Coventry.

- Skąd się tu wzięła brama Balliol? - zapytałem.

- To jest furtka dla pieszych w Merton.

Zerknąłem na bramę. Znowu racja. To był turnikiet zaprojektowany tak, żeby nie przepuszczać rowerów.

- Pielęgniarka mówiła, że pan ma dyschronię, ale nie przypuszczałem... Nie, tędy. - Wziął mnie za ramię i pociągnął po ścieżce.

- Pielęgniarka? - powtórzyłem.

- Pan Dunworthy wysłał mnie po pana do infirmerii, ale pan już wyszedł - wyjaśnił Finch, wyprowadzając mnie spomiędzy budynków na High Street. - Chciał się z panem spotkać, chociaż nie rozumiem, do czego pan mu się przyda w tym stanie.

- On chciał się ze mną spotkać? - zdziwiłem się. Myślałem, że to ja chciałem się z nim spotkać. Coś jeszcze przyszło mi do głowy. - Skąd wiedział, że jestem w infirmerii?

- Lady Schrapnell do niego zadzwoniła - powiedział Finch, a ja rzuciłem się do ucieczki.

- Już w porządku - zapewnił, wchodząc za mną do wnęki przed drzwiami sklepu, gdzie znalazłem schronienie. - Pan Dunworthy powiedział jej, że zabrano pana do Królewskiego Szpitala Miejskiego w Londynie. Jazda zabierze jej co najmniej pół godziny. - Przemocą wyciągnął mnie z wnęki i przeprowadził na drugą stronę High. - Osobiście uważam, iż powinien był jej powiedzieć, że zabrali pana do kliniki na Manhattanie. Jak pan może z nią wytrzymać?

Trzeba mieć oczy otwarte, pomyślałem, wchodząc za Finchem do pasażu obok St. Mary the Virgin's i trzymając się jak najbliżej ściany.

- Ona niczego nie robi jak należy - ciągnął. - Nie korzysta z drogi urzędowej, nie wypełnia formularzy zapotrzebowania. Po prostu nas rabuje... zabiera spinacze, długopisy, komunikatory.

I historyków, pomyślałem.

- Nigdy nie wiem, jakie materiały mam zamówić, jeśli w ogóle zdążę cokolwiek zamówić. Przez cały czas próbuję jej nie dopuścić do gabinetu pana Dunworthy'ego. Ciągle tam siedzi i wierci mu dziurę w brzuchu. Klamki, świeczniki i lekcjonarze. W zeszłym tygodniu chodziło o wyszczerbiony narożnik grobowca Wade'a. Jak się wyszczerbił i kiedy się wyszczerbił, przed nalotem czy podczas nalotu, i jakie ma kanty, proste czy zaokrąglone? Musi być całkowicie autentyczny, powiedziała. „Bóg jest..."

- „...w szczegółach" - dokończyłem.

- Nawet próbowała mnie zwerbować - narzekał Finch. - Chciała, żebym przeskoczył do wojny i szukał kusej nogi biskupa.

- Strusiej nogi - poprawiłem.

- Właśnie tak powiedziałem. - Zmierzył mnie twardym wzrokiem. - Ma pan trudności z rozróżnianiem dźwięków, prawda? Pielęgniarka mi powiedziała. I wyraźnie traci pan orientację. - Potrząsnął głową. - Do niczego pan się nie przyda.

- Dlaczego pan Dunworthy chce mnie widzieć?

- Mieliśmy wypadek.

„Wypadek", eufemizm używany w PSP, oznaczał bombę burzącą, domy obrócone w ruinę, spalone ciała, liczne pożary. Ale Finchowi z pewnością nie chodziło o taki wypadek. A może ciągle miałem „trudności z rozróżnianiem dźwięków".

- Wypadek? - powtórzyłem.

- Prawdziwa klęska. Jedna z historyczek. Dziewiętnasty wiek. Naniosła błota.

Tak, rzeczywiście miałem „trudności", chociaż w epoce wiktoriańskiej z pewnością było mnóstwo błota. Widocznie rzeczona historyczka nie wytarła porządnie butów. Ale to chyba jeszcze nie klęska?

- Co pan powiedział? - zapytałem ostrożnie.

- Powiedziałem: jesteśmy na miejscu - odparł Finch i miał rację. Widziałem bramę Balliol, chociaż nie boczną, tylko główną bramę, budkę portiera i frontowy dziedziniec.

Przeciąłem dziedziniec i ruszyłem po schodach do gabinetu pana Dunworthy'ego, widocznie jednak wciąż byłem zdezorientowany, ponieważ Finch znowu wziął mnie za ramię i poprowadził przez ogrodowy dziedziniec do Beard.

- Pan Dunworthy musiał przerobić świetlicę seniorów na gabinet. Ona nie szanuje uczciwego dębu i nie ma zwyczaju pukania do drzwi, więc pan Dunworthy musiał urządzić sekretariat, chociaż osobiście uważam, że lepsza byłaby fosa.

Otworzył drzwi dawnej spiżarni. Teraz pomieszczenie wyglądało jak poczekalnia u dentysty, z rzędem wyścielanych krzeseł pod ścianą i stosem skopiowanych magazynów na podręcznym stoliku. Biurko Fincha stało obok drzwi do gabinetu i praktycznie je zasłaniało, niewątpliwie dlatego, żeby Finch mógł bronić wejścia przed lady Schrapnell.

- Zobaczę, czy go zastaliśmy - powiedział Finch i obszedł biurko.

- Absolutnie wykluczone! - zagrzmiał z gabinetu głos pana Dunworthy'ego. - W żadnym wypadku!

O Boże, ona tam była. Przywarłem do ściany i rozpaczliwie rozejrzałem się za jakąś kryjówką. Finch chwycił mnie za rękaw i syknął: - To nie ona - ale sam już się domyśliłem.

- Nie rozumiem, dlaczego - odpowiedział kobiecy głos, nie należący do lady Schrapnell, ponieważ brzmiał raczej słodko niż stentorowo i po słowie „dlaczego" nie usłyszałem dalszego ciągu.

- Kto tam jest? - szepnąłem, odprężając się w uchwycie Fincha.

- Klęska - odszepnął.

- Skąd pani przyszło do głowy, żeby przenieść coś takiego przez sieć? - ryczał pan Dunworthy. - Przecież pani studiowała temporalną teorię!

Finch zamrugał.

- Mam powiedzieć panu Dunworthy'emu, że pan przyszedł? - zapytał z wahaniem.

- Nie, nie trzeba - zapewniłem i opadłem na jedno z obitych perkalem krzeseł. - Zaczekam.

- Skąd pani w ogóle przyszło do głowy, żeby go zabrać ze sobą? - domagał się odpowiedzi pan Dunworthy.

Finch sięgnął pojedna z kopii starożytnego czasopisma i podał mi.

- Nie potrzebuję niczego do czytania - oświadczyłem. - Posiedzę tutaj i będę podsłuchiwał razem z panem.

- Chciałem, żeby pan usiadł na tym magazynie - wyjaśnił. - Strasznie trudno jest usunąć sadzę z

perkalu.

Wstałem, pozwoliłem mu rozłożyć otwarty magazyn na krześle i znowu usiadłem.

- Skoro już pani musiała postąpić tak nieodpowiedzialnie - narzekał pan Dunworthy - dlaczego nie zaczekała pani do konsekracji?

Oparłem się o ścianę i przymknąłem oczy. Nawet przyjemnie było posłuchać, jak dla odmiany sztorcują kogoś innego, i to bez udziału lady Schrapnell, chociaż ciągle nie wiedziałem, jaką klęskę spowodowała ta osoba. Zwłaszcza kiedy pan Dunworthy wrzasnął:

- To żadna wymówka. Dlaczego po prostu nie wyciągnęła pani koła z wody i nie zostawiła na brzegu? Dlaczego musiała pani zabrać go ze sobą do sieci?

Wyciąganie koła nie wydawało się bardziej prawdopodobne niż naniesienie błota i wcale nie kojarzyło się z wodą. Chyba że chodziło o koło ratunkowe. Ale po co je zabierać do sieci?

W książkach i filmach podsłuchiwane osoby zawsze uprzejmie wyjaśniały, o czym rozmawiają, ze względu na podsłuchującego. Podsłuchiwana mówiła na przykład: „Oczywiście, jak wszyscy wiemy, rzeczone koło odpadło z dorożki Sherlocka Holmesa, kiedy przejeżdżała przez most w gęstej mgle podczas pościgu za psem Baskerville'ów, a ja musiałam je ukraść z następujących powodów", po czym następowało dokładne omówienie wzmiankowanej kradzieży, przeznaczone dla uszu podsłuchującego. Czasami do spisu treści przezornie dołączony był plan budynku lub mapka.

W prawdziwym życiu podsłuchującego traktuje się znacznie gorzej. Zamiast wyjaśnić szczegóły, klęska powiedziała: „Ponieważ bej wrócił, żeby się upewnić", co tylko jeszcze bardziej zagmatwało sprawę.

- Bezduszny potwór - oświadczyła, nie wiedziałem jednak, czy miała na myśli powracającego beja, czy pana Dunworthy'ego. - On by spróbował jeszcze raz, gdyby tylko wróciła do domu. Nie chciałam, żeby mnie zobaczył, bo mógł odgadnąć, że nie jestem współ, ale nie miałam gdzie się schować poza siecią. Zobaczyłby mnie w belwederku. Nie myślałam...

- Właśnie, panno Kindle - wpadł jej w słowo pan Dunworthy. - Pani nie myślała.

- Co pan chce zrobić? - zapytała klęska. - Chce pan ją odesłać z powrotem? Chce pan ją utopić, prawda?

- Nie zamierzam niczego robić, dopóki nie rozpatrzę wszystkich możliwości - odparł pan Dunworthy.

- Całkiem bez serca - burknęła.

- Osobiście bardzo lubię lody - oświadczył - ale stawka jest zbyt wysoka. Muszę rozważyć wszystkie możliwe konsekwencje, zanim podejmę działanie. Domyślam się, że te pojęcia są pani obce.

Lody? Zaciekawiło mnie, dlaczego pan Dunworthy uznał za stosowne wspomnieć o tym w takiej chwili.

- A mnie odeśle pan z powrotem? - zapytała klęska. - Powiedziałam im, że wychodzę rysować. Jeśli nie wrócę, pomyślą, że ja też utonęłam.

- Jeszcze nie wiem. Dopóki nie podejmę decyzji, proszę zostać w swoim pokoju.

- Mogę go wziąć ze sobą?

- Nie.

Na chwilę zapadło ponure milczenie, potem drzwi otwarły się i przede mną stanęła najpiękniejsza istota, jaką widziałem w życiu.

Finch wspominał o dziewiętnastym wieku, więc spodziewałem się krynoliny, ale dziewczyna miała na sobie długą zielonkawą suknię, która oblepiała jej smukłe ciało, jakby była mokra. Kasztanowe włosy spływały jej na ramiona i plecy jak wodorosty. W efekcie przypominała nimfę

Waterhouse'a, wynurzającą się niczym widmo z ciemnej Wody.

Wstałem z krzesła niezdarnie niczym nowy rekrut i zdjąłem swój COP-owski hełm, żałując, że nie posłuchałem pielęgniarki i nie umyłem się wcześniej.

Dziewczyna ujęła rąbek długiego, powłóczystego rękawa i wyżęła wodę na dywan. Finch chwycił magazyn i rozłożył przed nią na podłodze.

- O, Ned, dobrze, że pana widzę - powiedział pan Dunworthy od drzwi. - Właśnie z panem chciałem porozmawiać.

Nimfa spojrzała na mnie zielonobrązowymi oczami, czystymi i głębokimi jak leśne jeziorka. Zwęziła oczy.

- Chyba nie zamierza pan tego wysłać? - zwróciła się do pana Dunworthy'ego.

- Nikogo nie wysyłam. I niczego, dopóki się nie zastanowię. A teraz idź i zdejmij to mokre ubranie, zanim się przeziębisz.

Nimfa zebrała mokre spódnice jedną ręką i ruszyła do wyjścia. W drzwiach odwróciła się i rozchyliła różane wargi, by udzielić ostatniego błogosławieństwa, wypowiedzieć pożegnalne słowa, może zapewnić mnie o swojej miłości i oddaniu.

- Nie karmcie jej. Dostała całą kołdrę - oznajmiła i wypłynęła za drzwi.

Ruszyłem za nią jak zaczarowany, ale pan Dunworthy położył mi rękę na ramieniu.

- Więc Finch pana znalazł - stwierdził, prowadząc mnie wokół biurka do gabinetu. - Bałem się, że jest pan w 1940 roku na jednym z tych kościelnych bazarów, gdzie lady Schrapnell ciągle pana wysyła.

Przez okno widziałem, jak płynęła po dziedzińcu, wdzięcznie kapiąc na chodnik, śliczna... jak to się nazywa? Driada? Nie, driady mieszkały w drzewach. Syrena?

Pan Dunworthy podszedł do okna.

- To wszystko wina lady Schrapnell. Kindle należy do moich najlepszych historyków. Sześć miesięcy z lady Schrapnell i niech pan na nią spojrzy! - Machnął na mnie ręką. - Zresztą niech pan spojrzy na siebie! Ta kobieta to chodząca katastrofa.

Syrena zniknęła mi z oczu i rozpłynęła się we mgle, z której powstała... chociaż nie miałem racji. Syreny mieszkały na skałach i żywiły się rozbitkami. To słowo brzmiało podobnie jak driada. Sylfida? Nie, sylfidy przepowiadały śmierć i zagładę.

- Po pierwsze nie miała prawa jej wysyłać - mówił pan Dunworthy. - Próbowałem jej powiedzieć, ale czy ona kogoś posłucha? Akurat. „Trzeba zajrzeć pod każdy kamień", powtarza. I wysyła ją do epoki wiktoriańskiej. Wysyła pana na kiermasze, żeby pan kupował serwetki i poduszeczki do szpilek!

- I galaretkę z cielęcych nóżek - dodałem.

- Galaretkę z cielęcych nóżek? - Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Dla chorych - wyjaśniłem. - Tylko że moim zdaniem chorzy tego nie jedzą. Ja bym nie zjadł. Chyba przekazują je na następny kiermasz. One pojawiają się co roku. Jak owocowe ciasto.

- No tak- mruknął pan Dunworthy, marszcząc czoło. - Więc teraz zajrzała pod kamień i stworzyła poważny problem, i dlatego chciałem się z panem spotkać. Proszę siadać, proszę siadać - dodał, popychając mnie w kierunku skórzanego fotela.

Finch dotarł tam pierwszy z magazynem, mamrocząc:

- Bardzo trudno usunąć sadze ze skóry.

- I proszę zdjąć kapelusz. Dobry Boże - powiedział pan Dunworthy, poprawiając okulary - okropnie pan wygląda. Gdzie pan był?

- Na boisku do piłki nożnej - wyznałem.

- Zgaduję, że gra była ostra.
- Znalazłem go w furtce dla pieszych obok boiska w Merton - wyjaśnił Finch.
- Myślałem, że był w infirmerii.
- Wylazł przez okno.
- Aha - powiedział pan Dunworthy. - Ale jak się doprowadził do takiego stanu?
- Szukałem strusiej nogi biskupa - odparłem.
- Na boisku w Merton?
- W ruinach katedry, zanim go zabrano do infirmerii - wtrącił usłużnie Finch.
- Znalazł pan to? - zainteresował się pan Dunworthy.
- Nie - przyznałem - i właśnie dlatego przyszedłem do pana. Nie mogłem dokończyć przeszukiwania ruin, a lady Schrapnell...
- ...to pańskie najmniejsze zmartwienie - przerwał mi. - Nigdy nie przypuszczałem, że takie słowa przejdą mi przez gardło. Zakładam, że Finch wyjaśnił sytuację?
- Tak. Nie - poprawiłem się. - Może lepiej pan to streści.
- Powstał kryzys w związku z siecią. Zawiadomiłem Służbę Czasową i... Finch, czy Chiswick mówił, kiedy przyjdzie?
- Zaraz sprawdzę, proszę pana - obiecał Finch i wyszedł.
- Bardzo poważna sytuacja - kontynuował pan Dunworthy. -Jedna z naszych historyczek...

Wrócił Finch.

- On już jedzie - oznajmił.
- Doskonale - ucieszył się pan Dunworthy. - Zanim przyjdzie, sytuacja wygląda następująco: jedna z naszych historyczek ukradła loda i przeniosła go ze sobą przez sieć.

Loda. No, to przynajmniej miało więcej sensu niż koło. I wyjaśniało wcześniejszą uwagę pana Dunworthy'ego.

- Całe szczęście, że Sherlock Holmes dojechał bezpiecznie - zauważyłem.
- Sherlock Holmes? - powtórzył pan Dunworthy, przyglądając mi się uważnie.
- Zaawansowana dyschronia, proszę pana - wyjaśnił Finch. - Dezorientacja, trudności z rozróżnianiem dźwięków, skłonność do sentymentalizmu, ograniczona zdolność logicznego rozumowania. - Z naciskiem wymówił ostatnie dwa słowa.
- Zaawansowana? - upewnił się Dunworthy. - Ile skoków pan wykonał?
- Czternaście w tym tygodniu. Dziesięć kiermaszów i sześć żon biskupów. Nie, trzynaście. Ciągle zapominam o pani Bittner. Mieszka w Coventry. Nie w tym Coventry, gdzie niedawno byłem. We współczesnym Coventry.
- Bittner - zastanowił się pan Dunworthy. - Przypadkiem nie Elizabeth Bittner?
- Tak, proszę pana - potwierdziłem. - Wdowa po ostatnim biskupie katedry w Coventry.
- Dobry Boże, nie widziałem jej od lat - oświadczył. - Znałem ją w dawnych czasach, kiedy dopiero eksperymentowaliśmy z siecią. Wspaniała dziewczyna. Kiedy ją zobaczyłem pierwszy raz, pomyślałem, że jest najpiękniejszą istotą, jaką widziałem w życiu. Szkoda, że zakochała się w Bittym Bittnerze. Szalała za nim. Jak ona wygląda?

Bynajmniej nie jak dziewczyna, pomyślałem. Krucha, siwowłosa starsza pani najwyraźniej czuła się nieswojo podczas całej rozmowy. Pewnie myślała, że lady Schrapnell zwerbuje ją i wyśle do średniowiecza.

- Wygląda bardzo dobrze - odpowiedziałem. - Wspominała, że cierpi na artretyzm.
- Artretyzm - potrząsnął głową. - Trudno sobie wyobrazić Lizzie Bittner z artretyzmem. Po co pan do niej pojechał? Nie było jej jeszcze na świecie, kiedy spłonęła stara katedra.

- Lady Schrapnell uważała, że strusia noga biskupa mogła trafić na przechowanie do krypty nowej katedry, a ponieważ pani Bittner była tam, kiedy sprzedano katedrę, mogła nadzorować opróżnianie krypty i widzieć strusią nogę.

- I widziała?

- Nie, proszę pana. Powiedziała, że zniszczył ją ogień.

- Pamiętam, kiedy musieli sprzedać katedrę w Coventry - zadumał się pan Dunworthy. - Ludzie przestali interesować się religią, nikt nie przychodził na nabożeństwa... Lizzie Bittner - wymówił z czułością. - Artretyzm. Pewnie nie ma już rudych włosów?

- Skłonność do dygresji - ogłosił Finch. - Panna Jenkins mówiła, że pan Henry stanowi ostry przypadek dyschronii.

- Panna Jenkins? - zapytał pan Dunworthy.

- Pielęgniarka, która badała pana Henry'ego w infirmerii.

- Urocze stworzenie - powiedziałem. - Anioł miłosierdzia, którego łagodne dłonie ukoiły wiele cierpiących dusz.

Finch i pan Dunworthy wymienili spojrzenia.

- Mówiła, że to najgorszy przypadek dyschronii, z jakim się spotkała - dodał Finch.

- I dlatego do pana przyszedłem - wyjaśniłem. - Przepisała mi dwa tygodnie nieprzerwanego wypoczynku w łóżku, a lady Schrapnell...

- Nigdy na to nie pozwoli - dokończył pan Dunworthy. - Konsekracja katedry odbędzie się już za siedemnaście dni.

- Próbowałem to wytłumaczyć pielęgniarce, sir, ale ona nie słuchała. Kazała mi wracać do siebie i położyć się do łóżka.

- Nie, nie, tam najpierw lady Schrapnell będzie szukać. Finch, gdzie ona jest?

- W Londynie. Właśnie dzwoniła z Królewskiego Szpitala. Podniosłem się z fotela.

- Powiedziałem jej, że zaszło nieporozumienie - ciągnął Finch -że pana Henry'ego zabrano do Królewskiej Kliniki.

- Dobrze. Niech pan zadzwoni do Królewskiej Kliniki i poprosi, Żeby ją tam zatrzymali.

- Już zadzwoniłem - odparł Finch.

- Doskonale - pochwalił go pan Dunworthy. - Siadaj, Ned. O czym to mówiłem?

- O Sherlocku Holmesie - podpowiedział Finch.

- Nieważne. Otóż ta historyczka przeniosła przez sieć...

- Powiedział pan „przeniosła przez sieć"? - przerwałem. - Nie można przenieść przez sieć niczego z przeszłości. To niemożliwe, prawda?

- Widocznie jednak nie - stwierdził pan Dunworthy. W poczekalni rozległy się szurające kroki.

- Myślałem, że ona jest w Królewskiej Klinice - powiedział pan Dunworthy do Fincha.

W chwilę później do gabinetu wpadł niski mężczyzna o udręczonej twarzy. Miał na sobie laboratoryjny kitel i niósł popiskujący komunikator. Rozpoznałem go jako kierownika Służby Czasowej.

- Och, dobrze, że pan przyszedł, panie Chiswick - zaczął pan Dunworthy. - Chciałem z panem porozmawiać o wypadku dotyczącym...

- A ja chciałem porozmawiać o lady Schrapnell - wpadł mu w słowo Chiswick. - Ta kobieta jest całkowicie nieobliczalna. Wydzwania do mnie dniami i nocami, chce wiedzieć, dlaczego nie możemy wysyłać ludzi więcej niż raz w ten sam czas i miejsce, dlaczego nie możemy wykonać więcej przeskoków na godzinę, chociaż sama systematycznie ograbia mnie z personelu naukowego oraz obsługi sieci i wysyła ich wszędzie w przeszłość, żeby oglądali puszki na datki i analizowali łuki

przyporowe. - Machnął piszczącym komunikatorem. - To znowu ona. Wzywała mnie sześć razy przez ostatnią godzinę i żądała informacji, gdzie się zapodział jeden z jej historyków! Służba Czasowa zgodziła się na ten projekt, ponieważ pieniądze umożliwiły nam rozwinięcie badań nad temporalną teorią, ale te badania utknęły w martwym punkcie. Ona zajęła połowę laboratoriów dla swoich rzemieślników i zablokowała wszystkie komputery w dziale naukowym.

Umilkł, żeby wcisnąć klawisze na ciągle piszczącym komunikatorze, a pan Dunworthy natychmiast skorzystał z okazji.

- Właśnie o teorii temporalnej chciałem z panem pomówić. Jedna z moich historyczek...

Chiswick nie słuchał. Komunikator przestał piszczeć i teraz wypluwał długą wstęgę papieru.

- Patrz pan! - zawołał Chiswick, oddarł jakieś pół metra i pomachał przed nosem pana Dunworthy'ego. - Ona chce, żebym kazał komuś z personelu obdzwonić wszystkie szpitale na terenie wielkiego Londynu i znaleźć tego zaginionego historyka. Henry, tak się nazywa, Ned Henry. Komuś z personelu. Ja już nie mam personelu! Zabrała mi wszystkich oprócz Lewisa, i jego też próbowała zabrać! Na szczęście on...

Pan Dunworthy wtrącił:

- Co się stanie, jeśli historyk przeniesie przez sieć coś z przeszłości?

- Ona pana pytała? - zawołał Chiswick. - Oczywiście, że ona! Wbiła sobie do głowy, że koniecznie musi zdobyć tę strusią nogę biskupa, nawet gdyby musiała cofnąć się w czasie i ukraść ją. Sto razy jej mówiłem, że przeniesienie czegoś z przeszłości do przyszłości stanowi pogwałcenie praw kontinuum czasoprzestrzennego, i wie pan, co mi odpowiedziała? „Prawa są po to, żeby je łamać".

Machał dalej, nie panując nad sobą, a pan Dunworthy odchylił się do tyłu w fotelu, zdjął okulary i przyjrzał się im z namysłem.

- Próbowałem jej wytłumaczyć - ciągnął Chiswick - że prawa fizyki to nie są zwykłe przepisy czy regułki, to są prawa, których pogwałcenie spowoduje katastrofalne konsekwencje.

- Jakiego rodzaju katastrofalne konsekwencje? - zagadnął pan Dunworthy.

- Nie można przewidzieć. Kontinuum czasoprzestrzenne to chaotyczny system, w którym każde zdarzenie powiązane jest z każdym innym w skomplikowany, nielinearny sposób, co uniemożliwia predykcję. Przesunięcie obiektu do przodu w czasie stworzyłoby parachronistyczną niekongruencję. W najlepszym razie niekongruencja może spowodować zwiększony poślizg. W najgorszym może uniemożliwić podróże w czasie. Albo zmienić bieg historii. Albo zniszczyć wszechświat. Właśnie dlatego taka niekongruencja jest niemożliwa, co próbowałem wytłumaczyć lady Schrapnell!

- Zwiększony poślizg - mruknął pan Dunworthy. - Niekongruencja spowoduje zwiększenie poślizgu?

- Teoretycznie - odparł pan Chiswick. - Niekongruencję należą do tematów, które mieliśmy badać dzięki pieniądzom lady Schrapnell, a teraz te badania zostały całkowicie zarzucone na rzecz jakiejś idiotycznej katedry! Ta kobieta jest niemożliwa! W zeszłym tygodniu rozkazała mi zmniejszyć rozmiary poślizgu przy każdym skoku. Rozkazała! Poślizgów też nie rozumie.

Pan Dunworthy pochylił się do przodu i nałożył okulary.

- Czy nastąpiło zwiększenie poślizgów?

- Nie. Po prostu lady Schrapnell nie ma pojęcia o mechanizmie podróży w czasie. Ona...

- Pole z dyniami - odezwałem się.

- Co? - Pan Chiswick obejrzał się na mnie.

- Żona farmera wzięła go za niemieckiego spadochroniarza.

- Spadochroniarza? - powtórzył Chiswick i oczy mu się zwęziły. - Pan nie jest tym zaginionym

historykiem? Jak pan się nazywa?

- John Bartholomew - odpowiedział za mnie pan Dunworthy.

- Którego, sądząc po jego stanie, lady Schrapnell zdążyła zwerbować. Koniecznie trzeba ją powstrzymać, Dunworthy.

Komunikator znowu zaczął piszczeć i pluć. Chiswick odczytał głośno:

- „Brak danych o miejscu pobytu Henry'ego. Dlaczego? Natychmiast podać lokalizację. Potrzebuję jeszcze dwóch osób na Wielką Wystawę w 1850 roku, żeby sprawdziły pochodzenie strusiej nogi biskupa". - Zmiął wydruk i rzucił na biurko pana Dunworthy'ego. - Musi pan szybko coś zrobić! Zanim ta kobieta zniszczy uniwersytet! - zawołał i wybiegł z gabinetu.

- Albo uniwersum - mruknął pan Dunworthy.

- Mam iść za nim? - zapytał Finch.

- Nie - odparł pan Dunworthy. - Spróbuj pan złapać Andrewsa i wywołać bodleiańskie pliki o parachronistycznych niekongruencjach.

Finch wyszedł. Pan Dunworthy zdjął okulary i ponuro spojrzał przez szkła.

- Wiem, że to niewłaściwa chwila - zacząłem - ale może zna pan jakieś miejsce, gdzie mógłbym pojechać na kurację. Z dala od Londynu.

- Majstrowanie - oświadczył pan Dunworthy. - Majstrowanie wpakowało nas w kłopoty, a dalsze majstrowanie może tylko pogorszyć sytuację. - Z powrotem nałożył okulary i wstał. - Widocznie najlepsze wyjście to zaczekać, co z tego wyniknie - ciągnął, spacerując po pokoju. - Statystycznie biorąc istnieje minimalna szansa, że jego zniknięcie zmieni historię, zwłaszcza w tamtej epoce. Wrzucano je do rzek całymi workami, żeby ograniczyć liczebność.

Worki lodów? - pomyślałem.

- A fakt, że przeszedł przez sieć, sam w sobie stanowi dowód, że nie stworzył niekongruencji, bo inaczej sieć by się nie otworzyła. - Przetarł okulary połą marynarki i podniósł je do światła. - Minęło ponad sto pięćdziesiąt lat. Gdyby miał zniszczyć wszechświat, już by to zrobił.

Chuchnął na soczewki i przetarł je ponownie.

- I nie wierzę, że istnieją dwa prądy historii, w których występuje lady Schrapnell ze swoim projektem odbudowy katedry Coventry.

Lady Schrapnell. W każdej chwili mogła wrócić z Królewskiej Kliniki. Pochyliłem się do przodu.

- Panie Dunworthy - powiedziałem - miałem nadzieję, że pan mi znajdzie jakieś miejsce, gdzie się wyleczę z dyschronii.

- Z drugiej strony jest całkiem możliwe, że nie spowodował niekongruencji tylko dlatego, że go zwrócono, zanim wynikły jakieś konsekwencje, katastrofalne czy innego rodzaju.

- Pielęgniarka mówiła o dwóch tygodniach wypoczynku, ale gdybym miał trzy, cztery dni...

- Ale nawet w tym przypadku - podjął spacer - nie ma powodu, żeby nie zaczekać. Na tym polega piękno podróży w czasie. Można zaczekać trzy, cztery dni albo dwa tygodnie, albo rok, a potem zwrócić go natychmiast.

- Jeśli lady Schrapnell mnie znajdzie... Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- O tym nie pomyślałem. O Boże, jeśli lady Schrapnell dowie się o tym...

- Jeśli zna pan jakieś ciche, odległe miejsce...

- Finch! - zawołał pan Dunworthy i Finch wszedł do gabinetu, niosąc wydruk.

- To jest bibliografia parachronistycznych niekongruencji - oznajmił. - Niewiele ich było. Pan Andrews jest w 1560 roku. Lady Schrapnell wysiała go, żeby zbadał łukowe okna. Mam sprowadzić z powrotem pana Chiswicka?

- Najpierw najważniejsze - oświadczył pan Dunworthy. - Musimy znaleźć Nedowi miejsce, żeby

odpoczął i bez przeszkód wyleczył się z dyschronii.

- Lady Schrapnell... - przypomniałem.

- Właśnie - przytaknął pan Dunworthy. - To nie może być nigdzie w tym stuleciu. Ani w dwudziestym wieku. Jakieś spokojne, odległe miejsce, może wiejski dom nad rzeką. Nad Tamizą.

- Chyba pan nie myśli o... - zaczął Finch.

- On musi natychmiast zniknąć - uciął pan Dunworthy. - Zanim lady Schrapnell się dowie.

- Och! - wykrzyknął Finch. - Tak, rozumiem. Ale pan Henry nie jest w stanie...

Pan Dunworthy uciszył go niecierpliwym gestem.

- Ned - zwrócił się do mnie - chciałbyś się przenieść do epoki wiktoriańskiej?

Epoka wiktoriańska. Długie, senne popołudnia wiosłowania po Tamizie i gra w krokieta na szmaragdowych trawnikach z dziewczętami w bieli, powiewne sukienki i wstążki trzepoczące we włosach. A później herbata pod wierzbą, podawana w filiżankach z delikatnej sevrskiej porcelany przez uniżonych kamerdynerów, gotowych na każde skinienie, i te same dziewczęta czytają głośno z cienkiego tomiku poezji, a łagodny wietrzyk unosi ich głosy jak płatki kwiatów.

- Pośród złotego popołudnia, tam gdzie Dzieciństwa sny związane, pod Pamięci wstążeczkę...

Finch potrząsnął głową.

- To chyba nie najlepszy pomysł, panie Dunworthy.

- Nonsens - odparł pan Dunworthy. - Proszę go posłuchać. Świetnie się dostosuje.

...kiedy wyeliminujesz rzeczy niemożliwe, to, co pozostanie, chociaż nieprawdopodobne, musi być prawdą

Sherlock Holmes, „Znak czterech”

ROZDZIAŁ TRZECI

Łatwe zadanie - Anioły, archanioły, cherubiny, moce, trony, dominia i inne - Senność - Szkolenie z wiktoriańskiej historii i obyczajów - Bagaż – Pouczająca historia chorążego Kleppermana - Więcej bagażu - Trudności w rozróżnianiu dźwięków - Widelce do ryb - Syreny, sylfidy, nimfy, driady i inne - Przybysz - Pies nie jest najlepszym przyjacielem człowieka - Drugi przybysz - Nagły odjazd

- Uważa pan, że to dobry pomysł? - powątpiewał Finch. - On już cierpi na zaawansowaną dyschronię. Czy ten wielki skok...?

- Niekoniecznie - odparł pan Dunworthy. - A po wypełnieniu zadania może zostać tak długo, dopóki nie wydobrzeje. Słyszał pan, co on mówił, to idealne miejsce na wakacje.

- Ale myśli pan, że w tym stanie on jest zdolny do... - nie ustępował Finch.

- Zadanie jest bardzo łatwe - oświadczył pan Dunworthy. - Nawet dziecko sobie poradzi. Najważniejsze, żeby to załatwić, zanim wróci lady Schrapnell, a Ned jest jedynym historykiem w Londynie, który nie biega po średniowieczu szukając mizerykordii. Proszę go zabrać do sieci, a potem zadzwonić do Służby Czasowej i ściągnąć tutaj Chiswicka.

Telefon zabrzęczał i Finch odebrał, a potem słuchał przez dłuższy czas.

- Nie, on był w Królewskiej Klinice - powiedział wreszcie - ale Postanowili przeprowadzić TWR, więc musieli go przewieźć do Świętego Tomasza. Tak, przy Lambeth Palace Road. - Słuchał jeszcze Przez chwilę, trzymając słuchawkę w pewnej odległości od ucha. - Nie, tym razem jestem pewien.

Odłożył słuchawkę.

- To była lady Schrapnell - powiedział niepotrzebnie. - Boję się, że ona niedługo wróci.

- Co to jest TWR? - zapytał pan Dunworthy.

- Wymyśliłem to. Lepiej niech pan Henry już pójdzie do sieci na szkolenie.

Finch zaprowadził mnie do laboratorium, za co byłem mu wdzięczny, zwłaszcza iż zdawało mi się, że idziemy w zupełnie złym kierunku, chociaż kiedy doszliśmy na miejsce, drzwi wyglądały tak samo, podobnie jak grupa pikietujących z TOKC przed drzwiami.

Trzymali elektryczne plakaty, które głosiły: CZEGO BRAKUJE TEJ, KTÓRĄ MAMY?, COVENTRY DLA COVENTRY i KATEDRA JEST NASZA! Jeden podał mi ulotkę, zaczynającą się od słów: „Odbudowa katedry z Coventry będzie kosztowała pięćdziesiąt miliardów funtów. Za tę sumę można nie tylko odkupić i odrestaurować obecną katedrę w Coventry, ale również zbudować na jej miejscu nowe, duże centrum handlowe".

Finch wyjął mi ulotkę z ręki, oddał ją pikietującemu i otworzył drzwi.

Sieć wyglądała tak samo również w środku, chociaż nie rozpoznałem pulchnej młodej kobiety przy konsoli. Kobieta miała na sobie biały laboratoryjny fartuch, a aureola krótko przyciętych blond włosów upodabniała ją do cherubina.

Finch zamknął drzwi za nami, a ona odwróciła się gwałtownie.

- Czego tu chcecie? - syknęła. Chyba raczej archanioł niż cherubin.

- Musimy zorganizować przeskok - wyjaśnił Finch. - Do wiktoriańskiej Anglii.

- Wykluczone - warknęła.

Zdecydowanie archanioł. Taki sam, jaki wyrzucił Adama i Ewę z raju.

- Pan Dunworthy zatwierdził ten przeskok, panno...

- Warder - burknęła.

- Panno Warder. To priorytetowy skok - oświadczył Finch.

- Wszystkie są priorytetowe. Lady Schrapnell innych nie zatwierdza. - Chwyciła podkładkę i zamachnęła się nią jak ognistym mieczem. - Dziewiętnaście przeskoków, czternaście wymaga mundurów COP i WVS z 1940 roku, których wydział garderobiany już zupełnie nie ma, i wszystkie namiary. Jestem już trzy godziny spóźniona ze stykiem, a kto wie, ile jeszcze priorytetowych skoków zażyczy sobie lady Schrapnell przed końcem dnia. - Trzasnęła podkładką o pulpit. - Nie mam na to czasu. Wiktoriańska Anglia! Niech pan powie panu Dunworthy'emu, że to absolutnie wykluczone.

Odwróciła się z powrotem do konsoli i zaczęła stukać w klawisze. Niezrażony Finch spróbował innej taktyki.

- Gdzie jest pan Chaudhuri?

- O właśnie - zawołała, znowu odwracając się do nas. - Gdzie jest Badri i dlaczego nie pracuje tutaj przy sieci? No więc powiem panu, gdzie on jest. - Znowu groźnie uniosła podkładkę. - Lady Schrapnell...

- Chyba go nie wysłała do 1940? - zaniepokoiłem się. Badri był z pochodzenia Pakistańczykiem. Zostałby aresztowany jako japoński szpieg.

- Nie - odparła. - Kazała mu się zawieźć do Londynu, na poszukiwanie jakiegoś zaginionego historyka. I dlatego muszę sama obsługiwać Garderobę i sieć, i jeszcze użerać się z ludźmi, którzy marnują mój czas zadając głupie pytania. - Z trzaskiem odłożyła podkładkę. -Więc jeśli nie macie więcej pytań, muszę obliczyć priorytetowy namiar.

Odwróciła się gwałtownie i zaczęła walić w klawisze. Może raczej nadarchanioł, taki z ogromnymi skrzydłami i setką oczu, jeden z tych, które „straszliwy przedstawiały widok". Jak one się nazywały? Sarabandy?

- Chyba lepiej pójdę po pana Dunworthy'ego - szepnął do mnie Finch. - Pan niech zostanie tutaj.

Zastosowałem się do polecenia bardziej niż chętnie. Zaczynałem odczuwać senność, o którą wypytywała mnie pielęgniarka w infirmerii, i marzyłem tylko o jednym: żeby usiąść i odpocząć. Znalazłem krzesło daleko od sieci, zdjąłem stos gazowych masek i gaśnic z drugiego krzesła, żeby oprzeć na nim nogi, i wyciągnąłem się wygodnie. Czekając na Fincha, próbowałem przypomnieć sobie nazwę nadarchaniołów, tych „pełnych oczu z przodu i z tyłu". Zaczynała się na S. Samuraj? Nie, to pasowało do lady Schrapnell. Sylfy? Nie, to były niebiańskie duchy, które fruwały w powietrzu. Wodne duchy zaczynały się na inną literę. Chyba na N. Nemezis? Nie, to znowu łady Schrapnell.

Jak one się nazywały? Hylas napotkał je, kiedy czerpał wodę z sadzawki, i one przywołały go do siebie, oplotły go białymi ramionami, omotały go falującymi kasztanowymi włosami, wciągnęły go w ciemne, głębokie wody...

Widocznie się zdrzemnąłem, bo kiedy otworzyłem oczy, pan Dunworthy stał obok, a techniczka wygrażała mu podkładką.

- To wykluczone - powtarzała. - Mam na głowie cztery namiary, osiem styków i muszę wymienić kostium, który pańska historyczka zmoczyła i zniszczyła. - Gniewnie przerzuciła kartki przypięte do podkładki. - Najszybciej mogę pana wcisnąć na piątek, siódmego, o wpół do czwartej.

- Siódmego? - zachłysnął się Finch. - To w przyszłym tygodniu!

- Musimy to załatwić dzisiaj - oświadczył pan Dunworthy.

- Dzisiaj? - powtórzyła techniczka, unosząc podkładkę niczym broń. - Dzisiaj?

Serafiny. „Pełne oczu dokoła i wewnątrz, i ognia, a z tego ognia wychodzi błyskawica".

- To nie będzie wymagało obliczenia nowych koordynatów czasowych - powiedział pan Dunworthy. - Użyjemy tych samych, na których przeszła Kindle. I możemy wykorzystać skok

zlokalizowany w Muchings End. - Rozejrzał się po laboratorium. - Gdzie jest technik obsługujący Garderobę?

- W1932 - odparła. - Szkicuje szaty chórzystów. Priorytetowy skok na polecenie lady Schrapnell, żeby sprawdzić, czy komże były lniane, czy bawełniane. Co znaczy, że to ja zarządzam Garderobą. I siecią. I wszystkim tutaj. - Przerzuciła kartki z powrotem do pierwotnego położenia i odłożyła podkładkę na konsolę. - Cały ten pomysł to bzdura. Nawet gdybym jakoś was wcisnęła, on nie może skakać w takim stanie, a poza tym musi przejść szkolenie z wiktoriańskiej historii i obyczajów.

- Ned nie wybiera się na herbatkę z królową - zaprotestował pan Dunworthy. - Jego zadanie będzie wymagało co najwyżej ograniczonego kontaktu ze współczesnymi. Do tego nie potrzebuje kursu wiktorianów.

Serafinica sięgnęła po podkładkę. Finch wykonał unik.

- On ma dwudziesty wiek - stwierdziła techniczka. - Czyli wykracza poza swoją dziedzinę. Nie mogę zatwierdzić jego przeskoku bez przeszkolenia.

- Doskonałe - powiedział pan Dunworthy. Odwrócił się do mnie.

- Darwin, Disraeli, kwestia indyjska, .Alicja w Krainie Czarów", Mała Neli, Turner, Tennyson, „Trzech panów w łódce", krynoliny, krokiet...

- Wycieraczki do piór - podsunąłem.

- Wycieraczki do piór, szydełkowe serwetki, wieńce z włosów, książę Albert, Flush, surduty, represje seksualne, Ruskin, Fagin, Elizabeth Barrett Browning, Dante Gabriel Rosetti, George Bernard Shaw, Gladstone, Galsworthy, gotyckie odrodzenie, Gilbert i Sullivan, tenis na trawie i parasolki od słońca. Proszę bardzo - rzucił w stronę serafina. - Już jest przeszkolony.

- Wymagany kurs dziewiętnastego wieku to trzy semestry historii politycznej, dwa...

- Finch - przerwał jej pan Dunworthy - niech pan pójdzie do kolegium Jezusa i przyniesie hipnofon i taśmy. Ned może zrobić przyspieszony kurs podprogowy, a pani tymczasem - znowu odwrócił się do serafina - może go ubrać i ustawić przeskok. Będą mu potrzebne letnie stroje, białe flanelowe spodnie, płócienna koszula, wioślarski blezer. Do bagażu należałoby...

- Bagaż! - wykrzyknęła serafinica, tocząc wokoło oczami. - Nie mam czasu, żeby zbierać bagaż! Dziewiętnaście skoków...

- Dobrze - uciął pan Dunworthy. - Sami zajmiemy się bagażem. Finch, niech pan pójdzie do Jezusa i przyniesie jakieś wiktoriańskie bagaże. Skontaktował się pan z Chiswickiem?

- Nie, proszę pana. Nie było go. Zostawiłem wiadomość. Wyszedł, po drodze zderzając się z chudym, wysokim czarnym chłopcem. Chłopiec niósł arkusz papieru i wyglądał najwyżej na osiemnaście lat, więc wziąłem go za jednego z pikietujących i wyciągnąłem rękę po ulotkę, ale on podszedł do pana Dunworthy'ego i powiedział nerwowo:

- Pan Dunworthy? Jestem TJ. Lewis. Ze Służby Czasowej. Pan szukał pana Chiswicka?

- Tak - potwierdził pan Dunworthy. - Gdzie on jest?

- W Cambridge, proszę pana - odpowiedział chłopiec.

- W Cambridge? Co on tam robi, do cholery?

- Szu-szuka posady, proszę pana - wyjąkał chłopiec. - On zło-złożył wymówienie.

- Kiedy?

- Właśnie teraz. Powiedział, że nie wytrzyma pracy u lady Schrapnell ani chwili dłużej.

- No cóż. - Pan Dunworthy zdjął okulary i zerknął przez szkła. - No cóż. Więc dobrze. Pan Lewis, tak?

- T.J., proszę pana.

- T.J., zechcesz przekazać zastępcy kierownika... jak on się nazywa? Ranniford... że muszę z nim

porozmawiać. To pilne.

TJ. zrobił nieszczęśliwą minę.

- Nie mów mi, że on też złożył wymówienie.

- Nie, proszę pana. On jest w 1655 i ogląda dachówki.

- Oczywiście - mruknął pan Dunworthy z niesmakiem. - No więc zawiadom tego, kto tam jest szefem.

TJ. zrobił jeszcze bardziej nieszczęśliwą minę.

- Ee, to chyba ja, proszę pana.

- Ty? - zdziwił się pan Dunworthy. - Ale ty jesteś dopiero studentem. Nie wmawiaj mi, że zostałeś sam jeden.

- Tak, proszę pana - odparł TJ. - Lady Schrapnell przyszła i zabrała wszystkich innych. Mnie też chciała zabrać, ale pierwsze dwie trzecie dwudziestego wieku i cały dziewiętnasty mają dziesiątkę dla czarnych i dlatego są zabronione.

- Dziwne, że to ją powstrzymało - burknął pan Dunworthy.

- Wcale nie powstrzymało - zaprzeczył TJ. - Chciała mnie przebrać za Maura i wysłać do 1935 roku, żebym sprawdził konstrukcję wieży. Twierdziła, że wezmą mnie za jeńca przywiezionego z krucjaty.

- Krucjaty zakończyły się w 1272 - zauważył pan Dunworthy.

- Wiem, proszę pana. Powiedziałem jej o tym i przypomniałem, że cała przeszłość ma dziesiątkę dla czarnych. - Wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Chyba pierwszy raz pomogła mi moja czarna skóra.

- No tak, dobrze, zobaczymy - zamyślił się pan Dunworthy. - Słyszałeś kiedyś o chorążym Johnie Kleppermanie?

- Nie, proszę pana.

- Druga wojna światowa. Bitwa o Midway. Wszyscy oficerowie na jego statku zginęli i musiał przejąć dowodzenie jako kapitan. To właśnie robią wojny i katastrofy, stawiają u steru ludzi, którzy nigdy niczym nie sterowali. Na przykład Służbą Czasową. Innymi słowy, to jest twoja wielka szansa, Lewis. Zakładam, że robisz dyplom z fizyki temporalnej?

- Nie, proszę pana. Z informatyki, proszę pana. Pan Dunworthy westchnął.

- Nie szkodzi. Chorąży Klepperman też nigdy nie odpalał torpedy. Zatopił dwa niszczyciele i krążownik. Twoje pierwsze zadanie to powiedzieć mi, co by się stało, gdybyśmy mieli parachronistyczną niekongruencję, w jaki sposób by się objawiała. I nie mów mi, że to nie może się zdarzyć.

- Para-chronistyczna nie-kon-gru-encja - przesylabizował TJ, zapisując te słowa na pierwszej kartce swojego pliku papierów. - Na kiedy pan tego potrzebuje?

- Na wczoraj - odparł pan Dunworthy, podając mu bibliografię z Biblioteki Bodleiańskiej.

TJ. zrobił zakłopotaną minę.

- Chce pan, żebym cofnął się w czasie i...

- Nie będę ustawiać następnego przeskoku - wtrąciła panna Warder.

Pan Dunworthy ze znużeniem potrząsnął głową.

- To znaczy, że potrzebuję tej informacji jak najszybciej - wyjaśnił chłopcu.

- Och - połapał się TJ. - Tak, proszę pana. Natychmiast. Ruszył do drzwi. W połowie drogi zatrzymał się i zapytał:

- Co się stało z chorążym Kleppermanem?

- Poległ w boju.

TJ. kiwnął głową.

- Tak myślałem.

Wyszedł, a zamiast niego zjawił się Finch, niosąc hipnofon.

- Niech pan zadzwoni do Ernesta Hasselmeyera w Berlinie i zapyta go, czy wie coś o parachronistycznych niekongruencjach, a jeśli nie, to kto może wiedzieć - polecił mu pan Dunworthy. - A potem niech pan pójdzie do katedry.

- Do katedry? - przestraszył się Finch. - A jeśli tam jest lady Schrapnell?

- Schowa się pan w Kaplicy Sukienników - odparł pan Dunworthy. - Niech pan sprawdzi, czy tam nie ma kogoś ze Służby Czasowej, kogokolwiek. Musimy znaleźć kogoś z większym doświadczeniem niż ten student.

- Natychmiast, proszę pana - powiedział Finch i podszedł do mnie. Wetknął mi hipnofon w ucho. - Podprogowe taśmy, proszę pana.

Zacząłem podwijać rękaw do zastrzyku hipnotycznego.

- Narkotyki w pańskim stanie to chyba nie najlepszy pomysł - stwierdził Finch. - Będzie pan musiał ich wysłuchać przy normalnej szybkości.

- Finch - rzucił pan Dunworthy, podchodząc do nas. - Gdzie jest Kindle?

- Odesłał ją pan do jej pokoju, proszę pana - odparł Finch. Dotknął hipnofonu.

- Królowa Wiktoria rządziła Anglią od 1837 do 1901 roku - powiedział głos w moim uchu.

- Niech pan pójdzie i zapytają, jaki miała poślizg przy przeskoku - polecił pan Dunworthy. - Tym, gdzie...

- ...przyniosła Anglii pokój i niespotykany dobrobyt.

- Tak - mówił pan Dunworthy. - I proszę sprawdzić, jak duży poślizg był przy innych...

- ...zapamiętane jako stateczne, przyzwoite społeczeństwo...

- ...i zadzwoni do świętego Tomasza. Niech pan im powie, żeby pod żadnym pozorem nie wypuszczali lady Schrapnell.

- Tak, proszę pana - powiedział Finch i wyszedł.

- Więc Lizzie Bittner dalej mieszka w Coventry? - zagadnął pan Dunworthy.

- Tak - potwierdziłem. - Przeprowadziła się z Salisbury po śmierci męża. - Potem, ponieważ chyba oczekiwał czegoś więcej, dodałem: - Opowiedziała mi wszystko o nowej katedrze i jak biskup Bittner próbował ją ocalić. Wznowił moralitetowe przedstawienia, żeby przyciągnąć publiczność, i wystawiał wojenne pamiątki w ruinach. Pani Bittner oprowadziła mnie po miejscu, gdzie dawniej były ruiny i nowa katedra. Wie pan, teraz tam jest centrum handlowe.

- Tak - przyznał. - Zawsze uważałem, że lepiej tam pasuje centrum handlowe niż katedra. Architektura połowy dwudziestego wieku była prawie równie okropna jak wiktoriańska. Ale to był miły gest. Bitty'emu się podobała. Początkowo sprzedano ją Kościołowi Przyszłego Życia czy tak jakoś, prawda? Pewnie pan sprawdził, czy oni tego nie mają?

Przytaknąłem, a potem on widocznie wyszedł, chociaż tego nie pamiętam. W jednym uchu coś mi zawyło jak syrena odwołująca nalot, a w drugim taśma opowiadała o służebnej roli kobiety wiktoriańskiej.

- Kobiety miały niewielką lub żadną władzę w wiktoriańskim społeczeństwie - mówił głos.

Oprócz królowej Wiktorii, pomyślałem i zobaczyłem, że panna Warder zbliża się do mnie z mokrą szmatką. Wytarła mi z grubsza twarz i ręce, a potem posmarowała mi górną wargę jakąś białą maścią.

- Kobieta wiktoriańska spełniała funkcję pielęgniarki i towarzyszki życia - mówił głos - odgrywała rolę „anioła domowego ogniska".

- Niech pan nie dotyka ust - nakazała panna Warder, zdejmując z szyi taśmę krawiecką. - Włosy

muszą tak zostać. Nie wystarczy czasu na farbę. - Opasała mi głowę taśmą. - Przedziałek pośrodku. Mówiłam, niech pan nie dotyka ust.

- Kobiety uważano za zbyt nerwowe na naukę - ciągnął głos. - Ich edukacja ograniczała się do lekcji muzyki, rysunku i dobrych manier.

- Cała ta sprawa jest śmieszna. - Opasała mi szyję taśmą. - Nie powinnam w ogóle przyjeżdżać do Oksfordu. Cambridge ma bardzo dobry wydział kostiumologii. Mogłam teraz projektować kostiumy do „Poskromienia złośnicy", zamiast pracować za trzy osoby jednocześnie.

Wsunąłem palec pomiędzy taśmę a moje jabłko Adama, żeby uchronić się przed uduszeniem.

- Wiktoriańskie kobiety były słodkie, ciche i uległe.

- Wie pan, czyja to wina? - fuknęła i strzeliła taśmą krawiecką, którą ściągnęła z mojej szyi. - Lady Schrapnell. Dlaczego w ogóle ona chce odbudować katedrę z Coventry? Nawet nie jest Angielką. To Amerykanka! Tylko dlatego, że wyszła za para, nie ma prawa przyjeżdżać do naszego kraju i odbudowywać naszych kościołów. Nawet nie byli długo małżeństwem.

Szarpnęła moje ramię do góry i wepchnęła mi taśmę pod pachę.

- A jeśli już koniecznie chciała coś odbudować, dlaczego nie coś Wartościowego, na przykład teatr Covent Garden? Albo wspierać Królewskie Towarzystwo Szekspirowskie czy coś w tym rodzaju? W zeszłym Sezonie mogli wystawić tylko dwie sztuki, a jedna to była staroświecka naga wersja „Ryszarda II" z lat dziewięćdziesiątych. Oczywiście pewnie nie powinno się wymagać od kogoś z Hollywood, żeby docenił sztukę! Vidy! Interaktywy!

Pospiesznie, niedbale zmierzyła mi klatkę piersiową, rękaw i krok, po czym znikła, a ja znowu usiadłem na krzesłach, oparłem głowę o ścianę i rozmyślałem o spokojnej śmierci przez utonięcie.

Następne chwile są trochę zamazane. Glos z taśmy omawiał wiktoriańskie nakrycia stołowe, syrena odwołująca nalot przekształciła się w alarmową, a serafinica przyniosła mi stos poskładanych spodni do przymierzenia, ale nie pamiętam niczego wyraźnie.

Finch wtaszczył do pokoju stertę wiktoriańskich bagaży - skórzaną walizę, duży sakwojaż, małą torbę na ramię, gladstonowski kuferek i dwa kartonowe pudła owiązane sznurkiem. Myślałem, że mam coś z tego wybrać, jak spodnie, ale okazało się, że muszę zabrać wszystko. Finch powiedział: - Przyniosę resztę - i wyszedł. Serafinica zdecydowała się na parę białych flanelowych spodni i poszła poszukać szelek.

- Widelczyk do ostryg leży na łyżce do zupy, zębami w stronę talerza - mówił głos. - Szpikulec do ostryg leży po jego lewej stronie. Muszlę trzymamy mocno w lewej dłoni i wyjmujemy ostrygę w całości, oddzielając ją od muszli szpikulcem w razie potrzeby.

Zdrzemnąłem się kilka razy, a serafinica budziła mnie potrząsaniem, żeby przymierzyć rozmaite części garderoby i zetrzeć białą maść.

Ostrożnie dotknąłem świeżego wąsa.

- Jak wygląda? - zapytałem.

- Krzywo - odparła - ale nic już nie poradzę. Zapakował pan dla niego brzytwę?

- Tak - odparł Finch, wnosząc duży prostokątny wiklinowy kosz z pokrywą - parę szczotek do włosów z Muzeum Ashmole'a, pędzel do golenia i kubek na mydło. Tu są pieniądze. - Podał mi portfel, niemal wielkości walizki. - Niestety, prawie same monety. Banknoty z tamtej epoki są bardzo zniszczone. Zapakowałem śpiwór i prowiant do kosza, a w pudłach są konserwy. - Ponownie wybiegł truchcikiem.

- Widelec do ryby leży na lewo od widelca do mięsa i do sałaty - nucił głos z taśmy. - Rozpoznajemy go po spiczastych, ukośnych zębach.

Serafinica podała mi koszulę do przymierzenia. Przez ramię miała przerzuconą wilgotną białą

suknię z powłóczystymi rękawami. Przypomniała mi się wodna nimfa wyżymająca suknię na dywan, wizerunek czystego piękna. Zastanowiłem się, czy wodne nimfy używają widelców do ryb i czy lubią wąsatych mężczyzn. Czy Hylas miał wąsy na obrazie Waterhouse'a? Obraz pod tytułem „Hylas i..." i co dalej? Jak one się nazywają? Jakoś na N.

Kolejny zamazany fragment. Pamiętam, jak Finch przynosił jeszcze więcej bagaży, drugi wiklinowy kosz z pokrywą, tym razem okrągły, serafinica wtykała mi coś do kieszeni kamizelki, a potem Finch potrząsał mnie za ramię i pytał, gdzie jest pan Dunworthy.

- Nie ma go tutaj - odpowiedziałem, ale myliłem się. Stał obok okrągłego kosza i pytał Fincha, czego ten się dowiedział.

- Ile poślizgu było przy tym skoku? - zapytał.

- Dziewięć minut - odparł Finch.

- Dziewięć minut? - powtórzył pan Dunworthy, marszcząc brwi. - A przy innych jej skokach?

- Minimalny. Dwie minuty do pół godziny. Skok do odosobnionej części posiadłości, więc nikt nie powinien niczego zauważyć.

- Chyba że akurat ktoś coś zauważy - mruknął pan Dunworthy, wciąż marszcząc brwi. - A co z powrotem?

- Z powrotem? - zdziwił się Finch. - Przy powrotnych przeskokach nie ma poślizgów.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział pan Dunworthy - ale to jest wyjątkowa sytuacja.

- Tak, proszę pana - ustąpi! Finch, podszedł do panny Warder, konferował z nią przez chwilę i wrócił. - Nie ma poślizgu przy powrotnych skokach.

Pan Dunworthy odetchnął z ulgą.

- Co z Hasselmeyerem? - spytał.

- Przekazałem mu wiadomość.

Drzwi się otwarły i do środka wpadł TJ. Lewis, niosąc cienki plik papierów.

- Przeczytałem dostępne wyniki badań - oznajmił. - Niewiele tego jest. Sprzęt potrzebny do testowania niekongruencji jest strasznie drogi. Służba Czasowa planowała zbudowanie takiego sprzętu za pieniądze z projektu katedry. Większość temporalnych fizyków nie wierzy, że niekongruencje są możliwe. Z wyjątkiem Fudżisakiego.

- Fudżisaki uważa, że są możliwe? Jaką ma teorię?

- Ma dwie teorie. Jedna mówi, że to nie są niekongruencje, tylko zdarzenia i obiekty nieistotne dla kontinuum.

- Jak to możliwe? W chaotycznym systemie każde zdarzenie jest powiązane z każdym innym zdarzeniem.

- Tak, ale system nie jest linearny - oświadczył T.J., zaglądając do papierów - z pędami sprzężenia zwrotnego dodatniego i ujemnego, redundancją i interferencją, dlatego niektóre wydarzenia i obiekty wywierają olbrzymi, zwielokrotniony efekt, a inne przechodzą bez śladu.

- A parachronistyczna niekongruencja to obiekt, którego usunięcie nie powoduje żadnych skutków?

T.J. wyszczerzył zęby.

- Właśnie. Jak powietrze, które historycy przenoszą w płucach, albo - spojrzał na mnie - sadze. Zniknięcie tych rzeczy nie wywołuje żadnych reperkusji w systemie.

- Więc w takim przypadku obiektu nie należy odsyłać do pierwotnej temporalnej lokalizacji? - zapytał pan Dunworthy.

- W takim przypadku prawdopodobnie obiektu nie można odesłać - wyjaśnił T.J. - Kontinuum na to nie pozwoli. Chyba że po odesłaniu również jest nieistotny. Niestety ten rodzaj niekongruencji ogranicza się praktycznie do powietrza i sadzy. Każdy większy przedmiot powoduje znaczące skutki.

Nawet wycieraczki do piór, pomyślałem opierając głowę o ścianę. Kupiłem taką pomarańczową, w kształcie dyni, na Jesiennym Festiwalu Chórów i Zbiórce na Powodzian, a potem zapomniałem o niej i kiedy próbowałem wrócić, sieć się nie otworzyła. Zastanawiałem się sennie, dlaczego przepuściła loda.

- A żywe organizmy? - zapytał pan Dunworthy.

- Może nieszkodliwe bakterie, ale nic więcej. Wpływ form życia na kontinuum wzrasta wykładniczo w stosunku do przedmiotów nieożywionych, i ponownie wzrasta wykładniczo w przypadku inteligentnych form życia, zdolnych do skomplikowanych interakcji. I oczywiście nic, co mogłoby wpłynąć na teraźniejszość lub przyszłość. Żadnych wirusów ani mikrobów.

- A druga teoria Fudżisakiego? - przerwał mu pan Dunworthy.

- Druga teoria mówi, że istnieją niekongruencje, ale kontinuum ma wbudowane mechanizmy obronne przeciwko nim.

- Poślizg - stwierdził pan Dunworthy. TJ. przytaknął.

- Mechanizm poślizgu zapobiega prawie każdej potencjalnej niekongruencji, ponieważ usuwa podróżnika w czasie z terenu potencjalnego zagrożenia. Według teorii Fudżisakiego wielkość poślizgu jest ograniczona, a niekongruencja zachodzi, kiedy poślizg nie może się radykalnie zwiększyć, żeby zapobiec parachronizmowi.

- I co się wtedy dzieje?

- Teoretycznie może zmienić bieg historii albo, jeśli jest dostatecznie silna, zniszczyć wszechświat, ale w nowoczesnej sieci istnieją odpowiednie zabezpieczenia. Jak tylko odkryto groźbę niekongruencji, sieć została zmodyfikowana, żeby zamykać się automatycznie, kiedy poślizg osiąga niebezpieczną wielkość. Ponadto Fudżisaki mówi, że jeśli powstała niekongruencja, co jest niemożliwe, istnieją inne linie obrony, które korygują niekongruencje i objawiają się jako - przeczytał z kartki - radykalnie zwiększony poślizg w bezpośrednim otoczeniu niekongruencji, częste zbiegi okoliczności...

Pan Dunworthy odwrócił się do mnie.

- Czy pan doświadczył jakichś zbiegów okoliczności w Coventry?

- Nie - zaprzeczyłem.

- A na kiermaszach?

- Nie - powtórzyłem i pomyślałem sobie, że bardzo chciałbym doświadczyć takiego zbiegu okoliczności, żebym spacerując pomiędzy kokosowymi rzutkami a straganem z plackiem śliwkowym, nagle wpadł na strusią nogę biskupa.

Pan Dunworthy odwrócił się do T.J.

- Co jeszcze?

- Zwiększony poślizg na peryferyjnych obszarach temporalnych.

- Jak duży obszar? T.J. przygryzł wargę.

- Fudżisaki podaje, że niekongruencje na ogół są korygowane w ciągu pięćdziesięciu lat, ale to czysta teoria.

- Co jeszcze?

- Jeśli to naprawdę poważne, awaria sieci.

- Jakiego rodzaju awaria? T.J. zmarszczył brwi.

- Problemy z otwarciem sieci. Błędne wyznaczanie celu. Ale Fudżisaki uważa, że takie przypadki są statystycznie mało prawdopodobne - ciągnął T.J. - i że kontinuum jest zasadniczo stabilne, bo inaczej zostałoby już zniszczone.

- A jeśli nie ma radykalnego zwiększenia poślizgu, ale powstała wyraźna niekongruencja? -

zapytał pan Dunworthy. - Czy to znaczy, że została skorygowana, zanim wywarła znaczący wpływ na kontinuum?

- Tak - potwierdził T.J. - Inaczej pojawiłby się poślizg.

- Doskonale. Dobra robota, chorąży Kleppermanie - pochwalił chłopca pan Dunworthy. Podszedł do serafinicy, która zaciekle bębniła w klawisze na konsoli. - Warden, chcę dostać listę wszystkich przeskoków do lat tysiąc osiemset osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, z rejestrem poślizgów i normalnych parametrów.

- Nazywam się Warder - poprawiła go serafinica. - I nie mogę tego teraz zrobić. Mam styk.

- Styk może zaczekać. - Znowu podszedł do TJ. - Lewis, chcę, żeby pan poszukał niezwykłych wizgów.

Przynajmniej tyle usłyszałem. Syrena alarmowa znowu zawyła, teraz jednak towarzyszyło jej uporczywe, monotonne dudnienie, niczym serie z karabinów maszynowych.

- I kurzych skoków.

- Tak, proszę pana - rzucił TJ. i wyszedł.

- Finch, gdzie jest koc? - zapytał pan Dunworthy.

- Tutaj, proszę pana - odpowiedział Finch i najwyraźniej znowu się przesłyszałem. Chyba że koc zwyczajowo należał do bagażu wiktoriańskiego dżentelmena.

Serafinica pochylała się nade mną, co znaczyło, że widocznie znowu usiadłem. Postawiła mnie na nogi, żeby przymierzyć blezer.

- Proszę tu włożyć rękę - poleciła, naciągając na mnie blezer w kasztanowe paseczki. - Nie, prawe ramię.

- Rękawy są za krótkie - oznajmiłem, spoglądając na swoje gołe nadgarstki.

- Jak pan się nazywa?

- Co? - Nie rozumiałem, co to ma wspólnego z przykrótkimi rękawami.

- Nazwisko! - warknęła, zdarła ze mnie blezer w paseczki i naciągnęła czerwony.

- Ned Henry - odpowiedziałem. Tym razem rękawy zakryły mi dłonie.

- Dobre - oceniła, zdjęła czerwony blezer i podała mi biało-granatowy. - Przynajmniej nie muszę wymyślać dla pana pseudonimu. - Obciągnęła rękawy. - Ten będzie musiał wystarczyć. I niech pan nie skacze do Tamizy. Nie mam czasu, żeby robić następne kostiumy.

Wsadziła mi na głowę słomkowy kapelusz panama, a potem znowu siedziała przy konsoli i stukała w klawisze.

- Nie mogę uwierzyć, że Badri jeszcze nie wrócił - narzekała. - Wszystko na mojej głowie. Nastawić koordynaty. Przygotować kostium. Tymczasem mój historyk czeka trzy kwadranse, żeby wrócić. No, wasz priorytetowy przeskok może chwilę zaczekać, ponieważ niezamężnym dziewczętom zawsze towarzyszyły przyzwoitki, zwykle starsze niezamężne ciotki albo kuzynki, i nigdy nie mogły zostać sam na sam z mężczyzną aż do zaręczyn. Ned, słuchaj uważnie.

- Słucham - zapewniłem. - Niezamężnym dziewczętom zawsze towarzyszyły przyzwoitki.

- Mówiłem panu, że to nie najlepszy pomysł - powiedział Finch, który również tu był.

- Nie mamy nikogo innego - odparł pan Dunworthy. - Ned, posłuchaj. Powiem ci, co masz zrobić. Przeskoczysz do siódmego czerwca 1888 roku, o dziesiątej rano. Rzeka leży na lewo od widelczyka deserowego, którego używamy do *gateaux* i puddingów. Do deserów takich jak Muchings End używamy najmniejszego deserowego noża oraz...

Najmniejszy. Najady. Tak się nazywały. „Hylas i najady". Poszedł nabrać wody do dzbanka, a one wciągnęły go w głębinę, na samo dno, omotały go włosami i mokrymi rękawami.

- Jak tylko go zwrócisz, reszta czasu należy do ciebie. Przez dwa tygodnie możesz robić, co

zechcesz. Możesz pływać łódką po rzece albo na prawo od deserowego talerzyka, z ostrzem skierowanym do wewnątrz. - Poklepał mnie po ramieniu. - Zrozumiałeś?

- Co? - zapytałem, ale pan Dunworthy nie słuchał. Patrzył na sieć. Rozległ się głośny szum, który prawie zagłuszył terkot karabinów maszynowych. Zasłony wokół sieci zaczęły opadać.

- Co to jest? - zapytał serafinicę pan Dunworthy.

- Styk - rzuciła, waląc w klawisze. - Przecież nie mogłam go tam zostawić na zawsze. Wyślę wasz skok, jak tylko go sprowadzę.

- Doskonale - powiedział pan Dunworthy. Poklepał mnie po ramieniu. - Liczę na ciebie, Ned - zawołał, przekrzykując szum.

Zasłony dotknęły podłogi i sfałdowały się lekko. Szum narastał, coraz głośniejszy i jękliwy jak syrena alarmowa, powietrze zamigotało od kondensacji i w sieci pojawił się Carruthers. Zaczął szarpać zasłony żeby wyjść.

- Niech pan stoi spokojnie i czeka, aż zasłony się uniosą - rozkażą serafinica, stukając w klawisze. Zasłony uniosły się na półtorej stopy i znieruchomiały.

- Czekać? - Carruthers zanurkował pod zasłonami. - Czekać? Czekałem dwie cholerne godziny! - Zaplątał się w zasłonę. - Gdzie pani była, do ciężkiej cholery?

Wyplątał się z trudem i pokuśtykał w stronę konsoli. Cały był zabłocony. Zgubił jeden but, a nogawkę swojego niepeespowskiego munduru miał z tyłu rozdartą na sporej długości.

- Dlaczego, do cholery, nie zabrała mnie pani, jak tylko otrzymała pani namiar i sprawdziła, gdzie wylądowałem?

- Przeszkodzono mi - odparła, piorunując wzrokiem pana Dunworthy'ego. Groźnie skrzyżowała ramiona. - Gdzie pański but?

- W pysku cholernie wielkiego mastyfa! Miałem szczęście, że nie straciłem stopy!

- To był autentyczny wellington PSP - oświadczyła serafinica. -A co pan zrobił z mundurem?

- Co zrobiłem z mundurem? - powtórzył. - Przez dwie godziny uciekałem przed śmiercią. Wylądowałem na tym samym przeklętym polu z dyniami. Tylko widocznie przeszedłem później niż poprzednim razem, bo żona farmera już na mnie czekała. Z psami. Zebrała całą cholerną sforę, żeby pomagały w wysiłku wojennym. Chyba ściągnęła je z całego Warwickshire.

Dopiero teraz mnie zauważył.

- Co ty tu robisz? - zapytał gniewnie, zbliżając się kulawym krokiem. - Miałeś być w infirmerii.

- Skaczę do 1888 - wyjaśniłem.

- Prosiłem tę pielęgniarkę, żeby nie mówiła lady Schrapnell, że wróciłeś - powiedział z niesmakiem. - Dlaczego wysyła cię do dziewiętnastego wieku? Chodzi o jej prababkę?

- Pra-pra-pra-pra - poprawiłem go. - Nie. Lekarz zalecił dwa tygodnie wypoczynku w łóżku i dlatego pan Dunworthy tam mnie wysyła.

- Nie może - zaprotestował Carruthers. - Nie możesz wyjechać. Musisz wracać do Coventry i szukać strusiej nogi biskupa.

- Przecież szukałem - broniłem się - a ty mnie stamtąd wyciągnąłeś. Pamiętasz?

- Musiałem. Zachowywałeś się jak szaleniec. Bełkotałeś o szlachetnym psie, najlepszym przyjacielu człowieka, wiernym towarzyszu w zdrowiu i chorobie. Ha! Spójrz na to! - Podniósł długi pas rozdartego materiału. - Najlepszy przyjaciel człowieka to zrobił! – Pokazał mi stopę w skarpetce. - Wierny towarzysz mało nie odgryzł mi stopy! Tak szybko będziesz gotowy do pracy?

- Pielęgniarka powiedziała, żadnych skoków przez dwa tygodnie. Dlaczego odesłałeś mnie do infirmerii, skoro chciałeś, żebym wrócił?

- Myślałem, że dadzą ci zastrzyk albo pigułkę - wyjaśnił - ale nie zabronią skoków. Jak teraz

znajdziemy strusią nogę biskupa?

- Nie znalazłeś jej po moim powrocie?

- Nawet nie mogłem znaleźć katedry. Próbowałem przez całe popołudnie i najbliżej dotarłem na pole dyniowe. Ten cholerny poślizg...

- Poślizg? - zainteresował się pan Dunworthy. Podszedł do nas.

- Czy poślizg był większy niż zwykle?

- Mówiłem panu, pole z dyniami - powiedziałem.

- Jakie pole?

- W połowie drogi do Birmingham. Z psami.

- Nie mogę wrócić do katedry w Coventry piętnastego, proszę pana - wyjaśnił Carruthers. - Dzisiaj próbowałem cztery razy i najbliżej trafiłem do ósmego grudnia. Na razie Ned dotarł najbliżej ze wszystkich, dlatego potrzebuję go, żeby wrócił i skończył przeszukiwać gruzy.

Pan Dunworthy zrobił zdumioną minę.

- Czy nie prościej poszukać strusiej nogi biskupa przed nalotem, czternastego?

- Właśnie tego próbowaliśmy przez ostatnie dwa tygodnie - odparł Carruthers. - Lady Schrapnell chciała wiedzieć, czy strusia noga biskupa była w katedrze podczas nalotu, więc zorganizowaliśmy przeskok do katedry za kwadrans ósma, tuż przed nalotem. Ale nie możemy nawet się zbliżyć. Albo data się nie zgadza, albo lądujemy dokładnie w wyznaczonym czasie, tylko sześćdziesiąt mil od celu, na środku pola dyń.-Wskazał swój zabłocony mundur.

- Lądujemy? - Pan Dunworthy zmarszczył brwi. - Ilu historyków już próbowało?

- Sześciu. Nie, siedmiu - poprawił się Carruthers. - Wszyscy, którzy nie mieli innych zadań.

- Carruthers powiedział, że próbowali ze wszystkimi - wtrąciłem i dlatego wyciągnęli mnie z kiermaszów.

- Co z tymi kiermaszami?

- Tam sprzedają rzeczy, których chcą się pozbyć, najczęściej te kupione na poprzednim kiermaszu, i różne własne wyroby. Puszki na herbatę i haftowane pudełka na nici, i wycieraczki do piór, i...

- Wiem, co to są kiermasze - przerwał mi pan Dunworthy. - Czy przy tych skokach były jakieś poślizgi?

Pokręciłem głową.

- Tylko zwykłe. Najczęściej przestrzenne, żeby nikt mnie nie zobaczył, kiedy przechodzę. Za probostwem albo na tyłach namiotu z herbatą.

Odwrócił się gwałtownie do Carruthersa.

- Jak bardzo przesunięte były przeskoki do Coventry, te, kiedy trafialiście na właściwe miejsce?

- Różnie - odpowiedział Carruthers. - Paulson przeszedł dwudziestego ósmego listopada. - Zamilkł i obliczał coś w pamięci. - Przeciętna wynosi jakieś dwadzieścia cztery godziny, mniej więcej. Najbliżej trafiliśmy do celu w popołudnie piętnastego, a teraz nawet tam nie mogę się dostać. Dlatego Ned musi przejść. Nowy rekrut ciągle jest tam jest i wątpię, czy sam potrafi wrócić. I nie wiadomo, w jakie kłopoty mógł się wpakować.

- Kłopoty - wymamrotał pan Dunworthy. Odwrócił się do techiczki. - Czy poślizg zwiększył się we wszystkich skokach, czy tylko w tych do Coventry?

- Nie wiem - odparła. -Jestem technikiem od garderoby. Ja tylko zastępuję Badriego. To on jest technikiem sieci.

- Badri, tak - rozjaśnił się pan Dunworthy. - Doskonale, Badri. Gdzie on jest?

- Z lady Schrapnell, proszę pana - poinformował go Finch. - Obawiam się, że oni już tutaj wracają.

Ale pan Dunworthy chyba nie usłyszał.

- Czy podczas zastępstwa - mówił do Warder - prowadziła pani jakieś przeskoki nie do katedry czternastego grudnia 1940 roku?

- Jeden - odparła. - Do Londynu.

- Jak duży był poślizg? - nalegał.

Panna Warder zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć: „Nie mam na to czasu", ale potem widocznie rozmyśliła się i zaczęła stukać w klawisze.

- Lokalizacja, brak poślizgu. Temporalny, osiem minut.

- Więc chodzi o Coventry - mruknął do siebie pan Dunworthy. - Osiem minut w którą stronę? Wcześniej czy później?

- Wcześniej.

Odwrócił się z powrotem do Carruthersa.

- Czy próbował pan wysłać kogoś do Coventry wcześniej i zostawić tam aż do nalotu?

- Tak, proszę pana - potwierdził Carruthers. - Nadal lądowali po wyznaczonym czasie.

Pan Dunworthy zdjął okulary, obejrzał je i nałożył z powrotem.

- Czy wielkość poślizgu zmienia się przypadkowo, czy ciągle się pogarsza?

- Pogarsza.

- Finch, niech pan pójdzie zapytać Kindle, czy zauważyła jakieś zbiegi okoliczności albo rozbieżności podczas pobytu w Muchings End. Ned, zostań tutaj. Muszę pogadać z Lewisem. - Pan Dunworthy wyszedł.

- O co mu chodziło? - zapytał Carruthers, odprowadzając go wzrokiem.

- O Sherlocka Holmesa - wyjaśniłem i usiadłem.

- Wstać - rozkazała serafinica. - Przeskok jest gotowy. Zająć miejsce.

- Nie powinniśmy zaczekać na pana Dunworthy'ego? - zapytałem.

- Mam w rozkładzie dziewiętnaście skoków, nie mówiąc o następnym priorytetowym skoku pana Dunworthy'ego, więc...

- No dobrze, dobrze - ustąpiłem. Zabrałem torbę, walizę, kuferek oraz okrągły wiklinowy kosz i przeszedłem do sieci. Zasłony nadal wisiały półtorej stopy nad podłogą. Postawiłem jedno naręcze bagażu na podłodze, uniosłem zasłonę, prześliznąłem się na drugą stronę i zacząłem przeciągać bagaż.

- Epoka wiktoriańska była okresem szybkiego rozwoju technicznego i naukowego - powiedział hipnofon. - Wynalazek telegrafu, gazowe oświetlenie i darwinowska teoria ewolucji znacząco zmieniły strukturę społeczeństwa.

- Podnieść bagaż i stanąć na X - powiedziała techniczka.

- Zwłaszcza podróże szybko się rozwijały. Dzięki wynalezieniu parowej lokomotywy oraz pierwszej kolei podziemnej w 1863 roku wiktorianie mogli podróżować szybciej i dalej niż kiedykolwiek przedtem.

- Gotowy? - zapytała z dłonią wzniesioną nad klawiaturą.

- Chyba tak - odpowiedziałem, sprawdzając, czy wszystko znajduje się w obrębie zasłon. Jeden róg wiklinowego kosza wystawał. - Zaraz - zawołałem i przysunąłem go stopą.

- Pytam, czy pan gotowy? - warknęła.

- Łatwe i tanie podróże przyczyniły się do poszerzenia horyzontów wiktorian oraz obalenia sztywnych barier klasowych, które...

Serafinica podniosła zasłonę, wyrwała mi hipnofon z ucha i wróciła do konsoli.

- Teraz gotowy?

- Tak.

Serafinica zaczęła stukać w klawiaturę.

- Zaraz! - zawołałem. - Nie wiem, dokąd jadę.

- Siódmego czerwca 1888 roku - odparła i znowu zaczęła stukać.

- To znaczy później - powiedziałem, szukając otworu w zasłonach. - Nie słyszałem wszystkich instrukcji pana Dunworthy'ego. Z powodu dyschronii. - Pokazałem swoje ucho. - Trudności z rozróżnianiem dźwięków.

- Trudności z wykazywaniem inteligencji - burknęła. - Nie mam na to czasu. - Po czym wyniosła się z pokoju, trzaskając drzwiami.

- Gdzie jest pan Dunworthy? - usłyszałem jej głos w korytarzu. Pan Dunworthy mówił coś o Muchings End i o łódce, a może to było w hipnofonie? „Zadanie jest bardzo łatwe", powiedział.

- Gdzie on jest? - ponownie odezwała się serafinica głosem nieprzyjemnie podobnym do głosu lady Schrapnell.

- Gdzie jest kto? - zapytał Finch.

- Doskonale pan wie, kto - zagrzmiała stentorowym tonem. - I niech pan mi nie wmawia, że on jest w szpitalu. Mam już dosyć pańskich wykrętów. On jest tutaj, prawda?

O Boże.

- Niech pan odejdzie od tych drzwi i pozwoli mi przejść - ryknęła lady Schrapnell. - On tam jest.

Z łomotem upuściłem bagaż i rozejrzałem się rozpaczliwie za jakąś kryjówką.

- Nie ma go tam - zaprzeczył dzielnie Finch. - On jest w infirmerii w Radcliffe.

Nie miałem gdzie się schować, przynajmniej nie w tym stuleciu. Zanurkowałem pod zasłonami i podbiegłem do konsoli, modląc się, żeby serafinica zakończyła wszystkie niezbędne przygotowania.

- Powiedziałam, proszę mnie przepuścić - huknęła lady Schrapnell - Badri, każ mu odejść od drzwi. Pan Henry tam jest i zamierzam dopilnować, żeby odszukał moją strusią nogę biskupa, zamiast wałęsać się po teraźniejszości i symulować dyschronię.

- Ale on naprawdę ma dyschronię - zapewnił Finch. - Bardzo ciężki przypadek. Zaburzenia wzroku, trudności z rozróżnianiem dźwięków i poważnie ograniczone zdolności logicznego rozumowania.

Ekran konsoli powiedział: - Gotowe. Naciśnij „send". Zmierzyłem wzrokiem odległość do sieci.

- On nie jest w stanie wykonywać żadnych skoków - oświadczył Finch.

- Nonsens - fuknęła lady Schrapnell. - Proszę natychmiast odejść od drzwi.

Wziąłem głęboki oddech, stuknąłem w „send" i rzuciłem się głową naprzód w kierunku sieci.

- Proszę mi wierzyć - desperacko upierał się Finch. - Nie ma go tam. On jest w Christ Church.

- Zejdź mi z drogi! - krzyknęła lady Schrapnell i usłyszałem odgłosy szamotaniny.

Wyhamowałem twarzą na X. Zasłona opadła mi na stopę. Szybko podciągnąłem nogę.

- Panie Henry, wiem, że pan tam jest! - zawołała lady Schrapnell. Drzwi otwarły się gwałtownie.

- Mówiłem pani - powiedział Finch. - Nie ma go tutaj.

I nie było mnie.

Podróż tam się kończy
Gdzie kochanków
Los połączy

William Shakespeare

ROZDZIAŁ CZWARTY

Twarde lądowanie - Różnica pomiędzy literaturą a prawdziwym życiem - Podobieństwo gwizdu lokomotywy do syreny alarmowej - Zalety adrenaliny - Kontempluję swoją misję - Howard's End - Aktualna gazeta - Dwie damy - Spóźnienie - Kontakt! - „Oksford, miasto sennych iglic" - Modny kapelusz - Przeznaczenie - Zagadka królików hipnotyzowanych przez węże rozwiązana - Zawieram nową znajomość

Wylądowałem twarzą w dół na torach kolejowych, rozciągnięty w poprzek szyn niczym Pearl White z dwudziestowiecznego serialu, tylko że ona nie miała tyle bagażu. Waliza i cała reszta leżały rozrzucone dookoła, włącznie z kapeluszem panama, który spadł mi z głowy, kiedy wskakiwałem do sieci.

Głos lady Schrapnell ciągle grzmiał mi w uszach. Wstałem i rozejrzałem się ostrożnie, ale nigdzie jej nie zobaczyłem. Nie zobaczyłem też ani śladu łodzi czy rzeki. Tory kolejowe biegły po trawiastym nasypie, a wokół i poniżej rosły drzewa.

Pierwsza zasada podróży w czasie brzmi: „Ustalić dokładną lokalizację czasoprzestrzenną", ale nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać. Najwyraźniej trafiłem na lato - niebo było błękitne i kwiaty rosły pomiędzy podkładami - ale nie widziałem żadnych śladów cywilizacji oprócz torów kolejowych. A więc gdzieś po 1804 roku.

W vidach zawsze na ziemi leży gazeta z pomocnym nagłówkiem w rodzaju: PEARL HARBOR ZBOMBARDOWANA! albo MAFEKING OSWOBODZONY!, a zegar w witrynie sklepowej życzliwie wskazuje godzinę.

Spojrzałem na zegarek. Nie miałem zegarka. Zezując na swój pusty przegub, próbowałem sobie przypomnieć, czy Warder zdjęła go, kiedy przymierzała mi koszule. Pamiętałem, że wetknęła mi coś do kieszonki kamizelki. Wyciągnąłem okrągły przedmiot na złotym łańcuszku. Kieszonkowy zegarek. Oczywiście. Zegarki na rękę stanowiłby anachronizm w dziewiętnastym wieku.

Nie bez kłopotu otworzyłem kopertę zegarka i z trudem odczytałem rzymskie cyfry, które dawno wyszły z użycia. Kwadrans po X. Doliczając czas spędzony na torach i przy otwieraniu zegarka, strzał w dziesiątkę. Chyba że wylądowałem w niewłaściwym roku. Albo w niewłaściwym miejscu.

Ponieważ nie wiedziałem, dokąd mnie wysłano, nie wiedziałem również, czy trafiłem we właściwe miejsce, ale przy małym poślizgu temporalnym nie występuje zwykle większy poślizg lokalizacyjny.

Stanąłem na szynie, żeby się rozejrzeć. Na północy tory znikały w gęstym lesie. Na południu las wydawał się rzadszy i zobaczyłem ciemny pióropusz dymu. Fabryka? Czy przystań wioślarska?

Powinienem pozbierać bagaże i pójść zobaczyć, ale wciąż stałem na szynie, wdychając słodki zapach koniczyny i świeżo zżętego siana, przesycający ciepłe letnie powietrze.

Znalazłem się sto sześćdziesiąt lat od spalin, wyziewów i strusiej nogi biskupa. Nie, nieprawda. Katedra w Coventry otrzymała w darze strusią nogę biskupa w 1852 roku.

Przygnębiająca myśl. Ale wtedy nie było żadnej katedry w Coventry. Kościół Św. Michała podniesiono do rangi biskupstwa dopiero w 1908 roku. I nie było żadnej lady Schrapnell. Ponad sto lat dzieliło mnie od jej wrzaskliwych rozkazów, od złych psów i zbombardowanej katedry. Przeniosłem się w bardziej cywilizowane czasy, gdzie życie płynęło statecznie i przyzwoicie, a kobiety były ciche i uległe.

Popatrzyłem na drzewa, na kwiaty. Pomiędzy szynami kwitły jaskry i drobne białe kwiatki w kształcie gwiazdek. Pielęgniarka w infirmerii powiedziała, że potrzebuję wypoczynku, a gdzież

można lepiej wypocząć? Już stojąc na torach, czułem się całkowicie uzdrowiony. Żadnych zaburzeń wzroku. Żadnych syren alarmowych.

Za wcześnie się cieszyłem. Syrena alarmowa znowu zawyła, a po chwili nagle umilkła. Potrząsnąłem głową, żeby odpędzić omamy, i kilka razy odetchnąłem głęboko.

Jeszcze nie byłem wyleczony, ale wkrótce wyzdrowieję za sprawą i tego czystego powietrza. Popatrzyłem na bezchmurne niebo, na pióropusz czarnego dymu. Wydawał się wyższy i bliższy - farmer palił chwasty?

Zapragnąłem go zobaczyć, wspartego na grabiach, wolnego od nowoczesnych trosk, nowoczesnego pośpiechu, zapragnąłem zobaczyć jego domek obrośnięty różami, z białym płotem, przytulną kuchnią, miękkim puchowym łóżkiem...

Syrena ponownie zawyła kilka razy, krótko i ostro. Jak fabryczny gwizdek. Albo lokomotywa.

Adrenalina to wyjątkowo skuteczny środek. Pobudza mięśnie do działania i powoduje wręcz nieprawdopodobny przypływ sił. Oraz zwiększa szybkość.

Chwyciłem torbę, walizę, sakwojaż, kwadratowy kosz, pudła oraz panamę, która znowu spadła mi z głowy, zrzuciłem to wszystko z nasypu i zeskoczyłem, zanim pióropusz dymu wynurzył się spośród drzew.

Okrągły wiklinowy kosz, na którym Finchowi tak zależało, wciąż stał po drugiej stronie torów, oparty o szynę. Adrenalina wskoczyła na tory, zgarnęła kosz i stoczyła się z nasypu, a pociąg przemknął obok z ogłuszającym łoskotem.

Stanowczo nie byłem jeszcze wyleczony. Miałem sporo czasu na i rozpamiętywanie tego faktu, kiedy leżałem u podnóża nasypu i próbowałem odzyskać oddech.

Po chwili usiadłem. Nasyp był raczej wysoki, a kosz i ja potoczyliśmy się dość daleko, zanim zatrzymaliśmy się w gąszczu pokrzyw. Z tego miejsca miałem zupełnie inny widok niż z torów. Za bujnym olchowym zagajnikiem dostrzegłem narożnik jakiegoś białego drewnianego budynku oraz fragment kanciastego ornamentu. Na pewno to była przystań.

Wyplątałem z pokrzyw siebie i kosz, wspiąłem się na nasyp i rozejrzałem przezornie w obie strony. Nigdzie nie zobaczyłem dymu, niczego nie usłyszałem. Zadowolony, przebiegłem przez tory, zebrałem swoje bagaże, spojrzałem w obie strony, przeskoczyłem z powrotem i ruszyłem przez las w kierunku przystani.

Adrenalina rozjaśnia także umysł i kiedy mozolnie brnąłem ku przystani, parę rzeczy stało się dla mnie jasne; przede wszystkim zrozumiałem, że nie mam pojęcia, co robić, kiedy dojdę na miejsce.

Wyraźnie pamiętałem, jak pan Dunworthy mówił: „To są twoje instrukcje", a po galimatiasie stiltonowskich łyżek, kołnierzyków i syreny alarmowej dodał, że reszta czasu należy do mnie i przez dwa tygodnie mogę robić, co zechcę. Czyli nie cały czas należał do mnie. A kiedy wszedłem do sieci, Finch powiedział: „Liczymy na pana".

Co miałem zrobić? Wspominali coś o łódce i rzece. I jakimś End. Audley End? Nie, tamto brzmiało inaczej. Zaczynało się na N. Czy raczej wodne nimfy zaczynały się na N? Miałem nadzieję, że przypomnę sobie, kiedy dojdę do przystani.

To nie była przystań wioślarska. To była stacja kolejowa. Na ścianie nad zieloną ławką wisiała drewniana rzeźbiona plakietka z napisem: OKSFORD.

I co teraz powinienem zrobić? W Oksfordzie były przystanie i łódki. Skoro jednak trafiłem na stację kolejową, powinienem chyba pojechać pociągiem do tego Coś tam End, a stamtąd popłynąć łódką. Pamiętałem niejasno, że pan Dunworthy mówił coś o kolei. Czy może o dorożce?

Było prawdopodobne, że znalazłem się na stacji kolejowej wskutek poślizgu, a naprawdę miałem wylądować na moście Folly. Wyraźnie pamiętam, że mówiono o rzece i łódkach.

Ale miałem za dużo bagażu jak na łódkę.

Spojrzałem na peron po drugiej stronie torów. Obok zielonej ławki wisiała oszklona tablica informacyjna. Rozkład jazdy. Jeżeli znajdę tam miejscowość kończącą się na End, będę wiedział, że powinienem pojechać pociągiem, zwłaszcza jeśli pociąg wkrótce miał nadjechać.

Peron był pusty, przynajmniej na razie. Wydawał się dość wysoki, ale bez przesady. Ani jedna chmurka nie plamiła błękitnego nieba. Rozejrzałem się w obie strony, a potem zerknąłem na drzwi poczekalni. Nic. Dla bezpieczeństwa jeszcze raz sprawdziłem tory, po czym przebiegłem na drugą stronę, wrzuciłem bagaże na peron i sam wdrapałem się na górę.

Na peronie nadal nie było żywej duszy. Ustawiłem stertę bagaży na końcu ławki i podszedłem do tablicy z rozkładem jazdy. Przeczytałem nagłówki: Reading, Coventry, Northampton, Bath. Pewnie chodziło o jakąś mniejszą stację: Aylesbury, Didcot, Swindon, Abingdon.

Przeczytałem całą listę. Ani jedna nazwa nie kończyła się na End.

Przecież nie mogłem podejść do kasy i zapytać, kiedy odchodzi następny pociąg do Coś tam End. Jak to brzmiało? Coś tam End. Howard's End? Nie, to była powieść E.M. Forstera. Jeszcze nie została napisana. Coś tam End. W Turl był pub o nazwie „The Bitter End", ale to także nie pasowało. Zaczynało się na N. Nie, to była najada. Na M.

Wróciłem do ławki, usiadłem i próbowałem myśleć. Pan Dunworthy powiedział: „Powiem ci, co masz robić", a potem coś o szpikulcach do ostryg i herbatce z królową. Nie, to na pewno były słuchawki. A potem: „Wysyłamy cię do siódmego czerwca 1888 roku".

Lepiej sprawdzę, czy rzeczywiście trafiłem do siódmego czerwca 1888 roku, zanim zacznę martwić się o inne sprawy. Jeśli wskoczyłem w niewłaściwy czas, nie powinienem nigdzie jechać pociągiem ani płynąć łódką. Muszę zaczekać tutaj, aż Warder obliczy namiar, zrozumie, że jestem w niewłaściwym czasie, i ustali styk, żeby mnie zabrać z powrotem. Przynajmniej nie wylądowałem na polu z dyniami.

Teraz, kiedy trochę ochłonąłem, przyszło mi do głowy, że Warder nastawiła mój zegarek na odpowiednią godzinę w przeszłości. W takim razie wskazania zegarka nie miały żadnego znaczenia.

Wstałem i podszedłem do okna budynku, żeby zobaczyć, czy w środku jest zegar. Był. Wskazywał za dwadzieścia jedenastą. Wyciągnąłem swój kieszonkowy zegarek i porównałem z kolejowym. Za dwadzieścia XI.

W książkach i vidach o podróżach w czasie zawsze pojawia się gazeciarz z naręczem gazet, na których wyraźnie widać datę, albo kalendarz z przekreślonymi nieaktualnymi datami. Niestety nigdzie nie widziałem ani śladu kalendarza, gazeciarza czy życzliwego zawiadowcy, który odezwałby się nie pytany: „Piękna pogoda jak na siódmego czerwca, panie szanowny. Nie to, co w zeszłym roku, prawda? W osiemdziesiątym siódmym wcale nie mieliśmy lata".

Wróciłem na ławkę i próbowałem się skoncentrować. Marlborough End, Middlesex End, Montague End, Marple's End.

Rozległ się gwizd lokomotywy (który natychmiast rozpoznałem) i pociąg z łoskotem przemknął przez stację bez zatrzymywania. Nagły podmuch zerwał mi panamę z głowy. Pobiegłem za nią, złapałem i właśnie nakładałem z powrotem, kiedy wokół nóg owinął mi się arkusz papieru, widocznie porwany tym samym podmuchem. Odwinąłem papier i obejrzałem go. To była stronica gazety. „Times" z 7 czerwca 1888 roku.

Więc trafiłem we właściwy czas i musiałem tylko wykoncypować co mam teraz zrobić.

Usiadłem, objąłem głowę rękami i próbowałem się skupić. Pojawił się Carruthers bez buta, Warder trzasnęła podkładką, a pan Dunworthy powiedział coś o rzece i kontakcie. Kontakt.

„Kontakt z Tennysonem", powiedział, tylko że nazwisko brzmiało inaczej. Ale zaczynało się na T.

Albo na A. Finch też wspominał coś o kontakcie. Kontakt.

To wyjaśniało, dlaczego nie wiedziałem, co mam robić. Polecono mi tylko nawiązać kontakt, a reszty dowiem się od niego czy od niej. Ogarnęła mnie fala ulgi. Kontakt wyjaśni wszystko.

Więc pozostało tylko jedno pytanie: kim jest kontakt i gdzie go (lub ją) znajdę? „Kontakt z kimś", powiedział pan Dunworthy. Jak brzmiało to nazwisko? Chiswick. Nie, to był kierownik Służby Czasowej. Poprawka, były kierownik Służby Czasowej. „Kontakt..." Klepperman. Chorąży Klepperman. Nie, to był marynarz, który poległ w walce. Ponieważ nie wiedział, co robi.

„Kontakt..." z kim? Jakby w odpowiedzi rozległ się następny ogłuszający gwizd lokomotywy i pociąg wtoczył się na stację. Zahamował, plując iskrami i puszczając wielkie kłęby pary. Bagażowy wyskoczył z trzeciego wagonu, ustawił pod drzwiami stołeczek obity pluszem i wszedł z powrotem.

Po kilku minutach bagażowy zjawił się ponownie, niosąc pudło na kapelusze i wielki czarny parasol. Podał rękę kruchej starszej pani, a potem młodszej, żeby im pomóc przy wysiadaniu.

Starsza dama nosiła krynolinę, czepek i koronkowe mitenki, więc przestraszyłem się, że jednak skoczyłem za daleko, ale młodsza ubrana była w długą kloszową spódnicę i kapelusik nasunięty na czoło. Miała słodką buzię, a kiedy tłumaczyła bagażowemu, jakie rzeczy ma zabrać, jej głos brzmiał cicho i dystyngowanie.

- Mówiłam ci, że on nie będzie na nas czekał - odezwała się stara dama głosem o schrapnellowskim brzmieniu.

- Z pewnością wkrótce się zjawi, ciociu - odpowiedziała młoda kobieta. - Widocznie coś go zatrzymało na uniwersytecie.

- Pleciesz androny - fuknęła stara dama (nigdy nie przypuszczałem, że usłyszę ten zwrot na własne uszy). - Wyjechał gdzieś na ryby. Haniebne zajęcie dla dorosłego mężczyzny! Napisałaś do niego, że dzisiaj przyjeżdżamy?

- Tak, ciociu.

- I podałaś godzinę, mam nadzieję?

- Tak, ciociu. On na pewno zaraz przyjdzie.

- A tymczasem musimy tutaj stać w tym okropnym upale.

Moim zdaniem dzień był ciepły i przyjemny, no, ale ja nie nosiłem czarnej wełnianej sukni zapiętej pod szyję. Ani koronkowych mitenek.

- Nieznośna spiekota - narzekała dama, wyjmując chusteczkę z małej, wyszywanej paciorkami sakiewki. - Zupełnie nie mogę oddychać. Ostrożnie! - huknęła na bagażowego, który zmagał się z wielkim kufrem.

Finch miał rację. Oni rzeczywiście podróżowali z okrętowymi kuframi.

- Słabo mi - jęknęła ciocia, wachlując się omdlewająco chusteczką.

- Może usiądziesz tutaj, ciociu - zaproponowała młoda kobieta, prowadząc damę do drugiej ławki. - Wujek z pewnością zaraz przyjdzie.

Stara dama usiadła wśród szelestu spódnic.

- Nie tak! - warknęła na bagażowego. - To wszystko przez Herbert. Wychodzić za mąż! I akurat wtedy, kiedy przyjeżdżam do Oksfordu. Nie zadrap skóry!

Najwyraźniej żadna z pań nie była moim kontaktem, ale przynajmniej nie cierpiałem już na „trudności z rozróżnianiem dźwięków". I rozumiałem, co mówią, rzecz nie zawsze osiągalna w przeszłości. Na swojej pierwszej wencie rozróżniałem najwyżej jedno słowo na dziesięć: rzutki, duby smalone i aukcja robótek.

Chyba pokonałem również moją „skłonność do sentymentalizmu". Młodsza dama miała ładną twarzyczkę w kształcie serca i jeszcze ładniejsze kostki u nóg, których wdzięczny kształt dostrzegłem,

kiedy błysnęła białą pończoszką, wysiadając z pociągu, ale jakoś nie zacząłem rozpływać się w przesadnych porównaniach do sylfów czy cherubinów. Co więcej, bez trudu przypomniałem sobie oba słowa. Czułem się całkowicie uzdrowiony.

- On całkiem o nas zapomniał - powiedziała ciocia. - Musimy wziąć dorożkę.

- Nie trzeba wynajmować powozu - sprzeciwiła się młoda kobieta. - Wujek nie zapomniał.

- Więc dlaczego nie przyszedł, Maud? - fuknęła cioteczka, układając spódnice w ten sposób, że zajęły całą ławkę. - I dlaczego Herbert tu nie ma? Małżeństwo! Służące nie powinny wychodzić za mąż. I jak Herbert znalazła kogoś odpowiedniego do małżeństwa? Absolutnie zabroniłam jej mieć adoratorów, więc pewnie wybrała nieodpowiednią partię. Jakiegoś osobnika z teatru rewiowego. - Zniżyła głos. - Albo gorzej.

- O ile mi wiadomo, poznali się w kościele - odpowiedziała cierpliwie Maud.

- W kościele! Haniebne! Do czego to dochodzi? Za moich czasów kościół to był obowiązek, nie miejsce spotkań towarzyskich. Zapamiętaj moje słowa, za sto lat nie odróżnisz katedry od teatru.

Albo od centrum handlowego, dodałem w myślach.

- To przez te wszystkie kazania o miłości chrześcijańskiej - ciągnęła ciocia. - Gdzie się podziały kazania o obowiązku i skromności? I punktualności. Twojemu wujkowi dobrze by zrobiło kazanie o... dokąd idziesz?

Maud ruszyła do drzwi budynku.

- Chciałam spojrzeć na zegar - wyjaśniła. - Pomyślałam, że może wujka jeszcze nie ma, bo pociąg przyjechał za wcześnie.

Usłużnie wyciągnąłem zegarek z kieszonki i otworzyłem kopertę z nadzieją, że potrafię odczytać godzinę.

- I zostawisz mnie tutaj samą - obruszyła się ciocia - nie wiadomo z kim? - Pogroziła młodszej damie palcem w mitence. - Są tacy mężczyźni - oznajmiła scenicznym szeptem - którzy kręcą się w miejscach publicznych i czyhają na okazję, żeby wciągnąć w rozmowę samotne kobiety.

Zatrzasnąłem wieczko, włożyłem zegarek z powrotem do kieszonki i bardzo się starałem wyglądać przyzwoicie.

- Chodzi im o to - szepnęła głośno ciocia - żeby ukraść bagaż samotnej kobiecie. Albo gorzej.

- Wątpię, czy ktoś zdoła podnieść nasz bagaż, ciociu, a co dopiero ukraść - odszepnęła Maud, a moja opinia o niej natychmiast wzrosła.

- Tym niemniej jesteś pod moją opieką, skoro mój brat nie uznał za stosowne wyjść po nas, a moim obowiązkiem jest chronić cię przed szkodliwymi wpływami - oświadczyła ciocia, spoglądając na mnie znacząco. - Nie zostaniemy tutaj ani chwili dłużej. Zawieźcie to do przechowalni - poleciła bagażowemu, który wreszcie załadował na wózek kufry i trzy wielkie pudła modniarskie. - I przynieście nam kwit.

- Pociąg zaraz odjedzie, proszę pani - zaprotestował bagażowy.

- Nie jadę tym pociągiem - odparła. - I sprowadźcie nam dorożkę. Z godnym zaufania woźnicą.

Bagażowy spojrzał rozpaczliwie na pociąg, który wypuszczał wielkie kłęby pary.

- Szanowna pani, moim obowiązkiem jest pozostanie w pociągu. Stracę posadę, jeśli nie wsiądę.

Zastanawiałem się, czy mam zaofiarować swoje usługi w sprowadzaniu dorożki, ale nie chciałem, żeby ciocia wzięła mnie za Kubę Rozpruwacza. A może to był anachronizm? Czy Kuba rozpoczął już swoją karierę w 1888 roku?

- Wierutne brednie! - zawołała ciocia. - Stracicie posadę, jeśli zamelduję przełożonym o waszym zuchwałym zachowaniu. Jaka to linia?

- Great Western, szanowna pani.

- No, dyrekcja z pewnością nie pochwali pracownika, który zostawia bagaż pasażerów na peronie, żeby go ukradł jakiś pospolity przestępca. - Rzuciła mi kolejne wymowne spojrzenie. - Dyrekcja nie pochwali pracownika, który odmawia pomocy bezradnej starszej damie.

Bagażowy, który najwyraźniej nie zgadzał się z określeniem „bezradna", zerknął na ruszający pociąg, potem na drzwi budynku, jakby odmierzał dystans, wreszcie dotknął daszka czapki i wepchnął wózek w drzwi.

- Chodź, Maud - rozkazała ciocia, podnosząc się z kręgu krynoliny.

- A jeśli wujek przyjedzie? - zaoponowała Maud. - Miniemy się z nim.

- To go nauczy punktualności - prychnęła ciocia i majestatycznie wytoczyła się z peronu.

Maud pospieszyła za nią, obdarzywszy mnie przepraszającym uśmiechem.

Pociąg nabierał szybkości, wielkie koła lokomotywy obracały się najpierw powoli, potem coraz szybciej. Spojrzałem niespokojnie na drzwi stacji, ale nigdzie nie dostrzegłem bagażowego. Obok peronu przesunęły się powoli wagony osobowe, a potem pomalowany na zielono wagon towarowy. Zdąży czy nie zdąży? Następny był wagon kierownika pociągu. Bagażowy wypadł z budynku, popędził za ostatnim wagonem na sam koniec peronu i skoczył. Wstałem.

Bagażowy chwycił poręcz jedną ręką, wciągnął się na dolny stopień i dysząc przywarł do wagonu. Później pogroził stacji pięścią, zanim znikł.

Niewątpliwie w przyszłości ten człowiek został socjalistą, pomyślałem, i przyczynił się do założenia Labour Party.

A ciocia? Na pewno przeżyła wszystkich swoich krewnych i nie zapisała służącym niczego w testamencie. Miałem nadzieję, że żyła jeszcze w latach dwudziestych, kiedy musiała tolerować charlestona i papierosy. Co do Maud, miałem nadzieję, że spotkała kogoś odpowiedniego do małżeństwa, chociaż sokole oko cioci nie dawało jej dużych szans.

Siedziałem przez kilka minut, rozmyślając nad ich przyszłością i swoją własną, znacznie trudniejszą do przewidzenia. Następny pociąg przychodził dopiero o dwunastej trzydzieści z Birmingham. Czy miałem nawiązać kontakt na stacji? Czy też powinienem pojechać do Oksfordu i tam szukać kontaktu? Pamiętałem niejasno, że pan Dunworthy mówił coś o dorożce. Czy powinienem wziąć keb[11] do miasta? „Kontakt", powiedział pan Dunworthy.

Drzwi budynku otwarły się gwałtownie i jakiś młody człowiek wyskoczył na peron z taką samą szybkością jak wcześniej bagażowy. Ubrany był podobnie do mnie, w białe flanelowe spodnie, miał również trochę krzywy wąsik i trzymał w ręku słomkowy kapelusz. Wybiegł na peron i szybkim krokiem przeszedł na sam koniec, wyraźnie kogoś szukając.

Mój kontakt, pomyślałem z nadzieją. Spóźnił się, dlatego go nie spotkałem. Jakby na potwierdzenie moich domysłów młodzieniec zatrzymał się, wyjął kieszonkowy zegarek i otworzył go jednym ruchem, z imponującą wprawą.

- Spóźniłem się - powiedział i zatrzasnął kopertę.

Jeśli był moim kontaktem, czy przedstawiłby się w ten sposób, czy raczej ja powinienem szepnąć: „Psst, przysłał mnie Dunworthy"? A może istniało hasło, na które powinienem znać odzew: „Rekin przypływa o północy", a ja odpowiadam: „Wróbel siedzi na świerku"?

Porównywałem właśnie zalety zdania: „Księżyc zachodzi we wtorek" z bardziej bezpośrednim: „Przepraszam, czy pan jest z przyszłości?", kiedy młodzieniec zawrócił, przeszedł obok, ledwie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem, dotarł na drugi koniec peronu i popatrzył na tory

- Powiadam - odezwał się wracając - czy dziesiąta pięćdziesiąt pięć z Londynu już przyjechał?

- Tak - potwierdziłem. - Odszedł pięć minut temu. Odszedł? Czy to był anachronizm? Może powinienem powiedzieć „odjechał"?

Chyba nie, ponieważ młodzieniec mruknął: „Wiedziałem”, nasadził kapelusz na głowę i wszedł do budynku.

Po chwili wrócił.

- Powiadam - zaczął - nie widziałeś pan przypadkiem dwóch starożytnych reliktów?

- Starożytnych reliktów? - powtórzyłem i poczułem się znowu jak na kiermaszu.

- Para antyków, co „żółtym, zwarzonym pokryły się liściem” - oznajmił. - Przygarbione i gderliwe ze starości. „Jesteś stary, mój ojcze, syn Williama rzekł” i tak dalej. Miały przyjechać tym pociągiem z Londynu. W bombazynie i dżetach, wyobrażam sobie. - Spostrzegł, że nie rozumiem. - Dwie damy w podeszłym wieku. Miałem na nie czekać. Nie przypuszczam, żeby przyjechały i odjechały, prawda? - zakończył, rozglądając się niepewnie.

Widocznie pytał o dwie damy, które dopiero co odjechały, chociaż był za młody na brata cioci, a Maud bynajmniej nie wyglądała na osobę w podeszłym wieku.

- Obie były starsze? - zapytałem.

- Zabytkowe. Raz już musiałem spotkać się z nimi, w trymestrze św. Michała. Widziałeś je pan? Jedna na pewno nosiła broszę i fichu. Druga to okropna stara panna, z ostrym nosem, nic, tylko sine pończochy i kwestia socjalna. Amelia Bloomer i Betsy Trotwood.[2]

Więc to nie one. Imiona się nie zgadzały, a pończochy wysiadające z pociągu były białe, nie sine.

- Nie - odparłem. - Nie widziałem ich. Widziałem młodą dziewczynę i...

Pokręcił głową.

- Nie moje panie. Moje są absolutnie przedpotopowe, o ile ktoś jeszcze wierzy w potop, rzecz jasna. Jak by je nazwał Darwin, pana zdaniem? Pre-pelazgijskie? Albo przed-trylobitowe? Pewnie znowu pomylił pociągi.

Podszedł do tablicy, sprawdził rozkład i zrobił minę pełną niesmaku.

- Do licha! - zawołał, kolejne wyrażenie, które napotkałem tylko w książkach. - Następny pociąg z Londynu przyjeżdża dopiero o trzeciej osiemnaście, a wtedy będzie za późno.

Trzepnął kapeluszem o nogawkę spodni.

- A więc to koniec - oświadczył. - Chyba że wyciągnę coś od Mags w Mitrze. Ona zawsze się połaszczy na koronę lub dwie. Wielka szkoda, że nie ma Cyryla. Ona lubi Cyryla.

Wsadził kapelusz z powrotem na głowę i wszedł do budynku.

Tyle z mojego kontaktu, pomyślałem. Do licha!

A następny pociąg przychodził dopiero o dwunastej trzydzieści sześć. Może miałem spotkać swój kontakt tam, gdzie przeskoczyłem, może powinienem zabrać bagaże i wrócić do tamtego miejsca na torach. Jeśli je znajdę. Powinienem był zaznaczyć miejsce szalikiem.

A może miałem spotkać się z nim nad rzeką? Albo wypłynąć mu na spotkanie? Mocno zacisnąłem powieki. Pan Dunworthy mówił coś o Kolegium Jezusa. Nie, rozmawiał z Finchem o zapasach. Powiedział: „To są twoje instrukcje”, a potem coś o rzece, coś o krokiecie i Disraelim i... Zaciskałem powieki, starając się pobudzić pamięć.

- Powiadam - odezwał się głos - przepraszam, że przeszkadzam. Otworzyłem oczy. Zobaczyłem młodego człowieka, który spóźnił się na spotkanie ze starożytnymi reliktami.

- Powiadam - powtórzył - pan przypadkiem nie wybierasz się na rzekę? No, rzecz jasna, to znaczy, panama, blezer, flanelowe spodnie, nie ubrałeś się pan tak na egzekucję, nieprawdaż, a o tej porze roku w Oksfordzie nie ma nic innego do roboty. Brzytwa Ockhama, jakby powiedział profesor Peddick. Chodziło mi o to, czy zamierzasz pan popłynąć z przyjaciółmi albo z jakimś towarzystwem, czy też płyniesz Pan sam?

- No... - zacząłem, zastanawiając się, czy on jednak nie jest moim kontaktem, a cała rozmowa nie

stanowi jakiegoś skomplikowanego szyfru.

- Powiadam - zaczai znowu - źle się do tego zabrałem. Nawet nie byliśmy sobie należycie przedstawieni. - Przełożył kapelusz do lewej ręki i wyciągnął prawą. - Terence St. Trewes.

Uścisnąłem mu dłoń.

- Ned Henry - powiedziałem.

- W jakim jesteś kolegium?

Właśnie próbowałem sobie przypomnieć, czy pan Dunworthy wymienił nazwisko Terence St. Trewes, toteż pytanie całkowicie mnie zaskoczyło.

- Balliol - odpowiedziałem na chybił trafił w nadziei, że on uczęszczał do Brasenose albo do Keble.

- Wiedziałem - zawołał uszczęśliwiony Terence. - Zawsze można rozpoznać kogoś z Balliol. To wpływ Jowetta. Kto jest twoim tutorem?

Kto wykładał w Balliol w 1888 roku? Jowett, ale on nie przyjmował żadnych uczniów. Ruskin? Nie, on był w Christ Church. Ellis?

- Byłem chory w tym roku - odparłem, decydując się na bezpieczne rozwiązanie. - Wracam znowu na jesieni.

- A w międzyczasie lekarz doradził ci wycieczkę po rzece dla zdrowia. Świeże powietrze, ćwiczenia fizyczne, spokój i te wszystkie brednie. I reszta, która „zwikłane węzły trosk rozplata".

- Tak, właśnie - potwierdziłem, zastanawiając się, skąd o tym wiedział. Może jednak był moim kontaktem. - Lekarz wysłał mnie dzisiaj rano - dodałem na wypadek, gdyby był i czekał na mój znak. - Z Coventry.

- Coventry? Tam jest pochowany św. Tomasz Becket, prawda? „Kto mnie uwolni od tego buntowniczego kapłana?"

- Nie - zaprzeczyłem. - On jest w Canterbury.

- Więc co jest w Coventry? - Rozpromienił się. - Lady Godiva - oznajmił. - I Tom Podglądacz.

Nie, on nie był moim kontaktem. A jednak przyjemnie żyć w czasach, kiedy ludzie mieli takie skojarzenia z Coventry, zamiast zburzonej katedry i lady Schrapnell.

- Sprawa jest taka - zaczął Terence, siadając obok mnie na ławce. - Cyryl i ja planowaliśmy wypłynąć dzisiaj rano, wynająłem łódź, dałem dziewiątaka zadatku i wszystkie rzeczy spakowałem, aż tu profesor pyta mnie, czy mogę odebrać z dworca jego wiekowe krewne, ponieważ on musi pisać o bitwie pod Salaminą. No, nie odmawia się własnemu tutorowi, nawet kiedy człowiek diabelnie się spieszy, zwłaszcza że tak byczo postąpił w tej historii ze Świętem Męczenników, nic je powiedział mojemu ojcu i w ogóle, więc zostawiłem Cyryla przy moście Folly, żeby pilnował rzeczy, na wszelki wypadek, żeby Jabez nie wynajął nikomu naszej łodzi, co już zrobił przy kilku okazjach, na przykład wtedy, kiedy siostra Rushforta przyjechała na regaty, nawet pomimo depozytu, i musiała iść piechotą do St. Aldate's. Wiedziałem, że się spóźnię, więc kiedy dotarłem do Pembroke, wziąłem dorożkę. Miałem tylko tyle co na łódź, ale liczyłem, że starożytne relikty dołożą się do puli. Tylko że on pomylił pociągi, a ja nie mogę podjąć ani grosza z pensji na przyszły kwartał, bo postawiłem wszystko na Befsztyka w Derby, a Jabez z niewiadomych powodów nie chce udzielać kredytu studentom. I tak utknąłem tutaj niczym Mariana na Południu, a Cyryl tam siedzi „uśmiech śląc swemu cierpieniu, jak Cierpliwości posąg na cokole".

Spojrzał na mnie wyczekująco.

Co najdziwniejsze, chociaż to było znacznie gorsze od kiermaszów i nie zrozumiałem dwóch trzecich jego przemowy ani żadnych literackich aluzji, dotarła do mnie główna treść: zabrakło mu pieniędzy na łódź.

A zatem jedno wiedziałem na pewno: on nie był moim kontaktem. Był zwykłym studenciną bez grosza. Albo jednym z „rozbójników" cioci, którzy kręcą się na stacjach kolejowych, wciągają ludzi w rozmowę i próbują wyłudzić pieniądze. Albo gorzej.

- Cyryl nie ma pieniędzy? - zapytałem.

- Boże wielki, nie - odparł, wyciągając nogi przed siebie. - On nigdy nie miał ani szylinga. Więc tak sobie pomyślałem, skoro planujesz wycieczkę po rzece i skoro się spotkaliśmy, moglibyśmy połączyć nasze zasoby, jak Speke i Burton, tylko że oczywiście źródła Tamizy już zostały odkryte, a zresztą i tak nie popłyniemy w górę rzeki. I nie zagrażają nam żadne dzikusy ani muchy tse-tse. Cyryl i ja zastanawiamy się czy zechciałbyś popłynąć z nami.

- Trzech panów w łódce - wymamrotałem, żałując, że on nie jest moim kontaktem. „Trzech panów w łódce" zawsze należała do moich ulubionych książek, zwłaszcza ten rozdział, kiedy Harris zabłądził w labiryncie w Hampton Court.

- Cyryl i ja płyniemy w dół rzeki - ciągnął Terence. - Myśleliśmy, żeby zrobić przyjemną wycieczkę do Muchings End, ale możemy zaczyniać się wszędzie, gdzie zechcesz. W Abingdon są ładne ruiny. Cyryl uwielbia ruiny. Albo jest opactwo Bisham, gdzie Anna of Cleves [3] czekała na rozwód. Albo jeśli wolisz po prostu dryfować po rzece, ciesząc się „prądem, co szemrze łagodnie", możemy po prostu dryfować.

Nie słuchałem. Muchings End, powiedział i jak tylko usłyszałem tę nazwę, od razu ją rozpoznałem. Miałem nawiązać z kimś kontakt i na pewno to był on. Jego aluzje do rzeki i zaleceń mojego lekarza, jego krzywy wąsik i identyczny blezer nie mogły stanowić zwykłego zbiegu okoliczności.

Chociaż nie rozumiałem, dlaczego po prostu nie powiedział mi, kim jest. Na peronie poza nami nikogo nie było. Spojrzałem w okno budynku, żeby sprawdzić, czy zawiadowca nie podsłuchuje, ale nic nie zobaczyłem. Chyba że on zachowywał ostrożność na wypadek, gdybym to ja nie był właściwą osobą.

- Ja... - zacząłem, nagle jednak drzwi budynku otwarły się i na peron wyszedł tęgi jegomość w średnim wieku, w meloniku, z podkręconym wąsem. Uchylił melonika, mruknął coś niezrozumiałego i podszedł do tablicy informacyjnej. - Bardzo chciałbym popłynąć z wami do Muchings End - dokończyłem, kładąc nacisk na ostatnie słowa. -I wycieczka po rzece będzie przyjemną odmianą po Coventry.

Sięgnąłem do kieszeni spodni, próbując sobie przypomnieć, co Finch zrobił z portfelem pełnym pieniędzy.

- Ile potrzebujesz na wynajęcie łodzi?

- Trzydzieści i szóstkę - odparł. - To za cały tydzień. Wyłożyłem już dziewiątaka.

Portfel znajdował się w kieszeni blezera.

- Nie jestem pewien, czy zabrałem dosyć pieniędzy - powiedziałem, wysypując na dłoń banknot i monety.

- To wystarczy, żeby kupić całą łódź - stwierdził Terence. - Albo Koh-i-noora. To twoje manatki? - zapytał, pokazując stertę bagażu.

- Tak - przyznałem i sięgnąłem po walizę, ale on już chwycił ją i pudło obwiązane sznurkiem do jednej ręki, a do drugiej torbę i prostokątny kosz. Złapałem drugie pudło, okrągły kosz i sakwojaż i ruszyłem za nim.

- Kazałem dorożkarzowi zaczekać - oznajmił Terence, schodząc po stopniach, ale przed stacją nie było nikogo oprócz łaciatego kundla, który leniwie drapał się w ucho tylną łapą. Nie zwrócił uwagi na Terence'a, a ja znowu poczułem przypływ radości na myśl, że znalazłem się o całe łata od złych psów i zestrzelonych pilotów Luftwaffe, spokojniejszej, powolniejszej, bardziej przyzwoitej epoce. -

Nieokrzesany prostak - fuknął Terence. - Kazałem mu zaczekać. Będziemy musieli znaleźć keb na Cornmarket.

Kundel zmienił pozycję i zaczął sobie wylizywać intymne części ciała. No dobrze. Nie całkiem przyzwoitej.

I nie takiej powolnej.

- No więc chodźmy - rzucił Terence. - Nie ma czasu do stracenia - i ruszył niemal galopem po Hythe Bridge Street.

Podążałem za nim najszybciej, jak mogłem, biorąc pod uwagę bagaż oraz Hythe Bridge Street, która była niebrukowana i pełna wybojów. Musiałem bardzo uważać, żeby się nie potknąć i nie upuścić rzeczy.

- No chodź - ponaglił mnie Terence, zatrzymując się na szczycie wzgórza. - Już prawie południe.

- Idę - wysapałem, poprawiłem przekrzywiony kosz i wdrapałem się na wzgórze.

Na szczycie przystanąłem i zagapiłem się z otwartą gębą, niczym nowy rekrut na kota. Znajdowałem się w Cornmarket, na przecięciu St. Aldate i High, pod średniowieczną wieżą.

Stałem tutaj setki razy, czekając na przerwę w ruchu. Ale wtedy byłem w Oksfordzie dwudziestego pierwszego wieku, z turystycznymi centrami handlowymi i stacjami metra.

To, to był prawdziwy Oksford „ze słońcem na wieżach", Oksford Newmana, Lewisa Carrolla i Toma Browna. Oto ulica Główna, skręcająca do kolegiów Queen's i Magdaleny, Biblioteka Bodleiańska z wysokimi oknami i książkami na łańcuchach, a dalej Radcliffe Camera 1 Teatr Sheldona. A tam, na rogu Broad, stał Balliol w całej krasie. Balliol Matthew Arnolda, Gerarda Manleya Hopkinsa i Asquitha. Za tymi murami wielki Jowett o rozwianych siwych włosach i potężnym glosie mówił studentowi: „Nigdy nie wyjaśniaj. Nigdy nie przepraszaj".

Zegar na wieży Cornmarket wybił wpół do dwunastej i zawtórowały mu wszystkie dzwony Oksfordu. St. Mary The Virgin i Wielki Tom z Christ Church, i srebrzysty kurant Magdaleny daleko na Głównej.

Oksford, a ja tutaj byłem. W „mieście przegranych spraw", gdzie wciąż rozbrzmiewały „ostatnie echa średniowiecza".

- „To cudne Miasto o sennych iglicach" - zacytowałem, a w następnej chwili o mało nie potrącił mnie mechaniczny pojazd.

- Skacz! - krzyknął Terence, chwycił mnie za ramię i odciągnął z drogi. - Te wehikuły są wyjątkowo groźne - dodał, odprowadzając pojazd tęsknym wzrokiem. - Nigdy nie znajdziemy dorożki w tym bałaganie. Lepiej chodźmy piechotą.

Zanurkował w ciżbę kobiet o znękanym wyglądzie, odzianych w fartuchy i dźwigających kosze z zakupami, mamrocząc „przepraszam" i dotykając teczką ronda kapelusza. Przepychałem się za nim przez tłum na Cornmarket, obok sklepów i straganów z warzywami. Zerknąłem w okno kapelusznika na swoje odbicie i stanąłem jak wryty. Kobieta z koszem pełnym kapusty wpadła na mnie, po czym wyminęła mnie, burcząc gniewnie, ale ledwie ją zauważyłem.

W laboratorium nie było luster, a ja prawie nie zwracałem uwagi na strój, w który przebrała mnie Warder. Nie miałem pojęcia, że wyglądam jak wzorowy okaz wiktoriańskiego dżentelmena, wybierającego się na wycieczkę łodzią. Sztywny kołnierzyk, schludny blezer i białe flanelowe spodnie. Nad tym wszystkim - słomkowy kapelusz. Czasami jakaś część garderoby pasuje do człowieka jak ulał, a ja najwyraźniej zostałem stworzony, żeby nosić ten kapelusz. Była to panama z jasnej słomki, o płaskim denku, opasana błękitną wstążką; wyglądałem w niej zawadiacko i beztrosko, co w połączeniu z wąsikiem wywierało piorunujący efekt. Nic dziwnego, że ciocia tak stanowczo wyprowadziła Maud z peronu.

Po dokładniejszej inspekcji mój wąsik okazał się lekko przekrzywiony, oczy zaś miały szklisty, nieprzytomny wyraz typowy dla dyschronii, ale to mogłem szybko naprawić, natomiast ogólnie wywierałem nadzwyczaj korzystne wrażenie, jeśli chodzi o...

- Co ty wyprawiasz, czemu stoisz jak baran? - zawołał Terence i chwycił mnie za ramię. - Chodźże wreszcie!

Pociągnął mnie na drugą stronę Carfax i w dół ulicą St. Aldate. Po drodze zabawiał mnie wesołą pogawędką.

- Uważaj na szyny tramwajowe. Potknąłem się o szynę w zeszłym; tygodniu. Jeszcze gorsze dla powozów, akurat odpowiedni rozmiar, żeby zaczepić o koło i powóz leży. No, w każdym razie ja leżałem i całe szczęście, że jechał tylko chłopski wóz zaprzężony w muła starego jak Matuzalem, inaczej niechybnie spotkałbym swojego Stwórcę. Wierzysz w szczęśliwe przypadki?

Przeszedł na drugą stronę ulicy. A tam był pub „Buldog" z wymalowanym szyldem, na którym gniewni proktorzy ścigają studenta, złociste mury Christ Church, i Wieża Toma. I ogrodzony murem ród dziekana, z którego dobiegały dziecięce śmiechy. Alicja Liddel i jej siostry? Z zamierającym sercem próbowałem sobie przypomnieć, kiedy Charles Dodgson napisał „Alicję w Krainie Czarów".

Nie wcześniej, w latach sześćdziesiątych. Ale tam, po drugiej stronie ulicy był sklep, gdzie Alicja kupowała słodycze od owcy.

- Jeszcze przedwczoraj sam nie wierzyłem w szczęśliwe przypadki - ciągnął Terence, mijając ścieżkę na Błonia Christ Church. - Ale od wczorajszego popołudnia wierzę głęboko. Tyle się zdarzyło. Profesor Peddick pomylił pociągi, no i spotkałem ciebie, chociaż mogłeś pojechać całkiem gdzie indziej, albo nie mieć pieniędzy na łódź, albo zmienić zdanie, i co byśmy wtedy poczęli z Cyrylem? „Los ciągnie za sznur, a ludzie pląsają jak dzieci, lecz gwiazda pomyślności tam na niebie świeci".

Obok nas zatrzymała się dorożka.

- Puwuz dlo jośnipanuf? - zagadnął woźnica kompletnie niezrozumiałym akcentem.

Terence potrząsnął głową.

- Zanim załadujemy bagaże, szybciej dojdziemy na piechotę. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Miał rację. Zobaczyłem most Folly, tawernę i rzekę z mnóstwem łodzi przycumowanych do brzegu.

- „Nie rządząc sobą, mam w Losie obronę: niechaj się stanie to, co przeznaczone" - wydeklamował Terence, wchodząc na most. - Idziemy spotkać swoje przeznaczenie.

Zszedł po stopniach do przystani.

- Jabez - zawołał do mężczyzny stojącego na brzegu. - Chyba nie wynająłeś naszej łodzi?

Jabez wyglądał jak postać z „Olivera Twista". Miał niechlujną brodę i bardzo niemiłe maniery. Kciuki zatknął za parę nieprawdopodobnie brudnych szelek, a ręce miał, o ile to możliwe, jeszcze brudniejsze. U jego stóp leżał olbrzymi biało-brązowy buldog, wsparłszy łydką spłaszczoną mordę na przednich łapach. Nawet z tej odległości widziałem potężne łopatki i wojowniczo wysuniętą szczękę psa.

Bill Sikes w „Oliverze Twiście" miał buldoga, prawda?

Nie dostrzegłem ani śladu przyjaciela Terence'a imieniem Cyryl, więc powziąłem podejrzenie, że Jabez do spółki z psem zamordowali go i wrzucili do rzeki.

Terence, paplając niefrasobliwie, pospieszył w stronę łodzi. I potwora. Szedłem za nim ostrożnie, trzymając się z tylu z nadzieją, że pies zignoruje nas podobnie jak kundel na stacji, ale gdy tylko nas zobaczył, usiadł czujnie.

- Jesteśmy - zawołał wesoło Terence, a buldog rzucił się pędem w naszym kierunku.

Z hukiem upuściłem pudło i sakwojaż, przycisnąłem wiklinowy kosz do piersi jak tarczę i

rozejrzałem się rozpaczliwie za kijem.

Buldog rozdziawił w biegu szeroką paszczę, ukazując kły długie na stopę oraz szeregi zębów jak u rekina. Podobno w dziewiętnastym wieku buldogi hodowano do walki. Walczyły z bykami, stąd wzięła się ich nazwa. Skakały bykowi do gardła i wieszały się na szyi. Stąd się wzięły te płaskie nosy i masywne szczęki. Wyhodowano psy ze spłaszczonymi pyskami, żeby mogły oddychać nie puszczając ofiary.

- Cyryl! - krzyknął Terence, ale nikt nie przyszedł nam na ratunek, a pies śmignął obok niego i rzucił się na mnie.

Wypuściłem okrągły kosz, który potoczył się w stronę rzeki. Terence skoczył za nim. Buldog zawahał się, a potem znowu przyspieszył.

Nigdy nie rozumiałem, dlaczego królik stoi w miejscu jak zahipnotyzowany i patrzy na atakującego węża, teraz jednak odkryłem, że królik nie ucieka, ponieważ wąż porusza się w niezwykły sposób.

Buldog pędził prosto na mnie, ale raczej toczył się, niż biegł, posuwając się jakby skosem, więc chociaż zmierzał prosto do mojego gardła, jednocześnie zbaczał w lewo tak wyraźnie, że pomyślałem: „Nie trafi”, a zanim uświadomiłem sobie pomyłkę, było już za późno na ucieczkę.

Buldog skoczył na mnie, a ja upadłem, osłaniając gardło obiema rękami i żałując, że nie okazałem Carruthersowi więcej współczucia.

Buldog oparł przednie łapy na moich ramionach i przysunął szeroki pysk na cal do mojej twarzy.

- Cyryl! - powtórzył Terence, ale nie odważyłem się odwrócić głowy, żeby zobaczyć, gdzie on jest. Miałem tylko nadzieję, że jest uzbrojony.

- Dobry piesek - powiedziałem do buldoga bez przekonania.

- Ten twój kosz mało nie utonął - oznajmił Terence, wchodząc w moje pole widzenia. - Mój najlepszy chwyt od meczu z Harrow w osiemdziesiątym czwartym.

Postawił kosz na ziemi obok mnie.

- Czy mógłbyś... - wychrypiałem, ostrożnie zdjąłem jedną rękę z szyi i wskazałem psa.

- Och, oczywiście, jakiż jestem bezmyślny - zreflektował się Terence. - Wy dwaj nie zostaliście sobie należycie przedstawieni. Przykucnął obok nas.

- To jest pan Henry - powiedział do buldoga - najnowszy członek naszej wesołej drużyny i nasz finansowy zbawca.

Buldog rozdziawił potężną paszczę w szerokim, zaślinionym uśmiechu.

- Ned - powiedział Terence - pozwól, że przedstawię ci Cyryla.

Odezwał się Jerzy – Wybierzemy się w górę Tamizy – Będziemy mieli (mówił) świeże powietrze, gimnastykę i spokój. Stała zmiana krajobrazu zajmie nasze umysły (nie wyłączając tego co mieści się w głowie Harrisa). Ciężka praca pobudzi apetyt i sprawi że będziemy dobrze spali

Jerome K. Jerome, „Trzech panów w łódce”

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wytrwałość i zawziętość buldogów - Rodzinne drzewo Cyryla - Więcej bagażu -Terence pakuje - Jabez pakuje -Jazda konna - Błonia Christ Church - Różnica pomiędzy poezją a prawdziwym życiem - Miłość od pierwszego wejrzenia - Tadż Mahal - Przeznaczenie - Plusk - Darwin - Ocalenie z wodnej otchłani - Wymarły gatunek - Siły natury - Bitwa pod Blenheim – Wizja

- Jak się masz, Cyrylu? - powiedziałem, nie próbując wstać. Czytałem gdzieś, że każdy nagły ruch może te psy sprowokować do ataku. Czy może chodziło o niedźwiedzie? Pożałowałem, że Finch nie dostarczył mi taśmy o buldogach zamiast o kamerdynerach. Dzisiejsze buldogi mają zajęcze serca. Ulubieniec Oriel to sympatyczny wałkoń, który po całych dniach wyleguje się przed budką portiera w nadziei, że ktoś przyjdzie go pogłaskać.

Ale to był dziewiętnastowieczny buldog, a nazwa „buldog" wywodzi się ze średniowiecznych igrzysk, gdzie byka (buli) szczuto psami (dog). Czarujące widowisko, kiedy buldogi, specjalnie hodowane ze względu na wytrwałość i bojowe usposobienie, wgryzały się w tętnice szyjne, a rozzłoszczony tym - co zrozumiałe - byk próbował stratować psy i/albo wziąć je na rogi. Kiedy zakazano szczucia byków? Na pewno przed 1888 rokiem. Lecz kto wie, ile potrzeba czasu, żeby wykorzenić z buldogów tę srogą zawziętość?

- Bardzo się cieszę z naszej znajomości, Cyrylu - powiedziałem

Cyryl wydał dźwięk, który zabrzmiał jak warknięcie. Albo beknięcie.

- Cyryl pochodzi z doskonałej rodziny - oznajmił Terence, wciąż przykucnięty obok moich niedoszłych zwłok. -Jego ojcem był Dan Diabeł po Meduzie. Jego prapradziadkiem był Egzekutor. Jeden z najsłynniejszych pogromców byków. Nigdy nie przegrał walki.

- Naprawdę? - zapytałem słabo.

- Prapradziadek Cyryla pokonał Srebrnołapego. - Pokręcił głową z podziwem. - Ośmiusetfuntowego niedźwiedzia grizzly. Capnął go za pysk i nie puścił przez pięć godzin.

- Ale już straciły tę bojowość i zawziętość? - zapytałem z nadzieją.

- Bynajmniej - odparł Terence. Cyryl znowu warknął.

- Wcale nie uważam, że wykazywały takie cechy - ciągnął Terence - najwyżej pod przymusem. W pazurach niedźwiedzia każdy walczy zażarcie, moim zdaniem. Nie uważasz, Cyrylu?

Cyryl ponownie wydał niski pomruk, który tym razem zdecydowanie przypominał beknięcie.

- Złote serce miał ten Egzekutor, tak mówią. Pan Henry płynie z nami na wycieczkę, Cyrylu - oznajmił, chociaż buldog nadal przyciskał mnie do ziemi i dokładnie obśliniał - jak tylko załadujemy łódź i uładzimy się z Jabezem. - Wyciągnął kieszonkowy zegarek i trzasnął kopertą. - Chodź, Ned. Już prawie za kwadrans dwunasta. Później możesz pobawić się z Cyrylem.

Podniósł oba pudła i ruszył do przystani. Cyryl, wyraźnie chętny do pomocy, zlazł ze mnie i poczłapał do kosza, żeby go obwąchać. Podniosłem się, uratowałem kosz i poszedłem za Terence'em nad rzekę.

Jabez stal na przystani obok wielkiej kupy bagaży, z ramionami obronnie skrzyżowanymi na piersi.

- Oni myślą, że im pomogę załadować łódź, zanim zapłacą - powiedział w przestrzeń - ale Jabez zna się na takich sztuczkach. - Podjął mi pod nos imponująco brudną rękę. - Cztery szóstki.

Nie miałem zielonego pojęcia, co to znaczy, podobnie jak „dziewiątak".

- Masz - wręczyłem Terence'owi portfel - ty się z nim dogaduj a ja przyniosę resztę bagażu.

Zabrałem walizę i sakwojaż, które stoczyły się ze schodów, kiedy Cyryl mnie przewrócił, i zaniosłem je na przystań. Cyryl grzecznie truchtał obok mnie.

Terence stał w łodzi, ciemnozielonej, obłażącej z farby, z nazwą „Victory” wymalowaną przez szablon na dziobie. Łódź była zniszczona, lecz duża, co dobrze się składało, ponieważ góra bagaży na brzegu najwyraźniej należała do Terence’a.

- Ślicznotka, prawda? - powiedział Terence, wziął ode mnie walizę i wepchnął pod środkową ławkę. - Załadujemy ją migiem i zaraz wypływamy.

Załadunek potrwał jednak trochę dłużej. Ułożyliśmy na dziobie bagaż Terence’a, który składał się z dużego kuferka, dwóch pudeł, nesesera, trzech wiklinowych koszów, drewnianej skrzynki, blaszanej puszki, zrolowanych dywaników i dwóch wędek, a mój ustawiliśmy na rufie. W ten sposób całkowicie zapełniliśmy łódź, więc musieliśmy wyjąć wszystko i zacząć od nowa.

- Trzeba podejść do tego naukowo - oświadczył Terence. - Najpierw duże przedmioty, potem wypełnić luki mniejszymi.

Tak zrobiliśmy, zaczynając od kuferków, a kończąc na dywanikach, które rozwinęliśmy i upchnęliśmy w rogach. Tym razem na środku zostało wolne miejsce szerokości około stopy. Cyryl natychmiast wlazł tam i rozłożył się wygodnie.

Czułem, że powinienem zaproponować pozostawienie części moich bagaży na brzegu, ponieważ jednak nie wiedziałem, co w nich jest, postanowiłem nie ryzykować.

- Wiedziałem, że trzeba było zabrać Dawsona - oznajmił Terence. - Dawson potrafi dokonać cudów przy pakowaniu.

Zakładałem, że Dawson to jego lokaj. Z drugiej strony całkiem możliwe, że Dawson był jego ulubionym szopem.

- Kiedy wyjeżdżałem do Oksfordu, zdołał pomieścić wszelkie ziemskie dobra Cyryla i moje w jednym kufrze i jeszcze zostało miejsce. Oczywiście gdybym go zabrał, musielibyśmy uwzględnić także jego bagaż. I jego samego. - Zmierzył bagaże taksującym wzrokiem. A *m*oże gdyby zacząć od najmniejszych rzeczy...

W końcu zaproponowałem, żeby wręczyć Jabezowi napiwek w postaci następnego dziewiątaka (cokolwiek to znaczyło) i poprosić go o pomoc. Zabrał się do roboty, ubijając i ugniatając nasze rzeczy przy użyciu brutalnej siły, czemu towarzyszył gniewny monolog.

- Każą Jabezowi czekać pół dnia na jego pieniądze - mamrotał, wpychając torbę pod ławkę - a potem chcą, żeby załadował łódź jak zwykły służący. A potem stoją i patrzą się na niego jak para głupców. Patrzyliśmy. Przynajmniej ja patrzyłem. Obserwowałem go z pewnego rodzaju niezdrową fascynacją. Najwyraźniej z niego nie wykorzeniono srogiej zawziętości. Miałem nadzieję, że do pudeł nie zapakowano żadnych kruchych przedmiotów. Cyryl, wygnany z łodzi, wrócił do obwąchiwania okrągłego wiklinowego kosza, który widocznie zawierał żywność. Terence wyciągnął kieszonkowy zegarek i zapytał Jabeza, czy nie mógłby pakować szybciej, co wydało mi się wyjątkowo nierozważne.

- Szybciej, powiada - burknął Jabez, miażdżąc bok pudła Terence’a. - Gdyby nie zabrali ze sobą całego dobytku, poszłoby szybciej, a jakże. Pewnie wyruszają na poszukiwanie źródeł Nilu. Jak łódka zatonie, dobrze im tak.

Wreszcie, po wielu groźnych pomrukach i nieznacznym wgnieceniu nesesera, Jabezowi udało się wszystko upchnąć. Nie podszedł do tego naukowo, a sterta na dziobie wyglądała, jakby mogła przewrócić się w każdej chwili, ale przynajmniej zostało miejsce dla nas trzech.

- Zgodnie z rozkładem - oznajmił Terence, zatrzasnął zegarek i zstąpił do łodzi. - Dalej, druhowie, odbijamy. Zwijajcie się żywo.

Cyryl wlazł do łodzi, uwalił się na pokładzie i zasnął.

- Ahoj, Ned - zawołał Terence. - Czas odpłynąć.

Ruszyłem do łodzi, ale Jabez zastąpił mi drogę i wyciągnął rękę po napiwek. Dałem mu szylinga, widocznie za dużo, ponieważ rozpłynął się w szczerbatym uśmiechu i natychmiast się cofnął, a ja wszedłem do łodzi.

- Witamy na pokładzie - powiedział Terence. - Ten pierwszy kawałek jest dość trudny do nawigacji. Ty wiosłuj na początek, a ja będę sternikiem.

Kiwnąłem głową, usiadłem przy wiosłach i obejrzałem je z powątpiewaniem. Wiosłowałem trochę w szkole, ale tylko automatycznie koordynowanymi treningówkami. Te wiosła były drewniane i ważyły tonę. W dodatku chyba nie miały żadnego połączenia. Kiedy próbowałem poruszyć nimi jednocześnie, jedno płasko uderzyło w wodę a drugie nawet jej nie dosięgło.

- Przepraszam - powiedziałem, próbując jeszcze raz. - Nie wiosłowałem za wiele od czasu choroby.

- Przypomnisz sobie - pocieszył mnie wesoło Terence. - To jak jazda konna.

Za drugim razem zanurzyłem oba wiosła w wodzie, ale nie mogłem ich wyciągnąć. Naparłem z całych sił, jakbym dźwigał belkę w katedrze Coventry, i zalałem łódź fontanną wody.

- Para głupców! - odezwał się Jabez do nikogo w szczególności. - Jeszcze nigdy nie pływali łódką. Utoną, zanim dojadą do Iffley, i co wtedy będzie z łódką Jabeza?

- Powiadam, lepiej ja powiosłuję na początek - zaproponował Terence, zamieniając się ze mną miejscami - a ty steruj.

Chwycił wiosła, zręcznie zanurzył je razem w wodzie i wyciągnął prawie bez plusku.

- Tylko dopóki nie miniemy tego trudnego kawałka. „Trudny kawałek" za mostem okazał się prawdziwym lasem skifów, pychówek i lodzi wiosłowych, plus dwie wielkie barki pomalowane na żółto i czerwono. Terence energicznie wiosłował obok nich, wykrzykując do mnie rozkazy, żebym wyprostował rumpel, co próbowałem zrobić, ale łódź, podobnie jak Cyryl, wykazywała wyraźną tendencję do zbaczania w lewo. Pomimo moich największych wysiłków wciąż dryfowaliśmy w stronę jakichś wierzb i murów.

- Trzymaj na sterburtę - krzyczał Terence - na sterburtę!

Nie miałem pojęcia, co to jest sterburta, ale eksperymentalnie pociągnąłem za linki steru i mniej więcej wyrównałem kurs. Tymczasem łódź minęła już trudny kawałek i znalazła się naprzeciwko rozległej łąki.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że patrzę na Błonia Christ Church, chociaż nie takie, jakie znałem. Bez gapiów, bez rusztowań, bez łopoczących płacht plastiku. Bez katedry wznoszącej się ze zwałów czerwonego piaskowca, zaprawy murarskiej i dachówek. Bez robotników wykrzykujących rozkazy do robotów murarskich. Bez pikiet protestujących przeciwko zniszczeniu środowiska, atmosfery, sylwetki Oksfordu i wszystkiego w ogólności.

Trzy krowy spokojnie przeżuwały paszę tam, gdzie teraz stała zachodnia wieża uwieńczona iglicą, okutana w błękitny plastik i czekająca, aż lady Schrapnell i Rada Miejska Coventry zakończą negocjacje w sprawie dzwonu.

Obok krów biegła wydeptana ścieżka, prowadząca w stronę miodowych murów Christ Church, po której spacerowali dwaj oksfordzcy donowie, pochyliwszy ku sobie głowy, dyskutując o filozofii lub poezji Ksenofonta.

Po raz kolejny zaciekawiło mnie, jakim sposobem lady Schrapnell zdołała ich przekonać, żeby pozwolili jej tam budować. W dziewiętnastym wieku miasto przez trzydzieści lat próbowało zbudować zwykłą drogę przez Błonia Christ Church, zanim ostatecznie przegrało z uniwersytetem, później zaś, kiedy metro dotarło do Oksfordu, na samą wzmiankę o zlokalizowaniu tam stacji podniósł się jeszcze większy krzyk.

Lecz fizycy temporalni dotarli w swoich badaniach do punktu, skąd nie mogli posunąć się dalej bez zbudowania precyzyjnego strukturalnego oscylatora nuklearnego. I nie mieli szans na finansowe wsparcie międzynarodowych korporacji, które straciły zainteresowanie podróżami w czasie przed czterdziestu laty, kiedy dowiedziały się, że nie mogą splądrować i zgwałcić przeszłości. Ani grosza również na budynki, stypendia czy pensje. Ani grosza, kropka. A lady Schrapnell była kobietą niezwykle upartą i niezwykle bogatą. I zagroziła, że przekaże pieniądze do Cambridge.

- Nie, nie - mówił Terence - sterujesz prosto na brzeg! Pospiesznie pociągnąłem za linki i nakierowałem łódź z powrotem w główny nurt.

Przed nami leżały przystanie kolegiów i zielony łuk ujścia Cherwell, a dalej szara wieża Magdaleny i długie zakole Tamizy. Niebo nad głowami było przejrzyście błękitne, na horyzoncie błyszczały w słońcu skłębione białe obłoki. Pod przeciwległym brzegiem rosły lilie wodne, a woda między nimi była brązowa, czysta i głęboka jak oczy nimfy Waterhouse'a.

- „Brązowy nurt rzeki, złoty piach na dnie" - zacytowałem, a potem zaniepokoiłem się, czy to aby zostało napisane przed 1888 rokiem.

- „Płynie w świat daleki, hen, przez lasy mknie" - podchwycił Terence, więc widocznie zostało. - Chociaż właściwie nie ma lasów. Za tym odcinkiem są tylko pola aż do Iffley. I oczywiście rzeka nie płynie w świat daleki, tylko do Londynu. W tym cały kłopot z poezją, zawsze jest niedokładna. Weźmy Panią na Shalott. „Zdjęła łańcuch, legła w łodzi, prąd ją poniósł w dal po wodzie". Leży w łódce i płynie z prądem rzeki do Kamelot, a przecież to niemożliwe. To znaczy, nie można sterować na leżąco, prawda? Utknęłaby w trzcinach ćwierć mili dalej. Przecież Cyryl i ja zawsze mamy kłopoty z utrzymaniem łodzi na prostym kursie, chociaż wcale nie leżymy na dnie, skąd niczego nie widać.

Miał rację. Prawdę mówiąc, znowu dryfowaliśmy prosto na brzeg, który w tym miejscu osłaniały zwieszające się nisko gałęzie kasztanów o bujnym ciemnozielonym listowiu.

- Skręcaj na sterburtę - rzucił niecierpliwie Terence.

Pociągnąłem za linki i łódka ruszyła prosto na kaczkę, która siedziała w pływającym gnieździe z patyków i liści kasztana. Kaczka zakwakała i zatrzepotała skrzydłami.

- Na sterburtę! - zawołał Terence, wściekle młócąc wiosłami do tyłu. - Na prawo!

Łódź ominęła kaczkę i skierowała się z powrotem na środek.

- Nigdy nie zrozumiem, jak działa rzeka - wyznał Terence. - Jeśli komuś wpadnie do wody fajka albo kapelusz, nawet stopę od brzegu, od razu dryfuje na środek i płynie prosto do morza, a potem wokół Przylądka do Indii, co pewnie spotkało biedną Księżniczkę Ardżumand. Ale w łodzi, kiedy chcesz płynąć środkiem, bez ustanku i trafiasz na wiry i boczne prądy, tak że masz szczęście, jeśli nie wylądujesz na ścieżce holowniczej. Zresztą nawet jeśli Pani na Shalott nie utknęła w sitowiu, pozostaje kwestia kłódki. Na sterburtę, człowieku! Sterburta, nie w lewo!

Z trzaskiem otworzył zegarek, spojrzał na tarczę i zaczął wiosłować jeszcze energiczniej, od czasu do czasu pokrzykując na mnie, żebym trzymał kurs na sterburtę.

Pomimo tych nieszczęsnych lewicowych skłonności naszej lodzi oraz narastających podejrzeń, że dostałem się pod komendę drugiego kapitana Bligha[4], nareszcie zacząłem się odprężać.

Spotkałem swój kontakt, który okazał się bardzo dobry - perfekcyjnie grał rolę oksfordzkiego studenta - i zbliżaliśmy się do Muchings End. Błonia Christ Church wyglądały jak zwykła łąka, a lady Schrapnell znajdowała się w odległości stu sześćdziesięciu lat.

Nadal nie mogłem sobie przypomnieć, co takiego miałem zrobić w Muchings End, ale fragmenty stopniowo powracały. Pamiętałem wyraźnie, że pan Dunworthy powiedział: Jak tylko go zwrócisz i mówił do Fincha: „Zadanie jest bardzo łatwe", i coś o nieistotnych obiektach. Nadal nie pamiętałem,

jaki nieistotny obiekt mam zwrócić, ale z pewnością znajdował się gdzieś w tej kupie bagażu na dziobie i gdyby inne środki zawiodły, mogłem zostawić to wszystko w Muchings End. A Terence pewnie wiedział. Zapytam go, jak tylko oddalimy się na bezpieczną odległość od Oksfordu. Najwyraźniej płynęliśmy na umówione spotkanie do Iffley, gdzie zapewne poznam szczegóły naszego planu.

Pomyślałem, że tymczasem powinienem wypocząć i wrócić do zdrowia po perypetiach z dyschronią, lady Schrapnell i tymi wszystkimi kiermaszami, oprzeć się wygodnie i przestrzegać zaleceń doktora oraz naśladować przykład Cyryla. Buldog przetoczył się na bok i chrapał zadowolony.

Jeżeli epoka wiktoriańska stanowiła idealny szpital, rzeka była idealnym oddziałem szpitalnym. Uzdrowicielskie ciepło słońca na karku, kojący chlupot wioseł, pogodna sceneria, mnóstwo zieleni, senne brzęczenie pszczół, chrapanie Cyryla i głos Terence'a.

- Weźmy Lancelota - perorował, wróciwszy do tematu Pani na Shalott. - Jedzie sobie na koniu w pełnej zbroi, w hełmie, z tarczą i lancą, i wyśpiewuje „Tirra-lirra". Tirra-lirra! Cóż to za piosenka dla rycerza? Tirra-lirra! A jednak - przyznał, przerywając wiosłowanie - dobrze opisał tę część o zakochaniu, chociaż trochę za bardzo dramatycznie, ten kawałek, jak „Szatę wiatr porwał do rzeki wprost, zwierciadło pękło w odłamków stos". Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia, Ned?

Wizerunek najady, wyżymającej mokry rękaw na dywan pana Dunworthy'ego, spontanicznie pojawił się przed moimi oczami, ale to był oczywisty efekt uboczny dyschronii, skutek zakłócenia równowagi hormonalnej.

- Nie - odpowiedziałem.

- Ja też do wczoraj nie wierzyłem - oświadczył Terence. - Ani w przeznaczenie. Profesor Overforce mówi, że nie ma czegoś takiego, że wszystko jest kwestią przypadku i ślepej szansy, ale skoro tak, to dlaczego wyszła nad rzekę akurat w tamtym miejscu? I dlaczego postanowiliśmy z Cyrylem popływać łódką, zamiast czytać Appiusza Klaudiusza? Tłumaczyliśmy *Negotium populo romano melius quam otium committi,* no wiesz, „Rzymianie rozumieją pracę lepiej niż lenistwo", i pomyślałem sobie, że właśnie dlatego upadło Imperium Rzymskie, rozumieli pracę lepiej niż lenistwo, a ja bynajmniej nie życzę sobie, żeby to samo spotkało kochane stare Imperium Brytyjskie, więc Cyryl i ja poszliśmy wynająć łódź i popłynęliśmy w stronę Godstow, i kiedy mijaliśmy ten zadrzewiony kawałek, usłyszałem głos słodki jak głos wróżki, wołający: „Księżniczko Ardżumand! Księżniczko Ardżumand!", więc spojrzałem na brzeg i tam ją ujrzałem, najpiękniejszą istotę pod słońcem.

- Księżniczkę Ardżumand? - upewniłem się.

- Nie, nie, dziewczynę, całą ubraną na różowo, ze złotymi lokami i cudną, słodką, śliczną buzią. Różane policzki i usta jak pączek róży, a jej nos! To znaczy, „Ona ma cudną twarz" po prostu nie wystarcza, chociaż czego można się spodziewać po kimś, kto jadąc na koniu wyśpiewuje „Tirra-lirra"? Siedziałem tam wsparty na wiosłach, lękając się poruszyć czy przemówić, żeby nie spłoszyć tego ducha lub anioła, a wtedy ona podniosła wzrok, ujrzała mnie i zapytała: „O panie, czyś nie widział przypadkiem kota?"

I było zupełnie tak samo jak w „Pani na Shalott", tylko bez klątwy i bez pękających zwierciadeł. W tym cały kłopot z poezją, ta skłonność do przesady. Wcale nie miałem ochoty położyć się na dnie łodzi i umrzeć, bo serce mi pękło. Szybko powiosłowałem do brzegu, wyskoczyłem na ląd i zapytałem ją, o jakiego kota chodzi i gdzie go widziała ostatnio. Ona mówi, czarny z białym pyszczkiem i najśliczniejszymi białymi łapkami, i że zginął dwa dni temu, więc boi się, że coś mu się stało, a ja na to, bez obawy, koty mają dziewięć żywotów. I właśnie wtedy przyzwoitka, która

okazała się jej kuzynką, nadeszła i skarciła ją za rozmawianie z obcymi, a ona powiedziała: „O, ale ten młodzieniec uprzejmie zaofiarował się z pomocą”, a kuzynka powiedziała: „To bardzo ładnie z pana strony, panie...” a ja powiedziałem St. Trewes, a ona powiedziała: „Jak się pan ma? Jestem panna Brown, a to jest panna Mering”, a potem odwróciła się do niej i powiedziała: „Tossie, niestety musimy już iść, bo spóźnimy się na herbatę”. Tossie! Słyszałeś kiedyś równie piękne imię? „O drogie imię! Niechże cię już święcie wiążą ust moich wieczyste pieczęcie!” Tossie! - wykrzyknął z zachwytem.

Tossie?

- Więc kto to jest Księżniczka Ardżumand? - zapytałem.

- Jej kotka. Nazwała ją po indyjskiej maharani, której imieniem nazwano Tadż Mahal, chociaż w takim razie powinien chyba nazywać się Tadż Ardżumand. Jej ojciec był w Indiach, bunt i radżowie, i „dwa światy nigdy się nie spotkają”, i tak dalej. Ciągle nie mogłem się połapać.

- Ojciec Księżniczki Ardżumand?

- Nie. Ojciec panny Mering, pułkownik Mering. Był pułkownikiem w dominium, ale teraz kolekcjonuje ryby.

Nawet nie pytałem, co to znaczy „kolekcjonuje ryby”.

- W każdym razie kuzynka powiedziała, że muszą iść, i Toss... panna Mering powiedziała: „O, mam nadzieję, że spotkamy się znowu, panie St. Trewes. Jutro po południu o drugiej jedziemy obejrzeć normański kościół w Iffley”, a kuzynka powiedziała: „Tossie!”, a panna Mering wyjaśniła, że powiedziała mi tylko na wypadek, gdybym znalazł Księżniczkę Ardżumand, a ja przyrzekłem pilnie szukać i dotrzymałem słowa, bo przez cały wczorajszy wieczór i dzisiaj rano pływałem z Cyrylem po rzece i wołałem: „Kici, kici!”

- Z Cyrylem? - zdziwiłem się, bo buldog chyba nie najlepiej nadawał się do poszukiwań w danych okolicznościach.

- Jest prawie równie dobry jak ogar - odparł Terence. - Tym się właśnie zajmowaliśmy, kiedy wpadliśmy na profesora Peddicka, a on wysłał nas na spotkanie z sędziwymi krewnymi.

- Ale nie znalazłeś kota?

- Nie, i niewielkie miałem szanse tak daleko od Muchings End. Zakładałem, że panna Mering mieszka w pobliżu Oksfordu, ale okazało się, że tylko przyjechała z wizytą.

- Muchings End? - powtórzyłem.

- W dole rzeki. Obok Henley. Matka przywiozła ją do Oksfordu na konsultację z medium...

- Medium? - zapytałem słabym głosem.

- Tak, no wiesz, taka osoba, która przechyla stoliki, ubiera się w gazę i pudruje twarz mąką, by ci powiedzieć, że twój wujek jest bardzo szczęśliwy w zaświatach, a testament leży w górnej lewej szufladzie kredensu. Nigdy w to nie wierzyłem, no, ale nie wierzyłem także w Przeznaczenie. A przecież tak musiało być. Że spotkam pannę Mering i że będziesz na peronie, i że ona mi powie, że wybierają się z kuzynką do Iffley dziś po południu. Tylko że nie miałem dość pieniędzy na łódź, dlatego to musiało być Przeznaczenie. No bo gdybyś nie chciał pływać po rzece i nie zapłacił Jabezowi? Nie popłynęlibyśmy do Iffley na spotkanie z panną Mering i mógłbym już nigdy jej nie zobaczyć. W każdym razie takie medium widocznie potrafi znajdować nie tylko testamenty, ale także zaginione koty, dlatego te panie przyjechały do Oksfordu na seans spirytystyczny. Ale duchy też nie wiedziały, gdzie jest Księżniczka Ardżumand, a panna Mering myślała, że kotka biegła za nią od Muchings End, chociaż to mało prawdopodobne. No, pies czasami pobiegnie za panem, ale kot...

Z tej zagmatwanej relacji wyłaniał się jeden pewnik - Terence nie był moim kontaktem. Nie wiedział, co mam zrobić w Muchings End. Jeżeli rzeczywiście chodziło o Muchings End i znowu

czegoś nie pokręciłem. Wypłynąłem na rzekę ze współczesnym, całkowicie obcym człowiekiem - nie licząc psa - a mój kontakt czekał na peronie albo na torach, albo na przystani. Więc musiałem tam wrócić.

Obejrzałem się na Oksford. Odległe iglice błyszczały w słońcu, już dwie mile za nami. Nie mogłem przecież wyskoczyć za burtę i wrócić piechotą, bo bagaż zostałby w łodzi. Straciłem już swój kontakt. Nie mogłem stracić swojego bagażu.

- Terence - zacząłem - obawiam się, że...

- Nonsens! - krzyknął ktoś przed nami, rozległ się plusk i łódź zakołysała się gwałtownie. Okrągły kosz, spoczywający na kuferku, o mało nie wypadł za burtę. Złapałem go w ostatniej chwili.

- Co się stało? - zapytałem, wyglądając zza krzywizny kosza.

- Och, to na pewno Darwin - odparł Terence z niesmakiem.

Niepotrzebnie wmawiałem sobie, że jestem wyleczony, skoro najwyraźniej wciąż cierpiałem na znaczną dyschronię i miałem „trudności z rozróżnianiem dźwięków".

- Słucham? - zapytałem nieufnie.

- Darwin - powtórzył Terence. - Profesor Overforce nauczył go i włazić na drzewa i teraz on skacze na głowy niewinnych ludzi. Skręć, Ned. - Wskazał kierunek, w którym miałem skręcić. - Skieruj łódź dalej od brzegu.

Posłuchałem, próbując coś dojrzeć za zakrętem, pod wierzbowymi gałęziami.

- W zeszłym tygodniu wylądował na samym środku pychówki z dwuosobową załogą z Corpus Christi i ich dziewczynami - poinformował mnie Terence, wiosłując na środek rzeki. - Cyryl go nie aprobuje.

Cyryl rzeczywiście miał minę pełną dezaprobaty. Podniósł się, mniej więcej, i patrzył na wierzby.

Rozległ się drugi, głośniejszy plusk i Cyryl czujnie nastawił uszy. Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem.

Albo myliłem się co do moich „trudności", albo moje „zaburzenia wzroku" przybrały nową formę. Pod wierzbami miotał się w rzece jakiś człowiek, gwałtownie i bezcelowo rozchlapując wodę.

Dobry Boże, pomyślałem, to naprawdę Darwin.

Miał darwinowską białą brodę, bokobrody i łysinę, a wokół niego unosiło się na wodzie coś, co wyglądało jak poły czarnego surduta. Jego kapelusz dryfował do góry dnem kilka jardów dalej. Darwin sięgnął po niego i poszedł pod wodę. Wynurzył się kaszląc i wymachując rękami, a kapelusz popłynął dalej.

- Wielkie nieba, przecież to mój tutor, profesor Peddick - zawołał Terence. - Szybko, skręcaj, nie, nie w tę stronę! Szybciej!

Wiosłowaliśmy w pośpiechu, ja rękami, żeby przyspieszyć bieg łodzi. Cyryl wstał i oparł przednie łapy na blaszanej skrzynce, niczym Nelson na mostku okrętowym pod Trafalgarem.

- Stop! Nie przejedź profesora Peddicka! - zawołał Terence, odepchnął wiosła od siebie i przechylił się na bok.

Starszy pan nie zwracał na nas uwagi. Surdut wydął się wokół niego jak kamizelka ratunkowa, wcale jednak nie utrzymywał go na wodzie. Profesor zanurzył się po raz trzeci, jedną ręką nieudolnie sięgając po kapelusz. Przechyliłem się przez burtę łodzi i złapałem go.

- Trzymam go za kołnierz - zawołałem i nagłe przypomniałem sobie, że Warder ubrała mnie w odpinany kołnierzyk, więc wymacałem kołnierz surduta. - Mam go - oznajmiłem i szarpnąłem do góry.

Głowa wynurzyła się na powierzchnię jak łeb wieloryba, i niczym wieloryb rzygnęła na nas potężną fontanną wody.

- „Natenczas przed oczami ludzi i aniołów on z rykiem powstanie”. Nie puszczaj - nakazał Terence, zahaczywszy dłoń starszego pana o burtę łodzi.

Wypuściłem kołnierz, kiedy profesor nas oblał, ale przewalając się w wodzie uniósł drugą rękę, którą wyłowiłem i pociągnąłem. Głowa wynurzyła się ponownie, otrząsając wodę jak pies.

Nie wiem, jakim cudem wciągnęliśmy go na pokład. Okrężnica gwałtownie poszła pod wodę i Terence krzyknął:

- Cyryl, nie! Ned, do tylu! Toniemy! Nie, nie puszczaj!

Lecz stosy bagażu widocznie stanowiły balast, który chronił łódź przed wywróceniem, nawet kiedy Cyryl w ostatniej chwili przełazi na naszą stronę, zaciekawiony rozwojem wypadków, i dodał swoją wagę do obciążenia jednej burty.

Wreszcie zdołałem uchwycić jedno ramię profesora, a Terence’a ostrożnie manewrując przesunął się na drugą stronę, zaparł się stopami o walizę i chwycił drugie ramię, po czym wspólnym wysiłkiem dźwignęliśmy przemoczonego, żałosnego profesora i wwindowaliśmy go do łodzi.

- Profesorze Peddick, nic się panu nie stało? - zapytał Terence.

- Absolutnie nic, dzięki wam - odparł profesor, wyżymając rękaw. To, co wziąłem za surdut, okazało się czarną akademicką gabardynową togą. - Szczęśliwy traf, że akurat tędy płynęliście. Mój kapelusz!

- Mam go - oznajmił Terence, przechylając się przez burtę. To, co wziąłem za kapelusz, okazało się akademickim biretem z ozdobnym chwastem.

- Wiem, że zapakowałem koce. Pamiętam, jak Dawson je wykładał - mruczał Terence, przetrząsając bagaże. - Co u licha pan robił w rzece?

- Tonąłem - wyjaśnił profesor Peddick.

- Mało brakowało - przyznał Terence, szperając w blaszanej skrzynce. - Ale skąd pan się wziął w wodzie? Czy pan wpadł?

- Czy wpadłem? Czy wpadłem?! - fuknął gniewnie profesor, - On mnie wepchnął!

- Wepchnął? - powtórzył zaskoczony Terence. - Kto?

- Ten zbrodniczy łajdak Overforce.

- Profesor Overforce? - zdumiał się Terence. - Dlaczego profesor Overforce wepchnął pana do wody?

- Ogólne kwestie - oświadczył profesor Peddick. - Fakty są nieistotne w nauce historii. Nie liczy się odwaga ani wiara, ani obowiązek. Historyk powinien zajmować się ogólnymi kwestiami. Tfy! Kupa naukowych bzdur. Całą historię można zredukować do efektów oddziaływania sił natury na populację. Zredukować! Bitwa Monmoutha! Hiszpańska inkwizycja! Wojna Róż! Zredukowane do sił natury! I populacji! Królowa Elżbieta! Kopernik! Hannibal!

- Może lepiej niech pan zacznie od początku - zaproponował Terence.

- *Ab initio*. Doskonały pomysł - zgodził się profesor Peddick. - Poszedłem nad rzekę, żeby rozważyć pewien problem w związku z moją monografią o relacji Herodota z bitwy pod Salaminą, według metody polecanej przez pana Waltona jako doskonała pomoc w myśleniu: „wytchnienie dla umysłu, pociecha dla ducha, lekarstwo na troski, balsam na dręczące myśli”. Lecz niestety, nie tak się stało. Gdyż przyszło mi *piscatur in aqua turbida.*

Och, świetnie, pomyślałem, następny, który gada bez sensu i sypie cytatami. W dodatku po łacinie.

- Jeden z moich uczniów, Tuttle Młodszy, powiedział mi, że widział białego kiełbia właśnie tutaj przy brzegu, kiedy trenował przed regatami. Miły chłopiec, marnie recytuje i jeszcze gorzej pisze, ale zna się na rybach.

- Wiedziałem, że je zapakowałem - stwierdził Terence, prostując się z zielonym wełnianym kocem

w rękach. - Proszę - wręczył koc profesorowi. - Niech pan to zdejmie i owinie się tym.

Profesor Peddick rozpiął togę.

- Jego brat, Tuttle Starszy, był taki sam. Okropna pisownia. Wyciągnął ramię z jednego rękawa i znieruchomiał z dziwnym wyrazem twarzy, po czym wetknął ramię w drugi rękaw.

- Zawsze robił kleksy na wypracowaniach. - Jego dłoń gwałtownie grzebała w rękawie. - Przetłumaczył *Non omnia possumus omnus* jako „Nie wprowadzać oposów do omnibusu". - Wykonał ostatni skomplikowany manewr i wyciągnął rękę z rękawa. - Chociaż nigdy nie przystąpił do egzaminów.

Otworzył zaciśniętą dłoń i pokazał małą białą rybkę.

- Ach, *Ugobio flwuiatilis albinus* - oznajmił, spoglądając na swój połów. - Gdzie mój kapelusz?

Terence podał profesorski biret, a profesor Peddick napełnił biret wodą, po czym wrzucił do niego rybkę.

- Wspaniały okaz - powiedział, pochylając się nad biretem. - Zastępca naczelnika Ministerstwa Skarbu. Doradca królowej.

Patrzyłem, jak ogląda rybkę, i zachwycałem się naszym połowem, prawdziwy ekscentryczny oksfordzki don. Oni także stanowią wymarły gatunek, jeśli nie liczyć pana Dunworthy'ego, który jest zbyt rozsądny jak na ekscentryka. Zawsze czułem się trochę oszukany, że ominęły mnie wielkie dni Jowetta i R.W. Ropera. Oczywiście najsłynniejszy był Spooner, ze względu na swój talent do kaleczenia królewskiej angielszczyzny. Powiedział rozrabiającemu studentowi: „Pan przetłoczył hormon", a pewnej niedzieli rozpoczął hymn od słów: „Kinquering Congs Their Titles Take".

Moim ulubionym donem był Claude Jenkins, który miał w domu taki bałagan, że czasami nie mógł otworzyć frontowych drzwi, a pewnego razu spóźnił się na zebranie i wytłumaczył się w ten sposób: „Moja gospodyni właśnie umarła, ale posadziłem ją na kuchennym krześle i powinna wytrzymać, dopóki nie wrócę".

Ale oni wszyscy byli niezwykli: profesor logiki Cook Wilson, który po dwóch godzinach nieprzerwanej oracji powiedział: „Po tych wstępnych uwagach..." Profesor matematyki Charles Dodgson, który - kiedy królowa Wiktoria pochwaliła jego ‚Alicję w Krainie Czarów" i zażądała egzemplarza następnej książki - wysłał jej swoją rozprawę matematyczną „Streszczenie determinantów", i ten profesor greki, który uważał, że barometr lepiej wygląda ustawiony poziomo niż pionowo.

I oczywiście Buckland, z jego domową menażerią i tresowanym orłem, który przechadzał się dumnie, do połowy rozwinąwszy skrzydła, pomiędzy ławkami katedry Christ Church podczas porannych modłów. (Kościół musiał ciekawie wyglądać w tamtych czasach. Biskup Bittner powinien był wprowadzić tresowane zwierzęta do katedry Coventry, kiedy frekwencja kulała. Albo spooneryzmy).

Nigdy jednak nie spodziewałem się, że spotkam żywego dona z krwi i kości, a oto miałem jednego przed sobą, wspaniały okaz, który uważnie obserwował rybkę pływającą w jego birecie i perorował na temat historii.

- Overforce głosi teorię, że nauka historii jako kroniki królów, bitew i ważnych zdarzeń jest przestarzała - mówił. - „Darwin zrewolucjonizował biologię", powiada...

Darwin. Ten sam Darwin, którego profesor Overforce nauczył włazić na drzewa?

- „...więc historię też trzeba zrewolucjonizować - twierdzi Overforce. - Nie można dłużej traktować jej jak kroniki faktów, wydarzeń i dat. Te rzeczy nie więcej znaczą w historii niż odciski i skamieliny w teorii ewolucji".

Właściwie, pomyślałem, znaczyły bardzo wiele.

- „Ważne są tylko prawa stanowiące podwalinę historycznych teorii, czyli prawa natury". ‚A co ze zdarzeniami, które zmieniły bieg historii na dobre czy złe?", pytam go. „Zdarzenia są nieistotne", powiada Overforce. Zamordowanie Juliusza Cezara! Opór Leonidasa w Termopilach! Nieistotne!

- Więc łowił pan ryby na brzegu - podpowiedział Terence, rozkładając togę profesora na bagażu, żeby szybciej wyschła. - A profesor Overforce nadszedł i wrzucił pana do wody?

- Tak - potwierdził profesor Peddick, ściągając buty. - Stałem pod wierzbą i nakładałem robaka na haczyk... kiełbie najbardziej lubią ochotki, ale *Pseudococcidae* też się nadają... kiedy ten imbecyl Darwin opuścił się z gałęzi i spadł na mnie jak kamień, jak jeden z tych aniołów Szatana, który „runął płonący w bezdenną zgubę żaru i ruiny ohydnej" i wylądował z takim pluskiem, że upuściłem wędkę. - Spojrzał ponuro na Cyryla. - Psy!

Pies, pomyślałem z wdzięcznością. Darwin to pies profesora Overforce'a. Co nadal nie wyjaśniało, dlaczego pies zeskoczył z drzewa.

- W końcu kogoś zabije. - Profesor Peddick zdjął skarpetki, wykręcił je i nałożył z powrotem. - W zeszły wtorek zeskoczył z drzewa na Broad i przewrócił kwestora z Trinity. Ten człowiek jest całkiem postrzelony. Uważa się za drugiego Bucklanda - ciągnął profesor - ale Buckland, pomimo wszystkich wad, nigdy nie tresował swojego niedźwiedzia, żeby skakał na ludzi z drzew. Tiglat Pileser zawsze zachowywał się bez zarzutu, podobnie jak szakale, chociaż nikt nie chciał przychodzić do niego na obiad. Mógł podać krokodyla. Pamiętam jeden proszony obiad, na którym głównym daniem była nornica. Ale podał dwa doskonałe królewskie karpie.

- Przez Darwina upuścił pan wędkę... - podsunął Terence, żeby powstrzymać profesora od dygresji.

- Tak, a kiedy się odwróciłem, za mną stał Overforce i wył ze śmiechu jak hiena Bucklanda. „Na rybki? - powiada. - Ts, ts. Nigdy pan nie zdobędzie fotela Havilanda, marnując czas w ten sposób". - „Rozważam skutki oszustwa Temistoklesa pod Salaminą dla Persów", mówię, a on odpowiada: Jeszcze gorsze marnowanie czasu niż łowienie ryb. Historia nie jest już zwykłą kroniką faktów. To nauka".

„Faktów! - mówię. - Uważa pan, że zwycięstwo Greków nad perską flotą jest zwykłym faktem? Ten fakt kształtował bieg historii przez następne stulecia!" Overforce machnął ręką, jakby odsuwał moje argumenty. „Fakty są nieistotne dla historycznej teorii". „Uważa pan bitwę pod Agincourt za nieistotną? - pytam. - Albo wojnę krymską? Albo egzekucję Marii, królowej Szkocji?" „Szczegóły! - on na to. – Czy szczegóły miały znaczenie dla Darwina czy Newtona?"

Prawdę mówiąc, miały. A lady Schrapnell tak lubi powtarzać: „Bóg jest w szczegółach".

- „Darwin! Newton! - mówię. - Obala pan własne argumenty tymi przykładami. To jednostka liczy się w historii, nie populacja. Inne siły, nie naturalne, kształtują bieg historii. A honor, wiara i odwaga? A zdrada, podłość i ambicja?"

- I miłość - dodał Terence.

- Właśnie - zgodził się profesor Peddick. - ‚A miłość Antoniusza i Kleopatry? Czy nie miała znaczenia dla historii? - zapytałem go, kiedy był w wodzie. - A podłość Ryszarda III? A męstwo Joanny d'Arc? To charakter, nie populacja, kształtuje historię!"

- W wodzie? - powtórzyłem tępo. Terence zawtórował mi jak echo:

- Wrzucił pan profesora Overforce'a do wody?

- Wrzucenie do wody to incydent, fakt, wypadek, zatem nieistotny dla teorii Overforce'a - oświadczył profesor Peddick. - Tak mu powiedziałem, kiedy krzyczał, żebym go wyciągnął. „Oddziaływanie sił natury na populację", zacytowałem.

- Dobry Boże - powiedział Terence. - Ned, zawracaj łódź. Musimy płynąć z powrotem. Mam

nadzieję, że jeszcze nie utonął.

- Utonął? Niemożliwe! Utopienie jest nieważne w jego historycznej teorii, choćby to książę Clarence utonął w beczce małmazji! „A morderstwa? - zapytałem go, kiedy młócił ramionami i wzywał pomocy. - A pomoc? To nieistotne, ponieważ jedno i drugie wymaga intencji oraz moralności, których istnieniu pan zaprzeczył. Gdzie w pańskiej teorii jest miejsce na plan, cel i zamiar?" „Od razu wiedziałem! - wrzasnął Overforce, rozchlapując wodę. - Pańska teoria historii to tylko argument na poparcie Wielkiego Planu, nic więcej!" ‚A czy nie ma dowodów na istnienie Wielkiego Planu? - zapytałem, podając mu rękę. - Czy w pańskiej teorii historycznej istnieje tylko przypadek? Nie ma wolnej woli? Nie ma dobrych uczynków? - zapytałem i wyciągnąłem Overforce'a na brzeg. - Teraz musi pan przyznać, że jednostki i fakty liczą się w historii", mówię całkiem logicznie. A ten łajdak zepchnął mnie do rzeki!

- Ale z nim wszystko w porządku? - zapytał niespokojnie Terence

- W porządku? - fuknął profesor Peddick. - To uparty, niedouczony, zarozumiały, porywczy, zdziecinniały ignorant! W porządku?

- Chodziło mi o to, czy nie grozi mu utonięcie.

- Skądże znowu - odparł profesor Peddick. - Na pewno poszedł przedstawić swoje niedowarzone teorie komitetowi Haviland! I zostawił mnie, żebym utonął! Gdybyście nie zjawili się w samą porę, podzieliłbym los księcia Clarence'a. Zaś Overforce, ten łajdak, otrzymałby fotel Haviland!

- No, przynajmniej nikt nikogo nie zabił - stwierdził Terence, Spojrzał niespokojnie na swój kieszonkowy zegarek. - Ned, bierz się za linki. Musimy się pospieszyć, jeśli mamy odwieźć profesora do domu i zdążyć do Iffley przed wieczorem.

Doskonale, pomyślałem. Kiedy wrócimy do mostu Folly, znajdę jakąś wymówkę, żeby nie płynąć z Terence'em do Iffley - choroba morska, osłabienie czy coś w tym rodzaju - i wrócę na stację kolejową... z nadzieją, że mój kontakt wciąż na mnie czeka.

- Iffley! - powtórzył profesor Peddick. - Akurat odpowiednie miejsce! Świetnie tam biorą klenie. Tuttle Młodszy mówił, że widział tęczowego pstrąga z rozdwojonym ogonem pół mili za śluzą w Iffley.

- Ale czy pan nie powinien wracać? - zaprotestował Terence nieszczęśliwym głosem. - Powinien pan zdjąć to mokre ubranie.

- Nonsens. Już prawie wyschło. Szkoda tracić tak dobrą sposobność. Zakładam, że masz wędki i przynętę?

- Ale co z profesorem Overforce? - zapytałem. - Nie będzie martwił się o pana?

- Ha! Odszedł, żeby pisać o populacji i uczyć swojego psa jazdy na rowerze! Populacja! Historię tworzą jednostki, nie populacje! Lord Nelson, Katarzyna Medycejska, Galileusz!

Terence spojrzał tęsknie na kieszonkowy zegarek. - Jeśli na pewno pan się nie przeziębi... - zaczął. - Rzecz w tym, ze mam spotkanie w Iffley o drugiej.

- Zatem „Do przodu! póki sił nam starczy!" - zawołał profesor Peddick. - *Vestigia nulla retrorsum.*

Terence z determinacją chwycił za wiosła.

Wierzby ustąpiły miejsca krzakom, a potem trawie. Za długim zakolem rzeki ujrzałem szarą kościelną wieżę. Iffley.

Wyciągnąłem swój kieszonkowy zegarek i przeliczyłem rzymskie cyfry. Za pięć minut II. Przynajmniej Terence zdąży na spotkanie, miałem nadzieję, że ja także zdążę na swoje.

- Stop! - zawołał profesor i wstał.

- Niech pan nie... - zaczął Terence i z łoskotem rzucił wiosła. Sięgnąłem po nie i złapałem dywan,

który spadł mu na nogi.

Łódź zakołysała się niebezpiecznie, woda chlusnęła przez okrężnice. Cyryl zamrugał kaprawymi oczami i podniósł się chwiejnie, i tego tylko nam brakowało.

- Siad - rozkazałem.

Profesor Peddick rozejrzał się nieprzytomnie i usiadł.

- St. Trewes, musimy natychmiast przybić do brzegu - oświadczył, wskazując na brzeg. - Spójrz.

Wszyscy, nie wyłączając Cyryla, spojrzeliśmy na zieloną łąkę, porośniętą jaskrami i koronką królowej Anny.

- Toż to wypisz, wymaluj pole pod Blenheim - powiedział profesor Peddick. - Spójrzcie, tam oto wioska Sonderheim, a za nią strumień Nebel. Jawny dowód moich racji. Ślepe siły! To książę Marlborough wtedy zwyciężył! Czy masz podręcznik do ćwiczeń? I linkę do wędki?

- Nie lepiej zająć się tym później? Po południu, jak wrócimy z Iffley?

- Atak na Tallarda miał miejsce wczesnym popołudniem, dokładnie przy takim świetle - oznajmił profesor Peddick, naciągając buty. - Jaki rodzaj przynęty zabrałeś?

- Ale nie mamy czasu - zaprotestował Terence. - Mam spotkanie...

- *Omnia aliena sunt, tempus tantum nostrum est* - zacytował profesor Peddick. - Nic nie należy do nas prócz czasu.

Pochyliłem się do przodu i szepnąłem do Terence'a:

- Możesz nas tutaj zostawić i wrócić po nas później. Przytaknął z weselszą miną i skierował łódź do brzegu.

- Ale potrzebuję ciebie do sterowania - powiedział. - Profesorze, wysadzimy pana na brzeg, żeby pan studiował bitwę, a sami popłyniemy do Iffley i później po pana wrócimy.

Zaczął rozglądać się za odpowiednim miejscem. Minęła cała wieczność, zanim znaleźliśmy brzeg nachylony wystarczająco łagodnie, żeby profesor mógł się tam wspiąć, a jeszcze dłużej trwało skompletowanie wędkarskiego ekwipunku. Terence przetrząsał kuferek, rzucając rozpaczliwe spojrzenia na zegarek, a ja grzebałem w blaszanej skrzynce, szukając linki i pudełka z muchami.

- Mam! - oznajmił Terence. Wepchnął pudełko do kieszeni profesora, sięgnął po wiosło i przyciągnął łódź do samego brzegu.

- Ziemia ahoj - zawołał, stanął w łodzi i oparł jedną stopę na mulistym brzegu. - Proszę wysiadać, panie profesorze.

Profesor Peddick rozejrzał się z roztargnioną miną, podniósł swój biret i chciał go nałożyć na głowę.

- Chwileczkę! - zawołałem i odratowałem biret. - Masz jakiś garnek, Terence? Na białego kiełbia.

Znowu zaczęliśmy szukać, Terence w modniarskim pudle, ja w torbie. Dwa wykrochmalone kołnierzyki, para czarnych skórzanych butów za małych na mnie o trzy numery, szczoteczka do zębów.

Okrągły kosz, który obwąchiwał Cyryl. Tam było jedzenie i pewnie garnek do gotowania. Przekopałem bałagan na rufie, zajrzałem pod ławkę. Kosz stał oparty o dziób. Sięgnąłem po niego.

- Czajnik! - zawołał Terence, podnosząc czajnik za rączkę. Podał mi czajnik, a ja przelałem do niego wodę z rybką i zwróciłem biret profesorowi.

- Niech pan go jeszcze nie nakłada - ostrzegłem. - Niech pan zaczeka, aż woda wyparuje.

- Zdolny uczeń - pochwalił mnie rozpromieniony profesor. -*Beneficiorum gratia sempiterna est.*

- Kto wysiada, ten wysiada - zaintonował Terence i wysadził profesora na brzeg, zanim zdążyłem postawić czajnik. - Wrócimy za godzinę - dodał, gramoląc się do łodzi i chwytając wiosła. - Może za dwie.

- Będę tutaj - zapewnił go profesor Peddick. - *Fidelis ad urnum.*

- Nie wpadnie znowu? - zaniepokoiłem się.

- Nie - odparł Terence bez większego przekonania i przyłożył się do wioseł, jakby startował w regatach ósemek.

Szybko oddaliliśmy się od profesora Peddicka, który pochylił się, żeby obejrzeć coś na ziemi przez swoje pince-nez. Pudełko z muchami wypadło mu z kieszeni, stoczyło się po brzegu i zatrzymało w połowie pochyłości. Profesor nachylił się niżej i sięgnął po nie.

- Chyba powinniśmy... - zacząłem, ale Terence potężnie naparł na wiosła i przed nami ukazał się kościół oraz kamienny łukowy mostek.

- Powiedziała, że będzie czekać na moście - wysapał Terence. - Widzisz ją?

Osłoniłem oczy dłonią i zerknąłem na mostek. Ktoś stał przy północnym końcu. Szybko podpłynęliśmy bliżej. Młoda kobieta z białą parasolką. W białej sukni.

- Ona tam jest? - zapytał Terence, wyjmując wiosła z wody. Nosiła biały kapelusz ozdobiony błękitnymi kwiatami, pod którym lśniły w słońcu jej kasztanowe włosy.

- Spóźniłem się? - zapytał Terence.

- Nie - odparłem. Ale ja się spóźniłem, pomyślałem. To była najpiękniejsza istota, jaką widziałem w życiu.

Non semper ea sunt quae videntur (Rzeczy nie zawsze są takie jakie się wydają)

Fedrus

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Angielska róża - Falbanki - Cyryl pilnuje lodzi - Wiadomość z tamtego świata - Oglądanie widoków - Kamerdyner - Znaki i wróżby - Na kościelnym dziedzińcu - Odkrycie - Pseudonim - Wyjaśnienie - Przemoczony pamiętnik - Kuba Rozpruwacz - Problem - Mojżesz w sitowiu - Więcej pseudonimów -Jeszcze bardziej niespodziewane odkrycie

Wiem, mówiłem, że najada była najpiękniejszą istotą, jaką widziałem w życiu, ale ona była mokra i brudna, i chociaż wyglądała, jakby wynurzyła się z prerafaelickiego stawu, wyraźnie należała do dwudziestego pierwszego stulecia.

Natomiast istota z mostu równie wyraźnie należała do dziewiętnastego stulecia. Żadna historyczka, choćby nie wiadomo jak niedbale unosiła powłóczystą białą suknię dłonią w giemzowej rękawiczce, choćby nie wiadomo jak prosto trzymała głowę na arystokratycznej szyi, nie miała szans na osiągnięcie tego łagodnego spokoju, tej jasnookiej niewinności, jakie emanowały z dziewczyny na moście. Ona była jak delikatny kwiat, zdolny rozkwitnąć tylko w określonej porze, przystosowany jedynie do cieplarnianych warunków późnej epoki Wiktoriańskiej; piękność bez skazy, cudna angielska róża, anioł domowego ogniska. Już za kilka lat ten gatunek wyginie, zastąpiony przez cyklistkę w spodniach, kociaka z papierosem i sufrażystkę.

Ogarnęła mnie głęboka melancholia. Nigdy jej nie zdobędę. Ta dziewczyna na moście, z białą parasolką i czystym spojrzeniem brązowozielonych oczu, wcielenie młodości i urody, już dawno poślubiła Terence'a, zmarła i została pochowana na kościelnym cmentarzu, takim jak ten na szczycie wzgórza.

- Na bakburtę - zakomenderował Terence. - Nie, na lewą burtę! Szybko powiosłował do brzegu przy moście, gdzie z wody sterczały pale, pewnie do cumowania łodzi.

Chwyciłem cumę, wyskoczyłem w mlaskające błoto i zrobiłem pętlę. Terence i Cyryl już wysiedli z łodzi i wspinali się po stromej skarpie na most.

Zawiązałem bardzo niezdarny węzeł, żałując, że Finch nie puścił mi podprogowej taśmy o półsztykach i węzłach skracających, i że nie mogę zamknąć łodzi na klucz.

To jest epoka wiktoriańska, napomniałem się w duchu. Wtedy ludzie ufali sobie nawzajem, a uczciwy młody człowiek zdobywał dziewczynę i pewnie już ją całował na moście.

Nie całował. Stał na błotnistym brzegu, rozglądając się nieprzytomnie.

- Nie widzę jej - powiedział, patrząc prosto na zjawiskową istotę - ale jest jej kuzynka, a tam stoi lando - wskazał otwarty powóz stojący na wzgórzu obok kościoła - więc ona musi tu być. Która godzina?

- Wyciągnął kieszonkowy zegarek. - Chyba nie wysłała kuzynki, żeby mi przekazać, że odwołuje spotkanie. Jeśli ona... - urwał i uśmiechnął się szeroko.

Na wysokim brzegu pojawiła się dziewczyna w falbankach. Miała białą sukienkę z falbankami na spódnicy, na rękawach i na karczku. Miała także parasolkę obrębioną falbankami i krótkie białe rękawiczki obszyte falbankami, i te wszystkie falbanki powiewały niczym chorągwie niesione w bój. Na kapeluszu nie miała falbanek, ale za to miała wielki pęk różowych trzepoczących wstążek, a jej blond loki pod kapeluszem falowały przy każdym podmuchu wiatru.

- Spójrz, kuzynko, to pan St. Trewes - zawołała i sfrunęła z nasypu, wprawiając w ruch wszystkie loki i falbanki. - Mówiłam ci, że on przyjdzie!

- Tossie - rzuciła karcąco wizja w bieli, ale Tossie biegła już w stronę ścieżki holowniczej drobnymi, eleganckimi kroczkami, unosząc falbaniastą spódnicę ledwie na tyle, żeby ukazać

koniuszki maleńkich stopek w białych bucikach.

Zatrzymała się na samym brzegu - zatrzymała w sensie ruchu naprzód - zatrzepotała rzęsami i zwróciła się do Cyryla:

- Czy kochany pieseczek przyjechał odwiedzić Tossie? Czy mój piesio wiedział, że Tossie tęskni za swoim najsłodszym Cyrylkiem?

Cyryl zrobił przerażoną minę.

- Pieseczek był grzeczny, prawda? - zagruchała Tossie. - Ale jego pan to brzydki, niegrzeczny chłopiec. Nie przyjeżdżał i nie przyjeżdżał.

- Zatrzymano nas - wtrącił Terence. - Profesor Peddick...

- Tossie juź się bala, zie spóźnialski chłopiec ciałkiem o niej zapomniał, plawda, Cylilku?

Cyryl rzucił Terence'owi zrezygnowane spojrzenie i poczłapał naprzód, żeby go pogłaskano po głowie.

- O! O! - zawołała Tossie i udało jej się to wymówić dokładnie w ten sposób, jak to widziałem napisane w wiktoriańskich powieściach. - O!

Zmieszany Cyryl przystanął, obejrzał się na Terence'a i znowu ruszył przed siebie.

- Brzydki, brzydki pies! - oświadczyła Tossie i zesznurowała usta w serii cichych okrzyków. - Ten okropny stwór pogniecie mi suknię. To jedwabny muślin. - Odsunęła od buldoga falującą spódnicę. - Papa zamówił ją dla mnie w Paryżu.

Terence doskoczył do niej i chwycił za obrożę Cyryla, który już się wycofał.

- Przestraszyłeś pannę Mering - powiedział surowo i pogroził psu palcem. - Przepraszam za zachowanie Cyryla i za moje spóźnialstwo. O mało nie doszło do wypadku i musieliśmy ratować mojego tutora.

Podeszła kuzynka.

- Halo, Cyrylu - powiedziała uprzejmie i pochyliła się, żeby podrapać go za uszami. - Halo, panie St. Trewes. Jakże miło znowu pana widzieć.

Głos miała cichy i kulturalny, bez śladu dziecięcego gaworzenia.

- Czy pańska obecność tutaj oznacza, że znalazł pan Księżniczkę Ardżumand?

- Tak, proszę nam powiedzieć - podchwyciła Tossie poniewczasie - Czy pan znalazł moją biedną zaginioną Dziudziu?

- Niestety nie - odparł Terence - ale zamierzamy kontynuować poszukiwania. To jest pan Henry. Panie Henry, panna Mering i panna Brown.

- Jak się panie mają, panno Mering, panno Brown - powiedziałem, uchylając słomkowego kapelusza, jak nakazywały podprogowe instrukcje.

- Pan Henry i ja wynajęliśmy łódź - Terence wskazał w stronę filaru, zza którego wystawał sam czubek łodzi - i zamierzamy zbadać każdy cal Tamizy.

- To bardzo uprzejmie ze strony panów - powiedziała panna Brown - nie wątpię jednak, że kiedy wieczorem przyjedziemy do domu, dowiemy się, że wróciła cała i zdrowa.

- Do domu? - powtórzył skonsternowany Terence.

- Tak! - przyświadczyła Tossie. - Wracamy do Muchings End dzisiaj wieczorem. Mamusia dostała wiadomość, że jesteśmy tam potrzebne.

- Mam nadzieję, że w domu nie stało się nic złego.

- Och nie - odparła Tossie - to nie była taka wiadomość. To była wiadomość z tamtego świata. Mówiła: „Wracaj do Muchings End, by spotkać swój szczęśliwy Los", więc mama postanowiła wracać natychmiast. Jedziemy pociągiem dziś wieczorem.

- Tak - potwierdziła panna Brown. - Musimy już wracać do madame Iritosky. - Wyciągnęła dłoń w

giemzowej rękawiczce. - Dziękuję za pomoc panów w szukaniu Księżniczki Ardżumand. Miło mi było pana poznać, panie Henry.

- Och, przecież nie musimy zaraz wracać, kuzynko Verity - oznajmiła Tossie. - Nasz pociąg odjeżdża dopiero o wpół do siódmej. A pan St. Trewes i pan Henry jeszcze nie widzieli kościoła.

- Do domu madame Iritosky jest daleko - sprzeciwiła się kuzynka Verity - a twoja matka wyraźnie powiedziała, że mamy wrócić na herbatę.

- Zostało mnóstwo czasu - odparła niefrasobliwie Tossie. - Każemy Baine'owi jechać bardzo szybko. Chciałby pan obejrzeć kościół, panie St. Trewes?

- Marzę o tym - z zapałem oświadczył Terence. Uszczęśliwiony Cyryl podbiegł do nich truchcikiem. Tossie zawahała się prześlicznie.

- Czy Cyryl nie powinien zostać przy łodzi?

- Och, tak, oczywiście - przyznał Terence. - Cyryl, musisz zostać.

- Może zaczekać za bramą cmentarza - zaproponowałem, ale na próżno. Terence zabrnął już za daleko.

- Zostań, Cyryl - rozkazał.

Cyryl rzucił mu spojrzenie, jakim Juliusz Cezar musiał żegnać Brutusa, i położył się na brzegu pozbawionym cienia, wsparłszy łeb na przednich łapach.

- Nie pozwól żadnym złym, złym ludziom ukraść łodzi. Musisz być dzielnym, dzielnym pieseczkiem - pouczyła go Tossie. Rozłożyła parasolkę i ruszyła w górę ścieżką. - To najśliczniejszy mały kościółek. Taki staroświecki i oryginalny. Ludzie przyjeżdżają z daleka, żeby go zobaczyć. Kocham widoki, a pan? Mama obiecała zabrać nas do Hampton Court w przyszłym tygodniu.

Poprowadziła nas na wzgórze, szczebiocząc do Terence'a, a wizja i ja poszliśmy za nimi.

Tossie miała rację co do kościoła i ludzie chyba rzeczywiście „przyjeżdżali z daleka, żeby go zobaczyć", sądząc po tablicach. Zaczynały się u stóp wzgórza od ręcznie wypisanej plakietki z ostrzeżeniem: NIE ZBACZAĆ ZE ŚCIEŻKI. Dalej stały tabliczki: ZWIEDZANIE ZABRONIONE PODCZAS NABOŻEŃSTWA, NIE DEPTAĆ TRAWY i ZABRANIA SIĘ ZRYWAĆ KWIATY.

- Mama mówi, że w Hampton Court musimy urządzić seans spirytystyczny w Galerii. Wie pan, tam krąży duch Katarzyny Howard. Była jedną z żon Henryka VIII. On miał osiem żon. Baine mówi, że tylko sześć, ale jeśli to prawda, dlaczego nazywają go Henryk VIII?

Zerknąłem na pannę Brown, która uśmiechała się łagodnie. Z bliska była jeszcze piękniejsza. Jej kapelusz miał woalkę, podwiązaną z tyłu i spływającą jak biały wodospad na kasztanowe włosy, przez którą jej jasna cera i różowe policzki wyglądały niemal eterycznie.

- Wszystkie żony Henryka VIII zostały ścięte - ciągnęła Tossie. - Za nic nie chciałabym, żeby mnie ścięto. - Potrząsnęła blond lokami- - Obcinają ci włosy i przebierają w okropną prostą koszulę, zupełnie bez żadnych ozdób.

I bez falbanek, dodałem w myślach.

- Mam szczerą nadzieję, że to nie będzie sama głowa Katarzyny Howard - mówiła Tossie. - Czasami tak jest, wie pan, nie cały duch. Kiedy Nora Lyon przyjechała do Muchings End, zmaterializowała duchową rękę. Ta ręka grała na akordeonie. - Spojrzała zalotnie na Terence'a. - Wie pan, co mi duchy powiedziały wczoraj wieczorem? Że spotkam nieznajomego.

- I co jeszcze powiedziały? - zagadnął Terence. - Że będzie wysoki, ciemny i przystojny, jak sądzę.

- Nie - zaprzeczyła Tossie z całą powagą. - Wystukały: „Uważaj", Potem literę C. Mama myślała, że to wiadomość o Księżniczce Ardżumand, ale ja myślę, że to oznacza czerwiec, więc widocznie nieznajomy miał się zjawić w czerwcu.

- Co też uczyniłem - przyznał Terence, pogrążony z kretesem. Zbliżaliśmy się do wierzchołka

wzgórza. Na szczycie stał otwarty powóz ze stangretem, ubranym na dodatek w formalny strój: marynarka frakowa i spodnie w paski. Czytał książkę, a koń apatycznie skubał trawę. Zdziwił mnie brak tabliczki z napisem: ZAKAZ PARKOWANIA.

Kiedy podeszliśmy bliżej, stangret zamknął książkę i wyprężył się sztywno jak na baczność.

- Bałam się, że nie będziemy mogły przyjechać - powiedziała Tossie, mijając powóz bez jednego spojrzenia na stangreta. - Chłopak madame Iritosky miał nas zawieźć, ale był w transie, a mama nie pozwoliłaby nam samym wziąć landa. I wtedy pomyślałam, że Baine może nas zawieźć. To nasz nowy kamerdyner. Mama ukradła go pani Chattisbourne, która strasznie się złościła. Tak trudno znaleźć dobrego kamerdynera.

To tłumaczyło spodnie w paski i sztywną postawę - taśma Fincha wyrażała się jasno. Kamerdynerzy nie powożą. Spojrzałem na niego. Był młodszy, niż się spodziewałem, i wyższy, z twarzą dość mizerną, jakby brakowało mu snu. Rozumiałem go doskonale. Sam czułem się tak, jakbym nie spał od wieków.

Taśma Fincha mówiła, że kamerdyner zachowuje pokerową twarz w każdych okolicznościach, ale ten wyraźnie był zatroskany. Zastanawiałem się, co go martwiło. Ten wyjazd czy perspektywa pracy u kogoś, kto myślał, że Henryk VIII miał osiem żon? Zerknąłem ukradkiem na jego książkę, kiedy przechodziliśmy obok. To była „Rewolucja francuska" Carlyle'a.

- Nie lubię naszego kamerdynera - wyznała Tossie, jakby nie dostrzegała jego obecności. - Zawsze jest w złym humorze.

Widocznie kuzynka Verity również go nie lubiła. Patrzyła prosto przed siebie, kiedy mijaliśmy powóz. Kiwnąłem głową kamerdynerowi i uchyliłem kapelusza. On podniósł książkę i wrócił do czytania.

- Nasz poprzedni kamerdyner był dużo milszy. Lady Hall ukradła go nam, kiedy przyjechała z wizytą. Wyobraźcie sobie, kiedy mieszkała pod naszym dachem! Papa mówi, że służbie nie należy pozwalać na czytanie książek. To osłabia ich kręgosłup moralny. I mąci im w głowach.

Terence otworzył bramę prowadzącą do kościoła. Wisiała tam tabliczka: PROSZĘ ZAMKNĄĆ BRAMĘ PO WYJŚCIU.

On i Tossie podeszli do drzwi, wytapetowanych napisami: PO GODZINIE CZWARTEJ ZWIEDZANIE ZABRONIONE, PODCZAS NABOŻEŃSTWA ZWIEDZANIE ZABRONIONE, FOTOGRAFIE I DAGEROTYPY ZABRONIONE, O POMOC ZWRACAĆ SIĘ DO PANA EGGLEWORTHA, KIEROWNIKA KOMITETU PARAFIALNEGO, HARWOOD HOUSE, WYŁĄCZNIE W NAGŁYCH WYPADKACH. Zdziwiłem się, że nie przybito tam również dziewięćdziesięciu pięciu tez Lutra.

- Czy ten kościół nie jest śliczny? - zawołała Tossie. - Spójrzcie na te słodkie zygzaki nad drzwiami.

Rozpoznałem je nawet bez taśm jako czterolistne gotyckie ornamenty z dwunastego wieku, ponieważ ostatnie kilka miesięcy spędziłem w katedrze lady Schrapnell.

- Normańska architektura - powiedziałem.

- Ja tak kocham te cudne staroświeckie kościoły, a pan? - zwróciła się Tossie do Terence'a, ignorując mnie. - Takie proste, nie jak te nowoczesne.

Terence otworzył proste staroświeckie drzwi pokryte napisami. Tossie złożyła parasolkę i weszła do środka, a Terence ruszył za nią. Spodziewałem się, że kuzynka Verity dołączy do nich. Taśmy Fincha mówiły, że wiktoriańskie młode damy nigdzie nie chodziły bez przyzwoitki, więc założyłem, że kuzynka Verity, pomimo swojej zjawiskowości, była tą przyzwoitką. Wcześniej nad rzeką miała dostatecznie karcącą minę, a półmrok panujący w kościele stwarzał mnóstwo okazji do umizgów.

Ponadto napis na drzwiach świadczył niezbicie, że przedstawiciela komitetu parafialnego nie było w środku.

Lecz panna Brown nawet nie spojrzała na uchylone drzwi i ciemne wnętrze. Otworzyła żelazną bramę, ozdobioną napisem NIE PLUĆ , i weszła na cmentarz.

W milczeniu przechadzała się wśród grobów. Minęła kilka tabliczek, które zakazywały zrywania kwiatów i opierania się o nagrobki, oraz fatalnie przekrzywiony obelisk, o który widocznie ktoś się opierał.

Nie miałem pojęcia, o czym należy rozmawiać z wiktoriańską młodą damą, będąc z nią sam na sam. Taśmy Fincha nie dostarczyły mi żadnych wskazówek co do odpowiedniego tematu konwersacji dla dwojga młodych ludzi, którzy dopiero się poznali.

Nie polityka, ponieważ nie znalem się na polityce z 1888 roku a młoda dama nie powinna zaprzątać sobie ślicznej główki sprawami państwowymi. Nie religia, skoro teorie Darwina wciąż uważano za kontrowersyjne. Próbowałem sobie przypomnieć, co ludzie mówili w dwóch wiktoriańskich sztukach, które oglądałem, czyli w „Niezrównanym Crichtonie" i ‚Jak ważną rzeczą jest być poważnym". Kwestie klasowe i dowcipne epigramy. Kamerdyner z humorami najwyraźniej nie cieszył się tutaj popularnością, a żadne dowcipne epigramy nie przychodziły mi do głowy. Poza tym humor zawsze jest ryzykowny.

Kuzynka dotarła do ostatniego nagrobka i patrzyła na mnie wyczekująco.

Pogoda. Ale jak mam się do niej zwracać? Panno Brown? Panno Verity? Milady?

- No - rzuciła niecierpliwie. - Przywiozłeś ją z powrotem? Nie całkiem takiej odzywki oczekiwałem.

- Słucham? - zapytałem niepewnie.

- Baine cię nie widział, prawda? - ciągnęła. - Gdzie ją zostawiłeś?

- Obawiam się, że pani wzięła mnie za kogoś innego...

- Wszystko w porządku - oznajmiła, spoglądając w stronę kościoła. - Oni nas nie słyszą. Powiedz mi dokładnie, co się stało, kiedy przeniosłeś ją z powrotem przez sieć.

Widocznie miałem jakiś nawrót dyschronii. To, co mówiła, zupełnie nie miało sensu.

- Chyba jej nie utopiłeś? - zapytała z gniewem. - Obiecał, że jej nie utopi.

- Kogo nie utopi?

- Kota.

To było gorsze niż rozmowa z pielęgniarką w infirmerii.

- Kota? Chodzi pani o kota Tossie... panny Mering? Tego, który zginął? Księżniczkę Ardżumand?

- Oczywiście, że chodzi mi o Księżniczkę Ardżumand. - Zmarszczyła brwi. - Pan Dunworthy ci jej nie dał?

- Pan Dunworthy? - Wytrzeszczyłem na nią oczy.

- Tak. Nie dał ci kota, żebyś przeniósł go z powrotem przez sieć? Coś mi zaczęło świtać.

- Ty jesteś tą najadą z gabinetu pana Dunworthy'ego - zdziwiłem się. - Ale to niemożliwe. Ona nazywała się Kindle.

- Tak się nazywam. Brown to moje przybrane nazwisko. Meringowie nie mają żadnych krewnych o nazwisku Kindle, a ja występuję jako daleka kuzynka Tossie.

Coraz bardziej rozjaśniało mi się w głowie.

- Ty jesteś tą klęską - powiedziałem - która przeniosła coś przez sieć.

- Kota - rzuciła niecierpliwie.

Kota. Oczywiście. To miało więcej sensu niż koła czy lody. I wyjaśniało, dlaczego pan Dunworthy popatrzył na mnie tak dziwnie, kiedy wspomniałem o Sherlocku Holmesie.

- Więc przeniosłaś przez sieć kota - stwierdziłem. - To niemożliwe. Nie można przenieść niczego do przodu przez sieć.

Teraz ona wytrzeszczyła oczy.

- Nie wiedziałeś o kocie? Aleja myślałam, że chcieli odesłać kota z tobą.

Zrobiło mi się nieswojo po tych słowach. Finch kazał mi zaczekać, kiedy stałem w sieci. Czyżby poszedł po kota, a ja skoczyłem, zanim zdążył go przynieść?

- Powiedzieli ci, że wysyłają kota ze mną? - zapytałem. Pokręciła głową.

- Pan Dunworthy nie chciał mi niczego powiedzieć. Mówił, że już dosyć narobiłam kłopotów, i nie chciał, żebym znowu coś sknociła. Po prostu założyłam, że to ty, bo widziałam cię w biurze pana Dunworthy'ego.

- Przyszedłem porozmawiać z panem Dunworthym o mojej dyschronii - wyjaśniłem. - Infirmeria przepisała dwa tygodnie wypoczynku, więc pan Dunworthy wysłał mnie tutaj.

- Do epoki wiktoriańskiej? - zawołała ubawiona. Przytaknąłem.

- Nie mogłem wypoczywać w Oksfordzie ze względu na lady Schrapnell...

Zrobiła jeszcze bardziej rozbawioną minę.

- Wysłał cię tutaj, żebyś uciekł od lady Schrapnell?

- Tak - przyświadczyłem zaniepokojony. - Nie ma jej tutaj, prawda?

- Nie całkiem - odparła. - Skoro nie przeniosłeś kota, może wiesz z kim ją wysłali?

- Nie - zaprzeczyłem, próbując sobie przypomnieć rozmowę w laboratorium. „Nawiązać kontakt", mówił pan Dunworthy. Andrews. Teraz sobie przypomniałem. Pan Dunworthy powiedział: „Skontaktuj się z Andrewsem". - Mówili coś o kontakcie z Andrewsem - powiedziałem.

- Słyszałeś coś jeszcze? Do kiedy go wysłali? Czy skok doszedł do skutku?

- Nie - wyznałem - ale drzemałem prawie przez cały czas. Z powodu dyschronii.

- Kiedy dokładnie usłyszałeś, że wymienili nazwisko Andrewsa?

- Dzisiaj rano, kiedy czekałem na swój przeskok.

- Kiedy przeszedłeś?

- Dzisiaj rano. O dziesiątej.

- Więc to wszystko wyjaśnia - powiedziała z ulgą. - Martwiłam się, kiedy wróciłam i nie znalazłam Księżniczki Ardżumand. Bałam się, że coś poszło źle i nie udało się jej odesłać z powrotem przez sieć, albo że Baine ją znalazł i znowu wrzucił. A kiedy pani Mering nalegała, żeby pojechać do Oksfordu na konsultację z madame Iritosky w sprawie jej zniknięcia, i kiedy pokazał się ten młody człowiek, naprawdę się przestraszyłam. Ale wszystko jest w porządku. Widocznie odesłali ją po naszym wyjeździe do Oksfordu, co się dobrze złożyło. Nikogo nie było na miejscu, więc nikt nie widział, jak ją odesłali, a Baine pojechał z nami, więc nie mógł jej utopić przed naszym powrotem. A skok musiał się udać, bo nie byłoby cię tutaj. Pan Dunworthy mówił, że odwołuje wszystkie skoki do dziewiętnastego wieku, dopóki nie zwrócimy kota. Więc wszystko jest w porządku. Eksperyment pana Dunworthy'ego zakończył się pomyślnie, Księżniczka Ardżumand będzie na nas czekała w domu, i nie ma się czym martwić.

- Zaczekaj - poprosiłem, kompletnie zbity z tropu. - Chyba powinnaś zacząć od początku. Usiądź.

Wskazałem drewnianą ławkę z napisem: NIE NISZCZYĆ. Obok wyrzeźbiono serce przebite strzałą, a pod nim napis: „Violet i Harold, 1859". Najada usiadła, z wdziękiem układając spódnicę.

- No dobrze - powiedziałem. - Przeniosłaś kota w przyszłość przez sieć.

- Tak. Byłam w belwederku, tam jest miejsce przeskoku, tuż za nim w małym zagajniku, styk co dziesięć minut. Właśnie wróciłam, bo zdawałam raport panu Dunworthy'emu, i zobaczyłam Baine'a, tego kamerdynera, jak niósł Księżniczkę Ardżumand...

- Zaraz. Co robiłaś w epoce wiktoriańskiej?

- Lady Schrapnell wysłała mnie tutaj, żebym przeczytała pamiętnik Tossie. Myślała, że znajdę tam wskazówki, gdzie szukać strusiej nogi biskupa.

Oczywiście. Od razu mogłem się domyślić, że to ma coś wspólnego ze strusią nogą biskupa.

- Ale co Tossie ma wspólnego ze strusią nogą biskupa? - Nagle poraziła mnie straszliwa myśl. - Tylko mi nie mów, że ona jest tą praprababką.

- Pra-pra-pra-pra. Właśnie tego lata pojechała do Coventry i zobaczyła strusią nogę biskupa...

- ...co na zawsze odmieniło jej życie - dokończyłem.

- Wydarzenie, które często i szczegółowo wspominała w obszernych pamiętnikach, spisywanych przez większość życia, które przeczytała lady Schrapnell i dostała obsesji na punkcie odbudowy katedry z Coventry, co na zawsze odmieniło jej życie.

- I nasze - dodałem. - Ale skoro przeczytała pamiętniki, dlaczego wysłała cię z powrotem do 1888 roku, żebyś je przeczytała?

- Tom, w którym Tossie pierwotnie opisała swoje wielkie przeżycie, ten spisany w lecie 1888 roku, jest bardzo zniszczony przez wilgoć. Lady Schrapnell zatrudniła biegłą sądową do odcyfrowania pamiętnika, ale biegła niewiele zdziałała, więc lady Schrapnell wysłała mnie, żebym to przeczytała na miejscu.

- Ale skoro Tossie opisuje to szczegółowo w innych tomach...? Podsunąłem.

- Nigdzie nie napisała dokładnie, w jaki sposób to zmieniło jej życie, ani nie podała daty, a lady Schrapnell uważa, że ten tom mógł zwierać inne ważne szczegóły. Niestety, czy raczej powinnam powiedzieć „na szczęście", ponieważ Tossie pisze tak samo, jak mówi, trzyma swój pamiętnik pod kluczem i pilnuje go lepiej niż klejnotów koronnych, więc na razie nie dobrałam się do niego.

- Ciągle nic nie rozumiem - wyznałem. - Strusia noga biskupa znikła dopiero w 1940 roku. Na co się przyda pamiętnik z 1888 roku?

- Lady Schrapnell uważa, że z pamiętnika możemy się dowiedzieć, kto ją podarował kościołowi. Rejestry darowizn dla katedry Coventry spłonęły podczas nalotu. Ona myśli, że ofiarodawcy albo ich potomkowie mogli zabrać ją na przechowanie na początku wojny.

- Ktokolwiek ją podarował, na pewno chciał jej się pozbyć.

- Wiem. Ale znasz lady Schrapnell. „Zajrzeć pod każdy kamień". Więc śledzę Tossie od dwóch tygodni w nadziei, że zostawi pamiętnik gdzieś na wierzchu. Albo pojedzie do Coventry. Musi wkrótce pojechać. Kiedy wspomniałam o Coventry, powiedziała, że nigdy tam nie była, a wiemy, że pojechała w czerwcu. Ale na razie nic.

- Więc porwałaś jej kota i zażądałaś pamiętnika jako okupu?

- Nie! - zaprzeczyła. - Wracałam od pana Dunworthy'ego i zobaczyłam Baine'a, tego kamerdynera...

- Który czyta książki - wtrąciłem.

- Który jest maniakalnym zabójcą - oświadczyła. - Niósł Księżniczkę Ardżumand i kiedy dotarł do rzeki... cudowna czerwcowa pogoda. Róże kwitną tak pięknie.

- Co? - bąknąłem, ponownie zbity z tropu.

- A szczodrzeniec! Pani Mering ma zagajnik szczodrzeńca, który wygląda tak malowniczo!

- Proszę o wybaczenie, panno Brown - powiedział Baine, zjawiając się znikąd. Wykonał sztywny, oszczędny ukłon.

- O co chodzi, Baine? - zapytała Verity.

- Chodzi o kotkę panny Mering, proszę pani - wyznał Baine z niewyraźną miną. - Zastanawiałem się, czy obecność pana St. Trewesa oznacza, że ją odnalazł.

- Nie, Baine. - Temperatura jej głosu spadła o kilka stopni. I Księżniczki Ardżumand ciągle nie ma.

- Martwiłem się - mruknął Baine i ponownie się skłonił. - Czy mam teraz podstawić powóz?

- Nie - odparła Verity lodowatym tonem. - Dziękuję, Baine.

- Pani Mering prosiła, żeby panie nie spóźniły się na herbatę.

- Pamiętam o tym, Baine. Dziękuję. On wciąż się wahał.

- Do domu madame Iritosky jedzie się pół godziny.

- Tak, Baine. To wszystko - ucięła Verity i patrzyła, jak odchodził. Dopiero kiedy podszedł do powozu, wybuchnęła: - Zimnokrwisty morderca! „Zastanawiałem się, czy pan St. Trewes nie znalazł kota". Doskonale wie, że nie znalazł. I jeszcze mówi, że się martwił! Potwór!

-Jesteś pewna, że chciał ją utopić? - zapytałem. - Oczywiście, że jestem pewna. Rzucił ją do rzeki jak najdalej. - Może to współczesny zwyczaj. Czytałem, że w epoce wiktoriańskiej topiono koty. Żeby ograniczyć liczebność, pomyśleć tylko.

- Nowo narodzone kocięta, nie dorosłe koty. I nie domowe. Tossie najbardziej na świecie kocha Księżniczkę Ardżumand, zaraz po sobie. Topi się kocięta na farmach, nie domowych ulubieńców. W zeszłym tygodniu farmer niedaleko od Muchings End utopił cały miot, włożył je do worka obciążonego kamieniami i wrzucił do swojego stawu, co jest barbarzyństwem, ale nie zbrodnią. Tamto było zbrodnią. Kiedy Baine ją wrzucił, otrzepał ręce i odszedł spacerkiem, uśmiechając się. Wyraźnie chciał ją utopić.

- Myślałem, że koty umieją pływać.

- Nie na środku Tamizy. Gdybym czegoś nie zrobiła, prąd by ją porwał.

- Pani na Shalott - mruknąłem.

- Co?

- Nic. Dlaczego chciał zamordować kotkę swojej pani?

- Nie wiem. Może ma jakiś uraz wobec kotów. A może nie chodzi mu tylko o koty i którejś nocy pomorduje nas wszystkich we śnie. Może on jest Kubą Rozpruwaczem. On działał w 1888 roku, prawda? I nigdy nie odkryli jego prawdziwej tożsamości. Wiem tylko, że nie mogłam spokojnie stać na brzegu i pozwolić, żeby Księżniczka Ardżumand utonęła. To wymarły gatunek.

- Więc wskoczyłaś do wody i wyłowiłaś ją?

- Weszłam do wody - odparła obronnym tonem - złapałam ją i wyniosłam na brzeg, ale zaraz sobie uświadomiłam, że żadna wiktoriańska dama nie brodziłaby w rzece. Nawet nie zdjęłam butów. Nie myślałam. Po prostu działałam. Wskoczyłam do sieci i sieć się otwarła. Chciałam tylko zejść z widoku - wyznała. - Nie chciałam stwarzać problemu.

Problem. Zrobiła coś, co teoria temporalna uznała za niemożliwe - i prawdopodobnie wywołała niekongruencję w kontinuum. Nic dziwnego, że pan Dunworthy zadawał Chiswickowi te wszystkie pytania i zadręczał biednego T.J. Lewisa. Problem.

Koło to jedno, żywy kot to co innego. I nawet koło nie przejdzie przez sieć. Darby i Gentilla udowodnili to dawno temu, zaraz po wynalezieniu podróży w czasie. Zbudowali sieć jako piracki statek do rabowania skarbów przeszłości i próbowali wszystkiego, od „Mony Lisy" po grobowiec Tutenchamona, a potem, kiedy nic nie wychodziło sięgnęli po bardziej pospolite przedmioty, jak pieniądze. Ale nic nie przeszło przez sieć oprócz mikroskopijnych cząsteczek. Kiedy próbowali zabrać jakiś przedmiot z jego czasu, nawet półpensówkę czy widelec do ryb, sieć nie chciała się otworzyć. Nie przepuszczała również zarazków ani promieniowania, ani zabłąkanych kul, za co Darby i Gentilla razem z resztą świata powinni być wdzięczni, ale jakoś nie byli.

Wielonarodowe korporacje popierające Darby'ego i Gentillę straciły zainteresowanie, więc

podróże w czasie przekazano historykom oraz naukowcom, którzy stworzyli teorię poślizgu i Prawo Zachowania Historii, żeby wyjaśnić działanie sieci. Przyjęto jako zasadę, że jeśli ktoś próbował przenieść coś do przodu, sieć się nie otwierała. Aż do teraz.

- Kiedy próbowałaś przenieść kota, sieć otwarła się tak po prostu? - zapytałem. - Nie zauważyłaś nic niezwykłego podczas skoku, żadnych opóźnień czy wstrząsów?

Pokręciła głową.

- To się niczym nie różniło od innych skoków.

- I nie zaszkodziło kotu?

- Przespała całą sprawę. Zasnęła mi na rękach podczas skoku i nie obudziła się nawet w gabinecie pana Dunworthy'ego. Widocznie w ten sposób dyschronia wpływa na koty. Działa jak narkoza.

- Poszłaś porozmawiać z panem Dunworthym?

- Oczywiście - powiedziała obronnym tonem. - Zaniosłam mul kota, jak tylko zorientowałam się, co zrobiłam.

- A on postanowił odesłać ją z powrotem?

- Wypytywałam Fincha, który powiedział, że chcą sprawdzić wszystkie skoki do epoki wiktoriańskiej, i jeśli nie będzie żadnych oznak zwiększonego poślizgu, to znaczy, że kotka wróciła, zanim jej zniknięcie spowodowało jakieś szkody, więc ją odeślą.

Ale poślizg się zwiększył, pomyślałem przypomniawszy sobie, jak pan Dunworthy pytał Carruthersa o Coventry.

- A co z kłopotami w Coventry?

- Według Fincha oni myślą, że to nie miało związku, ich zdaniem dlatego, że Coventry było punktem krytycznym w historii. Z powodu swoich powiązań z Ultrą. To był jedyny obszar zwiększonego poślizgu - Nie było żadnych na żadnym wiktoriańskim skoku. - Podniosła na mnie wzrok. - Jaki miałeś poślizg na swoim skoku?

- Żadnego. Trafiłem prosto do celu.

- To dobrze - powiedziała z ulgą. - Ja miałam tylko pięć minut, kiedy wróciłam. Finch mówił, że pierwszą oznaką niekongruencji będzie zwiększony poślizg...

- Och, ja tak kocham wiejskie cmentarze - poznałem po głosie Tossie i odskoczyłem od Verity niczym wiktoriański kochanek.

Verity zachowała spokój, otworzyła parasolkę i wstała z chłodnym wdziękiem.

- Są tak rozkosznie rustykalne - oznajmiła Tossie i wpłynęła w pole widzenia, powiewając flagami. - Wcale nie jak nasze okropne nowoczesne cmentarze. - Pochyliła się, by podziwiać nagrobek, który dosłownie się przewracał. - Baine mówi, że cmentarze są niehigieniczne, że zanieczyszczają wodę do picia, ale ja uważam, że są cudownie niezepsute. Całkiem jak poemat. Nie uważa pan, panie St. Trewes?

- „Tu u szorstkich stóp wiązów, gdzie cis rzuca cienie, gdzie butwiejąca wznosi się darń, pod tą ziemią..." - zacytował posłusznie Terence.

Kawałek o „butwiejącej darni" potwierdzał teorię Baine'a, lecz ani Tossie, ani Terence tego nie zauważyli, zwłaszcza Terence, który deklamował dalej:

- „W wąskich celach zamknięci na wieczne milczenie, prości Przodkowie wioski po lat trudach drzemią".

- Ja tak kocham Tennysona, a ty, kuzynko? - zagadnęła Tossie.

- Thomas Gray - powiedziała Verity. - „Elegia napisana na wiejskim cmentarzu".

- Och, panie Henry, musi pan obejrzeć wnętrze kościoła - posiedziała Tossie, ignorując jej uwagę. - Tam jest taka śliczna ozdobna waza. Prawda, panie St. Trewes?

Przytaknął z roztargnieniem, wpatrzony w Tossie, a ja zobaczyłem jak Verity pochmurnieje.

- Musimy ją obejrzeć, koniecznie - oznajmiła i zebrała spódnice dłonią w rękawiczce. - Panie Henry?

- Koniecznie - powtórzyłem i podałem jej ramię. Wszyscy weszliśmy do kościoła, mijając dużą tablicę z napisem: WSTĘP WZBRONIONY POD KARĄ.

W kościele panował wilgotny chłód, pachniało starym drewnem i spleśniałymi śpiewnikami. Na wystrój wnętrza składały się solidne normańskie kolumny, sklepione wczesnoangielskie sanktuarium, wiktoriańskie okno rozetowe oraz duża tablica z napisem DO PREZBITERIUM WSTĘP WZBRONIONY na balustradzie ołtarza.

Tossie nie zwróciła żadnej uwagi na tablicę ani na normańską chrzcielnicę z łupku, tylko podbiegła do niszy w ścianie, naprzeciwko kazalnicy.

- Czyż to nie najcudniejsza rzecz pod słońcem?

Nie ulegało wątpliwości, że była spokrewniona z lady Schrapnell, jak również nie ulegało wątpliwości, po kim lady Schrapnell odziedziczyła swój gust, chociaż Tossie miała przynajmniej jedno na swoje usprawiedliwienie: że należała do epoki wiktoriańskiej, epoki, która zbudowała nie tylko dworzec kolejowy St. Pancras, ale także Albert Memoriał.

Waza ustawiona w niszy przypominała oba te dzieła, chociaż na mniej monumentalną skalę. Nie miała kopuły ani korynckich kolumn. Posiadała natomiast ornament z wijącego się bluszczu oraz płaskorzeźby wyobrażające albo arkę Noego, albo bitwę pod murami Jerycha.

- Co to ma przedstawiać? - zapytałem.

- Rzeź niewiniątek - mruknęła Verity.

- To córki faraona kąpiące się w Nilu - wyjaśniła Tossie. - Patrzcie, tam koszyk Mojżesza wystaje z sitowia. Tak żałuję, że nie mamy tego w naszym kościele - westchnęła. - W kościele w Muchings End nie ma nic, tylko kupa staroci. Całkiem jak w tym poemacie Tennysona „Wiersz do greckiej wazy". - Tossie załamała ręce.

Ostatnie, czego nam było trzeba, to Terence'a cytującego Keatsa „Odę do greckiej urny". Spojrzałem z rozpaczą na Verity, próbując wymyślić jakiś pretekst, żeby stąd wyjść i znaleźć spokojne miejsce na rozmowę. Gotyckie ornamenty? Cyryl? Verity spokojnie oglądała kamienne łuki sklepienia, jakby miała do dyspozycji mnóstwo czasu.

- „Piękno jest prawdą, prawda - pięknem - zaczął Terence. A oto wszystko, co wiesz, co ci potrzeba wiedzieć..."

- Myślicie, że jest nawiedzony? - odezwała się Verity. Terence przestał cytować.

- Nawiedzony?

- Nawiedzony? - ucieszyła się Tossie i wydała maleńki okrzyk, taki miniaturowy okrzyczek. - Oczywiście, że tak. Madame Iritosky mówi że pewne miejsca działają jak bramy pomiędzy naszym i tamtym światem.

Zerknąłem na Verity, lecz ona zachowała pogodny wyraz twarzy, chociaż Tossie właśnie opisała sieć.

- Madame Iritosky mówi, że duchy często krążą wokół bramy, przez którą ich dusze przeszły na drugą stronę - wyjaśniła Tossie Terence'owi. - Dlatego seanse spirytystyczne tak często się nie udają, bo odbywają się za daleko od bramy. I dlatego madame Iritosky zawsze urządza seanse w swoim domu, zamiast jeździć do ludzi. A cmentarz logicznie powinien być bramą. - Podniosła wzrok na żebrowe sklepienie i wydała następny okrzyczek. - Może one są teraz z nami!

- Kierownik komitetu parafialnego na pewno wiedziałby o duchach - podsunęła uczynnie Verity.

Tak, i powiesiłby tabliczkę z napisem: MANIFESTACJE WZBRONIONE, pomyślałem.

ABSOLUTNY ZAKAZ EKTOPLAZMY.

- O tak! - przyświadczyła Tossie i wydała kolejny ze swoich okrzyczków. - Panie St. Trewes, musimy zapytać kierownika!

Wyszli z kościoła, sprawdzili informacje na tablicy i ruszyli w stronę Harwood House oraz kierownika komitetu parafialnego, który niewątpliwie przyjmie ich z radością.

- Pan Dunworthy powiedział mi tylko, że wysyła mnie z powrotem dwie godziny po uratowaniu kota - podjęła Verity przerwany wątek - i mam się zameldować, gdyby wystąpił zwiększony poślizg albo zbiegi okoliczności, więc założyłam, że to znaczy, iż Księżniczka Ardżumand już wróciła do Muchings End. Ale kiedy przeskoczyłam, nie było jej. Tossie odkryła, że kot zginął, i postawiła cały dom na nogi, a ja zaczęłam się martwić, że coś poszło źle. Ale zanim zdążyłam zameldować się u pana Dunworthy'ego i sprawdzić, co się stało, pani Mering zaciągnęła nas wszystkich do Oksfordu i Tossie poznała księcia de Vecchio.

- Księcia de Vecchio?

- Młody człowiek na jednym z seansów spirytystycznych. Bogaty, Przystojny, czarujący. Właściwie doskonały, tylko że jego nazwisko zaczyna się na „V", nie na „C". Interesuje się teozofią - ciągnęła - a także interesuje się Tossie. Nalegał, żeby siedzieć obok niej przy stoliku, zęby trzymać ją za rękę, i powiedział, żeby się nie bała, jeśli coś dotknie jej stopy, że to tylko duchy. Właśnie wtedy zaproponowałam spacer nad Tamizą, żeby uciec przed nim, a potem przypłynął łódką Terence i jego nazwisko też nie zaczyna się na „C". I zaraz się w niej zadurzył. Zresztą to nic niezwykłego. Każdy młody człowiek, który pozna Tossie, traci dla niej głowę. - Spojrzała na mnie spod woalki. - A skoro o tym mowa, dlaczego ty nie straciłeś?

- Ona uważa, że Henryk VIII miał osiem żon - wyjaśniłem.

- Wiem, ale myślałam, że przez tę dyschronię jesteś jak biedna Tytania, wędrujesz po świecie, gotowy zakochać się w pierwszej dziewczynie, którą zobaczysz.

- Czyli w tobie - wyznałem.

Gdyby była nieskalaną angielską różą, na jaką wyglądała, spłonęłaby twarzowym rumieńcem pod woalką, ale ona pochodziła z dwudziestego pierwszego wieku.

- Przejdzie ci - stwierdziła tonem pielęgniarki z infirmerii - jak tylko porządnie się wyśpisz. Szkoda, że nie można powiedzieć tego samego o wielbicielach Tossie. Zwłaszcza o Terensie. Zdaje się, że oczarował Tossie. Koniecznie chciała jechać do Iffley dzisiaj po południu, chociaż madame Iritosky zorganizowała specjalny seans spirytystyczny, żeby znaleźć Księżniczkę Ardżumand. A po drodze w powozie zapytała mnie, co sądzę o placku ze śliwkami na tort weselny. Wtedy naprawdę się przestraszyłam, że zabierając kota wywołałam niekongruencję i że książę de Vecchio ani Terence nigdy nie poznaliby Tossie, gdyby nie pojechała do Oksfordu, a żaden z nich nie zaczyna się na C.

Znowu się pogubiłem.

- Dlaczego ich nazwiska muszą zaczynać się na C?

- Ponieważ tamtego lata... tego lata... Tossie poślubiła kogoś, czyje nazwisko zaczyna się na C.

- Skąd wiesz? Myślałem, że pamiętnik jest nieczytelny.

- Owszem. - Podeszła do ławki i usiadła obok tabliczki z napisem: SIADANIE W ŁAWKACH DOZWOLONE TYLKO PODCZAS NABOŻEŃSTWA.

- Czy to „C" nie oznacza podróży do Coventry, która na zawsze; odmieniła jej życie? - zasugerowałem. - Coventry zaczyna się na C.

Verity pokręciła głową.

- Szóstego maja 1938 roku zapisała w pamiętniku: „Tego lata upłynie pół wieku, odkąd jesteśmy małżeństwem, i jestem szczęśliwa ponad wszelkie wyobrażenie jako żona pana C...", ale reszta

nazwiska jest zamazana.

- Zamazana?

- Kleks. Wiesz, w tamtych czasach pióra przeciekały.

- I jesteś pewna, że to „C", a nie „G"?

- Tak.

To wykluczało nie tylko księcia de Vecchio i Terence'a, ale także profesora Peddicka i Jabeza. I mnie, na szczęście.

- Kim jest ten pan Chips, Chesterton czy Coleridge, którego poślubiła? - zapytałem.

- Nie wiem. Nigdy o nim nie wspominała i nikogo takiego nigdy nie było w Muchings End. Zapytałam Colleen, pokojówkę, ale nigdy o nim nie słyszała.

Na zewnątrz rozległy się stłumione głosy. Verity wstała.

- Spacerujmy - zaproponowała. - Udawajmy, że oglądamy architekturę.

Podeszła do chrzcielnicy i spojrzała na nią z zainteresowaniem.

- Więc nie wiesz, kim jest ten pan C, ale wiesz, że Tossie jeszcze go nie poznała i że wyjdzie za niego tego lata - podsumowałem, podziwiając tabliczkę z napisem: NIE PRZESUWAĆ KOŚCIELNYCH SPRZĘTÓW. - Myślałem, że wiktorianie woleli długie narzeczeństwa.

- Owszem - przyznała z ponurą miną. - A po zaręczynach ogłaszali zapowiedzi w kościele przez trzy kolejne niedziele, nie mówiąc o poznawaniu rodziców i szyciu wyprawy, a już jest prawie połowa czerwca.

- Kiedy się pobrali?

- Tego też nie wiemy. Kościół w Muchings End spalił się podczas pandemii, a w pamiętnikach Tossie nie podaje daty.

Coś mi przyszło do głowy.

- Ale na pewno wymienia jego imię, prawda? Przez pięćdziesiąt lat chyba często pisała o swoim mężu, nie tylko szóstego maja?

Verity zrobiła nieszczęśliwą minę.

- Zawsze pisała: „mój ukochany mąż" albo „mój najdroższy małżonek". „Ukochany" i „najdroższy" podkreślone.

Kiwnąłem głową.

- Z wykrzyknikami - dodałem. Musiałem przeczytać kilka pamiętników, kiedy szukałem wzmianek o strusiej nodze biskupa.

Podeszliśmy do bocznego przejścia.

- Po ślubie pamiętnik urywa się na kilka lat - podjęła Verity - Potem zaczyna się znowu w 1904 roku. Wtedy już mieszkali w Ameryce, a on występował w niemych filmach pod scenicznym nazwiskiem Bertram W. Fauntleroy, które zmienił na Reginald Fitzhugh-Smythe w 1927 roku, kiedy wprowadzono udźwiękowienie.

Zatrzymała się przed witrażowym oknem, do połowy przesłoniętym tabliczką z napisem: NIE OTWIERAĆ.

- Miał za sobą długą i wybitną karierę w rolach brytyjskich arystokratów - powiedziała.

- Więc pewnie sam był arystokratą. To dobrze, prawda? Przynajmniej nie wyszła za jakiegoś włóczęgę, który tamtędy przechodził. - Coś mi przyszło do głowy. - A nekrolog?

- Podawał jego sceniczne nazwisko - odparła - podobnie jak jej nekrolog. - Uśmiechnęła się. - Przeżyła dziewięćdziesiąt siedem lat. Pięcioro dzieci, dwadzieścioro troje wnuków i wielkie studio w Hollywood.

- I żadnej wskazówki - stwierdziłem. - A co z Coventry? Może właśnie tam poznała pana C, kiedy

oglądała strusią nogę biskupa, i to wydarzenie na zawsze zmieniło jej życie?

- Możliwe - przyznała Verity. - Ale to następny kłopot. Oni wcale nie wybierają się do Coventry. Pani Mering mówiła o wycieczce do Hampton Court, żeby zobaczyć ducha Katarzyny Howard, ale nigdy nie wspominali o Coventry i nie byli tam przed moim przyjazdem. Wiem, bo pytałam...

- Pokojówkę - dokończyłem.

- Tak. I wiemy, że Tossie pojechała tam w czerwcu. Dlatego tak się martwiłam tą wyprawą do Oksfordu, do madame Iritosky. Bałam się, że przez Księżniczkę Ardżumand pojechali do Oksfordu zamiast do Coventry, albo że pan C. przyjedzie do Muchings End pod nieobecność Tossie i wcale się nie spotkają. Ale jeśli pan Dunworthy i T.J. zwrócili Księżniczkę Ardżumand, to znaczy, że kotka po prostu gdzieś zawędrowała. Kto wie? Może właśnie pan C. ją znajdzie i przyniesie z powrotem. Może dlatego tak szybko się zaręczyli, ponieważ Tossie była mu wdzięczna za zwrócenie kota.

- Zresztą wcale nie wyjechaliście na długo z Muchings End - zwróciłem jej uwagę. - Tylko na jeden dzień. Jeśli pan C. przyjechał z wizytą, pokojówka na pewno poprosi go, żeby zaczekał w salonie do waszego powrotu.

- O czym ty mówisz? - Wstała nagle z szelestem spódnicy.

- Tak przypuszczam - powiedziałem ze zdziwieniem. - Przecież wiktorianie mieli salony? I pokojówki prowadziły tam gości?

- Kiedy przeszedłeś? - zapytała. - Dzisiaj rano - odparłem. - Mówiłem ci. Dokładnie o czasie. Dziesiąta rano, siódmego czerwca 1888 roku.

- Dzisiaj jest dziesiąty czerwca - powiedziała. Dziesiąty.

- Ale gazeta...

- ...widocznie była stara. Przeskoczyłam wieczorem siódmego. Ósmego wyjechałyśmy do Oksfordu i jesteśmy tutaj od trzech dni.

- Więc musiał być... - zacząłem głucho.

- ...zwiększony poślizg - dokończyła - co oznacza, że powstała niekongruencja.

- Niekoniecznie - zaprzeczyłem. - Robiłem skok w pośpiechu. - Opowiedziałem o lady Schrapnell. - Może Warder nie do końca nastawiła koordynaty. Albo pomyliła się w obliczeniach. Tamtego dnia wysłała już siedemnaście skoków.

- Może - powtórzyła Verity z powątpiewaniem. - Gdzie przeszedłeś? Na moście Folly? To tam spotkałeś Terence'a?

- Nie, na stacji kolejowej. Przyszedł odebrać krewne swojego tutora, ale one nie przyjechały. - Opowiedziałem, jak zapytał mnie, czy wybieram się na rzekę, i wyjaśnił swoje kłopoty finansowe. - Więc zapłaciłem resztę należności za łódź.

- I gdyby nie ty, jego by tutaj nie było - stwierdziła, jeszcze bardziej zaniepokojona. - Czy dostałby łódź, gdybyś nie pożyczył mu pieniędzy?

- Wykluczone - zapewniłem przypomniawszy sobie Jabeza, a potem, widząc jej zmartwioną minę, dodałem: - Mówił, że próbował pożyczyć pieniądze od jakiejś Mags w Mitrze. Ale musiał zobaczyć Tossie za wszelką cenę. Myślę, że popędziłby do Iffley na piechotę, gdyby nie zdobył pieniędzy.

- Pewnie masz rację - przyznała. - W systemie istnieje znaczna redundancja. Gdyby tutaj jej nie spotkał, mógł złożyć wizytę w Muchings End. Mówił wczoraj, że chciałby popłynąć w dół rzeki. A trzydniowy poślizg to nie tak dużo. - Zmarszczyła brwi. - A jednak całkiem sporo jak na wycieczkę dla przyjemności. I więcej niż przy innych wiktoriańskich skokach. Powinnam to zgłosić panu Dunworthy'emu, kiedy wrócę...

- ...na pewno duchy przekażą nam wiadomość o Księżniczce Ardżumand - zabrzmiał dziewczęcy głos i Tossie wpłynęła do kościoła u boku Terence'a, który trzymał kapelusz w rękach. - Madame

Iritosky słynie ze znajdowania zagubionych przedmiotów. Powiedziała księżnej Derby, gdzie jest jej zgubiona brosza, a księżna dała jej tysiąc funtów nagrody. Papa mówi, że ona oczywiście wiedziała, gdzie jest brosza, sama ją tam schowała, ale ma*ma* - zaakcentowała ostatnią sylabę - wie, że to była zasługa duchów.

Verity wstała i zebrała dłonią spódnicę.

- Co powiedział kierownik? - zapytała, a ja musiałem podziwiać jej opanowanie. Znowu wyglądała jak spokojna angielska dziewica. -I Czy kościół w Iffley jest nawiedzony?

- Nie - odparł Terence.

- Tak - przerwała mu Tossie, wznosząc oczy ku sklepieniu. - I nie obchodzi mnie, co on mówi, złośliwy stary niedźwiedź. One są tutaj, duchy z innego miejsca i czasu. Czuję ich obecność.

- Kierownik powiedział, że kościół nie jest nawiedzony, czego on bardzo żałuje - podjął Terence - ponieważ duchy nie nanoszą błota na podłogę i nie zrywają jego ogłoszeń. I nie przeszkadzają mu w porze herbaty.

- Herbata! - zawołała Tossie. - Co za cudowny pomysł! Kuzynko, powiedz Baine'owi, żeby podał herbatę.

- Nie mamy czasu - oświadczyła Verity, naciągając rękawiczki. - Czekają na nas u madame Iritosky.

- Och, ale pan St. Trewes i pan Henry jeszcze nie widzieli młyna - zaprotestowała Tossie.

- Mogą go obejrzeć po naszym odjeździe - ucięła Verity i zdecydowanym krokiem wyszła z kościoła. - Nie chcemy spóźnić się na pociąg do Muchings End.

Zatrzymała się przy bramie cmentarza.

- Panie St. Trewes, zechce pan powiedzieć Baine'owi, żeby przyprowadził powóz?

- Z przyjemnością - zapewnił Terence, uchylił kapelusza i ruszył w kierunku drzewa, gdzie Baine czytał książkę.

Miałem nadzieję, że Tossie z nim pójdzie, a ja będę mógł dokończyć rozmowę z Verity, ona jednak została przy bramie cmentarza, nadąsana, z trzaskiem otwierając i zamykając parasolkę. Jaki by pretekst wymyślić, żeby zostać sam na sam z Verity? Raczej nie mogłem zaproponować Tossie, żeby poszła z Terence'em, skoro Verity już się martwiła ich zażyłością. Zresztą Tossie chętniej wydawała rozkazy, niż je przyjmowała.

- Moja parasolka - powiedziała Verity. - Chyba ją zostawiłam w kościele.

- Pomogę pani szukać - zaofiarowałem się i skwapliwie otworzyłem drzwi, rozrzucając wokoło ogłoszenia.

- Wrócę do Oksfordu i przy najbliższej okazji złożę raport panu Dunworthy'emu - szepnęła Verity, jak tylko drzwi się zamknęły. - Gdzie będziesz?

- Nie jestem pewien - odparłem. - Gdzieś na rzece. Terence mówił, żeby powiosłować do Henley.

- Spróbuję wysłać ci wiadomość - obiecała, idąc na początek nawy. - To może potrwać kilka dni.

- Co chcesz, żebym zrobił?

- Nie pozwól Terence'owi zbliżyć się do Muchings End - poprosiła. - Pewnie to zwykłe zadurzenie ze strony Tossie, ale wolę nie ryzykować.

Kiwnąłem głową.

- I nie przejmuj się. To tylko trzydniowy poślizg, a pan Dunworthy nie wysłałby cię, gdyby Księżniczka Ardżumand nie wróciła bezpiecznie do domu. Na pewno wszystko jest w porządku. - Poklepała mnie po ramieniu. - Prześpij się trochę. Chyba już ci przechodzi dyschronia.

- Spróbuję - przyrzekłem.

Verity wyjęła parasolkę spod pulpitu klęcznika i ruszyła do drzwi. Potem zatrzymała się z

uśmiechem.

- A jeśli spotkasz kogoś o nazwisku Chaucer lub Churchill, wyślij go do Muchings...

- Powóz zajechał, panienko - oznajmił Baine, wyrastając w drzwiach.

- Dziękuję, Baine - rzuciła chłodno Verity i przeszła obok niego. Terence pomagał Tossie wsiąść do powozu.

- Mam nadzieję, że spotkamy się znowu, panie St. Trewes - mówiła Tossie, już nie nadąsana. - Dzisiaj wieczorem jedziemy pociągiem do Muchings End. Wie pan, gdzie to jest? Nad rzeką, zaraz za Streatley.

Terence zdjął kapelusz i przyłożył go do serca.

- „Więc żegnaj, piękna, żegnaj mi, adieu!" Powóz szarpnął do przodu.

- Baine! - oburzyła się Tossie.

- Przepraszam, panienko - powiedział Baine i ściągnął lejce.

- Do widzenia! - zawołała Tossie, powiewając chusteczką i całą resztą swojego stroju. - Do widzenia, panie St. Trewes!

Powóz potoczył się ze wzgórza. Terence odprowadzał go wzrokiem.

- Lepiej już chodźmy - powiedziałem. - Profesor Peddick na nas czeka.

Westchnął, spoglądając tęsknie na tuman kurzu unoszący się za powozem.

- Czyż ona nie jest cudowna?

- Tak - mruknąłem.

- Musimy natychmiast wyruszyć do Muchings End - oznajmił i zaczął schodzić ze wzgórza.

- Nie możemy - zaprotestowałem, biegnąc za nim truchcikiem. - Musimy odwieźć profesora Peddicka do Oksfordu, a co z jego wiekowymi reliktami? Jeśli przyjechały popołudniowym pociągiem, trzeba je odebrać ze stacji.

- Załatwię z Trotterem, żeby je odebrał - oświadczył Terence, nie zwalniając kroku. - Jest mi winien przysługę za tamto tłumaczenie Lukrecjusza. Odwiezienie Peddicka zajmie tylko godzinę. Możemy go wysadzić przy Magdalenie o czwartej i zostaną nam jeszcze cztery godziny dziennego światła. Przed nocą zdążymy minąć śluzę w Culham. W ten sposób jutro w południe dopłyniemy do Muchings End.

Tyle z mojej pochopnej obietnicy, że będę trzymał Terence'a z dala od Tossie, pomyślałem, biegnąc za nim do łodzi. Której nie było.

Ten kot to jest chwat,
Który szczura zjadł,
Który ziarno kradł,
Które było w domu,
Który zbudował Jack

Matka Gęś

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Znaczenie kłódek w epoce wiktoriańskiej – „ Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami” - Tristan i Izolda - Pościg - Francuska rewolucja – Argument przeciwko napiwkom - Kot w letargu - Sadze - Bataański marsz śmierci - Sen - Łódka wreszcie odnaleziona - Niespodziewane odkrycie - Znaczenie spotkań dla historii - Lennon i McCartney - Szukam otwieracza do puszek - Co znalazłem

Cyryl czekał w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiliśmy, ponuro opierając łeb na przednich łapach i spoglądając na nas z wyrzutem brązowymi ślepiami.

- Cyryl! - zawołał Terence. - Gdzie jest łódź? Cyryl usiadł i rozejrzał się ze zdumieniem.
- Miałeś pilnować łodzi - skarcił go surowo Terence. - Kto ją zabrał, Cyrylu?
- Nie mogła sama zdryfować? - odezwałem się, myśląc o półsztyku.
- Nie bądź śmieszny - rzucił Terence. - Na pewno ją ukradli.
- Może profesor Peddick wsiadł do niej i odpłynął - podsunąłem, ale Terence znajdował się już w połowie mostu.

Kiedy go dogoniliśmy, badał wzrokiem nurt w dole rzeki. Niczego tam nie było, tylko kaczka krzyżówka.

- Ktokolwiek ukradł łódź, na pewno zabrał ją z powrotem górę rzeki - oświadczył Terence, przebiegł na drugi brzeg i zawrócił do śluzy.

Dozorca stał na śluzie i grzebał w stawidle bosakiem.

- Czy nasza łódź przepłynęła z powrotem przez śluzę? - zawołał do niego Terence.

Dozorca przyłożył dłoń do ucha i odkrzyknął: -Co?

- Nasza łódź! - wrzasnął Terence, składając dłonie w trąbkę wokół ust. - Czy przepłynęła przez śluzę?
- Co? - odwrzasnął dozorca.
- Czy nasza łódź - Terence narysował rękami sylwetkę łodzi - przepłynęła - wykonał zamaszysty ruch w stronę górnego biegu rzeki - przez śluzę? - Przesadnym gestem wskazał śluzę.
- Łodzie przepływają przez śluzę? - zdziwił się dozorca. - Pewnie, że przepływają. A jak pan myślisz, po co jest śluza?

Rozejrzałem się szukając wzrokiem kogoś innego, kto mógł widzieć naszą łódź, lecz Iffley było kompletnie wyludnione. Nie zjawił się nawet kierownik komitetu parafialnego, żeby wywiesić tabliczkę z napisem: ZABRANIA SIĘ KRZYKÓW. Przypomniałem sobie, jak Tossie mówiła, że właśnie popijał herbatę.

- Nie! Nasza łódź! - ryknął Terence. Pokazał najpierw na siebie, a potem na mnie. - Czy przepłynęła przez śluzę?

Dozorca wyraźnie się obruszył.

- Nie, nie możecie się prześluzować bez łodzi! Co to za głupie żarty?
- NIE - jęknął Terence. - Ktoś nam ukradł łódź!
- Mokradła? - jeszcze bardziej oburzył się dozorca. - Jakie znowu mokradła? To jest uczciwa śluza!
- Nie, nie mokradła! Ukradł!
- Guzdrała? - Dozorca groźnie uniósł bosak. - Kogo nazywasz guzdrałą?
- Nikogo - zapewnił Terence, cofając się przezornie. - Zginęła nam wynajęta łódź!

Dozorca potrząsnął głową.

- Trzeba wam iść na most Folly. Pytajcie o Jabeza, tak się nazywa - Cyryl i ja wróciliśmy na most. Oparłem się o balustradę i rozmyślałem o tym, co mi powiedziała Verity. Uratowała kota przed utopieniem, a potem weszła z kotem w sieć, która się otwarła.

Więc widocznie kot nie spowodował niekongruencji, bo gdyby miał spowodować, sieć by się nie otwarła. Tak się zdarzyło pierwsze dziesięć razy, kiedy Leibowitz próbował cofnąć się w czasie, żeby zamordować Hitlera. Za jedenastym razem wylądował w Bozeman, Montana, w 1946 roku. I nikt nigdy nie zdołał się zbliżyć do teatru Forda ani do Pearl Harbor, ani do id marcowych. Ani do Coventry.

Pomyślałem, że T.J. i pan Dunworthy pewnie mieli rację z tym zwiększonym poślizgiem wokół Coventry, i zaciekawiło mnie, dlaczego wcześniej nie mieliśmy takich kłopotów. Coventry wyraźnie stanowiło punkt krytyczny.

Nie dlatego, że nalot wyrządził znaczne szkody. Luftwaffe tylko uszkodziła, nie zniszczyła, fabryki samolotów i amunicji, które podjęły pracę na nowo już po trzech miesiącach. Oczywiście zniszczyli katedrę, co wywołało falę współczucia i oburzenia w Stanach, ale nawet to nie stanowiło przełomu. Amerykanie już wcześniej udzielali nam poparcia, a do Pearl Harbor pozostały ledwie trzy tygodnie.

Krytyczna była Ultra i maszyna Enigma, którą przeszmuglowaliśmy z Polski i używaliśmy do odszyfrowywania niemieckich kodów, i która mogła zmienić przebieg całej wojny, gdyby naziści dowiedzieli się o niej.

A Ultra uprzedziła nas o nalocie na Coventry. Ale niedokładnie, aż do czternastego późnym popołudniem, kiedy już nie można było zrobić nic więcej, tylko zawiadomić dowództwo i podjąć doraźne środki obronne, które (ponieważ Historia jest chaotycznym systemem) wykluczały się nawzajem. Dowództwo zdecydowało, że główny atak pójdzie na Londyn, bez względu na informacje wywiadu, i tam wysłało samoloty, zaś próby zagłuszania wiązek naprowadzających zawiodły z powodu błędu w obliczeniach.

Lecz tajemnice zawsze mają decydujące znaczenie. Jedno przypadkowe słowo mogło narazić całą operację wywiadu. A gdyby coś, cokolwiek, wzbudziło podejrzenia nazistów - gdyby katedra cudem ocalała albo gdyby cały RAF zebrał się nad Coventry, nawet gdyby ktoś gadał za dużo - Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami" - zmieniliby maszyny szyfrujące. A my przegralibyśmy bitwę Pod El Alamein i na północnym Atlantyku. I drugą wojnę światową.

Co wyjaśnia, dlaczego Carruthers, ja i nowy rekrut lądowaliśmy ruinach albo na polu z dyniami. Ponieważ w pobliżu punktu krytycznego nawet najdrobniejsza czynność nabiera całkowicie nieproporcjonalnej wagi. Konsekwencje mnożą się i potęgują, i byle drobiazg, nie odebrany telefon, zapałka zapalona podczas zaciemnienia, upuszczona kartka papieru - może doprowadzić do upadku imperium.

Szofer arcyksięcia Ferdynanda pomyłkowo skręca w ulicę Franciszka Józefa i rozpoczyna wojnę światową. Ochroniarz Abrahama Lincolna wychodzi na papierosa i niszczy pokój. Hitler zostawia polecenie, żeby mu nie przeszkadzać, bo ma migrenę, i dowiaduje się o inwazji na Normandię osiemnaście godzin za późno. Porucznik zapomina oznaczyć telegram jako „pilny" i admirał Kimmel nie otrzymuje ostrzeżenia o japońskim ataku. „Z braku gwoździa zginęła podkowa. Z braku podkowy zginął koń. Z braku konia zginął jeździec".

A wokół tych atraktorów powstaje radykalnie zwiększony poślizg oraz zamknięcia sieci.

Co musi oznaczać, że Muchings End nie jest punktem krytycznym, a kot nie zmienił historii, zwłaszcza że wystarczyłby kilkuminutowy poślizg, żeby zapobiec całej sprawie. Verity nie musiała nawet lądować w Bozeman w stanie Montana. Gdyby przeszła pięć minut później, kot zdążyłby utonąć. Pięć minut wcześniej byłaby w domu i przegapiłaby cały incydent.

A przecież to nie był kot królowej Wiktorii (pomimo królewskiego imienia) ani Gladstone'a czy Oskara Wilde'a. Ten kot nie mógł w żaden sposób wpłynąć na losy świata, a rok 1888 nie był krytyczny. Bunt w Indiach zakończył się w 1859, a wojna burska wybuchnie dopiero za jedenaście lat.

- I to tylko kot - powiedziałem głośno. Zaniepokojony Cyryl podniósł wzrok.

- Nie tutaj - uspokoiłem go. - Pewnie wróciła bezpiecznie do Muchings End.

Ale Cyryl wstał i zaczął rozglądać się czujnie.

- Nie! Złodzieje, nie koleje! - wrzeszczał Terence, a jego głos płynął ku nam nad wodą. - Złodzieje!

- Wieje? - zdumiał się dozorca. - Toż piękna pogoda, panie. Wreszcie machnął ręką na Terence'a i wszedł do budki. Terence pospieszył do nas.

- Ktokolwiek ją ukradł, popłynął w dół rzeki - oświadczył. - Dozorca tak pokazał.

Wcale nie byłem tego pewien. Gest dozorcy oznaczał raczej! „Mam już po same uszy tej rozmowy!" czy nawet „Wynoś się do wszystkich diabłów!" A przeciwny kierunek bardziej mi odpowiadał, skoro miałem nie dopuszczać Terence'a do Tossie.

- Jesteś pewien? - zapytałem. - Myślałem, że wskazywał w górę rzeki.

- Nie - odparł Terence już po drugiej stronie mostu. - Na pewno w dół. - I pogalopował ścieżką holowniczą.

- Lepiej ruszajmy - powiedziałem do Cyryla - bo nigdy go nie dogonimy.

Maszerowaliśmy za nim, mijając rozproszone domki Iffley i szereg wysokich topoli. Ze szczytu niewielkiego wzniesienia ujrzeliśmy rozległe zakole rzeki, błyszczące i puste.

- Na pewno popłynęli w tę stronę? Kiwnął głową, nie zwalniając kroku.

- Znajdziemy ich i odzyskamy łódź. Tossie i ja jesteśmy stworzeni dla siebie i żadna siła nas nie rozdzieli. To przeznaczenie, jak Tristan i Izolda, Romeo i Julia, Abelard i Heloiza.

Nie wytykałem mu, że wszystkich wyżej wymienionych spotkał marny koniec, czyli śmierć albo poważne okaleczenie, ponieważ i tak ledwie dotrzymywałem mu tempa. Cyryl wlókł się za nami, dysząc ciężko.

- Kiedy ich dogonimy, wrócimy po profesora Peddicka, odwieziemy go do Oksfordu, a potem powiosłujemy do Abingdon i rozbijemy obóz na noc - zapowiedział Terence. - To tylko trzy śluzy stąd. Jeśli się przyłożymy, powinniśmy zdążyć do Muchings End jutro na herbatę.

O nie, jeśli mogę temu zapobiec.

- Czy to nie będzie raczej męcząca podróż? - zapytałem. - Mój lekarz ostrzegał, żebym się nie przemęczał.

- Możesz drzemać, kiedy ja będę wiosłował. Herbata to najlepsza pora. Muszą cię zaprosić, to nie obiad ani kolacja, nie trzeba formalnego zaproszenia ani stroju. Powinniśmy zdążyć do Reading w południe.

- Ale ja miałem nadzieję, że pooglądam widoki nad rzeką - powiedziałem, z wysiłkiem szukając w pamięci jakichś zabytków. Hampton Court? Nie, to poniżej Henley. Tak samo zamek Windsor. Co takiego oglądali po drodze trzej panowie w łódce? Groby. Harris ciągle chciał się zatrzymywać i oglądać grób tego czy tamtego. - Miałem nadzieję, że obejrzymy groby - zaryzykowałem.

- Groby? - powtórzy! Terence. - Nad rzeką nie ma żadnych interesujących grobów, oprócz grobu Richarda Tichella w Hampton Church. Rzucił się z okna w pałacu Hampton Court. A zresztą Hampton Court jest poniżej Muchings End. Jeżeli spodobamy się pułkownikowi Meringowi, zaprosi nas na obiad. Wiesz coś na temat Japonii?

- Japonii? - powtórzyłem.

- Stamtąd pochodzą te rybki - oznajmił enigmatycznie. - Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby nas zaprosili na tydzień, ale on nie lubi gości w domu, mówi, że im przeszkadzają. To znaczy rybkom. I studiował w Cambridge. Może spróbujemy udawać spirytystów. Pani Mering przepada za spirytyzmem. Zapakowałeś strój wieczorowy?

Chyba znowu miałem nawrót dyschronii.

- Czy spirytyści noszą wieczorowe stroje? - zapytałem.

- Nie, takie długie, powłóczyste szaty z rękawami, w których można ukryć tamburyny i serwetki, i różne rzeczy. Nie, ubranie na obiad, gdyby nas zaprosili.

Nie miałem pojęcia, czy w moim bagażu znajduje się strój wieczorowy. Kiedy dogonimy łódź... jeśli dogonimy łódź... muszę przeszukać pakunki i dokładnie sprawdzić, co Finch i Warder wysłali razem ze mną.

- Wielka szkoda, że nie znaleźliśmy Księżniczki Ardżumand oświadczył Terence. - Na pewno by nas zaprosili. Zbłąkana owieczka i tuczony cielec, i tak dalej. Widziałeś, jak Tossie zbiegła na brzeg i zapytała mnie, czy ją znalazłem? To najcudniejsza istota, jaką widziałem w życiu. Jej loki lśniące jak złoto, a oczy „błękitne jak kwiat lnu, policzki jak jutrzenka!" Nie, piękniejsze! Jak goździki! Albo róże!

Maszerowaliśmy dalej: Terence porównywał liczne wdzięki Tossie do lilii, jagód, pereł i złotej przędzy, Cyryl marzył o cieniu, a ja rozmyślałem o Ludwiku XVI.

To prawda, że Księżniczka Ardżumand nie była kotem królowej Wiktorii ani Muchings End nie było wyspą Midway, ale przypomnijcie sobie Droueta. On też nie był nikim szczególnym, zwykłym niepiśmiennym francuskim wieśniakiem, który nie miał szans trafić do podręczników historii.

Tylko że Ludwik XVI, uciekając z Francji z Marią Antoniną, wychylił się przez okno powozu, żeby zapytać Droueta o drogę, a później, jednym z tych drobnych gestów, które zmieniają kurs historii, dal mu jako napiwek banknot. Ze swoim wizerunkiem.

Drouet przedzierał się przez las, żeby zaalarmować policję i zatrzymać powóz, a kiedy się nie udało, wyciągnął wóz ze stodoły i zatarasował nim drogę.

A gdyby jakiś historyk ukradł koło od wozu albo zaczaił się na Droueta, albo ostrzegł woźnicę Ludwika, żeby pojechał inną drogą? Albo gdyby jeszcze w Wersalu jakiś historyk ukradł banknot i zastąpił go monetami. Ludwik i Maria dotarliby do swojej rojalistycznej armii, zdławiliby rewolucję i zmienili całą historię Europy.

Z braku koła. Albo kota.

- Wkrótce dojdziemy do śluzy Sandford - oznajmił wesoło Terence. - Zapytamy dozorcę, czy nie widział naszej łodzi.

Po kilku minutach dotarliśmy do śluzy i już myślałem, że czeka nas kolejna nużąca i daremna konwersacja, tym razem jednak zapalczywe okrzyki Terence'a nie zdołały nawet wywabić dozorcy z budki. Po jakimś czasie nieustraszony młodzieniec stwierdził, że w Nuneham Courtenay na pewno ktoś będzie, i znowu podjął wędrówkę.

Nawet nie pytałem, jak daleko jest do Nuneham Courtenay, ze strachu przed odpowiedzią. Za następnym załomem rzeki obok ścieżki holowniczej rosły szeregiem wierzby, przesłaniając widok. Lecz kiedy obeszliśmy zakręt, Terence stał przed chatką krytą strzechą, spoglądając z namysłem na dziewczynkę w ogródku. Dziewczynka, ubrana w sztywno nakrochmalony fartuszek w biało-niebieskie paski, siedziała na huśtawce. Na kolanach trzymała białego kota i rozmawiała z nim.

- Kochana, najsłodsza kiciu - mówiła - lubisz się huśtać, prawda? Wysoko w błękitne niebo?

Kot nie odpowiedział. Spał smacznie.

Koty nie całkiem jeszcze wyginęły w latach czterdziestych, więc czasami je widywałem, lecz poza

usmolonym sadzą okazem w katedrze nigdy jeszcze nie widziałem takiego, który nie spał. Verity mówiła że dyschronia uśpiła kota przeniesionego przez sieć, ale mnie się zdawało, że to ich normalny stan. Rudo-czarny cętkowany kot na Festynie Narodzenia Maryi Dziewicy przespał cały festyn na szydełkowym wełnianym szalu, wystawionym na straganie robótek ręcznych.

- Powiadam, co myślisz? - zagadnął Terence, wskazując dziewczynkę.

Kiwnąłem głową.

- Mogła widzieć łódź. I na pewno nie jest gorszym świadkiem od dozorcy.

- Nie, nie. Nie dziecko. Kot.

- Myślałem, że kot panny Mering jest czarny.

- Owszem - przyznał. - Z białymi łapkami i białym pyszczkiem, ale odrobina czernidła do butów we właściwych miejscach...

- Nie - sprzeciwiłem się. - Mówiłeś, że ona jest bardzo przywiązana do swojej kotki.

- Właśnie, i będzie bardzo wdzięczna temu, kto ją znajdzie. Nie uważasz, że trochę sadzy, starannie nałożonej...

- Nie - uciąłem i podszedłem do huśtawki. - Czy widziałaś łódź?

- Tak, panie - odpowiedziała grzecznie dziewczynka.

- Znakomicie - ucieszył się Terence. - Kto był w łodzi?

- W jakiej łodzi? - zapytała dziewczynka, głaszcząc kota. - Widziałam bardzo dużo łodzi. To Tamiza, jak pan wie.

- To była duża zielona łódź z wielkim stosem bagaży - oznajmił Terence. - Widziałaś ją?

- Czy on gryzie? - zapytała dziewczynka.

- Kto? Pan Henry? - zdziwił się Terence.

- Cyryl - wyjaśniłem. - Nie, nie gryzie. Widziałaś taką łódź? *Z* mnóstwem bagaży?

- Tak - odpowiedziała i zeskoczyła z huśtawki, przesuwając na ramię kota, który się nie obudził. - Popłynęła w tę stronę - wskazała w dół rzeki.

- To wiemy - rzucił Terence. - Widziałaś, kto był w łodzi?

- Tak - powiedziała poklepując kota, jak się poklepuje niemowlę, żeby beknęło. - Biedna kizia-mizia, przestraszyła się tego wielkiego psa.

Kot ciągle spał.

- Kto był w łodzi? - zapytałem.

Dziewczynka ułożyła kota w ramionach jak w kołysce.

- Wielebny.

- Wielebny? To znaczy pastor? Kościelny? - Pomyślałem, że moje kierownik komitetu parafialnego postawił tabliczkę ZAKAZ CUMOWANIA i za karę skonfiskował łódź.

- Tak - potwierdziła. - Nosił togę.

- Profesor Peddick - odgadłem.

- Czy miał siwe włosy? - zapytał Terence. - I bokobrody? Przytaknęła, wzięła kota pod pachy i uniosła przed sobą jak lalkę.

- Co za paskudny pies, żeby tak przestraszyć moją kicię!

Kot spał głęboko.

- Więc chodźmy - ponaglił mnie Terence, wysforowując się do przodu. - Powinniśmy sami zgadnąć - dodał, kiedy dogoniłem go razem z paskudnym psem - że to profesor Peddick zabrał łódź. Nie mógł popłynąć daleko.

Wskazał na rzekę, wijącą się leniwie na południe wśród płaskich pól.

- To wygląda dokładnie jak równina Maratonu.

Gotów byłem uwierzyć, że miał rację, jednak profesor Peddick albo nie zauważył podobieństwa, albo potrafił wiosłować szybciej, niż podejrzewałem. Nigdzie nie widzieliśmy ani jego, ani łódki.

Lecz Terence wcale się nie przejmował.

- Wkrótce go zobaczymy.

- A jeśli go nie dogonimy? - wyraziłem wątpliwość.

- Dogonimy - zapewnił mnie. - Pięć mil stąd jest śluza. Będzie musiał zaczekać, żeby się przeprawić.

- Pięć mil? - powtórzyłem zamierającym głosem.

- Na pewno go dogonimy. Tak działa Przeznaczenie. Jak Antoniusz i Kleopatra.

Następna historia miłosna, która źle się skończyła.

- Czy Antoniusza mógł powstrzymać taki drobiazg, jak zgubiona łódź? Chociaż w jego przypadku to byłaby barka.

Podjęliśmy mozolną wędrówkę. Wiktoriańskie słońce prażyło niemiłosiernie, Terence maszerował energicznym krokiem, porównując Tossie do aniołów, wróżek, elfów i Kleopatry (fatalnie skończyła); Cyryl coraz bardziej przypominał uczestnika Bataańskiego Marszu Śmierci; a ja tęsknie rozmyślałem o łóżku i próbowałem obliczyć, jak długo już nie śpię.

Przybyłem tutaj o dziesiątej, a mój kieszonkowy zegarek wskazywał IV, więc minęło sześć godzin, a przedtem spędziłem trzy godziny w laboratorium na szkoleniu, godzinę w gabinecie pana Dunworthy'ego, pół godziny na boisku w Oksfordzie, tyle samo w infirmerii, razem jedenaście godzin, nie licząc dwóch godzin poświęconych na szukanie strusiej nogi biskupa i godziny poświęconej na szukanie katedry, i pięciu godzin na Dożynkowym Bazarze Dobroczynnym i Zbiórce Metalu. Dziewiętnaście.

Kiedy przeskoczyłem na bazar, rano czy po południu? Po południu, bo właśnie wracałem do pokoju na obiad, kiedy lady Schrapnell przyłapała mnie i wysłała na kolejny kiermasz staroci.

Nie, to było dzień wcześniej. Albo jeszcze poprzedniego dnia Jak długo zwiedzałem kiermasze? Od lat. Nie spałem od lat.

- Będziemy musieli zrezygnować - odezwałem się, myśląc ze znużeniem, jak daleko trzeba wracać do Oksfordu. Może prześpimy się w kościele w Iffley. Nie, kościół zamykano o czwartej. I niewątpliwie do pulpitu na śpiewniki przypięto pineskami kartkę z napisem: ZAKAZ SPANIA W ŁAWKACH.

- Patrz! - krzyknął Terence. Wskazał porośniętą wierzbami wyspę na środku rzeki. - Tam jest!

To był rzeczywiście profesor Peddick. Pochylony nad samym brzegiem rzeki, w rozwianej todze, obserwował wodę przez pince-nez.

- Profesorze Peddick! - zawołał Terence.

Profesor mało się nie przewrócił. Chwycił podejrzanie cienką gałązkę wierzby, odzyskał równowagę, poprawił pince-nez i spojrzał na nas.

- To my - wrzasnął Terence, składając dłonie w trąbkę wokół ust. - St. Trewes i Henry. Szukaliśmy pana.

- Ach, St. Trewes - odkrzyknął profesor. - Chodźcie, chodźcie. Znalazłem piękne płycizny, idealne dla kleni.

- Musi pan po nas przypłynąć - poinformował go Terence.

- Zaginął? Kto zaginął? - zdziwił się profesor, a ja pomyślałem: Znowu się zaczyna.

- Przypłynąć! - ryknął Terence. - Pan ma łódź.

- Ach - powiedział profesor. - Zaczekajcie. Zniknął w wierzbowej gęstwinie.

- Miejmy nadzieję, że nie zapomniał przywiązać łodzi - powiedziałem.

- Miejmy nadzieję, że pamięta, gdzie ją zostawił - dodał Terence, siadając na brzegu.

Usiadłem obok niego, a Cyryl położył się przy nas, natychmiast przetoczył się na bok i zaczął chrapać. Serdecznie mu zazdrościłem.

Teraz będziemy musieli odwieźć profesora do Oksfordu, co zajmie najmniej trzy godziny, o ile zdołamy mu wyperswadować, żeby nie zatrzymywał się przy każdej rybie i łące.

Może jednak dobrze się złożyło. Verity kazała trzymać Terence'a z daleka od Muchings End, a ta zwłoka ułatwi mi zadanie. Zapadnie noc, zanim dopłyniemy do Oksfordu. Będziemy musieli tam przenocować, a rano spróbuję namówić Terence'a na wycieczkę w górę rzeki, na przykład do Parson's Pleasure. Albo do Londynu, albo na wyścigi konne. Kiedy zaczynają się Derby?

Albo, kto wie, może po dobrze przespanej nocy Terence odzyska rozum i zobaczy w Tossie tylko szczebioczącą ignorantkę. Zadurzenie bardzo przypomina dyschronię, czyli zakłócenie równowagi związków chemicznych, które szybko wyleczy zdrowy sen.

Profesora jakoś nie było widać.

- Znalazł nową odmianę klenia i całkiem o nas zapomniał - uznał Terence.

Wkrótce jednak dziób łodzi wyłonił się zza wyspy. Profesor Peddick wiosłował, a rękawy jego togi wydymały się jak czarne żagle. Łódź przybiła do brzegu poniżej miejsca, gdzie staliśmy. Popędziliśmy na ścieżkę holowniczą, a Cyryl poczłapał za nami.

Odwróciłem się, żeby go ponaglić.

- Szybciej, Cyrylu - powiedziałem i wpadłem na Terence'a, który stanął jak wryty i wpatrywał się w łódź.

- Nie wyobrażacie sobie, jakie wspaniałe odkrycia poczyniłem - oznajmił profesor Peddick. - Ta wyspa bardzo przypomina miejsce bitwy pod Dunreath Mow. - Podniósł do góry patelnię. - Chciałem wam pokazać niebieskiego klenia, którego znalazłem.

Terence wciąż wytrzeszczał oczy na łódź.

Nie zauważyłem żadnych wgnieceń ani zadrapań poza tymi, które łódź już miała, kiedy Jabez ją nam wypożyczał. Nie widziałem też żadnych dziur. Deski pokładu na rufie i dziobie wydawały się zupełnie suche.

Deski na rufie. I na dziobie.

- Terence... -wykrztusiłem.

- Profesorze Peddick - zapytał Terence zdławionym głosem - gdzie są nasze rzeczy?

- Rzeczy? - powtórzył z roztargnieniem profesor.

- Bagaże. Waliza Neda i kosze, i...

- Ach - połapał się profesor. - Pod *Salix babylonica* po drugiej stronie wyspy. Wsiadajcie. Przeprawię was niczym Charon przewożący dusze przez rzekę Styks.

Wsiadłem i pomogłem Terence'owi załadować Cyryla, czyli oparłem jego przednie łapy na okrężnicy, a Terence wstawił do łodzi tylne łapy, po czym sam wsiadł.

- Wspaniale kamieniste dno - oznajmił profesor Peddick i zaczął wiosłować w poprzek rzeki. - Doskonałe miejsce dla uklei. Dużo much i komarów. Złapałem pstrąga z czerwonymi skrzelami. Masz sieć, St. Trewes?

- Sieć?

- Do trałowania. Nie chcę kaleczyć pyska łowiąc na haczyk.

- Naprawdę nie mamy czasu na łowienie - zaoponował Terence. - Musimy jak najszybciej załadować łódź i płynąć z powrotem.

- Nonsens. Znalazłem doskonałe miejsce na obozowisko.

- Obozowisko? - powtórzył Terence.

- Nie ma sensu płynąć do domu, a potem tutaj wracać. Klenie najlepiej biorą przed zachodem słońca.

- Ale co z pańską siostrą i jej towarzyszką? - Terence wyciągnął kieszonkowy zegarek. - Już prawie piąta. Jeśli zaraz wypłyniemy, zdąży pan zjeść z nimi obiad.

- Nie ma potrzeby - odparł profesor. - Mój uczeń już po nie wyszedł.

- Ten uczeń to ja, profesorze - przypomniał mu Terence.

- Nonsens. Ten uczeń pływał łódką po Tamizie, kiedy pracowałem nad swoim... - Zerknął na Terence'a przez swoje pince-nez. - Na świętego Jerzego, to ty.

- Wyszedłem na ten o dziesiątej pięćdziesiąt pięć - powiedział Terence - ale pańska siostra i jej towarzyszka nie przyjechały, więc musiały przyjechać tym o trzeciej osiemnaście.

- Nie przyjechała - mruknął profesor, wpatrując się w wodę. - Dobra trawa dla okoni.

- Wiem, że pańska siostra nie przyjechała - cierpliwie powtórzył Terence - ale jeśli wysiadła z tego o trzeciej osiemnaście...

- Nie moja siostra - przerwał mu profesor, podwijając rękaw togi i zanurzając ramię w wodzie. - Jej towarzyszka. Uciekła i wyszła za mąż.

- Wyszła za mąż? - zapytałem. Dama na peronie mówiła coś o zamążpójściu.

- Pomimo ostrych sprzeciwów mojej siostry. Poznała go w kościele. Klasyczny przykład indywidualnego działania. Historia to charakter. Zamiast niej zabrała moją bratanicę.

- Bratanicę?

- Śliczna dziewczyna. - Wyciągnął z wody oślizłe źdźbło wiotkiej, brązowej trawy. - Wspaniałe do oznaczania okazów. Wielka szkoda, że nie wyszedłeś po nie na stację i nie miałeś okazji jej poznać.

- Wyszedłem, ale ich nie było - wyjaśnił Terence.

- Jesteś pewien? - Profesor wręczył mi trawę. - Maudie w liście dokładnie podała godzinę. - Poklepał się po kieszeniach togi.

- Maudie? - powtórzyłem w nadziei, że się przesłyszałem.

- Otrzymała imię po swojej biednej drogiej matce, Maud - oznajmił, przetrząsając kieszenie. - Byłby z niej dobry przyrodnik, gdyby urodziła się chłopcem. Widocznie zgubiłem list, kiedy Overforce próbował mnie zamordować. Z pewnością to był pociąg o dziesiątej pięćdziesiąt pięć. Chociaż może jutrzejszy. Którego dzisiaj? Ach, jesteśmy na miejscu, wreszcie dotarliśmy do raju, oto „Pola Elizejskie na krańcu ziemi, gdzie Radamantys rządzi jasnowłosy".

Łódź przybiła do brzegu z lekkim wstrząsem, który nawet nie zbudził Cyryla, lecz ja doznałem znacznie silniejszego wstrząsu. Maud. Z mojej winy Terence rozminął się ze „starożytnymi reliktami". Gdyby nie ja, siostra i bratanica profesora Peddicka nie odeszłyby z peronu i doczekałyby się Terence'a. I gdybym mu nie powiedział, że nikt odpowiadający temu opisowi nie wysiadł z pociągu, dogoniłby je w drodze do Balliol. Ale przecież powiedział: „starożytne relikty". Powiedział: „absolutnie przedpotopowe".

- Możesz mi podać cumę, Ned? - poprosił Terence, wciągając dziób łodzi na brzeg.

Spotkania zawsze miały kluczowe znaczenie w skomplikowanym, chaotycznym biegu historii. Lord Nelson i Emma Hamilton. Henryk VIII i Anna Boleyn. Crick i Watson. John Lennon i Paul McCartney. A Terence miał spotkać Maud na peronie kolejowym w Oksfordzie.

- Ned! - ponaglił mnie Terence. - Możesz podać cumę? Chwyciłem cumę, jednym olbrzymim krokiem przeszedłem na błotnisty brzeg i przywiązałem łódź, myśląc, że powinienem zrobić coś wręcz przeciwnego.

- Chyba powinniśmy wrócić do Oksfordu, żeby odnaleźć bratanicę profesora. I siostrę - dodałem.

Nie spotkają się na stacji, ale przytulniej się spotkają. - Możemy zostawić tutaj bagaż i później go zabrać. Dwie damy, podróżujące samotnie. Na pewno potrzebują kogoś, żeby zajął się ich bagażem.

- Nonsens - stwierdził profesor Peddick. - Maud doskonale potrafi załatwić wysianie bagażu i zamówić dorożkę, żeby zawiozła je do hotelu. To wyjątkowo rozsądna dziewczyna, nie taka głupiutka jak inne. Spodobałaby ci się, St. Trewes. Masz może robaki? - zapytał i ruszył w stronę wierzbowych zarośli.

- Potrafisz go przekonać? - zwróciłem się do Terence'a. Pokręcił głową.

- Nie wtedy, kiedy chodzi o ryby. Albo o historię. Najlepiej rozbijmy obóz, zanim się ściemni.

Podszedł do naszych bagaży, spiętrzonych w nieporządny stos pod wielką wierzbą, i zaczął wśród nich grzebać.

- Ale jego bratanica...

- Słyszałeś go. Rozsądna. Inteligentna. Jego bratanica pewnie należy do tych okropnych nowoczesnych dziewcząt, które mają własne poglądy i uważają, że kobiety powinny studiować w Oksfordzie. - Wyciągnął patelnię i kilka puszek. - Wyjątkowo odrażający typ dziewczyny. Nie to, co panna Mering. Taka ładna i niewinna.

I głupiutka, pomyślałem. I Terence nie powinien był jej spotkać. Powinien był spotkać Maud. „Spodobałaby ci się", powiedział profesor i na pewno miał rację, z tą jej słodką buzią i ciemnymi oczami. Ale ja wyglądałem podejrzanie, a Verity działała bez namysłu i dlatego Terence i Tossie, którzy nigdy nie powinni byli się spotkać, teraz umawiali się na randki i kto wie, jakie komplikacje z tego wynikną?

- Zresztą i tak poznam ją jutro rano - oznajmił Terence, krając mięsną zapiekankę. - Kiedy odwieziemy profesora Peddicka.

Poznają rano. Chaotyczne systemy mają wbudowaną redundancję, interferencję i pętle sprzężenia zwrotnego, dlatego skutki pewnych wydarzeń nie są wielokrotnie wzmacniane, tylko kasowane. „Tutaj się miniemy, a tam się zejdziemy". Terence nie spotkał Maud dzisiaj, ale spotka ją jutro. Zresztą gdybyśmy dzisiaj odwieźli profesora, byłoby już za późno na przyjmowanie wizyt i znowu nie doszłoby do spotkania. Ale jutro rano Maud nałoży ładną sukienkę, a Terence zupełnie zapomni o Muchings End i zaprosi ją na piknik do Port Meadow. Jeżeli miał ją spotkać. Zresztą nawet gdyby mnie nie było na stacji, siostra profesora Peddicka równie dobrze mogła pomyśleć, że bagażowy wygląda podejrzanie, albo poczuć przeciąg i odjechać dorożką przed przybyciem Terence'a. A Terence, który spieszył się na łódkę, wróciłby na most Folly nie spotkawszy Maud. T.J. mówił, że ten system posiada zdolności samokorekty.

Verity miała rację. Księżniczka Ardżumand została zwrócona, niekongruencja - jeśli takowa istniała - została naprawiona, a ja powinienem odpoczywać i wracać do zdrowia, co oznaczało jedzenie i sen, w wymienionej kolejności.

Terence rozłożył koc i ustawiał na nim blaszane talerze i kubki.

- W czym mogę pomóc? - zapytałem i ślinka napłynęła mi do ust. Kiedy jadłem ostatni raz? Pamiętałem tylko filiżankę herbaty i brukowiec na Kiermaszu Robótek Dla Zwycięstwa Kobiecego Zakładu Naukowego, ale to było co najmniej dwa dni i pięćdziesiąt dwa lata temu.

Terence pogrzebał w kwadratowym koszu, wyciągnął kapustę i dużego melona.

- Możesz rozłożyć dywaniki. Dwaj będą spali w łodzi, trzeci na brzegu. A jeśli znajdziesz sztućce i lemoniadę imbirową, przynieś je tutaj.

Przyniosłem dywaniki i zacząłem je rozkładać. Wyspa widocznie należała do kierownika komitetu parafialnego z Iffley. Tabliczki wisiały dosłownie na każdym drzewie i na kilku palach wbitych w brzeg. WSTĘP WZBRONIONY, TEREN PRYWATNY, ZAKAZ WSTĘPU, WSTĘP

WZBRONIONY POD KARĄ, PRYWATNE WODY, ZAKAZ CUMOWANIA, ZAKAZ ŁOWIENIA RYB, ZAKAZ LĄDOWANIA, ZABRANIA SIĘ OBOZOWAĆ, ZABRANIA SIĘ ŚMIECIĆ, ZAKAZ PIKNIKÓW.

Przeszukałem pudła Terence'a i znalazłem bogaty wybór dość dziwacznych utensyliów. Wybrałem te, które najbardziej przypominały łyżki, widelce i noże.

- Obawiam się, że posiłek będzie raczej skromny - wyznał Terence. - Zamierzałem uzupełnić zapasy w drodze, więc musimy się zadowolić tym, co mamy. Powiedz profesorowi, że obiad podany, taki jaki jest.

Skromny posiłek według Terence'a składał się z pasztetu wieprzowego, pasztetu cielęcego, rostbefu na zimno, szynki, pikli, malowanych jajek, marynowanych buraków, sera, chleba z masłem, lemoniady imbirowej i butelki porto. Nigdy w życiu nie jadłem nic lepszego.

Terence nakarmił Cyryla resztkami rostbefu i podniósł puszkę.

- Do licha! - zawołał. - Zapomniałem wziąć otwieracz, a szkoda bo zabrałem puszkę...

- Ananasa - dokończyłem, szczerząc zęby.

- Nie - zaprzeczył, spoglądając na etykietę. - Brzoskwiń. - pochylił się nad koszem. - Ale gdzieś tu powinien być ananas. Chociaż myślę, że jedno i drugie smakuje tak samo bez otwieracza.

Więc spróbujmy otworzyć puszkę bosakiem, uśmiechnąłem się w duchu. Tak zrobili w „Trzech panach w łódce". I o mało nie zabili Jerzego. Uratował go słomkowy kapelusz.

- Spróbujmy ją otworzyć scyzorykiem - zaproponował Terence

- Nie - zaprotestowałem. Trzej panowie próbowali scyzoryka, zanim sięgnęli po bosak. I nożyczek, i masztu, i wielkiego kamienia. - Będziemy musieli obejść się smakiem - stwierdziłem ponuro.

- Powiadam, Ned - zagadnął Terence - nie masz czasem otwieracza do puszek w bagażu?

Pewnie miałem, znając Fincha. Rozprostowałem zesztywniałe nogi, zszedłem pod wierzbę i zacząłem poszukiwania.

Sakwojaż zawierał trzy koszule bez kołnierzyków, oficjalny wieczorowy garnitur, sporo na mnie za mały, oraz za duży melonik. Dobrze się składało, że miałem tylko pływać po rzece.

Spróbowałem w kwadratowym koszu. Zawartość wyglądała bardziej obiecująco: kilka dużych łyżek oraz rozmaite kuchenne przybory, między innymi jeden z ostrzem jak kosa, a drugi z dwoma długimi uchwytami oraz obrotowym walcem wyposażonym w otwory. Prawdopodobnie któryś z nich był otwieraczem. Albo jakąś bronią.

Cyryl przyszedł mi pomóc.

- Nie wiesz przypadkiem, jak wygląda otwieracz do puszek? - zagadnąłem, podnosząc płaską kratkę na długiej rączce.

Cyryl spojrzał na torbę, a potem zaczął obwąchiwać okrągły kosz.

- Tam jest? - zapytałem. Wyciągnąłem z pętelki kołek przytrzymujący pokrywę i otworzyłem kosz.

Księżniczka Ardżumand spojrzała na mnie szarymi oczami i ziewnęła.

Lecz jedna z lekcji, które daje nam życie, mówi, że koty są kotami

P. G. Wodehouse

ROZDZIAŁ ÓSMY

Puszka Pandory - Bielizna jako temat rozmowy w epoce wiktoriańskiej - Mój błąd - Jakie polecenia wydajemy kotu - Błąd króla Jana – Znaczenie zdrowego nocnego snu - Otwarcie puszki - Kocie odgłosy - Łabędź - Krowa pani O'Leary - Jaś i Małgosia - Piękny koniec pięknego dnia

- Co ty tu robisz? - zapytałem.

Ale już odgadłem, co ona tu robi. Pan Dunworthy odesłał ją ze mną, a ja miałem ją zwrócić do Muchings End, zanim jej nieobecność spowoduje poważne konsekwencje.

Tylko że spóźniłem się o trzy dni i wylądowałem czterdzieści mil dalej z taką dyschronią, że nawet nie zdawałem sobie sprawy, co powinienem zrobić. A w międzyczasie pani Mering pojechała do Oksfordu na konsultację z medium, Tossie poznała Terence'a i księcia de Vecchio, a Terence nie spotkał Maud.

Niekongruencja nie została naprawiona. Znajdowała się właśnie tutaj.

- Nie powinnaś tutaj być - powiedziałem drętwo.

Kotka podniosła na mnie wzrok. Miała szare oczy z plamkami zieleni i z dziwnymi pionowymi źrenicami, jak szparki. Nie wiedziałem, że koty miewają oczy takiej barwy. Myślałem, że wszystkie mają jasnożółte oczy, świecące w ciemnościach.

Myślałem również, że psy ścigają koty, ale Cyryl siedział spokojnie. Patrzył na mnie tak, jakbym go zdradził.

- Nie wiedziałem, że ona tu jest - próbowałem się bronić.

Ale jak mogłem nie wiedzieć? Co takiego mógł zawierać okrągły kosz - z pokrywą! - przyniesiony przez Fincha w ostatniej chwili? Gomółkę sera? I niby dlaczego Finch mówił, że chyba nie powinni mnie wysyłać ze względu na moją dyschronię?

No, z pewnością miał rację. Nie połapałem się nawet wtedy, kiedy Terence mi powiedział, że Tossie zginął kot. Ani kiedy Verity zapytała mnie, gdzie jest kot. Głupi, głupi, głupi.

Mogłem oddać kotkę Verity, żeby ją odwiozła do Muchings End. Albo Tossie. Mogłem pod jakimś pretekstem wrócić do łodzi, a potem udawać, że znalazłem ją na brzegu. Gdybym wiedział, że ją mam. Gdybym chociaż zajrzał do bagażów. Głupi, głupi, głupi.

Kotka poruszyła się. Ziewnęła i przeciągnęła się lekko, wysuwając do przodu jedną białą łapkę. Pochyliłem się nad koszem, żeby zobaczyć pozostałe łapki. Widziałem tylko czarne futerko.

Nawiedziła mnie szaleńcza myśl. A jeśli to wcale nie jest Księżniczka Ardżumand? Tossie mówiła, że jej kotka była czarna z białym pyszczkiem, lecz w 1888 roku niewątpliwie żyły setki czy nawet tysiące czarnych kotów z białymi mordkami. Ludzie musieli topić kocięta, żeby ograniczyć liczebność.

- Księżniczka Ardżumand? - zapytałem na próbę. W szarych oczach nie dostrzegłem żadnej reakcji.

- Księżniczko Ardżumand - powtórzyłem bardziej stanowczo, a ona zamknęła oczy.

To nie była Księżniczka Ardżumand. To była kotka dozorcy śluzy albo kierownika komitetu parafialnego, która wlazła do kosza, kiedy zwiedzaliśmy kościół w Iffley.

Kotka znowu ziewnęła, pokazując różowy języczek i mnóstwo małych ostrych ząbków, po czym wstała.

Cyryl cofnął się niczym członek Cywilnej Obrony Przeciwlotniczej na widok bomby zapalającej.

Kotka wyszła z kosza i odeszła spacerowym krokiem na czterech białych łapkach, unosząc wysoko ogon zakończony białą kitką. Tylne okolice również miała białe, co trochę przypominało pantalony.

Tossie nie wspomniała o pantalonach, pomyślałem z nadzieją, ale potem przypomniałem sobie, że to jest epoka wiktoriańska. Osoby dobrze wychowane nie rozmawiają o pantalonach ani o innych częściach bielizny, prawda? Zresztą ile kotów z białymi łapkami mogło schować się w moim bagażu i zamknąć za sobą kosz?

Kotka właśnie znikała z polany.

- Czekaj! - zawołałem. - Księżniczko Ardżumand! Potem przypomniałem sobie odpowiedni zwrot.

- Stój! - rozkazałem twardo. - Stój.

Szła dalej.

- Wracaj - zażądałem. - Stój. Siad. Sio.

Odwróciła się i spojrzała na mnie wielkimi szarymi oczami.

- Bardzo dobrze - powiedziałem i powoli ruszyłem w jej stronę. - Grzeczny kotek.

Usiadła na ogonie i zaczęła sobie lizać łapkę.

- Baardzo grzeczny kotek - pochwaliłem ją, zbliżając się ostrożnie. - Siad... siad... doskonale.

Delikatnie potarła się łapką za uchem. Dzieliło mnie od niej niecałe pół metra.

- Siad... dobrze... siedź... - nakazałem i rzuciłem się na nią. Odskoczyła lekko i znikła wśród drzew.

- Powiadam, już znalazłeś? - zawołał Terence od strony rzeki. Usiadłem, otrzepałem łokcie z kurzu i spojrzałem na Cyryla.

- Tylko nic nie mów.

Wstałem. Nadszedł Terence z puszką brzoskwiń w ręku.

- A, tutaj jesteś - powiedział. - Poszczęściło ci się?

- Wcale - odparłem. Pospiesznie wróciłem do bagażu. - To znaczy, jeszcze wszystkiego nie przejrzałem.

Wbiłem pokrywę na kosz i otworzyłem torbę, modląc się w duchu, żeby nie zawierała żadnych niespodzianek. Nie zawierała. Znalazłem tam parę wysokich sznurowanych butów, rozmiar najwyżej piątka, wielką chustkę do nosa w grochy, trzy widelce do ryby, dużą warząchew ozdobioną srebrnym filigranem oraz szczypce do ślimaków.

- Czy to się nadaje? - zapytałem, pokazując szczypce. Terence przeszukiwał kwadratowy kosz.

- Wątpię... o, jest - oznajmił i podniósł przedmiot przypominajmy kosę z czerwoną rączką. - Ach, zabrałeś stiltona. Doskonale.

Odszedł, przyciskając do piersi ser i otwieracz, a ja wróciłem na skraj polany.

Nigdzie nie było ani śladu kota.

- Księżniczko Ardżumand, do nogi! - zawołałem. Rozchyliłem gałęzie, żeby zajrzeć pod krzaki. - Chodź, malutka.

Cyryl węszył w zaroślach i spłoszył jakiegoś ptaka.

- Chodź, kotku - powtórzyłem. - Do nogi.

- Ned! Cyryl! - zawołał Terence, a ja wypuściłem szeleszczącą gałąź. - Woda się gotuje! - Nadszedł, niosąc otwartą puszkę brzoskwiń - Co was zatrzymało?

- Chciałem zrobić porządek - wyjaśniłem, wtykając szczypce do, buta - spakować rzeczy, żeby wcześnie rano wypłynąć.

- Możesz to zrobić po deserze - powiedział Terence i wziął mnie za ramię. - No, chodźże wreszcie.

Zaprowadził nas do ogniska, chociaż Cyryl zwlekał i rozgląda się niespokojnie. Profesor Peddick właśnie nalewał herbatę do blaszanych kubków.

- *Dum licet inter nos igitur laetemur amantes* - zacytował, podając mi kubek. - Piękny koniec

pięknego dnia.

Piękny dzień, akurat. Nie zwróciłem kota, przeze mnie Terence nie spotkał Maud, przeze mnie popłynął do Iffley na spotkanie z Tossie i kto wie, co jeszcze?

No, nie warto płakać nad rozlanym mlekiem, nawet jeśli to nie odpowiednia metafora, ponieważ nie można go wlać z powrotem do butelki, a zresztą jaka będzie odpowiednia metafora? Otworzyć puszkę Pandory? Wypuścić kota z worka?

Wszystko jedno, nie warto płakać ani rozpamiętywać błędów przeszłości. Musiałem odstawić Księżniczkę Ardżumand do Muchings End jak najszybciej, zanim powstaną większe szkody.

Verity kazała mi trzymać Terence'a z dala od Tossie, ale nie wiedziała o kocie. Musiałem natychmiast odwieźć kotkę z powrotem w miejsce zniknięcia. A najszybszy sposób to powiedzieć Terence'owi, że ją znalazłem. Podskoczy z radości. Natychmiast zechce płynąć do Muchings End.

Ale wtedy spowoduję dalsze konsekwencje, bo Tossie będzie taka wdzięczna za zwrócenie kota, że zakocha się w Terensie zamiast w panu C. Albo on zacznie się zastanawiać, jakim cudem kot zawędrował tak daleko od domu, i wyruszy w pościg za porywaczem, tak jak wcześniej ścigaliśmy łódkę, i po ciemku spadnie z grobli i utonie. Albo utopi kota. Albo wywoła wojnę burską.

Lepiej ukryję kota, dopóki nie dopłyniemy do Muchings End Jeśli potrafię wsadzić go z powrotem do kosza. Jeśli potrafię go złapał

- Gdybyśmy znaleźli Księżniczkę Ardżumand - zagadnąłem nie dbale - jak mamy ją złapać?

- Myślę, że nie będziemy musieli jej łapać - odparł Terence. - Myślę, że Księżniczka z wdzięcznością skoczy nam w ramiona, jak tylko nas zobaczy. Nie przywykła sama zdobywać pożywienia. Z tego, co mi mówiła Toss... panna Mering, wnioskuję, że kotkę chowano pod kloszem.

- Ale przypuśćmy, że nie skoczy. Czy przyjdzie, jeśli ją zawołać po imieniu?

Obaj, Terence i profesor, popatrzyli na mnie z niedowierzaniem.

- Przecież to kot - powiedział Terence.

- Więc jak można ją złapać, jeśli jest przestraszona i sama nie przyjdzie? Czy zastawia się pułapkę albo...

- Myślę, że wystarczy coś do jedzenia. Na pewno porządnie zgłodniała - stwierdził Terence, wpatrując się w rzekę. - Myślisz, że ona też patrzy na rzekę jak ja i „w wieczornym chłodzie tren jej złotej szaty płynie przez Nocy posępne komnaty"?

- Kto? - zapytałem, rozglądając się po brzegu. - Księżniczka Ardżumand?

- Nie - odparł Terence z irytacją. - Panna Mering. Myślisz, że ogląda ten sam zachód słońca? I czy wie, jak ja wiem, że jesteśmy sobie przeznaczeni, jak Lancelot i Ginewra?

Kolejny nieszczęśliwy koniec, ale to nic w porównaniu z naszym końcem, jeśli nie znajdę kota i nie odwiozę go do Muchings End. Wstałem i zacząłem zbierać talerze.

- Najlepiej chodźmy już spać, żeby jutro wyruszyć wcześnie.

- Ned ma rację - powiedział Terence do profesora Peddicka, niechętnie odrywając spojrzenie od rzeki. - Musimy wcześnie wyruszyć do Oksfordu.

- Koniecznie musimy wracać do Oksfordu? - zapytałem. - Profesor może popłynąć z nami do Muchings End, a potem go odwieziemy.

Terence spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Zaoszczędzimy co najmniej dwie godziny, a nad rzeką jest mnóstwo historycznych zabytków, które profesor może studiować - improwizowałem. - Groby i ruiny, i... Runnymede. - Odwróciłem się do Profesora. - Według mnie to ślepe siły doprowadziły do podpisania Magna Carta.

- Ślepe siły? - zaperzył się profesor. - To charaktery stworzyły Magna Carta. Bezwzględność króla Jana, ślamazarność papieża, upór arcybiskupa Langtona w kwestii *habeas corpus* i rządów prawa.

Siły! chciałbym widzieć, jak Overforce wyjaśnia Magna Carta w kategoriach ślepych sił. - Dopił herbatę i odstawił kubek stanowczym ruchem. - Musimy pojechać do Runnymede!

- Ale co z pańską siostrą i bratanicą? - zapytał Terence.

- Mój służący dostarczy im wszystkiego, czego potrzebują, a Maudie to zaradna dziewczyna. Na tym polegał błąd króla Jana, wiecie żeby wracać do Oksfordu. Powinien był zostać w Londynie. Mógł zmienić cały bieg historii. My nie popełnimy tego błędu - zakończył i podniósł wędkę. - Pojedziemy do Runnymede. Koniecznie.

- Ale pańska siostra i bratanica nie będą wiedziały, dokąd pan pojechał - zachmurzył się Terence i spojrzał na mnie pytająco.

- Profesor może wysłać do nich telegram z Abingdon - zaproponowałem.

- Właśnie, telegram - zgodził się profesor i pokuśtykał nad rzekę. Terence odprowadził go zatroskanym wzrokiem.

- Nie myślisz, że on nas opóźni ?

- Nonsens - odparłem. - Runnymede jest obok Windsoru. Zabiorę go tam łódką, a ty zostaniesz w Muchings End z panną Mering. Dopłyniemy tam w południe. Będziesz miał czas, żeby się umyć i ogarnąć. Możemy zatrzymać się w Barley Mow - dodałem, wygrzebawszy nazwę gospody z „Trzech panów w łódce" - gdzie wyprasują ci spodnie i wyczyszczą buty.

A ja tymczasem wymknę się, kiedy będziesz się golił, i odniosę kota do Muchings End, pomyślałem. Jeśli go znajdę. Terence wciąż nie był przekonany.

- Chyba rzeczywiście zaoszczędzimy na czasie - przyznał.

- Więc sprawa załatwiona - zakończyłem, zwinąłem obrus i wepchnąłem do kosza. - Ty pozmywaj naczynia, a ja pościelę łóżka.

Kiwnął głową.

- Na łodzi jest miejsce tylko dla dwóch. Będę spał przy ognisku.

- Nie - sprzeciwiłem się - ja będę spał przy ognisku - i poszedłem po dywaniki.

Rozłożyłem wszystkie oprócz dwóch na dnie łodzi, a pozostałe zaniosłem na polanę.

- Nie powinieneś ich położyć przy ognisku? - zagadnął Terence, ustawiając naczynia w stos.

- Nie, mój lekarz mówił, że nie mogę spać w dymie.

Kiedy Terence płukał naczynia, stojąc po kostki w wodzie z podwiniętymi spodniami, ukradłem linę i latarnię, żałując, że profesor Peddick nie zabrał sieci rybackiej.

Trzeba było zapytać Terence'a, co jedzą koty. Zostało trochę stiltona. Czy koty lubią ser? Nie, to myszy lubią ser. A koty lubią myszy Obawiałem się jednak, że nie mamy żadnych myszy.

Mleko. Podobno koty lubią mleko. Kobieta prowadząca kokosowe rzutki na Festynie Dożynkowym narzekała, że kot dobrał się do mleka zostawionego na progu. „Zerwał kapsel pazurami - powiedziała, - Paskudny szkodnik".

Nie mieliśmy mleka, ale w butelce została odrobina śmietanki. Wsadziłem do kieszeni butelkę, spodeczek, puszkę groszku i mięsną konserwę, piętkę z chleba oraz otwieracz do puszek i ukryłem wszystko na polanie, po czym wróciłem do ogniska.

Terence przekopywał pudła.

- Gdzie się podziała ta latarnia? - mruczał. - Wiem, że były dwie. - Spojrzał w niebo. - Zanosi się na deszcz. Może lepiej śpij w łódce. Będzie trochę ciasno, ale jakoś wytrzymamy.

- Nie! - odparłem. - Mój lekarz mówi, że rzeczne wyziewy szkodzą mi na płuca. - Nędzna wymówka, skoro wcześniej wspominałem, że lekarz radził mi wycieczkę po rzece dla zdrowia. - Powiedziała, że mam spać na lądzie.

- Kto? - zdziwił się Terence, a ja przypomniałem sobie poniewczasie, że w wiktoriańskiej Anglii

kobiety nie bywały lekarzami. Ani prawnikami, ani premierami.

- Mój lekarz, James Dunworthy. Powiedział, że mam spać na lądzie, z dala od innych.

Terence wyprostował się, trzymając pałąk latarni.

- Wiem, że Dawson zapakował dwie. Sam widziałem. Nie mam pojęcia, gdzie się zapodziała.

Zapalił latarnię, czyli zdjął szklany klosz, potarł zapałkę i poprawił knot. Obserwowałem go uważnie.

Nadszedł profesor Peddick, niosąc czajnik z dwiema rybkami.

- Muszę zawiadomić profesora Edelsweina o moim odkryciu. *Ugubio fluviatilis albinus* uważano za wytępiony w Tamizie - oznajmił, Zaglądając do ciemnego wnętrza czajnika. - Piękny okaz. - Postawił czajnik na kwadratowym koszu i ponownie wyciągnął fajkę.

- Może już pójdziemy spać? - zaproponowałem. - Żeby wstać wcześnie i tak dalej.

- Całkiem słusznie - przyznał profesor, otwierając kapciuch z tytoniem- - To bardzo ważne, żeby się dobrze wyspać. Grecy pod Salaminą dobrze się wyspali w noc przed walką. - Napełnił fajkę i ubił tytoń kciukiem - Terence też wyjął fajkę. - Natomiast Persowie spędzili tę noc na morzu i ustawiali swoje statki, żeby przeszkodzić Grekom w ucieczce.

Zapalił fajkę i pociągnął mocno, żeby się rozpaliła.

- Właśnie, i Persowie ponieśli druzgocącą klęskę - wtrąciłem. -Nie chcemy, żeby to samo nas spotkało. A więc - wstałem - chodźmy spać.

- Również Sasi w bitwie pod Hastings - ciągnął profesor Peddick podając kapciuch Terence'owi. Obaj usiedli. - Ludzie Wilhelma Zdobywcy byli wypoczęci i gotowi do walki, podczas gdy Sasi maszerowali od jedenastu dni. Gdyby Harold zaczekał i pozwolił swoim ludziom odpocząć, wygrałby bitwę pod Hastings i zmieniłby cały bieg historii.

I gdybym nie zwrócił kota, *ditto*.

- No, nie chcemy przegrać jutro żadnej bitwy - spróbowałem jeszcze raz - więc lepiej chodźmy spać.

- Indywidualne działanie - oświadczył profesor, pykając z fajki. - Dlatego przegrano bitwę pod Hastings. Wiecie, Sasi mieli przewagę. Ustawili się na szczycie wzgórza. Obronna pozycja na wzgórzu to największa militarna przewaga dla każdej armii. Spójrzcie na armię Wellingtona pod Waterloo. I na bitwę pod Fredericksburgiem w amerykańskiej wojnie domowej. Wojska Unii straciły dwanaście tysięcy ludzi pod Fredericksburgiem, kiedy atakowały z dołu obronne pozycje wroga. A Anglia była bogatszym krajem, kiedy walczyła na własnym terenie. Gdyby siły ekonomiczne kierowały historią, Sasi by wygrali. Ale nie żadne siły wygrały bitwę pod Hastings, tylko charakter. Wilhelm Zdobywca zmienił przebieg bitwy co najmniej w dwóch krytycznych momentach. Po pierwsze, kiedy Wilhelm spadł z konia podczas szarży.

Cyryl położył się i zaczął chrapać.

- Gdyby Wilhelm natychmiast nie wstał i nie zdjął hełmu, żeby jego ludzie zobaczyli, że przeżył, przegraliby bitwę. Jak to Overforce dopasuje do swojej teorii naturalnych sił? Nijak! Ponieważ historia to charakter, czego dowodzi drugi krytyczny moment bitwy.

Upłynęła cała godzina, zanim wytrząsnęli popiół z fajek i ruszyli do łodzi. W połowie drogi Terence zatrzymał się i zawrócił.

- Może lepiej weź latarnię - zaproponował, podając mi ją - skoro śpisz na brzegu.

- Poradzę sobie doskonale - zapewniłem. - Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedział, schodząc do łodzi. - „Noc to pora spoczynku. - Pomachał mi ręką. - Gdy praca skończona, słodko jest sen przytulić do znużonego łona".

Tak, zapewne, najpierw jednak musiałem znaleźć kota. Wróciłem na polanę i czekałem, aż

wszyscy zasną. Usiłowałem nie myśleć tym, że każda następna chwila kociej swobody zwiększa wykładniczo liczbę możliwych konsekwencji.

Wilk mógł zjeść kota. Czy w wiktoriańskiej Anglii żyły wilki? Albo jakaś wieśniaczka mogła go znaleźć i przygarnąć. Albo wsiadł do przepływającej łodzi.

Śluzy są już zamknięte, powiedziałem sobie, i w końcu to tylko kot. Czy zwierzę może kształtować historię?

Owszem. Przypomnijcie sobie Bucefała, konia Aleksandra Wielkiego, oraz „małego dżentelmena w czarnym futrze", przez którego zginął król Wilhelm III, kiedy jego koń nastąpił na kretowisko. I Ryszarda III na polu bitwy pod Bosworth, jak krzyczał: „Królestwo za konia!" Przypomnijcie sobie krowę pani O'Leary. Albo kota Dicka Whittingtona.

Odczekałem pół godziny, po czym ostrożnie zapaliłem latarnię. Wydobyłem puszki z kryjówki i wyjąłem otwieracz z kieszeni. I próbowałem je otworzyć.

To na pewno był otwieracz do puszek. Terence tak powiedział. Otworzył nim brzoskwinie. Dźgnąłem wieko czubkiem kosy, a potem boczną krawędzią. Dźgnąłem drugim, zaokrąglonym końcem.

Pomiędzy obiema końcówkami było trochę miejsca. Może jedna pasowała na zewnątrz puszki, jako rodzaj dźwigni. Albo należało ją przyłożyć z boku. Albo z dołu. A może trzymałem otwieracz odwrotnie, ponieważ kosa stanowiła uchwyt.

W rezultacie przedziurawiłem własną dłoń, nie najlepszy pomysł. Znalazłem w torbie chustkę do nosa i przewiązałem skaleczenie.

No dobrze, podejdźmy do sprawy logicznie. Czubek kosy musi służyć do przebijania blachy. I powinien przebić wieczko. Może trzeba go przyłożyć w określonym miejscu. Dokładnie obejrzałem puszkę, szukając słabych punktów. Nie miała żadnych.

- Dlaczego wiktorianie musieli wszystko tak cholernie komplikować? - poskarżyłem się i zobaczyłem błysk na samym skraju polany. - Księżniczko Ardżumand? - zapytałem cicho, podnosząc latarnię. W jednym przynajmniej miałem rację. Kocie oczy naprawdę świecą ciemnościach. Dwa żółte błyski patrzyły na mnie z krzaków. – Chodź, kotku - powiedziałem, wyciągając piętkę chleba i cmokając zachęcająco. - Mam coś dla ciebie. Chodź.

Świecące oczy mrugnęły i znikły. Wsadziłem chleb do kieszeni i ostrożnie ruszyłem na skraj polany.

- Chodź, kotku. Zabiorę cię do domu. Chcesz wrócić do domu prawda?

Cisza. No, niezupełnie cisza. Żaby rechotały, liście szeleściły, a Tamiza wydawała dziwaczny, bulgoczący dźwięk. Ale nie słyszałem żadnych kocich odgłosów. Jakie odgłosy wydają koty? Ponieważ w swoim życiu spotykałem wyłącznie śpiące koty, nie miałem pewności. Miaucząc odgłosy. Kory miauczą.

- Miau - zaszeptałem, rozgarniając gałęzie krzaków. - Do nogi, kocie. Chyba nie chcesz zniszczyć czasoprzestrzennego kontinuum, prawda? Miau. Miau.

Oczy ponownie mignęły w gęstwinie. Ruszyłem za nimi, krusząc chleb po drodze.

- Miau? - zapytałem, powoli kołysząc latarnią na boki. - Księżniczko Ardżumand? - i prawie potknąłem się o Cyryla.

Uszczęśliwiony, zamerdał tylną częścią ciała.

- Wracaj spać do swojego pana - syknąłem. - Tylko mi przeszkadzasz.

Natychmiast opuścił spłaszczony nos nad ziemię i zaczął węszyć w kółko.

- Nie! - zaprotestowałem. - Nie jesteś psem myśliwskim. Nawet nie masz nosa. Wracaj na łódź. - Wskazałem w kierunku rzeki.

Przestał węszyć i spojrzał na mnie przekrwionymi oczami, które wyraźnie mówiły: Proszę.

- Nie - odmówiłem twardo. - Koty nie lubią psów.

Znowu zaczął węszyć, gorliwie szturchając ziemię tym, co nazywał swoim nosem.

- No dobrze, dobrze, możesz iść ze mną - ustąpiłem, skoro jasne było, że i tak pójdzie. - Ale trzymaj się blisko.

Wróciłem na polanę, nalałem śmietanki do spodka, przygotowałem linę i zapałki. Cyryl przyglądał się z zainteresowaniem. Podniosłem latarnię do góry.

- „Zwierzyna jest blisko, Watsonie" - zacytowałem i obaj zanurzyliśmy się w gąszcz.

Panowała tam głęboka ciemność, a odgłosom wydawanym przez żaby, rzekę i liście towarzyszyły rozmaite szelesty, szurgoty i szmery - Zerwał się wiatr, więc osłoniłem latarnię dłonią, tęsknie wspominając wspaniały wynalazek kieszonkowej latarki. Dawała mocne światło, które można było skierować w dowolną stronę. Latarnię mogłem tylko unosić wyżej lub opuszczać niżej. Rzucała ciepły, drżący poblask, który niewiele oświetlał, sprawiał jedynie, że ciemność na zewnątrz kręgu światła wydawała się gęsta jak smoła.

- Księżniczko Ardżumand? - wołałem od czasu do czasu i: - Do nogi. kocie! - albo: - Juhu! - Po drodze rozrzucałem okruchy chleba, a czasami stawiałem spodek ze śmietanką przed jakimś obiecującym krzakiem i czekałem.

Nic. Żadnych świecących oczu. Żadnego miauknięcia. Noc była coraz ciemniejsza i wilgotniejsza, jakby zanosiło się na deszcz.

- Widzisz ją gdzieś, Cyrylu? - zapytałem.

Mozolnie przedzieraliśmy się dalej. Po południu to miejsce wyglądało całkiem cywilizowanie, ale teraz wszędzie natrafiałem na kolczaste krzaki, splątane poszycie i groźnie sterczące gałęzie. Ani śladu kota.

Tam. Nad rzeką. Błysk bieli.

- Chodź, Cyrylu - szepnąłem i ruszyłem w stronę rzeki. Znowu to zobaczyłem, coś białego, nieruchomego wśród sitowia. Może kotka zasnęła.

- Księżniczko Ardżumand? - zapytałem i sięgnąłem w głąb trzcin, żeby ją złapać. - Tutaj jesteś, ty niedobre stworzenie.

Biały przedmiot nagle uniósł długą, wygiętą szyję.

- Kwa-ak! - fuknął i załopotał potężnymi białymi skrzydłami. Z pluskiem upuściłem spodek.

- To łabędź - powiedziałem niepotrzebnie. Łabędź. Jeden ze starożytnych cudów Tamizy, spokojnie pływający przy brzegach, ptak o śnieżnych piórach i długiej, pełnej wdzięku szyi. - Zawsze chciałem takiego zobaczyć - wyznałem, odwracając się do Cyryla.

Cyryl zniknął.

- Kwaa-ak! - powtórzył łabędź i rozłożył skrzydła na imponującą szerokość, widocznie zirytowany, że go obudziłem.

- Przepraszam - powiedziałem, wycofując się. - Wziąłem cię za kota.

- Sss! - zasyczał łabędź i ostro natarł na mnie.

W żadnym z poematów „Do łabędzia" nie wspominano, że łabędzie syczą. Albo że nie znoszą, żeby mylić je z kotami. Albo że gryzą. Wreszcie zdołałem uciec, chociaż musiałem przedzierać się przez jakieś kolczaste zarośla, wdrapać się na drzewo i kopać łabędzia w dziób, dopóki nie poczłapał z powrotem nad rzekę, mamrocząc pogróżki i przekleństwa.

Odczekałem piętnaście minut na wypadek, gdyby tylko udawał po czym zlazłem na ziemię i zbadałem swoje rany. Większość znajdowała się z tyłu, gdzie nie mogłem ich zobaczyć. Wykręciłem głowę wypatrując krwi, i zobaczyłem Cyryla, który wyszedł zza drzewa z zawstydzoną miną.

- Druzgocąca klęska - oznajmiłem. - Całkiem jak Persowie. Harris też miał kłopoty z łabędziami. W „Trzech panach w łódce". - Pożałowałem, że zawczasu nie nauczyłem się na pamięć tego rozdziału. - Próbowały wyciągnąć z łodzi jego i Montmorency'ego.

Podniosłem latarnię, która, o dziwo, nie przewróciła się przy upadku.

- Gdyby król Harold miał po swojej stronie łabędzie, Anglia wciąż należałaby do Sasów.

Znowu ruszyliśmy przed siebie, trzymając się z dala od rzeki i uważając na błyski bieli.

Ukochany Polly Vaughn w starym poemacie zabił ją, ponieważ przez pomyłkę wziął ją za łabędzia. Nosiła biały fartuszek, a on myślał, że to łabędź, i zastrzelił ją z łuku. Doskonale go rozumiałem. W przyszłości ja także najpierw będę strzelał, a potem zadawał pytania.

Noc była coraz ciemniejsza i wilgotniejsza, a krzaki coraz bardziej kolczaste. Żadnych białych błysków, żadnych świecących oczu, żadnych odgłosów. Kiedy upuściłem resztkę chleba i zawołałem: - Do nogi, kocie! - mój głos zadźwięczał echem w głuchej czarnej pustce.

Musiałem pogodzić się z faktem, że kot dawno odszedł, by w puszczy zginąć z głodu albo zamordowany przez rozwścieczonego łabędzia, albo żeby zmienić bieg historii, kiedy córka faraona znajdzie go w sitowiu. Cyryl i ja już go więcej nie zobaczymy.

Jakby na potwierdzenie tych prognoz latarnia zaczęła kopcić.

- To nie ma sensu, Cyrylu - stwierdziłem. - Księżniczka odeszła. Wracajmy do obozu.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Rozglądałem się tylko za kotem i nie zwracałem uwagi na kierunek marszu, a wszystkie krzaki wyglądają podobnie.

Opuściłem latarnię nad ziemię i zacząłem szukać okruchów chleba, które rozrzucałem po drodze. Potem przypomniałem sobie Jasia i Małgosię, następną parę, która źle skończyła.

- Pokaż mi drogę, Cyrylu - poprosiłem z nadzieją, a on rozejrzał się czujnie i usiadł.

Oczywiście należało wracać wzdłuż rzeki, ale tam czyhały łabędzie a wilki na pewno nie zjadły wszystkich okruchów chleba. Wybrałem najbardziej prawdopodobny kierunek.

Pół godziny później zaczął siąpić deszcz i ziemia, zasłana liśćmi, zrobiła się mokra i śliska. Wlekliśmy się niczym Sasi, którzy maszerują od jedenastu dni. I wkrótce stracą Anglię.

Straciłem kotkę. Zmarnowałem cenny czas, nie wiedząc, że ją mam, a potem pozwoliłem jej uciec. Wypłynąłem na rzekę z nieznajomym, przeze mnie Terence'a ominęło potencjalnie ważne spotkanie i...

Coś mi przyszło do głowy. Wypłynąłem z Terence'em i zjawiliśmy się akurat we właściwej chwili, żeby uratować profesora Peddicka z topieli. Czy doszłoby do tego, gdyby Terence spotkał Maud, czy też wcale nie miał jej spotkać, tylko znaleźć się w odpowiednim miejscu i czasie, żeby uratować swojego tutora? Albo może profesor Peddick miał utonąć i powinienem dopisać tę akcję ratunkową do listy moich wykroczeń?

Lecz jeśli nawet popełniłem wykroczenie, nie dręczyły mnie przesadne wyrzuty sumienia. Cieszyłem się, że profesor nie utonął, chociaż znacznie skomplikował mi życie, i zaczynałem rozumieć, dlaczego Verity uratowała kota.

Kota, który błąkał się gdzieś w deszczu. Podobnie jak Cyryl i ja. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy, natomiast miałem pewność, że nigdy przedtem nie widziałem takiego rzędu drzew ani takich splątanych zarośli. Zatrzymałem się i ruszyłem z powrotem po własnych śladach.

I zobaczyłem łódź. I polanę. I moje posłanie.

Cyryl dostrzegł je pierwszy i rzucił się pędem w tamtą stronę, po czyni zatrzymał się jak wryty. Przestraszyłem się, że łabędź zajął nasze obozowisko.

Nie zajął. Na środku posłania, zwinięta w kłębek, smacznie spała księżniczka Ardżumand.

W tych małych szarych komórkach mózgu leży rozwiązanie każdej tajemnicy

Herkules Poirot

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Moja pierwsza noc w epoce wiktoriańskiej - Tłok - Chrapanie - Deszcz - Historyczne znaczenie pogody - Zapalenie płuc - Znika kot - Wczesna pobudka - Znika niebieski kleń profesora Peddicka - Abingdon - Wioślarskie rady - Znika profesor Peddick - Pamiątki—Wysiany telegram - Spóźniony odjazd

Moja pierwsza noc w epoce wiktoriańskiej wyglądała trochę inaczej, niż to sobie wyobrażała pielęgniarka w infirmerii. Niezbyt odpowiadała również moim wyobrażeniom, Okazała się znacznie mniej wygodna i znacznie bardziej zatłoczona, niż się spodziewałem.

Zamierzałem włożyć Księżniczkę Ardżumand z powrotem do kosza, zamknąć go porządnie i przycisnąć pokrywę kamieniami dla większej pewności. Lecz kiedy ostrożnie podniosłem kotkę, uważając na pazury i gwałtowne ruchy, umościła się wygodnie w moich ramionach. Zaniosłem ją do kosza i ukląkłem, żeby ją tam włożyć. Spojrzała na mnie prosząco i zaczęła mruczeć.

Czytałem o kocim mruczeniu, ale zawsze wyobrażałem sobie cos rodzaju cichego warczenia czy też elektrycznych trzasków. To, co słyszałem, wcale nie brzmiało groźnie ani elektrycznie. Mimo woli zacząłem się usprawiedliwiać.

- Muszę cię wsadzić do kosza - powiedziałem, niezręcznie głaszcząc kotkę. - Nie mogę ryzykować, że znowu uciekniesz. Chodzi o cały wszechświat.

Mruczenie przybrało na sile i kotka ufnie położyła łapkę na mojej dłoni. Zaniosłem ją z powrotem do łóżka.

- Jutro będzie musiała siedzieć w koszu przez cały dzień - Powiedziałem do Cyryla, który ułożył się na środku dywanika. - Ona już teraz nie ucieknie, skoro mnie zna.

Cyryl nie wydawał się przekonany.

- Przedtem się bała - wyjaśniłem. - Teraz już się całkiem oswoiła. Cyryl parsknął.

Usiadłem na dywanikach i zdjąłem przemoczone buty, wciąż trzymając kota. Potem chciałem się położyć. Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Cyryl twardo bronił granic swojego terytorium.

- Przesuń się! - zażądałem i uwolniłem jedną rękę, żeby go odepchnąć. - Psy powinny sypiać w nogach łóżka.

Cyryl nigdy nie słyszał o tej zasadzie. Przywarł do moich pleców i zaczął chrapać. Pociągnąłem za dywaniki, żeby zrobić dla siebie trochę miejsca, i przekręciłem się na bok, z kotem w ramionach.

Księżniczka Ardżumand również nie przestrzegała zasad obowiązujących zwierzęta w łóżku. Szybko wywinęła się z moich objęć i obeszła posłanie dookoła, depcząc po Cyrylu, który zareagował słabym „uff", po czym wbiła mi pazury w nogę.

Cyryl rozpychał się tak długo, aż zdobył dla siebie całe posłanie, a Księżniczka Ardżumand ułożyła się na mojej szyi, opierając się całym ciężarem na jabłku Adama. Cyryl popchnął jeszcze trochę.

W godzinę po rozpoczęciu tego małego dramatu rozpadało się na dobre, więc wszyscy schronili się pod przykrycie i ponownie rozgorzała walka o pozycje. Wreszcie główni przeciwnicy zmęczyli się i zasnęli, a ja leżałem i rozmyślałem, co powie Verity, kiedy dowie się o kocie, i martwiłem się deszczem.

A jeśli jutro będzie padało przez cały dzień i nie popłyniemy do Muchings End? Pogoda warunkowała wiele punktów zwrotnych w historii, począwszy od boskiego wiatru, kamikaze, który zniszczył flotę Kubilaj Chana, kiedy próbowała dokonać inwazji na Japonię w trzynastym wieku.

Sztormy rozproszyły hiszpańską Armadę, zamieć przesądziła o wyniku bitwy pod Towton, mgła

skierowała „Lusitanię” na trasę niemieckiej łodzi podwodnej, a front niskiego ciśnienia nad lasem w Ardenach o mało nie odebrał aliantom zwycięstwa w bitwie o Ardeny podczas drugiej wojny światowej.

Nawet dobra pogoda wpływa na historię. Nalot Luftwaffe na Coventry udał się z powodu zimnej, pogodnej nocy oraz pełni „księżyca bombowców”.

Pogoda i jej skutek uboczny, choroba. A jeśli profesor Peddick przeziębi się śpiąc na deszczu i jutro trzeba go będzie odwieźć do Oksfordu? Prezydent Stanów Zjednoczonych, William Henry Harrison, przeziębił się stojąc na deszczu podczas swojej inauguracji i miesiąc później zmarł na zapalenie płuc. Piotr Wielki przeziębił się oglądając okręt i zmarł po tygodniu. Zresztą nie tylko przeziębienia. Henryk V zmarł na dyzenterię i w rezultacie Anglia straciła wszystko, co zdobyła pod Agincourt. Niepokonany Aleksander Wielki został pokonany przez malarię, co zmieniło oblicze całego kontynentu azjatyckiego. Nie licząc czarnej śmierci.

Pogoda, choroby, zmiany klimatu, przesunięcia skorupy ziemskiej - ślepe siły profesora Overforce’a - te wszystkie czynniki kształtowały historię, pomimo zaprzeczeń profesora Peddicka.

Oczywiście problem - jak w wielu wojnach - polegał na tym, że obaj, profesor Overforce i profesor Peddick, mieli rację. Po prostu żyli sto lat za wcześnie na teorię chaosu, która miała wchłonąć ich przeciwstawne poglądy. Historię rzeczywiście kształtowały ślepe siły, a także charakter i odwaga, zdrada i miłość. Przypadek i ślepy traf. Zabłąkane kule, telegramy i napiwki. I koty.

Ale historia była także stabilna. Pamiętałem wyraźnie, jak T.J. to mówił, a pan Dunworthy dodał, że gdyby niekongruencja wyrządziła jakieś szkody, już by się ujawniły. Co znaczyło, że kot wrócił do swojej pierwotnej lokalizacji czasoprzestrzennej, zanim spowodował jakieś długofalowe konsekwencje.

Istniała też druga możliwość, że zniknięcie kota niczego nie zmieniło, ale wiedziałem, że to nieprawda. Spowodowało, że przeze mnie Terence nie spotkał Maud. A ja nie zamierzałem ryzykować. Zamierzałem jak najszybciej odwieźć kota do Muchings End, dlatego powinniśmy rano wypłynąć jak najwcześniej.

Dlatego nie powinno padać. Padało pod Waterloo, deszcz rozmył drogi i artyleria ugrzęzła w błocie. Padało pod Crecy, deszcz rozmiękczył cięciwy łuków. Padało pod Agincourt.

Widocznie zasnąłem w trakcie rozpamiętywania deszczowej bitwy o Midway, ponieważ zbudziłem się nagle o świcie. Wstawał szary dzień, przestało padać i kot zniknął.

Zerwałem się na równe nogi i rozrzuciłem dywaniki, żeby sprawdzić, czy kotka nie schowała się pod nimi. Cyryl, któremu przeszkodziłem w drzemce, sapnął i przetoczył się na bok.

- Cyryl! - zawołałem. - Kotka zniknęła! Widziałeś, dokąd poszła? Cyryl rzucił mi spojrzenie oznaczające: „A nie mówiłem” i zagrzebał się w posłaniu.

- Pomóż mi jej szukać! - zażądałem, wyszarpując spod niego dywanik.

Niezdarnie zacząłem nakładać buty.

- Księżniczko Ardżumand! - zaszeptałem rozpaczliwie. - Gdzie jesteś? Księżniczko Ardżumand!

A ona weszła na polanę, stąpając delikatnie po mokrej trawie.

- Gdzieś ty była? - zapytałem. - Powinienem cię zamknąć w koszu!

Minęła mnie bez pośpiechu, wskoczyła na rozgrzebane posłanie, położyła się obok Cyryla i zasnęła.

Nie zamierzałem ponownie ryzykować. Wyrzuciłem z sakwojażu koszule i szczypce do ślimaków. Następnie wyjąłem z kwadratowego kosza nóż do filetowania i zrobiłem kilka nacięć na bokach sakwojażu, pilnując, żeby czubek noża przeciął również podszewkę. Na dnie ułożyłem za małą

tweedową marynarkę, a obok wepchnąłem talerzyk.

Księżniczka Ardżumand nawet się nie obudziła, kiedy włożyłem ją do sakwojażu i zatrzasnąłem zamek. Może Verity miała rację, że kotka cierpiała na dyschronię. Wepchnąłem ubrania do walizy i zwinąłem wszystkie dywaniki oprócz tego, na którym leżał Cyryl.

- Obudź się, śpiochu - powiedziałem do niego. - Czas wstawać. Musimy wcześnie wypłynąć.

Cyryl otworzył jedno oko i popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Śniadanie - oznajmiłem, zabrałem sakwojaż i podszedłem do resztek ogniska. Nazbierałem drewna, ułożyłem stos i rozpaliłem ogień niczym stary traper, po czym przejrzałem bagaż Terence'a, znalazłem mapę rzeki i usiadłem przy ognisku, żeby zaplanować trasę podróży.

Mapa rozkładała się jak akordeon, pokazując całą krętą długość Tamizy, której na szczęście nie musieliśmy pokonać. Nauczyłem się czytać mapy, kiedy byłem studentem, ale ta cierpiała na nadmiar szczegółów: zaznaczono na niej nie tylko wioski, śluzy, wysepki i wszystkie odległości pomiędzy nimi, lecz także jazy, mielizny, kanały, ścieżki holownicze, historyczne widoki oraz najlepsze łowiska. Nie powinna trafić do rąk profesora Peddicka, postanowiłem.

Mapa zawierała również wiele komentarzy edytorskich w rodzaju: „Jeden z najpiękniejszych widoków na rzece" albo „Tutaj dość silny prąd"; w rezultacie trudno było odnaleźć rzekę wśród tych wszystkich słów. Terence powiedział, że Muchings End jest zaraz za Streatley ale nie mogłem znaleźć ani jednego, ani drugiego.

Wreszcie wypatrzyłem Runnymede, opisane jako „historyczne miejsce podpisania Magna Carta, a nie, jak wam będą wmawiać niektórzy osobnicy znad rzeki, kamień na wyspie Magna Carta. Głębiny obfitujące w leszcze. Marny połów kiełbi, uklei i szczupaków".

Prześledziłem bieg rzeki z Runnymede do Streatley, zaznaczyłem je palcem i poszukałem Iffley. Tutaj: „Oryginalny młyn, który ludzie przyjeżdżają oglądać z daleka, 12-wiecz. kościół, niezłe połowy kleni". Znajdowaliśmy się w połowie drogi pomiędzy Iffley a Abingdon, dwadzieścia trzy mile od Streatley.

Licząc pół godziny na śniadanie, wyruszymy na rzekę o szóstej. Przez dziewięć godzin spokojnie dopłyniemy do celu, nawet jeśli zatrzymamy się po drodze, żeby profesor Peddick wysłał telegram do siostry. Przy odrobinie szczęścia zwrócimy kota przed trzecią i niekongruencja zostanie naprawiona do piątej.

- Bez trudu zdążymy na herbatę - poinformowałem Cyryla, składając mapę. Wsadziłem ją z powrotem do torby Terence'a i wyjąłem z kosza jajka, połeć boczku oraz patelnię.

Ptaki zaczęły śpiewać i wzeszło słońce, malując niebo i wodę smugami różanego blasku. Złocista rzeka płynęła powoli i sennie, obramowana zielenią, zaprzeczając wszelkim niekongurencjom - pogodne odbicie bezpiecznego, spokojnego świata, wielkiego i nieskończonego planu. Cyryl patrzył na mnie z miną, która wyraźnie mówiła: „Jak poważnie jesteś dyschronowany?"

- Prawie nie spałem w nocy - oświadczyłem. - Przez ciebie. Chodź tu.

Nastawiłem czajnik, pokroiłem boczek, rozbiłem jajka na patelnię i zszedłem do łodzi, bębniąc łyżką wazową w pokrywę kociołka, żeby obudzić Terence'a i jego tutora.

- Pora wstawać - zawołałem. - Śniadanie czeka.

- Dobry Boże - wymamrotał Terence, nieporadnie sięgając po zegarek. - Która godzina?

- Wpół do szóstej - oznajmiłem. - Chciałeś wcześnie wypłynąć żeby zdążyć do Muchings End na herbatę. Panna Mering, pamiętasz ?

- Och - powiedział i wyskoczył spod koca. - Masz rację. Proszę się obudzić, profesorze Peddick.

- „Wreszcie, obrotem godzin przebudzony, powstał poranek i dłonią różaną bramy światłości odryglował" - odezwał się z rufy profesor Peddick, mrugając zaspanymi oczami.

Zostawiłem ich i pobiegłem sprawdzić, co z jajkami i z kotem. Kotka spała głęboko. I bezgłośnie, na szczęście. Postawiłem sakwojaż obok reszty bagażu i zacząłem przewracać jajka.

- W tym tempie wypłyniemy przed szóstą - powiedziałem do Cyryla i nakarmiłem go paskiem boczku. - Miniemy śluzę o wpół do, zatrzymamy się w Abingdon, żeby profesor wysłał telegram, będziemy w Clifton Hampden o ósmej, w śluzie Day o dziewiątej, a w Reading o dziesiątej.

O dziesiątej wciąż byliśmy w Abingdon.

Dwie godziny trwało załadowanie bagażu, który jakby się powiększył, a potem w ostatniej chwili profesor Peddick odkrył, że zniknął jego niebieski kleń.

- Pewnie jakieś zwierzę go zjadło - powiedział Terence, a ja od razu zgadłem, jakie to zwierzę.

- Muszę złapać następny okaz - oświadczył profesor, wyjmując wędkę i przybory.

- Nie ma czasu - sprzeciwił się Terence - a poza tym ma pan jeszcze tego kiełbia albinosa.

Tak, pomyślałem, i powinniśmy dobrze go pilnować, bo inaczej zje go „jakieś zwierzę" i nigdy nie dopłyniemy do Muchings End.

- Musimy wyruszyć, sir, jeśli chcemy jutro dotrzeć do Runnymede - przypomniał Terence.

- *Non semper temeritas es felix* - oznajmił profesor, wybierając muchę z pudełka. - „Pochopny nie zawsze ma szczęście". Pamiętajcie, gdyby Harold nie rzucił się w wir walki jak głupiec, wygrałby bitwę pod Hastings. - Starannie przywiązał muchę do linki. - Wczesny ranek to nie najlepsza pora na klenie - stwierdził, wykonując próbne rzuty. - One zwykle wychodzą dopiero późnym popołudniem.

Terence jęknął i spojrzał na mnie błagalnie.

- Jeśli zaraz wyruszymy, późno po południu dopłyniemy do Pangbourne - powiedziałem, rozwijając mapę. - Tutaj piszą, że Tamiza pod Pangbourne od dawna stanowi ulubione miejsce wędkarzy. „Doskonale miejsce na brzany - przeczytałem głośno. - Wspaniale okonie, kiełbie i płocie. Mnóstwo kleni i uklei. Strumień jazu słynie z wielkich pstrągów".

- Pod Pangbourne, powiadasz? - zamyślił się profesor.

- Tak - skłamałem. - Tutaj piszą: „W tym miejscu Tamizy występuje najwięcej ryb różnych gatunków".

To załatwiło sprawę. Profesor wsiadł do łodzi.

- Dziękuję - wymówił bezgłośnie Terence pod moim adresem i odbił od brzegu, zanim profesor się rozmyślił.

Spojrzałem na swój kieszonkowy zegarek. Dwadzieścia po VIII, Później, niż się spodziewałem, ale ciągle jeszcze mogliśmy zdążyć do Muchings End na piątą, jeśli wszystko pójdzie gładko.

Nie poszło. Śluza w Abingdon była zamknięta i straciliśmy piętnaście minut na obudzenie dozorcy, który zemścił się na nas wypuszczając wodę cienkim strumyczkiem. Przez ten czas sterta bagaży na rufie rozleciała się i musieliśmy dwukrotnie przystawać, żeby je przywiązać.

Za drugim razem profesor Peddick zawołał:

- Widzicie te lilie wodne? I ten szybki prąd przy samym brzegu? Doskonale miejsce na brzany - i wygramolił się z łódki, zanim zdążyliśmy go powstrzymać.

- Nie ma czasu - powiedział bezradnie Terence.

- Pangbourne - przypomniałem profesorowi.

- Phi - odparł i zachwyciłbym się kolejnym wiktoriańskim wykrzyknikiem, gdybym nie musiał się martwić o sakwojaż i losy wszechświata. - Nie ma lepszego miejsca od tego.

Terence wyjął kieszonkowy zegarek i spojrzał na niego z rozpaczą. Co mogło stąd ruszyć profesora? Bitwa pod Hastings? Salamina-Runnymede?

- W ten sposób zawsze sobie wyobrażałem Runnymede - zacząłem, wskazując łąkę przed nami. - Mgła wstaje z pól, kiedy nadjeżdża król Jan ze swoimi ludźmi. Jak pan myśli, gdzie właściwie

podpisano dokument? W Runnymede czy na wyspie Magna Carta?

- W Runnymede - odpowiedział. - Dowiedziono, że król spędził noc w Staines i rano wyjechał na pole.

- Ach - mruknąłem. - Podobno profesor Overforce przedstawia nader przekonujące dowody na rzecz wyspy Magna Carta.

- Wyspy Magna Carta? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Nader przekonujące - włączył się Terence. - Pasują do jego teorii, że historię tworzą naturalne siły.

- Banialuki! - fuknął profesor Peddick i odrzucił wędkę.

Terence pochwycił ją i wrzucił do łodzi.

- Przekonujące dowody? - pienił się profesor. - Istnieje niepodważalny dowód, że podpisanie odbyło się w Runnymede.

Wdrapał się do łodzi. Złapałem cumę i odbiłem od brzegu.

- Jakie znowu przekonujące dowody? Tam było za dużo baronów i wielmożów, żeby zmieścili się na wyspie, a król Jan był za bardzo podejrzliwy, żeby zająć pozycję pozbawioną drogi odwrotu. Naturalne siły!

I tak dalej, dopóki nie dotarliśmy do Abingdon.

Minął kwadrans po dziewiątej, zanim prześluzowaliśmy się i przybiliśmy do celu.

Profesor Peddick poszedł wysłać telegram, a Terence udał się do wioski kupić chleba i wędliny, żebyśmy nie musieli zatrzymywać się na lunch.

- I butelkę mleka - zawołałem za nim. Jak tylko zniknął mi z oczu, otworzyłem sakwojaż i zajrzałem do Księżniczki Ardżumand.

Ciągle spala. Postawiłem otwarty sakwojaż między nogami i ująłem wiosła. Dotąd tylko Terence wiosłował, ale nie mógł wytrzymać tego tempa przez cały dzień, szczególnie że zależało nam na czasie. A wiosłowanie to tylko wiosłowanie. Nie mogło tak bardzo się różnić od treningu. Tyle że wiosła były znacznie cięższe. I mniej wyważone. Pociągnąłem do tyłu, ale nawet nie drgnęły.

Usiadłem prosto na ławce, zaparłem się stopami, splunąłem w dłonie i szarpnąłem za wiosła.

Tym razem zdołałem je poruszyć. Prawe wiosło wynurzyło się z wody, uchwyty zderzyły się gwałtownie i obtłukły mi kłykcie, lewe wiosło wyskoczyło z dulki, a łódź obróciła się i ruszyła prosto na kamienny filar mostu.

Ledwie zdążyłem wepchnąć wiosło z powrotem do dulki i zanurzyć oba pióra w wodzie, zanim uderzyliśmy w most. Ponownie stłukłem sobie kłykcie i w rezultacie wylądowaliśmy na brzegu.

Cyryl wstał i przeszedł na burtę od strony brzegu, jakby przygotował się do opuszczenia pokładu.

No dobrze, do trzech razy sztuka. Wiosłem odepchnąłem łódź od brzegu, wypłynąłem na środek i spróbowałem jeszcze raz, uważając, żeby uchwyty nie stłukły mi palców. Nie stłukły. Lewy podjechał do góry i walnął mnie w nos.

Ale za czwartą próbą odniosłem sukces i po kilku minutach niezdarnej szamotaniny opanowałem podstawy. Przepłynąłem na drugi brzeg, a potem przeprowadziłem łódź pod mostem i z powrotem wiosłując zręcznie, z pluskiem i chlapaniem.

- Nie, nie! - powiedział Terence za moimi plecami. - Nie tak Napieraj całym ciężarem na wiosła na początku pociągnięcia.

Obejrzałem się na niego, a oba wiosła wynurzyły się z wody i trzasnęły mnie w rękę.

- Nie oglądaj się! Patrz, dokąd płyniesz! - skarcił mnie Terence, co wydało mi się odrobinkę niesprawiedliwe. -Jedna ręka nad drugą. Ciągnij równo. Nie, nie, nie! - krzyknął, gestykulując chlebem w jednej ręce i butelką mleka w drugiej. - Pochyl się do przodu. Rozsuń kolana. Trzymaj

głowę prosto. Pamiętaj o siedzeniu.

Nic tak nie pomaga, jak wywrzaskiwane wskazówki, zwłaszcza niezrozumiałe. Starałem się zastosować do tych, które zrozumiałem, czyli „Rozsuń kolana", i w nagrodę usłyszałem wrzask Terence'a:

- Nie, nie, nie! Trzymaj kolana razem! Pióro! Złapiesz raka! Głowa do góry!

Wreszcie jednak złapałem dryg i ciągnąc równo, napierając na wiosła, z głową do góry, z kolanami złączonymi oraz rozsuniętymi, przez cały czas pamiętając o siedzeniu, podpłynąłem do niego z powrotem.

- Powoli i spokojnie - ostrzegł Terence, kiedy zgrabnie zawinąłem do przystani. - O tak. Doskonale. Musisz tylko poćwiczyć.

- Do czego będę miał mnóstwo okazji - zauważyłem. Wziąłem od niego butelkę mleka i wsadziłem do kieszeni. - Ruszamy. Gdzie jest profesor Peddick?

Terence obejrzał się, jakby spodziewał się go zobaczyć.

- Jeszcze nie wrócił z urzędu telegraficznego?

- Nie - odparłem, wysiadłem na brzeg i przywiązałem łódź. - Lepiej chodźmy go poszukać.

- Lepiej niech jeden z nas zostanie w łodzi - zaproponował Terence, spoglądając surowo na Cyryla. - W razie gdyby profesor wrócił.

- Doskonały pomysł - przyznałem. Pod jego nieobecność mogłem znowu zajrzeć do kota i wypuścić go na chwilę.

- Ty powinieneś iść - stwierdził Terence. -Jesteś lepszy z historii - Wyciągnął zegarek i sprawdził godzinę.

Skorzystałem z jego nieuwagi, podniosłem sakwojaż i ukryłem go za plecami.

- Dziesiąta - oświadczył, gwałtownie zatrzaskując zegarek. - Powinienem odwieźć go do domu natychmiast, jak tylko wyciągnęliśmy go z wody.

- Nie było czasu - przypomniałem. - Poza tym sam mówiłeś, że nic go nie powstrzyma, kiedy wbił sobie coś do głowy.

Przytaknął ponuro.

- On jest niepowstrzymaną siłą. Jak Wilhelm Zdobywca. Historia to jednostka. - Westchnął. - Zanim tam dopłyniemy, ona już będzie zaręczona.

- Zaręczona? Z kim? - zapytałem w nadziei, że wspominała o innych zalotnikach, z których jeden okaże się upragnionym panem C.

- Nie wiem, z kim - odparł Terence. - Dziewczyna taka jak Tossie... jak panna Mering pewnie słyszy oświadczyny dziesięć razy dziennie. Gdzież on jest? W tym tempie nigdy nie dopłyniemy do Muchings End.

- Ależ dopłyniemy - zapewniłem go. - Przeznaczenie, pamiętasz? Romeo i Julia. Abelard i Heloiza.

- Przeznaczenie - zgodził się Terence. - Lecz jakże okrutne Przeznaczenie, które na cały dzień pozbawia mnie jej widoku!

Zapatrzył się rozmarzonym wzrokiem na rzekę, a ja wymknąłem się unosząc sakwojaż.

Cyryl pobiegł za mną truchcikiem.

- Zostań przy łodzi, Cyrylu - rozkazałem stanowczo i we trójkę wkroczyliśmy do wioski.

Nie miałem pojęcia, gdzie znajdował się urząd telegrafu ani jak wyglądał, ale dostrzegłem tylko dwa sklepy. Spożywczy i drugi z przyborami wędkarskimi oraz wazonami kwiatów na wystawie. Spróbowałem najpierw w sklepie wędkarskim.

- Gdzie mogę nadać telegram? - zapytałem uśmiechniętą staruszkę w czepku. Wyglądała zupełnie

jak owca z „Alicji po drugiej stronie lustra”.

- Na wycieczkę po rzece? - zagadnęła. - Mam śliczne talerze malowanymi widoczkami młyna w Iffley. Z napisami: „Szczęśliwe wspomnienia z Tamizy”. Płynie pan w górę czy w dół rzeki?

Nigdzie, pomyślałem.

- W dół - odparłem. - Gdzie jest urząd telegrafu?

- W dół - powtórzyła uszczęśliwiona. - Więc już pan go widział. Śliczny, prawda? - Podała mi żółtą satynową poduszkę z frędzelkami widoczkiem młyna i napisem przez szablon: „Pamiątka z Iffley”.

Zwróciłem jej poduszkę.

- Bardzo ładna. Gdzie można wysłać telegram?

- Z urzędu pocztowego, ale zawsze myślałam, że o wiele grzeczniej jest wysłać list, nie uważa pan? - Wyciągnęła do mnie papeterię z nadrukiem na każdej kartce u góry: POZDROWIENIA Z ABINGDON. - Pół pensa arkusik i pensa za kopertę.

- Nie, dziękuję. Gdzie jest ten urząd pocztowy?

- Trochę dalej na tej samej ulicy. Naprzeciwko bramy do opactwa. Widział je pan? Mamy prześliczny model. A może woli pan pieska z porcelany? Ręcznie malowane. Albo mamy śliczne wycieraczki do piór.

W końcu kupiłem porcelanowego buldoga, który nie wykazywał ani śladu podobieństwa do Cyryla - ani nawet do pudla - żeby się wyrwać ze sklepu, po czym odnalazłem bramę i urząd pocztowy.

Nie było tam profesora Peddicka, a staruszka w czepku za kontuarem nie wiedziała, czy odwiedził urząd.

- Mój mąż poszedł do domu na obiad. Wróci za godzinę. Wycieczka po rzece, co? - zagadnęła i próbowała sprzedać mi wazon z wymalowanym widoczkiem młyna w Iffley.

Nie było go również w sklepie spożywczym. Nabyłem pamiątkowy kieliszek z napisem: WAKACYJNE POZDROWIENIA ZNAD RZEKI TAMIZY.

- Macie łososia? - zapytałem.

- Mamy - powiedziała następna staruszka w czepku i postawił puszkę na ladzie.

- Chodzi mi o świeżego - wyjaśniłem.

- Sam pan może złowić - odparła. - Abingdon ma najlepsze łowiska na całej rzece - i próbowała mi sprzedać parę gumowych waderów.

Wyszedłem ze sklepu i powiedziałem do Cyryla, który czekał cierpliwie przed każdymi drzwiami:

- Dokąd teraz?

Abingdon zbudowano wokół średniowiecznego opactwa. Ruiny wciąż stały, włącznie ze spichlerzem i ogrodzeniem, i wydawały się najbardziej prawdopodobnym miejscem pobytu profesora Peddicka, ale nie było go tam. Ani w klasztorze.

Ani nikogo innego. Ukląkłem pod klasztornym murem, postawiłem butelkę mleka na kamieniu i otworzyłem sakwojaż. Cyryl usiadł z miną pełną dezaprobaty.

- Księżniczko Ardżumand? - powiedziałem, wyjmując kotkę z sakwojażu. - Masz ochotę na śniadanie?

Postawiłem ją na ziemi, a ona przeszła kilka kroków po trawie, po czym skoczyła jak błyskawica i znikła za rogiem. A nie mówiłem, powiedział Cyryl.

- No, nie siedź tak. Biegnij za nią - rozkazałem. Cyryl dalej siedział.

Miał trochę racji. Nasz pościg za kotką w lesie nie zakończył się oszałamiającym sukcesem.

- No więc co proponujesz?

Położył się, opierając pysk o butelkę mleka. Niezły pomysł. Wyjąłem spodek z sakwojażu i

nalałem do niego mleka.

- Chodź, kotku - zawołałem i postawiłem spodek pod ścianą. - Śniadanie!

Jak mówiłem, to był niezły pomysł. Niestety nie przyniósł pożądanych rezultatów. Ani przeszukiwanie ruin. Ani rynku. Ani uliczek z domkami z muru pruskiego.

- Wiesz, jakie są koty - powiedziałem do Cyryla. - Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

Ale to była moja wina. Wypuściłem ją i pewnie powędrowała już do Londynu, żeby spotkać się z Gladstone'em i spowodować upadek Mafekingu.

Dotarliśmy na obrzeża wioski. Droga kończyła się na łące, poprzecinanej wąskimi strumykami.

- Może Księżniczka wróciła na łódź - powiedziałem z nadzieją do Cyryla, ale on nie słuchał. Patrzył na ścieżkę, prowadzącą do mostu nad wąskim strumieniem.

A tam, przy mostku, stał profesor Peddick, po kolana w wodzie, Podwiniętymi spodniami i dużą siatką w ręku. Za nim na brzegu zoczyłem blaszany czajnik pełen wody i niewątpliwie ryb. Oraz Księżniczkę Ardżumand.

- Zostań tutaj - rozkazałem Cyrylowi. - Mówię poważnie.

Podkradłem się do zaczajonego kota, żałując, że okazałem się mało przewidujący i nie kupiłem takiej samej siatki.

Księżniczka Ardżumand skradała się do czajnika, bezgłośnie stawiając białe łapki na trawie, a profesor, równie skupiony jak kot, pochylił się i powoli opuścił sieć nad wodę. Księżniczka Ardżumand zajrzała do czajnika i na próbę włożyła tam łapkę.

Skoczyłem, nakryłem ją otwartym sakwojażem i podebrałem jak rybę, na którą polowała. Również profesor Peddick opuścił sieć i wyciągnął z wody trzepoczącą rybę.

- Profesorze Peddick! - zawołałem. - Wszędzie pana szukaliśmy.

- Ciernik - oznajmił, wydobył rybę z sieci i wrzucił do czajnika. - Tu są doskonałe stanowiska na pstrągi.

- Terence przysłał mnie po pana - powiedziałem i wyciągnąłem rękę, żeby pomóc mu wejść na brzeg. - Spieszno mu do Pangbourne.

- *Qui non vult fieri desidiosus amet*- zacytował profesor. - Owidiusz. „Kto nie pragnie bezczynności, niech się zakocha".

Jednak wylazł z wody, usiadł na brzegu, nałożył buty i skarpetki.

- Szkoda, że nie spotkał mojej siostrzenicy, Maudie. Spodobałaby mu się.

Podniosłem czajnik i sieć. Na rączce miała wydrukowany napis: PAMIĄTKA ZNAD RZEKI TAMIZY. Cyryl wciąż siedział tam, gdzie kazałem mu zostać.

- Dobry piesek! - pochwaliłem go, a on przybiegł pędem i podciął mi kolana. Woda chlusnęła z czajnika.

Profesor Peddick wstał.

- Naprzód. Minęło już pół dnia - oświadczył i dziarskim krokiem ruszył do wioski.

- Wysłał pan telegram? - zapytałem go, kiedy mijaliśmy urząd pocztowy.

Włożył rękę do kieszeni surduta i wyjął dwa żółte kwitki.

- Z opactwem są związane drobne historyczne ciekawostki - oznajmił, wsadzając kwitki z powrotem do kieszeni. - Ludzie Cromwella splądrowali je podczas Protektoratu. - Zatrzymał się przed wejściem. - Jest tutaj piętnastowieczna brama, którą powinieneś zobaczyć.

- Podobno profesor Overforce uważa, że Protektorat spowodowały siły natury - powiedziałem i zaprowadziłem perorującego profesora na przystań, gdzie starowinka w czepku próbowała sprzedać Terence'owi kubek z widoczkiem śluzy Boulter.

- Taka miła pamiątka z wycieczki po rzece - mówiła. - Za każdym razem, kiedy będzie pan pił

herbatę, wspomni pan ten dzień.

- Właśnie tego się obawiam - mruknął Terence i zwrócił się do mnie: - Gdzieżeście byli?

- Na rybach - odparłem. Wszedłem do łodzi, postawiłem sakwojaż i wyciągnąłem rękę do profesora Peddicka, który, pochylony nad czajnikiem, oglądał ryby przez pince-nez.

- On na pewno wysłał ten telegram? - zapytał mnie Terence. Przytaknąłem.

- Widziałem kwity.

Cyryl rozłożył się na nabrzeżu i zapadł w głęboki sen.

- Chodź, Cyrylu - zawołałem. - Profesorze? *Tempus fugit!*

- Wiesz, jak już późno? - jęknął Terence, machając mi zegarkiem przed nosem. - Do licha! Już prawie jedenasta.

Usiadłem przy wiosłach i postawiłem sakwojaż między nogami.

- Nie martw się - pocieszyłem go. - Dalej pójdzie jak po maśle.

Nie ma nic - absolutnie nic - lepszego do roboty, niż pływać sobie łódką...

Kenneth Grahame, „Wiatr w wierzbach”

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jak po maśle - Niezbyt malowniczy odcinek rzeki - Tajemnica wiktoriańskiego sentymentu do natury rozwiązana - Historyczne znaczenie kiermaszów - Widzimy trzech panów w łódce, nie licząc psa - Cyryl kontra Montmorency - Epizod w labiryncie - Zator rzeczny - Czajnik - Historyczne znaczenie drobiazgów - Następny łabędź - Wrak! - Podobieństwo do „Titanica" - Rozbitkowie – Omdlenie

Co najdziwniejsze, rzeczywiście szło nam jak po maśle, czy raczej płynęło. Rzeka była gładka i pusta. Dmuchał rześki wiaterek, słońce rzucało błyski na wodę. Przypomniałem sobie o siedzeniu, złączyłem i rozsunąłem kolana, zanurzyłem pióro, naparłem na wiosła, ciągnąłem równo, i do południa minęliśmy śluzę w Clifton, a przed nami pojawiło się kredowe urwisko Clifton Hampden z kościołem przycupniętym na szczycie.

Mapa nazywała ten odcinek „najmniej malowniczym na Tamizie" i proponowała objazd pociągiem do Goring, żeby go ominąć. Spoglądając na bujną zieleń łąk, którą przecinały kwitnące żywopłoty, i na wysokie topole rosnące na brzegach, trudno było sobie wyobrazić, jak wyglądają te bardziej malownicze odcinki.

Wszędzie kwitły kwiaty - jaskry, koronka królowej Anny i lawendowa rzeżucha na łąkach, lilie i kosaćce na brzegach, róże i lwie paszcze w ogródkach przy śluzach. Nawet rzeka kwitła. Lilie wodne miały różowe kielichy w kształcie filiżanek, sitowie wypuściło białe i purpurowe kiście. Pomiędzy nimi śmigały migotliwe błękitno-zielone ważki, a olbrzymie motyle trzepotały wokół łodzi i przysiadały na stertach bagażu, grożąc ich wywróceniem.

W oddali nad kępą wiązów wznosiła się strzelista iglica wieży. Brakowało tylko tęczy. Nic dziwnego, że wiktorianie tak sentymentalnie podchodzili do natury.

Terence przejął wiosła i wpłynęliśmy w zakole rzeki, obok chatki krytej strzechą i obrośniętej powojem, gdzie brzegi spinał łukowy most z kamienia wyzłoconego słońcem.

- Okropność, co zrobili z tą rzeką - odezwał się Terence, wskazując na most. - Mosty kolejowe, wały powodziowe i gazociągi. Całkiem zepsuli scenerię.

Przepłynęliśmy pod mostem i opuściliśmy zakole. Nie widzieliśmy prawie żadnych łodzi. Minęliśmy dwóch mężczyzn w rybackiej pychówce przycumowanej pod bukiem, którzy pomachali do nas i pokazali długi sznur złowionych ryb. Ucieszyłem się, że profesor Peddick zasnął. I Księżniczka Ardżumand.

Zajrzałem do niej, kiedy Terence i ja zamienialiśmy się miejscami. Ciągle spała jak zabita. Zwinięta w kłębek w sakwojażu, z łapkami wtulonymi pod brodą, nie wyglądała na stworzenie zdolne zmienić bieg historii, nie mówiąc już o zniszczeniu kontinuum. Ale z drugiej strony proca Dawida też nie wyglądała groźnie, ani pokryta pleśnią szalka Fleminga, ani baryłka z wybrakowanymi towarami, którą Abraham Lincoln kupił na kiermaszu za dolara.

Lecz w chaotycznym systemie wszystko, od kota do koła, może mieć znaczenie i każdy punkt jest punktem krytycznym. Baryłka zawierała kompletne wydanie „Komentarzy" Blackstone'a, na które Lincolna nigdy nie byłoby stać. Dzięki nim został prawnikiem.

Ale chaotyczny system posiada także pętle sprzężenia zwrotnego, wzorce interferencji i kompensacji, dlatego większość wydarzeń kasuje się nawzajem. Sztormy na ogół nie rozpraszają żadnej armady, napiwki nie wywołują rewolucji, a rzeczy kupione na kiermaszu zwykle tylko obrastają kurzem.

Toteż szanse, że kotka zmieni bieg historii, nawet jeśli zaginęła przed czterema dniami, są

nieskończenie małe, zwłaszcza jeśli dalej będziemy płynąć z taką szybkością.

- Powiadam - zaczął Terence, rozpakowując chleb i ser, które kupił w Abingdon - jeżeli utrzymamy takie tempo, dopłyniemy do śluzy w Day na pierwszą. Na rzece nikogo nie ma - dodał.

Oprócz samotnej łodzi płynącej z naprzeciwka, w której znajdowało się trzech panów, wszyscy w blezerach i z wąsami, oraz nieduży pies na dziobie, rozglądający się czujnie. Kiedy się zbliżyli, ich głosy wyraźnie docierały do nas nad wodą.

- Jak długo jeszcze, zanim przyjdzie twoja kolej, Jay? - zapyta wioślarz mężczyznę leżącego na dziobie.

- Wiosłujesz dopiero dziesięć minut, Harris - odparł zagadnięty

- No więc jak daleko do następnej śluzy?

Trzeci mężczyzna, nieco tęższy od pozostałych, podniósł banjo i zapytał:

- Kiedy robimy postój na herbatę?

Pies dostrzegł naszą łódź i zaczął szczekać.

- Przestań, Montmorency - rozkazał leżący na dziobie. - Szczekanie jest niegrzeczne.

- Terence! - zawołałem, podnosząc się z ławki. - Ta łódź! Terence obejrzał się przez ramię.

- Nie uderzy w nas. Tylko trzymaj linki prosto. Mężczyzna z banjo zagrał kilka fałszywych nut i zaczął śpiewać.

- Och, Jerzy, nie śpiewaj - poprosili chórem wioślarz i leżący na dziobie.

- I ty także nie próbuj śpiewać, Harris - ostrzegł Jay.

- Dlaczego? - obruszył się tamten.

- Bo tobie tylko się zdaje, że umiesz śpiewać - wyjaśnił Jerzy.

- Właśnie - potwierdził Jay. - Pamiętasz „Admirała floty królowej” ?

- Hop dziś, hop dziś, hop dziś, dziś dzisiowi - zaśpiewał Jerzy.

- To naprawdę oni! - zawołałem. - Terence, wiesz, kim oni są? To „Trzech panów w łódce, nie licząc psa”.

- Psa? - rzucił pogardliwie Terence. - Nazywasz toto psem? - Spojrzał z czułością na Cyryla, który chrapał na dnie łodzi. - Cyryl zjadłby go na jeden kęs.

- Nie rozumiesz - powiedziałem. - To „Trzech panów w łódce” Puszka ananasa, banjo Jerzego i labirynt.

- Labirynt? - powtórzył tępo Terence.

- No tak, sam wiesz. Harris wszedł do labiryntu w Hampton Court z planem i ci wszyscy ludzie poszli za nim, i plan okazał się do niczego, i oni beznadziejnie zabłądzili i musieli wołać dozorcę, żeby ich wyprowadził.

Wychyliłem się, żeby lepiej się przyjrzeć. Oto oni, Jerome K. Jerome i dwaj przyjaciele, których unieśmiertelnił (nie licząc psa), na swojej historycznej wycieczce po Tamizie. Nie zdawali sobie sprawy, że sto pięćdziesiąt lat okryją się sławą, że niezliczone pokolenia będą czytać o ich przygodach z serem, łabędziami i statkiem parowym.

- Patrz na dziób! - ostrzegł Terence, a ja odpowiedziałem:

- Właśnie. Uwielbiam ten kawałek, kiedy Jerome przepływa przez śluzę w Hampton Court i ktoś krzyczy: „Patrz na swój dziób!”, a on myśli, że chodzi o jego nos, a im chodzi o to, że dziób łodzi zawadził o belkę!

- Ned! - powiedział Terence. Trzech panów w łódce krzyczało i machało, a Jerome K Jerome wstał i zaczął gestykulować wyciągniętą ręką.

Pomachałem im w odpowiedzi.

- Życzę udanej wycieczki! - zawołałem. - Uważajcie na łabędzie! - i upadłem do tyłu.

Moje nogi znalazły się w powietrzu, wiosła z pluskiem uderzyły w wodę, a sterta bagażu na dziobie przechyliła się i runęła. Wciąż leżąc na plecach, złapałem sakwojaż i próbowałem usiąść.

Podobnie jak profesor Peddick.

- Co się stało? - zapytał, sennie mrugając oczami.

- Ned nie patrzył, dokąd płynie - wyjaśnił Terence chwytając kuferek, a ja zobaczyłem, że uderzyliśmy dziobem w brzeg. Zupełnie jak Jerome K. Jerome w rozdziale szóstym.

Obejrzałem się na tamtą łódź. Montmorency szczekał, a Jerzy i Harris zwijali się ze śmiechu.

- Nic się panu nie stało? - zawołał do mnie Jerome K. Jerome. Dziarsko kiwnąłem głową, a oni pomachali i powiosłowali dalej ze śmiechem w stronę Oksfordu, ku bitwie z łabędziami i historii.

- Mówiłem, trzymaj linki prosto - rzucił Terence z niesmakiem.

- Wiem. Przepraszam - powiedziałem.

Przestąpiłem nad Cyrylem, który przespał całe wydarzenie i w rezultacie stracił okazję, żeby spotkać Bardzo Sławnego Psa. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę złośliwość Montmorency'ego i jego skłonność do bitki, może lepiej się stało.

- Zobaczyłem znajomego - wyjaśniłem, pomagając Terence'owi zbierać bagaż. - Pisarza - dodałem, a potem uświadomiłem sobie, że trzej panowie właśnie płyną po rzece, „Trzech panów w łódce", jeszcze nie została napisana. Miałem nadzieję, że kiedy książka się ukaże, Terence nie przeczyta strony z copyrightem.

- Gdzie moja sieć? - zapytał profesor Peddick. - Te wody są doskonałe dla *Tinca vulgaris*.

Południe minęło, zanim na powrót ułożyliśmy bagaż i odciągnęliśmy profesora od *Tinca vulgaris,* potem jednak rozwinęliśmy dobre tempo. Przed drugą minęliśmy Little Wittenbaum. Jeśli nie napotkamy żadnych trudności w śluzie Day, możemy jeszcze zdążyć do Streatley na obiad...

Przebyliśmy śluzę Day w rekordowym czasie. I wpadliśmy prosto w korek rzeczny.

Rzeka była przedtem pusta właśnie dlatego, że cala flotylla zebrała się tutaj. Krypy, kajaki, łodzie z pływakami, skify z podwójnymi wiosłami, kryte łodzie wiosłowe, ósemki, barki, tratwy i łodzie mieszkalne zapełniły całą rzekę; wszystkie płynęły pod prąd i żadnej się nie spieszyło.

Dziewczęta z parasolkami szczebiotały do dziewcząt z parasolkami w innych łodziach i wołały do swoich towarzyszy, żeby podpłynęli bliżej. Ludzie na stateczkach obwieszonych proporczykami z napisami: DOROCZNA WYCIECZKA TOWARZYSTWA MUZYCZNEGO DOLNEGO MIDDLESEX albo: ZABAWA PRACOWNICZA wychylali się przez reling i krzyczeli na ludzi w zwykłych łodziach.

Widocznie nikt z nich nie musiał nigdzie zdążyć na czas. Na łodziach mieszkalnych starsi mężczyźni siedzieli na pokładzie i czytali „Timesa", a ich starsze żony, z kołeczkami w ustach, rozwieszały pranie.

Dziewczyna w marynarskiej sukience i słomkowym kapeluszu ze wstążkami powoli przepychała pomiędzy nimi płaski skif, a kiedy bosak ugrzązł w mule, wybuchnęła śmiechem. Pośrodku tego zamieszania artysta w żółtym kitlu stał na tratwie przed sztalugami i malował pejzaż, chociaż nie miałem pojęcia, jakim cudem widział pejzaż spoza powiewających flag, parasolek i kapeluszy ozdobionych kwiatami.

Wioślarz z jakiegoś kolegium, w dżersejowym blezerze i pasiastej czapce, zderzył się wiosłami z wycieczkową łodzią i zatrzymał się, żeby przeprosić, a żaglówka z tyłu o mało ich nie staranowała. Szarpnąłem za linki steru i prawie wpadłem na tę trójkę.

- Lepiej ja wezmę ster - zaproponował Terence i zamienił się z mną miejscami, kiedy łódź trafiła na pustą szczelinę pomiędzy czterowiosłową łodzią z pływakiem a pontonem.

- Doskonały pomysł - przyznałem, ale wiosłowanie było gorsze. Siedząc tyłem niczego nie

widziałem i ciągle zdawało mi się, że lada chwila wpadnę na Wycieczkę Stowarzyszenia Rzeźników i Kupców Żelaznych.

- Tu jest gorzej niż na regatach w Henley - oświadczył Terence, ciągnąc za linki. Wymanewrował łódź z głównego nurtu bliżej brzegu, ale tam było jeszcze gorzej. Trafiliśmy pomiędzy holowane krypy i łodzie mieszkalne, których liny holownicze zagradzały nam drogę niczym niezliczone zasieki.

Holującym również się nie spieszyło. Dziewczęta ciągnęły kilka stóp, po czym zatrzymywały się i ze śmiechem oglądały się na łódź. Zakochane pary przystawały, żeby czule spojrzeć sobie w oczy, pozwalały linie opaść, a potem nagle przypominały sobie o obowiązkach i szarpały ostro do przodu. Jerome K. Jerome opisał parę, która zgubiła łódź i szła dalej zatopiona w rozmowie, ciągnąc wystrzępioną linę, ale według mnie groziła tu raczej dekapitacja, dlatego wciąż oglądałem się nerwowo niczym Katarzyna Howard.

W górze rzeki wybuchło nagłe zamieszanie. Rozległ się gwizdek i ktoś krzyknął: - Uwaga!

- Co to jest? - zapytałem.

- Przeklęty czajnik - odparł Terence i wśród ciżby przepchnął się sapiący statek parowy, rozpraszając łodzie i wywołując potężną falę.

Łódź zakołysała się i jedno wiosło wypadło za burtę. Złapałem je i przytrzymałem sakwojaż, a Terence podniósł pięść i przeklął oddalający się statek.

- Przypomina jednego ze słoni Hannibala w bitwie nad rzeką Ticinus - zauważył rozbudzony profesor Peddick, po czym zagłębił się w opisie kampanii włoskiej Hannibala.

Przez całą drogę do Wallingford tkwiliśmy wśród Alp i zatoru. Ponad godzinę czekaliśmy w kolejce do śluzy w Benson, a Terence co trzy minuty wyciągał zegarek i podawał czas.

- Trzecia - mówił. Albo: - Kwadrans po trzeciej. - Albo: - Prawie wpół do. Nigdy nie zdążymy na herbatę.

Podzielałem jego uczucia. Ostatnim razem, kiedy otworzyłem sakwojaż, Księżniczka Ardżumand poruszyła się złowieszczo, a kiedy wpływaliśmy do śluzy, słyszałem jej ciche miauczenie, na szczęście zagłuszone przez gwar tłumu i wykład profesora Peddicka. - To przez zator Napoleon przegrał bitwę pod Waterloo - oznajmił profesor. - Wozy artylerii ugrzęzły w błocie i zatarasowały drogi a piechota nie mogła ich ominąć. Jakże często historię zmieniają takie drobiazgi, zatarasowana droga, opóźniony korpus piechoty, pokręcony rozkaz.

Przed Wallingford zator szybko zniknął, krypy zatrzymały się na biwak i kolację, Towarzystwo Muzyczne wysiadło na brzeg i rzeka nagle opustoszała.

Lecz od Muchings End wciąż dzieliło nas sześć mil i jedna śluza

- Dziewiąta minie, zanim tam dopłyniemy - powiedział Terence z rozpaczą.

- Możemy rozbić obóz koło Moulsford - zaproponował profesor Peddick. - Tam są wspaniałe okonie powyżej jazu.

- Powinniśmy raczej zatrzymać się w gospodzie - wtrąciłem. - Musisz doprowadzić się do porządku. Będziesz chciał wyglądać jak najlepiej dla panny Mering. Ogolisz się, każesz sobie wyprasować ubranie i wyczyścić buty, a z samego rana złożymy wizytę w Muchings End.

A ja wymknę się z sakwojażem, jak już wszyscy pójdą spać, i dyskretnie odniosę kota, więc zanim Terence wstanie rano, niekongruencja sama się naprawi. I Tossie będzie trzymać się za rączki z panem Cabbagesoup albo Coalscuttle czy jak mu tam.

- W Streatley są dwie gospody - oznajmił Terence, patrząc na mapę. - Pod Bykiem i Pod Łabędziem. Pod Łabędziem. Trotters mówi, że tam warzą znakomite piwo.

- Ale tam nie ma żadnych łabędzi? - upewniłem się, zerkając nerwowo na Cyryla, który ocknął się i czujnie nastawił uszy.

- Nie sądzę - odparł Terence. - Pod Smokiem i Jerzym nie ma żadnego smoka.

Wiosłowaliśmy dalej. Niebo przybrało ten sam odcień błękitu co wstążka mojej panamy, a potem zrobiło się bladolawendowe. Pokazały się pierwsze gwiazdy. Żaby i świerszcze rozpoczęły koncert, a z sakwojażu wciąż wydobywało się stłumione miauczenie.

Ostro pociągnąłem wiosłami, robiąc dużo plusku, i zapytałem profesora Peddicka, czym dokładnie różnią się teorie jego i profesora Overforce'a. To nam zajęło czas do śluzy w Cleve, gdzie wyskoczyłem na brzeg, dałem kotu trochę mleka, po czym postawiłem sakwojaż na dziobie, na stercie bagażu, jak najdalej od Terence'a i profesora.

- Indywidualne działanie, oto siła napędowa historii - mówił profesor Peddick. - Nie ślepe, bezosobowe siły Overforce'a. „Historia świata jest tylko biografią wielkich ludzi", napisał Carlyle, i miał racje. Geniusz Kopernika, ambicja Cincinnatusa, wiara świętego Franciszka z Asyżu: to charakter tworzy historię.

Ściemniło się zupełnie i w domach zapalono światła, zanim dotarliśmy do Streadey.

- Nareszcie - powiedziałem, kiedy zobaczyliśmy przystań - miękkie łóżko, gorący posiłek, zdrowy sen - ale Terence wiosłował dalej. - Dokąd płyniesz? - zapytałem.

- Do Muchings End - odparł, mocno ciągnąc za wiosła.

- Ale sam powiedziałeś, że już za późno na wizytę - zwróciłem mu uwagę, oglądając się tęsknie na przystań.

- Wiem - przyznał. - Chcę tylko spojrzeć na jej dom. Nie zasnę ze świadomością, że ona jest tak blisko, dopóki jej nie zobaczę.

- Ale w nocy na rzece jest niebezpiecznie - zaprotestowałem. - Mielizny, wiry i różne takie.

- To tylko kawałek dalej - odparł Terence, wiosłując zapamiętale. - Mówiła, że to zaraz za trzecią wyspą.

- Ale w nocy niczego nie zobaczymy -jęknąłem. - Zabłądzimy, trafimy na jaz i utoniemy.

- To tam - oznajmił Terence, wskazując na brzeg. - Mówiła, że rozpoznam dom po belwederku.

Biały belwederek jaśniał słabo w blasku księżyca, a za nim, po drugiej stronie spadzistego trawnika, wznosił się dom. Był olbrzymi i typowo wiktoriański, z wieżyczkami, wykuszami i rozmaitymi neogotyckimi ozdóbkami. Wyglądał jak nieco mniejsza wersja dworca Victoria.

Wszystkie okna były ciemne. Dobrze, pomyślałem, pojechali do Hampton Court wywołać ducha Katarzyny Howard albo do Coventry - Łatwo będę mógł zwrócić kota.

- Nie ma nikogo - powiedziałem. - Lepiej wracajmy do Streatlay. Zajmą nam wszystkie miejsca Pod Łabędziem.

- Nie, jeszcze nie - sprzeciwił się Terence, spoglądając na dom. Pozwól mi popatrzeć jeszcze chwilę na uświęconą ziemię, po której stąpa, na uświęconą altankę, gdzie ona odpoczywa. - Wygląda tak, jakby cała rodzina wyszła na wieczór - zauważył profesor Peddick.

- Może tylko zaciągnęli zasłony - odparł Terence. - Cii. Wyjaśnienie brzmiało niezbyt przekonująco, zważywszy na piękny wieczór, ale posłusznie zamilkliśmy. Głęboką ciszę mącił tylko łagodny plusk wody, szmer wiatru w sitowiu, ciche rechotanie żab. I miauczenie na dziobie łodzi.

- Tam - szepnął Terence. - Słyszeliście?

- Co? - zapytał profesor Peddick.

- Głosy. - Terence wychylił się przez okrężnicę.

- Świerszcze - podpowiedziałem, przesuwając się nieznacznie na dziób.

Kot znowu miauknął.

- Tam! - zawołał Terence. - Słyszeliście? Ktoś nas wzywa. Cyryl prychnął.

- To ptak - oświadczyłem. Wskazałem na drzewo przy belwederku. - W tej wierzbie. Słowik.

- To nie brzmiało jak słowik - sprzeciwił się Terence. - Słowiki śpiewają w lecie „pełną piersią, z ich pieśni w ekstazie wznosi się muzyka". To brzmiało inaczej. Posłuchaj.

Z przodu łodzi usłyszałem szuranie. Odwróciłem się gwałtownie. Cyryl stał na tylnych łapach, przednie oparł na stercie bagażu, obwąchiwał sakwojaż i popychał go płaskim nosem w stronę burty.

- Cyryl! Przestań! - krzyknąłem i cztery rzeczy wydarzyły się jednocześnie. Rzuciłem się po sakwojaż, Cyryl przyłapany na gorącym uczynku wzdrygnął się, cofnął i wpadł na wiklinowy kosz, profesor Peddick powiedział: - Uważaj, nie nadepnij na *Ugubio fluviatilis* - przechylił się na bok i sięgnął po czajnik, a Terence obejrzał się, zobaczył spadający sakwojaż i rzucił wiosła.

Próbując w połowie skoku ominąć wiosło i rękę profesora, upadłem jak długi, Terence przechwycił kosz, profesor przycisnął do piersi swój czajnik z rybami, a ja złapałem róg sakwojażu, który już się przechylał. Łódź zakołysała się niebezpiecznie. Woda chlusnęła na dziób. Poprawiłem chwyt na sakwojażu, postawiłem go na ławeczce sternika, podciągnąłem się i usiadłem.

Rozległ się plusk. Znowu sięgnąłem po sakwojaż, który stał na miejscu. Spojrzałem na dziób w obawie, że wiosło wpadło do wody.

- Cyryl! - krzyknął Terence. - Człowiek za burtą! - Zaczął zdejmować marynarkę. - Profesorze, proszę przejąć wiosła. Ned, znajdź koło ratunkowe.

Przechyliłem się przez burtę, próbując zobaczyć, co się stało.

- Szybciej! - ponaglił mnie Terence, ściągając buty. - Cyryl nie umie pływać.

- Nie umie pływać? - zdumiałem się. - Myślałem, że wszystkie psy umieją pływać.

- Istotnie. Określenie „pływać pieskiem" wywodzi się z instynktownej umiejętności pływania, jaką posiada *Canis familiaris* - pouczył nas profesor Peddick.

- Cyryl umie pływać - odparł Terence, ściągając skarpetki - ale nie może. Jest buldogiem.

Najwyraźniej miał rację. Cyryl płynął pieskiem w stronę łodzi, ale pysk i nos miał pod wodą i wyglądał rozpaczliwie.

- Idę, Cyrylu - zawołał Terence i skoczył do wody, wzbijając falę, która prawie zatopiła psa. Terence zaczął płynąć do niego. Cyryl dalej przebierał łapami i tonął. Zaledwie czubek jego zmarszczonego czoła wystawał na powierzchnię.

- Niech pan skręci na bakburtę, nie, na sterburtę. W lewo - krzyknąłem i zacząłem szukać koła ratunkowego, które widocznie zapakowaliśmy na samo dno - Całkiem jak „Titanic" - mruknąłem, a potem przypomniałem sobie, że „Titanic" jeszcze nie zatonął, ale nikt nie słuchał.

Terence chwycił Cyryla za obrożę i uniósł mu łeb nad powierzchnię.

- Podpłyńcie bliżej - zawołał, wypluwając wodę.

Profesor Peddick zastosował się do polecenia i mało go nie przejechał.

- Nie! Stać! - krzyknął Terence i zamachał ramieniem, a Cyryl znowu poszedł pod wodę.

- Na bakburtę! W drugą stronę! - rozkazałem, wychyliłem się z łodzi i chwyciłem Terence'a za kark.

- Nie mnie! - wysapał Terence. - Cyryla!

Razem wtaszczyliśmy bardzo mokrego Cyryla do łodzi, gdzie wykaszlał z siebie kilka galonów Tamizy.

- Okryjcie go kocem - polecił Terence, chwyciwszy się dziobu.

- Zaraz - powiedziałem, wyciągając do niego rękę. - Teraz ty.

- Nic mi nie będzie - odparł, dygocząc. - Najpierw koc. Cyryl łatwo się przeziębią.

Znalazłem koc i okryłem masywne barki, które niemal przesądziły o losie Cyryla, a potem przystąpiliśmy do trudnej operacji wyciągania z wody Terence'a.

- Nie wychylaj się - polecił Terence, szczękając zębami - nie chcemy, żeby ktoś jeszcze się skąpał.

Terence nie lepiej stosował się do wskazówek niż profesor Peddick. Uparcie próbował zarzucić nogę na dziób, na skutek którego to manewru łódź przechylała się pod kątem niemal równie fatalnym jak kąt przechylenia „Titanica".

- Wywrócisz nas - ostrzegłem, wpychając sakwojaż pod ławkę. - Nie ruszaj się, sami cię wciągniemy.

- Robiłem to dziesiątki razy - zapewnił mnie Terence i przerzucił nogę przez dziób.

Okrężnica zanurzyła się aż do poziomu wody. Cyryl okutany w koc zatoczył się, próbując utrzymać równowagę, a sterta bagaży na dziobie przechyliła się niebezpiecznie.

- Jeszcze nigdy nie wywróciłem łodzi - oświadczył Terence z niezachwianą pewnością.

- No, przynajmniej zaczekaj, aż przesunę rzeczy - poprosiłem, wpychając walizę na miejsce. - Profesorze Peddick, niech pan przejdzie na tę stronę. - A do Cyryla, który postanowił podejść bliżej, wlokąc za sobą koc, żeby zobaczyć, jak sobie radzimy: - Siad. Zostań.

- To tylko kwestia odpowiedniego punktu podparcia - oznajmił Terence i zmienił chwyt na burcie.

- Czekaj! - powiedziałem. - Ostrożnie...

Terence wsadził nogę do łodzi, uniósł się na rękach i wciągnął tors na burtę.

- Sam Bóg nie zdoła zatopić tego statku - wymamrotałem, przytrzymując bagaż.

- Najważniejsze to zachować równowagę. - Terence wwindował się do łodzi. - No widzisz - powiedział z triumfem - to nic trudnego - i łódź się przewróciła.

Nie mam pojęcia, jak dotarliśmy do brzegu. Pamiętam walizę ślizgającą się po pokładzie prosto na mnie, jak fortepian na „Titanicu", a potem łykanie wody i ściskanie koła ratunkowego, które okazało się Cyrylem tonącym jak kamień, i znowu picie wody, i dźwiganie martwego ciężaru, i wszyscy siedzieliśmy na brzegu, łapiąc oddech i ociekając wodą.

Cyryl pierwszy doszedł do siebie. Podniósł się i otrząsnął, opryskując nas wodą a Terence usiadł i spojrzał na pustą rzekę.

- I przez najgłębszy nocy mrok - zacytował - jak duch w całunie statek mknął ku rafie Norman's Woe".

- *Naufragium sibi quisque facit* - dodał profesor Peddick. Terence zapatrzył się na ciemną wodę.

- Odpłynęła - powiedział, zupełnie jak lady Astor, a ja nagle przypomniałem sobie, wstałem i wszedłem do wody, ale to nie miało sensu. Łódź zniknęła bez śladu.

Wiosło leżało do połowy na brzegu, a na środku rzeki podskakiwał czajnik profesora, jedyne, co ocalało z wraku. Nigdzie nie widziałem ani śladu sakwojażu.

- „Nadciągnął sztorm i z całej mocy uderzył w kruchy statek - cytował Terence. - Przywiązał ją do masztu liną odciętą od rei złamanej".

Księżniczka Ardżumand nie miała szans, zaklinowana pod ławką. Gdybym ją wypuścił, kiedy miauczała, gdybym powiedział Terence'owi, że ją znalazłem, gdybym przeszedł we właściwym czasie i nie był taki dyschronowany...

- „Na pustej plaży rybak stał - recytował Terence - zdumiony, widząc nad ranem postać dziewicy cudnej wśród fal, do masztu przywiązanej" – a ja obejrzałem się i chciałem mu powiedzieć, żeby się zamknął, i zobaczyłem za nami, biały w świetle gwiazd, belwederek, gdzie miałem zwrócić kota.

O tak, zwróciłem ją i dokończyłem mordu, który rozpoczął kamerdyner. A tym razem Verity nie mogła jej uratować.

- „Na piersiach jej zamarzła sól - zaintonował Terence - w jej oczach słone łzy..."

Spojrzałem na belwederek. Księżniczka Ardżumand, ukryta w swoim wiklinowym koszu, o mało nie przejechana przez pociąg, mało nie wrzucona do Tamizy, o mało nie zepchnięta z łodzi przez Cyryla i profesora Peddicka, za każdym razem została uratowana tylko po to, żeby tutaj utonąć. Może

T.J. miał rację, może ona musiała utonąć i żadne interwencje - moje, Verity czy kogokolwiek - nie mogły odmienić jej losu. Historia koryguje się sama.

Albo może po prostu skończyły się jej żywoty. Naliczyłem pięć z dziewięciu które zużyła przez ostatnie cztery dni.

Musiałem nadzieję, że to było przyczyną, a nie moja całkowita niekompetencja. Lecz sam w to nie wierzyłem. I wiedziałem, że Verity również nie uwierzy. Zaryzykowała życie, zdrowie i gniew pana Dunworthy'ego, żeby uratować tego kota. „Nie pozwolę ci jej utopić", powiedziała. Bardzo wątpiłem, czy samokorekta historii usprawiedliwi mnie w jej oczach.

Zdecydowanie wolałem uniknąć spotkania z Verity, ale nie miałem innego wyjścia. Cyryl, chociaż strząsał z siebie wodę na nas, był przemoczony, podobnie jak profesor Peddick, a Terence przemarzł do kości.

- „Taki był Hesperusa wrak - zacytował, szczękając zębami tak, że ledwie mógł mówić - w zimową śnieżną noc".

Musieliśmy wysuszyć się i przebrać, a w pobliżu nie było innego domu poza Muchings End. Powinniśmy zbudzić domowników i poprosić o gościnę, nawet gdybym musiał spojrzeć Tossie w oczy i odpowiedzieć na pytanie, czy znaleźliśmy jej „najdroższą Dziudziu". Nawet gdybym musiał powiedzieć Verity.

- Chodź - wziąłem Terence'a za ramię. - Pójdziemy do domu. Ani drgnął.

- „Chryste, strzeż nas przed taką śmiercią - wyrecytował - na rafie Norman's Woe". Jabez zedrze z nas pięćdziesiąt funtów.

- Później będziemy się tym martwić. Chodź. Spróbujemy najpierw przez oszklone drzwi. Pod nimi widać linię światła.

- Nie mogę tak się pokazać rodzinie dziewczyny, którą kocham - zaprotestował Terence. - Nie mam surduta.

- Masz - powiedziałem, ściągając blezer i wyżymając wodę. - Nałóż mój. Wybaczą nam, że nie mamy wieczorowych strojów. Nasza łódź zatonęła.

Podszedł profesor Peddick, chlupocząc przy każdym kroku.

- Uratowałem trochę bagażu - oznajmił i podał mi sakwojaż. - Chociaż moje okazy przepadły, niestety. Ach, mój albinos *Ugiibio fluwatilis*.

- Nie mogę wejść do tego domu bez butów - upierał się Terence. - Nie mogę pokazać się półnagi dziewczynie, którą kocham.

- Masz, weź moje. - Z trudem rozwiązałem mokre sznurowadła jedną ręką. - Profesorze, niech pan mu pożyczy skarpetki.

Podczas gdy obaj walczyli z problemem zdjęcia i nałożenia mokrych skarpetek, pobiegłem za belwederek i otworzyłem sakwojaż.

Księżniczka Ardżumand, tylko trochę wilgotna, przez długą chwilę mierzyła mnie wzrokiem, po czym wdrapała się po nogawce spodni prosto w moje ramiona.

Podobno koty nienawidzą wilgoci, ona jednak umościła się wygodnie na przemoczonym, ociekającym rękawie i przymknęła oczy. - To nie ja uratowałem ci życie - powiedziałem. - To profesor Peddick.

Ale jej to nie przeszkadzało. Wtuliła się mocniej w moje objęcia i - zadziwiające - zaczęła mruczeć.

- O, dobrze, Księżniczka Ardżumand jest tutaj - powiedział Terence obciągając blezer, który jakoś się skurczył. - Miałem rację. Była tutaj przez cały czas.

- Sądzę, że oksfordzki don powinien nosić skarpetki - odezwał się profesor Peddick.

- Banialuki - odparłem. - Profesor Einstein nigdy nie nosił.

- Einstein? - powtórzył. - Chyba o nim nie słyszałem.

- Usłyszy pan - zapewniłem go i ruszyłem po spadzistym trawniku.

Terence słusznie odgadł, że zaciągnęli zasłony. Kiedy wchodziliśmy po trawniku, zasłony rozsunęły się, zamigotało słabe światełko i rozległy się głosy.

- To strasznie ekscytujące - przemówił męski głos. - Od czego zaczniemy?

- Złączcie dłonie - rozkazał kobiecy głos, podobny do głosu Verity skoncentrujcie się.

- Ach, mamo, zapytaj o Dziudziu - to na pewno była Tossie. - Zapytaj, gdzie ona jest.

- Cii.

Zapadło milczenie, a my tymczasem pokonaliśmy resztę drogi.

- Czy jest tutaj duch? - zawołał stentorowy głos, a ja mało nie upuściłem Księżniczki Ardżumand. Brzmiał zupełnie jak głos lady Schrapnell, ale to nie mogła być ona. To pewnie była matka Tossie, Pani Mering. - O, duchu z zaświatów - zaintonowała, a ja pohamowałem chęć ucieczki - przemów do nas tutaj, na tym ziemskim planie.

Ostrożnie stąpając wśród ozdobnych roślin, przeszliśmy przez obrzeże trawnika na ścieżkę wykładaną kamiennymi płytami, prowadzącą do oszklonych drzwi.

- Objaw nam nasze losy - zagrzmiała pani Mering, a Księżniczka Ardżumand wdrapała się wyżej i wbiła mi pazury w ramię.

- Wejdź, o Duchu - zaintonowała pani Mering - i przynieś nam wieści o naszych drogich zaginionych.

Terence zapukał w szybę.

Znowu zapadło milczenie, a potem pani Mering zawołała nieco słabszym głosem:

- Wejdź!

- Czekaj - powiedziałem, ale Terence już otworzył drzwi. Zasłony wydęły się do środka, a my mrugając patrzyliśmy na żywy obraz w blasku świec.

Wokół okrągłego stolika nakrytego czarną draperią siedziały cztery osoby, z zamkniętymi oczami, trzymając się za ręce: Verity w bieli, Tossie w falbankach, blady młody człowiek w koloratce i z zachwyconą miną oraz pani Mering, która na szczęście nie wyglądała jak lady Schrapnell. Była znacznie okrąglejsza, z obfitym biustem i licznymi obfitymi podbródkami.

- Wejdź, o Duchu z zaświatów - powtórzyła, a Terence rozsunął zasłony i wszedł.

- Przepraszam najmocniej - odezwał się, a wtedy wszyscy otworzyli oczy i zagapili się na nas.

Z pewnością sami również przedstawialiśmy interesujący żywy obraz: krwawiące pasy blezera Terence'a, moje stopy w skarpetkach i ogólny wygląd zmokłych szczurów, nie licząc psa, który wciąż wykaszliwał z siebie rzekę. Oraz kota.

- Przybyliśmy... - zaczął Terence, a pani Mering wstała i przyłożyła dłoń do obszernego łona.

- Przybyli! - wykrzyknęła i zemdlała.

Zdało mi się, że słyszałem głos wołający:
„Nie zaśniesz już więcej!”

William Shakespeare

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dlaczego wiktorianie mieli takie zahamowania - Najdlozsa najdlozsa Dziudziu wjócila do swojej paniuni - Ryby - Nieporozumienie - Znaczenie pukania - Prezentacja - Irlandzkie nazwiska - Zdumiewający zbieg okoliczności – Więcej ryb - Precz! - Następne nieporozumienie - Idę do łóżka - Gość – Kryzys

Właściwie przypominało to bardziej piruet niż zemdlenie. Pani Mering osunęła się łagodnie na kwiecisty dywan, nie potrąciwszy żadnego mebla - niełatwa sztuka w pokoju, gdzie stał duży okrągły stół z drzewa różanego, mały trójkątny stolik z ferrotypowym albumem, mahoniowy stolik z bukietem woskowych kwiatów pod szklanym kloszem, sofa wypchana końskim włosiem, adamaszkowa kozetka, windsorskie krzesło, morrisowski fotel, chesterfieldowska kanapa, liczne otomany, biurko, serwantka, etażerka, biblioteczka, ekran przed kominkiem, harfa, aspidistra oraz słoniowa noga na parasole.

Pani Mering opadała bardzo powoli, więc zanim wylądowała na dywanie, zdążyłem zarejestrować kilka wrażeń:

Po pierwsze, nie tylko pani Mering wyglądała tak, jakby zobaczyła ducha. Blady młody człowiek, na pewno wikary, był biały jak jego koloratka, a Baine przy drzwiach przytrzymywał się framugi. Na jego twarzy nie malowały się jednak męczarnie wyrzutów sumienia. Gdybym nie wiedział lepiej, sądziłbym, że to ulga. Albo radość. Nadzwyczaj dziwne.

Po drugie, twarz Verity zdecydowanie wyrażała radość i jako dysponowany pomyślałem sobie nawet, że to z mojego powodu. Potem olśniło mnie, że Verity na pewno nie zdążyła jeszcze złożyć raportu. Tossie zapewne trzymała wszystkich domowników na nogach przez kolejną noc, szukając Księżniczki Ardżumand, dlatego Verity nie wiedziała, że to ja miałem zwrócić Księżniczkę Ardżumand i spartaczyłem zadanie, więc będę musiał powiedzieć jej o tym.

Fatalnie się składało, ponieważ po trzecie, nawet po przespanej (mniej więcej) nocy i moratorium na skoki, wciąż wydawała mi się najpiękniejszą istotą na świecie.

I po czwarte, wiktorianie byli tacy wstrzemięźliwi i pełni zahamowań, ponieważ we własnych domach nie mogli się ruszyć, żeby czegoś nie strącić.

- Mama! - pisnęła Tossie, a Baine, Terence, profesor Peddick i ja rzuciliśmy się na pomoc i zdołaliśmy potrącić wszystko, co pani Mering tak zgrabnie ominęła.

Terence złapał panią Mering, Baine podkręcił gaz, żebyśmy widzieli, na co wpadliśmy, ja postawiłem prosto drezdeńską pasterkę i stereoptykon, które przewróciłem, a wikary usiadł i zaczął wycierać czoło wielką białą chustką. Terence i Baine przenieśli panią Mering na aksamitną kasztanową sofę, strącając przy tym popiersie Pallas Ateny, a Verity wachlowała zemdloną.

- Baine! - zawołała - powiedzcie Colleen, żeby przyniosła sole trzeźwiące.

- Tak, panienko - powiedział Baine, nadal wyraźnie wstrząśnięty, i wyszedł z pośpiechem.

- O mama! - zawołała Tossie, podchodząc do sofy. - Czy wszyscy... - i wtedy zobaczyła kota, który wdrapywał się po mojej koszuli. - Księżniczko Ardżumand! - wrzasnęła i rzuciła się na mnie. - Kochana, kochana Księżniczko Ardżumand! Wróciłaś do mnie!

Kochaną Księżniczkę Ardżumand trzeba było odczepiać od mojej koszuli po jednym pazurku. Podałem ją Tossie, która ekstatycznie przytuliła kota, wydając serię radosnych okrzyków.

- O, panie St. Trewes - zagruchała, odwracając się do Terence'a - przyniósł mi pan moją najdroższą, najdroższą Dziudziu! - Ukryła twarz w futerku najdroższej Dziudziu. - Ci moja kicia baldzo się bala siama w nocy? Ci moje kochanie tęskniło do domciu? Ale pan St. Trewes szukał kici,

plawda? Ci kochana Dziudziu podziękuje śtlaśnie miłemu panu?

Cyryl, stojący obok mnie, prychnął głośno i nawet „kochana Dziudziu" wyglądała na zdegustowaną. Świetnie, pomyślałem, to pomoże Terence'owi odzyskać rozsądek, popłyniemy z powrotem do Oksfordu, Tossie poślubi pana C. i kontinuum zostanie naprawione.

Spojrzałem na Terence'a. Wpatrywał się w Tossie rozpromienionym wzrokiem.

- Doprawdy nie trzeba mi dziękować - powiedział. - Prosiłaś, pani, bym odnalazł twoją ulubienicę. Spełniłem twoją wolę. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, piękna pani.

Na kanapie pani Mering jęknęła.

- Ciociu Malwino - powiedziała Verity, rozcierając jej dłonie w swoich. - Ciociu Malwino? - Odwróciła się do Tossie. - Kuzynko, wezwij Baine'a i każ mu rozpalić ogień. Twoja matka ma ręce zimne jak lód.

Tossie podeszła do długiego panneau z haftowanego adamaszku ozdobionego chwastami i pociągnęła za chwast.

Niczego nie usłyszałem, ale widocznie gdzieś zadzwonił dzwonek, ponieważ Baine szybko się zjawił. Najwyraźniej odzyskał panowanie nad sobą. Twarz miał kamienną i głos niewzruszony, kiedy zapytał:

- Tak, panienko?

- Rozpalcie ogień - poleciła Tossie, nie odrywając oczu od kota. Powiedziała to prawie niegrzecznie, ale Baine .uśmiechnął się i odparł pobłażliwym tonem: - Tak, panienko - po czym ukląkł przed kominkiem i zaczął układać drewno na kracie.

Pokojówka z włosami jeszcze bardziej rudymi niż włosy Verity wbiegła do pokoju, niosąc maleńką buteleczkę.

- Och, panienko, czy pani zemdlała? - zapytała z akcentem, który natychmiast zdradził jej irlandzkie pochodzenie.

- Tak - potwierdziła Verity, biorąc buteleczkę. Wyjęła korek i przesunęła buteleczkę pod nosem pani Mering. - Ciociu Malwinio? - powiedziała zachęcającym tonem.

- Och, panienko, czy to przez zjawy? - zapytała pokojówka, rozglądając się trwożnie po pokoju.

- Nie - odparła Verity. - Ciociu Malwinio? Pani Mering jęknęła, ale nie otworzyła oczu.

- Wiedziałam, że w tym domu straszy - oświadczyła pokojówka. Przeżegnała się. - Widziałam jedną zjawę, w zeszły wtorek przy belwederku...

- Colleen, przynieś mokry okład na czoło dla pani Mering - przerwała jej Verity - i ogrzewacz do nóg.

- Tak, panienko - bąknęła pokojówka, dygnęła i wyszła, wciąż rozglądając się niespokojnie.

- O najdroższa Dziudziu - gruchała Tossie do kota - ci moja kiciunia głodna? - Odwróciła się do Baine'a, który ułożył drewno i właśnie miał je podpalić. - Baine, chodźcie tutaj - rzuciła władczo.

Baine, chociaż właśnie zapalał fidybus, natychmiast wstał i podszedł do niej.

- Tak, panienko?

- Przynieście dla Dziudziu miseczkę śmietanki.

- Tak, panienko - powiedział Baine, uśmiechając się do kota. Odwrócił się i chciał odejść.

- I talerzyk ryby.

Baine odwrócił się z powrotem.

- Ryby? - powtórzył, unosząc brew. Tossie uniosła mały podbródek.

- Tak, ryby. Księżniczka Ardżumand miała straszną przygodę.

- Skoro panienka sobie życzy - odparł Baine; każde jego słowo ociekało dezaprobatą.

- Życzę sobie - oświadczyła zaróżowiona Tossie. - Przynieście natychmiast.

- Tak, panienko - powiedział Baine, ale zamiast wyjść, ukląkł przed kominkiem i metodycznie dokończył rozpalania. Rozdmuchał ogień miechem, który starannie odłożył na stojak do pogrzebaczy, zanim wstał. - Wątpię, czy mamy jakieś ryby - powiedział i wyszedł.

Tossie wpadła w furię.

- *Mamai* - zawołała, ale pani Mering nadal była nieprzytomna. Verity okryła jej kolana wełnianym szalem i ułożyła poduszki pod głową.

Zacząłem dygotać w mokrym ubraniu. Przysunąłem się do wesoło buzującego ognia, wymijając biurko, stolik do szycia oraz mały stoliczek z marmurowym blatem, zastawiony fotografiami w metalowych ramkach. Cyryl już tam siedział, kapiąc w cieple kominka.

Pokojówka Colleen wróciła, niosąc miskę z wodą. Verity odebrała od niej miskę, postawiła na stole obok wysokiej wazy z brązu pełnej pawich piór i wyżęła ręcznik.

- Och, czy zjawy porwały jej duszę? - zapytała pokojówka.

- Nie - odparła Verity, kładąc ręcznik na czole pani Mering - Ciociu Malwinio?

Pani Mering westchnęła i zatrzepotała powiekami.

Wszedł zażywny dżentelmen z krzaczastym siwym wąsem i gazetą w ręku, ubrany w czerwoną bonżurkę oraz dziwaczną czerwoną czapkę z chwastem.

- Co się dzieje? - zapytał surowo. - Do tego już dochodzi, że człowiek nie może spokojnie przeczytać „Timesa".

- O *papa* - zawołała Tossie. - Mama zemdlała.

- Zemdlała? - powtórzył dżentelmen podchodząc bliżej. - Po co?

- Urządziliśmy seans spirytystyczny - wyjaśniła Tossie. - Próbowaliśmy znaleźć Księżniczkę Ardżumand i mama wezwała duchy, i kiedy powiedziała: „O wejdźcie, duchy!", zasłony się rozsunęły, dmuchnęło zimnem i zjawiła się Księżniczka Ardżumand!

- Brednie - odparł dżentelmen. - Wiedziałem, że ten spirytualizm to kiepski pomysł. Niedorzeczność.

Pułkownik Mering mówił jakby stenograficznym stylem, często opuszczając orzeczenia. Podejrzewałem, że gubił je w swoich krzaczastych wąsach.

- Histeria - stwierdził. - Doprowadza kobiety do stanu podniecenia.

W tym miejscu wtrącił się wikary:

- Wielu powszechnie szanowanych uczonych i naukowców uznaje prawdziwość zjawisk spirytystycznych. Sir William Crookes, znany fizyk, napisał słynną rozprawę na ten temat, a Arthur Conan Doyle prowadzi...

- Dyrdymały! - oświadczył pułkownik Mering, pięknie uzupełniając kolekcję wiktoriańskich epitetów. - Draperie i łatwowierne kobiety. Parlament powinien uchwalić prawa przeciwko temu. - Urwał na widok Terence'a. - A pan kto jesteś? Przeklęte medium?

- To jest pan St. Trewes, papo - wtrąciła pospiesznie Tossie. - Jego przyjaciele przynieśli Księżniczkę Ardżumand. - Podniosą kota i pokazała pułkownikowi. - Zginęła, a pan St. Trewes ją odnalazł.

Pułkownik Mering spojrzał na kota z nieskrywaną nienawiścią.

- Ha! Myślałem, że utonęła, i bardzo dobrze.

- O papo, przecież wcale tak nie myślisz! - Przytuliła kota. – On wcale nie myślał takich śtlaśnych zieczy, plawda, słodka Dziudziu? Wcale a wciale.

Pułkownik zmierzył gniewnym wzrokiem mnie i profesora Peddicka.

- Panowie pewnie też stukacie w stoliki?

- Nie - zaprzeczyłem. - Płynęliśmy po rzece i łódka się przewróciła, i...

- Oooch -jęknęła pani Mering z kanapy, zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy. - Mężu, czy to ty? - zapytała słabym głosem. Wyciągnęła do niego rękę: - O Mesielu, duchy!

- Bujda! Same głupoty. Rujnują ci zdrowie i nerwy. Aż dziwne, że nikomu nie stała się krzywda - powiedział pułkownik biorąc ją za rękę. Verity zwolniła miejsce i pułkownik usiadł przy żonie. - Załatwione. Koniec z seansami. Absolutny zakaz w moim domu. Baine! - zawołał kamerdynera, który właśnie wszedł niosąc spodeczek śmietanki. - Wyrzućcie książki o spirytyzmie.

Odwrócił się z powrotem do pani Mering.

- Zabraniam ci zadawać się z tym medium, madame Idioskovitz.

- Iritosky - poprawiła pani Mering. - O Mesielu, nie możesz tego zrobić! - Ścisnęła jego dłoń. - Nie rozumiesz! Zawsze byłeś sceptykiem. Ale teraz musisz uwierzyć. One były tutaj, Mesielu. W tym pokoju. Właśnie nawiązałam kontakt z wodzem Gicziwata, duchem przewodnim madame Iritosky, i zapytałam go o los Księżniczki Ardżumand, i... - wydała okrzyczek zupełnie jak wcześniej Tossie - i oni się pojawili, niosąc kota w swoich widmowych ramionach!

- Najmocniej przepraszamy. Nie chcieliśmy przestraszyć - powiedział Terence, który chyba zaraził się telegraficznym stylem pułkownika Meringa.

- Kto to jest? - zapytała męża pani Mering.

- Terence St. Trewes, do usług - przedstawił się Terence i uchylił kapelusza. Niestety na rondzie zebrało się sporo wody, która chlusnęła na panią Mering.

- O! O! O! - Pani Mering wydała całą serię okrzyczków i bezskutecznie próbowała zasłonić się przed potopem.

- Strasznie panią przepraszam - powiedział Terence i zacząłby wyciągać chustkę, jeszcze bardziej przemoczoną. Zatrzymał się w samą porę i wsadził chustkę z powrotem do kieszeni.

Pani Mering zmierzyła Terence'a lodowatym wzrokiem i zwróciła się do męża.

- Wszyscy je widzieli! - Spojrzała na wikarego. - Wielebny, Powiedz pan Mesielowi, żeś widział duchy!

- No... - zaczął wikary z zakłopotaniem.

- Całe były obwieszone wodorostami, Mesielu, i jaśniały nieziemskim światłem - oznajmiła pani Mering, ciągnąc męża za rękaw. - Przyniosły wiadomość, że biedna Księżniczka Ardżumand spoczywa na dnie rzeki. - Wskazała na oszklone drzwi. - Tędy weszły!

- Wiem, że powinniśmy byli zapukać - przyznał Terence. - Nie chcieliśmy tak wtargnąć, ale nasza łódź przewróciła się i...

- Kim jest ten impertynencki młody człowiek? - zapytała męża pani Mering.

- Terence St. Trewes - ponownie przedstawił się Terence.

- Twój duch - wyjaśnił pułkownik.

- Terence St. Trewes - powtórzył Terence. - A to jest pan Ned Henry i...

- Duchy! - fuknął pogardliwie pułkownik Mering. - Gdybyś nie zgasiła światła i nie bawiła się w wirujące stoliki, zobaczyłabyś, że to wioślarze, którzy mieli wywrotkę. Na dnie rzeki? Ha!

- Księżniczka Ardżumand jest cała i zdrowa, mamo - wtrąciła Tossie, podsuwając matce kota do wglądu. - Nie utonęła. Pan St. Trewes znalazł ją i przyniósł do domu. Plawda, słodka Dziudziu? Psiniósł kicię do domu, taak. Był taki dzielny, plawda? Psiniósł moją kiciunię!

- To pan znalazł Księżniczkę Ardżumand? - zapytała pani Mering.

- No, właściwie to Ned...

Rzuciła mi spojrzenie mrożące krew w żyłach i wymownie popatrzyła na Terence'a, rejestrując nasze mokre ubrania, niechlujny wygląd i najwyraźniej niespirytystyczną naturę.

Potem usiadła prosto na kanapie, spiorunowała wzrokiem Terence'a i zawołała:

- Jak pan śmie udawać ducha, panie St. Trewes!

- Ja... my... łódź nam się wywróciła... - wyjąkał Terence.

- Terence St. Trewes! - ciągnęła. - Cóż to za nazwisko? Czyżby irlandzkie?

Temperatura w pokoju spadła o kilka stopni i Terence dygotał udzielając odpowiedzi.

- Nie, szanowna pani. To stare rodowe nazwisko. Pochodzi z czasów Zdobywcy i tak dalej. Podobno od rycerza, który walczył w krucjatach obok Ryszarda Lwie Serce.

- Ale brzmi z irlandzka - upierała się pani Mering.

- Pan St. Trewes to ten młody człowiek, o którym mamie mówiłam - wtrąciła Tossie - ten, którego spotkałam nad rzeką i prosiłam, żeby poszukał Księżniczki Ardżumand. I znalazł ją! - Pokazała matce kota.

Pani Mering nie zwróciła na nią uwagi.

- Nad rzeką? - powtórzyła i jej spojrzenie zmieniło się w czysty płynny azot. - Pan jest jakimś przewoźnikiem?

- Nie, szanowna pani - zaprzeczył Terence. - Jestem studentem. Drugi rok. W Balliol.

- Oksford! - prychnął pułkownik Mering. - Ha! Wyglądało na to, że za chwilę wyrzucą nas stąd na zbity łeb; nie

najgorsza perspektywa, biorąc pod uwagę zachowanie Tossie wobec Terence'a. Zastanawiałem się, czy w ten sposób kontinuum dokonuje samonaprawy, skoro już „słodka Dziudziu" bezpiecznie wróciła do domu. Miałem taką nadzieję.

Miałem również nadzieję, że zdążę zamienić parę słów z Verity, zanim pokażą nam drzwi. Od tego pierwszego uradowanego spojrzenia nawet na mnie nie zerknęła, a ja musiałem przynajmniej sprawdzić, czego się dowiedziała od T.J. i pana Dunworthy'ego.

- Czy w Oksfordzie uczą was, jak się włamywać do cudzych domów? - zagadnęła pani Mering.

- N-nie - wyjąkał Terence. - Pani powiedziała: „Wejdźcie".

- Mówiłam do duchów! - odparła sztywno pani Mering.

- Pewnie pan studiuje jakieś przeklęte nowoczesne przedmioty - odezwał się pułkownik Mering.

- Nie, sir. Klasyczne, sir. To jest mój tutor, profesor Peddick.

- Nie chcieliśmy tak się narzucać - zaczął profesor. - Ci dwaj młodzi dżentelmeni uprzejmie zabrali mnie na wycieczkę do Runnymede, kiedy...

Lecz temperatura gwałtownie wzrosła i zdawało mi się, że pułkownik uśmiecha się pod siwym wąsem.

- Przypadkiem nie profesor Arthur Peddick? Który napisał, „Charakterystyka fizyczna japońskiego shubunkina"?

Profesor Peddick kiwnął głową.

- Czytał pan to?

- Czy czytałem? Dopiero w zeszłym tygodniu napisałem do pana o moim wyłupiastookim perłowym ryunkinie - oznajmił pułkownik - Zdumiewający przypadek, że pan się tutaj zjawił.

- Ach tak - mruknął profesor, przyglądając mu się przez pince-nez - Zamierzałem odpowiedzieć na pański list. Fascynujący gatunek, ten ryunkin.

- Zadziwiające, ze wasza łódź wywróciła się akurat tutaj - zauważył pułkownik. - Jakie jest prawdopodobieństwo takiego wydarzenia? Astronomicznie małe.

Spojrzałem na Verity. Patrzyła na nich i przygryzała wargę.

- Musi pan obejrzeć mojego Czarnego Maura - oświadczył pułkownik. - Wspaniały okaz. Aż z Kioto. Baine, przynieście latarnię!

- Tak, sir - powiedział Baine.

- I trzyfuntowego obrączkowanego kiełbia - dodał pułkownik, biorąc profesora za ramię i prowadząc go przez labirynt mebli do oszklonych drzwi. - Złapałem go dopiero w zeszłym tygodniu.

- Mesiel! - warknęła pani Mering z kanapy. - Dokąd się wybierasz, na litość?

- Nad sadzawkę, moja droga, pokazać profesorowi moje złote rybki.

- O tej porze? Nonsens! Przeziębi się na śmierć w tym mokrym ubraniu.

- Słuszna racja - przyznał pułkownik Mering i chyba dopiero teraz zauważył, że rękaw, który trzyma, jest zupełnie mokry. - Trzeba pana przebrać w suche rzeczy. Baine - zwrócił się do kamerdynera, który właśnie wychodził - natychmiast przynieście profesorowi suche ubranie.

- Tak, sir - powiedział Baine.

- Pan Henry i pan St. Trewes także potrzebują ubrań na zmianę - odezwała się Verity.

- Tak, panienko.

- I przynieście trochę brandy - polecił pułkownik. - I rybę - dodała Tossie.

- Wątpię, czy ci dżentelmeni znajdą czas na kieliszek brandy - zabrała głos pani Mering, ponownie przykręcając termostat. -Już bardzo późno i z pewnością panowie chcą wrócić do swoich kwater. Zakładam, że zatrzymaliście się panowie w którejś gospodzie na rzeką, panie St. Trewes? Pod Łabędziem?

- No, właściwie... - zaczął Terence

- Nie chcę o tym słyszeć. Paskudne publiczne noclegownie. Straszliwa kanalizacja. Zostaną tutaj - oświadczył pułkownik i podniósł dłoń, żeby odeprzeć wszelkie sprzeciwy. - Mnóstwo miejsca dla pana i pańskich przyjaciół. Zostaniecie, jak długo zechcecie. Doskonałe głębie do łowienia na błyszczkę. Baine, powiedzcie Jane, żeby przygotowała pokoje dla tych panów.

Baine, który usiłował jednocześnie nalewać brandy, przynieść latarnię i ubrać połowę obecnych w pokoju, szybko powiedział: - Tak sir - i ruszył do wyjścia.

- I wnieście ich bagaż - zawołał za nim pułkownik.

- Obawiam się, że nie mamy żadnego bagażu - powiedział Terence. - Kiedy łódź się wywróciła, zdołaliśmy jedynie uratować życie,

- Straciłem pięknego kiełbia albinosa - poskarżył się profesor Peddick. - Niezwykłe płetwy grzbietowe.

- Trzeba będzie znowu go złapać - odparł pułkownik. - Baine, idźcie zobaczyć, czy można uratować łódź i bagaże panów. Gdzie ta latarnia?

Cud, że Baine nie czytał Marksa, tak nim pomiatano. Nie, Marks wciąż jeszcze pisał swoje dzieło. W czytelni British Museum.

- Zaraz przyniosę, sir.

- Nie przyniesiecie - sprzeciwiła się pani Mering. - Już za późno na spacery nad sadzawkę. Z pewnością panowie - temperatura znowu spadła - są zmęczeni po swojej przygodzie. Pływać łódką! W środku nocy! To cud, że was nie zniosło do jazu i nie utonęliście - sądząc po jej minie żałowała, że do tego nie doszło. - Z pewnością ci panowie są wyczerpani.

- Słuszna racja - przyznał wikary - a zatem odchodzę. Dobranoc, pani Mering.

Pani Mering wyciągnęła rękę.

- O, wielebny, tak mi przykro, że dzisiaj nie było żadnych manifestacji.

- Następnym razem niewątpliwie lepiej nam się uda - odpowiedział jej wikary, ale patrzył na Tossie. - Będę niecierpliwie oczekiwał naszej następnej wyprawy w świat metafizyki. I oczywiście spotkania z obiema paniami pojutrze. Na pewno odniesiemy wielki sukces, dzięki pani i pani uroczej córce.

Łypnął pożądliwie na Tossie, a mnie przyszło do głowy, że mógł być tajemniczy pan C.

- Z przyjemnością udzielimy wszelkiej pomocy - zapewniła pani Mering.

- Trochę nam brakuje obrusów - wyznał wikary.

- Baine, natychmiast zanieście tuzin obrusów na plebanię - rozdała pani Mering.

Nic dziwnego, że Baine w wolnym czasie zabawiał się topieniem kotów. Całkowicie usprawiedliwiona mania zabójcza.

- Cieszę się, że miałem przyjemność poznać panów - ciągnął wikary, wciąż patrząc na Tossie. - Jeśli panowie zostaną do pojutrza, chciałbym rozszerzyć zaproszenie na nasz...

- Wątpię, czy panowie zostaną tak długo - przerwała mu pani Mering.

- Ach - powiedział wikary. - No cóż, w takim razie dobranoc. Baine podał mu kapelusz i wikary wyszedł.

- Powinnaś pożegnać się z wielebnym panem Arbitage - skarciła córkę pani Mering i tak upadła moja teoria.

- Profesorze Peddick, musi pan dzisiaj przynajmniej zobaczyć mojego wyłupiastookiego perłowego ryunkina - oświadczył pułkownik Mering. - Baine, gdzie ta latarnia? Wspaniałe ubarwienie...

- Aiiiii! - wrzasnęła pani Mering.

- Co? - podskoczył Terence i wszyscy obejrzeli się na oszklone drzwi, jakby oczekiwali kolejnego ducha, ale nikogo nie zobaczyli.

- Co się stało? - zapytała Verity, sięgając po sole trzeźwiące.

- To! - zawołała pani Mering, dramatycznie wskazując Cyryla, który grzał się przy ogniu. - Kto wpuścił tego okropnego stwora?

Cyryl wstał z urażoną miną.

-Ja... ja go wpuściłem - wyznał Terence i pospiesznie złapał psa za obrożę.

- To jest Cyryl - wyjaśniła Verity. - Pies pana St. Trewesa.

Cyryl wybrał akurat ten fatalny moment, żeby zademonstrować swoją psią naturę, czy też po prostu zląkł się pani Mering, jak my wszyscy. Wstrząsnął się gwałtownie, kłapiąc obwisłymi policzkami.

- O, okropny pies! - krzyknęła pani Mering zasłaniając się rękami - chociaż Cyryl stał po drugiej stronie pokoju. - Baine, wyprowadźcie go natychmiast!

Baine zrobił krok, a we mnie zaświtało podejrzenie, czy on nie przypadkiem seryjnym mordercą domowych zwierząt.

- Ja go wyprowadzę - zaproponowałem.

- Nie, ja to zrobię - oświadczył Terence. - Chodź, Cyrylu.

Cyryl spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Strasznie mi przykro - mówił Terence, ciągnąc Cyryla za obrożę. - Był z nami w łodzi, kiedy się wywróciła, więc...

- Baine, pokaż panu St. Trewesowi stajnie. Precz! - krzyknęła pani Mering na psa, który wybiegł jak strzała przez oszklone drzwi ciągnąc za sobą Terence'a.

- Ten oklopny niegzecny piesio juz sobie posedł i słodka Dziudziu nie będzie się bala - powiedziała Tossie do kota.

- O, tego już za wiele! -jęknęła pani Mering i dramatycznie przyłożyła dłoń do czoła.

- Proszę - powiedziała Verity, podtykając jej pod nos sole trzeźwiące. - Chętnie zaprowadzę pana Henry do jego pokoju.

- Verity! - zagrzmiała pani Mering głosem, który dobitnie świadczył o jej pokrewieństwie z lady Schrapnell. - To zupełnie niepotrzebne. Pokojówka zaprowadzi pana Henry do jego pokoju.

- Tak, ciociu - potulnie odparła Verity i ruszyła przez pokój, zgarniając spódnice tak zgrabnie, że

nawet nie musnęły szponiastych nóg od stołu ani wolutowej podstawy aspidistry. Stanąwszy przy panelu z chwastami, szepnęła do mnie: - Tak się cieszę, że cię widzę. Zamartwiałam się na śmierć.

- Ja... -zacząłem.

- Odprowadź mnie do mojego pokoju, Tossie - poleciła pani Mering. - Czuję się zupełnie rozbita. Verity, powiedz Baine'owi, że proszę o filiżankę rumiankowej herbatki. Mesiel, nie zawracaj profesorowi głowy swoimi głupimi rybami.

W trakcie tej kanonady rozkazów zjawiła się Colleen i kazano jej zaprowadzić mnie do pokoju.

- Tak, psze pani - powiedziała, dygnęła i poszła przodem. U stop schodów przystanęła, żeby zapalić lampę.

Hasło dekoratorów „Mniej to więcej" widocznie jeszcze nie zostało wynalezione. Ściany klatki schodowej były gęsto obwieszone portretami w pozłacanych ramach, przedstawiającymi licznych przodków Meringów w zbrojach, koronkach i pludrach, a w korytarzu stał stojak na parasole, popiersie Darwina, duża paproć oraz rzeźba Laokoona oplatanego ogromnym wężem.

Colleen doprowadziła mnie do połowy korytarza i zatrzymała się przed malowanymi drzwiami. Otwarła je, dygnęła i przytrzymała je dla mnie.

- Pana sypialnia, sir - powiedziała. Przy jej irlandzkim akcencie „sir" zabrzmiało jak „sorr".

Ten pokój nie był taki zagracony jak salon. Miał tylko łóżko, umywalkę, szafkę nocną, drewniane krzesło, fotel wyścielany perkalem, komodę, lustro oraz ogromną szafę, zajmującą całą ścianę - na szczęście, ponieważ tapeta przedstawiała kraty, po których pięły się ogromne błękitne powoje.

Pokojówka postawiła lampę na nocnej szafce, przemknęła przez pokój i chwyciła dzbanek z umywalki.

- Zarutko przyniosę gorącą wodę, sorr - oznajmiła i wybiegła.

Rozejrzałem się po pokoju. Wiktoriański dekorator wnętrz widocznie wyznawał zasadę: „Zakryć każdy kamień". Łóżko nakrywała narzuta, nakryta z kolei białym, ażurowym, szydełkowym czymś, komodę i toaletkę zdobiły białe lniane bieżniczki wykończone frywolitkami oraz bukiety suchych kwiatów, a szafkę nocną udrapowano w turecki szal, na którym leżała szydełkowa serwetka.

Nawet przybory toaletowe na komodzie miały pokrowce robione na drutach. Podniosłem je i obejrzałem z nadzieją, że nie będą tak enigmatyczne jak kuchenne utensylia. Nie, to były zwykłe szczotki, pędzel do golenia i miseczka z mydłem.

W dwudziestym wieku musieliśmy używać przy skokach długoterminowych depilatorów, ze względu na prymitywne warunki golenia. Użyłem takiego depilatora, kiedy zaczynałem obchód kiermaszów, ale nie wystarczyłby przez cały czas, jaki tu spędziłem. Czy maszynkę do golenia wynaleziono przed 1888 rokiem?

Zdjąłem pokrowiec z emaliowanego pudełka, uniosłem wieko i otrzymałem odpowiedź. W pudełku spoczywały dwie brzytwy o uchwytach z kości słoniowej i prostych, groźnie wyglądających ostrzach.

Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłem i weszła pokojówka, dźwigając dzbanek prawie tak duży jak ona sama.

- Gorąca woda, sorr - oznajmiła, postawiła dzbanek i wykonała kolejny dyg. - Jeśli pan będzie potrzebował jeszcze czegoś, wystarczy dzwonić.

Wskazała długą taśmę haftowaną w fiołki, wiszącą obok łóżka, którą niechybnie wziąłbym za element dekoracji, gdybym nie widział wcześniej, jak Tossie używa dzwonka.

- Dziękuję, Colleen - powiedziałem.

Zatrzymała się w połowie dygu z zakłopotaną miną.

- Dopraszam się wybaczenia, sorr - wyjąkała, mnąc w palcach skraj fartuszka - mam na imię Jane.

- Och, przepraszam. Widocznie źle zrozumiałem. Myślałem że masz na imię Colleen.

Jeszcze mocniej skręciła brzeg fartuszka.

- Nie, sorr, Jane, sorr.

- No więc dziękuję ci, Jane.

Na jej twarzy odbiła się ulga.

- Dobranoc, sorr - rzuciła, dygnęła po raz ostatni i zamknęła za sobą drzwi.

Stałem i spoglądałem na łóżko niemal z obawą, ledwie mogąc uwierzyć, że wreszcie dostanę to, po co przybyłem do epoki wiktoriańskiej - zdrowy całonocny sen. To wydawało się niemal zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Miękkie łóżko, ciepłe kołdry, błoga nieświadomość. Żadnych kamieni, żadnych zaginionych kotów, żadnego deszczu. Żadnych kiermaszów, żadnych strusich nóg biskupa, żadnej lady Schrapnell.

Usiadłem na łóżku. Ugięło się pode mną i lekko zapachniało lawendą, i entropia zwyciężyła. Nagle byłem zbyt zmęczony, żeby przynajmniej się rozebrać. Zastanawiałem się, jak bardzo wściekła będzie Colleen - nie, Jane - kiedy tu wejdzie rano i zastanie mnie śpiącego w ubraniu.

Wciąż martwiłem się niekongruencją i tym, co powiem Verity, ale zmartwienia będą musiały zaczekać. A rano obudzę się wypoczęty, odrodzony, wreszcie wyleczony z dyschronii i zdolny poradzić sobie z tym problemem. Jeśli istniał jeszcze jakiś problem. Może Księżniczka Ardżumand, bezpiecznie powróciwszy na falbaniaste łono swej właścicielki, przywróci równowagę i niekongruencją zacznie sama się naprawiać. A jeśli nie, cóż, po dobrze przespanej nocy będę zdolny do myślenia, zacznę logicznie rozumować i opracuję jakiś plan działania.

Ta myśl dodała mi sił i postanowiłem oszczędzić delikatne uczucia pokojówki. Zdjąłem surdut od Baine'a, powiesiłem go na poręczy łóżka, usiadłem i zacząłem ściągać buty.

Zdążyłem uporać się z jednym butem i połową przemoczonej skarpetki, kiedy rozległo się pukanie.

To pokojówka, pomyślałem z nadzieją, przyniosła mi butelkę z gorącą wodą albo wycieraczkę do piór, a jeśli widok stopy w skarpetce urazi jej delikatne uczucia, to trudno. Nie nałożę buta z powrotem.

To nie była pokojówka. To był Baine. Trzymał sakwojaż.

- Zszedłem nad rzekę, sir - powiedział - i żałuję, że zdołałem uratować tylko jeden kosz, pańską walizę oraz ten sakwojaż, który niestety był pusty i uszkodzony. - Wskazał szczelinę, jedną z tych, które wyciąłem dla Księżniczki Ardżumand. - Widocznie dostał się do jazu zanim wyrzuciło go na brzeg. Naprawię go dla pana, sir.

Nie chciałem, żeby dokładniej obejrzał sakwojaż i znalazł zdradziecką kocią sierść.

- Nie trzeba, w porządku - powiedziałem, sięgając po sakwojaż.

- Zapewniam pana, sir - nalegał - można go tak zeszyć, że będzie jak nowy.

- Dziękuję - uciąłem. - Sam się tym zajmę.

- Jak pan sobie życzy, sir - ustąpił. Podszedł do okna i zaciągnął kotary.

- Ciągle szukamy łodzi. Zawiadomiłem dozorcę śluzy w Pangbourne.

- Dziękuję. - Zaimponowała mi jego sprawność, wolałbym jednak, żeby już poszedł i pozwolił mi się położyć.

- Pańskie ubrania z walizy będą wysuszone i wyprasowane, sir. Odzyskałem również pański kapelusz.

- Dziękuję - powtórzyłem.

- Doskonale, sir - odparł i już myślałem, że wyjdzie, on jednak ciągle stal przede mną.

Zastanawiałem się, czy powinienem coś powiedzieć, żeby go odesłać. Kamerdynerom nie daje się napiwków, prawda? Próbowałem sowę przypomnieć, co na ten temat mówiły podprogowe

instrukcje.

- To wszystko, Baine.

- Tak, sir. - Skłonił się lekko i ruszył do wyjścia, ale w drzwiach znowu się zawahał, jakby chciał jeszcze coś dodać.

- Dobranoc - powiedziałem z nadzieją, że to właśnie miał na myśli.

- Dobranoc, sir - odpowiedział i wyszedł.

Usiadłem na łóżku. Tym razem nawet nie zdążyłem zdjąć buta, kiedy rozległo się pukanie. To był Terence.

- Dzięki niebiosom, że jeszcze nie śpisz, Ned - zawołał. - Musisz mi pomóc. Mamy kryzys.

- ...dziwne zachowanie psa owej nocy.

- Pies był spokojny.

-To właśnie jest dziwne – rzekł Sherlock Holmes.

Sir Arthur Conan Doyle

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ekspedycja ratunkowa - Dlaczego angielskie wiejskie domy mają reputację nawiedzonych - Ucieczka z domu Elizabeth Barrett Browning - Goście - Wyznanie - Tajemnica topienia Księżniczki Ardżumand rozwiązana – Więcej gości - Szarża Lekkiej Brygady - Reguły powieści kryminalnych – Najmniej prawdopodobny podejrzany - Niemile odkrycie

Kryzys spowodował Cyryl.

- Stajnia! Wiesz, on nigdy nie spał na dworze - oświadczył Terence, widocznie zapomniawszy o poprzedniej nocy. - Biedny Cyryl - ciągnął ze zrozpaczoną miną. - Wygnany w mroki nocy. Obok koni! - Przespacerował się po pokoju. - To barbarzyństwo kazać mu spać na dworze, po tym wypadku z łodzią. I w jego stanie!

- W jakim stanie? - zapytałem.

- Cyryl ma słabe płuca - wyjaśnił Terence. - Skłonność do kataru. - Przestał spacerować, rozchylił zasłony i wyjrzał przez okno. - Pewnie już dostał kaszlu. Musimy zabrać go do domu. - Opuścił zasłony. - Chcę, żebyś go przemycił do swojego pokoju.

- Ja? - wyjąkałem. - Dlaczego sam go nie przemycisz do swojego pokoju?

- Pani Mering będzie mnie obserwować. Słyszałem, jak kazała kamerdynerowi dopilnować, żeby to „zwierzę" spało na dworze. Zwierzę!

- Więc jak mam go wprowadzić?

- Kamerdyner będzie pilnował mnie, nie ciebie. Powinieneś zobaczyć wyraz jego twarzy, kiedy mu powiedziałem, że musi tam zostać. Straszliwa zdrada. „*Et tu, Brute"*.

- No dobrze - ustąpiłem. -Ale wciąż nie wiem, jak mam przejść obok Baine'a.

- Zadzwonię po filiżankę kakao. W ten sposób usunę go z drogi. Morowy z ciebie kumpel, że to robisz. „Najlepszy druh, jak źródło na pustkowiu!"

Otworzył drzwi i spojrzał w obie strony.

- Na razie wszędzie czysto. Odczekam pięć minut, żebyś z powrotem nałożył buty, a potem zadzwonię po napoje. Jeśli cię przyłapie, powiesz mu po prostu, że wyszedłeś zapalić.

- A jeśli mnie przyłapie w drodze powrotnej, z Cyrylem na holu?

- Nie przyłapie. Poproszę także o kieliszek klaretu. Chateau Margaux'75. W tych wiejskich domach nigdy nie mają porządnych piwnic z winami.

Ponownie spojrzał w obie strony, wysunął się bokiem z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi, a ja podszedłem do łóżka i spojrzałem na swoje skarpetki.

Niełatwo nałożyć mokrą skarpetkę, a co dopiero wciągnąć na nią mokry but, i to pomimo wewnętrznych oporów. Minęło sporo ponad pięć minut, zanim się z tym uporałem. Miałem nadzieję, że piwnica z winami Meringów znajduje się po drugiej stronie domu.

Uchyliłem odrobinę drzwi i rozejrzałem się po korytarzu. Nie zobaczyłem nikogo, zresztą w ogóle nic nie zobaczyłem. Pożałowałem, że nie zwracałem większej uwagi na rozmieszczenie mebli i posągów.

Było tak ciemno, że chciałem już wrócić po lampę z kryształowymi wisiorkami. Próbowałem ocenić, co będzie gorsze: przyłapanie Przez panią Mering, kiedy zobaczy światło, czy przyłapanie przez panią Mering, kiedy wpadnę na rzeźbę Laokoona.

Zdecydowałem się na to drugie. Jeśli służba nie śpi (a jak mogli się położyć, skoro musieli wyprać i wykrochmalić te wszystkie obrusy), zobaczą światło i przybiegną zapytać, czy pan życzy sobie czegoś jeszcze, sir. Zresztą moje oczy stopniowo przyzwyczaiły się do ciemności, w każdym razie na

tyle, żeby wyodrębnić zarys korytarza. Jeśli będę trzymał się środka, nic mi się nie stanie.

Po omacku ruszyłem w kierunku schodów i natychmiast potknąłem się o wielką paproć, która zachybotała się gwałtownie na postumencie, zanim ją przytrzymałem, a potem o coś, co okazało się parą butów.

Zdziwiony, zastanawiałem się nad tym przez resztę drogi, dopóki nie potknąłem się o następną parę, tym razem białych sznurowanych bucików należących do Tossie. Przypomniało mi się, że taśma podprogowa mówiła coś o ludziach wystawiających buty za drzwi na noc, żeby służba je wypucowała. Oczywiście po wyprasowaniu obrusów, przygotowaniu kakao i przepłynięciu Tamizy w poszukiwaniu zabłąkanych łodzi.

Na schodach było więcej światła. Ostrożnie zacząłem schodzić. Czwarty stopień zaskrzypiał głośno i kiedy obejrzałem się ze strachem ujrzałem lady Schrapnell piorunującą mnie wzrokiem ze szczytu schodów.

Serce we mnie zamarło.

Po chwili znowu zabiło, kiedy uświadomiłem sobie, że lady Schrapnell wciąż bezpiecznie przebywa w innym świecie, a tamta kobieta nosi karbowaną krezę i suknię z trójkątnie wydłużonym stanem, więc widocznie należy do elżbietańskich przodki rodu Meringów. Nic dziwnego, że wiktoriańskie wiejskie domy uchodziły za nawiedzane przez duchy.

Reszta drogi okazała się łatwa, chociaż przeżyłem chwilę strachu przed frontowymi drzwiami, kiedy myślałem, że są zamknięte na klucz i będę musiał przedzierać się przez labirynt salonu do oszklonych drzwi. Ale były zamknięte tylko na zasuwę, która prawie nie zgrzytnęła, kiedy ją odsuwałem.

Na dworze świecił księżyc.

Nie miałem pojęcia, który z kilku budynków, jaśniejących bielą w blasku księżyca, jest stajnią. Zajrzałem do szopy z narzędziami ogrodniczymi i do kurnika, zanim rżenie koni, niewątpliwie zbudzonych przez kury, wskazało mi drogę.

Na mój widok Cyryl zrobił tak żałośnie ucieszoną minę, że zapragnąłem odwołać przekleństwa, które miotałem na głowę Terence'a.

- Chodź, stary - powiedziałem. - Musisz zachowywać się bardzo cicho. Jak Flush, kiedy Elizabeth Barrett Browning uciekła z ukochanym.

Co zdarzyło się właśnie w tamtych czasach, uświadomiłem sobie. Zaciekawiło mnie, jak zdołała zejść po schodach i wymknąć się z kompletnie ciemnego domu. W dodatku niosąc walizkę i cocker-spaniela. Nabierałem coraz więcej szacunku dla wiktorian.

Ciche zachowanie w wersji Cyryla polegało na ciężkim sapaniu, urozmaiconym kichaniem. W połowie schodów stanął jak wryty i zagapił się w górę.

- To nic - powiedziałem, popychając go do przodu. - To tylko obraz. Nie ma się czego bać. Uważaj na paproć.

Bez żadnych wypadków przebyliśmy korytarz i dotarliśmy do mojego pokoju. Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie z wdzięcznością.

- Dobry piesek. Flush byłby z ciebie dumny - pochwaliłem Cyryla i zobaczyłem, że trzyma w pysku czarny but, widocznie zabrany po drodze.

- Nie! - zawołałem i sięgnąłem po but. - Oddaj to!

Dawniej buldogi tresowano, żeby chwytały byka za gardło i nie puszczały za żadne skarby. Ten nawyk pozostał. Ciągnąłem, szarpałem i tarmosiłem but - bez rezultatu. Wreszcie puściłem.

- Rzuć ten but - rozkazałem - bo zabiorę cię z powrotem do stajni. Cyryl spojrzał na mnie wyzywająco. But zwisał mu z pyska, dyndając sznurowadłami.

- Mówię poważnie - ostrzegłem. - Wszystko mi jedno, czy złapiesz katar. Albo zapalenie płuc.

Cyryl zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym upuścił but i położył się obok, dotykając go końcem płaskiego nosa.

Chwyciłem but z nadzieją, że należy do profesora Peddicka, który nie zauważy śladów po zębach, albo do Terence'a, który na to zasłużył. To był damski but. I nie należał do Verity. Ona nosiła białe buciki, tak jak Tossie.

- To jest but pani Mering! - oznajmiłem, grożąc nim Cyrylowi. Cyryl usiadł czujnie, gotów do zabawy.

- To poważna sprawa! - oznajmiłem. - Tylko popatrz. Właściwie but, chociaż mocno ośliniony, nie doznał większego uszczerbku. Wytarłem go o nogawkę spodni i otworzyłem drzwi.

- Zostań! - rozkazałem Cyrylowi i wyszedłem, żeby odstawić but na miejsce.

Nie miałem pojęcia, które drzwi prowadziły do sypialni pani Mering i nie mogłem po ciemku odnaleźć tych, przed którymi brakowało buta, zwłaszcza że wyszedłem z oświetlonego pokoju. I nie chciałem czekać, aż moje oczy przyzwyczają się do grobowych ciemności. I wcale nie miałem ochoty, żeby pani Mering przyłapała mnie pełzającego na czworakach.

Wróciłem do pokoju, wziąłem lampę, oświetliłem korytarz i znalazłem drzwi z jednym butem. Drugie od końca. Dzielił mnie od nich posąg Laokoona, Darwin oraz stolik z papier-mache z dużą paprocią

Cofnąłem się do pokoju, zamknąłem drzwi, odstawiłem lampę podniosłem but i znowu uchyliłem drzwi.

- ...mówię ci, że widziałam światło - powiedział głos, który mógł należeć tylko do pani Mering. - Dziwne, pełgające, nieziemskie światło. Upiorne światło, Mesielu! Musisz wstać!

Zamknąłem drzwi, zdmuchnąłem lampę i cichutko wróciłem do łóżka. Leżał tam Cyryl, wygodnie zagrzebany wśród poduszek.

- To wszystko twoja wina - szepnąłem do niego i uświadomiłem sobie, że wciąż trzymam but pani Mering.

Wsunąłem go pod kołdrę, pomyślałem, że to zbyt niepewna kryjówka, chciałem go schować pod łóżkiem, rozmyśliłem się i wetknąłem go pomiędzy sprężyny a materac wypchany pierzem. Potem usiadłem w ciemności i próbowałem podsłuchać, co się dzieje. Nie słyszałem żadnych głosów poza chrapaniem Cyryla, nie otwarły się żadne drzwi i żadne światło nie zabłysło pod moimi drzwiami.

Odczekałem jeszcze kilka minut, po czym zdjąłem buty, na paluszkach podszedłem do drzwi i uchyliłem je odrobinę. Ciemność i cisza. Po ciemku wróciłem do łóżka, uderzywszy wielkim palcem u nogi o lustro i rozbiwszy kostkę o nocny stolik, ponownie zapaliłem lampę i przygotowałem się do snu.

Ostatnie minuty najwyraźniej wyssały ze mnie resztki sił, jednak rozbierałem się uważnie i powoli, notując w pamięci, jak zapinał się mój kołnierzyk i mankiety, spoglądając w lustro na węzeł krawata, żeby jutro zawiązać go tak samo. Chociaż niepotrzebnie się starałem - I tak wcześniej poderżnę sobie gardło przy goleniu. Albo zdemaskują mnie jako złodzieja butów i fetyszystę.

Zdjąłem wciąż przemoczone skarpetki, nałożyłem koszulę nocną i wskoczyłem do łóżka. Sprężyny ustąpiły, materac z pierza zapadł się pode mną, prześcieradła były zimne, a Cyryl zagarnął wszystkie kołdry Poczułem się cudownie.

Sen, łagodny odżywiciel Natury, miodowa rosa świętego spoczynku, balsam na zgryzoty, słodki, błogosławiony, nieprzerwany sen.

Rozległo się pukanie do drzwi.

To pani Mering, pomyślałem, sięgając po jej but. Albo duchy. Albo pułkownik, któremu kazała

wstać.

Ale pod drzwiami nie widziałem światła, a pukanie, które rozległo się powtórnie, było zbyt delikatne. To Terence, pomyślałem, przyszedł zabrać Cyryla, kiedy już odwaliłem całą robotę.

Jednak na wszelki wypadek zapaliłem lampę, nałożyłem szlafrok, nakryłem Cyryla narzutą i dopiero wtedy otworzyłem drzwi. To była Verity. W koszuli nocnej.

- Co ty tu robisz? - szepnąłem do niej. - To epoka wiktoriańska.

- Wiem - odszepnęła i prześliznęła się obok mnie do pokoju. -Ale muszę z tobą porozmawiać, zanim złożę raport panu Dunworthy'emu.

- A jeśli ktoś wejdzie? - zapytałem, patrząc na jej białą koszulę. Koszula była bardzo skromna, z długimi rękawami, zapinana pod szyją, ale wątpiłem, czy to przekona Terence'a. Albo kamerdynera. Albo panią Mering.

- Nikt nie wejdzie - odparła i usiadła na łóżku. - Wszyscy poszli spać. A ściany w tych wiktoriańskich domach są za grube, żeby podsłuchiwać.

- Terence już tu był - oznajmiłem. -I Baine.

- A ten czego chciał?

- Przeprosić mnie, że nie uratował bagażu. Terence chciał, żebym przemycił Cyryla ze stajni.

Na dźwięk swojego imienia Cyryl wynurzył się spod kołdry, mrugając sennie.

- Halo, Cyrylu - powiedziała Verity i poklepała go po łbie. Cyryl położył łeb na jej kolanach.

- A jeśli Terence wróci, żeby do niego zajrzeć? - zasugerowałem.

- Schowam się - odparła spokojnie. - Ned, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. - Uśmiechnęła się do mnie. - Kiedy wróciłyby od madame Iritosky, Księżniczki Ardżumand jeszcze nie było, a kiedy wczoraj wieczorem poszłam złożyć raport, pani Mering przyłapała mnie w drodze do belwederku. Wmówiłam jej, że zobaczyłam ducha i goniłam go, a wtedy ona kazała wszystkich obudzić i przeszukać całą posiadłość, więc nie mogłam przeskoczyć i nie miałam pojęcia co się stało.

Okropna sytuacja. Najada siedziała na moim łóżku w nocnej koszuli, kasztanowe prerafaelickie włosy spływały jej na plecy. Była tutaj i uśmiechała się do mnie, a ja musiałem zepsuć to wszystko. No trudno, im szybciej to załatwię, tym lepiej.

- A potem dzisiaj rano - ciągnęła - musiałam towarzyszyć Tossie na spotkanie w kościele...

- To ja przeniosłem kota - wyznałem. - Był w moim bagażu. pan Dunworthy na pewno powiedział mi o kocie, ale miałem taką dyschronię, że nie usłyszałem. Był ze mną przez cały czas.

- Wiem - powiedziała.

- Co? - zapytałem podejrzewając, że znowu doświadczam trudności z rozróżnianiem dźwięków.

- Wiem. Zameldowałam się z powrotem tamtego popołudnia i pan Dunworthy mi powiedział.

-Ale... - zacząłem, próbując się w tym połapać. Skoro była w 2057 roku, to skąd ten promienny uśmiech...

- Powinnam była się domyślić, kiedy cię spotkałam w Iffley. Wysyłanie historyków na wakacje nie pasuje do pana Dunworthy'ego, zwłaszcza kiedy lady Schrapnell dyszy mu w kark i do konsekracji zostały tylko dwa tygodnie.

- Nie wiedziałem, że go mam, kiedy się spotkaliśmy w Iffley -wyjaśniłem. - Szukałem otwieracza do konserw. Wiem, że kazałaś mi trzymać Terence'a z dala od Muchings End, ale myślałem, że kot jest ważniejszy. Planowaliśmy zatrzymać się w gospodzie w Streatley i chciałem ją dyskretnie podrzucić w nocy, ale Terence wiosłował dalej, a potem kot zaczął miauczeć i Cyryl zaczął węszyć, i wpadł do wody, a potem łódź się wywróciła i... znasz resztę - dokończyłem kulawo. - Mam nadzieję, że postąpiłem słusznie.

Przygryzła wargę ze zmartwioną miną.

- Co? Myślisz, że nie powinienem jej zwracać?

- Nie wiem.

- Myślałem, że powinienem ją zwrócić, zanim wynikną dalsze konsekwencje.

- Wiem - przyznała z wyrazem głębokiej rozterki. - Rzecz w tym że wcale nie miałeś jej zwrócić.

- Co?

- Kiedy pan Dunworthy dowiedział się o poślizgu w Coventry odwołał skok.

- Ale... - zacząłem. - Nie miałem przenieść Księżniczki Ardżumand z powrotem? Przecież sama powiedziałaś, że poślizg w Coventry tego nie dotyczy, że jest związany z punktem krytycznym.

- Tak, ale kiedy to sprawdzali, T.J. porównał wzorce poślizgu z badaniami Fudżisakiego i doszli do wniosku, że brak poślizgu wokół oryginalnego miejsca przeskoku oznacza, że to było nieistotne wydarzenie.

- Przecież to niemożliwe. Żywe istoty nie mogą być nieistotne.

- Właśnie - przyznała ponuro. - Oni myślą, że Księżniczka Ardżumand była nieżywa. Myślą, że miała utonąć. To nie miało sensu.

- Ale nawet jeśli utonęła, jej ciało weszłoby w interakcję z kontinuum. Nie zniknęłoby bez śladu.

- Właśnie tego dotyczyły badania Fudżisakiego. Zostałaby zredukowana do części składowych, a złożoność ich poszczególnych interakcji spadłaby wykładniczo.

Co oznaczało, że jej nieszczęsne zwłoki dryfowałyby w dół Tamizy, rozkładając się na węgiel i wapń, wchodząc w interakcje tylko z cząsteczkami wody i głodnymi rybami. Proch do prochu. Kot do nieistotności.

- I dzięki temu - ciągnęła Verity - mogliśmy ją usunąć z jej lokalizacji czasoprzestrzennej bez żadnych historycznych skutków. Co znaczy, że w ogóle nie należało jej odsyłać z przyszłości.

- Więc nie wywołałaś niekongruencji, kiedy ją przeniosłaś przez sieć - powiedziałem. – Ale ja wywołałem, kiedy ją przeniosłem z powrotem.

Kiwnęła głową.

- Kiedy nie przyszedłeś, bałam się, że mogli wysłać za tobą Fincha albo kogoś innego i kazać ci utopić Księżniczkę Ardżumand.

- Nie! - zaprotestowałem. - Nikt nikogo nie utopi. Nagrodziła mnie kolejnym oszałamiającym uśmiechem.

- Jeśli ona jest nieistotna, zabierzemy ją z powrotem do przyszłości - oświadczyłem twardo. - Nie utopimy jej. Ale to nie ma sensu - dodałem, bo coś mi przyszło do głowy. - Skoro miała utonąć, jej śmierć wywołałaby określone skutki, te same skutki, które wywołało jej zniknięcie. Wszyscy jej szukali, ty pojechałaś do Oksfordu, Tossie poznała Terence'a.

- Właśnie to próbowałam wytłumaczyć panu Dunworthy'emu - powiedziała. - Ale T.J. stwierdził, że według Fudżisakiego to byłyby krótkotrwałe skutki, bez poważnych historycznych reperkusji.

- Innymi słowy - mruknąłem - odżałowaliby stratę kota, gdybym jej nie przeniósł.

- I nie przeniósłbyś jej, gdybym najpierw się nie wtrąciła - dodała ze skruchą.

- Ale nie mogłaś pozwolić, żeby utonęła.

- Nie - przyznała - nie mogłam. Co się stało, to się nie odstanie, a teraz muszę złożyć raport panu Dunworthy'emu i zapytać, co robimy dalej.

- A co z pamiętnikiem? - przypomniałem sobie. - Jeśli po siódmym były o niej wzmianki, to dowód, że jednak nie utonęła. Czy ta biegła sądowa nie może poszukać jej imienia?

Verity miała nieszczęśliwą minę.

- Znalazła. Właściwie tylko układ liter... dwa bardzo długie słowa zaczynające się z dużej litery...

ale jedyne wzmianki pojawiają się w następnych kilku dniach i jeszcze nie zdążyła ich przetłumaczyć. Pan Dunworthy mówi, że pewnie opisują jej zaginięcie albo utonięcie.

Wstała.

- Lepiej pójdę złożyć raport. Jak już odkryłeś, że masz Księżniczkę Ardżumand, co było dalej? Kiedy Terence i profesor Peddick dowiedzieli się, że ją masz?

- Wcale się nie dowiedzieli - odparłem. - Ukrywałem ją, dopóki tutaj nie dopłynęliśmy. W sakwojażu. Terence myśli, że znalazłem ją na brzegu po naszym... - „lądowanie" nie wydawało się właściwym słowem - ...przybyciu.

- I nikt inny jej nie widział?

- Nie wiem - przyznałem. - Dwa razy uciekła. Raz w lesie i raz w Abingdon.

- Uciekła z sakwojażu?

- Nie. Wypuściłem ją.

- Wypuściłeś ją?!

- Myślałem, że jest oswojona.

- Oswojona? - powtórzyła z ubawioną miną. - Kot? - Spojrzała na Cyryla. - Dlaczego mu nie wytłumaczyłeś? - zapytała go i znowu spojrzała na mnie. - Ale nie widziałeś, żeby weszła w interakcję z kimś innym?

- Nie - odparłem.

- No, to dobrze. Odkąd wróciliśmy do domu, Tossie nie poznała żadnych innych młodych mężczyzn, których nazwiska nie zaczynają się na C.

- Zakładam, że pan C. jeszcze się nie zjawił - wyraziłem przypuszczenie.

- Nie - przyznała, marszcząc brwi - i nie miałam okazji zajrzeć do pamiętnika Tossie. I dlatego muszę się zameldować. Może biegła sadowa odcyfrowała to nazwisko. Albo którąś wzmiankę o Księżniczce Ardżumand. I muszę im powiedzieć, że wróciła...

- Musisz im powiedzieć coś jeszcze - wtrąciłem.

- O profesorze Peddicku i zbiegu okoliczności, że znał pułkownika Meringa? Miałam taki zamiar.

- Nie - zaprzeczyłem. - O czymś innym. Przeze mnie Terence nie spotkał siostrzenicy profesora Peddicka. - Wyjaśniłem, co zaszło na stacji kolejowej.

- Powiem panu Dunworthy'emu - przytaknęła Verity. - Spotkania...

Rozległo się pukanie do drzwi. Verity i ja zamarliśmy.

- Kto tam? - zapytałem.

- To Baine, sir.

- Czy mogę mu kazać odejść? - zapytałem bezgłośnie Verity.

- Nie - odpowiedziała również bezgłośnie, narzuciła pościel na Cyryla i zaczęła wpełzać pod łóżko.

Chwyciłem ją za ramię i wysylabizowałem:

- Do szafy.

Potem zawołałem: - Już idę, Baine. Chwileczkę - i otworzyłem drzwi do garderoby. Verity zanurkowała do wnętrza. Zamknąłem za nią drzwi, otworzyłem je, wepchnąłem do środka ogon nocnej koszuli i zamknąłem drzwi ponownie, sprawdziłem, czy żadne kawałki Cyryla nie wystają spod kołdry, zająłem pozycję przed frontem łóżka i zawołałem:

- Proszę wejść, Baine.

Otworzył drzwi, niosąc stertę złożonych koszul. - Odnaleziono pańską łódź, sir - oznajmił, zmierzając prosto do Szafy Zastąpiłem mu drogę. - To moje koszule?

- Nie, sir - odpowiedział. - Pożyczyłem je od Chattisbourne'ów, których syn jest w Południowej

Afryce, dopóki panu nie odeślą pańskich rzeczy.

Moich rzeczy. A gdzie właściwie mają je odesłać? Ale miałem pilniejsze problemy,

- Włóżcie koszule do komody - poleciłem, wciąż blokując mu dostęp do szafy.

- Tak, sir - powiedział i ułożył je schludnie w górnej szufladzie - Jest także jedno ubranie wieczorowe i jedno tweedowe, które kazałem wyczyścić i dopasować. Będą gotowe rano, sir.

- Doskonale - powiedziałem. - Dziękuję, Baine.

- Tak, sir - powiedział i wyszedł bez ponaglania.

- Mało brakowało... - zacząłem, a on wrócił, niosąc tacę z porcelanową filiżanką, srebrnym garnuszkiem oraz talerzykiem biszkoptów.

- Myślałem, że będzie pan miał ochotę na kakao, sir.

- Dziękuję.

Postawił tacę na nocnym stoliku.

- Czy mam nalać, sir?

- Nie, dziękuję.

- W szafie są dodatkowe koce, sir - ciągnął. - Życzy pan sobie, żebym je rozłożył na łóżku?

- Nie! - zawołałem, zagradzając mu drogę. - Dziękuję. To wszystko, Baine.

- Tak, sir - powiedział, ale wciąż stal przede mną z niepewną miną. - Sir - zaczął nerwowo - za pańskim pozwoleniem chciałbym coś powiedzieć...

Albo on wie, że Verity jest w szafie, pomyślałem, albo wie, że podszywam się pod kogoś innego, albo jedno i drugie.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Ja... chciałem tylko powiedzieć... - znowu nerwowe wahanie odbiło się na jego bladej, wymizerowanej twarzy- ...jak bardzo jestem panu wdzięczny za zwrócenie Księżniczki Ardżumand pannie Mering.

Nie to spodziewałem się usłyszeć.

- Wdzięczny? - powtórzyłem bezmyślnie.

- Tak, sir. Pan St. Trewes powiedział mi, że to pan ją znalazł, kiedy wasza łódź wywróciła się i musieliście dopłynąć do brzegu. Mam nadzieję, że nie poczyta mi pan tego za zuchwalstwo, sir, ale panna Mering jest wyjątkowo przywiązana do swojej kotki i nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś się jej stało. - Znowu zawahał się niepewnie - Widzi pan, to była moja wina.

- Twoja wina? - powtórzyłem tępo.

- Tak, sir. Widzi pan, pułkownik Mering kolekcjonuje ryby. Ze wschodu. Trzyma je w sadzawce w ogródku skalnym.

- Och - powiedziałem, zastanawiając się, czy nie powracają objawy mojej dyschronii. Nie widziałem żadnego związku.

- Tak, sir. Księżniczka Ardżumand ma niefortunną skłonność do łapania i zjadania złotych rybek pułkownika, chociaż wszelkimi siłami staram się ją powstrzymać. Koty, jak pan wie, nie reagują na groźby.

- Tak - przyznałem. - Ani na prośby, ani na pochlebstwa... - Jedyny środek dyscyplinarny, jaki na nią działa, to... Zrozumienie przyszło nagle, oślepiająco jasne.

- Wrzucenie do rzeki - dokończyłem.

Z szafy dobiegł jakiś dźwięk, jakby okrzyk, ale Baine chyba nic nie usłyszał.

- Tak, sir - potwierdził. - Oczywiście to jej nie wyleczyło. Zabieg trzeba powtarzać co najmniej raz w miesiącu. Wrzucam ją niedaleko od brzegu. Wie pan, koty pływają całkiem dobrze, kiedy muszą. Lepiej niż psy. Ale ostatnim razem widocznie pochwycił ją prąd i... - ukrył twarz w dłoniach.

- Bałem się, że utonęła - wyznał z rozpaczą.

- No, no - powiedziałem, wziąłem go za ramię i zaprowadziłem do fotela obitego perkalem. - Siadajcie. Nie utonęła. Nic jej się nie stało.

- Zjadła srebrnego cesarskiego wachlarzyka. Wyjątkowo rzadka ryba. Pułkownik sprowadził ją statkiem z Honsiu za wielkie pieniądze - opowiadał roztrzęsiony Baine. - Dostarczyli ją ledwie dzień wcześniej, a ona siedzi sobie spokojnie obok płetwy grzbietowej i wylizuje łapki, a kiedy krzyknąłem: „Och, Księżniczko Ardżumand! Coś ty zrobiła?", spojrzała na mnie z miną niewiniątka. Obawiam się, że trochę mnie poniosło.

- Doskonale rozumiem - uspokoiłem go.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Zaniosłem ją nad rzekę i wrzuciłem jak najdalej, a potem odszedłem. A kiedy wróciłem - znowu ukrył twarz w dłoniach - zniknęła bez śladu. Szukałem wszędzie. Przez te cztery dni czułem się jak Raskolnikow Dostojewskiego, niezdolny wyznać swej zbrodni, szarpany wyrzutami sumienia za zamordowanie niewinnej istoty...

- No, nie całkiem niewinnej - zauważyłem. - Przecież zjadła srebrnego cesarskiego wachlarzyka.

Nawet mnie nie usłyszał.

- Widocznie prąd ją zniósł i wyszła na brzeg gdzieś dalej, mokra, zagubiona....

- Pełna wachlarzyka - podpowiedziałem, żeby powstrzymać go od ponownego ukrycia twarzy w dłoniach. I niebieskiego klenia, dodałem w myślach.

- Nie mogłem spać. Zrozumiałem, że... wiedziałem, że panna Mering nigdy mi nie wybaczy, jeśli coś złego spotka jej ukochanego kota, a jednak bałem się, że dobre serce każe jej wybaczyć, a ja nie będę mógł znieść jej wybaczenia ani wybaczyć sobie. Lecz wiedziałem, że muszę jej powiedzieć, i postanowiłem to zrobić dzisiaj wieczorem, po seansie, a potem oszklone drzwi otworzyły się i zdarzył się cud. Księżniczka Ardżumand, uratowana, bezpiecznie wróciła do domu dzięki panu! - Chwycił moje dłonie. - Chciałbym wyrazić moją najgłębszą wdzięczność, sir! Dziękuję panu!

- Nie ma za co - zapewniłem go, uwalniając dłonie, zanim okrył je dziękczynnymi pocałunkami czy uczynił coś w tym rodzaju. - Zupełny drobiazg.

- Księżniczka Ardżumand mogła umrzeć z głodu albo z zimna, albo zostać zabita przez dzikie psy, albo...

- Nie trzeba martwić się na zapas - poradziłem. - Księżniczka wróciła bezpiecznie do domu.

- Tak, sir - powiedział z taką miną, jakby znowu chciał pochwycić moje dłonie. Ukryłem je za plecami. - Jeśli mogę jakoś odwzajemnić pańską przysługę i okazać wdzięczność, zrobię dla pana wszystko, wszystko, cokolwiek pan zażąda.

- Tak, no cóż... - bąknąłem. - Dziękuję.

- Nie, to ja dziękuję panu, sir - powiedział, chwycił moją ukrytą za plecami dłoń i uścisnął ją serdecznie. - I dziękuję, że pan mnie wysłuchał. Mam nadzieję, że nie narzucam się panu.

- Ależ skąd - zaprzeczyłem. - Cieszę się, że mi powiedzieliście' Wstał i wygładził klapy marynarki.

- Czy mam wyprasować pański surdut i spodnie, sir? - zapytał odzyskawszy panowanie nad sobą.

- Nie, nie trzeba - odparłem, myśląc, że w taką noc mogę jeszcze ich potrzebować. - Wyprasujecie je później.

- Tak, sir - powiedział. - Coś jeszcze, sir?

W taką noc całkiem możliwe, pomyślałem.

- Nie - powiedziałem. - Dziękuję. Dobranoc, Baine. Odpocznijcie. I nie martwcie się. Księżniczka Ardżumand jest w domu, cała i zdrowa, nic się nie stało. - Mam nadzieję.

- Tak, sir - powiedział. - Dobranoc, sir.

Otworzyłem mu drzwi i zostawiłem małą szparkę, przez którą go obserwowałem, dopóki nie wszedł w drzwi prowadzące do kwater służby. Potem podszedłem do szafy i zastukałem cicho. Nie było odpowiedzi.

- Verity? - zapytałem i otworzyłem podwójne drzwi. Verity siedziała skulona w szafie, przyciągnąwszy kolana do piersi. - Verity?

Podniosła na mnie wzrok.

- On nie chciał jej utopić - powiedziała. - Pan Dunworthy mówił, że powinnam najpierw pomyśleć, a potem działać. Sam by ją uratował, gdybym się nie wtrąciła.

- Ale to dobra wiadomość - zauważyłem. - To znaczy, że ona nie była nieistotnym wydarzeniem i kiedy ją zwróciłem, nie stworzyłem niekongruencji.

Kiwnęła głową, ale bez przekonania.

- Możliwe. Ale gdyby Baine ją uratował, nie zginęłaby na cztery dni. Panie nie pojechałyby do madame Iritosky i Tossie nigdy nie spotkałaby Terence'a. - Wygramoliła się z szafy. - Muszę o tym zawiadomić pana Dunworthy'ego. - Ruszyła do drzwi. - Wrócę jak najszybciej i powiem ci, czego się dowiedziałam.

Oparła dłoń o drzwi.

- Nie będę pukać - szepnęła. - Jeśli pani Mering usłyszy pukanie, gotowa pomyśleć, że to duchy dają znaki. Zaskrobię w drzwi, o tak. - Zademonstrowała skrobanie. - Zaraz wrócę - obiecała i otworzyła drzwi.

- Zaczekaj - szepnąłem i wydobyłem but pani Mering spod materaca. - Masz - podałem go Verity. - Postaw go pod drzwiami pani Mering.

Wzięła but.

- Nawet nie pytam - mruknęła, uśmiechnęła się i wymknęła się z pokoju.

Nie usłyszałem łoskotu przewracanych rzeźb ani okrzyków: „Duchy!" z pokoju pani Mering, więc po chwili zasiadłem w fotelu, żeby czekać. I martwić się.

Wcale nie powinienem przenosić kota. Teraz przypomniałem sobie jak pan Dunworthy mówił: „Zostań na miejscu!", ale myślałem, że zabronił mi opuszczać sieć. Nie po raz pierwszy nieporozumienie wpłynęło na bieg historii.

Przypomnijmy sobie niezliczone przypadki, kiedy jakaś wiadomość została przekręcona, zagubiona albo wpadła w niepowołane ręce i to zadecydowało o wyniku bitwy: plany bitwy o Antietam przypadkowo upuszczone przez generała Lee, telegram Zimmermana i nieczytelne rozkazy Napoleona do generała Neya pod Waterloo.

Jak na złość nie pamiętałem żadnego nieporozumienia, które nie wywołało katastrofalnych skutków. Same fatalne przykłady przychodziły mi do głowy. Przypomnijmy sobie migrenę Hitlera w dniu inwazji aliantów. I szarżę Lekkiej Brygady.

Lord Raglan, stojąc na wzgórzu, zobaczył Rosjan próbujących się wycofać z przechwyconą turecką artylerią i kazał lordowi Lucanowi ich powstrzymać. Lord Lucan, który nie stał na wzgórzu i prawdopodobnie cierpiał na trudności w rozróżnianiu dźwięków, nie usłyszał słowa „turecka", nie widział żadnej artylerii oprócz rosyjskich dział wycelowanych prosto na niego, więc rozkazał lordowi Cardiganowi poprowadzić szarżę prosto na działa. Z wiadomym rezultatem.

- „W Dolinę Śmierci wjechało sześciuset mężnych" - zacytowałem i usłyszałem ciche skrobanie do drzwi.

To nie mogła być Verity. Wyszła tak niedawno, że ledwie zdążyłaby dojść do belwederku i z powrotem, nie mówiąc o podróży do Przyszłości.

- Kto tam? - szepnąłem przez drzwi.

- Verity - odszepnęła. - Mówiłam ci, że zaskrobię w drzwi - powiedziała, kiedy ją wpuściłem. Pod pachą trzymała paczkę opakowaną w brązowy papier.

- Wiem - przyznałem - ale nie było cię tylko pięć minut.

- Bardzo dobrze - stwierdziła. - Znaczy, że nie było poślizgu, a to dobry znak. - Usiadła na łóżku, wyraźnie zadowolona z siebie. Chyba przyniosła dobre nowiny.

- Co powiedział pan Dunworthy? - zapytałem.

- Nie było go - odparła radośnie. - Pojechał do Coventry odwiedzić Elizabeth Bittner.

- Panią Bittner? Żonę ostatniego biskupa Coventry? Przytaknęła.

- Tylko że nie pojechał do niej jako do żony biskupa. Okazuje się, że ona dawniej pracowała przy sieci. Znasz ją? - zapytała z zaciekawieniem.

- Lady Schrapnell kazała mi ja zapytać o strusią nogę biskupa.

- I wiedziała, gdzie to jest?

- Nie.

- Och. Mogę zjeść twoje biszkopty? - Spojrzała łakomie na tacę nocnej szafce. - Umieram z głodu. Wzięła biszkopta i ugryzła kawałek.

- Jak długo tam byłaś?

- Całe godziny - odparła. - Warder nie chciała mi powiedzieć, gdzie jest T.J. ukrywał się przed lady Schrapnell i prosił Warder, żeby nikomu nie mówiła, gdzie się schował. Trwało wieczność, zanim go wytropiłam.

- Mówiłaś mu, że przeze mnie Terence nie spotkał Maud?

- Tak - potwierdziła. - Mogę wypić twoje kakao?

- Tak. I co powiedział?

- On uważa, że Terence prawdopodobnie wcale nie miał spotkać Maud, a jeśli miał, spotkanie było nieistotne, bo w przeciwnym razie sieć by się nie otworzyła.

- A jeśli moje przeniesienie kota wywołało niekongruencję? - zasugerowałem.

Pokręciła głową.

- T.J. sądzi, że nie wywołało. Sądzi, że ja to wywołałam.

- Przez to, co Baine nam powiedział. Przytaknęła.

- To i zwiększony poślizg.

- Ale myślałem, że to dlatego, że Coventry jest punktem krytycznym.

Pokręciła głową.

- Nie chodzi o obszar poślizgu w Coventry. Chodzi o Oksford. W kwietniu 2018 roku.

- 2018? Tam był jakiś punkt krytyczny?

- Nic o tym nie wiadomo - odparła. - Właśnie dlatego pan Dunworthy pojechał do pani Bittner, żeby sprawdzić, czy ona pamięta coś niezwykłego w związku ze skokami albo badaniami nad podróżami w czasie, jakie prowadzono w tamtym roku, ale żadne z nich niczego nie pamięta. Więc jeśli to ja wywołałam niekongruencję, twoje przedsienie kota powinno ją skorygować, czyli naprawić sytuację, a nie pogorszyć. A zepsucie Terence'owi spotkania bynajmniej nie poprawiłoby sytuacji, zwłaszcza jeśli przez to spotkanie miał nie zdążyć do Iffley na randkę z Tossie. Co znaczy, że widocznie Terence nie miał poznać Maud i nie musimy się martwić, że to symptom pogarszania się niekongruencji.

- Symptom? Co masz na myśli?

- Według Fudżisakiego pierwszą linię obrony stanowi zwiększony poślizg. Potem, jeśli to nie naprawi niekongruencji, wzrasta liczba zbiegów okoliczności, a jeśli to też zawiedzie, pojawiają się rozbieżności

- Rozbieżności? To znaczy, że historia zaczyna się zmieniać?

- Nie od razu. Ale niekongruencja ją destabilizuje. T.J. wyjaśnia to w ten sposób, że zamiast pojedynczego ustalonego ciągu zdarzeń zachodzi nakładanie się prawdopodobieństw.

- Jak w pudełku Schrödingera - powiedziałem, przypomniawszy sobie słynny eksperyment myślowy z licznikiem Geigera i butelką cyjanku. I kotem.

- Właśnie - przytaknęła uszczęśliwiona Verity. - Dwa ciągi zdarzeń, zachodzące w przypadku naprawionej i nienaprawionej niekongruencji, istnieją jakby obok siebie. Kiedy samokorekta się dokona, zapadają się w jeden lub drugi ciąg. Ale wcześniej mogą powstać rozbieżności pomiędzy zaobserwowanymi a zarejestrowanymi zdarzeniami. Jedyny zapis, jaki posiadamy, to pamiętnik Tossie, którego nie potrafimy odczytać, więc nie możemy stwierdzić, czy niedoszłe spotkanie Terence'a i Maud stanowi rozbieżność.

Ugryzła następnego biszkopta.

- Dlatego tak długo mnie nie było. Po rozmowie z T.J. poszłam do Biblioteki Bodleiańskiej, żeby zbadać życiorys Terence'a, a potem do Oriel, żeby poprosić biegłą sądową o odszukanie Terence'a w pamiętniku i sprawdzić, czy znalazła nazwisko pana C.

- I znalazła? - zapytałem, myśląc, że to dlatego Verity wygląda na uszczęśliwioną.

- Nie. Odtworzyła cały jeden fragment, który niestety opisuje suknię zamówioną przez Tossie. Cztery akapity fałdek, zakładek, brukselskich koronek, francuskich haftów, ażurowych wstawek...

- I falbanek - dodałem.

- Mnóstwo falbanek - potwierdziła z niesmakiem. - Ani słowa o kocie czy o wycieczce do Coventry, czy o strusiej nodze biskupa - Nie masz przypadkiem schowanej czekolady? Albo sera? Taka jestem głodna. Chciałam wrócić do Balliol i zjeść obiad po rozmowie z biegłą, ale po drodze wpadłam na lady Schrapnell.

- Lady Schrapnell? - podskoczyłem. Prawie o niej zapomniałeś w obliczu innych kryzysów. - Ona chyba nie wie, gdzie jestem? Nie powiedziałaś jej, prawda?

- Skądże znowu - uspokoiła mnie, upijając łyk kakao. - O kocie też jej nie powiedziałam. Chciała wiedzieć, co ja tam robię, więc wyjaśniłam, że potrzebuję nowego kostiumu na pojutrze. Warder była wściekła.

- Wyobrażam sobie.

- A potem stała przez całą przymiarkę i opowiadała mi o tobie, jak zniknąłeś i pan Dunworthy nie chce jej powiedzieć, gdzie jesteś, i jak T.J. odmówił przeskoku do 1940 roku na poszukiwanie strusiej nogi biskupa tylko dlatego, że dwudziesty wiek ma dziesiątkę dla czarnych, śmieszny pretekst, bo czy nalot może być niebezpieczny? - Wysączyła resztkę kakao i zajrzała do garnuszka. - I że robotnicy zachowali się zupełnie niemożliwie w sprawie chóru i powiedzieli jej, że stalle w chórze będą gotowe najwcześniej za miesiąc, i że to zupełnie wykluczone, skoro do konsekracji zostało trzynaście dni.

Wlała do filiżanki ostatnie krople kakao.

- Nie chciała odejść, nawet kiedy Warder zabrała mnie do sali szkoleniowej, żeby przymierzyć suknię. Musiałam ją poprosić, żeby wyszła i zagadała lady Schrapnell, kiedy dzwoniłam do biblioteki po wyniki badań nad Terence'em.

- I co? Czy miał poznać Maud?

- Nie wiem - odparła pogodnie. - Badania nic nie wykryły. Żadnych orderów, szlachectwa, kandydowania do parlamentu, aresztowań, wyroków, artykułów w gazetach. W ogóle żadnej wzmianki w oficjalnych dokumentach.

- Akt ślubu?

Potrząsnęła głową i sięgnęła po ostatniego biszkopta.

- Kościół w jego parafii został zniszczony podczas wojny, a nie miałam czasu zrobić ogólnych, ale zostawiłam u Warder wiadomość dla pana Dunworthy'ego, żeby to załatwił, jak tylko wróci z Coventry, ale jeśli Terence nie pojawia się w oficjalnych dokumentach, to znaczy. że nie wpłynął na historię, czyli że spotkanie nie ma znaczenia. Co pasuje do tego, co T.J. mówił o rozbieżnościach, że tylko najbliższe otoczenie niekongruencji ulega destabilizacji. A spotkanie miało nastąpić cztery dni po tym, jak uratowałam kota, na stacji kolejowej w Oksfordzie, trzydzieści mil od Muchings End, co trudno uznać za najbliższe otoczenie. Więc nie ma rozbieżności i niekongruencja się nie pogorszyła.

- Uhum - mruknąłem, żałując, że nie zdołała zarazić mnie swoją wiarą.

- Ale jeśli Tossie wyjdzie za Terence'a zamiast za pana C, to będzie wyraźna rozbieżność, więc musimy ukraść pamiętnik i dowiedzieć się, kim on jest, i pożenić ich jak najszybciej, a przez ten czas musimy trzymać Terence'a z dala od Tossie. I znaleźć strusią nogę biskupa - dodała, zlizując z palców okruchy biszkopta.

- Co? - zdziwiłem się. - Przecież nie powiedziałaś lady Schrapnell, gdzie jestem.

- Nie - przyznała. - Powiedziałam jej, że odnalazłeś strusią nogę biskupa i właśnie po nią pojechałeś!

- Że co? - wykrztusiłem, siadając na Cyrylu.

- Koniecznie chciała cię znaleźć - oznajmiła Verity. - Rzemieślnicy odmówili wykonania repliki strusiej nogi biskupa i ona się wściekła. Prędzej czy później sprawdziłaby rejestr skoków u Warder i przeszłaby za tobą, a tylko tego nam brakowało.

Musiałem przyznać jej trochę racji.

- Ale co będzie, kiedy ona odkryje, że nie mam zielonego pojęcia, gdzie jest strusia noga biskupa? Do konsekracji zostało dwa tygodnie, a mnie nie wolno wykonywać żadnych skoków.

- Pomogę ci - obiecała - i nigdzie nie musimy skakać. Poirot mówi, że do rozwiązania tajemnicy potrzebne są tylko „małe szare komórki".

- Poirot? - powtórzyłem. - Jaki Poirot? Ten wikary?

- Nie - zaprzeczyła. - Herkules Poirot. Agatha Christie. On mówi...

- Agatha Christie? - Kompletnie się pogubiłem.

- Autorka kryminałów. Dwudziesty wiek. Miałam przydział do lat trzydziestych, zanim lady Schrapnell zaanektowała Oksford i moje życie, i to były okropnie ponure czasy: dojście do władzy Hitlera, ogólnoświatowa depresja, brak vidów, brak wirtualek, brak pieniędzy na kino. Nic do roboty poza czytaniem kryminalnych powieści. Dorothy Sayers, E.C. Benson, Agatha Christie. I krzyżówki – zakończyła - jakby to wszystko wyjaśniało.

- Krzyżówki?

- Raczej nie mają zastosowania w naszej obecnej sytuacji- Ale kryminały tak. Oczywiście zwykle piszą o morderstwach, nie o rabunkach, ale akcja zawsze rozgrywa się w wiejskim domu, takim jak ten, i sprawcą jest kamerdyner, przynajmniej w pierwszej setce kryminałów. Wszyscy są podejrzani i zawsze sprawcą jest najmniej prawdopodobna osoba, więc po pierwszej setce kamerdyner przestał być najmniej podejrzany i musieli się przerzucić na innych nieprawdopodobnych zbrodniarzy. No wiesz, nieszkodliwa starsza pani albo kochająca żona pastora, te rzeczy, ale czytelnicy szybko się połapali i autor musiał zrobić mordercę z detektywa albo narratora, chociaż to już wykorzystano w „Księżycowym kamieniu". Sprawcą był bohater, tylko sam o tym nie wiedział. Lunatykował w koszuli nocnej, dość pikantny szczegół jak na czasy wiktoriańskie, a zbrodnia zawsze była niewiarygodnie skomplikowana. To znaczy w kryminałach nikt po prostu nie łapie skarbu i nie ucieka ani nie strzela do kogoś w gniewie, a na samym końcu, kiedy już myślisz, że wszystko rozwikłałeś,

następuje ostatni zwrot akcji, i zbrodnia zawsze jest bardzo starannie zaplanowana, z przebraniami, alibi i rozkładem jazdy pociągów, i we frontyspisie muszą zamieścić plan domu, pokazujący wszystkie sypialnie i bibliotekę, gdzie zawsze znajdują ciało, i rozmieszczenie wszystkich drzwi, i nawet wtedy nie masz szans na rozwiązanie zagadki, i dlatego muszą sprowadzić detektywa o światowej sławie...

- Który rozwiązuje to przy użyciu szarych komórek? - wtrąciłem.

- Tak. Herkules Poirot, detektyw Agathy Christie, mówi, że wcale nie trzeba biegać dookoła, mierzyć śladów stóp i zbierać niedopałków papierosów, żeby rozwiązywać zagadki jak Sherlock Holmes. To jest detektyw Arthura Conan Doyle'a...

- Wiem, kim jest Sherlock Holmes.

- Och. No, w każdym razie Poirot mówi, że trzeba tylko użyć „małych szarych komórek" i przemyśleć problem.

- I wtedy znajdziemy strusią nogę biskupa. Tutaj, w 1888 roku - Mruknąłem, niezbyt przekonany.

- No, tutaj jej nie będzie, ale stąd możemy prześledzić, co się z nią stało - oznajmiła rozpromieniona Verity. Usadowiła się wygodnie na łóżku. - No więc kiedy ją widziałeś po raz ostatni?

Nigdy już nie zasnę. Będę prowadził te rozmowy w stylu „Alicji krainie Czarów", jedna po drugiej, aż padnę z wyczerpania. Tutaj, w spokojnej, idyllicznej epoce wiktoriańskiej.

- Nie możemy tego zrobić rano? - poprosiłem.

- Rano nie będziemy sami - zaoponowała. - Im szybciej ją znajdziemy, tym szybciej przestaniemy się martwić, że lady Schrapnell wpadnie tutaj i zażąda wyjaśnień. Wiesz, nigdy jej nie widziałam. Słyszałam tylko plotki. Naprawdę jest taka ohydna, jak wszyscy mówią? Chyba nie przedstawia Odnalezienia Dzieciątka Mojżesza Przez Córki Faraona, jak ta okropność, którą widzieliśmy w Iffley? Urwała.

- Paplam bez sensu, prawda? Całkiem jak lord Peter. To jest detektyw Dorothy Sayers. Lord Peter Wimsey. On i Harriet Vane razem rozwiązują zagadki. Strasznie romantycznie, i znowu zaczynam, prawda? To znaczy paplać. Przeskoki tak na mnie działają.

Spojrzała na mnie ze skruchą.

- A ty cierpisz na dyschronię i powinieneś wypoczywać. Tak mi przykro.

Zsunęła się z łóżka i wzięła paczkę owiniętą w papier.

- To coś pośredniego pomiędzy kofeiną a alkoholem. Te skutki przeskoków. Na ciebie też tak wpływają? Robisz się oszołomiony i gadatliwy? - Podniosła swoje buty i pończochy. - Rano oboje poczujemy się lepiej.

Otworzyła drzwi i wyjrzała w ciemność.

- Prześpij się - szepnęła. - Wyglądasz okropnie. Musisz wypocząć, żeby rano pomóc mi rozdzielić Tossie i Terence'a. Wszystko zaplanowałam. Poproszę Terence'a, żeby pomógł mi ustawić namiot wróżki.

- Namiot wróżki? - powtórzyłem.

- Tak, a ty pomożesz Tossie na kiermaszu.

...dla młodego człowieka wchodzącego w życie nie ma bardziej pouczającego doświadczenia, niż zamieszkać w wiejskim domu pod fałszywym nazwiskiem...

P.G. Wodehouse

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kolejny gość - Wariacje na temat - „Ptaki” - Znaczenie kamerdynerów -Staroświeckie angielskie śniadanie - Dziczyzna - Strusia noga biskupa - Jeden drobny fakt - Tajemnica imienia pokojówki rozwiązana - Jestem przeszkolony - Tajemnica pochodzenia kiermaszów rozwiązana - Mój pobyt w Stanach -Wiktoriańskie robótki ręczne - Mój kapelusz - Pan C. - Niespodzianka

Verity nie była moim ostatnim gościem. Pół godziny po jej wyjściu znowu coś zaskrobało do drzwi, tak cicho, że nie usłyszałbym tego dźwięku, gdybym spał.

Nie spałem. Winę za to ponosiła głównie Verity, ze swoimi nowinami o zwiększonym poślizgu i rozbieżnościach. Nie mówiąc o lady Schrapnell i strusiej nodze biskupa.

A Cyryl, pomimo krótkich nóg, zdołał jakimś cudem rozłożyć się na całej szerokości łóżka i zająć obie poduszki, więc dla mnie został tylko wąski brzeg, z którego wciąż się zsuwałem. Zaczepiłem stopy o poręcz, przycisnąłem kołdrę obu rękami i rozmyślałem o lordzie Lucanie oraz kocie Schrödingera.

Wsadzono go do pudełka w eksperymencie myślowym Schrödingera, razem z zabójczym urządzeniem: butelką cyjanku, młotkiem przyczepionym do licznika Geigera i cegiełką uranu. Jeśli uran wypromieniuje elektron, licznik uruchomi młotek, który rozbije butelkę. To uwolni gaz, który zabije kota, który był w pudełku, które zbudował Schrödinger.

A ponieważ nie można przewidzieć, czy uran wypromieniował elektron, czy nie, kot nie był ani żywy, ani martwy, tylko taki i taki, istniał jako równoległe prawdopodobieństwa, które zapadną się w jedną realność, kiedy ktoś otworzy pudełko. Albo naprawi niekongruencję.

Ale to oznacza pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że niekongruencja nie zostanie naprawiona. Dopóki zaś kot przebywa w pudełku, z każdą chwilą zwiększa się prawdopodobieństwo, iż uran wypromieniuje elektron, czyli że kiedy otworzymy pudełko kot będzie martwy.

A pierwsza linia obrony już upadła. Dowiodły tego liczne zbiegi okoliczności: spotkanie Terence’a z Tossie i moje z Terence’em, i wyratowanie profesora Peddicka, i jego spotkanie z pułkownikiem. Na następnym etapie pojawią się rozbieżności.

Ale Terence nie wpłynął na historię, przynajmniej nie bezpośrednio, skoro jego nazwisko nie figurowało w oficjalnych dokumentach, a stację kolejową w Oksfordzie dzieliło od Muchings End trzydzieści mil i cztery dni. A T.J. mówił o najbliższym otoczeniu.

Ale w stanie dyschronii Verity nie zauważyła, że chociaż spotkanie miało nastąpić później, to jednak decyzja pani Mering o zabraniu Tossie do madame Iritosky zapadła właśnie w najbliższym otoczeniu, i na skutek tej decyzji Tossie spotkała Terence’a, a Terence wpadł na profesora Peddicka i dlatego musiał odebrać ze stacji starożytne relikty. I wpadł na mnie. Zresztą co to znaczy najbliższe otoczenie? T.J. nie wyjaśnił. Może chodziło o całe lata i setki mil.

Leżałem w ciemności, a moje myśli kręciły się w kółko niczym Harris w labiryncie Hampton Court. Baine nie zamierzał utopie Księżniczki Ardżumand, ale jeśli ona nie utonęła i stała się nieistotna, dlaczego sieć przepuściła Verity? A jeśli jednak utonęła, dlaczego sieć otwarła się przede mną?

I dlaczego przeskoczyłem do Oksfordu? Żeby nie dopuścić d spotkania Terence’a z Maud? Nie rozumiałem, w jaki sposób to miało wspomagać samokorektę. Czy może chodziło o zabranie kota z Muchings End? Pamiętałem, jak na moście Folly, kiedy Cyryl mnie zaatakował, upuściłem kosz z kotem, który o mało nie stoczył się do rzeki, zanim Terence go złapał. I jak chwyciłem sakwojaż, a

Cyryl wpadł do wody. Czyżby historia próbowała skorygować swój błąd topiąc kota, a ja ciągle przeszkadzałem?

Ale Księżniczka Ardżumand nie powinna utonąć. Baine wcale nie chciał jej utopić, kiedy ją wrzucił do rzeki. Gdyby Verity jej nie uratowała, skoczyłby za nią, nawet w żakiecie. Może wrzucił ją za daleko, prąd ją porwał i musiała utonąć, pomimo wysiłków Baine'a. Ale to wciąż nie wyjaśniało...

Usłyszałem ciche drapanie do drzwi. To Verity, pomyślałem. Zapomniała mi wytłumaczyć metody detektywistyczne Herkulesa Poirot. Otworzyłem drzwi.

Nikogo nie zobaczyłem. Uchyliłem drzwi szerzej i rozejrzałem się w obie strony. Nic, tylko ciemność. Widocznie to był jakiś duch pani Mering.

- Mrau - odezwał się cichy głosik.

Spuściłem wzrok. Szarozielone oczy Księżniczki Ardżumand zabłysły w mroku.

- Mrrau - powtórzyła, przemaszerowała obok mnie z wysoko uniesionym ogonem, wskoczyła na łóżko i ułożyła się na środku poduszki.

Dla mnie już wcale nie zostało miejsca. W dodatku Cyryl chrapał. Do tego jeszcze mogłem się przyzwyczaić, ale z upływem nocy chrapanie brzmiało coraz głośniej. Mogło obudzić umarłego. Albo panią Mering.

I ciągle wykonywał wariacje na ten temat - niski pomruk, niczym odległy grzmot, rzężenie, dziwaczne sapanie, które wydymało mu policzki, prychanie, charkot, świst.

Nic z tego nie przeszkadzało kotu, który ponownie rozłożył się na moim jabłku Adama i mruczał mi do ucha (bez żadnych wariacji).

Przysypiałem z braku tlenu wywołanego kotem, budziłem się, zapalałem zapałki i próbowałem odczytać godzinę na moim kieszonkowym zegarku: II, III i za kwadrans IV.

Zdrzemnąłem się znowu o wpół do VI i zbudził mnie świergot ptaków, witających wschód słońca. Zawsze mi wmawiano, że to melodyjny, idylliczny dźwięk, ale moim zdaniem przypominał raczej nazistowski nalot bombowy. Zaciekawiło mnie, czy Meringowie mają schron przeciwlotniczy.

Niemrawo sięgnąłem po zapałkę, zorientowałem się, że mogę bez niej odczytać godzinę na zegarku, i wstałem. Ubrałem się, nałożyłem buty i zacząłem budzić Cyryla.

- Wstawaj, chłopie, czas wracać do stajni - oznajmiłem, potrząsając nim w połowie charkotu. - Chyba nie chcesz, żeby pani Mering cię przyłapała. No chodź. Pobudka.

Cyryl uchylił jedno kaprawe oko, zamknął je i zaczął chrapać jeszcze głośniej.

- Tylko nie udawaj! - ostrzegłem go. - Mnie nie nabierzesz. Wiem, że nie śpisz. - Szturchnąłem go w środek brzucha. – No, chodź. Przez ciebie obaj wylecimy na pysk.

Pociągnąłem za obrożę. Cyryl ponownie otworzył oko i podniósł się chwiejnie. Wyglądał tak, jak ja się czułem. Oczy miał przekrwione i zataczał się lekko, niczym pijak po nocnej hulance.

- Dobry piesek - powiedziałem zachęcająco. - Doskonale. Wyłaź z łóżka. Hop na podłogę.

Księżniczka Ardżumand wybrała tę chwilę, żeby ziewnąć, przeciągnąć się rozkosznie i umościć się w wygodnym gniazdku z pościeli. Wiadomość była aż nazbyt wyraźna.

- Wcale mi nie pomagasz - powiedziałem do niej. - Wiem, że to niesprawiedliwe, Cyrylu, ale życie jest niesprawiedliwe. Ja na przykład miałem dostać urlop. Odpocząć. Spać.

Cyryl potraktował słowo „spać" jako polecenie i ponownie opadł na poduszki.

- Nie - powiedziałem. -Wstawaj. Już. Mówię poważnie, Cyrylu. Wstań. Do nogi. Pobudka.

Nie zna życia ten, kto nigdy nie taszczył trzydziestokilowego psa po stromych schodach o wpół do szóstej rano. Na dworze świt roztaczał różane blaski, krople rosy lśniły w trawie jak diamenty, róże ledwie rozchylały swe cudne pączki, co świadczyło, że wciąż cierpię na ostrą lub nawet śmiertelną

dyschronię, a więc kiedy zobaczę Verity przy śniadaniu, nadal będę nią absolutnie zauroczony, chociaż powiedziała lady Schrapnell, że wiem, gdzie jest strusia noga biskupa.

Ptasia Luftwaffe widocznie odleciała nabrać paliwa i w słone poranka zapanowała cisza, cisza należąca do dawnego świata, podobnie jak wiktoriańskie wiejskie domy i pływanie łódką po Tamizie cisza świata, który nie znał jeszcze samolotów i korków ulicznych, bomb burzących i zapalających, święty, błogosławiony spokój idyllicznego świata przeszłości.

Szkoda, że nie potrafiłem tego docenić. Cyryl ważył tonę, a jak tylko go postawiłem na ziemi, wydał przeraźliwy, żałosny skowyt.

W drodze powrotnej mało nie potknąłem się o drzemiącego chłopca stajennego, a w holu na górze prawie wpadłem na Baine'a.

Ustawiał schludnie wyglansowane buty w parach przed drzwiami sypialń. Przez sekundę, zanim mnie zobaczył, zastanowiłem się, kiedy on spal.

- Bezsenność - wyjaśniłem, ze zdenerwowania wpadając w telegraficzny styl pułkownika Meringa. - Zszedłem poszukać czegoś do czytania.

- Tak, sir - powiedział. Trzymał w ręku białe buciki Tossie. Miały falbanki na noskach. - Uważam za bardzo odprężającą „Rewolucję przemysłową" pana Toynbee. Mam ją panu przynieść?

- Nie, już nie trzeba - podziękowałem. - Teraz chyba będę mógł zasnąć.

Co było rażącym kłamstwem. Miałem za dużo zmartwień na głowie, żeby zasnąć - jak nałożyć kołnierzyk i zawiązać krawat; czy Służba Czasowa odkryje jakieś konsekwencje faktu, że zwróciłem Księżniczkę Ardżumand dopiero po czterech dniach; co powiem lady Schrapnell.

A nawet gdybym potrafił zapomnieć o zmartwieniach, nie warto już spać. Robiło się jasno. Za kilka minut słońce zacznie świecić prosto w okna, a ptasia Luftwaffe właśnie powracała na drugi nalot. Zresztą i tak nie odważę się zasnąć ze strachu, że zginę uduszony przez Księżniczkę Ardżumand.

Pod moją nieobecność zajęła obie poduszki. Próbowałem przesunąć ją delikatnie, a ona wygięła się w łuk i zaczęła chlastać mnie ogonem po twarzy.

Leżałem pod chłostą i rozmyślałem o strusiej nodze biskupa.

Mało, że nie wiedziałem, gdzie była, nie miałem bladego pojęcia, w jaki sposób zaginęła. Stała w kościele przez osiemdziesiąt lat i nie wskazywało, że nie było jej tam podczas nalotu. Przeciwnie, wiele świadczyło o tym, że tam była. Program nabożeństwa, który znalazłem w gruzach, stanowił dowód, iż strusia noga biskupa była tam

cztery dni przed nalotem, a sam ją widziałem dzień wcześniej, po modlitwie za Służbę RAF i kiermaszu wypieków.

Przypuszczałem, że zabrano ją na przechowanie w ostatniej chwilach co wydawało się niezbyt prawdopodobne, skoro ani marmurowa chrzcielnica Purbecka, ani organy, na których grał Haendel, nie zostały odesłane na wieś ani przeniesione do krypty dla bezpieczeństwa, chociaż na to zasługiwały. A strusia noga biskupa wydawała się znacznie bardziej niezniszczalna niż marmurowa chrzcielnica.

Naprawdę była niezniszczalna. Gdyby dach zawalił się na nią, nawet nie wyszczerbiłby cherubinów. Powinna stać tam wśród popiołów, wznosić się z gruzów, nietknięta, nie draśnięta, nie...

Obudziłem się w biały dzień. Nade mną stał Baine z filiżanką herbaty.

- Dzień dobry, sir - powiedział. - Pozwoliłem sobie odnieść Księżniczkę Ardżumand do pokoju jej pani.

- Dobry pomysł - przyznałem, zauważywszy poniewczasie, że mam poduszkę i mogę swobodnie oddychać.

- Tak, sir. Panna Mering bardzo by się zmartwiła, gdyby rano po przebudzeniu odkryła, że kot znowu zniknął, chociaż doskonale rozumiem przywiązanie Księżniczki Ardżumand do pana.

Usiadłem.

- Która godzina?

- Ósma, sir. - Podał mi filiżankę herbaty. - Niestety nie zdołałem odzyskać większości bagaży pańskich, pana St. Trewesa i profesora Peddicka - oznajmił. - Tylko to znalazłem.

Podniósł wieczorowy garnitur, o numer za mały, który Finch zapakował dla mnie.

- Obawiam się, że nastąpiło znaczne skurczenie z powodu zanurzenia w wodzie. Posłałem zatem po zastępcze i...

- Zastępcze? - zawołałem i mało nie rozlałem herbaty. - Dokąd?

- Oczywiście do Swana i Edgara, sir - odpowiedział. - Na razie oto pański kostium wioślarski.

Nie tylko go wyprasował. Koszula została wybielona i wykrochmalona do ostatniej nitki, a flanelowe ubranie wyglądało jak nowe. Miałem nadzieję, że potrafię je nałożyć. W zamyśleniu łyknąłem herbaty, próbując sobie przypomnieć, jak się zawiązuje krawat.

- Śniadanie jest o dziewiątej, sir - powiedział Baine. Nalał gorącej wody z dzbanka do miseczki i otworzył pudło z brzytwami.

Mniejsza o krawat, i tak wcześniej poderżnę sobie gardło przy goleniu.

- Pani Mering życzy sobie, żeby wszyscy zeszli na śniadanie o dziewiątej, ponieważ jest mnóstwo przygotowań przed kościelnym festynem - oznajmił Baine wykładając brzytwy - zwłaszcza w związku z kiermaszem.

Kiermasz. Prawie zdołałem o tym zapomnieć, albo też zadziałał mechanizm wyparcia. Widocznie byłem skazany na bazary i kościelne festyny, nieważne, do którego stulecia mnie wyślą.

- Kiedy to się odbędzie? - zapytałem z nadzieją, że odpowie: w przyszłym miesiącu.

- Pojutrze - odparł Baine, przerzucając sobie ręcznik przez ramie.

Może wtedy już nas tutaj nie będzie. Profesor Peddick spieszył się do Runnymede, żeby zobaczyć łąkę, gdzie podpisano Magna Carta, nie licząc doskonałych głębi na okonie.

Oczywiście Terence wolałby zostać, ale niewiele będzie miał do powiedzenia w tej kwestii. Pani Mering nabrała do niego wyraźnej antypatii i przeczuwałem, że jeszcze bardziej go znielubi, kiedy się dowie, że on ma poważne zamiary wobec jej córki. I nie ma pieniędzy.

Może nawet wyprosi nas zaraz po śniadaniu, pod pretekstem przygotowań do kiermaszu, niekongruencja zacznie się naprawiać, a ja utnę sobie przyjemną długą drzemkę na łodzi, kiedy Terence będzie wiosłował. Jeśli wcześniej nie zabiję się za pomocą brzytwy.

- Życzy pan sobie, żebym pana ogolił, sir? - zapytał Baine.

- Tak - odpowiedziałem i wyskoczyłem z łóżka.

Nie musiałem również martwić się o ubranie. Baine zapiął mi kołnierzyk i mankiety, uformował węzeł krawata i zasznurowałby mi buty, gdybym mu pozwolił, nie wiem, czy z wdzięczności, czy takie byty zwyczaje w tamtych czasach. Musiałbym zapytać Verity.

- W którym pokoju podają śniadanie? - zapytałem go.

- W pokoju śniadaniowym, sir - odparł. - Pierwsze drzwi na lewo.

Lekko zbiegłem po schodach w znacznie lepszym humorze. Podane staroświeckie angielskie śniadanie, jajka, bekon i pomarańczowa marmolada, wszystko podane przez kamerdynera, stanowiło kuszącą perspektywę, a dzień zapowiadał się piękny. Słońce lśniło wypolerowanych poręczach schodów i na portretach. Nawet elżbietańscy przodkowie lady Schrapnell wyglądali wesoło.

Otworzyłem pierwsze drzwi na lewo. Widocznie Baine wprowadził mnie w błąd. To była jadalnia, prawie całkowicie wypełniona przez masywny mahoniowy stół i jeszcze masywniejszy

kredens, zastawiony nakrytymi srebrnymi półmiskami.

Na stole znajdowały się filiżanki, spodeczki i sztućce, ale brakowało talerzy. W pokoju nikogo nie było. Zawróciłem do wyjścia, żeby poszukać pokoju śniadaniowego, i prawie wpadłem na Verity.

- Dzień dobry, panie Henry - powiedziała. - Mam nadzieję że dobrze pan spał.

Nosiła bladozieloną sukienkę z plisowanym stanikiem i zielona wstążkę w upiętych wysoko kasztanowych włosach, i widocznie potrzebowałem znacznie więcej snu, żeby wyleczyć się z dyschronii. Zauważyłem cienie pod jej zielonobrązowymi oczami, ale wciąż była najpiękniejszą istotą, jaką widziałem w życiu.

Podeszła do kredensu.

- Śniadanie podaje się na kredensie, panie Henry - wyjaśniła, biorąc talerz z kwiecistym szlaczkiem z wysokiego stosu. - Inni wkrótce zejdą.

Nachyliła się do mnie, żeby podać mi talerz.

- Tak mi przykro, że powiedziałam lady Schrapnell, że wiesz, gdzie jest strusia noga biskupa - szepnęła. - Widocznie byłam bardziej dyschronowana, niż myślałam, ale to żadna wymówka, i zrobię wszystko, żeby ci pomóc ją znaleźć. Kiedy ją widziano po raz ostatni?

- Widziałem ją w sobotę, dziewiątego listopada 1940 roku, po modlitwie za RAF i kiermaszu wypieków.

- I nikt jej później nie widział?

- Nikt nie mógł tam przeskoczyć, dopiero po nalocie. Zwiększony poślizg wokół punktu krytycznego, pamiętasz?

Weszła Jane ze słoikiem marmolady, postawiła go na stole, dygnęła i wyszła. Verity pochyliła się nad pierwszym nakrytym półmiskiem, który miał uchwyt w kształcie trzepoczącej ryby.

- I nie znaleziono jej w gruzach po nalocie? - zapytała, podnosząc pokrywę za rybę.

- Nie - odparłem. - Dobry Boże, co to jest? Wytrzeszczyłem oczy na stertę przeraźliwie żółtego ryżu z paseczkami prążkowanej bieli.

- To kedgeree - oznajmiła, nakładając sobie łyżeczkę na talerz - Ryż z curry i wędzoną rybą.

- Na śniadanie?

- To indyjska potrawa. Pułkownik ją lubi. - Nakryła półmisek - I żadnych współczesnych wzmianek, że ją widziano pomiędzy dziewiątym a datą nalotu?

- Wymieniono ją w programie nabożeństwa na niedzielę dziesiątego, wśród dekoracji kwiatowych, więc pewnie tam była podczas nabożeństwa.

Verity przesunęła się do następnego półmiska. Ten miał pokrywę z dużym rogatym jeleniem. Zastanowiłem się przelotnie, czy te figurki coś oznaczały, ale kolejna przedstawiała wilka szczerzącego kły, więc chyba się myliłem.

- Kiedy ją widziałeś dziewiątego - ciągnęła Verity - zauważyłeś w niej coś niezwykłego?

- Ty chyba nigdy nie widziałaś strusiej nogi biskupa?

- Chodziło mi o to, czy została przesunięta? Albo uszkodzona? Czy ktoś się kręcił koło niej? Nie zauważyłeś nic podejrzanego?

- Ciągle masz dyschronię, prawda?

- Wcale nie - zaprzeczyła z oburzeniem. - Strusia noga biskupa zaginęła, a przecież nie rozpłynęła się w powietrzu. Więc ktoś ją zabrał, a jeśli ktoś ją zabrał, musiał zostawić jakieś ślady. Zauważyłeś, żeby ktoś stał blisko niej?

- Nie - odparłem.

- Herkules Poirot mówi, że zawsze jest coś, czego nikt nie zauważył albo uznał za nieważne - powiedziała, unosząc Osaczonego Rogacza. Pod spodem znajdowała się masa ostro pachnących

brązowych przedmiotów.

- Co to jest?

- Cynaderki na ostro - wyjaśniła - duszone z korzeniami i musztardą. W kryminałach Herkulesa Poirota zawsze jakiś drobny fakt nie pasuje i to jest właśnie klucz do zagadki. - Podniosła za rogi szarżującego byka. - Tu jest pardwa na zimno.

- Nie ma jajek i bekonu? Potrząsnęła głową.

- Wyłącznie dla niższych klas. - Podsunęła mi błyszczącą rybę na widelcu. - Śledzia?

Zdecydowałem się na owsiankę.

Verity zabrała swój talerz i usiadła na drugim końcu stołu. - A kiedy tam byłeś po nalocie? - zapytała i skinęła na mnie, żebym usiadł naprzeciwko. - Czy został jakiś ślad, że strusia noga biskupa była w pożarze?

Chciałem już powiedzieć: „Katedra była całkiem zniszczona", ale zawahałem się i zmarszczyłem brwi.

- Właściwie został. Zwęglona łodyga kwiatu. I znaleźliśmy postument z kutego żelaza, na którym stała.

- Czy łodyga pochodziła z tego samego gatunku kwiatu, który wymieniono w programie nabożeństwa? - zapytała Verity i chciałem już odpowiedzieć, że nie wiadomo, ale znowu weszła Jane, dygnęła i zapytała:

- Herbata, psze pani?

- Tak, dziękuję, Colleen - powiedziała Verity. Jak tylko pokojówka, wyszła, zapytałem:

- Dlaczego nazwałaś ją Colleen?

- Tak ma na imię - odparła Verity - ale pani Mering uznała, że to niemodne imię dla pokojówki. Zbyt irlandzkie. Angielskie służące są bardziej *en vogue*.

- Więc kazała jej zmienić imię?

- To powszechnie praktykowane. Pani Chattisbourne nazywa wszystkie swoje pokojówki Gladys, więc nie musi pamiętać, która jest która. Nie miałeś tego na szkoleniu?

- Wcale nie miałem szkolenia - wyjaśniłem. - Dwie godziny podprogowej w czasie rzeczywistym, kiedy byłem taki dyschronowany, że niewiele do mnie docierało. Głównie o służebnej pozycji kobiety. I o widelcach do ryb.

Zrobiła przerażoną minę.

- Nie miałeś szkolenia? Wiktoriańskie społeczeństwo jest wybitnie konwencjonalne. Uchybienia w etykiecie traktuje się bardzo poważnie. - Spojrzała na mnie z ciekawością. -Jak ci się udawało do tej pory?

- Przez ostatnie dwa dni pływałem po rzece z oksfordzkim donem, który cytował Herodota, z zakochanym młodzieńcem, który cytował Tennysona, z buldogiem i kotem - wyjaśniłem. - Grałem ze słuchu.

- No, tutaj to nie wystarczy. Trzeba cię trochę podszkolić. Dobrze, posłuchaj - przechyliła się przez stół - zrobię ci krótki wykład. Najważniejsze są konwenanse. Ludzie nie mówią, co myślą. Eufemizmy i uprzejmość są na porządku dziennym. Nie ma fizycznego kontaktu pomiędzy przeciwnymi płciami. Mężczyzna może wziąć damę pod rękę albo pomóc jej na przełazie czy na stopniach tramwaju. Nie żonaci mężczyźni i niezamężne kobiety nigdy nie mogą zostać sam na sam - ciągnęła, chociaż my przecież byliśmy sami. - Zawsze musi być obecna przyzwoitka.

Tak na zawołanie zjawiła się Jane z dwiema filiżankami herbaty i postawiła je przed nami.

- Do służących zwracamy się po imieniu - podjęła Verity, jak tylko Jane wyszła - z wyjątkiem kamerdynera. On jest Baine lub pan Baine. I wszystkie kucharki to panie, nieważne, czy są zamężne,

więc nie pytaj pani Posey o jej męża. W tym domu jest pokojówka, czyli Colleen... to znaczy Jane... kucharka, pomywaczka, lokaj, stajenny, kamerdyner i ogrodnik. Była jeszcze garderobiana, ochmistrzyni i lokajczyk, ale księżna Landry ich ukradła.

- Ukradła? - wyraziłem zdziwienie, sięgając po cukier.

- Oni nie słodzą owsianki - pouczyła mnie Verity. - I powinieneś zadzwonić na służbę, żeby ci podała cukier. Podkradanie sobie nawzajem służby to ich ulubiona rozrywka. Pani Mering ukradła Baine'a pani Chattisbourne, a obecnie próbuje ukraść jej lokajczyka. Mleka też nie dodają. Nie wolno przeklinać w obecności dam.

- A „banialuki"? - zapytałem. -Albo „phi"?

- Phi, panie Henry? - odezwała się pani Mering, wpływając do jadalni. - Na co pan kręci nosem? Mam nadzieję, że nie na kościelny festyn? Zbieramy fundusze na odnowienie, to taka cenna inicjatywa, panie Henry. Nasz biedny kościół parafialny rozpaczliwie potrzebuje odnowienia. Przecież chrzcielnica pochodzi jeszcze z 1262 roku! A okna! Beznadziejnie średniowieczne! Jeśli festyn się uda, wymienimy wszystkie okna na nowe!

Nałożyła na talerz górę śledzi, cielęciny i wilczyny, usiadła i zsunęła serwetkę ze stołu na kolana.

- Projekt odnowy to całkowita zasługa naszego wikarego, pana Arbitage. Zanim on nastał, pastor nawet słyszeć nie chciał o restauracji kościoła. Obawiam się, że jest trochę staroświecki. Nawet nie bierze pod uwagę możliwości komunikowania się z duchami.

Porządny chłop, pomyślałem.

- Pan Arbitage natomiast gorąco popiera ideę spirytyzmu i rozbawiania z naszymi drogimi zmarłymi z Tamtego Świata. Czy pan wierzy w nawiązanie kontaktu z Tamtym Światem, panie Henry?

- Pan Henry pytał o kościelny festyn - wtrąciła Verity. - Właśnie chciałam mu opowiedzieć o twoim sprytnym pomyśle na kiermasz.

- O - ucieszyła się mile połechtana pani Mering. - Był pan kiedyś na festynie, panie Henry?

- Raz czy dwa - odpowiedziałem.

- No więc pan wie, że tam sprzedają ofiarowane w darze robótki, galaretki i wzory do haftów. Wpadłam na pomysł, żeby ofiarować również przedmioty, których już nie potrzebujemy, różne rzeczy, naczynia, książki i ozdoby, wszelkiego rodzaju starocie!

Patrzyłem na nią ze zgrozą. To była osoba, która wszystko zaczęła, osoba odpowiedzialna za te niezliczone kiermasze staroci, na które mnie skazano.

- Zdziwiłby się pan, panie Henry, jakie skarby ludzie trzymają na strychach i w piwnicach, żeby obrastały kurzem. Przecież na moim własnym strychu znalazłam dzbanek do herbaty i śliczne naczynie na selery. Baine, czy usunęliście wgniecenia z dzbanka do herbaty?

- Tak, proszę pani - powiedział Baine, nalewając jej kawę.

- Napije się pan kawy, panie Henry? - zaproponowała mi pani Mering.

Nie rozumiałem, dlaczego pani Mering jest dla mnie taka mila. Widocznie przestrzegała zasad uprzejmości, o której wspominała Verity.

Weszła Tossie, niosąc Księżniczkę Ardżumand, która miała wielką różową kokardę zawiązaną na szyi.

- Dzień dobry, mamo - powiedziała Tossie, rozglądając się za Terence'em.

- Dzień dobry, Tocelyn - powiedziała pani Mering. - Dobrze spałaś?

- O tak, mamo - odparła Tossie - odkąd moje najmilsze kochanie wróciło bezpiecznie do domu. - Przytuliła kota. - Przez całą noc spałaś obok mnie zwinięta w kłębuszek, prawda, kiciuniu?

- Tossie! - rzuciła ostro pani Mering. Tossie zrobiła zmartwioną minkę.

Widocznie doszło do naruszenia etykiety, chociaż na czym polegało, nie miałem pojęcia. Będę musiał zapytać Verity.

Nadeszli pułkownik Mering i profesor Peddick, dyskutując z ożywieniem o bitwie pod Trafalgarem.

- Przewaga liczebna trzydzieści trzy do dwudziestu siedmiu - mówił pułkownik.

- Dokładnie tak samo uważam - zgodził się profesor. - Gdyby nie Nelson, przegraliby bitwę! To charakter kształtuje historię, nie ślepe siły! Indywidualna inicjatywa!

- Dzień dobry, papo - powiedziała Tossie i podeszła, żeby pocałować pułkownika w policzek.

- Dzień dobry, córko. - Pułkownik spiorunował wzrokiem Księżniczkę Ardżumand. - Tu nie miejsce dla niej.

- Ale ona miała straszne przygody - zaprotestowała Tossie, niosąc kotkę do kredensu. - Patrz, Księżniczko Ardżumand, śledzie.

Położyła wędzonego śledzia na talerzu i postawiła przed kotem na podłodze, spoglądając wyzywająco na Baine'a.

- Dzień dobry, Mesielu - odezwała się pani Mering do męża. Dobrze spałeś zeszłej nocy?

- Znośnie - odparł pułkownik, zaglądając pod wilka. - A ty, Malwinio?

Pani Mering wyraźnie czekała na to pytanie.

- Nie zmrużyłam oka - oznajmiła i zrobiła dramatyczną pauzę. -W tym domu są duchy. Słyszałam je.

Wiedziałem, że nie powinienem ufać zapewnieniom Verity: „Wiktoriańskie domy mają grube ściany, przez które nic nie słychać".

- O mamo - szepnęła Tossie bez tchu - co mówiły duchy? Pani Mering przybrała nieobecny wyraz twarzy.

- To były dziwne, nieziemskie dźwięki, jakich nie wydaje żadna żywa istota. Jakby łkające dyszenie, chociaż oczywiście duchy nie oddychają, a potem... - urwała, szukając słów - skowyt i długi, bolesny jęk, jakby skarga udręczonej duszy. Okropne, okropne dźwięki.

No, z tym się zgadzałem.

- Czułam, że coś próbuje porozumieć się ze mną, ale nie może - ciągnęła pani Mering. - O, gdyby tylko madame Iritosky tutaj była. Wiem, że umiałaby nakłonić ducha do mówienia. Zamierzam do niej napisać jeszcze dzisiaj rano i zaprosić tutaj, chociaż lękam się, że nie przyjedzie. Ona mówi, że może pracować tylko we własnym domu.

Z własnymi zapadniami, ukrytymi drutami i tajnymi przejściami, Pomyślałem i nawet się ucieszyłem. Przynajmniej nie przyjedzie tutaj i nie wykryje, że udzielam Cyrylowi azylu.

- Gdyby tylko usłyszała straszliwy jęk tego ducha, wiem, że przygnałaby do nas - oznajmiła pani Mering. - Baine, czy pan St. Trewes już zszedł?

- Przypuszczam, że zaraz nadejdzie - odparł Baine. - Poszedł wyprowadzić psa.

Spóźniony na śniadanie i wyprowadza psa. Dwa punkty przeciwko niemu, chociaż pani Mering nie wydawała się tak zirytowana, jak zakładałem.

- Halo - powiedział Terence, wchodząc bez Cyryla. - Przepraszam za spóźnienie.

- Nic nie szkodzi - zapewniła go pani Mering z promiennym uśmiechem. - Proszę usiąść, panie St. Trewes. Pije pan kawę czy herbatę?

- Kawę - odparł Terence, uśmiechając się do Tossie.

- Baine, przynieś kawę dla pana St. Trewesa. Wszyscy tak się cieszymy z pańskiej wizyty - podjęła pani Mering. - Mam szczerą nadzieję, że pan i pańscy przyjaciele zostaniecie na nasz kościelny festyn. Zapowiada się zabawnie. Będziemy mieli kokosowe rzutki i wróżkę, a Tocelyn upiecze ciasto

na wentę. Tocelyn tak świetnie gotuje i taka jest zdolna. Gra na fortepianie, wie pan, i mówi po niemiecku i po francusku. Prawda, Tossie, kochanie?

- *Oui, mama*- powiedziała Tossie, uśmiechając się do Terence'a. Spojrzałem pytająco na Verity. W odpowiedzi wzruszyła ramionami: „Nie wiem".

- Profesorze Peddick, mam nadzieję, że pańscy uczniowie wytrzymają bez pana przez kilka dni - mówiła pani Mering. - Panie Henry, proszę obiecać, że pomoże nam pan przy Ukrytym Skarbie.

- Pan Henry opowiadał mi, że mieszkał w Stanach - odezwała się Verity, a ja obejrzałem się na nią ze zdumieniem.

- Naprawdę? - zainteresował się Terence. - Nigdy mi nie wspominałeś.

- To... to wtedy, kiedy chorowałem - wyjąkałem. - Wysłano mnie do... do Stanów... na leczenie.

- Widział pan czerwonych Indian? - zapytała Tossie.

- Byłem w Bostonie - odparłem, milcząco przeklinając Verity.

- Boston! - wykrzyknęła pani Mering. - Zna pan siostry Fox?

- Siostry Fox?

- Panny Margaret i Kate Fox. Założycielki naszego ruchu spirytystycznego. To one pierwsze nawiązały łączność z duchami przez stukanie.

- Niestety nie miałem tej przyjemności - bąknąłem, ale ona już znowu odwróciła się do Terence'a.

- Tocelyn pięknie haftuje, panie St. Trewes - poinformowała go- Musi pan zobaczyć śliczne powłoczki, które uszyła na nasz stragan z robótkami.

- Z pewnością osoba, która je kupi, będzie miała słodkie sny -powiedział Terence, wpatrzony cielęcym wzrokiem w Tossie - „sen o szczęściu doskonałym, zbyt piękny, by trwać..."

Pułkownik i profesor, wciąż przebywający pod Trafalgarem z Nelsonem, odsunęli krzesła, wstali i po kolei wymamrotali: „Za pozwoleniem".

- Mesiel, dokąd idziesz? - zapytała pani Mering.

- Nad sadzawkę - odparł pułkownik - pokazać profesorowi Peddickowi mojego perłowego ryunkina.

- Więc nałóż płaszcz - nakazała mu pani Mering. - I wełniany szal. - Odwróciła się do mnie. - Mój mąż ma słabe płuca i skłonność do kataru.

Zupełnie jak Cyryl, pomyślałem.

- Baine, przynieście płaszcz pułkownika - poleciła kamerdynerowi, ale panowie już wyszli.

Natychmiast odwróciła się do Terence'a.

- Skąd pochodzi pańska rodzina, panie St. Trewes?

- Z Kentu - odpowiedział - który zawsze uważałem za najpiękniejsze miejsce na ziemi, aż do dzisiaj.

- Zechcesz mi wybaczyć, ciociu Malwinio? - odezwała się Verity, składając serwetkę. - Muszę skończyć moje pudło na rękawiczki.

- Oczywiście - rzuciła z roztargnieniem pani Mering. - Jak długo pańska rodzina mieszka w Kent, panie St. Trewes?

Mijając mnie, Verity dyskretnie upuściła mi na kolana złożoną karteczkę.

- Od 1066 roku - mówił Terence. - Oczywiście od tamtej pory przebudowaliśmy dom. Większość jest georgiańska. Możliwe, że Brown. Musicie państwo nas odwiedzić.

Rozłożyłem karteczkę pod stołem i zerknąłem na nią ukradkiem. Wiadomość brzmiała: „Spotkajmy się w bibliotece".

- Przyjedziemy z największą przyjemnością - zapewniła gorliwie Pani Mering. - Prawda, Tocelyn?

- *Oui,* mama.

Wyczekałem na okazję i zaryzykowałem:

- Zechce pani wybaczyć, pani Mering...

- Absolutnie nie, panie Henry - odparła. - Przecież pan nic nie jadł! Musi pan spróbować pasztetu z węgorza pani Posey. Jest niezrównany.

Istotnie był, podobnie jak kedgeree, którego stertę kazała Baine'owi nałożyć mi na talerz wielkim przyrządem podobnym do łopaty, niewątpliwie łyżką do kedgeree.

Zjadłszy trochę węgorza i jak najmniej kedgeree, wymknąłem się i poszedłem szukać Verity, chociaż nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się biblioteka. Przydałby się plan domu, taki jak w powieściach kryminalnych Verity.

Uchyliłem kilkoro drzwi i wreszcie znalazłem ją w pokoju wyłożonym od podłogi do sufitu książkami.

- Gdzieś ty był? - zapytała. Siedziała przy stole zaśmieconym muszelkami i słoiczkami kleju.

- Jadłem ohydne, niewymowne rzeczy - wyznałem. - I odpowiadałem na pytania o Ameryce. Dlaczego, na litość, powiedziałaś im, że byłem w Ameryce? Nic nie wiem o Stanach.

- Ani oni - odparła nie zmieszana. - Musiałam coś zrobić. Nie przeszedłeś szkolenia i na pewno będziesz popełniał błędy. Oni uważają wszystkich Amerykanów za barbarzyńców, więc jeśli użyjesz niewłaściwego widelca, złożą to na karb twojego pobytu w Ameryce.

- Chyba powinienem podziękować - mruknąłem.

- Usiądź - poleciła. - Musimy zaplanować naszą strategię. Spojrzałem na drzwi, które miały staroświecki zamek z kluczem.

- Czy mam zamknąć drzwi na klucz?

- Nie trzeba - powiedziała, wybierając płaską różową muszelkę. - Tutaj nikt nie przychodzi oprócz Baine'a. Pani Mering nie pochwala czytania.

- Więc skąd się to wszystko wzięło? - zapytałem, wskazując rzędy książek w brązowych i szkarłatnych oprawach.

- Kupili ją - wyjaśniła, smarując muszelkę klejem.

- Kupili co?

- Bibliotekę. Od lorda Dunsany'ego. U którego pracował Baine zanim przeszedł do Chattisbourne'ów. Chattisbourne'om ukradła go pani Mering, chociaż moim zdaniem Baine sam chciał zmienić miejsce. Ze względu na książki. - Przylepiła muszelkę do pudełka. - Siadaj. Jeśli ktoś wejdzie, pomagasz mi przy tym.

Podniosła wykończone pudełko. Ozdobione było muszelkami dobranych rozmiarów, ułożonymi w kształcie serca.

- To absolutnie obrzydliwe - stwierdziłem.

- Cała epoka wiktoriańska miała fatalny gust - odparła Verity. I ciesz się, że to nie wieńce z włosów.

- Wieńce z włosów?

- Kwiaty plecione z włosów zmarłych ludzi. Perłowe muszle przyklejaj wzdłuż brzegów - pouczyła mnie - a potem rząd porcelanek. - Podsunęła mi słoiczek kleju. - Dowiedziałam się od Baine'a, dlaczego pani Mering nagle nabrała takiej życzliwości dla Terence'a. Znalazła go u DeBretta. On jest bogaty i ma wujka para.

- Bogaty? - zdziwiłem się. - Przecież nawet nie miał na opłacenie łodzi.

- Arystokracja zawsze tonie w długach - wyjaśniła, oglądając muszlę małża. - On ma pięć tysięcy rocznie, posiadłość w Kent i jest następny w linii do parostwa. Więc - ciągnęła, odrzucając muszlę małża - nasz priorytet to trzymać Terence'a z daleka od Tossie, co nie będzie łatwe przy maminym

swataniu. Dzisiaj rano Tossie zbiera rzeczy na kiermasz staroci, więc wyślę z nią ciebie. W ten sposób rozdzielimy ich przynajmniej na pół dnia.

- A co z Terence'em? - zapytałem.

- Wyślę go do Streatley po chińskie lampiony na festyn. Spróbuj wybadać Tossie, czy zna jakichś młodych mężczyzn, których nazwiska zaczynają się na C.

- Pewnie szukałaś tego „C" w sąsiedztwie? Przytaknęła.

- Znalazłam tylko dwóch: pana Cuddena i pana Cawpa, farmera, który zawsze topi kocięta.

- W takim razie są dla siebie stworzeni. A pan Cudden?

- Jest żonaty - odparła posępnie. - Należałoby się spodziewać Mnóstwa panów C. Weźmy choćby Dickensa: David Copperfield, Martin Chuzzlewit, Bob Cratchet.

- Nie licząc Niezrównanego Crichtona - dodałem - i Lewisa Carrola. Nie, on nie pasuje. To nie było jego prawdziwe nazwisko. Thomas Carlyle. G.K. Chesterton. Same dobre partie - oceniłem. - Co będziesz robić, kiedy wyjdę z Tossie?

- Przeszukam pokój Tossie i znajdę jej pamiętnik. Schowała go, a ja musiałam przerwać poszukiwania. Jane weszła. Ale dzisiaj rano wszyscy będą zajęci przed festynem i nikt mi nie przeszkodzi. Jeśli nic nie znajdę, przeskoczę do Oksfordu i sprawdzę, czego się dowiedziała biegła sądowa.

- Zapytaj Warder, ile poślizgu było przy skoku, kiedy uratowałaś Księżniczkę Ardżumand - poradziłem.

- To znaczy kiedy przeniosłam ją do Oksfordu? - upewniła się - Przy powrotnych skokach nigdy nie ma poślizgu.

- Nie - zaprzeczyłem - wtedy, kiedy przeskoczyłaś i zobaczyłaś kota.

- W porządku. Lepiej wracajmy.

Zakorkowała słoik kleju, wstała i zadzwoniła na Baine'a.

- Baine - powiedziała, kiedy się zjawił - każcie natychmiast zaprzęgać powóz, a potem przyjdźcie do pokoju śniadaniowego.

- Wedle życzenia, panienko - powiedział.

- Dziękuję, Baine - zakończyła Verity, wzięła pudełko oklejone muszlami i ruszyła przodem do pokoju śniadaniowego.

Pani Mering wciąż przesłuchiwała Terence'a.

- O, jakie śliczne! - zawołała, kiedy Verity pokazała jej pudełko.

- Mamy jeszcze mnóstwo roboty przed festynem, ciociu Malwino - powiedziała Verity. - Tak bardzo pragnę, żeby kiermasz staroci się udał. Ma ciocia listę?

- Zadzwoń po Jane, żeby ją przyniosła - poleciła pani Mering.

- Poszła na plebanię zanieść materiał na flagi.

Jak tylko pani Mering wyszła po listę, Verity zwróciła się do Terence'a:

- Panie St. Trewes, czy mogę prosić pana o przysługę? Nie dostarczono jeszcze chińskich lampionów, które chcieliśmy rozwiesić pomiędzy straganami. Zechce pan łaskawie pojechać po nie do Streatley?

- Baine może jechać - wtrąciła Tossie. - Terence idzie ze mną zaraz do Chattisbourne'ów.

- Twoja matka nie poradzi sobie bez Baine'a, skoro trzeba postawić namiot do herbaty - oświadczyła Verity. - Pan Henry pójdzie z tobą. Baine - zwróciła się do kamerdynera, który właśnie wszedł - przynieście panu Henry'emu kosz na dary na kiermasz staroci. Czy powóz czeka?

- Tak, panienko - powiedział Baine i wyszedł.

- Ale... - zaczęła Tossie, już nadąsana.

- Tutaj jest adres - Verity podała Terence'owi kartkę papieru i zamówienie na lampiony. Jakże pan uprzejmy - i wygoniła go za drzwi, zanim Tossie zdążyła zaprotestować.

Baine przyniósł kosz, a Tossie poszła po kapelusz i rękawiczki.

- Nie rozumiem, dlaczego pan Henry nie mógł pojechać po lampiony - usłyszałem jej głos, kiedy razem z Verity wchodziły po schodach.

- Nieobecność wzmaga skłonność serca - wyrecytowała Verity. -Nałóż ten kapelusz z woalką w kropki, żeby go pokazać Róży Chattisbourne.

Verity zaraz zeszła na dół.

- Zaimponowałaś mi - wyznałem.

- Biorę lekcje u lady Schrapnell - powiedziała. - Jak będziesz u Chattisbourne'ów, postaraj się dowiedzieć, kiedy Elliott Chattisbourne... ten, którego ubranie nosisz... wraca do domu. Mogła z nim korespondować w sekrecie, odkąd wyjechał do Afryki Południowej. Idzie Tossie.

Tossie sfrunęła ze schodów, trzepocząc woalką w kropki, niosąc torebkę i parasolkę, i wyruszyliśmy. Za drzwiami dogonił nas Baine.

- Pański kapelusz, sir - wysapał, podając mi moją słomkową panamę.

Ostatnio widziałem ten kapelusz płynący z nurtem rzeki, kiedy wstążka już traciła barwę na rozmiękłej słomce. Baine jakimś cudem przywrócił kapelusz do pierwotnego stanu, z jaskrawo błękitną wstążką, z wyszorowaną, sztywną słomką.

- Dziękuję, Baine - powiedziałem. - Myślałem, że straciłem go na zawsze.

Nałożyłem kapelusz i natychmiast zuchwale uwierzyłem, że potrafię nie tylko utrzymać Tossie z dala od Terence'a, ale tak ją oczarować, że całkiem o nim zapomni.

- Pozwoli pani? - zapytałem i podałem jej ramię. Spojrzała na mnie przez kropki woalki.

- Moja kuzynka Verity mówi, że w tym kapeluszu pan wygląda jak półgłówek - powiedziała z namysłem - ale moim zdaniem nie jest źle. Niektórzy mężczyźni po prostu nie umieją nosić kapeluszy.

„Nie myślis, ze pan St. Tlewes wyglonda elegancko w swoim kapelusu? - Powiedziała do mnie rano moja najdroższa Dziudziu - Nie myslis ze jest najpsystojniejsi, najpsystojniejsi ze wsistkich?"

Wiedziałem, że dziecinne seplenienie brzmi fatalnie, ale kocie seplenienie..

- Znałem w szkole faceta, który mieszkał tutaj niedaleko - powiedziałem, zmieniając temat na bardziej produktywny. - Nie pamiętam, jak się nazywał. Jakoś na C.

- Elliott Chattisbourne?

- Nie, to nie ten - zaprzeczyłem. - Ale nazwisko zaczynało się na „C".

- Znał go pan ze szkoły? - upewniła się Tossie, sznurując usta. - Pan był w Eton?

- Tak - potwierdziłem. Dlaczego nie? - W Eton.

- Mieszka tu Freddie Lawrence. Ale on był w Harrow. Był pan w szkole z Terence'em?

- To był facet średniego wzrostu. Dobry w krykiecie.

- I jego nazwisko zaczyna się na „C"? - Potrząsnęła lokami. - Nikt mi nie przychodzi na myśl. Czy Terence gra w krykieta?

- Wiosłuje - odparłem - i pływa. Jest bardzo dobrym pływakiem.

- Uważam, że jest strasznie dzielny, że uratował Księżniczkę Ardżumand - oświadczyła Tossie. - „Nie myślis, ze on jest najdzielniejsym lycezem na calutkim świecie? - zapytała mnie Dziudziu. – Bo ja tak myślę".

W ten sposób upłynęła cała droga do Chattisbourne'ów, co dobrze się składało, ponieważ nie znałem żadnych innych faktów z życia Terence'a.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Tossie, skręcając na podjazd wielkiego neogotyckiego domu.

No, jakoś to przeżyłem, pomyślałem, a reszta dnia powinna przejść łatwiej.

Tossie podeszła do frontowych drzwi. Czekałem, żeby zadzwoniła, a potem przypomniałem sobie, że to jest epoka wiktoriańska, i sam zadzwoniłem, robiąc krok do tyłu, kiedy kamerdyner otworzył drzwi - To był Finch.

- Dzień dobry panience, dzień dobry panu - powiedział. - Można wiedzieć, kogo mam zaanonsować?

To nie jest ta sama gra. To jest zupełnie inna gra, w tym cały kłopot.

Darryl F. Zanuck o krokiecie

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Niespodziewane spotkanie - Jeeves - W ogrodzie kwiatowym - Chichoty - Opis sukni - Kot z nadwagą - Seks i przemoc - Finchowi nie wolno powiedzieć - Opowieści z Dzikiego Zachodu - Zadziwiające skarby, jakie ludzie trzymają na strychach - Znowu w domu - Odbywam szkolenie - Cywilizowana gra - Złe nowiny - Krokiet w Krainie Czarów - Więcej złych nowin

Nie bardzo pamiętam, co powiedziałem ani jak weszliśmy do domu. Najwyższym wysiłkiem powstrzymałem się od okrzyku: „Finch! Co pan tu robi?”

Odpowiedź była oczywista. Kamerdynerował. Równie oczywiste było, że wziął sobie za wzór najwspanialszego kamerdynera wszech czasów, Jeevesa z książek P.G. Wodehouse’a. Miał tę samą wyniosłą postawę, ten sam nienaganny sposób mówienia, zwłaszcza tę chłodną, pokerową twarz. Można by pomyśleć, że nigdy w życiu mnie nie widział.

Wprowadził nas do środka z idealnie odmierzonym ukłonem, Powiedział: - Zaanonsuję państwa - i ruszył w kierunku schodów, ale za późno. Pani Chattisbourne i jej cztery córki już zbiegały po schodach, wołając:

- Tossie, kochanie, co za niespodzianka!

Pani Chattisbourne zatrzymała się u stóp schodów i jej cztery córki również znieruchomiały, tworząc jakby układ zstępujący. Wszystkie łącznie z rodzicielką, miały zadarte nosy i jasnobrązowe włosy.

- A kim jest ten młody dżentelmen? - zapytała pani Chattisbourne. Dziewczęta zachichotały.

- Pan Henry, jaśnie pani - przedstawił mnie Finch.

- Więc to jest ten młody dżentelmen, który odnalazł twoją kotkę - powiedziała pani Chattisbourne. - Wszyscy o tym słyszeliśmy od wielebnego pana Arbitage’a.

- O nie! - zaprzeczyła Tossie. - To pan St. Trewes zwrócił mi moją biedną Księżniczkę Ardżumand. Pan Henry jest tylko jego przyjacielem.

- Ach - powiedziała pani Chattisbourne. - Miło mi pana poznać panie Henry. Pozwoli pan, że mu przedstawię mój ogródek kwiatowy.

Przez ostatnie kilka dni tak się przyzwyczaiłem do wysłuchiwania najrozmaitszych nonsensów, że nawet nie mrugnąłem. Pani Chattisbourne zaprowadziła mnie do schodów.

- To są moje córki, panie Henry - oznajmiła, wskazując jedną po drugiej z dołu do góry - Róża, Lilia, Hortensja i najmłodsza Eglantyna. Mój własny pachnący ogródek i - ścisnęła mnie za ramię - ślubny bukiet dla jakichś szczęśliwych młodzieńców.

Dziewczęta zachichotały po kolei, kiedy wymieniano ich imiona, a potem chórem na wzmiankę o ślubnym bukiecie.

- Czy mam podać napoje w pokoju porannym? - zapytał Finch. - Panna Mering i pan Henry niewątpliwie zmęczyli się spacerem.

- Jak cudownie, że o tym pomyśleliście, Finch - zawołała pani Chattisbourne, kierując mnie do drzwi na prawo. - Finch to wspaniały kamerdyner - oznajmiła. - Myśli dosłownie o wszystkim.

Pokój poranny Chattisbourne’ów wyglądał dokładnie jak salonik Meringów, tylko kwieciście. Na dywanie kwitły lilie, każdą lampę zdobiły żonkile i niezapominajki, a pośrodku pokoju na marmurowym blacie stołu stał wazon malowany w maki, wypełniony różowymi peoniami.

Salon był równie zagracony jak u Meringów i kiedy poproszono mnie, żebym usiadł, musiałem przeciskać się przez labirynt hiacyntów i nagietków do krzesła z obiciem haftowanym w niezwykle realistyczne róże.

Usiadłem na nim ostrożnie z obawy przed kolcami, a cztery córki pani Chattisbourne usiadły naprzeciwko na kwiecistej sofie i zachichotały.

W ciągu tego poranka odkryłem, że z wyjątkiem najmłodszej Eglantyny, która wyglądała na jakieś dziesięć lat, chichotały przez cały czas i dosłownie po każdym zdaniu.

- Finch to absolutny klejnot! - mówiła na przykład pani Chattisbourne, a one chichotały. - Taki kompetentny! Zanim jeszcze wydamy mu polecenie, on już to zrobił. Wcale nie jak nasz poprzedni kamerdyner... jak on się nazywał, Tossie?

- Baine - odpowiedziała Tossie.

- Ach tak, Baine - prychnęła pani Chattisbourne. - Owszem, odpowiednie nazwisko dla kamerdynera, chociaż zawsze uważałam, że nie nazwisko tworzy kamerdynera, tylko szkolenie. Baine był należycie wyszkolony, chociaż daleki od ideału. Ciągle czytał książki, jak sobie przypominam. Finch nigdy nie czyta - zakończyła z dumą.

- Gdzież pani go znalazła? - zagadnęła Tossie.

- To właśnie najbardziej zdumiewające - oznajmiła pani Chattisbourne. (Chichoty). - Poszłam zanieść pastorowi serwetki kredensowe na festyn, a on siedział w salonie pastora. Podobno pracował u rodziny, która wyjechała do Indii, a on nie mógł im towarzyszyć z powodu uczulenia na curry.

Uczulenie na curry.

- Pastor powiedział: „Zna pani kogoś, kto potrzebuje kamerdynera?" Wyobrażasz sobie? To było Przeznaczenie. (Chichoty).

- Mnie się wydaje wysoce nieprawidłowe - oświadczyła Tossie.

- Och, oczywiście Tomasz nalegał, żeby go wypytać, i on miał nadzwyczaj korzystne referencje.

Niewątpliwie wszystkie od ludzi, którzy wyjechali do Indii, pomyślałem.

- Tossie, powinnam gniewać się na twoją drogą matkę za podkupienie tego... - z namysłem zmarszczyła brwi - znowu zapomniałam, jak się nazywał...

- Baine - podpowiedziała Tossie.

- Za podkupienie Baine'a, ale jak mam się złościć, skoro znalazłam idealnego zastępcę?

Idealny zastępca wszedł do pokoju, niosąc na ukwieconej tacy karafkę z rżniętego szkła i kieliszki.

- Kordiał porzeczkowy! - wykrzyknęła pani Chattisbourne. - akurat to, co trzeba! Sama widzisz!

Finch zaczął nalewać kordiał i podawać kieliszki.

- Panie Henry - zwróciła się do mnie pani Chattisbourne - czy studiuje razem z panem St. Trewesem?

- Tak - odpowiedziałem. - W Oksfordzie. W Balliol.

- Czy pan jest żonaty? - zapytała Eglantyna.

- Eglantyno! - zawołała Lilia. - To niegrzecznie pytać ludzi, czy są żonaci.

- Sama pytałaś Tossie, czy on jest żonaty - odparła Eglantyna. - Słyszałam, jak szepczesz.

- Cii - syknęła Lilia i zrobiła się, całkiem stosownie, czerwona jak goździk. (Chichoty).

- Z jakiej części Anglii pan pochodzi, panie Henry? - zapytała pani Chattisbourne.

Nadszedł czas, żeby zmienić temat.

- Chciałbym podziękować za pożyczenie ubrań syna - powiedziałem, sącząc kordiał porzeczkowy. Smakował lepiej niż pasztet z węgorza. - Czy go zastałem?

- Och, nie - odparła pani Chattisbourne. - Meringowie panu nie mówili? Elliott jest w Południowej Afryce.

- On jest inżynierem górnictwa - wtrąciła usłużnie Tossie.

- Właśnie dostaliśmy list od niego - ciągnęła pani Chattisbourne. - Gdzie ten list, Hortensjo?

Wszystkie dziewczęta wstały i zaczęły szukać listu przy akompaniamencie chichotów.

- Tutaj jest, jaśnie pani - powiedział Finch i podał list pani Chattisbourne.

- „Drodzy Matko i Ojcze, i Kwiatuszki - przeczytała. - Wreszcie wysyłam ten długi list, który wam obiecałem". - Najwyraźniej zamierzała odczytać całość.

- Na pewno pani tęskni za synem - powiedziałem, żeby ją powstrzymać. - Czy on wkrótce wróci do domu?

- Dopiero kiedy zakończy swój dwuletni staż, czyli jeszcze osiem miesięcy, niestety. Oczywiście gdyby jedna z jego sióstr wyszła za maź, przyjechałby do domu na wesele. (Chichoty).

Zagłębiła się w list. Dwa fragmenty przekonały mnie, że Elliott był równie niemądry jak siostry i zakochany wyłącznie w samym sobie.

Trzeci fragment przekonał mnie, że Tossie również niewiele o niego dbała. Wyglądała na porządnie znudzoną.

Przy czwartym fragmencie zaciekawiło mnie, jakim cudem Elliott uniknął imienia w rodzaju Rododendron lub Mugwort. Potem już tylko gapiłem się na kota Chattisbourne'ów.

Kot leżał na podnóżku haftowanym w fiołki i był tak ogromny że tylko kilka fiołków wystawało po brzegach. Był żółty z bardziej żółtymi pręgami i jeszcze bardziej żółtymi oczami, które sennie odwzajemniły moje spojrzenie spod ciężkich powiek. Sam również zaczynałem odczuwać senność wskutek działania porzeczkowego kordiału oraz prozy Elliotta Chattisbourne. Zatęskniłem za pobytem w Muchings End. Pod drzewem. Albo w hamaku.

- W co się ubierzesz na festyn, Różo? - zapytała Tossie, kiedy pani Chattisbourne zrobiła przerwę, żeby przewrócić trzecią stronicę listu.

Róża zachichotała i odpowiedziała:

- W moją suknię z błękitnego woalu z koronkowymi wstawkami.

- Ja nałożę biały kreton w kropeczki - oznajmiła Hortensja. Starsze dziewczęta nachyliły się do siebie i zaczęły szczebiotać.

Eglantyna podeszła do podnóżka, dźwignęła kota i władowała mi na kolana.

- To jest nasza kotka, Panna Marmolada.

- Pani Marmolada, Eglantyno - poprawiła córkę pani Chattisbourne, a ja zaciekawiłem się, czy kotom przysługują tytuły honorowe, tak jak kucharkom.

- Jak się pani miewa, Pani Marmolado? - zapytałem, łaskocząc kota pod brodą. (Chichoty).

- A w co ty się ubierzesz na festyn, Tossie? - zapytała Lilia.

- W nową suknię, którą papa zamówił dla mnie w Londynie - oznajmiła Tossie.

- Och, jak ona wygląda? - zawołała Hortensja.

- Opisałam ją w swoim pamiętniku - powiedziała Tossie.

I jakaś nieszczęsna biegła sądowa poświęci całe tygodnie na odcyfrowanie tego opisu, pomyślałem.

- Finch, podajcie mi ten kosz - poleciła Tossie, a kiedy wykonał polecenie, sięgnęła pod haftowaną serwetkę i wyciągnęła książkę oprawną w kurdyban, ze złotym zameczkiem.

Tak oto prysły nadzieje Verity na przejrzenie pamiętnika pod naszą nieobecność. Postanowiłem, że spróbuję ukradkiem wyciągnąć go z kosza w drodze do domu.

Tossie ostrożnie rozpięła złoty łańcuszek z kluczykiem, który nosiła na nadgarstku, otworzyła pamiętnik, po czym starannie zapięła z powrotem łańcuszek.

Postanowiłem poprosić Fincha, żeby ukradł dla mnie pamiętnik. Może już o tym pomyślał, skoro pani Chattisbourne twierdziła, że potrafi odgadywać życzenia.

- „Biała organdyna mignonette - odczytała Tossie - na spodzie z liliowego jedwabiu. Stanik ze

sznurowanym przodem, wykończony falbanką haftowaną farbowanym jedwabiem w najdelikatniejszych odcieniach heliotropu, barwnika i lila, ze wstawką we wzór z fiołków i niezapominajek wszytą w..."

Opis sukni był jeszcze dłuższy od listu Elliotta Chattisbourne'a Poświęciłem całą uwagę głaskaniu pani Marmolady.

Była nie tylko olbrzymia, ale wyjątkowo gruba. Brzuch miała rozdęty i dziwnie guzowaty w dotyku. Przestraszyłem się, że na coś choruje. Wczesna forma zarazy, która zmiotła wszystkie koty w 2004 roku jeszcze chyba nie występowała w czasach wiktoriańskich?

- „...i plisowana liliowa szarfa z rozetką z boku - czytała Tossie. - Suknia jest ślicznie udrapowana i ma haftowany obrąbek z tych samych kwiatów. Rękawy bufiaste, z falbankami na ramieniu i łokciu. Szlaczek z liliowych wstążek..."

Przesunąłem ostrożnie dłonią pod brzuchem Pani Marmolady. Kilka guzów. Ale jeśli to leptowirus, musi być we wczesnym stadium. Kocica wyglądała na zupełnie szczęśliwą. Sierść miała gładką i błyszczącą, mruczała z zadowoleniem, ugniatając łapami nogawkę moich spodni.

Widocznie wciąż cierpiałem na powolność kojarzenia. Ona wcale nie wydaje się chora, pomyślałem, chociaż wygląda tak, jakby miała zaraz pęknąć...

- Dobry Boże - powiedziałem. - Ten kot jest w cią... - i jakiś ostry przedmiot uderzył mnie w kark.

Urwałem w pół słowa.

Finch stojący za mną powiedział:

- Przepraszam jaśnie panią, jakiś dżentelmen przyszedł do pana Henry'ego.

- Do mnie? Ale... - zacząłem i znowu zainkasowałem cios. - Zechcą mi panie wybaczyć - powiedziałem, wykonałem coś w rodzaju ukłonu i poszedłem za Finchem do drzwi.

- Pan Henry spędził ostatnie dwa lata w Ameryce - usłyszałem głos Tossie, kiedy wychodziłem z pokoju.

- Ach - powiedziała pani Chattisbourne.

Finch poprowadził mnie korytarzem do biblioteki i zamknął z nami drzwi.

- Wiem, nie przeklina się w obecności dam - mruknąłem, pocierając kark. - Nie musiał pan mnie walić.

- Nie walnąłem pana za przeklinanie, sir - odparł Finch - chociaż ma pan rację. Nie wolno tego robić w przyzwoitym towarzystwie.

- A w ogóle czym mnie pan uderzył? - zapytałem, ostrożnie obmacując swój kręgosłup. - Maczugą?

- Tacą, sir - wyjaśnił i wyjął z kieszeni srebrną tackę, groźnie się prezentującą. - Nie miałem wyboru, sir. Musiałem pana powstrzymać.

- Powstrzymać przed czym? - zapytałem. - I w ogóle co pan tu robi?

- Wypełniam zlecenie pana Dunworthy'ego.

- Jakie zlecenie? Wysłał pana, żeby pan pomagał mnie i Verity?

- Nie, sir - zaprzeczył.

- Więc dlaczego pan jest tutaj? Finch zrobił zakłopotaną minę.

- Nie wolno mi powiedzieć, sir, tyle tylko, że wykonuję... - urwał, szukając odpowiedniego słowa - ...pokrewne zadanie. Jestem na innej ścieżce czasowej niż pan i dlatego mam dostęp do informacji, których pan jeszcze nie zdobył. Gdybym panu powiedział, mógłbym zaszkodzić pańskiej misji, sir.

- A walenie mnie w kark nie zaszkodzi? - burknąłem. - Chyba mam złamany kręg szyjny.

- Musiałem pana powstrzymać, sir, przed skomentowaniem stanu kota - wyjaśnił. - W wiktoriańskim społeczeństwie dyskusje o seksie w mieszanym towarzystwie stanowiły absolutne tabu. To nie pańska wina, że pan o tym nie wiedział. Nie przeszedł pan odpowiedniego szkolenia.

Mówiłem panu Dunworthy'emu, że wysyłanie pana bez przygotowania i w pańskim stanie to kiepski pomysł, ale on się uparł, ze to pan powinien zwrócić Księżniczkę Ardżumand.

- Uparł się? - powtórzyłem. - Dlaczego?

- Nie wolno mi powiedzieć, sir.

- Zresztą wcale nie zamierzałem mówić o seksie - oświadczyłem. Chciałem tylko powiedzieć, że kot jest w cią...

- Żadnych aluzji do seksu, sir, czy do jego skutków. - Zniżył głos i nachylił się do mnie. - Dziewczęta utrzymywano w całkowitej niewiedzy aż do nocy poślubnej, kiedy to wiele z nich przeżywało poważny wstrząs, niestety. Nigdy nie wspominano o kobiecych biustach czy figurach, a nogi określano jako kończyny.

- Więc co miałem powiedzieć? Że kot jest przy nadziei? W odmiennym stanie? W błogosławionym stanie?

- Nie powinien pan w ogóle wypowiadać się na ten temat. Fakt ciąży u ludzi i zwierząt starannie ignorowano. Nie powinien pan o tym wspominać.

- A kiedy kotka się okoci i pól tuzina kociaków biega po całym domu, też powinienem je ignorować? Albo zapytać, czy bocian je przy. niósł?

Finch miał niewyraźną minę.

- To kolejny powód, sir - powiedział niejasno. - Nie chcemy niepotrzebnie przyciągać uwagi. Nie chcemy wywołać następnej niekongruencji.

- Niekongruencji? - bąknąłem. - O czym pan mówi?

- Nie wolno mi powiedzieć. Kiedy pan wróci do porannego pokoju, radzę unikać wszelkich wzmianek o kocie.

Wyrażał się zupełnie jak Jeeves.

- Porządnie pana przeszkolili - zauważyłem z podziwem. - Kiedy zdążył się pan tyle nauczyć o epoce wiktoriańskiej?

- Nie wolno mi powiedzieć - odparł z zadowoloną miną. - Ale mogę wyznać, że czuję się jak stworzony do tego zawodu.

- No, skoro jest pan taki dobry, proszę mi poradzić, co mam powiedzieć, kiedy tam wrócę. Kto do mnie przyszedł? Nie znam tu nikogo.

- Żaden problem, sir - zapewnił, otwierając drzwi biblioteki urękawiczoną dłonią.

- Żaden problem? Co to znaczy? Muszę coś powiedzieć.

- Nie, sir. Ich nie obchodzi, dlaczego pana odwołano, skoro dzięki temu miały okazję pomówić o panu podczas pańskiej nieobecności.

- Pomówić o mnie? - przestraszyłem się. - To znaczy o mojej autentyczności?

- Nie, sir - zaprzeczył, wyglądając na kamerdynera w każdym calu. - O pańskiej kandydaturze na męża.

Przeprowadził mnie przez korytarz, skłonił się lekko i otworzy! drzwi urękawiczoną dłonią.

Miał rację. W pokoju zapadło nagłe milczenie, po czym nastąp" wybuch chichotów.

Pani Chattisbourne zabrała głos:

- Tocelyn właśnie opowiadała nam, jak pan otarł się o śmierć panie Henry.

Kiedy o mało nie powiedziałem „w ciąży", pomyślałem.

- Kiedy pańska łódź się wywróciła - podpowiedziała gorliwie Hortensja. -Ale to pewnie nic w porównaniu z pańskimi przygodami w Ameryce.

- Czy pana kiedyś oskalpowali? - zapytała Eglantyna. - Eglantyno! - skarciła ją pani Chattisbourne. Finch pojawił się w drzwiach.

- Przepraszam jaśnie panią - powiedział - ale czy panna Mering i pan Henry zostaną na lunch?

- Och, proszę zostać, panie Henry! - zawołały dziewczęta zgodnym chórem. - Chcemy posłuchać o Ameryce!

Przez cały lunch raczyłem je opowieściami o dyliżansach i tomahawkach, zapożyczonymi z wykładów o Dzikim Zachodzie (żałowałem, że nie poświęcałem im więcej uwagi) i obserwowałem Fincha. Podpowiadał mi, którego sztućca mam użyć, szepcząc mi do ucha: „Widelec z trzema zębami", kiedy stawiał przede mną potrawę, albo dając dyskretne znaki z kredensu, kiedy przykuwałem uwagę słuchaczek zdaniami w rodzaju: „Tej nocy, siedząc przy obozowym ognisku, słyszeliśmy w ciemnościach bicie ich tam-tamów, nieprzerwane, uporczywe, groźne". (Chichoty).

Po lunchu Lilia, Róża i Hortensja błagały nas, żebyśmy zagrali w szarady, ale Tossie powiedziała, że musimy iść, starannie zamknęła swój pamiętnik i włożyła go nie do kosza, lecz do torebki.

- Och, naprawdę nie możecie zostać jeszcze chwileczkę? -jęczała Hortensja Chattisbourne.

Tossie odparła, że musimy jeszcze zabrać dary z plebanii, za co byłem jej wdzięczny. Piłem do lunchu wino reńskie i klaret, które w połączeniu z kordiałem porzeczkowym oraz resztkami dyschronii sprawiły, że marzyłem tylko o długiej popołudniowej drzemce.

- Zobaczymy pana na festynie, panie Henry? - zapytała Lilia z chichotem.

Niestety tak, pomyślałem.

Plebania nie była daleko, ale po drodze musieliśmy wstąpić do wdowy Wallace (po sosjerkę i banjo bez dwóch strun), do Middlemarche'ów (czajnik z odłamanym dzióbkiem, karafka na ocet oraz gra „Autorzy", w której brakowało kilku kart) i do panny Stiggins (klatka na ptaki, zestaw czterech figurek przedstawiających Mojry,

egzemplarz .Alicji po drugiej stronie lustra", łopatka do ryb i ceramiczny naparstek z napisem: PAMIĄTKA Z MARGATE).

Ponieważ Chattisbourne'owie już nam dali puzderko na szpili do kapelusza, poduszeczkę z wyszytymi włóczką fiolkami i pachnącym groszkiem, garnuszek do gotowania jajek oraz laskę z rzeźbiona psią główką, kosz był prawie pełen i nie miałem pojęcia, jak przydźwigam to wszystko do domu. Na szczęście pastor miał do zaofiarowania tylko duże pęknięte lustro w pozłacanej ramie.

- Przyślę po nie Baine'a - powiedziała Tossie i ruszyliśmy do domu.

Droga powrotna stanowiła dokładne powtórzenie drogi w tamtą stronę, tyle że byłem bardziej obładowany i znacznie bardziej zmęczony. Tossie paplała o Dziudziu i „dzielnym, dzielnym Telensie", a ja cieszyłem się w duchu, że moje nazwisko nie zaczyna się na „C", i rozglądałem się tęsknie za jakimś hamakiem.

Baine spotkał nas na końcu podjazdu i uwolnił mnie od kosza, a Cyryl wybiegł mi na przywitanie. Jednakże nieszczęsna skłonność do zbaczania na bakburtę przywiodła go do stóp Tossie, która zawołała: „O brzydki, brzydki, niegrzeczny pies!" i zaczęła wydawać małe okrzyczki.

- Chodź tu, Cyryl! - zawołałem i klasnąłem w dłonie, a on przytoczył się do mnie uszczęśliwiony, merdając całym tułowiem. - Tęskniłeś za mną, piesku?

- Hej ho, wędrowcy wracają - zacytował Terence, machając z trawnika. - „Do białych ścian domu wracają po długiej podróży". Zdążyliście w samą porę. Baine właśnie ustawia bramki do krokieta.

- Krokiet! Ale zabawa! - zawołała Tossie i pobiegła na górę, żeby się przebrać.

- Krokiet? - zwróciłem się do Verity, która patrzyła, jak Baine wbija słupki w trawę.

- Albo tenis na trawie - wyjaśniła - do którego niestety nie jesteś przygotowany.

- Do krokieta też nie jestem przygotowany - odparłem, zerkając na drewniane młotki.

- To bardzo prosta gra - zapewniła Verity, podając mi żółtą kulę. - Przeprowadzasz kulę młotkiem przez bramkę. Jak minął ranek ?

- Byłem niegdyś zwiadowcą Buffalo Billa - powiedziałem – I jestem zaręczony z Hortensją Chattisbourne.

Przyjęła to bez uśmiechu.

- Czego się dowiedziałeś o panu C?

- Elliott Chattisbourne wróci do domu dopiero za osiem miesięcy - Opowiedziałem, jak zapytałem Tossie o faceta, którego nazwisko wyleciało mi z głowy. - Nikogo sobie nie skojarzyła. Ale nie to jest najbardziej interesujące...

Tossie wróciła biegiem w biało-różowej marynarskiej sukience W miętowozielone paski z wielką różową kokardą, niosąc w ramionach Księżniczkę Ardżumand.

- Dziudziu uwielbia patrzeć na kule - oznajmiła, stawiając kota na ziemi.

- I krokietować je - mruknęła Verity. - Pan Henry i ja będziemy partnerami. Ty zagrasz z panem St. Trewesem.

- Panie St. Trewes, będziemy partnerami - wykrzyknęła Tossie i podbiegła do Terence'a, który nadzorował Baine'a.

- Myślałem, że mieliśmy rozdzielić Terence'a i Tossie - zauważyłem.

- Owszem - przyznała Verity - ale muszę z tobą porozmawiać.

- A ja muszę porozmawiać z tobą - wpadłem jej w słowo. - Nigdy nie zgadniesz, kogo spotkałem u Chattisbourne'ów. Fincha.

- Fincha? - powtórzyła tępo. - Sekretarza pana Dunworthy'ego? Przytaknąłem.

- Jest u nich kamerdynerem.

- Co on tutaj robi?

- Nie chciał mi powiedzieć. Mówił, że wykonuje „pokrewne zadanie" i nie wolno mu nic powiedzieć, żeby nam nie przeszkodzić.

- Gotowi? - zawołała Tossie od słupka.

- Prawie - odkrzyknęła Verity. - No dobrze. Zasady gry są zupełne proste. Żeby zdobyć punkty, przeprowadzasz swoją kulę dwukrotnie przez rząd sześciu bramek, cztery bramki zewnętrzne, środkowe

ramki i z powrotem w odwrotnym kierunku. Każda kolejka to jedno uderzenie. Jeśli twoja kula przejdzie przez bramkę, masz prawo do następnego uderzenia. Jeśli twoja kula uderzy w inną kulę, masz prawo do jednego uderzenia za skrokietowanie i jednego kolejnego, ale jeśli kula przejdzie przez dwie bramki naraz, otrzymujesz tylko jedno uderzenie. Po uderzeniu kuli nie możesz jej powtórnie uderzyć,

Póki nie przejdziesz przez następną bramkę, z wyjątkiem pierwszej bramki. Jeśli uderzysz kulę, którą już uderzyłeś, tracisz kolejkę.

- Gotowi jesteście? - powtórzyła Tossie.

- Prawie - uspokoiła ją Verity. - To są granice - pokazała mi młotkiem. - Północ, południe, wschód i zachód. To jest linia początkowa, a to linia końcowa. Wszystko jasne?

- Najzupełniej - potwierdziłem. - Który mam kolor?

- Czerwony - odparła. - Zaczynasz od linii początkowej.

- Gotowi wreszcie? - wrzasnęła Tossie.

- Tak - kiwnęła głową Verity.

- Ja zaczynam - oznajmiła Tossie, pochyliła się wdzięcznie i położyła kulę na trawie.

Co w tym trudnego? - pomyślałem, patrząc, jak Tossie ustawia się do uderzenia. Dystyngowana wiktoriańska gra, zabawa dla dzieci i młodych kobiet w powłóczystych sukniach na soczystych zielonych trawnikach. Cywilizowana gra.

Tossie odwróciła się, uśmiechnęła się zalotnie do Terence'a i potrząsnęła lokami.

- Mam nadzieję, że uda mi się strzał - powiedziała i walnęła potężnie w kulę, która przeleciała przez dwie bramki i zatrzymała się w połowie trawnika.

Tossie uśmiechnęła się niewinnie, zapytała: - Czy mam następny strzał? - i walnęła po raz drugi.

Tym razem kula prawie trafiła Cyryla, który odbywał drzemkę w cieniu.

- Przeszkoda - ogłosiła Tossie. - Trafiłam go w nos.

- Cyryl nie ma nosa - odparła Verity, ustawiając swoją kulę na odległość główki młotka za pierwszą bramką. - Moja kolej.

Nie uderzyła tak mocno jak Tossie, ale bynajmniej nie spartaczyła. Kula przeszła przez pierwszą bramkę, a po następnym strzale zatrzymała się dwie stopy od kuli Tossie.

- Pana kolej, panie St. Trewes - zawołała Tossie i stanęła tak, ze jej długa spódnica zasłoniła kulę. Po strzale Terence'a, kiedy do niego podeszła, jej kula znajdowała się dobry jard dalej.

Podszedłem do Verity.

- Ona oszukuje - szepnąłem. Verity przytaknęła.

- Nie mogłam znaleźć jej pamiętnika - wyznała.

- Wiem. Zabrała go ze sobą. Przeczytała dziewczętom Chattisbourne'ów opis swojej sukni.

- Pana kolej, panie Henry - oznajmiła Tossie, opierając się młotku.

Verity nic nie mówiła o prawidłowym uchwycie, a ja nie zwracałem uwagi. Położyłem swoją kulę przed bramką i chwyciłem młotek mniej więcej tak, jak kij do krykieta.

- Faul! - krzyknęła Tossie. - Kula pana Henry'ego nie leży w odpowiedniej odległości od bramki. Traci pan kolejkę, panie Henry.

- Nie traci - sprzeciwiła się Verity. - Niech pan odsunie kulę na szerokość główki młotka.

Zrobiłem, co kazała, a następnie posłałem kulę z grubsza we właściwym kierunku, chociaż nie przez bramkę.

- Moja kolej - oświadczyła Tossie i wybiła kulę Verity z boiska prosto w żywopłot. - Przepraszam - powiedziała, uśmiechnęła się z udawaną skromnością i tak samo potraktowała kulę Terence'a.

- A mówiłaś, że to cywilizowana gra - syknąłem do Verity, pełzając pod żywopłotem, żeby odzyskać jej kulę.

- Mówiłam, że prosta - odparła. Podniosłem kulę.

- Udawaj, że dalej szukasz - szepnęła Verity. - Kiedy zrewidowałam pokój Tossie, przeskoczyłam do Oksfordu.

- Dowiedziałaś się, jaki był poślizg przy twoim skoku? - zapytałem rozgarniając gałęzie.

- Nie - odpowiedziała z poważną miną. - Warder była zajęta. Chciałem już wygłosić uwagę, że Warder zawsze jest strasznie zajęta, kiedy dodała:

- Ten nowy rekrut... nie znam jego nazwiska... ten, który pracował z tobą i Carruthersem, utknął w przeszłości.

- Na polu z dyniami? - zagadnąłem, myśląc o psach.

- Nie, w Coventry. Miał przejść po przeszukaniu gruzów, ale nie przeszedł.

- Pewnie nie mógł znaleźć sieci - domyśliłem się, pamiętając, jak się męczył z latarką.

- Tak samo uważa Carruthers, ale pan Dunworthy i T.J. martwią, że to ma związek z niekongruencją. Wysłali z powrotem Carruthersa, żeby go znalazł.

- Twoja kolej, Verity - rzuciła niecierpliwie Tossie i ruszyła w naszą stronę. - Jeszcze pan nie znalazł?

- Już mam - zawołałem i wylazłem spod żywopłotu, unosząc wysoko kulę.

- Leżała tutaj - oświadczyła Tossie, wskazując stopą miejsce odległe o kilka mil od miejsca, skąd

ją wybiła.

- To jak gra z Królową Kier - stwierdziłem i podałem Verity kule. Przez następne trzy kolejki usiłowałem jedynie przepchnąć moją kulę na tę samą stronę boiska co kula Verity, które to wysiłki dwukrotnie udaremniła panna „Ściąć jej głowę!" Mering.

- Już wiem - oznajmiłem, kuśtykając do Verity po kolejnym strzale Tossie, kiedy posłała kulę Terence'a prosto w moją kostkę, na co Cyryl wstał i przeniósł się na drugi koniec trawnika. - Pan C. jest lekarzem, wezwanym do krokietowych kontuzji Tossie. Czego jeszcze się dowiedziałaś?

Verity starannie ustawiła się do strzału.

- Dowiedziałam się, z kim się ożenił Terence.

- Proszę, nie mów, że z Tossie - jęknąłem, stanąłem na zdrowej nodze i potarłem rozbitą kostkę.

- Nie - odparła i zgrabnie przeprowadziła kulę przez bramkę.

- Nie z Tossie. Z Maud Peddick.

- Ale to dobrze, prawda? - zauważyłem. - To znaczy, że niczego nie zepsułem, kiedy nie dopuściłem do spotkania Terence'a i Maud.

Verity wyciągnęła zza szarfy złożoną kartkę papieru i podała mi ukradkiem.

- Co to jest? - zapytałem, chowając kartkę do kieszeni na piersi.

- Wyjątek z pamiętnika Maud?

- Nie - zaprzeczyła. - Maud jest chyba jedyną kobietą w epoce wiktoriańskiej, która nie prowadziła pamiętnika. To list Maud St. Trewes do jej młodszej siostry.

- Pańska kula, panie Henry! - krzyknęła Tossie.

- Drugi ustęp - podpowiedziała Verity.

Wykonałem entuzjastyczne uderzenie, które posłało czerwoną kulę obok kuli Terence'a prosto w zarośla bzu.

- Powiadam, fatalnie! - odezwał się Terence. Kiwnąłem głową i z trzaskiem wtargnąłem w gęstwinę.

- „Żegnaj, przyjacielu drogi - zawołał wesoło Terence, machając młotem. - Żegnaj mi! Bo na tym podłym świecie - chociaż przysięgamy - wierzymy - i ufamy - tylko rozpacz czyha".

Znalazłem kulę, podniosłem ją i wcisnąłem się w największy gąszcz bzów. Rozłożyłem list. Napisany był delikatnym, pajęczym charakterem pisma.

„Najdroższa Izabelo - przeczytałem - tak się ucieszyłam na wiadomość o Twoich zaręczynach. Robert to wspaniały młody człowiek i mam tylko nadzieję, że będziecie równie szczęśliwi jak ja z Terence'em. Martwisz się, że poznałaś go na stopniach sklepu z towarami żelaznymi, w wyjątkowo nieromantycznym miejscu. Nie przejmuj się, siostrzyczko. Mój kochany Terence i ja spotkaliśmy się pierwszy raz na dworcu kolejowym - Stałam z ciocią Amelią na peronie stacji Oksford..."

Stałem wpatrując się w list. Peron na stacji Oksford.

„...niezbyt romantyczne miejsce, a jednak od razu zrozumiałam, tam, wśród lokomotyw i wagonów towarowych, że to on będzie moim towarzyszem życia".

Tylko że wcale nie zrozumiała. Ponieważ ja się napatoczyłem i dlatego obie z ciotką wzięły dorożkę i odjechały.

- Nie możesz znaleźć? - krzyknął Terence. Pospiesznie złożyłem list i wetknąłem do kieszeni.

- Już mam - odkrzyknąłem i wygramoliłem się z krzaków.

- Poszła stąd - oznajmiła Tossie, wskazując stopą całkowicie zmyślony punkt.

- Dziękuję, panno Mering - powiedziałem, odmierzyłem młotkiem długość główki młotka od brzegu, umieściłem kulę na trawie i przygotowałem się do ponownego uderzenia.

- Pana kolej minęła - oświadczyła Tossie, podchodząc do swojej kuli. - Teraz moja kolej.

I potężnym uderzeniem posłała moją kulę z powrotem w krzaki bzu.

- Skrokietowana - uśmiechnęła się słodko. - Dwa strzały.

- Czyż to nie wspaniała dziewczyna? - zagadnął Terence, kiedy pomagał mi szukać kuli.

Nie, pomyślałem, a nawet gdyby była wspaniała, nie miałeś się niej zakochać. Miałeś zakochać się w Maud. Miałeś ją spotkać na dworcu kolejowym i to moja wina, moja wina, moja wina.

- Panie Henry, pańska kolej - zawołała Tossie niecierpliwie. - Och - powiedziałem i uderzyłem na ślepo w najbliższą kulę. - Faul, panie Henry - skarciła mnie Tossie. - Ma pan trupa.

- Co?

- Ta kula to trup - wyjaśniła Tossie. - Już pan ją raz uderzył. Nie może Pan jej ponownie uderzyć, dopóki nie przejdzie pan przez bramkę.

- Och - powiedziałem i wycelowałem w bramkę.

- Nie ta bramka - zawołała Tossie, potrząsając blond lokami. - Zaliczam faul za próbę ominięcia bramki.

- Przepraszam - mruknąłem i próbowałem się skoncentrować.

- Pan Henry jest przyzwyczajony grać według amerykańskich reguł - broniła mnie Verity.

Podszedłem do niej i stanąłem obok, patrząc, jak Tossie ustawia się do strzału, wymierza kąty jak w bilardzie, oblicza, w jaki sposób kule zrykoszetują od siebie.

- Nie wiesz jeszcze o najgorszym - odezwała się Verity. - Ich wnuk był pilotem RAF-u w Bitwie o Anglię. Dowodził pierwszym bombowym nalotem na Berlin.

- Terence! - zawołała Tossie. - Twoje zwierzę przeszkadza mi w podwójnym skrokietowaniu.

Terence posłusznie poszedł przesunąć Cyryla. Tossie spojrzała wzdłuż młotka, odmierzając kąty zderzenia kul, oceniając możliwości.

Stałem i patrzyłem, jak Tossie składa się do strzału. Verity nic nie mówiła. Nie musiała. Wiedziałem wszystko o tym pierwszym nalocie bombowym. Był wrzesień 1940 roku, w połowie Bitwy o Anglię, i Hitler ślubował, że bomby nigdy nie spadną na Vaterland, a kiedy spadły, zarządził bombardowanie Londynu na wielką skalę. A później, w listopadzie, bombardowanie Coventry.

Tossie machnęła młotkiem. Jej kula trafiła w moją, zrykoszetowała, odbiła się od kuli Verity i przeszła prosto przez bramkę.

Ten nalot bombowy ocalił RAF, który znacznie ustępował Luftwaffe pod względem liczebności. Gdyby Luftwaffe nie przestawiła się na bombardowanie obiektów cywilnych, wygrałaby Bitwę o Anglię i Hitler dokonałby inwazji.

Przerwij nić jedną, a zniszczysz szatę;
Dotknij choć jednej
Ze strun tysiąca, a zgrzytliwy akord
Przez wszystkie przebiegnie

John Greenleaf Whittier

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nocni goście - Pożar - Dalsze podobieństwa do „Titanica” - Duch - Lunatyzm - Pearl Harbor - Ryby - Rozmowa z robotnikiem - Finch - Złe zamiary - Verity i ja pływamy łódką po rzece - Oświadczyny po łacinie, wady i zalety tychże - Zdrowotne kłopoty Napoleona - Sen - Podobieństwo pomiędzy literaturą a prawdziwym życiem - Radosna nowina

Moja druga noc w Muchings End minęła podobnie jak pierwsza. Terence przyszedł zapytać, co Tossie o nim mówiła podczas wizyty u Chattisbourne'ów i czy nie uważam, ze jej oczy są jak „gwiazdy w piękny wieczór”, Cyryla trzeba było znieść po schodach, a Baine przyniósł mi kakao i zapytał, czy to prawda, że w Ameryce wszyscy noszą broń. Zaprzeczyłem.

- Słyszałem też, że Amerykanie niezbyt się przejmują podziałami nowymi i bariery społeczne są tam mniej sztywne.

Zastanawiałem się, co mają rewolwery do podziałów klasowych i czy Baine zamierza obrać karierę przestępcy.

- Z pewnością tam wszyscy mają prawo szukać szczęścia - powiedziałem. - I szukają.

- Czy to prawda, że przemysłowiec Andrew Carnegie był synem górnika? - wypytywał Baine, a kiedy potwierdziłem, nalał mi kakao i ponownie podziękował za odnalezienie Księżniczki Ardżumand. - Przyjemnie widzieć, jaka szczęśliwa jest panna Mering, odkąd odzyskała swoją ulubienicę.

Myślałem, że jest szczęśliwa, ponieważ rozniosła wszystkich w krokieta, ale nie powiedziałem tego na głos.

- Jeśli mogę coś dla pana zrobić, sir, żeby odwdzięczyć się za przysługę...

Nie chciałbyś czasem poprowadzić nalotu bombowego na Berlin ? - zapytałem w duchu.

Pod koniec meczu krokietowego, kiedy Tossie znęcała się nad kulą Terence'a, Verity szepnęła do mnie, żebym koniecznie zniszczył list Maud, ponieważ nie wolno nam ryzykować kolejnej niekongruencji. Więc jak tylko Baine wyszedł, zamknąłem drzwi na klucz, otworzyłem okno i potrzymałem list nad płomieniem naftowej lampy.

Papier zapłonął, skręcając się po brzegach. Płonący fragment wzleciał nagle w powietrze i sfrunął nad bukiet suchych kwiatów na komodzie. Skoczyłem za nim, wpadłem na krzesło i próbowałem go złapać, ale mój gwałtowny ruch tylko przysunął go bliżej do bukietu.

Cudownie. Spalę cały dom, żeby zapobiec niekongruencji.

Ponownie sięgnąłem po papier, który zwinnym piruetem wymknął się z zasięgu moich rąk i powoli opadł na podłogę. Zanurkowałem, żeby go schwytać w złożone dłonie, ale zanim go dotknąłem, spalił się doszczętnie, obrócił się w popiół i nieistotność.

Usłyszałem drapanie do drzwi, otworzyłem i wpuściłem Verity oraz Księżniczkę Ardżumand. Kotka natychmiast wskoczyła na poduszki i ułożyła się dekoracyjnie, a Verity przysiadła na brzegu łóżka.

- Słuchaj - powiedziałem - chyba nie ma potrzeby, żebyś znowu przechodziła. Zrobiłaś już dwa skoki w ciągu dwudziestu czterech godzin i...

- Właśnie przeszłam - oznajmiła z radosnym uśmiechem. I mam dobre nowiny.

- Naprawdę masz dobre nowiny - zapytałem nieufnie - czy tylko odczuwasz przyjemne skutki dyschronii?

- Naprawdę mam dobre nowiny - zapewniła, a potem zmarszczyła brwi. - Przynajmniej oni tak mówią. Chciałam sprawdzić, czego się dowiedzieli o wnuku i nalocie bombowym. T.J. mówi, że

nalot na Berlin nie jest punktem krytycznym. Mówi, że nie ma zwiększonego poślizgu ani na lotnisku, ani w Berlinie. Robił symy nalotu i nieobecność wnuka Terence'a w żadnej nie miała trwałych skutków. Mogę wypić twoje kakao?

- Tak - powiedziałem. - Dlaczego?

Zsunęła się z łóżka i podeszła do nocnego stolika.

- Ponieważ wystartowało osiemdziesiąt jeden samolotów i dwadzieścia dziewięć z nich zrzuciło bomby na Berlin - oświadczyła, nalewając kakao. - Brak jednego pilota nie miał znaczenia, zwłaszcza że to nie rozmiar zniszczeń skłonił Hitlera do odwetu, tylko sam fakt bombardowania Vaterlandu. A później były jeszcze trzy naloty. - Wzięła filiżankę ze spodeczkiem i znowu usiadła na łóżku.

Zapomniałem, że wykonano w sumie cztery naloty. Dobrze. To oznacza redundancję.

- I to nie wszystko - dodała Verity, sącząc kakao. - Pan Dunworthy mówi, że według wszelkich oznak Göring już wcześniej postanowił zbombardować Londyn i naloty posłużyły tylko za pretekst. Więc mówi, żeby się nie martwić, to w żaden sposób nie mogło zmienić przebiegu wojny, ale...

Wiedziałem, że jest jakieś „ale".

- ...istnieje punkt krytyczny związany z bombardowaniem, o którym powinniśmy wiedzieć. To dwudziesty czwarty lipca, noc, kiedy dwa niemieckie samoloty przypadkowo zbombardowały Londyn.

Wiedziałem o tym. Profesorze Peddick, oto kolejny przykład indywidualnego działania. Oraz ślepego przypadku. Dwa niemieckie bombowce uczestniczyły w wielkim nalocie na fabrykę samolotów w Rochester i zbiorniki oleju w Thames Haven. Samoloty prowadzące miały na wyposażeniu lokatory, ale pozostałe nie miały. Dwa odłączyły się od grupy, trafiły na artylerię przeciwlotniczą i postanowiły wyrzucić bomby i uciekać do domu. Na nieszczęście znajdowały się wówczas nad Londynem, a bomby zburzyły kościół św. Egidiusza, Crip-Plegate i zabiły cywili.

W odwecie Churchill zarządził nalot na Berlin, a w odwecie za to Hitler kazał zbombardować Londyn. Ten kot to jest chwat, który szczura zjadł, który...

- Pan Dunworthy i T.J. nie mogli znaleźć żadnego związku pomiędzy wnukiem Terence'a a tamtymi dwoma niemieckimi samolotami - ciągnęła Verity popijając kakao - ale ciągle sprawdzają. Skoro był pilotem RAF-u, istnieje możliwość, że zrobił coś... zestrzelił samolot Luftwaffe albo coś w tym stylu... co miało kluczowe znaczenie. To też sprawdzają.

- A tymczasem co mamy robić?

- Wszystko, żeby opanować sytuację i jeśli to możliwe, odesłać Terence'a z powrotem do Oksfordu, na spotkanie z Maud. Więc jutro musisz porozmawiać z profesorem Peddickiem i przekonać go że powinien wrócić do Oksfordu, do siostry i bratanicy. Popracuje nad Terence'em i jeszcze raz spróbuję dorwać pamiętnik.

- Uważasz, że to dobry pomysł? - zapytałem. - Wiesz, to jest chaotyczny system, co oznacza, że przyczyna i skutek nie są linearne. Może tylko pogarszamy sytuację, kiedy próbujemy ją naprawić. Przypomnij sobie „Titanica". Gdyby niczego nie zrobili, żeby ominąć tę górę lodową...

- Doszłoby do czołowego zderzenia - dokończyła Verity.

- Tak, i statek zostałby uszkodzony, ale by nie zatonął. Właśnie próby wykonania skrętu doprowadziły do tego, że góra lodowa rozerwała wodoszczelne grodzie i statek poszedł na dno jak kamień.

- Więc myślisz, że powinniśmy pozwolić na zaręczyny Terence'a i Tossie? - zapytała.

- Nie wiem - przyznałem. - Może jeśli przestaniemy ich rozdzielać, Terence wreszcie zrozumie, jaka jest Tossie naprawdę, i wyleczy się z zadurzenia.

- Może - mruknęła Verity, łapczywie zajadając ciastko. - Z drugiej strony, gdyby „Titanica" wyposażono w dostateczną ilość łodzi ratunkowych, nikt by nie utonął.

Dokończyła kakao i odstawiła filiżankę ze spodkiem na szafkę nocną.

- A poślizg w 2018 roku? Wykryli, co go powoduje? - zapytałem. Pokręciła głową.

- Pani Bittner niczego nie pamięta. W 2018 roku Fudżisaki ogłosił pierwsze prace o możliwościach niekongruencji, i wtedy zmodyfikowano sieć, żeby zamykała się automatycznie przy zwiększonym poślizgu - ale to było we wrześniu. Okres zwiększonego poślizgu był w kwietniu.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz.

- Może jutro pan C. przyjdzie pomóc przy festynie i nie będziemy musieli nic robić - szepnęła.

- Albo wpadniemy na górę lodową - odszepnąłem.

Jak tylko zamknęła drzwi, przypomniałem sobie, że nie zapytałem jej o Fincha.

Odczekałem pięć minut, żeby Verity bezpiecznie wróciła do swojego pokoju, potem narzuciłem szlafrok i na palcach przeszedłem korytarzem, starannie omijając przeszkody w ciemności: Laokoona, w którego położenie całkowicie się wczuwałem; paproć; popiersie Darwina; stojak na parasole.

Lekko zapukałem do drzwi Verity.

Otworzyła natychmiast, wyraźnie poirytowana.

- Nie powinieneś pukać - szepnęła, spoglądając niespokojnie w stronę sypialni pani Mering.

- Przepraszam - odszepnąłem, wślizgując się do pokoju. Verity starannie zamknęła drzwi, które wydały ciche westchnienie.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Zapomniałem zapytać, czy dowiedziałaś się, co tutaj robi Finch.

- Pan Dunworthy nie chciał mi powiedzieć - odparła ze zmartwioną miną. - Powiedział mi to samo, co Finch powiedział tobie, że chodzi o „pokrewny projekt". Myślę, że wysłali go, żeby utopił Księżniczkę Ardżumand.

- Co? - zawołałem, zapominając, że mam szeptać. - Finch?! Chyba żartujesz.

Potrząsnęła głową.

- Biegła sądowa przetłumaczyła kawałek fragmentu o Księżniczce Ardżumand. Tam było napisane: „...biedna utopiona Księżniczka Ardżumand".

- Ale skąd wiedzą, że Tossie nie napisała tego, kiedy jeszcze szukano kota? I dlaczego wysłali akurat Fincha? On nie skrzywdziłby muchy.

- Nie wiem - przyznała. - Może nam nie ufają i nie mieli nikogo innego oprócz Fincha.

W to mogłem uwierzyć, biorąc pod uwagę skłonność lady Schrapnell do rekrutowania każdego, kto nie był przybity gwoździami.

- Ale Finch? - powtórzyłem z powątpiewaniem. - I jeśli przydzieli mu takie zadanie, dlaczego wysłali go do pani Chattisbourne, a nie tutaj?

- Pewnie myślą, że pani Mering go ukradnie.

- To ty zrobiłaś za dużo skoków. Porozmawiamy o tym rano - zakończyłem i wyśliznąłem się na korytarz, gdzie panowała nieprzenikniona ciemność.

Verity cichutko zamknęła za mną drzwi i ruszyłem z powrotem. Stojak na parasole...

- Mesiel! - zabrzmiał głos pani Mering. W korytarzu rozbłysło światło. - Wiedziałam! - zawołała pani Mering i podeszła z lampą naftową w ręku.

Schody były za daleko, żeby uciekać na dół, a zresztą Baine wchodził po nich ze świecą. Nie miałem nawet czasu odskoczyć z inkryminującego miejsca pod drzwiami Verity. Nie w taki sposób pan Dunworthy kazał nam „opanować sytuację".

Przyszło mi do głowy, żeby udawać, że zszedłem na dół po książkę. Bez świecy? I gdzie była rzeczona książka? Przez jedną fantastyczną chwilę miałem ochotę odgrywać lunatyka, jak bohater „Księżycowego kamienia".

- Ja właśnie... - zacząłem, ale przerwała mi pani Mering.

- Wiedziałam! - powtórzyła. - Pan też to słyszał, panie Henry prawda?

Tossie uchyliła drzwi swojej sypialni i wystawiła głowę w papilotach.

- Mamo, co się dzieje?

- Duch! - oznajmiła pani Mering. - Pan Henry też go słyszał, prawda?

- Tak - potwierdziłem. - Właśnie wyszedłem, żeby sprawdzić. Myślałem, że ktoś się zakradł, ale nikogo nie było.

- Słyszeliście coś, Baine? - zapytała pani Mering. - Stukanie, bardzo cichutkie, a potem jakby szepty?

- Nie, proszę pani - odparł Baine. - Byłem w pokoju śniadaniowym, wykładałem srebra do śniadania.

- Ale pan to słyszał, panie Henry - upierała się pani Mering. - Na pewno. Był pan biały jak prześcieradło, kiedy wyszłam na korytarz. Słyszałam stukanie, a potem szepty, a potem jakby...

- Eteryczny jęk - podpowiedziałem.

- Właśnie! - przyklasnęła pani Mering. - Myślę, że jest więcej duchów, które rozmawiają ze sobą. Widział pan coś, panie Henry?

- Jakby błysk bieli - odpowiedziałem na wypadek, gdyby zobaczyła Verity zamykającą drzwi. - Tylko mignął i znikł.

- O! - wykrzyknęła z przejęciem pani Mering. - Mesiel! Chodź tutaj! Pan Henry widział ducha!

Pułkownik Mering nie odpowiedział, a w chwilowej ciszy, zanim zawołała ponownie, przez korytarz napłynął odległy dźwięk Cyrylowego chrapania. Jeszcze nie wyszliśmy z lasu.

- Tam! - Wskazałem ścianę nad portretem lady Schrapnell - Słyszała pani?

- Tak! - przyświadczyła pani Mering, przyciskając dłoń do łona - Jak to brzmiało?

- Dźwięk dzwonów - improwizowałem - a potem jakby szloch... - Właśnie - zgodziła się pani Mering. - Na strychu. Baine, otwórzcie drzwi na strych. Musimy wejść na górę.

W tejże chwili Verity wreszcie się zjawiła, otulona peniuarem, mrugając sennie.

- Co się stało, ciociu Malwinio?

- Duch, którego widziałam dwie noce wcześniej przy belwederku - wyjaśniła pani Mering. - Jest na strychu.

Właśnie wtedy od strony mojego pokoju doleciało do nas wyraźnie potężne prychnięcie Cyryla. Verity natychmiast podniosła wzrok na sufit.

- Słyszę je! - zawołała. - Upiorne kroki na górze!

Następne dwie godziny spędziliśmy na strychu, gmerając wśród pajęczyn i wypatrując znikających błysków bieli. Pani Mering żadnego nie dostrzegła, ale znalazła kompotierę z rubinowego szkła, litografię Landseera „Monarcha z Glen" i zjedzoną przez mole tygrysią skórę - na kiermasz staroci.

Nalegała, żeby nieszczęsny Baine zniósł je natychmiast.

- Zadziwiające, po prostu zadziwiające, jakie skarby można znaleźć na strychu - oświadczyła z entuzjazmem. - Nie uważa pan, panie Henry?

- Uhum - przytaknąłem ziewając.

- Obawiam się, że duch odszedł - odezwał się Baine, wchodząc znowu na strych. - Nasza dalsza obecność tylko go wystraszy.

- Macie całkowitą rację, Baine - przyznała pani Mering i wreszcie mogliśmy iść spać.

Bałem się, że Cyryl znowu zacznie chrapać, kiedy szliśmy korytarzem, ale z mojego pokoju nie dochodził żaden dźwięk. Cyryl i Księżniczka Ardżumand siedzieli sztywno wyprostowani na środku łóżka, tocząc nos w nos (to, co u Cyryla uchodziło za nos) pojedynek spojrzeń.

- Nie patrzeć - ostrzegłem, zdejmując szlafrok i wpełzając do łóżka. - Nie chrapać. Nie rozpychać się.

Nie wykonały żadnej z wyżej wymienionych czynności. Natomiast zaczęły chodzić dookoła łóżka, obwąchując sobie nawzajem ogony (w przypadku Cyryla to, co uchodziło za ogon) i mierząc się groźnym wzrokiem.

- Leżeć - syknąłem, a potem wpatrywałem się w ciemność, martwiłem się, co dalej robić, i rozmyślałem o przypadkowym bombardowaniu Londynu.

To miało sens, że tam był punkt krytyczny. W grę wchodziły tylko dwa samoloty i niewiele było trzeba, żeby zmienić bieg wypadków. Samoloty mogły zauważyć jakiś punkt orientacyjny i określić swoje położenie, albo mogły zrzucić bomby na pole z dyniami czy do kanału, albo mogła je strącić artyleria przeciwlotnicza. Albo coś jeszcze mniejszego, jakieś drobne zdarzenie, o którym nikt nie wiedział. To był chaotyczny system.

Więc nie wiadomo było, co mamy robić, a czego nie robić i jak to wpłynie na małżeństwo Terence'a z Maud.

Cyryl i Księżniczka Ardżumand ciągle chodzili dookoła łóżka.

- Leżeć - rozkazałem i Cyryl, o dziwo, zwalił mi się na stopy. Księżniczka Ardżumand podeszła do niego, usiadła przy jego głowie i zręcznie trzepnęła go w nos.

Cyryl usiadł z obrażoną miną, a Księżniczka Ardżumand rozłożyła się na jego miejscu.

Gdybyż to było takie proste. Akcja i reakcja. Przyczyna i skutek. Ale w chaotycznym systemie działania nie zawsze doprowadzają do zamierzonych skutków.

Weźmy list, który próbowałem spalić dzisiaj wieczorem. Albo okręt wojenny „Nevada". W pierwszej fali ataku na Pearl Harbor został uszkodzony, ale nie zatopiony, więc podniósł ciśnienie w kotłach i próbował wydostać się z zatoki, żeby zyskać pole do manewru. W rezultacie o mało nie zatonął w kanale, gdzie zablokowałby wyjście z zatoki na długie miesiące.

Z drugiej strony technik radarowy w stacji Opana zadzwonił do swojego oficera przełożonego o 7.05 rano, prawie pięćdziesiąt minut przed atakiem na Pearl Harbor, i zameldował wielką ilość niezidentyfikowanych samolotów nadlatujących z północy. Oficer kazał mu je zignorować, to nic ważnego, i wrócił do łóżka.

No i Wheeler Field, gdzie zaparkowano wszystkie samoloty na środku, żeby je uchronić przed sabotażem. A japońskim Zerom wystarczyło dokładnie dwie i pół minuty, żeby wszystkie zniszczyć.

Wprawdzie motto lady Schrapnell brzmiało: „Bóg jest w szczegółach", do mnie jednak bardziej przemawiało: „I tak źle, i tak niedobrze"

Ciągle jeszcze rozmyślałem o Pearl Harbor, kiedy zszedłem śniadanie. Tossie stała przy kredensie, trzymając Księżniczkę Ardżumand, zdejmowała po kolei pokrywy ze srebrnych półmisków i przykrywała je z niezadowoloną miną.

Po raz pierwszy poczułem do niej odrobinę sympatii. Biedne stworzenie, skazane na życie wśród błahostek i obrzydliwe śniadania. Nie wolno iść do szkoły, nie wolno robić nic pożytecznego, a na dodatek pasztet z węgorza. Właśnie pomyślałem, że zbyt surowo ją oceniałem, kiedy trzasnęła pokrywą z wyszczerzonym wilkiem, podniosła srebrny dzwonek stojący obok i zadzwoniła gwałtownie.

Baine zjawił się po chwili, z naręczem kokosów w objęciach i sztuką purpurowego flagowego materiału przewieszoną przez ramię.

- Tak, panienko?

- Dlaczego dzisiaj nie ma ryby na śniadanie? - zapytała Tossie.

- Pani Posey jest zajęta przygotowaniem ciast i przekąsek na jutrzejszy festyn - wyjaśnił Baine. - Powiedziałem jej, że cztery gorące dania wystarczą.

- No więc nie wystarczą - warknęła Tossie.

Weszła Jane ze stosem pokrowców na meble, dygnęła przed Tossie i zatrajkotała pospiesznie:

- Przepraszam panienkę. Panie Baine, przyszli ludzie z namiotem na herbatę, a lokaj panny Stiggins chce wiedzieć, gdzie postawić dodatkowe krzesła.

- Dziękuję, Jane - odparł Baine. - Powiedz im, że zaraz przyjdę.

- Tak, sorr - powiedziała Jane, dygnęła i wybiegła.

- Życzę sobie pstrąga z rusztu na śniadanie. Skoro pani Posey jest zajęta, wy go przygotujecie - rozkazała Tossie i na miejscu Baine'a walnąłbym ją kokosem.

Baine tylko spojrzał na nią twardo, wyraźnie próbując zachować pokerową twarz, i powiedział:

- Jak panienka sobie życzy. - Popatrzył na Księżniczkę Ardżumand. - Jeśli wolno mi powiedzieć, panienko, zachęcanie kotki do jedzenia ryb nie wyjdzie jej na dobre. Gdyby tylko...

- Nie pozwoliłam wam mówić - przerwała mu władczo Tossie. - Jesteście sługą. Natychmiast przynieście mi pstrąga z rusztu.

- Jak panienka sobie życzy - mruknął Baine i ruszył do drzwi, żonglując kokosami, żeby ich nie upuścić.

- Macie go podać na srebrnym półmisku - zawołała za nim Tossie - I uwiążcie tego okropnego psa Terence'a. Dzisiaj rano próbował gonić moją kochaną Dziudziu.

To przesądzało sprawę. Nie mogłem pozwolić, żeby Tossie wyszła za Terence'a, i do diabła z naruszaniem kontinuum. Wszechświat w którym Cyryl (i Baine) musieli to znosić, nie był wart zachodu.

Pobiegłem na górę do pokoju profesora Peddicka. Nie było go ale w jego pokoju zastałem Terence'a. Golił się.

- Tak się zastanawiam - zacząłem, obserwując z fascynacja jak Terence namydla pędzlem twarz. - Profesor Peddick wyjechał z Oksfordu już trzy dni temu i jeszcze nie byliśmy w Runnymede. Może pojedziemy tam dzisiaj, a potem jutro wrócimy do Oksfordu. No wiesz tutaj tylko przeszkadzamy, z tym kiermaszem staroci i w ogóle.

- Obiecałem pannie Mering, że zostanę i pomogę przy festynie - odparł Terence, skrobiąc policzek morderczo ostrą brzytwą. - Ona chce, żebym kierował Jazdą na Kucyku.

- Możemy go odwieźć do Oksfordu pociągiem dzisiaj po południu - zaproponowałem - i wrócić akurat na festyn. Siostra i bratanica profesora na pewno za nim tęsknią.

- Wysłał do nich telegram - odparł Terence, goląc podbródek.

- Ale może one przyjechały tylko na krótko - podsunąłem. - Szkoda, gdyby się z nimi rozminął.

Nie wydawał się przekonany.

- „Czas ucieka - postanowiłem użyć cytatu - i szansa, raz utracona, nigdy już nie wraca".

- Prawda - przyznał Terence, beztrosko przesuwając ostrzem po swojej grdyce. - Ale osoby w rodzaju krewnych profesora Peddicka zawsze zostają przez wieczność. - Starł ręcznikiem resztki mydła - Bratanica w sinych pończochach pewnie rozpoczęła kampanię na rzecz uczelni dla kobiet albo prawa głosu, albo czegoś innego, i zostaną w Oksfordzie na cały trymestr. Nowoczesne dziewczęta! Dzięki niebiosom, że panna Mering jest staromodną dziewczyną, skromną i nieśmiałą, i „słodką jak rosa na cierniu mlecznobiałym, jak dreszcz radości w sercu oniemiałym".

To było beznadziejne, ale próbowałem jeszcze przez kilka minut, a potem poszedłem popracować

nad profesorem Peddickiem.

Nie dotarłem do niego. Pani Mering osaczyła mnie w drodze do sadzawki i zażądała, żebym rozwiesił plakaty w wiosce, co zajęło mi czas prawie do południa.

Na trawniku przed domem stała na drabinie Verity i zawieszała chińskie lampiony pomiędzy straganami, które zbijali robotnicy.

- Udało ci się z pamiętnikiem?

- Nie - odparła niezadowolona. - Przeszukałam każdą szparkę i każdą falbankę w jej pokoju, i nic. - Zeszła z drabiny. - Udało ci się z Terence'em?

Pokręciłem głową.

- Gdzie on jest? - zapytałem, rozglądając się po straganach. - Chyba nie z Tossie?

- Nie - uspokoiła mnie Verity. - Pani Mering wysłała Terenem do Goring po nagrody do stawu wędkarskiego, a Tossie poszła do Chattisbourne'ów pożyczyć wstążkę do kapelusza. Zostanie tam na cale popołudnie.

- Z powodu wstążki? Przytaknęła.

- Powiedziałam jej, że potrzebuje specjalnego odcienia lila, coś pomiędzy fiołkiem a barwinkiem, z odrobiną lawendowego błękitu. A dziewczęta Chattisbourne'ów chcą się dowiedzieć wszystkiego o tobie. Oboje, Tossie i Terence, będą bezpiecznie zajęci aż do herbaty.

- Doskonale - stwierdziłem. - Po południu wezmę się za profesora Peddicka.

- To absolutnie wykluczone! - oświadczyła pani Mering głosem tak podobnym do głosu lady Schrapnell, że mało nie dostałem ataku serca. - Festyn jest jutro! Do tej pory muszą mi dostarczyć kryształową kulę!

Podniosłem lampion, żeby wyglądać na zajętego, i przez stragan wyrobami wełnianymi zajrzałem do niewykończonej budki wróżki. Robotnik w surducie, cylindrze i rzeźnickim fartuchu kulił się przy swoim wozie.

- Firma Felpham i Muncaster bardzo przeprasza za ewentualne niedogodności - bąkał pokornym tonem - i dołoży wszelkich starań...

- Niedogodności! - prychnęła pani Mering. - Próbujemy zebrać pieniądze na fundusz odbudowy!

Wróciłem do Verity.

- Nie przysłali kryształowej kuli.

- Takie rzeczy należy przewidywać - odparła Verity ze złośliwym uśmiechem - -Jeśli chcesz złapać profesora Peddicka, lepiej się pośpiesz. On i Pułkownik wybierają się na ryby.

- Musicie ją dostarczyć dzisiaj do czwartej po południu - zagrzmiała Pani Mering.

- Ależ pani Mering...

- Punkt czwarta!

- Nie wiesz, gdzie jest profesor Peddick? - zapytałem Verity.

- Chyba w bibliotece - odparła, wzięła następny lampion i podkasała spódnicę, żeby wspiąć się na drabinę. - Przeglądał coś o bitwie pod Bannockburn. Zanim pójdziesz - zeszła jeden stopień z drabiny - przemyślałam to, co mówiłeś o Finchu, i miałeś rację. Ktoś taki nie utopiłby kota. - Przyłożyła dłoń do czoła. - Nie bardzo mogę zebrać myśli, kiedy jestem dyschronowana.

- Znam to uczucie - potwierdziłem.

- Ale nie wymyśliłam, co Finch tutaj robi - ciągnęła. - A ty?

Pokręciłem głową.

- Skoczę zobaczyć, czy biegła sądowa do czegoś doszła - zaproponowała Verity. - Spróbuję dowiedzieć się czegoś o Finchu. Pan Dunworthy nic mi nie powie, ale może coś wyciągnę od Warder.

Kiwnąłem głową i poszedłem szukać profesora Peddicka, obchodząc wielkim łukiem panią Mering, żeby znowu nie znalazła mi zajęcia.

Profesora nie było w bibliotece ani w salonie. Sprawdziłem w stajni, po czym zawróciłem do domu, żeby zapytać Jane, czy go nie widziała.

Byłem w połowie drogi, kiedy z drzwi dla służby wyszedł Finch razem z Jane. Powiedział coś do niej, a ona zachichotała, a potem stała uśmiechnięta i machała do niego fartuszkiem na pożegnanie.

Podszedłem do niej.

- Jane - zapytałem - co Finch tutaj robił?

- Przyniósł pierniki na jutrzejszy festyn - wyjaśniła, odprowadzając go tęsknym wzrokiem. - Szkoda, że on nie jest naszym kamerdynerem zamiast pana Baine'a. Pan Baine zawsze naskakuje na mnie, że nie czytam książek i że powinnam się rozwijać, jeśli nie chcę być pokojówką do końca życia, ale pan Finch zawsze jest taki miły, nigdy nie krytykuje, tylko rozmawia.

- O czym z tobą rozmawiał? - zagadnąłem, siląc się na niedbały ton.

- Och, o tym i owym. O jutrzejszym festynie, pytał, czy kupię los na loterii, i jak Księżniczka Ardżumand zginęła. Zwłaszcza interesował się Księżniczką Ardżumand, wypytywał mnie o nią.

- O Księżniczkę Ardżumand? - rzuciłem ostro. - Co mówił?

- Och, tylko jak to dobrze, że nie utonęła, i czy miała kiedyś kocięta, panna Stiggins mówi, że to taka ładna kotka, chciałaby wziąć jednego kociaka, i czy zawsze jest z panną Mering, czy czasami włóczy się samotnie, takie rzeczy.

- Chciał ją zobaczyć?

- Chciał - potwierdziła Jane - ale nie mogłam jej znaleźć. Powiedziałam mu, że pewnie jest nad sadzawką i próbuje złowić złote rybki pułkownika. - Nagle jakby uświadomiła sobie, z kim rozmawia. - Ja niczego złego nie zrobiłam, żem z nim rozmawiała, prawda, sorr? Pracowaliśmy przez cały czas.

- Nie, ależ skąd - uspokoiłem ją. - Pytałem tylko, bo myślałem, że przyniósł gablotkę osobliwości na kiermasz staroci.

- Nie, sorr - odparła Jane. - Tylko pierniki.

- Och - mruknąłem i ruszyłem w stronę sadzawki, najpierw normalnym krokiem, dopóki Jane mnie widziała, a potem galopem. Verity miała rację. Finch czyhał na życie Księżniczki Ardżumand.

Przebiegłem przez trawnik, gdzie pani Mering wciąż wrzeszczała na robotnika, obok miejsca, gdzie wcześniej Verity zawieszała chińskie lampiony. Drabina wciąż tam stała, ale Verity znikła; pewnie już przeskoczyła do Oksfordu.

Minąłem zarośla bzu, obiegłem belwederek i wpadłem na ścieżkę prowadzącą wzdłuż rzeki. Nigdzie nie widziałem ani śladu Księżniczki Ardżumand czy jej potencjalnych morderców i znowu sobie uświadomiłem, jak wielką różnicę może stanowić kilka minut.

- Księżniczko Ardżumand! - zawołałem i przebiegłem przez ogród kwiatowy do skalnego ogródka.

Sadzawka znajdowała się pośrodku skalnego ogródka, obudowana cegłami i porośnięta liliami wodnymi. Obok sadzawki siedział Cyryl, a na ceglanym murku przysiadła Księżniczka Ardżumand i delikatnie zanurzała łapkę w wodzie.

- Przestań - rozkazałem, a Cyryl podskoczył i zrobił minę winowajcy.

Księżniczka Ardżumand dalej spokojnie gmerała łapką w wodzie, jakby łowiła na błyszczkę.

- No dobrze, wy dwoje, jesteście aresztowani - rzuciłem. – Idziemy

Złapałem Księżniczkę Ardżumand i ruszyłem do domu. Cyryl dreptał za mną ze zwieszoną głową.

- Powinieneś się wstydzić - skarciłem go. - Pozwalasz, żeby cię wciągnęła w przestępczą działalność. Wiesz, co by się z tobą stało, gdyby Baine cię przyłapał? - I dostrzegłem błysk sieci

obok belwederku.

Rozejrzałem się niespokojnie z nadzieją, że w pobliżu nie ma ni kogo innego. Sieć zaczęła lśnić, a Cyryl odskoczył i cofał się warcząc.

Verity wyłoniła się obok belwederku i rozejrzała się dookoła.

- Ned! - zawołała na mój widok. - Jak miło, że wyszedłeś mnie spotkać.

- Czego się dowiedziałaś? - zapytałem.

- I przyprowadziłeś Cyryla - ciągnęła, klepiąc go po łbie. - I kochaną-kochaną Dziudziu - zagruchała, odebrała mi kotkę i przytuliła ją czule. Zaczęła bawić się kocimi łapkami, a Księżniczka Ardżumand na niby atakowała jej palce. - Jak biedna kiciunia może wytsymać, ze pani do niej gawozy jak do niemowlaka? Podlap ją za to, podlap panią, kiciuniu.

- Verity, dobrze się czujesz? - zapytałem.

- Doskonale - zapewniła, wciąż bawiąc się z Księżniczką Ardżumand w koci-koci-łapci. - Gdzie jest Terence? Muszę mu powiedzieć, że nie może kochać się w Tossie, ponieważ zagrożony jest los wolnego świata. W dodatku - zniżyła głos do scenicznego szeptu - ona oszukuje w krokiecie.

- Ile skoków zrobiłaś? - zapytałem surowo. Verity zmarszczyła brwi.

- Szesnaście. Nie, osiem. Dwanaście. - Zerknęła na mnie. -Wiesz, to nie fair.

- Co takiego? - zdziwiłem się.

- Twój słomkowy kapelusz. Wyglądasz w nim jak lord Peter Wunsey, zwłaszcza kiedy nasuniesz go na czoło. - Ruszyła przez trawnik.

Odebrałem jej Księżniczkę Ardżumand, postawiłem kota na ziemi i złapałem Verity za ramię.

- Muszę znaleźć Tossie - oświadczyła. - Mam jej kilka słów do powiedzenia.

- Nie najlepszy pomysł - sprzeciwiłem się. - Usiądźmy na chwilę. W belwederku.

Zaprowadziłem ją do altany. Potulnie poszła za mną.

- Kiedy cię zobaczyłam pierwszy raz, pomyślałam: on wygląda zupełnie jak lord Peter Wimsey. Nosiłeś ten kapelusz i... nie, to nie pierwszy raz - rzuciła oskarżycielskim tonem. - Pierwszy raz był w gabinecie pana Dunworthy'ego i cały byłeś umazany sadzą. Ale wyglądałeś zachwycająco, chociaż usta ci się nie domykały. - Przyjrzała mi się krytycznie. - Miałeś wąsy?

- Nie - odparłem, prowadząc ją po stopniach belwederku. - Teraz opowiedz mi dokładnie, co się stało w Oksfordzie. Dlaczego zrobiłaś dwanaście skoków?

- Siedem - sprostowała. – T.J. chciał przetestować poślizg przy skokach do maja i sierpnia 1888 roku. Szuka najbliższego otoczenia radykalnie zwiększonych poślizgów - mówiła już bardziej logicznie, a ja pomyślałem, że dyschronia stanowi tylko przejściowy objaw. - Mówił, że nasza niekongruencja nie pasuje do schematu - ciągnęła Verity. - Wokół ogniska powinien wystąpić obszar umiarkowanie zwiększonego poślizgu. Wiesz, dlaczego Napoleon przegrał bitwę pod Waterloo? Lało. Jak z cebra.

Niestety, wcale nie przejściowy.

- Dlaczego T.J. wysłał cię na te wszystkie skoki? - zapytałem. - Dlaczego nie wysłał Carruthersa?

- Nie mogli go wydostać.

- Nie, to rekruta nie mogli wydostać - sprostowałem. Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Carruthersa.

Nie wiedziałem, czy mówiła prawdę, czy coś pokręciła. I czy mówimy o tym samym - na skutek trudności w rozróżnianiu dźwięków, zaburzeń wzroku oraz ak-ak karabinów maszynowych łomoczących w jej uszach mogła prowadzić całkowicie inną rozmowę.

- Verity, muszę cię zabrać... - Dokąd? Potrzebowała snu, ale nie miałem szans przeprowadzić jej przez pole minowe pomiędzy belwederkiem a domem. Wielebny pan Arbitage będzie na trawniku

nadzorował służących, pani Mering będzie nadzorowała wielebnego pana Arbitage, a Tossie mogła wrócić wcześniej od Chattisbourne'ów szukać frajerów do meczu krokieta.

Stajnia? Nie, po drodze musielibyśmy przeciąć róg trawnika. Najlepiej chyba zostać tutaj, w belwederku, i nakłonić Verity, żeby położyła się na ławce.

- A co jest złego w Wielkim Planie, chciałbym wiedzieć? - rozległ się głos profesora Peddicka od strony sadzawki. – Oczywiście Overforce nie potrafi sobie wyobrazić Wielkiego Planu. On planuje tylko jak wytresować psa, żeby skakał z drzew na niewinnych przechodniów.

- Chodź, Verity - powiedziałem i pomogłem jej się podnieść. Nie możemy tutaj zostać.

- Dokąd idziemy? - zapytała. - Chyba nie na kiermasz staroci? Nie znoszę kiermaszów. Nie znoszę muszelek, frędzelków, haftów, wolut, frywolitek i tych koralików, które wszędzie wtykają. Dlaczego nie wystarczy im tyle, ile trzeba?

- Nie dostrzegamy planu, ponieważ jesteśmy jego częścią - perorował znacznie bliższy głos profesora Peddicka. - Czy nić na krośnie dostrzega wzór tkaniny? Czy żołnierz dostrzega strategię bitwy, w której walczy?

Pospiesznie wyprowadziłem Verity z belwederku i zaciągnąłem za krzaki bzu.

- Chodź - powiedziałem i wziąłem ją za rękę jak dziecko. - Musimy iść. Tędy.

Zaprowadziłem ją ścieżką nad rzekę. Towarzyszyli nam Cyryl i Księżniczka Ardżumand, która ocierała się nam o nogi i opóźniała tempo marszu.

- Cyryl - szepnąłem - idź poszukać Terence'a.

- Dobry pomysł - pochwaliła mnie Verity. - Terence'owi też mam parę słów do powiedzenia. „Terence - powiem mu - jak możesz zakochać się w osobie, która nienawidzi twojego psa?"

Dotarliśmy do ścieżki holowniczej.

- Szsz - syknąłem, nadsłuchując głosu profesora Peddicka.

- Poprzez sztukę, poprzez historię dostrzegamy drobne fragmenty Wielkiego Planu - mówił jakby z większej odległości. - Lecz tylko na krótką chwilę. „Gdyż niezbadane Jego dzieła i niepojęte Jego drogi". - Głos przycichał, widocznie szli w stronę domu.

- Założę się, że Maud Peddick uwielbia psy - powiedziała Verity - To urocza dziewczyna. Nie prowadzi pamiętnika, jest patriotką.

Na przystani nikogo nie było. Szybko pociągnąłem Verity nad rzekę.

- Od jej imienia nazwano poemat - mówiła Verity. - „Maud, pójdź do ogrodu, czekam samotnie przy bramie". Tennyson. Terence uwielbia cytować Tennysona. Kiedy Maud Peddick krzyczy, założę się, że to prawdziwy wrzask, a nie dziecinne okrzyczki. Och, popłyniemy łódką ?

- Tak. - Pomogłem jej wejść do łodzi. - Siadaj.

Stanęła na rufie, chwiejąc się lekko i spoglądając tęsknie na rzekę.

- Lord Peter zabrał Harriet na przejażdżkę łódką – oznajmiła - Karmili kaczki. My też będziemy karmić kaczki?

- Jasne - potwierdziłem, odwiązując cumę. - Usiądź.

- Och, patrz - wskazała na brzeg. - One też chcą płynąć. Jakie to słodkie!

Poderwałem głowę i spojrzałem na brzeg. Cyryl i Księżniczka Ardżumand stali obok siebie na małej przystani.

- Czy Cyryl może popłynąć z nami? - poprosiła Verity. Perspektywa ratowania dwóch martwych ciężarów, gdyby wypadły za burtę, niezbyt mnie pociągała. Z drugiej strony jeśli zabiorę zwierzaki, zapewnię bezpieczeństwo Czarnemu Maurowi. A jeśli Finch rzeczywiście chciał utopić Księżniczkę Ardżumand, ze mną będzie bezpieczniejsza.

- Mogą popłynąć z nami - ustąpiłem i załadowałem Cyryla na pokład, po dwie nogi naraz.

Księżniczka Ardżumand natychmiast odwróciła się na pięcie, zadarła śliczny ogon i pomaszerowała w stronę sadzawki.

- O nie, nic z tego - zawołałem, złapałem ją i podałem Verity, która ciągle stała na rufie. - Siadaj - rozkazałem i odepchnąłem łódź od brzegu.

Verity usiadła z łomotem, ściskając kotkę w ramionach. Wskoczyłem do łodzi, chwyciłem wiosła i zacząłem wiosłować pod prąd.

Z prądem popłynęlibyśmy szybciej, ale musielibyśmy minąć dom i spory odcinek trawnika, a ja nie chciałem, żeby ktoś nas zobaczył. Skierowałem łódź w górę rzeki i pospiesznie oddaliłem się od Muchings End. Na rzece zobaczyłem wiele łodzi. Z jednej pomachano do nas wesoło, a Verity odmachała. Przyspieszyłem wiosłowanie z nadzieja, że to nie była któraś z dziewcząt Chattisbourne'ów.

Myślałem, że na rzece będziemy bezpieczni, ale zapomniałem, jak wiele osób po południu wybiera się na łódki i na ryby. Najwyraźniej nie byliśmy bezpieczni, więc zacząłem rozglądać się za jakąś zatoczką albo boczną odnogą.

- Mówiłeś, że będziemy karmić kaczki - odezwała się Verity z pretensją - Lord Peter i Harriet karmili kaczki.

- Będziemy, obiecuję - zapewniłem ją. Na przeciwnym brzegu rosły wierzby płaczące, których gałęzie niemal zanurzały się w wodzie. Posłowałem w tamtą stronę.

- Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? - zapytała Verity. – Ja nie wierzyłam. A potem zobaczyłam ciebie, jak tam stałeś umazany sadzą... kiedy będziemy karmić kaczki?

Wpłynąłem pod wierzby, odpychając się wiosłem od brzegu by ustawić łódź równolegle. Tutaj byliśmy całkowicie ukryci przed ludzkim wzrokiem. Gałęzie wierzby tworzyły łuk nad naszymi głowami i opadały do wody, zamykając nas w bladozielonej altanie. Słońce przeświecało przez liście niczym sieć tuż przed otwarciem.

Odłożyłem wiosła i luźno zaczepiłem cumę o nisko zwieszona gałąź. Chyba znaleźliśmy bezpieczną kryjówkę.

- Verity - zacząłem, wiedząc z góry, że to beznadziejne. - Czego się dowiedziałaś w Oksfordzie?

Bawiła się z Księżniczką Ardżumand, machając jej przed nosem wstążkami z kapelusza.

- Rozmawiałaś z biegłą sądową? - nalegałem. - Odkryła, kim jest pan C?

- Tak - powiedziała Verity.

- Tak - powtórzyłem. - Więc wiesz, kim jest pan C?

- Nie. - Zmarszczyła brwi. - To znaczy tak, rozmawiałam z nią. - Zdjęła kapelusz i zaczęła odwiązywać jedną wstążkę. - Mówiła, że ma od siedmiu do dziesięciu liter, ostatnia to „N" albo „M".

Więc mogliśmy wykluczyć pana Chipsa. I Lewisa Carrolla.

- Powiedziałam jej, żeby przestała szukać wzmianek o Księżniczce Ardżumand - ciągnęła Verity - i skupiła się na panu C. oraz na dacie wycieczki do Coventry. - Odwiązała do końca wstążkę i potrząsnęła nią przed Księżniczką Ardżumand.

- Dobrze - mruknąłem. - Mówiłaś, że Carruthers utknął w Coventry. Nie chodziło ci o nowego rekruta?

- Nie - odparła, bawiąc się z kotem. Kot stanął na tylnych łapach i uderzał we wstążkę białymi łapkami. - Wydostali go. Poza tym to co innego.

Machnęła wstążką w górę i w dół. Cyryl podszedł zbadać sytuacje.

- Dlaczego co innego? - zapytałem cierpliwie.

Cyryl powąchał dyndającą wstążkę. Kotka trzepnęła go zręcznie w nos i wróciła do zabawy.

- Nowy rekrut nie mógł znaleźć sieci - wyjaśniła Verity. - Była otwarta. Teraz jest zamknięta.

- Kiedy próbują sprowadzić Carruthersa z powrotem, sieć się nie otwiera? - upewniłem się, a ona przytaknęła.

T.J. mówił, że awaria sieci to oznaka pogorszenia się niekongruencji.

- I próbowali więcej niż raz?

- Próbowali wszystkiego - powiedziała i ostro poderwała wstążkę góry. Kot skoczył za nią, aż łódź się zakołysała. - TJ. nawet wypróbowuje bitwę pod Waterloo.

Wspomniała coś przedtem o Waterloo, ale zakładałem, ze to tylko bełkot.

- Co dokładnie robi T.J.? - zapytałem.

- Zmienia rzeczy - odparła, trzymając wstążkę całkiem nieruchomo. Księżniczka Ardżumand obserwowała ją czujnie, gotowa do skoku. - Otwiera bramę w Hougoumont, sprowadza oddziały D'Erlona. Wiedziałeś, że Napoleon miał okropny charakter pisma? Gorszy niż pamiętnik Tossie. Nikt nie potrafi go odcyfrować.

Gwałtownie poderwała wstążkę. Księżniczka Ardżumand skoczyła. Łódź się zakołysała.

- Osobiście myślę, że przegrał bitwę przez swoje hemoroidy. Cokolwiek T.J. wyrabiał z Waterloo, to musiało zaczekać. Robiło się późno, a Verity nie wykazywała żadnych oznak poprawy. Absolutnie nie mogłem jej odwieźć w takim stanie i nie znałem innego sposobu, żeby jej pomóc, tylko sen.

- Nie mógł jeździć konno z powodu hemoroidów - mówiła Verity. - Dlatego został na noc we Fleurus. I dlatego przegrał bitwę.

- Tak, pewnie masz rację - przyświadczyłem. - Chyba powinnaś położyć się i odpocząć.

Dalej majtała wstążką.

- To okropne, naprawdę, jak ważne bywają takie drobiazgi. Na przykład to, że uratowałam Księżniczkę Ardżumand. Kto by pomyślał, że z tego powodu przegrają wojnę?

- Verity - powiedziałem stanowczo i odebrałem jej wstążkę. - Teraz musisz położyć się i odpocząć.

- Nie mogę - zaprotestowała. - Muszę ukraść pamiętnik Tossie i dowiedzieć się, kim jest pan C, a potem złożyć raport panu Dunworthy'emu. Muszę naprawić niekongruencję.

- Zostało mnóstwo czasu - uspokoiłem ją. - Najpierw musisz się przespać.

Wyciągnąłem z dziobu nieco wilgotną poduszkę i umieściłem na ławce.

- Połóż się tutaj.

Położyła się posłusznie i oparła głowę na poduszce.

- Lord Peter Wimsey uciął sobie drzemkę - oznajmiła. - Harriet czuwała nad jego snem i wtedy zrozumiała, że go kocha.

Znowu usiadła.

- Oczywiście ja wiedziałam o tym od drugiej strony „Silnej trucizny", ale Harriet potrzebowała jeszcze dwóch książek, zanim to odkryła. Wmawiała sobie, że chodzi po prostu o wykrywanie zbrodni odczytywanie szyfrów i rozwiązywanie zagadek, ale ja wiedziałam, że ona go kocha. Oświadczył się po łacinie. Pod mostem. Kiedy już rozwiązali zagadkę. Nie można się oświadczyć przed rozwiązaniem zagadki. To reguła w powieściach kryminalnych.

Westchnęła.

- Szkoda. *„Placetne, magistra?",* zapytał, kiedy się oświadczył, a ona odpowiedziała: *„Placet"*. To taki wymyślny oksfordzki sposób powiedzenia „tak". Musiałam to sprawdzić w słowniku. Nie znoszę, jak ludzie używają łaciny i nie mówią, co to znaczy. Wiesz, co mi wczoraj powiedział profesor Peddick? *„Raram facit misturam cum sapientia forma"*. Nie mam pojęcia, o co mu

chodziło. Pewnie o Wielki Plan. Wierzysz w Wielki Plan, Ned?

- Porozmawiamy o tym później - zaproponowałem, poklepując poduszkę. - Teraz się kładź.

Znowu się położyła.

- A jednak to było romantyczne, oświadczyny po łacinie. Chyba kapelusz przesądził sprawę. Siedziała i patrzyła, jak spał, i wyglądał tak przystojnie w swoim słomkowym kapeluszu. I ten wąs. Trochę krzywy, wiedziałeś?

- Tak. - Zdjąłem blezer i narzuciłem jej na ramiona. - Zamknij oczy i śpij.

- Będziesz czuwał nad moim snem?

- Będę czuwał nad twoim snem - obiecałem.

- To dobrze - westchnęła i zamknęła oczy. Upłynęło kilka minut.

- Możesz zdjąć ten kapelusz? - poprosiła sennie Verity.

- Oczywiście - uśmiechnąłem się.

Położyłem kapelusz obok siebie na ławce. Verity zwinęła się w kłębek na boku, podłożyła dłoń pod policzek i zamknęła oczy.

- Nie pomogło - wymamrotała.

Cyryl rozłożył się na dnie łodzi, a Księżniczka Ardżumand przysiadła mi na ramieniu jak papuga i zaczęła mruczeć.

Spojrzałem na Verity. Miała cienie pod oczami i uświadomiłem sobie, że przez ostatnie dwa dni wcale nie spała więcej ode mnie: wykonywała skoki o różnych porach, planowała strategie, spędzała nie wiadomo ile czasu w Oksfordzie, wyszukiwała potomków Terence'a i rozmawiała z biegłą sądową. Biedactwo.

Cyryl i Księżniczka Ardżumand zasnęli. Pochyliłem się do przodu oparłem łokieć na kolanie i policzek na dłoni.

Czuwałem nad snem Verity.

Odpoczywałem przy tym prawie tak samo, jakbym sam spał. Łódź kołysała się lekko, słońce przesiewało przez liście migotliwe blaski i cienie. Verity spała cicho, spokojnie, z twarzą gładką i odprężoną w spoczynku.

I musiałem stawić czoło prawdzie. Choćbym nie wiadomo jak długo spał albo ona nie spała, zawsze pozostanie dla mnie najadą. Nawet kiedy tak leżała z zamkniętymi brązowozielonymi oczami i rozchylonymi ustami, śliniąc się lekko na wilgotną poduszkę, wciąż była najpiękniejszą istotą, jaką widziałem w życiu.

- „Ona ma cudną twarz" - mruknąłem i w przeciwieństwie do Terence'a uznałem, że to doskonały opis.

W pewnej chwili sam przysnąłem i widocznie głowa mi opadła. Łokieć zsunął mi się z kolana i wyprostowałem się gwałtownie.

Księżniczka Ardżumand na moim ramieniu miauknęła zirytowana i zeskoczyła na ławkę obok mnie.

Verity i Cyryl ciągle spali. Księżniczka Ardżumand ziewnęła szeroko, przeciągnęła się, podeszła do burty i spojrzała w wodę. Przycupnęła na okrężnicy i delikatnie zanurzyła w wodzie białą łapkę.

Smugi słonecznego blasku wpadały teraz przez wierzbowe gałęzie pod większym kątem i przybrały złocisty odcień. Wyciągnąłem kieszonkowy zegarek i otwarłem go z trzaskiem. Wpół do IV. Powinniśmy wracać, zanim zaczną nas szukać. Jeśli już nas nie szukali.

Wcale nie chciałem budzić Verity. Wyglądała tak spokojnie pogrążona we śnie, z lekkim uśmiechem na ustach, jakby śniła coś przyjemnego.

- Verity - powiedziałem cicho i pochyliłem się, żeby dotknąć jej ramienia.

Rozległ się plusk. Skoczyłem do burty.

- Księżniczko Ardżumand! - zawołałem, a Cyryl usiadł ze zdumioną miną.

Nigdzie nie było ani śladu kota. Przechyliłem się przez okrężnicę, podwinąwszy rękaw.

- Księżniczko Ardżumand!

Zanurzyłem ramię głęboko w wodzie i próbowałem ją odnaleźć po omacku.

- Ty nie utoniesz! Słyszysz? Przecież ryzykowaliśmy cały wszechświat, żeby cię uratować! - zawołałem, a ona wynurzyła się na powierzchnię i zaczęła płynąć w stronę łodzi. Mokra sierść oblepiała jej głowę.

Chwyciłem ją za skórę na karku i wciągnąłem na pokład. Wyglądała jak utopiony szczur. Cyryl przyglądał jej się z zainteresowaniem i, jak mi się zdawało, z przyjemnością.

Próbowałem ją osuszyć chustką do nosa, która w oczywisty sposób nie wystarczała. Zajrzałem pod dziób w poszukiwaniu koca albo dywanika, ale niczego nie znalazłem. Musiałem wykorzystać swój blezer.

Zdjąłem go ostrożnie z ramion Verity, zawinąłem w niego Księżniczkę Ardżumand i zacząłem ją wycierać.

- Zginiesz przez te ryby, wiesz o tym, prawda? - zagadnąłem, wycierając jej grzbiet i ogon. - Koty mają tylko dziewięć żywotów, a ty już zużyłaś sześć, o ile mi wiadomo. - Osuszyłem jej ogon. - Powinnaś się przerzucić na bezpieczniejszy nałóg, na przykład palenie.

Księżniczka Ardżumand zaczęła się wyrywać.

- Jeszcze nie jesteś sucha - powiedziałem i dalej ją wycierałem.

Wciąż się wyrywała, więc po chwili odwinąłem ją z blezera i wypuściłem. Przemaszerowała obok Cyryla z dość wątpliwą godnością, wskoczyła na środek ławki, usiadła i zaczęła się wylizywać.

Rozwiesiłem blezer na dziobie, żeby wysechł, i znowu spojrzałem na zegarek. Za kwadrans IV. Musiałem obudzić Verity, chociaż najwyraźniej umarła dla świata, skoro nie rozbudziło jej niedawne zamieszanie. Z trzaskiem zamknąłem kopertę zegarka.

Verity otworzyła oczy.

- Ned - odezwała się sennym głosem. – Czy ja spałam?

- Tak. Lepiej się czujesz?

- Lepiej? - powtórzyła niejasno. -Ja... co się stało? - Usiadła. Pamiętam przeskok i... - Szeroko otwarła oczy. - Byłam dyschronowana, prawda? Zrobiłam te wszystkie skoki do maja i sierpnia. - Przyłożyła rękę do czoła. - Bardzo byłam okropna?

Wyszczerzyłem zęby.

- Najgorszy przypadek, jaki widziałem w życiu. Nie pamiętasz ?

- Prawie wcale - wyznała. - Wszystko jest jakieś zamazane, a w tle coś wyło jak syrena...

- Syrena alarmowa - potwierdziłem. - Tak, i jakieś rzężenie, prychanie...

- Cyryl - wyjaśniłem. Kiwnęła głową.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, patrząc na wierzby i na wodę.

- Jakąś milę powyżej Muchings End. W takim stanie nie powinnaś była pokazywać się ludziom na oczy, dopóki się nie przespałaś. Teraz ci lepiej?

- Uhum - mruknęła i przeciągnęła się. - Dlaczego Księżniczka Ardżumand jest cała mokra?

- Wpadła do rzeki, kiedy łowiła ryby - wyjaśniłem.

- Och - ziewnęła Verity.

- Na pewno ci lepiej? - zatroskałem się.

- Tak. Dużo lepiej.

- To dobrze - odetchnąłem i odczepiłem cumę. - Musimy wracać. Już prawie czas na herbatę.

Wziąłem wiosła i wyprowadziłem łódkę spod wierzbowych gałęzi na rzekę.

- Dziękuję ci - powiedziała Verity. - Chyba byłam w kiepskim stanie. Nie mówiłam nic zdrożnego?

- Tylko że Napoleon przegrał bitwę pod Waterloo z powodu hemoroidów - powiedziałem, wiosłując z prądem. - Teoria, nawiasem mówiąc, której nie radzę ujawniać przed profesorem Peddickiem i pułkownikiem.

Parsknęła śmiechem.

- Nic dziwnego, że musiałeś mnie porwać. Mówiłam ci, co T.J. robi z bitwą pod Waterloo?

- Niezupełnie.

- Przeprowadza niekongruentne symulacje bitwy - oznajmiła. - Bitwa pod Waterloo została przeanalizowana w mikroskopijnych szczegółach. Drobiazgową symulację komputerową bitwy wykonano w latach dwudziestych. - Nachyliła się do przodu. – T.J. posługuje się tym modelem i wprowadza niekongruencje, które mogą zmienić bieg wydarzeń. No wiesz, gdyby tak Napoleon wysłał do Neya czytelną wiadomość zamiast nieczytelnej? Gdyby d'Erlon został ranny?

- Gdyby Napoleon nie miał hemoroidów?

Potrząsnęła głową.

- Tylko takie rzeczy, które może zrobić historyk - wyjaśniła - jak, podmiana wiadomości albo strzał z muszkietu. A potem porównuje konfigurację poślizgu z naszą niekongruencją.

- No i?

- Dopiero zaczął - broniła się - i to tylko teoria. - Co znaczyło że nie chce mi powiedzieć.

- Dowiedziałaś się od Warder, ile było poślizgu przy twoim skoku?

- Tak - przyznała. - Dziewięć minut. Dziewięć minut.

- A te skoki, które zrobiłaś do maja i sierpnia?

- Różnie. Przeciętna wynosiła szesnaście minut. To się zgadza z poprzednimi skokami do epoki wiktoriańskiej.

Zbliżaliśmy się do Muchings End. Wyciągnąłem kieszonkowy zegarek i sprawdziłem godzinę.

- Powinniśmy zdążyć na herbatę - oświadczyłem - więc może nie będą nas wypytywać. Jeśli będą, popłynęliśmy do Streatley ustawić drogowskazy na kiermasz staroci.

Naciągnąłem wilgotny blezer, a Verity przygładziła włosy i nałożyła kapelusz.

Szesnaście minut, a przy skoku Verity dziewięć. Nawet gdyby jej skok miał przeciętny poślizg, przeszłaby za późno albo za wcześnie, żeby uratować kota i wywołać niekongruencję. A przy dziewięciu minutach poślizg oczywiście nie osiągnął granicy. Więc dlaczego sieć nie rozciągnęła poślizgu do przeciętnej długości? Albo nie zamknęła się z hukiem, zanim powstała niekongruencją? I dlaczego zamknęła się teraz, przed Carruthersem?

Do przystani zostało nam tylko kilkaset jardów.

- Przy odrobinie szczęścia nikt nawet nie zauważy, że pływaliśmy łódką - powiedziałem i mocniej naparłem na wiosła.

- Nasze szczęście chyba się skończyło - zauważyła Verity. Okręciłem się na ławce. Tossie i Terence zbiegali nad rzekę, machając do nas.

- Och, kuzynko, nigdy nie zgadniesz, co się stało! - wykrzyknęła Tossie. - Pan St. Trewes i ja jesteśmy zaręczeni!

... zdaje się że nie mają żadnych określonych zasad gry: a nawet gdyby istniały jakieś, to nikt się do nich nie stosuje.. i nie masz pojęcia, ile zamieszania wprowadza to, że te wszystkie rzeczy są żywe.

„Alicja w Krainie Czarów”

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Szansa na deszcz - Następny łabędź - Co ludzie kupują na kiermaszach staroci - Numery trzy, siedem, trzynaście, czternaście i dwadzieścia osiem – Wywróżono mi przyszłość - Rzeczy Nie Są Takie, Jakie Się Wydają - Odchodzę na Tamten Świat - Bitwa pod Waterloo - Znaczenie porządnego charakteru pisma - Fatalny dzień - Numer piętnaście - Plan - Niespodziewana wizyta

- To nie twoja wina - powiedziała Verity następnego dnia rano, kiedy układaliśmy rzeczy na straganie ze starociami. Dopiero teraz mieliśmy okazję porozmawiać po raz pierwszy od chwili ogłoszenia „radosnej nowiny", jak to określiła pani Mering. - To moja wina - ciągnęła Verity, ustawiając porcelanowy sabot z wymalowanym biało-niebieskim wiatrakiem. - Nie powinnam pozwolić, żeby T.J. wysłał mnie na tyle skoków.

- Próbowałaś tylko znaleźć coś, żeby nam pomóc - odparłem, odwijając garnuszek do jajek. - To ja zostawiłem Terence'a i Tossie sam na sam. - Postawiłem garnuszek na ladzie. - I ja podsunąłem mu pomysł. Słyszałaś go wczoraj wieczorem. Nie oświadczyłby się, gdybym nie wygadywał tych bzdur o „uciekającym czasie" i „utraconej szansie".

- Robiłeś tylko to, co ci kazałam - pocieszyła mnie Verity, otwierając japoński wachlarz. - „Skręć «Titanikiem», Ned - powiedziałam. „Nie martw się, nie wpadniemy na górę lodową".

- Jeszcze nie gotowe? - zapytała pani Mering i oboje podskoczyliśmy -Już prawie czas rozpoczynać festyn.

- Zaraz skończymy - przyrzekła Verity, ustawiając wazę do zupy w kształcie liścia sałaty. Pani Mering spojrzała z niepokojem na zachmurzone niebo.

- O, panie Henry, chyba nie będzie padało, jak pan sądzi?

Skądże znowu, pomyślałem. Los się na mnie uwziął.

- Nie - mruknąłem, rozpakowując rycinę Paola i Franceski, następnej pary, którą spotkał marny koniec.

- O, to dobrze - powiedziała pani Mering, otrzepując z kurzu popiersie księcia Alberta. - O, idzie pan St. Trewes. Muszę z nim pomówić o Jazdach na Kucyku.

Patrzyłem z zainteresowaniem, jak rzuciła się na Terence'a. Miała na sobie błękitną suknię na garden party, ze wszystkimi nieuniknionymi wiktoriańskimi bufkami, falbankami, rozetkami i koronkowymi wstawkami, ale na wierzch narzuciła powłóczystą szatę w czerwone, żółte i purpurowe pasy, a na głowę nałożyła szeroką aksamitną opaskę, za którą zatknęła duże strusie pióro.

- Ona jest wróżką - wyjaśniła Verity, kładąc nożyce krawieckie w kształcie czapli. - Kiedy mi powróży, zapytam ją, gdzie jest strusia noga biskupa.

- Równie dobrze może być tutaj - zauważyłem, szukając wolnego miejsca na banjo wdowy Wallace. - Pasowałaby idealnie.

Verity spojrzała na kolekcję przedmiotów na ladzie.

- Rzeczywiście to straszne rupiecie - stwierdziła, dokładając do tego bałaganu bindę na wąsy.

Spojrzałem krytycznie na ladę.

- Jeszcze czegoś brakuje - oceniłem. Podszedłem do straganu Tossie, ściągnąłem wycieraczkę do piór i wetknąłem ją pomiędzy przycisk do papierów a komplet ołowianych żołnierzyków. - Teraz wszystko jest idealnie.

- Oprócz zaręczyn Tossie i Terence'a - odparła Verity. - Nie powinnam była zakładać, że ona zostanie u Chattisbourne'ów przez całe popołudnie.

- Pytanie brzmi - powiedziałem - nie czyja to wina, że się zaręczyli, ale co teraz zrobimy.

- No więc co zrobimy? - zapytała Verity, przestawiając parę figurek Arlekina i Kolombiny.

- Może Terence wyśpi się porządnie, opamięta się i dojdzie o wniosku, że popełnił straszny błąd.

Potrząsnęła głową.

- To nie pomoże. W czasach wiktoriańskich zaręczyny traktowano prawie równie poważnie jak małżeństwo. Dżentelmen nie mógł tak zwyczajnie zerwać zaręczyn bez okropnego skandalu. Terence nie ma szans, żeby się wykręcić, chyba że Tossie sama z nim zerwie.

- Więc musi poznać pana C. - podjąłem. - Więc musimy się dowiedzieć, kim on jest, im szybciej, tym lepiej.

- Więc jedno z nas musi zameldować się u pana Dunworthy'ego i sprawdzić, czy biegła sądowa już odcyfrowała jego nazwisko.

- Ja to załatwię - oznajmiłem stanowczo.

- A jeśli lady Schrapnell cię złapie?

- Zaryzykuję - odparłem. - Ty nigdzie nie przeskoczysz.

- Chyba masz rację - przyznała, przykładając dłoń do czoła. - Jeszcze trochę pamiętam, co mówiłam wczoraj w łódce. - Odwróciła głowę. - Chcę, żebyś wiedział, że wygadywałam te wszystkie rzeczy o lordzie Peterze Wimseyu i twoim kapeluszu tylko z powodu dyschronii i zakłócenia równowagi hormonalnej, nie dlatego...

- Rozumiem - uciąłem. - A ja, kiedy jestem przy zdrowych zmysłach, nie postrzegam ciebie jako pięknej najady, która wciąga mnie coraz głębiej i głębiej w objęcia wodnej topieli. Zresztą - dodałem, szczerząc zęby - Hortensja Chattisbourne i ja już właściwie jesteśmy po słowie.

- Więc może kupisz jej prezent zaręczynowy - zaproponowała i podała mi ceramiczny przedmiot ozdobiony pozłacaną koronką, różowymi ceramicznymi goździkami oraz mnóstwem małych dziurek.

- Co to jest? - zapytałem.

- Nie mam pojęcia. Wiesz, że musisz coś kupić, prawda? Pani Bering nigdy ci nie wybaczy, jeśli ją zawiedziesz.

Podniosła wiklinowy koszyk w kształcie łabędzia.

- Co powiesz na to?

- Nie, dziękuję - odparłem. - Cyryl i ja nie lubimy łabędzi.

Verity ustawiła małe blaszane pudełeczko z pokrywką na fiołki w cukrze.

- Tego nikt nie kupi - stwierdziła.

- I tu się mylisz - zaprzeczyłem, odpakowując poplamiony egzemplarz „Staromodnej dziewczyny", który umieściłem pomiędzy dwiema marmurowymi podpórkami do książek z wyrzeźbionymi podobiznami Dydony i Eneasza, następnej nieszczęśliwej pary. Czy historia nie zna żadnych słynnych kochanków, którzy pobrali się, ustatkowali i żyli długo i szczęśliwie?

- Ludzie kupią wszystko na kiermaszu staroci - powiedziałem. - Na Dobroczynnej Wencie na Ewakuowane Dzieci jedna kobieta kupiła gałąź drzewa, która spadła na stragan.

- Nie patrz teraz - ostrzegła mnie Verity, zniżając głos do szeptu - ale właśnie nadchodzi twoja przyszła.

Obejrzałem się i zobaczyłem rozpromienioną Hortensję Chattisbourne.

- Och, panie Henry - zachichotała - proszę mi pomóc przy straganie z robótkami ręcznymi - i zaciągnęła mnie do układania serwetek na meble oraz koronkowych woreczków na chustki do nosa.

- Ja to zrobiłam - oznajmiła, pokazując mi parę szydełkowych kapci w kwiatowy deseń. - Bratki. To znaczy: „Myślę o tobie".

- Ach - powiedziałem i nabyłem zakładkę do książek z wyhaftowanym napisem: „Nie gromadźcie

sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Mateusz 6:19".

- Nie, nie, nie, panie Henry - zawołała pani Mering, spadając na mnie i moją serwetkę z haftem krzyżykowym niczym jakiś barwny drapieżny ptak. - Nie tutaj jest pana miejsce. Potrzebuję pana tutaj.

Poprowadziła mnie przez trawnik, obok straganu z robótkami szydełkowymi i na drutach, obok stawu wędkarskiego, kokosowych rzutków i namiotu z herbatą do miejsca na końcu trawnika, gdzie ustawiono drewnianą piaskownicę. Baine dzielił piasek ostrzem łopatki na kwadraty wielkości stopy.

- To jest nasz Ukryty Skarb, panie Henry - oznajmiła pani Mering i podała mi stosik złożonych tekturowych kwadratów. - To są numery działek. Ma pan kilka szylingów, panie Henry?

Wyłowiłem portmonetkę i wysypałem jej zawartość na dłoń. Pani Mering rozgarnęła pieniądze.

- Trzy szylingi na mniejsze nagrody - wygrzebała trzy srebrne monety i oddała mi - a drobne akurat się przydadzą do wydawania reszty w kiosku z wyrobami wełnianymi.

Zwróciła mi pojedynczą złotą monetę.

- Będzie pan tego potrzebował - wyjaśniła - na zakupy na kiermaszu staroci.

Zdecydowanie krewna lady Schrapnell.

- Pozwolę panu wybrać kwadraty do zakopania szylingów i Głównej Nagrody - obiecała. - Proszę uważać, żeby nikt pana zobaczył- Niech pan unika narożnych kwadratów i wszystkich szczęśliwych liczb... trzy, siedem i trzynaście... ludzie zawsze najpierw je wybierają, a jeśli szybko znajdą skarby, nie zbierzemy żadnych pieniędzy na odbudowę. I niech pan unika numerów poniżej dwunastu. Dzieci zawsze wybierają swój wiek. I czternastki. Dzisiaj jest czternasty czerwca, a ludzie zawsze wybierają datę. Niech pan pilnuje, żeby kopali tylko w jednym kwadracie. Baine, gdzie jest Wielka Nagroda?

- Tutaj, jaśnie pani - odpowiedział Baine, podając jej paczkę zawiniętą w brązowy papier.

- Opłata za kopanie wynosi dwupensówkę za kwadrat albo pięć pensów za trzy kwadraty - poinstruowała mnie, rozwijając paczkę - a to jest nasza Wielka Nagroda.

Podała mi talerz z wymalowanym młynem w Iffley i napisem: SZCZĘŚLIWE WSPOMNIENIA ZNAD TAMIZY. Wyglądał zupełnie jak ten, który próbował mi sprzedać czepek w Abingdon.

- Baine, gdzie jest łopata? - zapytała pani Mering.

- Tutaj, jaśnie pani. - Podał mi łopatkę i grabie. - Do wygładzenia piasku po zakopaniu skarbu - wyjaśnił.

- Baine, która godzina? - zapytała pani Mering.

- Za pięć dziesiąta, jaśnie pani - odpowiedział Baine i myślałem, że pani Mering zemdleje.

- O, wcale nie jesteśmy gotowa! - zawołała. - Baine, idźcie pokazać staw wędkarski profesorowi Peddickowi i przynieście moją kryształową kulę. Panie Henry, nie ma czasu do stracenia. Musi pan natychmiast zakopać skarb.

Ruszyłem w stronę piasku.

- I nie dwadzieścia osiem. To był wygrany numer w zeszłym roku - Ani szesnaście. To urodziny królowej.

Odpłynęła, a ja zająłem się zakopywaniem skarbów. Baine wyłożył trzydzieści kwadratów. Po odliczeniu numerów szesnaście, dwadzieścia osiem, trzy, siedem, trzynaście, czternaście i od jednego do dwunastu, niewiele zostało do wyboru.

Rozejrzałem się bystro na wypadek, gdyby jakiś złodziej talerzy z napisem PAMIĄTKA ZNAD TAMIZY czyhał w żywopłocie, i wetknąłem trzy szylingi w kwadraty dwadzieścia dziewięć,

dwadzieścia trzy i dwadzieścia sześć. Nie, ten był narożny. Dwadzieścia jeden. A potem zacząłem się zastanawiać, który kwadrat wygląda najmniej prawdopodobnie i czy zdążę przeskoczyć przed rozpoczęciem festynu żeby złożyć raport panu Dunworthy'emu.

Wciąż jeszcze nie podjąłem decyzji, kiedy dzwon w kościele Muchings End zaczął wybijać godzinę, panna Mering wydała okrzyczek i festyn oficjalnie się rozpoczął. Pospiesznie zakopałem Wielką Nagrodę pod osiemnastką i zagrabiłem teren.

- Siedem - powiedział dziecięcy głosik za moimi plecami. Odwróciłem się. To była Eglantyna Chattisbourne w różowej sukience z wielką kokardą. Trzymała wazę do zupy w kształcie liścia sałaty.

- Jeszcze nie otwarte - odparłem, zagrabiłem kilka następnych kwadratów i pochyliłem się, żeby umieścić na nich tekturowe numery.

- Chcę kopać pod numerem siedem - oświadczyła Eglantyna, pokazując mi pięciopensówkę. - Mam trzy próby. Najpierw chcę siedem. To moja szczęśliwa liczba.

Podałem jej łopatkę, a ona odstawiła sałacianą wazę i kopała przez kilka minut.

- Chcesz spróbować w następnym kwadracie? - zaproponowałem.

- Jeszcze nie skończyłam - burknęła i dalej kopała. Wreszcie wstała i zmierzyła piaskownicę taksującym wzrokiem.

- Tego nigdy nie ma w rogach - powiedziała z namysłem - i nie będzie w czternastym. To nigdy nie jest data. Dwanaście - zdecydowała w końcu. - Tyle lat będę miała w urodziny.

Znowu zaczęła kopać.

- Na pewno włożył pan nagrody? - zapytała oskarżycielskim tonem.

- Tak - potwierdziłem. - Trzy szylingi i Wielką Nagrodę.

- Może pan tylko powiedział, że je włożył - zasugerowała - a naprawdę wziął je pan dla siebie.

- Są tam - zapewniłem. - Który kwadrat wybierasz do następnej próby?

- Żaden - odparła, podając mi łopatkę. - Chcę się namyślić.

- Jak sobie panienka życzy.

Wyciągnęła rękę.

- Chcę dostać z powrotem dwa pensy. Za trzecią próbę.

Ciekawe, czy ona też jest jakoś spokrewniona z lady Schrapnell. Może Elliott Chattisbourne, pomimo wszelkich pozorów, był jednak panem C.

- Nie mam drobnych - wykręciłem się.

Odeszła obrażona, a ja ponownie zagrabiłem kwadraty, oparłem się o drzewo i czekałem na następnych klientów.

Nikt nie przyszedł. Widocznie wszyscy najpierw trafiali na kiermasz staroci. Przez pierwszą godzinę interes szedł tak marnie, że łatwo mogłem wymknąć się na skok, gdyby nie Eglantyna, która krążyła w pobliżu i deliberowała, na jaki numer ma zużyć swoją ostatnią dwupensówkę.

I nie spuszczała mnie z oka, co wyszło na jaw, kiedy wreszcie wybrała numer siedemnasty i kopała bez powodzenia.

- Myślę, że pan przenosi nagrody, kiedy nikt nie patrzy - oświadczyła, wymachując łopatką. - Dlatego pana pilnuję.

- Ale jeśli mnie pilnujesz - powiedziałem rozsądnie - to jak mogłem przenieść nagrodę?

- Nie wiem - przyznała ponuro - ale pan przeniósł. To jedyne wyjaśnienie. Zawsze jest w siedemnastym.

Teraz, kiedy skończyły jej się pieniądze, miałem nadzieję, że sobie pójdzie, ale ona wciąż sterczała przy mnie i patrzyła, jak mały chłopczyk wybiera szóstkę (jego wiek), a jego mama wybiera

czternastkę (dzisiejsza data).

- Pewno pan wcale nie włożył nagród - powiedziała Eglantyna, kiedy odeszli, chłopczyk zapłakany, ponieważ nie znalazł nagrody. - Pewno pan tylko tak powiedział.

- Nie chcesz się przejechać na kucyku? - zaproponowałem. - Pan St. Trewes prowadzi tam obok Jazdę na Kucyku.

- Jazda na Kucyku jest dla dzieci - rzuciła pogardliwie.

- Byłaś już sobie powróżyć? - zapytałem.

- Tak - potwierdziła. - Wróżka powiedziała, że w przyszłości czeka mnie długa podróż.

Im szybciej, tym lepiej, pomyślałem.

- Na straganie z robótkami mają śliczne wycieraczki do piór - zachęcałem ją bezwstydnie.

- Nie chcę wycieraczki do piór - odparła. - Chcę Wielką Nagrodę.

Przez następne pół godziny obserwowała mnie sokolim wzrokiem. Po czym nadszedł profesor Peddick.

- Wygląda dokładnie jak równina pod Runnymede - oznajmił, obejmując szerokim gestem trawnik, stragany i namiot na herbatę. - Lordowie pod namiotami, z rozwiniętymi chorągwiami, czekają na przybycie króla Jana i jego orszaku.

- Skoro mowa o Runnymede - podchwyciłem - nie powinniśmy popłynąć w dół rzeki, a potem wrócić do Oksfordu, do pańskiej siostry i siostrzenicy? Na pewno za panem tęsknią.

- Bagatela! - rzucił profesor. - Jest mnóstwo czasu. Zostają na całe lato, a pułkownik zamówił srebrnego czerwono nakrapianego tancho, którego ma jutro otrzymać.

- Terence i ja możemy pana odwieźć jutro pociągiem, tylko żeby sprawdzić, co w domu, a potem pan wróci obejrzeć czerwono nakrapianego srebrnego tancho.

- Nie trzeba - zapewnił. - Maud to zaradna dziewczyna. Na pewno poradziła sobie ze wszystkim. Zresztą wątpię, czy Terence chciałby jechać teraz, kiedy się zaręczył z panną Mering. - Pokręcił głową. -Nie mogę powiedzieć, że pochwalam takie pospieszne zaręczyny. A pan jak uważa, panie Henry?

- Że małe dzieci mają duże uszy - odparłem, zerkając na Eglantynę, która stała obok Ukrytego Skarbu z rękami założonymi za plecy, wpatrując się uporczywie w kwadraty.

- Ładne stworzonko, ale nic nie wie o historii - ciągnął profesor, nie chwyciwszy aluzji. - Myślała, że Nelson stracił ramię w walce z hiszpańską Armadą.

- Będzie pan kopać? - zwróciła się do niego Eglantyna.

- Kopać? - zdziwił się profesor.

- Wykopywać skarby - wyjaśniła.

- Tak jak profesor Schliemann wykopał starożytną Troję. *Fuimus Troes; fuit Ilium* - zacytował profesor, sięgając po łopatkę.

- Najpierw pan musi zapłacić dwa pensy - oznajmiła Eglantyna - I wybrać numer.

- Wybrać numer? - powtórzył profesor, wyciągając dwa pensy. Doskonale. Piętnaście za dzień i rok podpisania Magna Carta. - Rzucił mi pensy. - Piętnastego czerwca 1215 roku.

- To jutro - zauważyłem. - Cóż za wspaniała okazja, żeby popłynąć do Runnymede w samą rocznicę podpisania. Możemy wysłać telegram do pańskiej siostry i bratanicy, żeby spotkały się tam z nami, i jutro rano możemy popłynąć łódką.

- Za dużo wycieczkowiczów - sprzeciwił się profesor Peddick. - Zepsują wędkowanie.

- Piętnaście to bardzo zły numer - oceniła Eglantyna. -Ja bym wybrała dziewięć.

- Masz - profesor Peddick podał jej łopatkę. - Kop za mnie.

- Mogę zatrzymać to, co znajdę? - zapytała.

- Podzielimy łupy - zaproponował profesor. - *Fortuna belli semper anticipiti in loco est.*

- Co dostanę za kopanie, jeśli nic nie ma w piętnastym?

- Lemoniadę i ciastka w namiocie z herbatą - obiecał profesor.

- Nic nie ma w piętnastym - mruknęła Eglantyna, ale zaczęła kopać.

- Fatalny dzień, ten piętnasty czerwca - stwierdził profesor, patrząc na nią. - Napoleon wkroczył ze swoją armią do Belgii piętnastego czerwca 1814 roku. Gdyby maszerował dalej do Ligny, zamiast zatrzymać się we Fleurus, rozdzieliłby armie Wellingtona i Bluchera i wygrałby bitwę pod Waterloo. Piętnasty czerwca, dzień, który na zawsze odmienił bieg historii.

- Mówiłam, że tego nie ma w piętnastym - powiedziała Eglantyna. - Myślę, że w żadnym niczego nie ma. Kiedy dostanę lemoniadę i ciastka?

- Zaraz, jeśli sobie życzysz.

Profesor Peddick wziął ją za ramię i poprowadził w stronę namiotu z herbatą, a ja wreszcie mogłem zameldować się u pana Dunworthy'ego.

Ruszyłem w stronę belwederku, ale nie uszedłem trzech kroków, kędy zatrzymała mnie pani Chattisbourne.

- Panie Henry - powiedziała - widział pan Eglantynę?

Wyjaśniłem, że jest w namiocie z herbatą.

- Pewnie pan słyszał radosną nowinę o zaręczynach panny Mering i pana St. Trewesa - ciągnęła.

Powiedziałem, że słyszałem.

- Zawsze uważałam, że czerwiec to cudowny miesiąc na zaręczyny, a pan, panie Henry? I tyle ślicznych dziewcząt dookoła. Nie zdziwiłabym się, gdyby pan też się zaręczył.

Powtórzyłem, że Eglantyna jest w namiocie z herbatą.

- Dziękuję - powiedziała. - Och, i jeśli pan spotka Fincha, proszę mu powiedzieć, że kończy nam się wino pasternakowe na straganie z wypiekami.

- Tak, pani Chattisbourne.

- Finch to taki cudowny kamerdyner - paplała. - Taki uważający. Wie pan, że on poszedł aż do Stowcester po placek z makiem na festyn? Każdą wolną chwilę spędza na wsi, wyszukując przysmaki na nasz stół. Wczoraj poszedł do farmera Biltona po truskawki. Jest po prostu zdumiewający. Najlepszy kamerdyner, jakiego dotąd mieliśmy, Zamartwiam się dzień i noc, że nam go ukradną.

Obawa uzasadniona w danych okolicznościach, pomyślałem. Chciałbym wiedzieć, po co Finch naprawdę poszedł do Stowcester i do farmera Biltona. I czy pani Chattisbourne wreszcie sobie pójdzie.

Poszła, ale dopiero kiedy zjawiły się rozchichotane Hortensja oraz Lilia, które wydały po dwa pensy na trójkę i trzynastkę (ich szczęśliwe liczby). Zanim pozbyłem się dziewcząt, minęło prawie pół godziny i Eglantyna mogła wrócić w każdej chwili.

Pobiegłem przez podjazd do Jazdy na Kucyku i poprosiłem Terence'a, żeby mnie zastąpił na parę minut przy Ukrytym Skarbie.

- Co miałbym robić? - Zabrzmiało to podejrzliwie.

- Podawać ludziom łopatę i inkasować dwupensówki - wyjaśniłem, pomijając osobę Eglantyny.

- Zrobię to - oświadczył Terence, przywiązując kucyka do drzewa. - Wydaje się łatwe w porównaniu z tym zajęciem. Przez całe rano zbierałem kopniaki.

- Od kucyka? - zapytałem, czujnie obserwując zwierzę.

- Od dzieci.

Pokazałem mu rozkład Ukrytego Skarbu i wręczyłem łopatkę.

- Wrócę za kwadrans - obiecałem.

- Nie musisz się spieszyć - powiedział.

Podziękowałem mu i ruszyłem w stronę belwederku. I prawie mi się udało. Przy krzewach bzu przyłapał mnie wikary i zapytał:

- Podoba się panu festyn, panie Henry?

- Ogromnie - zapewniłem. - Chciałbym...

- Czy już pan sobie powróżył?

- Jeszcze nie - przyznałem. - Właśnie...

- Więc natychmiast musi pan to zrobić - oświadczył, chwycił mnie za ramię i powlókł w stronę namiotu wróżki. - Wróżby i kiermasz staroci to główne atrakcje festynu.

Wepchnął mnie przez czerwono-purpurową zasłonę do małego namiotu, gdzie zasiadała pani Mering przed kryształową kulą, której terminowe dostarczenie widocznie wymusiła na Felphamie i Muncasterze

- Usiądź, panie - rzekła. - Musisz przekreślić mi rękę srebrem, podałem jej samotną złotą monetę, która mi została. Wydała mi kilka srebrniaków reszty, po czym przesunęła dłońmi nad kryształową kulą.

- Widzę... - zaintonowała grobowym głosem - ...widzę przed tobą długie życie.

Tylko wydaje się długie, pomyślałem.

- Widzę... długą podróż, bardzo długą... szukasz czegoś. Czy to przedmiot wielkiej wartości? - Zamknęła oczy i przyłożyła dłoń do czoła. - Szkło jest mętne... nie widzę, czy odnajdziesz przedmiot poszukiwań.

- Nie widzi pani, gdzie on jest? - zapytałem, pochylając się do przodu, żeby zajrzeć w głąb kuli. - Ten przedmiot?

- Nie - odparła, kładąc ręce na kuli - to... Rzeczy Nie Są Takie, Jakie Się Wydają. Widzę... kłopoty... szkło się zamgliło... w samym środku... Księżniczka Ardżumand!

Podskoczyłem na dobry metr.

- Księżniczko Ardżumand! Niegrzeczna kicia! - zawołała pani Mering, sięgając pod swoją szatę. - Nie wolno ci tutaj wchodzić, ty brzydki, niegrzeczny kocie. Panie Henry, niech pan będzie tak dobry i odniesie ją do mojej córki. Ten kot całkiem psuje atmosferę.

Podała mi Księżniczkę Ardżumand, którą musiała odczepiać od szaty pazurek po pazurku.

- Zawsze sprawia kłopoty - orzekła.

Zaniosłem Księżniczkę Ardżumand na stragan ze starociami i poprosiłem Verity, żeby jej popilnowała.

- Czego się dowiedziałeś od pana Dunworthy'ego? - zapytała.

- Jeszcze nie przeszedłem. Dopadła mnie pani Mering - wyjaśniłem. - Ale zobaczyła w mojej przyszłości długą podróż, więc może teraz mi się uda.

- W mojej przyszłości zobaczyła wesele - powiedziała Verity. -Mam nadzieję, że wesele Tossie i pana C.

Wszedłem za ladę i podałem jej Księżniczkę Ardżumand, a potem wymknąłem się z festynu, pobiegłem ścieżką holowniczą do belwederku i skryłem się w krzakach bzu, czekając na otwarcie sieci.

Nie otwierała się przez całą wieczność, podczas gdy ja martwiłem się o Eglantynę i że wikary mnie przyłapie, a później, kiedy wreszcie zaczęła migotać, że lady Schrapnell mnie przyłapie.

Przeszedłem skulony, gotów czmychnąć, gdyby lady Schrapnell znajdowała się w laboratorium. Nie było jej, przynajmniej w tej części którą widziałem. Laboratorium wyglądało jak sala narad wojennych. Pod ścianą, gdzie siedziałem - ile dni temu? - stał system komputerowy tak wielki, że

przy nim konsola sieci wyglądała jak karzełek. Wysoki rząd monitorów i trójwymiarowych zespolonych ekranów wypełniał całą przestrzeń laboratorium, której nie zajmowała sieć.

Warder siedziała przy konsoli, przesłuchując nowego rekruta.

- Wiem tylko - mówił nowy rekrut - że powiedział: „Wolę nie ryzykować, że znowu zostaniesz. Wskakuj do sieci". No i wskoczyłem.

- I Carruthers nic nie mówił, że trzeba coś zrobić, zanim pójdzie za tobą? - wypytywała Warder. - Coś sprawdzić?

Rekrut potrząsnął głową.

- Powiedział: „Idę zaraz za tobą".

- Czy ktoś był w pobliżu? Rekrut ponownie pokręcił głową.

- Syreny umilkły. A w tej części miasta nikt nie mieszka. Całkiem się spaliła.

- Syreny umilkły? - powtórzyła Warder. - Czy przeżyliście nalot? Czy bomba mogła trafić... - Nagle podniosła wzrok i zobaczyła mnie. - Co pan tutaj robi? Co się stało z Kindle?

- Zaawansowana dyschronia, dzięki waszym ludziom - odparłem, wyłażąc spod zasłon. - Gdzie jest pan Dunworthy?

- W Corpus Christi z biegłą sądową - odpowiedziała.

- Idź, powiedz mu, że tu jestem i muszę zaraz z nim porozmawiać - poleciłem nowemu rekrutowi.

- Próbuję ustalić, co się stało z Carruthersem - syknęła Warder zaczerwieniona z gniewu. - Nie może pan tutaj wchodzić i...

- To ważne - uciąłem.

- Tak jak Carruthers - odparła. Odwróciła się do nowego rekruta. - Czy na tym terenie były jakieś bomby z opóźnionym zapłonem?

Rekrut niepewnie przeniósł wzrok z niej na mnie.

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz? - rzuciła gniewnie Warder. - A budynki i ruiny na tym terenie, czy były stabilne? Tylko mi nie mów, że nie wiesz!

- Lepiej pójdę po pana Dunworthy'ego - zaproponował rekrut.

- No dobrze - ustąpiła Warder. - Tylko zaraz wracaj. Mam jeszcze kilka pytań do ciebie.

Rekrut czmychnął, potrącając po drodze T.J., który właśnie wchodził ze stertą książek, vidów i dysków.

- O, świetnie - powiedział na mój widok. - Chciałem wam obojgu pokazać... - urwał i rozejrzał się. - Gdzie jest Verity?

- W 1888 - odparłem. - Dostała dyschronii przez te wszystkie skoki dla pana.

- Niczego nie wykazały - oznajmił, próbując ustawić stos w równowadze - co nie ma żadnego sensu. Wokół ośrodka musi występować zwiększony poślizg. Chodź, pokażę ci.

Pociągnął mnie do systemu komputerowego, ale w połowie drogi zatrzymał się, podszedł do konsoli i zapytał Warder:

- Czy był jakiś poślizg przy skoku Neda?

- Nie miałam czasu obliczyć - fuknęła Warder. - Próbuję wyciągnąć Carruthersa!

- Okay, okay - rzucił T.J., podnosząc ręce obronnym gestem. - Może pani to obliczyć?

Odwrócił się do mnie.

- Ned, chcę ci pokazać...

- Co to za poślizg przy moim skoku? - przerwałem. - Przy powrotnych skokach nie ma żadnych poślizgów.

- Był przy ostatnim skoku Verity - wyjaśnił TJ.

- Co go spowodowało?

- Jeszcze nie wiemy - przyznał. - Pracujemy nad tym. Podejdź tutaj. Pokażę ci, co robimy. - Zaprowadził mnie do systemu komputerowego. - Czy Verity mówiła ci o symach Waterloo?

- Mniej więcej - odparłem.

- Okay, bardzo trudno jest stworzyć dokładny komputerowy model wydarzenia historycznego, ponieważ wchodzi w grę tyle nieznanych czynników, ale Waterloo to wyjątek. Bitwa została przeanalizowana i każdy incydent opisano z mikroskopijną dokładnością. W dodatku - jego czarne palce szybko stukały w klawisze - występowało kilka punktów krytycznych oraz pewna liczba czynników, które mogły zmienić wynik bitwy: gwałtowne ulewy szesnastego i siedemnastego, niecność generała Grouchy'ego...

- Niewyraźny charakter pisma Napoleona - wtrąciłem.

- Właśnie. Wiadomość Napoleona do D'Erlona i niezdobycie Hougoumont, między innymi.

Nacisnął kolejne klawisze, przechylając się do tyłu, żeby zobaczyć rząd zespolonych ekranów za plecami.

- W porządku, właśnie tego szukamy - stwierdził, wziął pióro świetlne i podszedł do środkowego ekranu. - To jest sym Waterloo takiego, jakie było naprawdę.

Ekran pokazywał trójwymiarową szarą mgłę z jaśniejszymi i ciemniejszymi miejscami.

- To jest bitwa - oznajmił T.J., włączył pióro i wskazał na środek trójwymiarowej mgły. - A tutaj - wskazał obrzeża - są sąsiednie obszary temporalne i lokalizacyjne, na które wpłynęła bitwa.

Światło wróciło na środek i szybko wskazało kilka miejsc.

- Tutaj widzisz bitwę o Quatre Bras, walkę o Wavre, szarżę Starej Gwardii, odwrót.

Widziałem tylko rozmazane szare plamy. Czułem się jak wtedy, kiedy lekarz pokazuje mi skan. „Tutaj pan widzi płuca, serce..." - nigdy niczego takiego nie widzę.

- Wprowadziłem symulowane niekongruencje do modelu i zobacz, jak zmienia się symulacja - ciągnął T.J.

Podszedł do ekranu po lewej. O ile się orientowałem, wyglądał tak samo jak ten w środku.

- Tutaj na przykład Napoleon wysłał nieczytelny rozkaz do D'Erlona, żeby skręcił w kierunku Ligny, i w rezultacie D'Erlon wprowadził swoich ludzi za lewą flankę Napoleona zamiast przed, i pomyłkowo wzięto go za wroga. Wprowadziłem tu symulowanego historyka - wskazał szarość - który zastąpił notatkę Napoleona czytelnym rozkazem, co radykalnie zmieniło obraz, jak widzisz.

Musiałem mu wierzyć na słowo.

- Kiedy wprowadzasz niekongruencje, dostajesz wzorzec radykalnie zwiększonych poślizgów w ośrodku - wskazał świetlnym piórem - i nieco niższy poziom tutaj i tutaj w otoczeniu ośrodka, a dalej mniejsze peryferyjne plamki, kiedy system się koryguje.

Popatrzyłem na ekran z inteligentnym wyrazem twarzy.

- W tym przypadku system mógł się skorygować niemal natychmiast. D'Erlon wydał rozkazy swojemu zastępcy, który przekazał je porucznikowi, który nie dosłyszał ich w huku artylerii i jednak wysłał oddziały na lewą flankę, i sytuacja powróciła do pierwotnego kształtu - Wskazał świetlnym piórem na górny rząd ekranów.

- Wypróbowałem kilka wariantów o rozmaitym natężeniu. W tym historyk wyłamuje kłódkę na bramie w Hougoumont. W tym tutaj przeszkadza piechurowi strzelić, więc Letorte przeżył. A w tym historyk przechwytuje wiadomość od Blüchera do Wellingtona - mówił, pokazując jeden ekran za drugim. - Bardzo się różnią pod względem tego, jak oddziaływają na sytuację i ile trwa samokorekta kontinuum.

Wskazał kolejne ekrany.

- Ten trwał kilka minut, ten dwa dni, i najwyraźniej brakuje bezpośredniej korelacji pomiędzy rozmiarami niekongruencji a wywołanymi konsekwencjami. W tym - wskazał ostatni ekran na dole po lewej - zastrzeliliśmy Uxbridge'a, żeby udaremnić jego samobójczą szarżę, a jego zastępca natychmiast przejął dowodzenie z identycznym rezultatem. W tym natomiast - pokazał ekran w drugim rzędzie - historyk przebrany za pruskiego żołnierza potknął się i upadł w bitwie o Ligny, a samokorekta była ogromna, objęła cztery regimenty i samego Blüchera.

Przesunął się do środkowego ekranu.

- Tutaj zmieniliśmy okoliczności w La Sainte Haye. Strzechy zajęły się ogniem od pocisków artylerii, ale łańcuch ludzi z kociołkami pełnymi wody ugasił pożar.

Wskazał miejsce w pobliżu środka.

- Wprowadziłem tutaj historyka, który ukradł jeden kociołek. Stworzył poważną niekongruencje, a co najbardziej interesujące, samokorekta wywołała zwiększony poślizg nie tylko tutaj i tutaj - światło musnęło górną część ekranu - ale również tutaj, przed 1814 rokiem.

- Cofnęła się w przeszłość i skorygowała samą siebie?

- Właśnie - potwierdził. - W zimie 1812 roku była ostra zamieć, która rozmyła drogę przed La Sainte Haye i powstała głęboka koleina, która spowodowała, że przejeżdżający wóz zaprzężony w woły zgubił cześć ładunku, między innymi drewnianą beczułkę z piwem, którą znalazł służący i zaniósł do domu, do La Sainte Haye. Beczułka z odbitym wiekiem zastąpiła brakujący kociołek w brygadzie pożarowej, ogień ugaszono i niekongruencja się naprawiła.

Wrócił do komputera, stuknął w kolejne klawisze i wywołał nowe obrazy na ekranach.

- Ten, gdzie Gneisenau cofa się do Liege, i ten, gdzie historyk pomaga wyciągnąć działo z błota, też pokazują samokorekty w przeszłości.

- Dlatego kazałeś Verity skakać do maja? - zapytałem. - Bo myślisz, że niekongruencja spróbuje się naprawić, zanim zaistnieje?

- Ale nie wykryliśmy nigdzie żadnego poślizgu, tylko przy twoim skoku - odparł ze sfrustrowaną miną. - Każdy z nich - machnął w stronę ekranów - bez względu na wielkość samokorekty, wykazuje ten sam podstawowy wzorzec: radykalnie zwiększony poślizg w ośrodku, umiarkowanie zwiększony poślizg w najbliższym otoczeniu, a dalej od ośrodka izolowane nisze poślizgu.

- Co wcale nie pasuje do naszej niekongruencji - stwierdziłem gapiąc się w ekran.

- Nie pasuje - zgodził się TJ. - Poślizg przy skoku Verity wynosił dziewięć minut, i nie wykryłem żadnego radykalnego zwiększenia poślizgu wokół tego ośrodka. W ogóle jedyne poślizgi skupiają się w 2018 roku i są znacznie większe, niż powinny tak daleko od ośrodka.

Podszedł do komputera, wystukał coś i wrócił do ekranu po lewej, na którym zaszła niewielka zmiana.

- Jedyny zbliżony to ten - oznajmił. - Kazaliśmy historykowi wystrzelić pocisk armatni, który zabił Wellingtona.

Poszukał w kieszeniach pióra świetlnego, nie znalazł go i posłużył się palcem.

- Widzisz? Tutaj i tutaj, mamy radykalnie zwiększony poślizg, ale nie może objąć zmian i rozbieżności, które powstają tutaj, tutaj i tutaj - pokazał trzy miejsca blisko ogniska - i wielkość poślizgu spada ostro tutaj, a tutaj widzisz - pokazał dalej - jak rezerwy zawodzą i sieć zaczyna wadliwie funkcjonować, kiedy historia zmienia bieg.

- I Napoleon wygrywa bitwę pod Waterloo.

- Tak - potwierdził. - Widzisz podobieństwa do waszej niekongruencji tutaj - wskazał ciemniejszą plamkę szarości - gdzie występuje gniazdo zwiększonego poślizgu prawie siedemdziesiąt lat od ośrodka, i tutaj - plamka jaśniejszej szarości - brak poślizgu w małej odległości od ośrodka.

- Ale wciąż jest radykalnie zwiększony poślizg w samym ośrodku - zauważyłem.

- Tak - przyznał ponuro. - W każdej niekongruencji, którą badaliśmy. Oprócz waszej.

- Ale przynajmniej mogłeś udowodnić, że niekongruencja jest możliwa – pocieszyłem go. - Zawsze to już coś.

- Jak to? - nie zrozumiał. - To tylko matematyczne symy.

- Wiem, ale pokazałeś, co by było, gdyby... Gwałtownie pokręcił głową.

- Gdybyśmy naprawdę spróbowali wysłać historyka pod Waterloo, żeby przechwycił wiadomość, zastrzelił konia albo pokazał drogę, sieć by się nie otworzyła. Historycy próbują tego od ponad czterdziestu lat. Nikt nie zbliży się bardziej niż dwa lata i sto mil od Waterloo. - Gniewnie machnął ręką na rząd ekranów. - Te wszystkie symy bazują na sieci bez żadnych zabezpieczeń.

Więc wróciliśmy do punktu wyjścia.

- Czy coś mogło pokonać zabezpieczenia przy skoku Verity? -zapytałem. - Albo je uszkodzić?

- Sprawdziliśmy to jako pierwsze. Pod każdym względem to wyglądało na całkowicie normalny skok.

Wszedł pan Dunworthy z zatroskaną miną.

- Przepraszam, że tak długo trwało - powiedział. - Poszedłem sprawdzić, czy biegła sądowa wykryła coś na temat daty lub nazwiska.

- I wykryła? - zapytałem.

- Gdzie jest rekrut? - wtrąciła opryskliwie Warder, zanim pan Dunworthy zdążył odpowiedzieć. - Miał wrócić z panem.

- Posłałem go do katedry, musi czymś zająć lady Schrapnell, żeby tutaj nie przyszła i nie znalazła Neda.

Mogłem na nim polegać tak samo, jak w sprawie latarki czy znalezienia powrotnej drogi do domu, więc powinienem się streszczać.

- Czy biegła sądowa odcyfrowała nazwisko pana C?

- Nie. Zawęziła liczbę liter do ośmiu i zlokalizowała fragment o Coventry, a teraz pracuje nad datą.

No, to już coś.

- Potrzebujemy tego jak najszybciej - powiedziałem. - Terence i Tossie wczoraj się zaręczyli.

- O nie - jęknął pan Dunworthy i rozejrzał się, jakby musiał usiąść. - w czasach wiktoriańskich zaręczyny były bardzo poważną sprawą - wyjaśnił na użytek T.J. Potem zwrócił się do mnie: - Ned, wy dwoje ciągle nie macie żadnych wskazówek co do tożsamości pana C?

- Nie, i jeszcze nie zdołaliśmy zajrzeć do pamiętnika - wyznałem. Verity ma nadzieję, że pan C. przyjdzie jutro na kościelny festyn.

Próbowałem sobie przypomnieć, czy miałem jeszcze coś im powiedzieć albo o coś zapytać.

- T.J., wspominałeś o poślizgu przy powrotnym skoku.

- A tak. Warder! - krzyknął w stronę konsoli, gdzie techniczka wściekle waliła w klawisze. - Już pani obliczyła poślizg?

- Przecież próbuję...

- Wiem, wiem, próbuje pani wyciągnąć Carruthersa.

- Nie - odparła - próbuję przenieść Fincha.

- To może zaczekać - oświadczył TJ. - Potrzebuję poślizgu przy powrotnym skoku Neda.

- Dobrze! - warknęła, błyskając setką serafinowych oczu. Stukała w klawisze przez pół minuty. - Trzy godziny, osiem minut.

- Trzy godziny! - wykrzyknąłem.

- Lepiej niż przy ostatnim skoku Verity - powiedział pan Dunworthy. - Ona miała dwa dni.

TJ. rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Tego nie było w żadnym symie. Coś mi przyszło do głowy.

- Jaki dzisiaj dzień?

- Piątek - odpowiedział T.J.

- Zostało dziewięć dni do konsekracji - dodał w zamyśleniu pan Dunworthy. - Piątego listopada.

- Dziewięć dni! - powtórzyłem. - Dobry Boże! I pewnie strusia noga biskupa jeszcze się nie znalazła?

Pan Dunworthy pokręcił głową.

- Sprawy nie wyglądają dobrze, co, chorąży Kleppermanie?

- Z jednym wyjątkiem - oznajmił T.J., podbiegł do komputera i stuknął w klawisze. - Zrobiłem kilka scenariuszy bombardowania Berlina. - Ekrany pokazały lekko zmieniony deseń szarych smug. - Samolot zabłądził, trafienie samolotu, trafienie pilota, nawet eliminacja samolotu razem z pilotem, i nic z tego nie wpłynęło na wynik. Londyn wciąż zostaje zbombardowany.

- Też mi dobra nowina - rzucił kwaśno pan Dunworthy.

- No, zawsze to coś - powiedziałem, chociaż sam w to nie wierzyłem.

Sieć zamigotała i pojawił się Finch. Zaczekał, aż Warder podniesie zasłony, a potem ruszył prosto do pana Dunworthy'ego i oznajmił.

- Mam wspaniałe nowiny dotyczące... - Urwał i spojrzał na mnie. Zaczekam w pańskim gabinecie, sir - powiedział i wyszedł pospiesznie.

- Chcę wiedzieć, co knuje Finch - zażądałem. - Czy pan go wysłał, żeby utopił Księżniczkę Ardżumand?

- Utopił...? - powtórzył T.J. i parsknął śmiechem.

- Tak czy nie? - warknąłem. - I proszę nie mówić, że nie wolno panu powiedzieć.

- Naprawdę nie możemy ci powiedzieć, na czym polega misja Fincha - odparł pan Dunworthy - ale zapewniam cię, że Księżniczce Ardżumand nic nie grozi i że ucieszą cię rezultaty tej misji.

- Jeśli Henry wraca - rzuciła opryskliwie Warder od konsoli - muszę go wysłać teraz, żeby zacząć półgodzinne intermisje dla Carruthersa.

- Potrzebujemy informacji biegłej, jak tylko pan ją otrzyma - powiedziałem do pana Dunworthy'ego. - Spróbuję przeskoczyć dzisiaj wieczorem albo jutro.

Pan Dunworthy kiwnął głową.

- Nie mogę marnować całego dnia - syknęła Warder. - Próbuję...

- Już dobrze - rzuciłem i podszedłem do sieci.

- Na którą pana odesłać? - zapytała Warder. - Pięć minut po przejściu?

Nadzieja nagle rozkwitła we mnie niczym jedna z tęczy Wordswortha.

- Mogę wrócić wtedy, kiedy zechcę?

- Przecież to podróże w czasie - zirytowała się Warder. - Nie mogę marnować całego...

- Wpół do piątej - powiedziałem. Przy odrobinie szczęścia będę miał dwadzieścia minut poślizgu i festyn dawno się skończy.

- Wpół do piątej? - oburzyła się Warder. - Nikt nie będzie pana szukać?

- Nie - zapewniłem. - Terence ucieszy się, że nie musi wracać do Jazdy na Kucyku.

Warder wzruszyła ramionami i zaczęła nastawiać koordynaty. - Wejść do sieci - rozkazała i uderzyła w klawisz SEND. Sieć zamigotała. Poprawiłem krawat i kapelusz, po czym dziarsko wkroczyłem na festyn. Niebo wciąż było zachmurzone, więc nie poznałem po słońcu, która godzina, a zegarek był bezużyteczny, tłum jednak wydawali się przerzedzać. Na pewno było co najmniej wpół

do czwartej. Podszedłem do straganu ze starociami, żeby zameldować Verity, że nie mam o czym meldować.

Nie było jej. Stragan obsługiwały Róża i Lilia Chattisbourne, które próbowały mi sprzedać srebrny młotek do cukru.

- Ona jest w namiocie z herbatą - powiedziały, ale tam też jej nie było.

Natomiast kręcił się tam Cyryl w złudnej nadziei, że ktoś upuści kanapkę, i sprawiał wrażenie, że spędził tam cały dzień. Kupiłem mu jagodziankę, a sobie brukowca i filiżankę herbaty, które zaniosłem z powrotem do Ukrytego Skarbu.

- Coś szybko wróciłeś - stwierdził Terence. - Mówiłem, żebyś się nie spieszył.

- Która godzina? - zapytałem i poczułem, że ziemia usuwa mi się spod nóg. - Mój zegarek... stanął.

- „Było to najlepsze masło" - zacytował Terence. - Pięć po dwunastej. Pewnie nie chcesz poprowadzić dla odmiany Jazdy na Kucyku? - zagadnął z nadzieją.

- Nie - powiedziałem.

Powędrował smętnie w stronę podjazdu, a ja popijałem herbatę, pogryzałem brukowca i rozmyślałem o niesprawiedliwości Losu.

To było bardzo długie popołudnie. Eglantyna, która wyżebrała od sióstr następną pięciopensówkę, spędziła większość dnia przykucnięta nad piaskiem, planując swoją strategię.

- Myślę, że w żadnym kwadracie nie ma Wielkiej Nagrody - oznajmiła, kiedy zmarnowała dwupensówkę na numer dwa.

- Jest - odparłem. - Sam ją włożyłem, czy mi wierzysz, czy nie.

- Ja panu wierzę - powiedziała. - Wielebny Arbitage widział, jak pan to robił. Ale może ktoś się zakradł i zabrał ją, kiedy nikt nie patrzył.

- Ktoś tu był przez cały czas.

- Mogli się zakraść od tyłu - wyjaśniła. - Kiedy rozmawialiśmy.

Znowu przykucnęła, a ja wróciłem do brukowca, który był nawet twardszy niż brukowiec na Modlitwie za Służbę RAF i Wencie Wypieków, i rozmyślałem o strusiej nodze biskupa.

Czy ktoś ją wyniósł od tyłu, kiedy nikt nie patrzył? Twierdziłem że nikt się na nią nie połaszczy, ale spójrzcie tylko, jakie rzeczy ludzie kupują na kiermaszach staroci. Może jednak jakiś szabrownik wygrzebał ją z gruzów. A może Verity miała rację i zabrano ją z katedry jeszcze przed nalotem. Albo była w katedrze podczas nalotu, albo jej nie było, rozmyślałem patrząc na kwadraty piasku. To jedyne dwie możliwości. I w obu przypadkach musiała gdzieś być. Ale gdzie? Pod numerem osiemnastym? Dwudziestym piątym?

O wpół do drugiej wikary przyszedł mnie zastąpić, żebym mógł „zjeść porządny lunch" i „obejrzeć festyn". Rzeczony „porządny lunch" składał się z kanapki z pastą rybną, której połowę oddałem Cyrylowi, oraz następnej filiżanki herbaty. Potem zrobiłem obchód straganów. Wygrałem czerwony szklany pierścionek w stawie wędkarskim, kupiłem pikowany kapturek na imbryczek do herbaty, pachnidełko zrobione z pomarańczy naszpikowanej goździkami, porcelanowego krokodyla i słoik galaretki z cielęcych nóżek, powiedziałem Verity, że nie poznałem daty ani nazwiska pana C, i wróciłem do Ukrytego Skarbu. Kiedy Eglantyna nie patrzyła, zakopałem krokodyla pod numerem dziewiątym.

Popołudnie wlokło się powoli. Ludzie wybierali cztery, szesnaście, dwadzieścia jeden i dwadzieścia dziewięć, i nawet odnaleziono dwa szylingi. Eglantyna wydała resztę pieniędzy na próżno i odeszła naburmuszona. W pewnej chwili zjawił się Baine z Księżniczką Ardżumand i wepchnął mi ja w ramiona.

- Mógłby pan jej popilnować, panie Henry? - poprosił. - Pani Mering życzy sobie, żebym

poprowadził kokosowe rzutki, a obawiam się że Księżniczki Ardżumand nie można zostawić samej nawet na chwilę - zakończył, mierząc ją surowym spojrzeniem.

- Znowu ten perłowy ryunkin? - zapytałem.

- Tak, sir.

Wielka skrzynia z piaskiem również nie wydawała się najlepszym miejscem dla kota.

- Czemu nie możesz przespać całego dnia na wystawie robótek, ten cętkowany kot na kiermaszu staroci Narodzenia Maryi Dziewicy?- zapytałem ją.

- Mouę - odpowiedziała i potarła nosem o moją dłoń.

Pogłaskałem ją, myśląc, jaka szkoda, że nie utonęła i nie osiągnęła nieistotności, żeby sieć zamknęła się przede mną, kiedy próbowałem zwrócić, i żebym mógł ją zatrzymać.

Oczywiście tak naprawdę nie mógłbym jej zatrzymać. Porwałby ją jakiś miliarder, a jeden kot nie zastąpi całego wymarłego gatunku, nawet przez klonowanie. A jednak, rozmyślałem drapiąc ją za uszami ona jest bardzo miłym kotem. Oczywiście nie licząc perłowego ryunkina. I niebieskiego klenia profesora Peddicka.

Finch nadszedł w pośpiechu. Rozejrzał się szybko, nachylił się do mnie i szepnął:

- Mam wiadomość od pana Dunworthy'ego. Polecił panu przekazać, że rozmawiał z biegłą sądową, która odcyfrowała datę wycieczki do Coventry. Powiedział...

- Mamusia mówi, żeby pan pozwolił mi jeszcze na trzy próby - odezwała się Eglantyna, pojawiwszy się znikąd - a ona zapłaci panu pięć pensów, jak festyn się skończy.

Finch zerknął nerwowo na Eglantynę.

- Czy możemy gdzieś porozmawiać prywatnie, sir? - zapytał.

- Eglantyno - zacząłem. - Chciałabyś poprowadzić Ukryty Skarb przez kilka minut?

Pokręciła głową.

- Chcę kopać. Osobie prowadzącej nie wolno wygrywać nagród. Chcę numer dwa.

- Przepraszam - powiedziałem. - Ten dżentelmen był przed tobą. Panie Finch, który kwadrat pan wybiera?

- Kwadrat? - powtórzył Finch.

- Kwadrat do kopania. - Wskazałem piaskownicę. - Ponieważ jest trzydzieści kwadratów, większość ludzi wybiera datę. Jeśli to jeden z numerów - dodałem, przypomniawszy sobie, że miesiąc może mieć trzydzieści jeden dni. - Czy ma pan jakąś konkretną datę na myśli panie Finch?

- Och - połapał się Finch. - Data. Chciałbym kwadrat numer....

- On nie zapłacił - przerwała Eglantyna. - Najpierw musi pan zapłacić dwupensówkę, żeby kopać.

Finch pogrzebał w kieszeniach.

- Obawiam się, że nie mam...

- Kamerdynerzy mogą spróbować za darmo – oświadczyłem.

- Jaki numer...?

- To niesprawiedliwe - zajęczała Eglantyna. - Dlaczego kamerdynerzy mogą próbować za darmo?

- Zasada kościelnych festynów - wyjaśniłem.

- Kamerdynerowi pani Mering pan nie pozwolił spróbować darmo - wytknęła mi.

- On wykorzystał swoją szansę na kokosowych rzutkach - odparłem podając Finchowi łopatę. - Data, panie Finch?

- Piętnaście poproszę, panie Henry - powiedział szybko.

- Piętnaście? - zachłysnąłem się. - Na pewno?

- Nie może pan wybrać piętnastki - wtrąciła Eglantyna. - Już była wybrana. Ani szesnastki, ani siedemnastki. Nie może pan wybrać numeru, który już był wybrany. To wbrew zasadom.

- Piętnaście - powtórzył twardo Finch.

- Ależ to niemożliwe - zaprotestowałem. - Piętnasty jest jutro.

- I nie może pan kupić szóstki ani dwadzieścia dwa - ciągnęła Eglantyna – bo ja zamierzam je kupić.

- Czy była absolutnie pewna? - zapytałem.

- Tak, sir - potwierdził Finch.

- A miesiąc? Może chodziło o lipiec? Albo sierpień? - Chociaż wiedziałem, że to niemożliwe. Verity powiedziała mi tamtego dnia w Iffley, że wycieczka do Coventry odbyła się w czerwcu.

- Wybrałabym jakiś róg - podsunęła Eglantyna. - Trzydzieści albo jeden.

- Na pewno to był piętnasty? Jutro?

- Tak, sir - powiedział Finch. - Pan Dunworthy wysłał mnie natychmiast, żebym pana uprzedził.

- Muszę zawiadomić Verity - powiedziałem. - Finch, zamykamy sklepik.

- Pan nie może - zaskomlała Eglantyna. - Mam jeszcze trzy szanse.

- Pozwól pan jej kopać w trzech kwadratach, a potem zamknij interes - poleciłem i ruszyłem w stronę straganu ze starociami, zanim któreś z nich zdążyło zaprotestować, przemykając się bokiem, żeby nie opadła mnie pani Mering ani żadna z dziewcząt Chattisbourne'ów. Verity sprzedawała banjo bez strun młodemu człowiekowi w kapeluszu derby i z podkręconym wąsem. Podniosłem niezidentyfikowany przyrząd z dużym zębatym kółkiem oraz dwoma rzędami zakrzywionych ostrzy i udawałem, że znam jego przeznaczenie, dopóki młodzieniec nie odszedł.

- Niejaki pan Kilbreth - oznajmiła Verity. - Pisany przez „K".

- Biegła sądowa odcyfrowała datę wycieczki do Coventry – powiedziałem szybko, zanim ktoś zdążył nam przeszkodzić. - To piętnasty czerwca.

Verity była wstrząśnięta.

- Ale to niemożliwe. Piętnasty jest jutro.

- Dokładnie tak samo uważam.

- Skąd się dowiedziałeś? Przeszedłeś jeszcze raz?

- Nie. Finch przeszedł i powiedział mi.

- On jest pewien?

- Tak. I co zrobimy? - zapytałem. - Chyba nie mogę po prostu zaproponować wypadu do Coventry jutro rano? Żeby podziwiać widoki?

Verity potrząsnęła głową.

- Po takim wydarzeniu przez cały następny dzień obgadują je z Chattisbourne'ami, wikarym i wdową Wallace. Za nic nie wyjadą, żeby nie stracić plotek. To najlepsza część festynu.

- A ryby? - zapytałem.

- Ryby?

- Możemy powiedzieć pułkownikowi i profesorowi Peddickowi, że tam są doskonałe płycizny albo głębie, albo kamieniste dno na leszcze czy co innego. Czy Coventry leży nad rzeką? Pułkownik i profesor Peddick nie oprą się żadnej pokusie związanej z rybami.

- No, nie wiem - mruknęła Verity z namysłem - ale podsunąłeś mi pomysł. Pewnie nie potrafisz strzelać palcami u nóg?

- Co?

- Tak to robiły siostry Fox. Nie szkodzi, wystarczy nam... - zaczęła grzebać wśród rupieci na stoisku. - O, świetnie, jeszcze tu jest - powiedziała i podniosła metalowe puzderko na fiołki w cukrze. - Masz, kup to - zażądała, wtykając mi pudełeczko. -Ja nie mam pieniędzy.

- Po co?

- Mam pomysł - oznajmiła. - Kup to. Kosztuje pięć pensów. Posłusznie podałem jej szylinga.
- Ja chciałam to kupić - oznajmiła Eglantyna, pojawiając się znikąd.
- Myślałem, że kopiesz w Ukrytym Skarbie – powiedziałem.
- Kopałam - odparła. - Kwadraty dziesięć, jedenaście i dwadzieścia siedem. W żadnym nie było skarbu. Nie wierzę, że tam jest. Nie wierzę, że pan tam włożył skarb. - Odwróciła się do Verity. - Mówiłam pani dzisiaj rano, że chcę kupić pudełko na fiołki w cukrze.
- Niestety - odparła Verity - pan Henry już je kupił. Bądź grzeczną dziewczynką i znajdź panią Mering. Muszę z nią pomówić.
- Ma akurat odpowiednią wielkość, żeby trzymać w nim guziki - powiedziała Eglantyna. - I mówiłam pani dzisiaj rano, że chcę je kupić.
- Nie wolałabyś ładnej książeczki? - zasugerowała Verity i podsunęła jej „Staromodną dziewczynę".
- Masz dwa pensy - zaproponowałem. - Jeśli przyprowadzisz panią Mering, powiem ci, gdzie jest skarb.
- To wbrew zasadom - sprzeciwiła się Eglantyna.
- Ale nie podpowiedz. - Nachyliłem się i szepnąłem jej do ucha: - Bitwa pod Waterloo.
- Dzień czy rok?
- Musisz sama odgadnąć.
- Podpowie mi pan, w którym kwadracie jest szyling?
- Nie - zaprzeczyłem. - I przyprowadź panią Mering, zanim zaczniesz kopać.
Odbiegła pędem.
- Szybko, zanim ona wróci - powiedziałem - jaki masz pomysł? Verity odebrała mi pudełeczko, zdjęła pokrywkę i uniosła nad pudełkiem jak nad cymbałkami, a potem złączyła obie części z metalicznym trzaskiem.
- Seans spirytystyczny - oznajmiła.
- Seans? - powtórzyłem. - Żałuję, że nie pozwoliłem Eglantynie kupić tego pudełeczka.
- Mówiłeś, że pułkownik i profesor Peddick nie oprą się żadnej pokusie związanej z rybami - przypomniała mi. - No więc pani Mering nie oprze się żadnej pokusie związanej z duchami czy seansami spirytystycznymi...
- Seans? - podchwyciła pani Mering, nadciągając w swojej Sukni Rozmaitych Farb. - Proponujesz nam seans, Verity?
- Tak, ciociu Malwinio - przyświadczyła Verity, pospiesznie zawinęła pudełeczko w bibułkę, włożyła je do koszyka w kształcie łabędzia i wręczyła mi obie rzeczy. - Z pewnością będzie pan zadowolony zakupów, panie Henry - powiedziała i zwróciła się do pani Mering: - Pan Henry właśnie mi mówił, że nigdy nie brał udziału w seansie spirytystycznym.
- Czy to prawda, panie Henry? - wykrzyknęła pani Mering. - O, w takim razie musimy koniecznie urządzić dzisiaj seans, specjalnie dla Pana. Poproszę wielebnego pana Arbitage'a, żeby się przyłączył. Panie Arbitage! - zawołała i odeszła w pośpiechu.
- Daj mi pudełeczko na fiołki - szepnęła Verity. Odwróciłem się nieco, żeby nikt nie widział naszych dłoni, i podałem jej bibułkowe zawiniątko.
- Do czego chcesz go użyć?
- Do stukania w stół - szepnęła i schowała pudełeczko do torebki. - Dzisiaj otrzymamy spirytystyczną wiadomość, żeby jechać do Coventry.
- Myślisz, że to podziała? - wyraziłem wątpliwość.
- Podziałało w przypadku madame Iritosky - odparła. - I D.D. Home, i sióstr Fox, i Florence Cook.

Nabrał się naukowiec William Crookes oraz Arthur Conan Doyle. Pani Mering wzięła ciebie za ducha. Nam też się uda. Dlaczego nie?

Pani Mering podbiegła do nas, łopocząc szatą.

- Wielebny pan Arbitage prowadzi loterię ciast. Muszę pamiętać, żeby zapytać go później. O, panie Henry - wzięła mnie za ramię - wiem, że urządzimy wspaniały seans. Już teraz wyczuwam w pobliżu obecność duchów.

Właściwie to był Baine, który stanął za jej plecami i czekał na przerwę, żeby zabrać głos.

- Może to ten sam duch, którego pan słyszał poprzedniej nocy, panie Hen... o co chodzi, Baine? - rzuciła niecierpliwie.

- Madame Iritosky, jaśnie pani - powiedział.

- Tak, tak, co z nią?

- Jest tutaj.

W Dolinę Śmierci...

Alfred lord Tennyson, „Szarża Lekkiej Brygady”

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W westybulu - Wezwanie - Baine rozpakowuje bagaż i dokonuje interesującego odkrycia - W kuchni - Zdumiewające anegdoty o jasnowidzeniu Jane - Przygotowania do seansu spirytystycznego - Współczuję Napoleonowi - Klejnoty - Pojedynek mediów - Upiorna zjawa

Madame Iritosky czekała w westybulu z dziewięcioma sztukami bagażu, wielką, czarną, emaliowaną gablotą oraz księciem de Vecchio.

- Madame Iritosky! - zagulgotała pani Mering. - Co za urocza niespodzianka! I książę! Baine, przyprowadźcie pułkownika i powiedzcie mu, że mamy gości! Tak się ucieszy! Znacie państwo pannę Brown - wskazała Verity - a to jest pan Henry.

Weszliśmy za nią do domu.

- Co ona tutaj robi? - mamrotała Verity. - Myślałam, że nigdy nie opuszcza domu.

- Milo pana poznacz, signor Henri - powiedział książę de Vecchio z ukłonem.

- Dlaczego pani nas nie zawiadomiła o swoim przyjeździe? - wypytywała pani Mering. - Baine wyszedłby po was na stację.

- Sama nic nie wiedziałam aż do wczorajszej nocy - odparła madame Iritosky - kiedy to odebrałam wiadomość z Tamtego Świata. Nie wolno ignorować wezwania duchów.

Nie wyglądała tak, jak się spodziewałem. Niska, kluchowata kobiecina z kartoflowatym nosem i zmierzwionymi siwymi włosami, w dość wytartej brązowej sukni. Kapelusz też miała obszargany, a pióra na nim pochodziły chyba od koguta. Przypuszczałem, że pani Mering będzie kręcić nosem na osobę tego rodzaju, ale ona dosłownie płaszczyła się przed gościem.

- Wiadomość od duchów? - zawołała, klaszcząc w ręce. - Jakie podniecające! Co powiedziały?

- „Jedź!" - oznajmiła dramatycznie madame Iritosky.

- *Avanti!*- przetłumaczył książę de Vecchio. - Wysztukali to na sztole. „Jedź".

- „Dokąd mam jechać?", zapytałam je - ciągnęła madame Iritosky - i czekałam, żeby wystukały odpowiedź. Ale panowała cisza.

- *Silencio* - uzupełnił książę.

- „Dokąd mam jechać?", zapytałam je ponownie - mówiła madame Iritosky - i nagle na stole przede mną zabłysło białe światło, które rosło i rosło, aż zmieniło się... - zrobiła dramatyczną pauzę - w pani list!

- Mój list! - westchnęła pani Mering, a ja przysunąłem się do niej w obawie, że będziemy świadkami następnego omdlenia, ona jednak tylko zachwiała się i odzyskała równowagę. - Napisałam do madame o duchach, które widziałam - zwróciła się do mnie - a teraz one po nią posłały!

- One próbują coś pani powiedzieć - oświadczyła madame Iritosky, wpatrując się w sufit. - Wyczuwam ich obecność. Są teraz z nami.

Podobnie jak Tossie, Terence i Baine. I pułkownik Mering w stanie krańcowej irytacji. Miał na sobie wodery i trzymał podbierak.

- O co znowu chodzi? - burknął. - Lepiej, żeby to było coś ważnego. Dyskutujemy z Peddickiem o bitwie Monmoutha.

- Panno Mering, *amor mia* - zawołał książę i natychmiast podszedł do Tossie. - Jestem szczęśliwy, że znowu panią widzę.

Nachylił się nad dłonią Tossie, jakby chciał ją ucałować.

- Jak się pan miewa? - rzucił Terence. Wysunął się przed Tossie i sztywno wyciągnął rękę. -

Terence St. Trewes, narzeczony panny Mering.

Książę i madame Iritosky wymienili spojrzenia.

- Mesiel, nigdy nie zgadniesz, kto przyjechał! - zawołała pani Mering. - Madame Iritosky, przedstawiam pani mojego męża, pułkownika Meringa!

- Pułkowniku Mering, dziękujemy, że przyjął nas pan w swoi domu - powiedziała madame Iritosky, pochylając przed nim kogucie pióra na głowie.

- Hrrumm - mruknął pułkownik przez wąsy.

- Mówiłam ci, Mesiel, że widziałam ducha - paplała pani Mering- - Madame Iritosky przyjechała, żeby nawiązać z nim kontakt. Mówi, ze duchy są z nami nawet teraz.

- Ciekawe jak - burknął pułkownik. - Brakuje miejsca w tym przeklętym westybulu. Mamy dom. Po co tutaj stać z bagażami.

- Och, oczywiście - zreflektowała się pani Mering, jakby dopiero teraz zauważyła tłok panujący w westybulu. - Proszę wejść, madame Iritosky, książę, przejdźmy do biblioteki. Baine, każcie Jane podać herbatę, zanieście rzeczy madame Iritosky i księcia do ich pokojów.

- Gablotę także, jaśnie pani? - zapytał Baine.

- Ga... - pani Mering popatrzyła ze zdumieniem na stertę bagaży. - Ojej, jak dużo bagażu! Wyjeżdża pani w podróż, madame Iritosky?

Madame i książę ponownie wymienili spojrzenia.

- Kto wie? - odparła madame Iritosky. - Kiedy duchy rozkazują, ja słucham.

- O, oczywiście - powiedziała pani Mering. - Nie, Baine, madame Iritosky będzie potrzebowała gabloty na seans. Wstawcie ją do salonu.

Zaciekawiło mnie, jakim cudem on ją tam wepchnie, pomiędzy otomany, aspidistry i ekrany przed kominkiem.

- I zanieście resztę rzeczy na górę - ciągnęła pani Mering - i rozpakujcie.

- Nie! - sprzeciwiła się ostro madame Iritosky. - Wolę sama rozpakować swoje rzeczy. Psychiczne linie mocy, pani rozumie.

- Oczywiście - przyświadczyła pani Mering, która chyba nie lepiej niż reszta z nas orientowała się, co to są psychiczne linie mocy. - Po herbacie zabiorę panią na dwór i pokażę miejsce, gdzie po raz pierwszy zobaczyłam tego ducha.

- Nie! - odmówiła madame Iritosky. - Ta długa podróż nadwaga moje siły. Pociągi! - wzdrygnęła się. - Po herbacie muszę odpocząć. Jutro pokaże mi pani cały dom i posiadłość.

- Oczywiście - pani Mering wydawała się rozczarowana. - Zbadamy spirytualną obecność w Muchings End - ciągnęła madame Iritosky. - Z pewnością jest tutaj duch. Nawiążemy łączność.

- Och, jak zabawnie! - zawołała Tossie. - Czy będą manifestacje?

- Możliwe - przyznała madame Iritosky i ponownie przyłożył rękę do czoła.

- Pani jest zmęczona, madame Iritosky - powiedziała pani Mering. - Musi pani usiąść i napić się herbaty.

Poprowadziła madame Iritosky i księcia do biblioteki.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś o księciu de Vermicelli? - zwrócił się Terence do Tossie, kiedy szli za resztą towarzystwa.

- De Vecchio - poprawiła Tossie. - On jest okropnie przystojny prawda? Lilia Chattisbourne mówi, że wszyscy Włosi są przystojni. Czy pan też tak uważa?

- Duchy! - fuknął pułkownik Mering i trzepnął podbierakiem o nogę. - Brednie! Idiotyczne nonsensy! - I zamaszystym krokiem wrócił do bitwy Monmoutha.

Baine, który krytycznie oglądał bagaż, skłonił się i ruszył korytarzem w stronę kuchni.

- No więc? - zapytałem, kiedy wszyscy odeszli. - Co teraz zrobimy?

- Przygotujemy się na wieczór - odparła Verity. - Czy odratowano z wraku ten koszyk z pokrywą, w którym miałeś Księżniczkę Ardżumand?

- Tak - potwierdziłem. - Jest w mojej szafie.

- Świetnie - ucieszyła się Verity. - Przynieś go do salonu. Muszę przyszyć do podwiązki pudełko na fiołki w cukrze. - Zaczęła wchodzić na schody.

- Wciąż planujesz urządzić tutaj seans spirytystyczny z madame Iritosky?

- Jutro jest piętnasty. Masz lepszy pomysł?

- Nie możemy zwyczajnie zaproponować Tossie wycieczki do Coventry... tak jak do kościoła w Iffley?

- Ona nie pojechała do kościoła w Iffley, pojechała do Terence'a, i sam ją słyszałeś. Aż się pali, żeby zbadać posiadłość i zobaczyć manifestacje. Za nic z tego nie zrezygnuje.

- A co z księciem de Vecchio? - zapytałem. - Czy on może być panem C? Zjawił się akurat w odpowiedniej chwili i wygląda mi na takiego, co to używa fałszywego nazwiska.

- Niemożliwe - zaprzeczyła Verity. - Tossie była szczęśliwą małżonką pana C. przez pięćdziesiąt lat, pamiętasz? Książę de Vecchio przepuściłby jej wszystkie pieniądze i zostawił ją na lodzie w Mediolanie po trzech miesiącach.

Musiałem przyznać jej rację.

- Jak myślisz, co oni tutaj robią?

Verity zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Zakładałam, że madame Iritosky nigdy nie urządza seansów poza domem, bo w domu ma te wszystkie zapadnie i sekretne przejścia. - Otworzyła drzwiczki gabloty. - Ale niektóre jej efekty są przenośne. - Zamknęła drzwiczki. - Albo przyjechała, żeby przeprowadzić badania. No wiesz, poszperać w szufladach, przeczytać listy, obejrzeć portrety rodzinne.

Podniosła ferrotypię pary stojącej obok drewnianego drogowskazu z napisem: LOCH LOMOND.

- „Widzę mężczyznę w cylindrze - zaintonowała, dotykając czoła koniuszkami palców. - Stoi nad jakąś wodą... chyba nad jeziorem. Tak, stanowczo nad jeziorem", a wtedy pani Mering woła: „To wujek George!" One tak robią, zbierają informacje, żeby przekonać łatwowierne osoby. Chociaż pani Mering nie trzeba przekonywać. Jest gorsza od Arthura Conan Doyle'a. Madame Iritosky podczas swojego „odpoczynku" pewnie zamierza wśliznąć się do sypialni i zgromadzić amunicję na seans.

- Powinniśmy ją namówić, żeby ukradła dla nas pamiętnik Tossie - zaproponowałem.

Verity uśmiechnęła się.

- Co dokładnie Finch mówił o pamiętniku? Czy to na pewno był piętnasty?

- Mówił, że pan Dunworthy kazał nam powiedzieć, że biegła sądowa odcyfrowała datę i to był piętnasty.

- Czy Finch mówił, jak ona do tego doszła? Wiesz, piątka wygląda bardzo podobnie do szóstki, albo do ósemki. A jeśli to było szesnastego czy osiemnastego, mamy czas na... muszę z nim porozmawiać - oświadczyła. - Jeśli pani Mering o mnie zapyta, powiedz, że poszłam zaprosić wielebnego pana Arbitage na seans. I spróbuj znaleźć dwa kawałki drutu, długie na jakieś półtorej stopy.

- Po co?

- Na seans. Finch przypadkiem nie zapakował tamburynu do twojego bagażu?

- Nie - zaprzeczyłem. - Myślisz, że powinnaś to robić? Pamiętaj, Co się wczoraj stało.

- Idę porozmawiać z Finchem, nie z biegłą sądową. - Naciągnęła rękawiczki. - A zresztą już

całkiem wyzdrowiałam. Wcale nie uważam, że jesteś przystojny - zakończyła i wyfrunęła przez frontów drzwi.

Poszedłem do mojego pokoju, wziąłem kosz i zaniosłem go do salonu. Verity nie mówiła, co chce z nim zrobić, więc postawiłem go na kominku za ekranem, gdzie Baine nie powinien go zobaczyć, kiedy przyniesie gablotę, i odstawić w bezpieczne miejsce.

Kiedy wracałem korytarzem, Baine czekał na mnie w uprzątniętym już z bagażów westybulu.

- Czy mogę zamienić z panem słówko, sir? - zapytał. Spojrzał niespokojnie w kierunku biblioteki. - Na osobności?

- Oczywiście - odpowiedziałem z nadzieją, że nie będzie mnie znowu wypytywał o Stany Zjednoczone, i zaprowadziłem go do mojego pokoju.

Zamknąłem za nami drzwi.

- Chyba nie wrzuciliście znowu Księżniczki Ardżumand do rzeki?

- Nie, sir - zaprzeczył. - Chodzi o madame Iritosky. Rozpakowując jej rzeczy, sir, znalazłem kilka nadzwyczaj podejrzanych przedmiotów.

- Przecież madame Iritosky zapowiedziała, że sama się rozpakuje.

- Dama nigdy nie rozpakowuje bagażu - odparł Baine. - Kiedy otworzyłem jej kufry, znalazłem kilka niezwykłych przedmiotów: rozkładane pręty, trąbki, dzwonki, tabliczki łupkowe, akordeon z samogrającym mechanizmem, druty, po kilka jardów czarnej tkaniny i gazy. i książkę o sztuczkach magicznych. I to! - Podał mi małą buteleczkę.

Przeczytałem na głos etykietkę.

- Świecąca Farba Balmaina.

- Obawiam się, że madame Iritosky nie jest prawdziwym medium, tylko oszustką - powiedział Baine.

- Na to wygląda - przyznałem i otworzyłem buteleczkę. Zawierała białozielonkawy płyn.

- Boję się, że ona i książę de Vecchio mają niegodziwe zamiary wobec państwa Mering - ciągnął Baine. -Jako środek ostrożność ukryłem biżuterię pani Mering w bezpiecznym miejscu.

- Doskonały pomysł - pochwaliłem go.

- Ale najbardziej martwi mnie wpływ madame Iritosky na panią Mering. Boję się, że padnie ofiarą jakiegoś łajdackiego spisku madam Iritosky i księcia de Vecchio. - Mówił z przejęciem i prawdziwą troską. - Przy herbacie madame Iritosky wróżyła z dłoni pannie Mering. Posiedziała, że widzi w jej przyszłości małżeństwo. Małżeństwo z cudzoziemcem. Panna Mering to wrażliwa młoda dziewczyna - dodał poważnym tonem. - Nie nauczono jej logicznego myślenia ani bezstronnego podejścia do uczuć. Boję się, że popełni jakieś głupstwo.

- Naprawdę wam na niej zależy? - zdziwiłem się. Szyja mu poczerwieniała.

- Ona ma wiele wad. Jest próżna, płytka i niemądra, ale te cechy zaszczepiło w niej złe wychowanie. Psuto ją i rozpieszczano, ale serce ma dobre. - Zrobił zakłopotaną minę. - Tylko że prawie nie zna świata. Dlatego przyszedłem do pana.

- Panna Brown i ja także się martwimy - powiedziałem. - Zamierzamy namówić pannę Mering, żeby jutro wybrała się z nami na wycieczkę do Coventry; chcemy ją odciągnąć od księcia i madame Iritosky.

- Och. - Na twarzy Baine'a odmalowała się ulga. - To doskonały plan. Jeśli mogę jakoś pomóc...

- Lepiej to odłóżcie, zanim madame Iritosky zauważy brak - poradziłem i niechętnie oddałem mu buteleczkę Świecącej Farby Balmaina. Świetnie by się nadawała do napisania COVENTRY na stole podczas seansu.

- Tak, sir - powiedział i zabrał butelkę.

- I może lepiej pozamykać srebra.

- Już to zrobiłem, sir. Dziękuję, sir. - Ruszył do drzwi.

- Baine - zawołałem za nim. - Coś mi przyszło do głowy. De Vecchio na pewno nie jest autentycznym księciem. Możliwe, że podróżuje pod przybranym nazwiskiem. Przy rozpakowywaniu jego rzeczy, jeśli traficie na jakieś papiery czy listy...

- Rozumiem, sir - dokończył. - Jeśli mogę jeszcze cokolwiek zrobić to proszę tylko powiedzieć. - Milczał przez chwilę. - Mam na względzie jedynie dobro panny Mering.

- Wiem - przyznałem i zszedłem do kuchni poszukać mocnego, cienkiego drutu.

- Drut? - zdziwiła się Jane, wycierając ręce w fartuch. - Na co, sorr?

- Do okręcenia walizki - wyjaśniłem. - Zamek się zepsuł.

- Baine go naprawi - oznajmiła. - Czy dzisiaj wieczorem odbędzie się seans, skoro ta madam przyjechała?

- Tak.

- Myśli sorr, że będą mieli trąbki? Moja siostra Sharon jest na służbie w Londynie, jej pani urządziła seans i trąbka przefrunęła nad stołem i odegrała „Już zapada nocy mrok”!

- Nie wiem, czy będą trąbki - powiedziałem. - Baine jest zajęty bagażem księcia de Vecchio i nie chcę mu przeszkadzać. Potrzebuje dwóch kawałków drutu, długich na półtorej stopy.

- Mogę panu dać kawałek szpagatu - zaproponowała Jane. - To wystarczy?

- Nie - odparłem, żałując, że nie kazałem po prostu Baine’owi ukraść trochę z bagażu madame Iritosky. - Musi być drut.

Jane otworzyła szufladę i zaczęła w niej grzebać.

- Wie pan, ja mam dar jasnowidzenia. Moja matka też to miała.

- Uhm - mruknąłem i zajrzałem do szuflady, zawierającej rozmaite przybory nieznanego przeznaczenia. Ale nie drut.

- Jak Sean wtedy złamał obojczyk, widziałam wszystko we śnie. Zawsze mnie ściska w żołądku, jak coś złego ma się zdarzyć.

Jak ten seans?, pomyślałem.

- Zeszłej nocy przyśnił mi się wielki okręt. Zapamiętaj moje słowa, mówię do kucharki dzisiaj rano, ktoś z tego domu pojedzie w podróż. A po południu kto tu przyjeżdża, jak nie ta madam, i przyjechali pociągiem! Myśli pan, że dzisiaj będzie manifestacja?

Mam szczerą nadzieję, że nie, pomyślałem sobie, chociaż z Verity nigdy nic nie wiadomo.

- Co właściwie planujesz? - zapytałem ją, kiedy wróciła tuż przed obiadem. - Chyba nie przebierzesz się w gazę?

- Nie - szepnęła z niejakim żalem.

Staliśmy przy oszklonych drzwiach salonu, czekając na obiad. Pani Mering opisywała Tossie nocne odgłosy oddychania Cyryla - „Szloch straszliwie udręczonej duszy!” - a pułkownik i profesor Peddick zanudzali Terence’a wędkarskimi historyjkami w kącie przy kominku, więc musieliśmy rozmawiać cicho. Ani madame Iritosky, ani książę jeszcze nie zeszli. Pewnie wciąż „odpoczywali”. Miałem nadzieję, że nie przyłapią Baine’a na gorącym uczynku.

- Moim zdaniem najlepiej rozegrać to prosto - powiedziała Verity. - Dostałeś druty?

- Tak - wyjąłem je spod marynarki. - Po półtoragodzinnym wysłuchiwaniu jasnowidzeń Jane. Po co ci one?

- Do przechylania stołu - wyjaśniła i przesunęła się lekko, żeby nas nie widziano. - Robisz hak na końcu każdego druta, a potem przed seansem wkładasz je do rękawów. Kiedy światła gasną, wysuwasz druty za nadgarstki i zahaczasz o brzeg stołu. W ten sposób możesz unieść stół, trzymając

sąsiadów za ręce.

- Unieść stół? - powtórzyłem, chowając druty pod marynarkę. - Który stół? Ten solidny mebel z drewna różanego w salonie? Żaden drut nie uniesie tego grata.

- Owszem, uniesie - odparła. - To działa na zasadzie dźwigni.

- Skąd wiesz?

- Czytałam w kryminalnej powieści. Oczywiście.

- A jeśli ktoś mnie przyłapie?

- Nie przyłapie. Będzie ciemno.

- A jeśli ktoś poprosi, żeby nie gasić światła?

- Światło nie pozwala duchom się zmaterializować.

- Wygodne - przyznałem.

- Wyjątkowo. I nie mogą się pojawić, jeśli wśród obecnych jest osoba niewierząca. Ani jeśli ktoś przeszkodzi medium czy komuś innemu w kręgu. Więc nikt cię nie przyłapie, kiedy uniesiesz stół.

- Jeśli uniosę stół. Ten grat waży tonę.

- Panna Climpson uniosła. W „Silnej truciźnie". Musiała. Lord Peter miał mało czasu. Tak jak my.

- Rozmawiałaś z Finchem? - zapytałem.

- Tak. Wreszcie. Musiałam iść aż na farmę Bakera, gdzie kupował szparagi. Co on knuje?

- I cyfra na pewno była piątką?

- To nie była cyfra. Napisała datę słownie. Nie ma innego liczebnika z literami „p" i „s". To na pewno był piętnasty czerwca.

- Piętnasty czerwca - rzucił profesor Peddick od kominka. - Wigilia bitwy o Quatre Bras i fatalnych błędów, które doprowadziły do klęski pod Waterloo. Tego dnia Napoleon niesłusznie powierzył generałowi Neyowi wzięcie Quatre Bras. Fatalny dzień.

- Tak, to będzie fatalny dzień, jeśli nie zaciągniemy Tossie do Coventry - mruknęła Verity. - Zrobimy tak. Przechylisz stół raz czy dwa. Wtedy madame Iritosky zapyta, czy jest tu obecny duch, a ja stuknę raz na tak. A potem zapyta mnie, czy mam dla kogoś wiadomość, a ja ją przeliteruję.

- Przeliterujesz?

- Stukaniem. Medium recytuje alfabet, a duch stuka przy literze

- Dosyć czasochłonny sposób - zauważyłem. - Myślałem, że na tamtym świecie wszystko wiedzą. Powinni wymyślić bardziej efektywną metodę komunikacji.

- Wymyślili, tablicę ouija, ale wynaleziono ją dopiero w 1891 roku, więc musimy jakoś sobie poradzić.

- Jak będziesz stukać?

- Przyszyłam pudełko na fiołki w cukrze do jednej podwiązki, a wieczko do drugiej. Kiedy złączę kolana, wydają bardzo ładny głuchy stuk. Wypróbowałam to na górze w moim pokoju.

- Jak powstrzymasz się od stukania w nieodpowiedniej chwili? - zapytałem, zerkając na jej spódnicę. - Na przykład w trakcie obiadu.

- Podciągnęłam jedną podwiązkę wyżej niż drugą. Opuszczę ją do tej samej wysokości, kiedy usiądziemy przy stole. Ty dopilnuj, żeby madame Iritosky nie stukała.

- Ona też ma pudełko na fiołki w cukrze?

- Nie. Robi to stopami. Strzela dużymi palcami u nóg jak siostry Fox. Jeśli przysuniesz nogę do jej nogi, żeby wyczuć każde poruszenie, chyba nie odważy się stukać, przynajmniej dopóki nie wystukam: „Jedź do Coventry".

- Myślisz, że się uda?

- Pannie Climpson się udało - oświadczyła. - Poza tym musi się udać. Słyszałeś Fincha. Tossie

napisała w pamiętniku, że piętnastego pojechała do Coventry, więc musi pojechać. Więc musimy ją przekonać, żeby pojechała. Więc seans musi się udać.

- To nie ma sensu - stwierdziłem.

- To jest epoka wiktoriańska - odparła. - Kobiety nie muszą mówić z sensem.

Wsunęła mi rękę pod ramię.

- Oto madame Iritosky i książę. Idziemy na obiad?

Na obiad mieliśmy solę z rusztu, pieczony mostek jagnięcy oraz spóźnioną krytykę Napoleona.

- Nie powinien był zostać na noc we Fleurus - oznajmił pułkownik. - Gdyby pojechał dalej do Quatre Bras, bitwa odbyłaby się dwadzieścia cztery godziny wcześniej, a Wellington i Blucher nie połączyliby swoich sił.

- Banialuki! - fuknął profesor Peddick. - Powinien był zaczekać aż ziemia wyschnie po deszczu. Nie powinien brnąć naprzód w błocie.

To wydawało się strasznie niesprawiedliwe. Ostatecznie oni z góry wiedzieli, jak się wszystko skończyło, podczas gdy Napoleon, Verity i ja mieliśmy tylko garść meldunków z pola bitwy oraz datę w zamoczonym pamiętniku.

- Brednie! - sprzeciwił się pułkownik Mering. - Powinien był zaatakować dzień wcześniej i zdobyć Ligny. Gdyby tak zrobił, wcale nie doszłoby do bitwy pod Waterloo.

- Na pewno pan widział wiele bitew podczas pobytu w Indiach, pułkowniku - odezwała się madame Iritosky. - I mnóstwo bajecznych skarbów. Czy przywiózł pan jakieś do domu? Może szmaragdy radży? Albo zakazany księżycowy kamień z oka posągu?

- Co? - burknął pułkownik Mering przez wąsy. - Księżycowy kamień? Posąg?

- Tak, przecież wiesz, papo - wtrąciła Tossie. - „Księżycowy kamień". To powieść.

- Phi! Nigdy nie słyszałem - mruknął.

- Napisał ją Wilkie Collins - uparcie ciągnęła Tossie. - Skradziono księżycowy kamień i jest tam detektyw, i lotne piaski, i bohater to zrobił, tylko o tym nie wiedział. Musisz to przeczytać.

- Teraz już nie ma sensu, skoro opowiedziałaś mi zakończenie - stwierdził pułkownik. - I nie ma żadnych posągów z klejnotami.

- Ale Mesiel przywiózł mi śliczny naszyjnik z rubinów - odezwała się pani Mering - z Benares.

- Rubiny! - zawołała madame Iritosky i zerknęła na księcia de Vecchio. - Doprawdy!

- *Signora* nie potszebuje rubinów - zabrał głos książę - szkoro ma taki klejnot za córkę. Ona jeszt jak diament. Nie, jak *zaffiro perfetto* jak wy mówicie, nieszkazitelny szafir.

Spojrzałem na Baine'a, który ponuro podawał zupę. - Madame Iritosky nawiązała kiedyś łączność z duchem radży - Powiedziała pani Mering. - Myśli pani, że dzisiaj będzie manifestacja naszym seansie, madame?

- Dzisiaj? - zaniepokoiła się madame Iritosky. - Nie, nie, dzisiaj nie możemy urządzić seansu. Ani jutro. Tych rzeczy nie wolno robić w pośpiechu. Potrzebuję czasu, żeby przygotować się spirytualnie.

I rozpakować trąbki, pomyślałem. Popatrzyłem na Verity, spodziewając się miny równie ponurej jak u Baine'a, ale ona spokojni jadła zupę.

- I nie wiem, czy manifestacje będą tutaj możliwe - ciągnęła madame. - Wizualne zjawiska występują jedynie w pobliżu tego, co nazywamy portalem, bramą łączącą nasz świat z zaświatami...

- Ależ tutaj jest portal - przerwała jej pani Mering. - Na pewno. Widziałam duchy w tym domu i na terenie posiadłości. Jestem pewna, że jeśli tylko zgodzi się pani na seans dzisiaj wieczorem, będziemy mieli manifestację.

- Nie powinniśmy zamęczać madame Iritosky - wtrąciła Verity. - Madame ma całkowitą rację. Podróże koleją rzeczywiście są wyczerpujące, i nie powinniśmy żądać, żeby madame nadmiernie

wytężała swoje cudowne psychiczne moce. Urządzimy dzisiaj seans bez niej.

- Beze mnie? - wycedziła lodowato madame Iritosky.

- Nie ośmielimy się nadużywać pani spirytystycznych mocy dla naszej skromnej, domowej imprezy. Kiedy pani odzyska siły, urządzimy prawdziwy seans spirytystyczny.

Madame Iritosky otwarła usta, zamknęła je i znowu otwarła, zupełnie jak wyłupiastooki ryunkin pułkownika Meringa.

- Ryba? - zapytał Baine, pochylając się nad nią z półmiskiem soli.

Pierwsza runda wygrana. Teraz żeby tylko seans się udał.

Wielebny pan Arbitage przyszedł o dziewiątej, skorzystałem z zamieszania przy powitalnej prezentacji, żeby wsunąć druty do rękawów, i wszyscy (oprócz madame Iritosky, która przeprosiła dość opryskliwie i poszła na górę, oraz pułkownika Meringa, który burknął - „Bajdy!" i poszedł do biblioteki poczytać gazetę) zasiedliśmy w salonie wokół stołu z drewna różanego, którego za żadne skarby nie zdołałbym unieść, nawet z pomocą dźwigni.

Verity skinęła na mnie, żebym usiadł obok niej. Spełniłem pole cenie i natychmiast poczułem ciężar na kolanach.

- Co to jest? - szepnąłem dyskretnie, kiedy Terence, książę i wielebny pan Arbitage walczyli o miejsce obok Tossie.

- Koszyk Księżniczki Ardżumand - odszepnęła Verity. - Otwórz go, kiedy dam ci znak.

- Jaki znak? - zapytałem i poczułem mocne kopnięcie w kostkę u nogi.

Książę i wielebny pan Arbitage zwyciężyli i Terence wylądował między panem Arbitage a panią Mering. Profesor Peddick usiadł obok mnie.

- Napoleon interesował się spirytyzmem - oznajmił. - Urządził seans w Wielkiej Piramidzie w Gizie.

- Musimy złączyć dłonie - powiedział książę do Tossie i wziął ją za rękę. - O tak...

- Tak, wszyscy musimy złączyć dłonie - potwierdziła pani Mering. - Ależ, madame Iritosky!

Madame Iritosky stała w drzwiach, udrapowana w powłóczystą purpurową szatę z szerokimi rękawami.

- Wezwały mnie duchy, abym służyła wam dzisiaj za przewodnika przy uchylaniu zasłony. - Dotknęła czoła wierzchem dłoni. - To mój obowiązek, bez względu na stan zdrowia.

- Cudownie! - zawołała pani Mering. - Proszę usiąść. Baine, przysuńcie krzesło dla madame Iritosky.

- Nie, nie - zaprotestowała madame Iritosky i wskazała krzesło profesora Peddicka. - To tutaj skupiają się teleplazmiczne wibracje.

Profesor Peddick posłusznie zamienił się na krzesła.

Przynajmniej madame nie usiadła obok Verity, ale siedziała obok księcia de Vecchio, co oznaczało, że miała jedną rękę wolną. I obok mnie, co oznaczało, że unoszenie stołów będzie jeszcze trudniejsze.

- Za dużo światła - stwierdziła madame. - Musi być ciemno... - rozejrzała się po salonie. - Gdzie moja gablota?

- Właśnie, Baine - poparła ją pani Mering. - Kazałam wam ją przynieść.

- Tak, jaśnie pani - powiedział Baine z ukłonem. - Jedne drzwiczki pękły i nie domykały się należycie, więc zabrałem ją do kuchni i naprawiłem uszkodzenie. Mam ją teraz przynieść?

- Nie! - odparła madame Iritosky. - Nie trzeba.

- Jak pani sobie życzy - powiedział Baine.

- Czuję, że dzisiaj nie będzie manifestacji - oświadczyła madame Iritosky. - Duchy pragną tylko z

nami rozmawiać. Złączcie dłonie - poleciła układając na stole fałdy swoich szerokich purpurowych rękawów. Chwyciłem jej dłoń i ścisnąłem mocno. - Nie! - zawołała i wyrwała dłoń. - Lekko.

- Przepraszam bardzo - bąknąłem. - Nigdy tego nie robiłem.

Wsunęła rękę w moją dłoń.

- Baine, zgaście światła - poleciła. - Duchy przychodzą tylko przy świecach. Przynieście świecę. Tutaj.

Wskazała stojak na doniczki przy swoim łokciu. Baine zapalił świecę i zgasił światło.

- Nie zapalajcie światła pod żadnym pozorem - ostrzegła madame. - I nie próbujcie dotykać duchów ani medium. To niebezpieczne

Tossie zachichotała, a madame Iritosky zaczęła kasłać. Puściła moją dłoń. Skorzystałem z okazji, żeby wysunąć druty za nadgarstki i zahaczyć pod stołem.

- Proszę o wybaczenie. Kłopoty z gardłem - wyjaśniła madame Iritosky i znowu wzięła mnie za rękę. Gdyby Baine zapalił światło, rzeczywiście naraziłby nas na niebezpieczeństwo. Z pewnością ujawniłby fakt, że w mojej dłoni spoczywała dłoń księcia de Vecchio. Nie wspominając o moich własnych szachrajstwach.

Z prawej strony rozległ się lekki szelest. Verity przesuwała podwiązkę.

- Nigdy jeszcze nie uczestniczyłem w seansie spirytystycznym -powiedziałem głośno, żeby zagłuszyć ten odgłos. - Chyba nie usłyszymy złych nowin?

- Duchy mówią, co zechcą - odparła madame Iritosky.

- Czyż to nie fascynujące? - zawołała pani Mering.

- Cisza - zapowiedziała madame Iritosky grobowym głosem. -Duchy, wzywamy was z Tamtego Świata. Przybądźcie do nas i odsłońcie nam nasze losy.

Świeca zgasła.

Pani Mering wrzasnęła.

- Cisza - powtórzyła madame Iritosky. - Nadchodzą.

Przez długą chwilę panowało milczenie, kilka osób zakaszlało, a potem Verity kopnęła mnie w kostkę. Puściłem jej dłoń, wsunąłem rękę pod stół i zdjąłem pokrywę z koszyka.

- Poczułam coś - oznajmiła Verity i skłamała, ponieważ Księżniczka Ardżumand ocierała się o moje nogi.

- Ja też coś poczułem - odezwał się po chwili wielebny Arbitage - Jakby zimny powiew.

- Och! - zawołała Tossie. - Teraz to poczułam.

- Czy jest tutaj duch? - zapytała madame Iritosky, a ja pochyliłem się do przodu i uniosłem nadgarstki.

Zdumiewające, ale stół naprawdę się poruszył. Tylko odrobinę, wystarczająco jednak, żeby Tossie i pani Mering wydały swoje okrzyczki, a Terence zawołał:

- A niech mnie!

- Jeśli jesteś tutaj, duchu - podjęła madame Iritosky lekko zirytowanym tonem - przemów do nas. Stuknij raz na tak, dwa razy na nie - Czy jesteś życzliwym duchem?

Wstrzymałem oddech.

„Klik", stuknęło pudełko na fiołki w cukrze i przywróciło mi wiarę w powieści kryminalne.

- Czy jesteś Gicziwata? - zapytała madame Iritosky.

- To jej duch przewodni - wyjaśniła pani Mering. - Wódz czerwonych Indian.

Klik, klik.

- Czy jesteś tym duchem, którego widziałam zeszłej nocy? - zapytała pani Mering.

Klik.

- Wiedziałam - wykrzyknęła pani Mering.

- Kim jesteś? - zapytała madame Iritosky. Zapadła cisza.

- On chce, żebyśmy użyli alfabetu - podpowiedziała Verity i nawet w ciemnościach poczułem, jak madame Iritosky piorunuje ją wzrokiem.

- Czy chcesz komunikować się za pomocą alfabetu? - zapytała z przejęciem pani Mering.

Klik. A potem drugie stuknięcie, trochę inne, jakby ktoś strzelił palcami.

- Nie chcesz się komunikować przez alfabet? - zmieszała się pali Mering.

Klik i bolesny kopniak w kostkę.

- Chce - powiedziałem pospiesznie. - A, B, C...

Klik.

- C - zawołała Tossie. - O, madame Iritosky, pani mnie ostrzegła Przed C.

- Co dalej? - zapytała pani Mering. - Proszę kontynuować, panie Henry.

O nie, dopóki pewna stopa operowała swobodnie. Zsunąłem się do przodu w krześle, wyciągnąłem lewą nogę, aż dotknęła spódnicy madame Iritosky, i mocno przycisnąłem stopę do jej stopy.

- ABCDEFGHIJK - powiedziałem szybko, blokując jej stopę LMNO...

Klik.

Cofnęła nogę, a ja w pierwszej chwili miałem ochotę przytrzymać ją za kolano. Za późno.

- ABCD - zaczęła pani Mering i znowu rozległo się stuknięcie

- C-O-D? - zdziwiła się pani Mering.

- Cod, coda, cody - zastanawiał się na głos wielebny Arbitage. -Czy jesteś duchem Buffalo Billa Cody?

- Nie! - krzyknąłem, zanim ktoś zdążył wystukać odpowiedź. - Już wiem! To litera G, nie C. C i G wyglądają prawie tak samo - ciągnąłem w nadziei, że nikt nie zauważy, że litery były recytowane, nie pisane, i wcale nie sąsiadują ze sobą w alfabecie. - G-O-D. Ona próbuje przeliterować „Godiva". Czy jesteś duchem lady Godivy?

Bardzo stanowczy „klik" i znowu zawróciliśmy na właściwy kurs.

- Lady Godiva? - powtórzyła niepewnie pani Mering. Tossie zapytała:

- Czy to ona przejechała na koniu przez miasto bez...

- Tocelyn! - skarciła córkę pani Mering.

- Lady Godiva była świętą kobietą - oznajmiła Verity. - Tylko dobro poddanych leżało jej na sercu. Na pewno chce przekazać bardzo ważną wiadomość.

- Tak - potwierdziłem i mocno przycisnąłem nogę madame Iritosky. - Co pragniesz nam powiedzieć, lady Godivo? ABC...

Klik.

Ponownie wyklepałem alfabet w takim tempie, żeby madame Iritosky nie zdążyła stuknąć. - ABCDEFG...

Dotarłem aż do H. Rozległ się ostry trzask, jakby ktoś gniewnie strzelił palcami. Zignorowałem to i próbowałem dociągnąć do O, ale bez powodzenia.

- H - powiedziała pani Mering. - CH.

- Dużo słów zaczyna się od CH - zauważył Terence.

- Może ona chce powiedzieć: „Chodź"? - podsunęła Tossie.

- Tak, oczywiście - zgodziła się pani Mering. - Ale dokąd mamy pójść? ABC... - Verity stuknęła, chociaż moim zdaniem niepotrzebnie się fatygowała. Nigdy nie dojedziemy do „O", nie mówiąc już o V- A... - zaczęła pani Mering.

Mocno nadepnąłem na nogę madame Iritosky, ale spóźniłem się Trzask. Tym razem w trzaśnięciu dźwięczała niewątpliwa furia. Zabrzmiało tak, jakby madame Iritosky złamała sobie palec.

- ABCDEFGHIJKLMNOPR... - recytowała pani Mering. Verity nie dawała znaku życia.

Trzask.

- R - oświadczyła madame Iritosky. - Ardżumand. Duchy próbują przekazać nam wiadomość o kotce panny Mering. - Nagle zmieniła głos. - Przynoszę wam wieści o Księżniczce Ardżumand - wymówiła chrapliwym basem. - Ona jest z nami na Tamtym Świecie...

- Księżniczka Ardżumand? Na tamtym świecie? - zawołała Tossie. – Niemożliwe! Przecież ona...

- Nie smuć się, że odeszła. Ona jest tam szczęśliwa. Księżniczka Ardżumand wybrała właśnie tę chwilę, żeby wskoczyć na stół i śmiertelnie nas wystraszyć. Tossie wydała okrzyczek.

- O, Księżniczko Ardżumand! - zawołała z radością. - Wiedziałam, że nie odeszłaś. Dlaczego duchy tak powiedziały, madame Iritosky?

Nie czekałem, aż madame wymyśli odpowiedź.

- Wiadomość wcale nie zaczynała się od „A", tylko od „C". C-A... co chcesz nam powiedzieć, duchu? - i wyklepałem alfabet najszybciej, jak potrafiłem. - ABCDEFGHIJKLMNOPRSTUV...

Verity stuknęła, a Tossie zapytała:

- C-A-V? Co to znaczy?

- *Caveat*- podpowiedział uczynnie profesor Peddick. - Strzeż się.

- Coventry - rzuciła pani Mering, a ja chciałem ją ucałować. - Duchu, czy żądasz, żebyśmy pojechali do Coventry?

Energiczny klik.

- Gdzie w Coventry? - zapytałem, naparłem całym ciężarem na but madame Iritosky i ruszyłem z kopyta przez alfabet.

Verity rozsądnie postanowiła nie literować „świętego". Stuknęła na M, I oraz C, a ponieważ nie wiedziałem, jak długo zdołam utrzymać w ryzach madame Iritosky, powiedziałem:

- Święty Michał.

Rozległ się potwierdzający klik.

- Czy żądasz, żebyśmy odwiedzili kościół świętego Michała? Kolejny klik, po którym cofnąłem stopę.

- Kościół świętego Michała - powtórzyła pani Mering. - O, madame Iritosky, musimy tam pojechać z samego rana...

- Cisza - ogłosiła madame Iritosky. - Wyczuwam tutaj złośliwego ducha.

Gwałtownie sięgnąłem stopą do jej stopy.

- Czy jesteś złym duchem? - zapytała. Trzask.

Czekałem, żeby Verity stuknęła powtórnie, ale usłyszałem tylko gorączkowe szelesty. Widocznie przesunęła pudełko na fiołki w cukrze z powrotem nad kolano.

- Czy kieruje tobą niedowiarek? - ciągnęła madame Iritosky. Trzask.

- Baine, zapalcie światło - rozkazała madame. - Ktoś tutaj stuka kto nie jest duchem.

Zaraz mnie przyłapią z drutami wystającymi z rękawów. Próbowałem wyrwać rękę z dłoni madame Iritosky (albo księcia), ale dłoń trzymała mnie w żelaznym uchwycie.

- Baine! Światło! - zawołała madame Iritosky. Potarła zapałkę i zapaliła świecę.

Nagły podmuch od oszklonych drzwi zgasił świecę.

Tossie wrzasnęła i nawet Terence stęknął. Wszyscy spojrzeli na falujące zasłony. Rozległ się jakby niski jęk i coś świecącego pojawiło się przed zasłonami.

- Mój Boże! -wykrzyknął wielebny Arbitage.

- Manifestacja - wydyszała pani Mering.

Kształt płynął powoli w stronę otwartych oszklonych drzwi, zbaczając lekko na bakburtę i rozsiewając upiorną zielonkawą poświatę.

Uścisk na mojej dłoni rozluźnił się, więc szybko schowałem druty do rękawów. Obok mnie Verity podciągnęła spódnicę, po czym wepchnęła pudełko na fiołki w cukrze za cholewkę mojego prawego buta.

- Książę de Vecchio, niech pan zapali światło! - zażądała madame Iritosky.

- *Una fantasma!* - westchnął książę i przeżegnał się. Verity wyprostowała się i wzięła mnie za rękę.

- O zjawo, czy jesteś duchem łady Godivy?

- Książę de Vecchio - powtórzyła madame Iritosky. – Rozkazuję ci zapalić światło!

Kształt dotarł do oszklonych drzwi, po czym jakby uniósł się i przybrał formę twarzy. Zawoalowanej twarzy z wielkimi ciemnymi oczami. I spłaszczonym nosem. I obwisłymi policzkami.

Ręka Verity w mojej lekko drgnęła.

- O duchu - powiedziała Verity opanowanym głosem - czy żądasz, żebyśmy pojechali do Coventry?

Kształt powoli odpłynął od oszklonych drzwi, a potem obrócił się i znikł jak nakryty czarną płachtą. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

- Wzywa nas do Coventry - powiedziałem. - Nie możemy lekceważyć wezwania duchów.

- Widzieliście to? - zawołał książę de Vecchio. - To było straszne, straszne!

- Widziałem serafina w ciele - oznajmił z uniesieniem wielebny Arbitage.

Zabłysło światło ukazując Baine'a, który stał spokojnie obok stolika z marmurowym blatem i regulował płomień lampy.

- O, madame Iritosky! - wykrzyknęła pani Mering i osunęła się na dywan. -Widziałam twarz mojej drogiej matki!

W całym moim życiu...Nigdy jeszcze nie spotkałem się z taką rzeczą jak błahostka

Wilkie Collins, „Księżycowy kamień”

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dobrze przespana noc - Pseudonim - Nagły odjazd - Więcej pseudonimów - Przepowiedziana przyszłość madame Iritosky - Tajemnica wycieraczki do piór rozwiązana - Strusia noga biskupa jako narzędzie mordu - Rabunek - Tajemnica rubinów rozwiązana - Tajemnica pamiętnika rozwiązana - Spóźniony odjazd - W pociągu do Coventry - Pech

Zużyłem prawie godzinę i butelkę rozpuszczalnika, żeby zmyć z Cyryla Świecącą Farbę Balmaina, w asyście Księżniczki Ardżumand. Widocznie opary ścięły nas z nóg, bo pamiętam tylko, jak Baine potrząsał mną i mówił:

- Przepraszam, że pana budzę, sir, ale minęła szósta, a pułkownik Mering i profesor Peddick kazali się obudzić o siódmej.

- Uhum - wymamrotałem, na wpół rozbudzony. Cyryl zagrzebał się głębiej w pościeli.

- Jimmy Slumkin, sir - powiedział Baine, nalewając gorącą wodę do umywalki.

- Co?

- Prawdziwe nazwisko księcia. Jimmy Slumkin. Było w jego paszporcie.

Slumkin. No cóż, tyle w kwestii księcia jako tajemniczego pana C. Może to i lepiej, żałowałem jednak, że nie mamy chociaż jednego podejrzanego. Kłopoty lorda Petera i Herkulesa Poirot polegały na tym że zawsze mieli za dużo podejrzanych. Nigdy nie słyszałem o kryminale, gdzie detektywowi brakowało sprawcy.

Usiadłem i spuściłem nogi z łóżka.

- Przez „S" czy przez „C"?

Baine przerwał układanie brzytew i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Słucham, sir?

- Slumkin. Pisze się przez „S" czy przez „C"?

- Przez „S" - odpowiedział. - Dlaczego, sir?

- Madame Iritosky wywróżyła pannie Mering, że poślubi kogoś, czyje nazwisko zaczyna się na „C" - wyjaśniłem, lekko naciągając prawdę.

Baine odwrócił się z powrotem do swoich brzytew.

- Doprawdy, sir?

- Właśnie. Nie znacie przypadkiem w okolicy jakiegoś dżentelmena do wzięcia, którego nazwisko zaczyna się na „C"?

- Dżentelmena? - powtórzył. - Nie, sir.

Przy pomocy Baine'a ogoliłem się, ubrałem i spróbowałem wyciągnąć Cyryla z łóżka.

- Tym razem nie zamierzam cię nosić.

- Dzisiejszy ranek jest dość chłodny i pochmurny - oznajmił Baine. - Lepiej niech pan weźmie płaszcz.

- Pochmurny? - upewniłem się, wywlekając Cyryla z pościeli.

- Tak, sir - potwierdził Baine. - Zanosi się na deszcz.

Baine nie przesadzał. Zanosiło się na porządną ulewę i było tak zimno, jakbym przeskoczył do połowy grudnia. Cyryl tylko raz zawęszył pod drzwiami i natychmiast zawrócił. Dotarł do połowy schodów, zanim go złapałem i ponownie zniosłem na dół.

- W stajni wcale nie jest tak zimno - pocieszyłem go, co było wierutnym kłamstwem. Panował tam lodowaty ziąb i egipskie ciemności. Widocznie stajenny też zaspał. Po omacku znalazłem zapałki i zapaliłem lampę.

- Halo - powiedziała Verity. Siedziała na belach siana, machają nogami. - Gdzie byłeś?

- Co ty tu robisz?

- Madame Iritosky i książę wyjechali o czwartej. Przekupili stajennego, żeby zawiózł ich na stację.

Cyryl, który udaje, że nie potrafi wejść na pojedynczy stopień bez pomocy, wskoczył pięknym łukiem na siano i na kolana Verity.

- Halo, Cyrylu - powiedziała. - Pomyślałam, że może słusznie podejrzewałeś, że książę jest panem C, więc śledziłam ich, żeby sprawić, czy nie zabrali ze sobą Tossie.

- On nie jest panem C. - odparłem. - Nazywa się Jimmy Slumkin.

- Wiem - przyznała Verity, drapiąc Cyryla za uszami. - Znany także jako Tom Higgins, hrabia de Fanaud i Bob „Łasica" Wexford. Przeskoczyłam po ich odjeździe i sprawdziłam archiwa Scotland Yardu. Wiem także, po co tutaj przyjechali.

- Przeprowadzić rozeznanie?

- Prawdopodobnie - potwierdziła. Cyryl z westchnieniem przewrócił się na bok. Verity pogłaskała go po brzuchu. - Tak się złożyło że poprzedniego wieczoru madame Iritosky urządziła specjalny seans dla Towarzystwa Badań Metapsychicznych, żeby sprawdzili jej autentyczność. Związali jej ręce i nogi, zamknęli ją w gablocie, po czym ukazał się duch Kleopatry, grał na tamburynie i tańczył wokół stołu, dotykając uczestników i ostrzegając ich przed C.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Niestety jeden z członków Towarzystwa był tak oczarowany wdziękami Kleopatry, że pomimo ostrzeżeń madame Iritosky chwycił ducha za rękę i próbował posadzić sobie na kolanach.

- I co?

- Duch ugryzł go i szarpnął za włosy. Dociekliwy badacz wrzasnął, na co inny członek Towarzystwa zapalił światło, otworzył gablotę...

- Która, co dziwne, okazała się pusta.

- I zerwał welony z Kleopatry, którą okazała się madame Iritosky. Trzy dni później razem ze swoim wspólnikiem popłynęła do Francji, gdzie zdemaskował ją Richet, który wierzył wszystkim, a potem do Kalkuty, gdzie nauczyła się nowych sztuczek od hinduskiego fakira. W 1922 roku wyjechała do Ameryki tylko po to, żeby Houdini zdemaskował ją jako oszustkę, a stamtąd trafiła do Oksfordu, gdzie Arthur Conan Doyle ogłosił ją „największym medium naszych czasów". Nie można wątpić w prawdziwość jej mediumistycznych talentów.

Popatrzyła z czułością na Cyryla.

- Jak już wydamy Tossie za pana C. - powiedziała, drapiąc go za uszami - chyba zabiorę cię ze sobą.

Zerknęła na mnie figlarnie.

- Żartuję - wyjaśniła. - Uroczyście wyrzekłam się niekongruencji. Ale chciałabym mieć buldoga.

- Ja też - wyznałem. Przechyliła głowę na bok.

- Jeszcze nie wyciągnęli Carruthersa - oznajmiła. - Sieć dalej nie chce się otworzyć. Warder myśli, że może to krótkotrwała blokada. Przeszła na przyspieszone czterogodzinne intermisje, żeby ją ominąć.

- Czy TJ. rozwiązał tajemnicę, dlaczego niekongruencja pokonała zabezpieczenia sieci? - zapytałem.

- Nie. Za to ustalił, dlaczego Napoleon przegrał bitwę pod Waterloo. - Uśmiechnęła się, po czym dodała już poważniejszym tonem: - I wreszcie wygenerował niekongruencję.

- Niekongruencję? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- To była tylko symulowana niekongruencja. I niewłaściwego rodzaju. Wystąpiła jako część

samokorekty. W jednym z tych symów, gdzie historyk zabija Wellingtona. Kiedy wprowadził drugiego historyka do symu, ten drugi ukradł strzelbę, z której pierwszy historyk zamierzał zabić Wellingtona, i przeniósł ją przez sieć do przodu, co zapobiegło niekongruencji zamiast ją spowodować. Ale kazał ci powiedzieć, iż przynajmniej mamy dowód, że przeniesienie czegoś przez sieć do przodu jest teoretycznie możliwe, nawet jeśli to nie pasuje do naszego przypadku.

Teoretycznie możliwe. Ale wciąż pozostał nie rozwiązany problem, jak otworzyć sieć, żeby wysłać pierwszego historyka, który ma zabić Wellingtona.

- Coś jeszcze? - zapytałem.

- Nie. On i pan Dunworthy ucieszyli się, że namówiliśmy Tossie na wycieczkę do Coventry. Obaj myślą, że ponieważ nie mogą znaleźć żadnego zwiększonego poślizgu wokół oryginalnego skoku, to oznacza, że niekongruencja jest krótkoterminowa i musimy tylko dostarczyć Tossie na czas do kościoła, żeby sama się skorygowała.

Ponownie przechyliła głowę.

- I jeśli się skoryguje, możemy wracać i stawić czoło lady Schrapnell. A ja obiecałam, że pomogę ci znaleźć strusią nogę biskupa. Więc postanowiłam zaczekać na ciebie.

Zsunęła Cyryla z kolan, wyjęła z kieszeni pióro, buteleczkę atramentu, kilka kartek papieru i rozłożyła je na sianie.

- Po co to? - zapytałem.

- Do spisania listy wszystkich możliwości, co się mogło stać ze strusią nogą biskupa. Lord Peter Wimsey i Harriet Vane zrobili listę „Zabierz jego zwłoki".

- Nie ma czegoś takiego jak lista wszystkich możliwości - Zaprotestowałem. - Kontinuum jest chaotycznym systemem, pamiętasz?

Zignorowała mnie.

- W powieści Agathy Christie zawsze pozostaje jedna możliwość której nie wziąłeś pod uwagę, i to jest właśnie rozwiązanie. No dobrze - umoczyła pióro w atramencie. - Po pierwsze, strusia noga biskupa była w katedrze podczas nalotu i została zniszczona przez pożar. Po drugie, była w katedrze, przetrwała pożar i odnaleziono ją w gruzach Po trzecie - ciągnęła, pisząc gorliwie - została odratowana podczas nalotu.

Pokręciłem głową.

- Jedyne odratowane przedmioty to flaga, dwa komplety świeczników, drewniany krucyfiks i książki do nabożeństwa. Spisano listę.

- My spisujemy wszystkie możliwości - odparła. - Później wyeliminujemy niemożliwe.

Czyli, jak na razie, wszystkie wymienione trzy.

- Po czwarte - ciągnęła - strusia noga biskupa przetrwała nalot, chociaż z jakiegoś powodu nie trafiła na listę, i leży gdzieś w magazynie.

- Nie - zaprzeczyłem. - Pani Bittner przejrzała wszystkie rzeczy w katedrze, kiedy ją sprzedawano, ale jej nie znalazła.

- Lord Peter nie sprzeciwiał się Harriet na każdym kroku, kiedy sporządzała listę - skarciła mnie Verity. - Po piąte, strusiej nogi biskupa nie było w katedrze podczas nalotu. Zabrano ją między dziesiątym a czternastym listopada.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Dla bezpieczeństwa. Razem ze wschodnimi oknami. Pokręciłem głową.

- Poszedłem na probostwo Lucy Hampton, żeby sprawdzić. Z Coventry mieli tylko okna.

- Och. No dobrze, a jeśli jakiś członek kongregacji zabrał strusią nogę biskupa do domu na przechowanie? Albo do czyszczenia czy coś w tym rodzaju, i akurat tej nocy nie było jej w katedrze.

- Jeśli tak, dlaczego ta osoba jej nie zwróciła?

- Nie wiem - mruknęła, przygryzając wargę. - Może zginęła podczas nalotu, od bomby burzącej, a spadkobierca nie wiedział, że strusia noga to własność katedry.

- Albo pomyślał sobie: „Nie mogę tego zrobić mieszkańcom Coventry. Oni tak ciężko przeżyli stratę katedry. Nie mogę im jeszcze zwalić na głowę strusiej nogi biskupa".

- Bądź poważny - poprosiła. - A jeśli on jej nie zwrócił, bo bomba ją zniszczyła podczas nalotu?

Znowu pokręciłem głową.

- Nawet bomba burząca nie zniszczyłaby strusiej nogi biskupa. Verity odrzuciła pióro.

- Tak się cieszę, że dzisiaj jedziemy do Coventry i wreszcie zobaczę tę strusią nogę biskupa. Nie może być taka okropna, jak mówisz.

Zamyśliła się na chwilę.

- A jeśli strusia noga biskupa była zamieszana w zbrodnię? Użyto jej jako narzędzia mordu i jest na niej krew, więc ją ukradli, żeby nikt się nie dowiedział o morderstwie.

- Czytasz za dużo kryminałów - stwierdziłem. Ponownie zanurzyła pióro w atramencie.

- A jeśli ukryto ją w katedrze, ale wewnątrz czegoś, jak „Zaginiony list" Poego?

Zaczęła pisać, potem przerwała i spojrzała z niezadowoleniem na pióro. Wyjęła z kieszeni pomarańczową wycieraczkę do piór w kształcie dalii.

- Co robisz? - zapytałem.

- Wycieram pióro - odpowiedziała. Wetknęła pióro w dalię i wytarła je o warstwy tkaniny.

- To wycieraczka do piór - powiedziałem. - Wycieraczka do piór! Służy do wycierania piór!

- Owszem - przyznała, spoglądając na mnie podejrzliwie. - Na czubku był atrament. Mogłam zrobić kleksa.

- Oczywiście! Więc wytarłaś pióro w wycieraczkę!

- Ile skoków zrobiłeś, Ned? - zapytała.

- Jesteś cudowną dziewczyną, wiesz? - Chwyciłem ją za ramiona. - Rozwiązałaś zagadkę, która prześladowała mnie od 1940 roku. chciałbym pocałować...

Od strony domu dobiegł nas krzyk mrożący krew w żyłach. Cyryl zakrył twarz łapami.

- Co znowu? - zapytała Verity z rozczarowaną miną. Puściłem jej ramiona.

- Codzienne omdlenie?

Verity wstała i zaczęła strzepywać słomę ze spódnicy.

- Lepiej, żeby to nie przekreśliło wycieczki do Coventry. Ty idź pierwszy. Ja wejdę przez kuchnię.

- Mesiel! - wrzeszczała pani Mering. - O, Mesiel! Ruszyłem w stronę domu, spodziewając się znaleźć panią Mering leżącą wśród mebli, ale ona nie leżała. Stała w połowie schodów, owinięta szlafrokiem, czepiając się poręczy. Włosy miała splecione w dwa operowe warkocze i wymachiwała pustą szkatułką wyłożoną aksamitem.

- Moje rubiny! - jęczała do pułkownika, który widocznie dopiero wyszedł z pokoju śniadaniowego. Trzymał jeszcze w ręku serwetkę. - Skradziono je!

- Wiedziałem! - zawołał wstrząśnięty pułkownik. - Nie powinienem wpuścić tego medium do domu! Złodzieje! - Rzucił serwetkę.

- O, Mesiel - pani Mering przycisnęła szkatułkę do łona - chyba nie myślisz, że madame Iritosky miała z tym coś wspólnego!

Zjawiła się Tossie.

- Co się stało, mamo?

- Tocelyn, idź i zobacz, czy nie brakuje ci czegoś z biżuterii!

- Mój pamiętnik! - wykrzyknęła Tossie i wybiegła, prawie zderzając się z Verity, która widocznie weszła tylnymi schodami.

- Co się stało? - zapytała Verity.

- Obrabowani! - wyjaśnił zwięźle pułkownik. - Powiedzcie madame Jak-jej-tam i temu księciu, żeby natychmiast zeszli na dół!

- Oni wyjechali - odparła Verity.

- Wyjechali? - zachłysnęła się pani Mering i myślałem już, ze spadnie ze schodów.

Popędziłem do góry, a Verity zbiegła na dół i wspólnymi siłami sprowadziliśmy panią Mering ze schodów. Przetransportowaliśmy ją do salonu i złożyliśmy, łkającą, na sofie wypchanej końskim włosiem.

Zdyszana Tossie zjawiła się na szczycie schodów.

- O mamo, zginął mój naszyjnik z granatów - wołała, zbiegając z tupotem po schodach - i moje perły, i pierścionek z ametystem.

Zamiast skręcić do salonu, pobiegła dalej korytarzem i wróciła po chwili, niosąc swój pamiętnik.

- Dzięki niebiosom schowałam pamiętnik w bibliotece, pomiędzy innymi książkami, gdzie nikt go nie zauważył!

Verity i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Wiedziałem, że ten nonsens ze stukającymi stolikami nie prowadzi do niczego dobrego - stwierdził pułkownik. - Gdzie jest Baine? Zadzwońcie na niego!

Verity ruszyła w stronę dzwonka, ale Baine właśnie wszedł, niosąc wyszczerbiony gliniany garnek.

- Odstawcie to - rozkazał pułkownik Mering - i sprowadźcie konstabla. Zginął naszyjnik pani Mering.

- I mój pierścionek z ametystem - dodała Tossie.

- Wczoraj wieczorem zabrałem rubiny pani Mering i resztę biżuterii do czyszczenia - powiedział Baine. - Zauważyłem, że kiedy panie nosiły je ostatnio, klejnoty wydawały się nieco przyćmione. - Sięgnął do garnka. - Namoczyłem je na noc w roztworze octu i sody.

Wyjął naszyjnik z rubinów i podał pułkownikowi.

- Zamierzałem właśnie odłożyć go do szkatułki. Uprzedziłbym panią Mering, ale była zajęta gośćmi.

- Wiedziałam! - odezwała się pani Mering z sofy. - Mesiel, jak mogłeś posądzać kochaną madame Iritosky?

- Baine, sprawdźcie srebra - polecił pułkownik Mering. - I Rubensa.

- Tak, sir - powiedział Baine. - Na którą podstawić powozy?

- Powozy? Po co? - zapytał pułkownik.

- Żeby pojechać do Coventry - wyjaśniła Tossie. - Zwiedzimy kościół świętego Michała.

- Też coś! - prychnął pułkownik. - Nigdzie nie jedziemy. Złodzieje w okolicy! Nie wiadomo, kiedy wrócą!

- Ale my musimy jechać - oświadczyła Verity.

- Duchy nas wezwały - poparła ją Tossie.

- Nonsens i bzdura! - zaperzył się pułkownik. - Pewnie to uknuła, zęby wywabić nas z domu, a wtedy wrócą i ukradną nasze kosztowności!

- Uknuła! - Pani Mering majestatycznie powstała z sofy. – Czy sugerujesz, że wczorajsza wiadomość od duchów była nieprawdziwa?

Pułkownik zignorował ją.

- Nie potrzebujemy powozów. I lepiej sprawdzić, czy konie są stajni. Nigdy nie wiadomo... - urwał, jakby porażony nagłą myślą.

- Mój Czarny Maur!

Uznałem za mało prawdopodobne, żeby madame Iritosky ukradła złotą rybkę pułkownika, nawet jeśli pokrzyżowano jej plany względem rubinów, ale raczej nie należało mu tego mówić. Zszedłem mu z drogi, kiedy popędził do drzwi.

Pani Mering znowu usiadła na sofie.

- O, że też twój ojciec zwątpił w uczciwość madame Iritosky! Łaska boska, że wyjechała i nie musi wysłuchiwać tych podłych oszczerstw! - Coś sobie przypomniała. - Jaki podała powód wyjazdu Baine?

- Nie wiedziałem o ich wyjeździe aż do dzisiejszego ranka - powiedział Baine. - Wygląda na to, że wyjechali w nocy. Bardzo mnie to zdziwiło. Powiedziałem madame Iritosky, że pani na pewno napisze do Towarzystwa Badań Metapsychicznych i zaprosi ich na świadków manifestacji, i oczywiście zakładałem, że madame zechce zostać, ale widocznie wezwały ją pilne sprawy.

- Niewątpliwie - przyświadczyła pani Mering. - Wezwania duchów nie wolno lekceważyć. Ale Towarzystwo Badań Metapsychicznych tutaj! Jakie to pasjonujące!

Wszedł pułkownik Mering z ponurą miną, niosąc pod pachą Księżniczkę Ardżumand.

- Czy pański Czarny Maur jest bezpieczny? - zapytałem z obawą.

- Na razie - odparł, rzucając kota na podłogę. Tossie podniosła kotkę.

- To nie przypadek, że przyjechali akurat teraz, dzień przed dostarczeniem mojego czerwono nakrapianego srebrnego tancho - stwierdził pułkownik. - Baine! Trzymajcie straż nad sadzawką przez cały dzień. Nie wiadomo, kiedy wrócą!

- Baine jedzie ze mną - oznajmiła pani Mering, wstając z sofy, groźna niczym walkiria z warkoczami i bojowym płomiennym spojrzeniem. - Pojedziemy do Coventry!

- Banialuki! Nigdzie nie jadę. Muszę zostać tutaj i bronić pozycji!

- Więc pojedziemy bez ciebie - oznajmiła. - Nie wolno lekceważyć wezwania duchów. Baine, kiedy odchodzi następny pociąg do Coventry?

- Dziewiąta cztery, jaśnie pani - odpowiedział szybko Baine.

- Doskonale - stwierdziła pani Mering, odwracając się plecami do pułkownika. - Podstaw powóz kwadrans po ósmej. Wyjedziemy na stację o wpół do.

Podstawił, ale nie wyjechaliśmy. Ani o dziewiątej trzydzieści, ani o dziesiątej. Na szczęście były jeszcze pociągi o dziewiątej czterdzieści dziewięć, dziesiątej siedemnaście i jedenastej pięć, które Baine, chodzący rozkład jazdy Bradshawa, recytował po każdym kolejnym opóźnieniu.

Opóźnienia wynikały z rozmaitych przyczyn. Pani Mering oświadczyła, że po porannych przeżyciach czuje się osłabiona i musi pokrzepić się śniadaniem z krwawej kiszki, kedgeree oraz faszerowanych kurzych wątróbek. Tossie nie mogła znaleźć swoich lawendowych rękawiczek. Jane zniosła na dół niewłaściwy szal.

- Nie, nie, kaszmir jest za ciepły na czerwiec - powiedziała pani Mering. - Przynieś szal z tartanu, ten z Dunfermline.

- Spóźnimy się na spotkanie z panem C. - jęknęła Verity, kiedy staliśmy w westybulu, czekając, aż pani Mering ponownie zmieni kapelusz.

- Wcale nie - pocieszyłem ją. - Możemy wyjechać za pół godziny i jeszcze złapiemy ten o jedenastej dwadzieścia sześć, a pamiętnik nie podawał, o której godzinie to nastąpiło. Uspokój się.

Verity kiwnęła głową.

- Myślałam o strusiej nodze biskupa - zaczęła. - A jeśli ktoś coś w niej schował, żeby kto inny tego

nie ukradł? A potem wrócili, żeby to wyjąć, ale nie było czasu, więc po prostu zabrali całość? - Podniosła wzrok na schody. - Dlaczego one tak się grzebią?

Tossie lekko zbiegła ze schodów w lawendowych rękawiczkach i niezliczonych lawendowych falbankach. Wyjrzała przez otwarte drzwi.

- Zanosi się na deszcz - stwierdziła, marszcząc brwi. - Nie będziemy mogli oglądać widoków, jeśli zacznie padać, mamo - zawołała do pani Mering, która schodziła ze schodów. - Może powinniśmy zaczekać do jutra.

- Nie! - wykrzyknęła Verity. - A jeśli lady Godiva ma dla nas pilną wiadomość?

- Naprawdę zanosi się na deszcz - poparła córkę pani Mering. -Czy Baine zapakował parasole?

- Tak - powiedziałem. Również przewodniki, prostokątny kosz lunchem, sole trzeźwiące, lampę spirytusową, haft pani Mering, powieść Tossie, Tennysona Terence'a, kilka egzemplarzy metapsychicznego magazynu „Światło" oraz liczne dywaniki i pledy, które ułożył tak przemyślnie, że w dwóch powozach zostało jeszcze miejsce dla nas, chociaż chyba dobrze się składało, że profesor Peddick postanowił zostać z pułkownikiem.

- Chciałbym przedyskutować z pułkownikiem kilka kwestii dotyczących bitwy w Termopilach - powiedział do pani Mering.

- No, niech pan mu nie pozwoli chodzić po deszczu - poleciła wyraźnie mięknąc w stosunku do męża. - Przeziębi się na śmierć.

Terence przyprowadził Cyryla i podsadził go na stopień.

- Panie St. Trewes - przemówiła pani Mering wagnerowskim tonem - pan chyba nie zamierza zabrać ze sobą tego stwora.

Terence znieruchomiał w pół gestu, a tylne nogi Cyryla zadyndały w powietrzu.

- Cyryl w pociągu zachowuje się jak skończony dżentelmen - zapewnił. - Jeździł wszędzie... do Londynu, Oksfordu, Sussex. Uwielbia wyglądać przez okno, wie pani, na mijane koty i tak dalej. I zawsze świetnie się dogaduje z obsługą kolejową.

Ale nie z panią Mering.

- Wagon kolejowy to nie miejsce dla zwierząt - oświadczyła.

- A ja mam nową podróżną suknię - dodała Tossie, wygładzając falbanki lawendową rękawiczką.

- Ale on będzie taki rozczarowany - mruknął Terence i niechętnie postawił psa na ziemi.

- Nonsens! - prychnęła pani Mering. - Zwierzęta nie mają uczuć.

- Nie szkodzi, Cyrylu - powiedział profesor Peddick. - Możesz iść ze mną nad sadzawkę. Zawsze bardzo lubiłem psy. Tak jak moja siostrzenica Maud. Karmi je przy stole. - Odeszli razem.

- Niechże pan wsiada, panie St. Trewes - ponagliła go pani Mering. - Przez pana spóźnimy się na pociąg. Baine, zapakowaliście moją lornetkę?

Wreszcie wyruszyliśmy na stację o wpół do jedenastej.

- Pamiętaj - szepnęła Verity, kiedy pomagałem jej wsiąść do powozu - pamiętnik Tossie mówi tylko: „wycieczka do Coventry". Nie określa, która część wycieczki. Pan C. może pojawić się na stacji albo w pociągu.

Dotarliśmy na stację o jedenastej dziewięć. Pociąg już odjechał zresztą może i lepiej się stało, bo wyładowanie wszystkiego i wszystkich z powozów trwało dobre dziesięć minut. Kiedy weszliśmy na peron, nikogo tam nie było.

- Nie rozumiem, dlaczego pociąg nie mógł zaczekać! - obruszyła się pani Mering. - Kilka minut z pewnością nie robi różnicy co za bezwzględność!

- Wiem, że spadnie deszcz i zniszczy moją podróżną suknię - denerwowała się Tossie, spoglądając na niebo. - O, Terence, mam nadzieję, że nie będzie padać w dniu naszego ślubu!

- „Ach dniu radosny, dniu jasny i szczęsny” - zacytował Terence roztargnieniem, spoglądając w stronę Muchings End. - Jeśli spadnie deszcz, mam nadzieję, że profesor Peddick nie zostawi Cyryla na dworze.

- Przypuszczam, że nie pójdą na ryby w taką pogodę - podjęła pani Mering - nie ze słabymi płucami Mesiela. Zeszłej wiosny strasznie się przeziębił. Leżał w łóżku przez dwa tygodnie i tak okropnie kaszlał! Doktor powiedział, że to cud, że nie złapał zapalenia płuc. Panie Henry, niech pan pójdzie i zobaczy, czy nie widać pociągu.

Poszedłem na drugi koniec peronu. Kiedy wróciłem, Verity odsunęła się od pozostałych.

- Myślałam o strusiej nodze biskupa - powiedziała. - W „Księżycowym kamieniu” klejnot zabrał lunatyk, który nie wiedział, że go ukradł. Schował go do czegoś, a potem druga osoba mu to ukradła. A jeśli ten, kto zabrał strusią nogę...?

- Lunatykował? W katedrze Coventry?

- Nie. Nie wiedział, że popełnia przestępstwo.

- Dokładnie ile skoków zrobiłaś w ostatnim tygodniu? - zapytałem.

Wrócił Baine z bagażowym, który miał co najmniej siedemdziesiątkę, i razem ze stangretem zaczęli przenosić nasze bagaże z powozów na skraj peronu. Verity zmierzyła bagażowego taksującym wzrokiem.

- Nie - stwierdziła. - Tossie była jego żoną przez pięćdziesiąt lat. To znaczy, że musiałby dożyć stu dwudziestu lat.

- Czy widział pan jakiś ślad pociągu, panie Henry? - zawołała Pani Mering.

- Niestety nie - odpowiedziałem, podchodząc do niej.

- Gdzież on może być? - zirytowała się pani Mering. - Mam nadzieje że spóźniony pociąg to nie jest zły znak. Panie Henry, czy powozy odjechały?

- Musimy dzisiaj pojechać do Coventry - powiedziała Verity. – Co sobie o nas pomyśli madame Iritosky, jeśli zignorujemy wiadomość z zaświatów?

- Sama nie zawahała się wyjechać w środku nocy, kiedy otrzymała wiadomość - dodałem, modląc się w duchu, żeby cholerny pociąg wreszcie przyjechał. - A pogoda na pewno się poprawi, kiedy dojedziemy do Coventry.

- I tam jest tyle pięknych rzeczy - podchwyciła Verity, ale najwyraźniej nie umiała żadnej wymienić.

- Błękitny barwnik - podpowiedziałem. - Coventry słynie ze swoich farbiarni. I ze wstążek.

- Może kupię trochę do mojej wyprawy - zamyśliła się Tossie.

- Profesor Peddick bywa roztargniony. Chyba nie zostawi Cyryla bez opieki, jak myślicie? - zastanawiał się Terence.

- Chyba lazurowe wstążki, do mojego wizytowego kapelusza - zdecydowała się Tossie. - Albo może błękitne. Jak myślisz, mamo?

- Dlaczego te pociągi nie przyjeżdżają zgodnie z rozkładem, tylko każą nam czekać godzinami? - denerwowała się pani Mering.

I tak dalej. Pociąg przyjechał dokładnie o jedenastej trzydzieści dwie, wtoczył się na stację z imponującym syczeniem pary i Verity praktycznie wepchnęła wszystkich do wagonu, rozglądając się czujnie za ewentualnym panem C.

Baine pomógł pani Mering wejść na stopnie, zaprowadził ją do przedziału i pobiegł dopilnować, żeby bagażowy załadował nasze manatki. Jane usadowiła panią Mering na ławce, podała jej lornetkę i haft, znalazła jej chusteczkę i szal, po czym dygnęła i wyszła z wagonu.

- Dokąd ona idzie? - zapytałem Verity, patrząc, jak Jane biegnie peronem na koniec pociągu.

- Do drugiej klasy - wyjaśniła Verity. - Służba nie podróżuje z pracodawcami.

- Jak oni sobie radzą bez służących?

- Nie muszą - odparła, podkasała spódnicę i weszła na stopni. Rzeczywiście nie musieli. Baine wrócił zaraz po zakończeniu załadunku, żeby przynieść pani Mering pled i zapytać, czy jeszcze czegoś potrzebuje.

- Poduszki - oznajmiła. - Te kolejowe ławki są bardzo niewygodne.

- Tak, jaśnie pani - powiedział Baine i wybiegł galopem - Wrócił po minucie, zadyszany i rozczochrany, niosąc brokatową poduszkę.

- Pociąg z Reading ma korytarz, jaśnie pani - wysapał - ale w tym są tylko oddzielne wagony. Przyjdę jednak usłużyć pani na każdej stacji.

- Czy nie ma bezpośredniego pociągu do Coventry? – zapytała pani Mering.

- Jest, jaśnie pani - powiedział Baine. - O dziesiątej siedemnaście. Pociąg zaraz ruszy, jaśnie pani. Coś jeszcze?

- Tak, bedeker. I dywanik pod stopy. Podłogi w tych kolejowych wagonach są w okropnym stanie.

Najwyraźniej pani Mering nigdy nie jechała metrem. To uniwersalna prawda temporalna, że ludzie nigdy nie doceniają swoich czasów, zwłaszcza transportu. Współcześni w dwudziestym wieku narzekali na odwołane loty i ceny benzyny, współcześni w osiemnastym wieku narzekali na błotniste drogi i rozbójników. A Grecy profesora Peddicka z pewnością narzekali na krnąbrne konie i odpadające koła rydwanów.

Jeździłem już wcześniej pociągami w 1940 roku, ostatnio do Lucy Hampton sprawdzić, czy nie zabrali tam strusiej nogi biskupa razem ze wschodnimi oknami, ale tamte pociągi były wypełnione żołnierzami, okna miały zasłonięte czarnym zaciemnieniem i całe wyposażenie zdjęte w celu przerobienia na amunicję. Zresztą wojna czy nie wojna, i tak nie mogły się równać z naszym.

Siedzenia o wysokich oparciach były obite zielonym pluszem, a wyżej ściany pokrywała wypolerowana mahoniowa boazeria intarsjowana kwiatowym deseniem. W oknach wisiały grube zielone aksamitne kotary, po obu stronach w kinkietach tkwiły gazowe lampy osłonięte kloszami z trawionego szkła, a górna półka na bagaże, poręcze, podłokietniki, kółka od zasłon były zrobione z wypolerowanego mosiądzu.

Stanowczo to nie metro. A kiedy pociąg ruszył powoli (zaś Baine wykonał ostatni sprint, żeby dostarczyć bedeker i dywanik i wrócić do wagonu drugiej klasy), i nabierał szybkości jadąc przez piękny, zamglony krajobraz, stanowczo nie było powodów do narzekania.

Co bynajmniej nie powstrzymało pani Mering przed narzekaniem na sadze wpadające przez okno (Terence zamknął okno), duchotę w przedziale (Terence otworzył okno i zaciągnął kotary), mglisty dzień, niewygodną jazdę, twardą poduszkę dostarczoną przez Baine'a.

Wydawała mały okrzyczek za każdym razem, kiedy pociąg przystawał, ruszał albo zakręcał, i duży okrzyk, kiedy konduktor przyszedł zabrać nasze bilety. Był jeszcze starszy od bagażowego, ale Verity wychyliła się i spojrzała na jego plakietkę z nazwiskiem, a po jego wyjściu markotnie opadła na ławkę.

- Jak się nazywał konduktor? - zapytałem, kiedy pomagałem jej wysiąść na stacji Reading, gdzie mieliśmy przesiadkę.

- Edwards - odparła, rozglądając się po peronie. - Widzisz kogoś, kto chciałby ożenić się z Tossie?

- Co powiesz na tamtego Crippena? - Ruchem głowy wskazałem bladego młodego człowieka o nieśmiałym wyrazie twarzy, który ciągle wypatrywał pociągu i nerwowo wpychał palec za kołnierzyk.

- Żadna z żon Crippena nie przeżyła z nim pięćdziesięciu lat - odparła, patrząc na okazałego jegomościa z bokobrodami, który daremnie nawoływał: „Bagażowy! Bagażowy!" Baine sprawnie zaanektował wszystkich, zanim jeszcze pociąg się zatrzymał, i dyrygował rozładunkiem bagaży pani Mering.

- A ten? - zaproponowałem, pokazując pięcioletniego chłopczyka w marynarskim ubranku.

Młody człowiek w kapeluszu panama i z wąsikiem wbiegł na peron i rozejrzał się nieprzytomnie. Verity chwyciła mnie za ramię. Młodzieniec zobaczył Tossie, stojącą obok pani Mering i Jane, i ruszył w jej stronę z uśmiechem.

- Horacy! - zawołała jakaś dziewczyna z innej grupki trzech pań, a Horacy podbiegł do niej i zaczął wylewnie przepraszać za spóźnienie.

Spojrzałem ze skruchą na Terence'a, wspominając decydujące spotkanie, które go ominęło przeze mnie.

Młody człowiek odszedł z trzema paniami. Mężczyzna z bokobrodami sam chwycił swoje bagaże i odmaszerował pieniąc się ze złości. Pozostał tylko Crippen, który teraz uważnie obserwował zawiadowcę.

Ale nawet gdyby jego lub młodzieńca z wąsikiem nagle poraziło uczucie, Tossie nie zwróciłaby na nich uwagi. Była zbyt zajęta planowaniem swojego wesela.

- Będę miała bukiet z kwiatu pomarańczy - mówiła - albo białe róże. Jak myślisz, Terence?

- „Dwie róże na łodydze, na jednej gałązce - zacytował Terence spoglądając tęsknie na kobietę z terierem na ręku - w słodkiej komunii kwitną".

- O, ale kwiat pomarańczy pachnie tak słodko.

- Za dużo jest tych pociągów - oceniła pani Mering. - Na pewno nikt nie potrzebuje aż tylu pociągów.

Baine wreszcie wyładował wszystko i wszystkich z wagonu, umieścił w następnym, jeszcze bardziej zabytkowym przedziale i ruszyliśmy do Coventry. Po kilku minutach konduktor, tym razem znacznie młodszy i całkiem przystojny, nadszedł korytarzem, żeby skasować nasze bilety. Tossie, zaabsorbowana swoją ślubną wyprawą, nawet nie podniosła wzroku, więc dlaczego zakładaliśmy, że po przyjeździe do Coventry ona w ogóle zauważy pana C, pochłonięta planami matrymonialnymi wobec Terence'a? Dlaczego zakładaliśmy, że ona w ogóle zauważy strusią nogę biskupa?

Zauważy. Musi. Wycieczka do Coventry odmieniła jej życie i zainspirowała jej pra-pra-prawnuczkę do zatruwania nam życia.

Po kilku milach zjawił się Baine, rozłożył nam na kolanach białe lniane serwetki i podał obfity lunch, który znacznie poprawił wszystkim humory (z wyjątkiem samego Baine'a, który wykonał chyba dwieście kursów pomiędzy pierwszą a drugą klasą, żeby przynieść rostbef na zimno i kanapki z ogórkiem, i dla pani Mering czystą chusteczkę, drugie rękawiczki, nożyczki krawieckie oraz, z niepojętych przyczyn, rozkład pociągów Bradshawa).

Terence wyjrzał przez okno i oznajmił, że się wypogadza i że już widać Coventry; zanim Jane i Baine zdążyli wszystko pozbierać oraz złożyć pled pani Mering, staliśmy na peronie w Coventry, czekając, żeby Baine wyładował bagaże i sprowadził powóz. Wcale się nie wypogodziło, wręcz przeciwnie. W powietrzu wisiała lekka mgiełka, kontury miasta była szare i rozmazane.

Terence znalazł wiersz odpowiedni na tę okazję i zaczął deklamować:

- „Niedawnom czekał w Coventry na pociąg / I wpatrzon w smukłe trzy wieżyce miasta..." - urwał i zrobił zdumioną minę. - Powiadam, gdzie jest trzecia wieża? Widzę tylko dwie.

Spojrzałem tam, gdzie wskazywał. Jedna wieża, druga wieża i wysoka pudełkowata konstrukcja rysująca się na tle szarego nieba.

- Wieża św. Michała jest w naprawie - oznajmił Baine, zgięty pod, ciężarem szali i dywaników. - Bagażowy poinformował mnie, że kościół właśnie przechodzi ogólną renowację.

- To wyjaśnia, dlaczego lady Godiva do nas przemówiła - powieka pani Mering. -Widocznie naruszono miejsce spoczynku ducha.

Mgiełka zmieniła się w mżawkę i Tossie wydała okrzyczek.

- Moja podróżna suknia!

Zjawił się Baine i rozłożył parasole.

- Znalazłem kryty powóz, jaśnie pani - powiedział do pani Mering i podał parasole mnie oraz Terence'owi, żebyśmy osłaniali panie.

Jane została wsadzona do dorożki razem z szalami, dywanikami oraz koszem na lunch i otrzymała polecenie, żeby spotkać się z nami w kościele, po czym wjechaliśmy do miasta. Konie stukały kopytami na wąskich brukowanych uliczkach, przy których stały stare, pochylone do przodu domy z muru pruskiego. Tudorowska gospoda z malowanym szyldem nad drzwiami, wąskie ceglane sklepy sprzedające wstążki i rowery, jeszcze węższe domy z gotyckimi oknami i wysokimi kominami. Stare Coventry. To wszystko razem z katedrą zniszczył ogień w listopadową noc 1940 roku, ale trudno było w to uwierzyć jadąc spokojnymi, wilgotnymi ulicami.

Woźnica zatrzymał konie na rogu ulicy St. Mary, tej samej, po której przemaszerował rektor Howard ze swoim małym oddziałkiem, niosąc lichtarze, krzyże i pułkowy sztandar uratowany z płonącej katedry.

- Ni mogie dali ichoć puwuzem - oznajmił woźnica w niezrozumiałym dialekcie.

- On mówi, że nie może dalej jechać - przetłumaczył Baine. -Widocznie droga do katedry jest zagrodzona.

Wychyliłem się do przodu.

- Powiedzcie mu, żeby dojechał tą ulicą do Małej Parkowej. Wtedy podjedziemy do zachodnich drzwi kościoła.

Baine przekazał polecenie. Woźnica pokręcił głową i wymamrotał coś pod nosem, ale zawrócił konie i ruszył z powrotem ulicą Earl.

- O, już czuję obecność duchów- oznajmiła pani Mering, przyciskając dłoń do łona. - Coś się stanie. Wiem o tym.

Skręciliśmy w Małą Parkową i ruszyliśmy w stronę katedry. Widziałem już wieżę na końcu ulicy, i nic dziwnego, że ze stacji kolejowej nie zobaczyliśmy iglicy. Od jednej trzeciej wysokości aż do samego szczytu osłaniały ją drewniane rusztowania, na których rozciągnięto szare brezentowe płachty zamiast błękitnego plastiku, poza tym jednak wyglądała zupełnie tak samo jak w zeszłym tygodniu, kiedy działem ją z furtki dla pieszych w Merton. Lady Schrapnell sama nie wiedziała, jaka jest autentyczna.

Bloki czerwonego piaskowca i sterty piachu na kościelnym dziedzińcu również wyglądały tak samo. Zaniepokoiłem się, ze wszystkie drogi do kościoła będą zagrodzone, ale nie były. Woźnica podjechał

powozem aż pod zachodnie drzwi. Na drzwiach wisiała duża, ręcznie wypisana tablica.

- Był tu kierownik komitetu parafialnego z Iffley - powiedziałem, a potem zobaczyłem napis:

ZAMKNIĘTE Z POWODU REMONTU
od 1 czerwca do 31 lipca

Serce samo tworzy swój los

Philip James Bailey

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Fatalny dzień - Następna rozmowa z robotnikiem - Reklamuję kiermasze staroci - Duch w katedrze - Zwiedzanie - Próbuję poznać nazwiska dwóch robotników - Strusia noga biskupa wreszcie odnaleziona - Reakcja Tossie - Egzekucja Marii, królowej Szkocji - Baine wyraża estetyczną opinię - Reakcja Tossie - Piękno Albert Memorial - Wycieraczki do piór - Popularność kwiatowych imion w czasach wiktoriańskich - Złe przeczucie - Próbuję poznać nazwisko wikarego - Kłótnia - Nagły odjazd

- Zamknięte! - zawołała Tossie.

- Zamknięte? - powtórzyłem i obejrzałem się na Verity. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Zamknięte - stwierdziła pani Mering. - Dokładnie tak, jak mówiła madame Iritosky. „Strzeż się". Próbowała nas ostrzec.

Jakby na poparcie jej argumentu zaczęło padać.

- Nie może być zamknięty - wymamrotała Verity, spoglądając z niedowierzaniem na tablicę. - Jak mogli go zamknąć?

- Baine, o której jest następny pociąg? - zapytała pani Mering - Niech Baine nie wie, pomodliłem się w duchu. Jeśli nie zna rozkładu, zyskamy co najmniej kwadrans, zanim pobiegnie sprawdzić na stacji i wróci, piętnaście minut, żeby coś wymyślić.

Ale przecież chodziło o Baine'a, pierwowzór Jeevesa, a Jeeves wiedział wszystko.

- Druga osiem, jaśnie pani - odpowiedział. - Pociąg do Reading. Albo ekspres o drugiej czterdzieści sześć do Goring.

- Pojedziemy tym o drugiej osiem - zdecydowała pani Mering - Goring to takie pospolite.

- Ale co z lady Godivą? - rzuciła desperacko Verity. - Skoro kazała nam przyjechać do Coventry, na pewno miała jakiś powód.

- Wcale nie jestem przekonana, że to był jej duch, zwłaszcza w tych okolicznościach - oświadczyła pani Mering. - Moim zdaniem madame Iritosky słusznie podejrzewała, że działał tu jakiś zły wpływ. Baine, powiedzcie woźnicy, żeby zawiózł nas na stację.

- Czekajcie! - krzyknąłem i wyskoczyłem z powozu prosto w kałużę- - Zaraz wracam. Zostańcie tutaj.

Ruszyłem wzdłuż muru wieży.

- Dokąd on idzie? - usłyszałem głos pani Mering. - Baine, dogońcie pana Henry'ego i każcie mu natychmiast wracać.

Pobiegłem za róg wieży, stawiając kołnierz płaszcza dla ochrony przed mżawką. Z wizyty w ruinach i z rekonstrukcji zapamiętałem, że są drzwi w południowej ścianie katedry i następne w północnej. W ostateczności będę walił w drzwi zakrystii, dopóki ktoś nie otworzy.

Ale nie musiałem. Południowe drzwi były otwarte i stał w nich robotnik, schowany pod daszkiem przed deszczem, kłócąc się z młodym człowiekiem w koloratce.

- Obiecaliście, że górny rząd okien będzie gotowy na dwudziestego drugiego, a dzisiaj jest piętnasty i nawet jeszcze nie zaczęliście lakierować nowych ławek - mówił wikary, blady i z wytrzeszczonymi oczami, chociaż może to przez robotnika.

Robotnik miał taką minę, jakby wysłuchiwał tego nie po raz pierwszy.

- Ni możem lakirować, póki nie skuńczom z uknami, przez tyn kurz.

- No to skończcie z oknami. Robotnik pokręcił głową.

- Ni możem. Bill, co zakładał stalowe dźwigary w belkach, leży w domu chory.

- No więc kiedy wróci? Prace trzeba zakończyć do następnej soboty. W sobotę urządzamy wentę dobroczynną.

Robotnik wzruszył ramionami identycznie jak elektryk, którego odziałem przed trzema tygodniami rozmawiającego z lady Schrapnell- Szkoda, że jej tutaj nie ma, pomyślałem. Dałaby mu po uszach skończyliby prace do piątku. Albo do czwartku.

- Może jotro, może za misionc. Jo tom ni wim, po co wom nowe łowki. Tamte stare łowki mnie siem podobały.

- Nie jesteście duchownym - syknął wikary, jeszcze bardziej wybałuszając oczy - ani ekspertem od nowoczesnej kościelnej architektury. Przyszły miesiąc to za długo. Musicie skończyć remont do dwudziestego drugiego.

Robotnik splunął na mokry ganek i bez pośpiechu zawrócił do kościoła.

- Przepraszam najmocniej - zawołałem, biegnąc do wikarego zanim on również zniknął. - Chciałem zapytać, czy możemy zwiedzić kościół.

- O nie! - zaprotestował wikary, tocząc wokoło dzikim wzrokiem niczym gospodyni zaskoczona przez niespodziewanych gości. - Jesteśmy w trakcie generalnego remontu arkadowych okien i dzwonnicy. Kościół jest oficjalnie zamknięty do trzydziestego pierwszego lipca, a po tym terminie pastor z przyjemnością państwa oprowadzi.

- To za późno - odparłem. - My właśnie chcemy obejrzeć prace remontowe. Kościół w Muchings End koniecznie wymaga odnowienia. Ołtarz jest dosłownie średniowieczny.

- Och, ale - zaczął niechętnie wikary - chodzi o to, że trwają przygotowania do kościelnego kiermaszu i...

- Kościelny kiermasz! - wykrzyknąłem. - Co za cudowny zbieg okoliczności! Pani Mering właśnie zorganizowała kiermasz w Muchings End.

- Pani Mering? - powtórzył wikary, oglądając się na drzwi, jakby miał ochotę czmychnąć. - Och, ale kościół w takim stanie nie nadaje się dla pań. Nie można obejrzeć chóru ani ołtarza. Wszędzie lezą trociny i narzędzia robotników.

- Paniom to nie przeszkadza - zapewniłem i stanowczo zastąpiłem mu drogę do drzwi. - One właśnie przyjechały obejrzeć trociny

Przybiegł Baine z parasolem, który mi wręczył. Oddałem mu parasol.

- Idźcie i sprowadźcie powóz - rozkazałem. - Powiedzcie pani Mering, że możemy zwiedzić kościół.

Co wyraźnie pokazuje, że znajomość z lady Schrapnell i jej przodkiniami może każdego nauczyć, jak się załatwia sprawy.

- Szybko! - ponagliłem Baine'a, a on zanurkował w gęstniejącą mżawkę, która zmieniała się w deszcz.

- Naprawdę odradzam państwu zwiedzanie w chwili obecnej spróbował jeszcze raz wikary. - Robotnicy zakładają nową poręcz na chórze, a ja mam spotkanie z panną Sharpe w sprawie straganu z robótkami.

- Oczywiście będziecie mieli kiermasz staroci - powiedziałem.

- Kiermasz staroci? - powtórzył niepewnie wikary.

- To ostatnia nowość na kiermaszach. Ach, już są panie. Zeskoczyłem ze stopni, podbiegłem do powozu, chwyciłem Verity za rękę i wyciągnąłem ją na deszcz.

- Co za szczęście! Kościół św. Michała jednak jest otwarty i wikary zgodził się nas oprowadzić. Szybko - dodałem półgłosem. - Zanim on się rozmyśli.

Verity drobnym kroczkiem podbiegła do wikarego, obdarzyła go radosnym uśmiechem i zajrzała w

otwarte drzwi.

- Och, tylko popatrz, Tossie - zawołała i wskoczyła do środka. Terence pomógł Tossie wysiąść i wprowadził ją do kościoła, a ja trzymałem nad głową pani Mering parasol, który podał mi Baine.

- Ojej - powiedziała, spoglądając niespokojnie na zachmurzone niebo. - Pogoda zapowiada się fatalnie. Może lepiej wracajmy do domu, zanim nadejdzie burza.

- Kilku robotników mówiło, że widzieli ducha - powiedziałem szybko. - Jeden rozchorował się po tym przeżyciu.

- Jakie to cudowne! - wykrzyknęła pani Mering.

Podeszliśmy do wikarego, który stał w drzwiach i załamywał ręce.

- Obawiam się, że pani bardzo się rozczaruje widokiem kościoła, pani Mering - powiedział. - Właśnie...

- ...przygotowują doroczny kiermasz. Pani Mering, musi pani mu opowiedzieć o wycieraczkach do piór - zaproponowałem bezwstydnie, manewrując nią tak, żeby ominąć wikarego. - Takie pomysłowe, a przy tym takie piękne.

Zagrzmiało tak głośno, jakby piorun chciał mnie porazić za kłamstwo.

- Ojej - powiedziała pani Mering.

- Obawiam się, że to nieodpowiednia pora na zwiedzanie kościoła - odezwał się wikary. - Pastora nie ma, a panna Sharpe...

Otworzyłem usta, żeby powiedzieć: „Przynajmniej krótki obchód, skoro już przyjechaliśmy", ale nie musiałem. Zagrzmiało ponownie niebiosa się rozwarły.

Pani Mering i wikary cofnęli się do wnętrza kościoła, dalej od strumieni deszczu, a zawsze usłużny Baine zamknął drzwi.

- To chyba trochę potrwa, jaśnie pani - powiedział, a ja usłyszałem, jak Verity odetchnęła z ulgą.

- No - powiedział wikary - skoro państwo już weszli, oto nawa. Jak państwo widzicie, przeprowadzamy renowację.

Wcale nie przesadzał, mówiąc o trocinach i bałaganie. Wnętrze wyglądało niewiele lepiej niż po nalocie. Drewniane przepierzenie odgradzało prezbiterium od nawy. Ławki były okryte zakurzonymi brezentowymi płachtami. Stosy drewna leżały przed chórem, z którego dochodziło głośne stukanie.

- Modernizujemy kościół - wyjaśnił wikary. - Wnętrze było beznadziejnie przestarzałe. Miałem nadzieję na zastąpienie dzwonnicy nowoczesnym kurantem, ale Komitet Renowacji odmówił. Beznadziejnie zacofani. Ale przekonałem ich, żeby usunąć arkady i większość starych grobów i pomników zagracających kaplice. Niektóre pochodziły aż z czternastego wieku. - Przewrócił oczami. - Po prostu psuły wygląd kościoła.

Obdarzył Tossie wyłupiastookim uśmiechem.

- Zechce pani obejrzeć nawę, panno Mering? Założyliśmy wszędzie nowe elektryczne oświetlenie.

Verity przysunęła się do mnie.

- Sprawdź jego nazwisko - szepnęła.

- Kiedy zakończymy planowaną przebudowę - ciągnął wikary - to będzie całkowicie nowoczesny kościół, który postoi przez setki lat.

- Pięćdziesiąt dwa - mruknąłem.

- Przepraszam? - zapytał wikary.

- Nic, nic - odpowiedziałem. - Wieżę także modernizujecie?

- Tak. Wieża łącznie z iglicą będzie na nowo oszalowana. Trochę tutaj nierówno, jak panie widzą.

Podał ramię Tossie. Pani Mering przyjęła ramię.

- Gdzie macie kryptę? - zapytała.

- Kryptę? - powtórzył. - Tam - wskazał na przepierzenie - a krypty nie modernizujemy.

- Czy pan wierzy w życie pozagrobowe? - zapytała pani Mering.

- Ależ... oczywiście - bąknął zdumiony wikary. -Jestem duchownym. - Uśmiechnął się wyłupiasto do Tossie. - Teraz oczywiści jestem tylko wikarym, ale w przyszłym roku spodziewam się otrzymać prebendę w Sussex.

- Czy znany jest panu Arthur Conan Doyle? - pytała dalej pani

- A... tak - odparł jeszcze bardziej zdumiony wikary. - To znaczy czytałem „Studium w szkarłacie". Wstrząsająca historia.

- Nie czytał pan jego prac o spirytyzmie? Baine! - zawołała do kamerdynera, który starannie ustawiał parasole przy drzwiach. - Przynieście egzemplarz „Światła" z listem Arthura Conan Doyle'a.

Baine kiwnął głową, otworzył ciężkie drzwi i znikł w strumieniach deszczu, postawiwszy kołnierz.

Pani Mering odwróciła się z powrotem do wikarego.

- Słyszał pan oczywiście o madame Iritosky? - zapytała, sterując nim zdecydowanie w stronę krypty.

Wikary zrobił zmieszaną minę.

- Czy ona ma coś wspólnego z kiermaszem staroci?

- Miała rację. Wyczuwam tutaj obecność duchów - oznajmiła pani Mering. - Czy zna pan jakieś historie o duchach w kościele św. Michała?

- No, właściwie - zaczął wikary - istnieje legenda o duchu ukazującym się w wieży. Podobno legenda datuje się z czternastego wieku...

Weszli za przepierzenie, żeby udać się do miejsca wiecznego spoczynku. Tossie spoglądała za nimi niepewna, czy powinna do nich dołączyć.

- Popatrz na to, Tossie - zawołał Terence, stojąc przed mosiężną inskrypcją. - To pomnik Gerwazego Scrope. Posłuchaj, co tutaj napisano: „Tu spoczywa nieszczęsna piłka tenisowa / Padła jak ścięta, lecz wleci od nowa".

Tossie posłusznie podeszła, żeby przeczytać napis, a potem obejrzała małą mosiężną tabliczkę poświęconą Botonerom, którzy zbudowali katedrę.

- Jakie oryginalne! - zawołała. - Posłuchaj: „William i Adam zbudowali wieżę, Ann i Mary zbudowały iglicę. William i Adam zbudowali kościół, Ann i Mary zbudowały chór".

Obejrzała wielki marmurowy pomnik Damy Mary Brideman i pani Elizy Samwell, a potem olejny obraz „Przypowieść o zbłąkanej owieczce". Wędrowaliśmy dalej nawą, przestępując przez deski i worki z piaskiem, przystając przed każdą kaplicą po kolei.

- Och, tak żałuję, że nie mamy przewodnika - westchnęła Tossie, marszcząc brwi na widok marmurowej chrzcielnicy Purbecka. - Bez przewodnika skąd wiadomo, na co trzeba patrzeć?

Razem z Terence'em podeszli do Kaplicy Czapników. Verity została z tyłu i delikatnie pociągnęła mnie za połę płaszcza.

- Puśćmy ich przodem - zaproponowała półgłosem.

Posłusznie zatrzymałem się przed mosiężnym wizerunkiem kobiety w jakobińskim stroju z 1609 roku. „Pamięci Ann Sewell – głosił napis. - Dzielnej krzewicielce wszelakich świętych cnót pośród ludzi".

- Widocznie jakaś przodkini lady Schrapnell - stwierdziła Verity. - Dowiedziałeś się nazwiska wikarego?

A niby kiedy? - pomyślałem.

- Myślisz, że on jest panem C? - zapytałem. - Chyba mu się nie spodobała.

- Ona podoba się wszystkim mężczyznom - odparła Verity, spoglądając na Tossie, która chichotała uwieszona u ramienia Terence'a. - Kwestia tylko, czy on jej się spodobał. Widzisz gdzieś strusią nogę biskupa?

- Jeszcze nie - powiedziałem, rozglądając się po nawie. Kwiaty przed przepierzeniem chóru stały w zwykłych mosiężnych wazonach, a obsypane trocinami róże w Kaplicy Czapników umieszczono w srebrnym pucharze.

- Gdzie ona miała stać?

- Jesienią 1940 roku stała przed ażurową przegrodą Kaplicy Kowali - powiedziałem. - Latem 1888 roku... nie mam pojęcia. Mozę być wszędzie. - Nawet pod tymi zielonymi płachtami albo za przepierzeniem.

- Powinniśmy zapytać wikarego, jak już wróci - zaproponowała nerwowo.

- Nie możemy - odparłem.

- Dlaczego?

- Po pierwsze to nie jest taka rzecz, jaką wymieniają w bedekerze. Przeciętni turyści, za jakich chcemy uchodzić, nigdy o niej nie słyszeli. Po drugie, to jeszcze nie jest strusia noga biskupa. Została strusią nogą biskupa dopiero w 1926 roku.

- A czym była przedtem?

- Piedestałową figuralną urną z kutego żelaza z nóżkami- Albo kompotierą.

Stukot młotka za przepierzeniem ucichł nagle, zastąpiony przez upiorne przekleństwa. Verity zerknęła na Tossie i Terence'a, którzy pokazywali sobie witraż, i zapytała:

- Co się stało w 1926 roku?

- Odbyło się wyjątkowo burzliwe zebranie pań z Kółka Parafialnego - wyjaśniłem - na którym ktoś zaproponował zakup strusiej nogi czyli wysokiego ceramicznego wazonu popularnego w tamtym okresie, na kwiaty w nawie. Biskup właśnie wprowadził cięcia w kosztach utrzymania katedry i propozycję odrzucono na podstawie argumentu, że to niepotrzebny wydatek i że gdzieś musi być coś zastępczego; czyli piedestałowa figuralna urna z kutego żelaza z nóżkami, którą przechowywano w krypcie od dwudziestu lat. Dlatego nazwano ją ironicznie „strusia noga według biskupa", co później skrócono do...

- Strusiej nogi biskupa.

- Właśnie.

- Ale jeśli to nie była strusia noga biskupa, kiedy Tossie ją oglądała, skąd lady Schrapnell o niej wiedziała?

- Tossie opisywała ją z najdrobniejszymi szczegółami w pamiętniku przez całe lata, a kiedy lady Schrapnell po raz pierwszy wystąpiła ze swoim projektem, wysłano historyka do wiosny 1940 roku, żeby zidentyfikował ją na podstawie opisu.

- Czy ten historyk mógł ją ukraść? - zapytała Verity.

- Nie.

- Skąd ta pewność?

- To byłem ja.

- Kuzynko - zawołała Tossie. - Chodź zobaczyć, co znaleźliśmy.

- Może ona ją znalazła bez nas - mruknąłem, ale to był tylko kolejny pomnik, tym razem z czwórką niemowląt w powijakach wyrzeźbionych w rzędzie.

- Czy nie śliczny? - zagadnęła Tossie. - Spójrzcie na te kochane biedaczki.

Południowe drzwi otwarły się i wszedł Baine, ociekający wodą, chowając pod płaszczem egzemplarz „Światła". - Baine! - zawołała Tossie.

Podszedł do niej, zostawiając na podłodze mokre ślady.

- Tak, panienko?

- Tutaj jest lodownia. Przynieś mój perski szal. Ten różowy, z frędzlami. I szal panny Brown.

- Och, to niepotrzebne - zaprotestowała Verity, patrząc ze współczuciem na opłakany stan kamerdynera. - Wcale nie zmarzłam

- Nonsens - fuknęła Tossie. - Przynieś oba szale. I dopilnuj żeby nie zamokły.

- Tak, panienko - powiedział Baine. - Przyniosę je, jak tylko dostarczę książkę panienki mamie.

Tossie zrobiła nadąsaną minę.

- Och, spójrz, kuzynko - powiedziała Verity, zanim Tossie zdążyła wyrazić życzenie, żeby Baine przyniósł szale natychmiast. - Te mizerykordie przedstawiają Siedem Aktów Łaski.

Tossie posłusznie weszła do Kaplicy Pasamoników, żeby je podziwiać, po czym obejrzała czarny marmurowy kamień nagrobny, dopasowane sklepienie wachlarzowe oraz pomnik z wyjątkowo długą i nieczytelną inskrypcją.

Verity skorzystała z okazji i pociągnęła mnie do przodu.

- A jeśli jej tutaj nie ma? - szepnęła.

- Jest tutaj - zapewniłem. - Zniknęła dopiero w 1940 roku.

- To znaczy, jeśli jej tutaj nie ma z powodu niekongruencji? Jeśli wydarzenia się zmieniły i już ją przeniesiono do krypty albo sprzedano na kiermaszu staroci?

- Wenta jest dopiero w przyszłym tygodniu.

- W którym przejściu stała w 1940 roku? - zapytała Verity i ruszyła zdecydowanym krokiem w głąb nawy.

- W tym - powiedziałem, spiesząc za nią - przed Kaplicą Kowali, ale to nie znaczy, że stoi tam teraz... - i urwałem, ponieważ tam stała.

Nic dziwnego, że strusią nogę biskupa ustawiono akurat w tym przejściu. W 1888 roku ta część nawy była słabo oświetlona, a gruba kolumna zasłaniała widok z reszty kościoła.

Jakaś pani z Kółka Parafialnego bardzo się postarała, żeby zakryć górne fragmenty dużymi, zwisającymi peoniami i opleść bluszczem centaury oraz jednego sfinksa. Urna była również nowsza, czyli bardziej błyszcząca, co nie pozwalało wyraźnie dostrzec wszystkich szczegółów. Wcale nie wyglądała tak źle. . .

- Dobry Boże - jęknęła Verity. - Czy to ona? - Jej głos zabrzmiał donośnie pod wachlarzowym sklepieniem i obudził powracające echo. - Jest absolutnie obrzydliwa.

- Tak, racja, to już ustalono. Mów ciszej. - Wskazałem parę robotników na końcu nawy. Jeden z nich, w błękitnej koszuli i poczerniałym szaliku, przekładał deski z bliższej sterty na dalszą. Drugi, z ustami pełnymi gwoździ, walił młotkiem w deskę ułożoną na kozłach.

- Przepraszam - szepnęła Verity ze skruchą. - To był spory wstrząs. Nigdy przedtem jej nie widziałam.

Wskazała niepewnie jeden z ornamentów.

- Co to jest, wielbłąd?

- Jednorożec - wyjaśniłem. - Wielbłądy są z boku, tutaj, obok wyobrażenia Józefa sprzedanego do Egiptu.

- A to co? - Wskazała dużą grupę nad wykutą w żelazie girlandą z róż i ostów.

- Egzekucja Marii, królowej Szkocji - odparłem. - Wiktorianie lubili sztukę przedstawieniową.

- I przeludnioną - uzupełniła Verity. - Nic dziwnego, że rzemieślnik nie chciał zrobić kopii dla lady Schrapnell.

- Dostarczyłem szkice - zapewniłem. - Myślę, że rzemieślnik odmówił z przyczyn moralnych.

Verity uważnie oglądała urnę, przechylając głowę na bok.

- Przecież to nie może być koń morski.

- Rydwan Neptuna - oznajmiłem. -A tam jest Rozstąpienie Się Morza Czerwonego. Obok Ledy z łabędziem.

Verity wyciągnęła rękę i dotknęła rozpostartych skrzydeł łabędzia.

- Miałeś rację, to jest niezniszczalne.

Kiwnąłem głową, patrząc na solidne kute żelazo. Nawet gdyby dach zwalił się na nią, nie doznałaby żadnego uszczerbku.

- Ohydne rzeczy nie podlegają zniszczeniu - ciągnęła Verity. - To prawo natury. Dworzec St. Pancras wyszedł z wojny nietknięty. Tak samo Albert Memorial. A ona jest ohydna.

Przytaknąłem. Nawet opadające peonie i bluszcz nie zdołały ukryć tego faktu.

- Och! - wykrzyknęła z uniesieniem Tossie zza naszych pleców. W życiu nie widziałam czegoś tak ślicznego!

Podfrunęła bliżej, holując za sobą Terence'a, splotła pod brodą urękawiczone dłonie i wpatrzyła się w urnę.

- Och, Terence, widziałeś kiedyś takie cudo?

- No... - zaczął niepewnie Terence.

- Spójrz na te śliczne kupidynki! I ofiarę Izaaka! O! O!

Wydała serię okrzyczków, aż robotnik z młotkiem zirytowany non niósł wzrok. Zobaczył Tossie, wypluł gwoździe na podłogę i szturchnął towarzysza. Towarzysz przerwał piłowanie. Robotnik z młotkiem powiedział coś do niego, a tamten rozciągnął usta w szerokim, bezzębnym uśmiechu. Uchylił sukienną czapkę przed Tossie.

- Wiem - mruknąłem do Verity. - Sprawdź ich nazwiska.

Zabrało to trochę czasu, ponieważ robotnicy myśleli, że poskarżę na nich wikaremu za pożądliwe łypanie, ale kiedy wróciłem, Tossie wciąż stała przed strusią nogą biskupa.

- O, spójrzcie! - mini-krzyknęła. - Tu jest Salome!

- Widge i Baggett - szepnąłem do Verity. - Nie znają nazwiska wikarego. Mówią o nim Wytrzeszcz.

- Patrzcie - zawołała Tossie. - Półmisek z głową Jana Chrzciciela!

Wszystko wyglądało bardzo pięknie, ale na razie nie przypominało doświadczenia odmieniającego całe życie. Tossie tak samo ochała i achała nad porcelanowym sabotem na kiermaszu staroci. I nad wyszywanym krzyżykami igielnikiem panny Stiggins. A nawet jeśli doznała Objawienia (przedstawionego nad rydwanem Neptuna na boku zwróconym do kolumny), gdzie był pan C?

- O, jakżebym chciała taką mieć! - entuzjazmowała się Tossie. -W naszym kochanym domku, Terence, kiedy się pobierzemy. Dokładnie taką samą!

- Czy nie jest trochę za duża? - bąknął Terence. Południowe drzwi rozwarły się z hukiem i wszedł Baine, wyglądający jak rozbitek z wraku Hesperusa, niosąc paczkę owiniętą ceratą.

- Baine! - zawołała Tossie, a on podszedł do nas z chlupotem.

- Przyniosłem szal, panienko - powiedział, odsunął brezent z rogu ławki, położył paczkę i zaczął ją rozwijać.

- Baine, co o tym myślicie? - zapytała Tossie, wskazując strusią nogę biskupa. - Nie przyznacie, że to najpiękniejsze dzieło sztuki jakie widzieliście w życiu?

Baine wyprostował się i spojrzał na urnę. Zamrugał, żeby strząsnąć wodę z oczu.

Przez długą chwilę trwało milczenie, kiedy Baine wyżymał rękaw.

- Nie - powiedział.

- Nie? - powtórzyła Tossie wznosząc głos do okrzyczku.

- Nie.

Baine nachylił się nad ławką, rozwinął ceratę i wyjął szale, schludnie złożone i idealnie suche. Wyprostował się, sięgnął do kieszeni po wilgotną chusteczkę, wytarł ręce i podniósł za rogi różowy szal.

- Panienki szal - oznajmił, podając go Tossie.

- Teraz go nie chcę - odparła Tossie. - Co to znaczy „nie”?

- To znaczy, że ta rzeźba jest odrażająco brzydka, obrzydliwie wulgarna, fatalnie zaprojektowana i tandetnie wykonana. - Starannie złożył szal i umieścił go z powrotem w zawiniątku.

- Jak śmiecie tak mówić? - oburzyła się Tossie, mocno zaróżowiona.

Baine wyprostował się ponownie.

- Bardzo przepraszam, panienko. Myślałem, że panienka pytała o moją opinię.

- Pytałam, ale spodziewałam się usłyszeć, że jest piękna.

Skłonił się lekko.

- Jak panienka sobie życzy. - Popatrzył na urnę z nieruchomą twarzą. -Jest bardzo piękna.

- Wcale sobie nie życzę - zawołała Tossie, tupiąc małą nóżką. - Jak możecie myśleć, że nie jest piękna? Spójrzcie na te cudne Dzieciątka w Lesie! I ta słodka mała jaskółeczka z listkiem truskawki w dzióbku!

- Jak panienka sobie życzy.

- I przestańcie to powtarzać. - Falbanki Tossie zatrzęsły się z gniewu. - Dlaczego mówicie, że jest odrażająca?

- Ponieważ - wyciągnął rękę w stronę strusiej nogi biskupa - jest sztuczna, przeładowana i - spojrzał znacząco na Dzieciątka w Lesie - ckliwie sentymentalna, dostosowana do gustów niedokształconej estetycznie klasy średniej.

Tossie odwróciła się do Terence’a.

- Pozwolisz mu wygadywać takie rzeczy? - rzuciła gwałtownie.

- Rzeczywiście jest trochę przeładowana - przyznał Terence. - A co to ma być? - wskazał Minotaura. - Koń czy hipopotam?

- Lew - odparła rozwścieczona Tossie. - A tutaj Androkles wyciąga mu kolec z łapy.

Zerknąłem na Verity, która przygryzała wargi. - I wcale nie jest ckliwie sentymentalna - powiedziała Tossie do Baine’a.

- Jak panienka sobie życzy.

Pani Mering i wikary uratowali mu życie w ostatniej chwili, wychodząc zza przepierzenia.

- Rzymska kawaleria - mruknęła Verity.

- Dokładnie pod Bachusem trzymającym kiść winogron - odmruknąłem.

- Mam szczerą nadzieję, że rozważy pan urządzenie kiermaszu staroci podczas wenty - mówiła pani Mering, kierując wikarego w naszą stronę. - Ludzie trzymają na strychach tyle skarbów, które doskonale nadają się na kiermasz.

Przystanęła na widok strusiej nogi biskupa.

- Na przykład coś takiego. Albo stojak na parasole. Wazony są takie poręczne. Mieliśmy na naszym festynie porcelanowy wazon z wymalowanym wodospadem, który poszedł za...

Tossie przerwała jej.

- Pan myśli, że to jest piękne, prawda? - zwróciła się do wikarego.

- Istotnie tak myślę - potwierdził. - Moim zdaniem to przykład wszystkiego, co najlepsze w sztuce nowoczesnej. Wspaniała obrazowość i wysoce moralny ton. Zwłaszcza wyobrażenie Siedmiu Plag

Egipskich. Ofiarowała ją kilka lat temu rodzina Trubshawów po śmierci Emily Jane Trubshaw. Nabyła urnę na Wielkiej Wystawie i ceniła ją jak najdroższy skarb. Pastor próbował wyperswadować im darowiznę. Uważał, że urna powinna pozostać w rodzinie, ale oni byli nieugięci.

- To najpiękniejsza rzecz, jaką widziałam w życiu - oznajmiła Tossie.

- Zgadzam się w zupełności - przyświadczył wikary. - Zawsze przypominała mi Albert Memorial.

- Uwielbiam Albert Memorial - wyznała Tossie. - Zobaczyłam go, kiedy pojechaliśmy do Kensington wysłuchać odczytu pani Guppy o ektoplazmie, i nie spoczęłam, dopóki papa nie zabrał mnie tam - Te cudowne mozaiki i pozłacana iglica! - Klasnęła w dłonie. - I Pomnik księcia czytającego katalog Wielkiej Wystawy!

- To niezwykły pomnik - przyznał Terence.

- I niezniszczalny - mruknęła Verity.

- Rzeźby przedstawiające cztery kontynenty uważam za wyjątkowo dobrze oddane - powiedział wikary - chociaż moim zdaniem - Azja i Afryka są niezbyt odpowiednie dla młodych dam.

Tossie zaróżowiła się prześlicznie.

- Myślałam, że słonie są absolutnie urocze. I fryz z wielkich uczonych i architektów.

- Widziała pani kiedyś dworzec kolejowy St. Pancras? - zapytał wikary- - To również uważam za wyjątkowy przykład architektury. Może zechce pani obejrzeć prace, które wykonujemy w kościele? Oczywiście nie można tego porównać z Albert Memoriał, ale J.O. Scott wykonał wspaniałą robotę.

Wziął Tossie pod ramię i poprowadził w stronę chóru.

- Uprzątnęliśmy galerie i usunęliśmy wszystkie obudowane stalle. - Wskazał szereg arkadowych okien w górze, wciąż trzymając Tossie za ramię. - Scott umieścił żelazne dźwigary we wszystkich drewnianych belkach, żeby wzmocnić i lepiej związać ściany z łukami okiennymi. Klasyczny przykład wyższości nowoczesnych materiałów budowlanych, w porównaniu ze staroświeckim kamieniem i drewnem.

- Och, ja też tak uważam - zapewniła Tossie gorliwie. Właściwie to był klasyczny przykład zakręcania „Titanikiem".

W nocy czternastego listopada, kiedy katedra zajęła się ogniem, żelazne dźwigary wygięły się i runęły, pociągając za sobą łuki okien i wewnętrzną kolumnadę. Bez dźwigarów kościół mógł ocaleć. Zewnętrzne ściany i wieża, których nie wzmacniano podczas remontu, ocalały.

- Po zakończeniu remontu - mówił wikary do Tossie - będziemy mieli kościół spełniający wymogi nowożytnych czasów, kościół, który docenią przyszłe pokolenia za setki lat. Zechce pani obejrzeć renowacje na wieży?

- O tak - Tossie kiwnęła głową, aż jej loki ślicznie zafalowały. Od strony południowych drzwi rozległ się hałas. Podniosłem wzrok i zobaczyłem młodą kobietę w szarej sukni. Miała duży koszyk i długi nos. Ruszyła nawą w stronę strusiej nogi biskupa, stukając ostro obcasami, jakby strzelała z karabinu.

- Panno Sharpe - zawołał wikary z miną winowajcy przyłapanego na gorącym uczynku. - Pozwoli pani sobie przedstawić...

- Przyszłam tylko dostarczyć to na wentę - powiedziała panna Sharpe. Wepchnęła mu koszyk, a potem zabrała, kiedy zobaczyła, że trzymał Tossie pod rękę. - Wycieraczki do piór. Dwa tuziny. Obróciła się na pięcie. - Zostawię je w zakrystii.

- Och, czy musi pani iść, panno Sharpe? - zaprotestował wikary uwalniając rękę spod ramienia Tossie. - Panno Mering, przedstawiam pani pannę Ostróżkę Sharpe.

Zaciekawiło mnie, czy nie była krewną pani Chattisbourne.

- Taką miałem nadzieję, że omówimy ustawienie straganów na wencie, panno Sharpe - ciągnął

wikary.

- Nie będę mogła przyjść na wentę. Zostawię to w zakrystii - powtórzyła panna Sharpe. Odwróciła się i pomaszerowała z powrotem przez nawę swoim karabinowym krokiem.

- Z największą radością obejrzymy dworzec St. Pancras, prawda mamo? - powiedziała Tossie. Głośno trzasnęły drzwi.

- To piękny przykład neogotyku - oznajmił wikary, wzdrygając się lekko. - Czuję, że architektura powinna odzwierciedlać społeczeństwo, zwłaszcza kościoły i dworce kolejowe.

- O, ja też - przytaknęła Tossie.

- A... - odezwała się pani Mering.

Tossie i wikary obejrzeli się na nią. Patrzyła na strusią nogę biskupa z dziwnym, nieobecnym wyrazem twarzy.

- Co się stało, mamo? - zapytała Tossie.

Pani Mering niepewnie przyłożyła rękę do biustu i lekko zmarszczyła czoło, jakby próbowała wyczuć, czy przypadkiem nie nadłamała sobie zęba.

- Pani jest chora? - zapytał Terence i wziął ją pod rękę.

- Nie - odparła. - Właśnie miałam przedziwne uczucie... jakby - zmarszczyła brwi. - Patrzyłam na... - ręką, którą wcześniej przyciskała do łona, wskazała strusią nogą biskupa - ...i nagle...

- Otrzymałaś spirytystyczną wiadomość? - zapytała Tossie.

- Nie, nie wiadomość - zaprzeczyła pani Mering, ostrożnie badając ząb. - To... miałam przedziwne uczucie...

- Przeczucie? - podsunęła Tossie.

- Tak - przyznała pani Mering z namysłem. - Ty... Skrzywiła się z wysiłku, jakby próbowała przypomnieć sobie sen po czym zagapiła się na strusią nogę biskupa.

- To miało... Musimy natychmiast wracać do domu.

- Och, przecież jeszcze nie możemy wracać - zaprotestowała Verity.

- Tak bardzo chciałem omówić z paniami Ukryty Skarb - powiedział wikary, spoglądając na Tossie zawiedzionym wzrokiem. – I rozmieszczenie straganów z robótkami. Nie mogą państwo przynajmniej

zostać na herbacie?

- Baine! - zawołała pani Mering, ignorując ich oboje.

- Tak, jaśnie pani - powiedział Baine, który wszedł przez południowe drzwi.

- Baine, musimy natychmiast wracać do domu - oznajmiła pani Mering i podeszła do niego.

Baine pospieszył jej na spotkanie z parasolem w ręku.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Otrzymałam ostrzeżenie - wyjaśniła pani Mering, która wyglądała już prawie normalnie. - Kiedy mamy następny pociąg?

- Za jedenaście minut - odpowiedział natychmiast Baine. - Ale to miejscowy pociąg. Następny ekspres do Reading odchodzi dopiero o czwartej osiemnaście.

- Sprowadźcie powóz - rozkazała pani Mering. - Potem biegnijcie na stację i uprzedźcie, żeby zatrzymali dla nas pociąg. I zabierzcie ten parasol. Otwarty parasol w domu przynosi nieszczęście. Nieszczęście! - Chwyciła się za serce. - Och, może już za późno?

Baine usiłował zamknąć parasol. Zabrałem mu go, a on z wdzięcznością kiwnął głową i pobiegł na stację.

- Nie chcesz usiąść, ciociu Malwinio? - zaproponowała Verity.

- Nie, nie - odparła pani Mering, potrząsając dłonią. - Idź zobaczyć, czy powóz już zajechał.

Ciągle pada?

Ciągle padało i powóz zajechał. Terence i woźnica pomogli pani Mering wejść na stopnie i wepchnęli ją do środka razem ze spódnicami.

Skorzystałem z chwili zwłoki, żeby uścisnąć dłoń wikarego.

- Dziękujemy serdecznie za pokazanie nam kościoła, panie...?

- Panie Henry! - zawołała pani Mering z powozu. - Spóźnimy się na pociąg.

Południowe drzwi rozwarły się z hukiem i panna Sharpe wyszła z kościoła. Szybko zbiegła ze schodów, minęła nas i ruszyła ze stukotem ulicą Bailey. Wikary obejrzał się za nią.

- Do widzenia - zawołała Tossie, wychylając się z okna. - Bardzo bym chciała obejrzeć dworzec St. Pancras.

Spróbowałem jeszcze raz, z nogą na stopniu powozu.

- Życzę udanej wenty, panie...?

- Dziękuję - rzucił z roztargnieniem. - Do widzenia, pani Mering, panno Mering. Wybaczą państwo...

Pobiegł za panną Sharpe.

- Panno Sharpe! - zawołał. - Zaczekaj! Ostróżko! Róziu!

- Chyba nie dosłyszałem pańskiego nazwiska... – powiedziałem wychylając się z okna.

- Panie Henry! - warknęła pani Mering. - Jedziemy!

I odjechaliśmy.

Każdy człowiek spotyka w końcu swoje Waterloo.

Wendell Phillips

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Odwrót - Próbuję ustalić nazwisko konduktora - Przeczucie pani Mering, możliwe znaczenie - Szale - Przybrane nazwiska kleru - Przepowiedziana przyszłość Eglantyny - John Paul Jones - Herbata i jej niefortunne ożywcze działanie - Aporty - Gazety - Wachlarze -Jeszcze jedno omdlenie - Baine udziela pomocy - Wstrząsający nagłówek

Podróż do domu żywo przypominała odwrót Napoleona spod Waterloo: mnóstwo paniki, pośpiechu i zamieszania, a potem bezruch i rozpacz. Mało nie zgubiliśmy Jane w rozgardiaszu na stacji, pani Mering znowu groziła omdleniem, a ledwie wysiedliśmy z powozu, nastąpiło kolejne oberwanie chmury. Terence prawie wykłuł Tossie oko, próbując otworzyć parasol. Baine zatrzymywał pociąg za pomocą brutalnej siły.

- Szybciej - powiedziałem do pani Mering, pomagając jej wysiąść z dorożki - pociąg zaraz odjedzie.

- Nie, nie, nie może odjechać bez nas - zaprotestowała z przejęciem. - Moje przeczucie...

- Więc musimy się pospieszyć - powiedziała Verity, złapała ją za drugie ramię i razem zaciągnęliśmy ją przez peron do pierwszej klasy.

Konduktor, który wciąż kłócił się z Baine'em, poddał się na widok Tossie walczącej ze spódnicami oraz falbaniastym parasolem i połogi jej wejść do pociągu, szarmancko uchylając czapki.

- Wiem - mruknąłem. - Sprawdź jego nazwisko.

Nie było czasu na szukanie bagażowego. Terence i ja, ignorując klasowe konwenanse, wyciągnęliśmy kosze, paczki, sakwojaże, dywaniki i Jane z dorożki, po czym wrzuciliśmy wszystko na kupę do wagonu drugiej klasy.

Pobiegłem zapłacić woźnicy, który odjechał galopem, jak tylko poczuł pieniądze w garści, zupełnie jakby gonili go Prusacy Bluchera. Potem biegiem wróciłem na peron. Pociąg już ruszył, ciężkie koła obracały się powoli, nabierając przyspieszenia. Konduktor odsunął się od brzegu peronu i założył ręce za plecami.

- Jak wasze nazwisko? - wysapałem, zwiększając tempo biegu. Cokolwiek odpowiedział, gwizd lokomotywy całkiem go zagłuszył. Pociąg stopniowo nabierał szybkości.

- Co? - krzyknąłem. Lokomotywa znowu zagwizdała.

- Co? - krzyknął.

- Wasze nazwisko! - wrzasnąłem.

- Ned - zawołał Terence z wagonu pierwszej klasy. - Wskakuj!

- Już idę. Wasze nazwisko? - krzyknąłem do konduktora i skoczyłem.

Chybiłem. Moja prawa ręka złapała mosiężną poręcz i zawisłem na chwilę. Terence chwycił mnie za lewą rękę i wciągnął na stopień. Chwyciłem poręcz i obejrzałem się. Konduktor oddalał się truchtem w stronę budynku stacji, chowając głowę za podniesionym kołnierzem.

- Wasze nazwisko! - ryknąłem w deszcz, ale on już znikł za drzwiami.

- O co ci chodziło? - zapytał Terence. - Mało nie skończyłeś jak Anna Karenina.

- O nic - odparłem. - Gdzie jest nasz przedział?

- Trzeci od tyłu - odpowiedział i ruszył korytarzem w stronę Verity, która wyglądała przez okno na pusty peron sieczony deszczem, szybko uciekający do tyłu.

- „Los nie oszczędza innych też - zacytował Terence. - Na każde życie pada deszcz. Są dni mroczne i ponure" - i otworzył drzwi przedziału. Pani Mering spoczywała bezwładnie na poduszkach w półleżącej pozycji, zakrywając nos koronkową chusteczką.

- Czy jesteś pewna, że to nie matka Tossie przeżyła doświadczenie, które odmieniło jej życie? - szepnąłem do Verity.

- Panie Henry, Verity, wchodźcie i siadajcie - przynagliła nas pani Mering, powiewając chusteczką. Doleciała mnie woń fiołków parmeńskich. - I zamknijcie drzwi. Robicie przeciąg.

Weszliśmy. Zamknąłem drzwi. Usiedliśmy.

- „I do domu radosnym podążamy krokiem" - zacytował Terence, uśmiechając się do wszystkich.

Nikt nie odpowiedział mu uśmiechem. Pani Mering wsadziła nos w chusteczkę, Verity miała zmartwioną minę, a Tossie, wtulona w kąt, spiorunowała wzrokiem narzeczonego.

Jeśli doświadczyła czegoś, co odmieniło jej życie, wcale tak nie wyglądała. Wyglądała na zmęczoną, zmokniętą i nadąsaną. Wilgotne organdynowe falbanki smętnie oklapły zamiast trzepotać, a złote loki zaczęły się rozkręcać.

- Mogliśmy przynajmniej zostać na herbacie, mamo - rzuciła z irytacją. - Wikary chciał nas zaprosić, na pewno. To wcale nie był jedyny pociąg. Gdybyśmy pojechali tym o piątej trzydzieści sześć, zostałoby mnóstwo czasu na herbatę.

- Kiedy ktoś doznaje straszliwego przeczucia - odparła pani Mering - nie zostaje na herbatę. - Machnęła chusteczką i znowu poczułem oszałamiający zapach fiołków. - Próbowałam wytłumaczyć Mesielowi, że powinien pojechać z nami.

- Czy przeczucie powiedziało ci, że pułkownikowi Meringowi grozi niebezpieczeństwo? - zapytała Verity.

- Nie - przyznała pani Mering znowu z tym dziwnym wyrazem twarzy, jakby sondowała bolący ząb. - To... tam była... woda... - krzyknęła cicho. - A jeśli on wpadł do sadzawki i utonął? Dzisiaj mieli mu dostarczyć nową złotą rybkę. - Opadła na poduszki, wachlując się chusteczką.

- Papa umie pływać - zauważyła Tossie.

- Mógł uderzyć głową o kamienne obmurowanie - upierała się pani Mering. - Coś strasznego się stało. Czuję to!

Nie ona jedna to czuła. Zerknąłem ukradkiem na Verity. Cała jej postawa wyrażała spokojną rozpacz. Koniecznie musieliśmy porozmawiać.

- Czy coś pani przynieść, pani Mering? - zapytałem. Nie bardzo wiedziałem, jak wyciągnąć Verity z przedziału. Może poproszę konduktora, żeby przekazał jej wiadomość. No nic, nie będę się martwił na zapas. - Tutaj jest dość chłodno. Czy mam przynieść podróżny dywanik?

- Rzeczywiście jest zimno - przyznała pani Mering. - Verity, idź i powiedz Jane, że potrzebuję mojego szkockiego szala. Tossie, czy chcesz swój?

- Co? - rzuciła Tossie bez zainteresowania, wyglądając przez okno.

- Twój szal - powtórzyła pani Mering. - Czy go potrzebujesz?

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie Tossie.

- Nonsens - stwierdziła pani Mering. - Tutaj jest zimno - i do Verity: - Przynieś szal Tossie.

- Tak, ciociu Malwinio - powiedziała Verity i wyszła.

- Rzeczywiście jest zimno - zauważyłem. - Czy mam poprosić konduktora, żeby przyniósł piecyk? Albo gorącą cegłę pod stopy?

- Nie. Tossie, dlaczego nie chcesz szala, na miłość boską?

- Chcę herbaty - oznajmiła Tossie w stronę okna. - Myślisz, że jestem niedokształcona estetycznie?

- Ależ skąd - odparła pani Mering. - Mówisz po francusku. Dokąd pan idzie, panie Henry?

Zdjąłem rękę z drzwi przedziału.

- Pomyślałem tylko, że wyjdę na chwilę na platformę - powiedziałem, na dowód wyjmując fajkę.

- Nonsens. Pada deszcz.

Usiadłem pokonany. Verity za chwilę wróci i stracimy okazję. Tak samo, jak straciliśmy okazję w Coventry.

- Panie St. Trewes - powiedziała pani Mering - niech pan pójdzie i powie Baine'owi, żeby przyniósł nam herbaty.

- Ja to zrobię - zaproponowałem i wybiegłem z przedziału, zanim zdążyła mnie zatrzymać. Verity powinna już wracać z szalem. Jeśli ją zatrzymam, zanim dojdzie do końca wagonu drugiej klasy, zdążymy...

Ręka wysunęła się z przedziału drugiej klasy, chwyciła mnie za rękaw i wciągnęła do środka.

- Gdzieś ty był? - syknęła Verity.

- Niełatwo wyrwać się pani Mering - wyjaśniłem i rozejrzałem się po korytarzu, żeby sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi, zanim zamknąłem drzwi.

Verity zaciągnęła rolety.

- Najważniejsze pytanie: co teraz zrobimy? - Usiadła. - Byłam pewna, że wystarczy ją zabrać do Coventry i sprawa załatwiona. Zobaczy strusią nogę biskupa, spotka pana Jak-mu-tam na C, jej życie się odmieni i niekongruencja się naprawi.

- Nie wiemy, czy się nie naprawiła. Może jej życie się odmieniło, tylko jeszcze o tym nie wiemy. Przecież spotkała tych ludzi na peronie w Reading, i konduktora, i wikarego. I tego, który wyglądał jak Crippen. I Cyryla. Nie zapominajmy, że jego imię zaczyna się na C.

Verity nawet się nie uśmiechnęła.

- Tossie nie pozwoliła go zabrać do Coventry, pamiętasz? Usiadłem naprzeciwko niej.

- Osobiście stawiam na wikarego - powiedziałem. - Trochę za bardzo nadęty i wytrzeszczony jak na mój gust, ale Tossie ma całkiem spaczony gust, co już udowodniła, i sama widziałaś, jak pożerał ją wzrokiem. Założę się, że jutro przyjedzie do Muchings End pod jakimś pretekstem... że postanowił zostać spirytystą albo potrzebuje rady w sprawie kokosowych rzutków... zakochają się w sobie, ona rzuci Terence'a i zanim się obejrzysz, ogłoszą zapowiedzi dla panny Tossie Mering i wielebnego pana...

- Bałwan - mruknęła Verity.

- To całkiem prawdopodobna teoria - broniłem się. - Słyszałaś, jak tych dwoje szczebiocze o Albert Mem....

- Bauwan. B-a-u-w-a-n - przeliterowała Verity. - On tak się nazywa. Wielebny pan Bauwan.

- Na pewno? Przytaknęła z ponurą miną.

- Pani Mering wymieniła jego nazwisko, kiedy wsiadałyśmy do powozu. „Ten wielebny Bauwan ma dobre chęci - powiedziała - ale brakuje mu inteligencji. Nie rozumie logiki życia pozagrobowego".

- Na pewno nazywa się Bauwan, a nie...

- Cymbau? Na pewno. - Pokręciła głową. - Wikary nie jest panem C.

- No, więc to musi być jeden z mężczyzn na peronie w Reading. Albo wikary z Muchings End.

- On się nazywa Arbitage.

- Tak mówi. A jeśli występuje pod przybranym nazwiskiem?

- Pod przybranym nazwiskiem? To duchowny.

- Wiem, a kościół nie wybacza błędów i wykroczeń młodości, więc dlatego wikary musiał przybrać fałszywe nazwisko. A jego ciągła obecność w Muchings End świadczy o zainteresowaniu osobą Tossie. Skoro o tym mowa, dlaczego ona tak leci na wikarych?

- Wszyscy potrzebują żon, żeby im pomagały w szkółce niedzielnej i na kościelnych festynach.

- Na kiermaszach staroci - mruknąłem. - Wiem. Wielebny pan Arbitage interesuje się spirytyzmem.

Interesuje się niszczeniem starych kościołów. On...

- Nie jest panem C. - dokończyła Verity. - Sprawdziłam go. Ożenił się z Eglantyną Chattisbourne.

- Z Eglantyną Chattisbourne? - powtórzyłem. Kiwnęła głową.

- W 1897 roku. Został pastorem parafii St. Albans w Norwich.

- A co z konduktorem? - zapytałem. - Nie dosłyszałem jego nazwiska. On...

- Tossie nawet na niego nie spojrzała. Przez cały dzień na nikogo nie zwróciła uwagi. - Verity oparła się ze znużeniem na oparciu ławki. - Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, Ned. Doświadczenie odmieniające życie nie nastąpiło.

Wydawała się tak przybita, że musiałem jakoś ją pocieszyć.

- Pamiętnik nie mówi, że przeżyła to doświadczenie w Coventry. Napisała tylko: „Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy pojechaliśmy do Coventry". To mogło się zdarzyć w drodze powrotnej do domu. Pani Mering miała przeczucie, że stanie się coś okropnego. - Uśmiechnąłem się do Verity. - Może pociąg się wykolei i pan C. wyciągnie Tossie z rozbitego wagonu.

- Wykolejony pociąg - westchnęła marząco Verity. Wstała i podniosła szal. - Lepiej wracajmy, zanim pani Mering wyśle ludzi na poszukiwania - powiedziała z rezygnacją.

Otworzyłem drzwi przedziału.

- Coś się stanie, zobaczysz. Został jeszcze pamiętnik. I pokrewny projekt Fincha, cokolwiek to jest. I mamy jeszcze pól tuzina stacji i jedną przesiadkę, zanim dojedziemy do Muchings End. Może Tossie wpadnie na pana C. na peronie w Reading. Albo już wpadła. Matka posłała ją po ciebie, bo nie wracałaś, i kiedy pociąg szarpnął na zakręcie, wpadła prosto w jego ramiona. Czarujący, utytułowany, równie nieznośny jak ona, i to właśnie on wyrzeźbił strusią nogę biskupa, a teraz siedzą razem w przedziale i dyskutują o sztuce wiktoriańskiej.

Ale nie siedzieli. Tossie wciąż tkwiła markotnie w kącie i patrzyła na deszcz, kiedy weszliśmy do przedziału.

- No, wreszcie jesteście - zawołała pani Mering. - Gdzieście byli? Mało nie zamarzłam.

Verity pospiesznie udrapowała szal na jej ramionach.

- Powiedział pan Baine'owi o herbacie? - zapytała pani Mering.

- Zaraz po niego pójdę - zapewniłem z dłonią na klamce. - Spotkałem po drodze pannę Brown i odprowadziłem ją tutaj. - Po czym wymknąłem się pospiesznie.

Spodziewałem się znaleźć Baine'a pogrążonego w „Rewolucji przemysłowej" Toynbeego albo „O pochodzeniu człowieka" Darwina, ale otwarta książka leżała obok niego na ławce, a on wpatrywał się w deszcz. Widocznie rozmyślał o konsekwencjach swojego estetycznego wybuchu, ponieważ odezwał się ponuro:

- Panie Henry, czy mogę pana zapytać o Stany? Pan tam był. Czy Ameryka naprawdę jest krajem możliwości?

Powinienem był lepiej poznać dziewiętnasty wiek. Pamiętałem tylko wojnę domową i kilkakrotną gorączkę złota.

- To na pewno kraj, gdzie każdy ma prawo wyrażać swoją opinię - powiedziałem - i tak właśnie robi. Zwłaszcza w zachodnich stanach. Pani Mering prosi o herbatę.

Potem wyszedłem na tylną platformę, stanąłem tam z fajką i udawałem, że palę, spoglądając na deszcz. Ulewa przeszła w mglistą mżawkę. Ciężkie chmury wisiały nisko nad błotnistymi drogami, które mijaliśmy. Odwrót do Paryża.

Verity miała rację. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Pan C. nie Pojawi się w Reading ani gdzie indziej. Próbowaliśmy naprawić rozdarte w kontinuum, związując pęknięte nici, zabierając Tossie w wyznaczone miejsce w wyznaczonym dniu.

Ale w chaotycznym systemie nie ma czegoś takiego jak zwykłe rozdarcie. Każde wydarzenie jest powiązane z innymi. Kiedy Verity wskoczyła do Tamizy, kiedy przeszedłem torami kolejowymi na stację, wpłynęliśmy na dziesiątki, setki wydarzeń. Włącznie z miejscem pobytu pana C. piętnastego czerwca 1888 roku. Zerwaliśmy wszystkie nici naraz i tkanina na wrzecionie czasoprzestrzeni pękła.

- „Szatę wiatr porwał do rzeki wprost - powiedziałem na głos. - ‹‹klątwa się spełnia››, krzyknęła w głos Pani na Shalott".

- Ejże, a to co? - zapytał męski głos. Jakiś człowiek otworzył drzwi i wszedł na platformę. Był tęgi, miał olbrzymie bokobrody w stylu lorda Dundreary'ego i fajkę z morskiej pianki, którą energicznie wystukał. - Klątwa, powiadasz pan? - spytał, zapalając fajkę.

- Tennyson - wyjaśniłem.

- Poezja - warknął. - Kupa bzdur, jeśli mnie pan pytasz. Sztuka rzeźba, muzyka, jaki z nich pożytek w prawdziwym świecie?

- Właśnie - przyświadczyłem, wyciągając rękę. - Ned Henry. Miło mi pana poznać.

- Arthur T. Mitford - oznajmił, miażdżąc moją dłoń w uścisku.

No, zawsze warto spróbować.

- Nie wierzę w klątwy - ciągnął, gwałtownie ssąc fajkę. - Ani w los. Ani w przeznaczenie. Kupa bzdur. Człowiek sam tworzy swój los.

- Chciałbym, żeby pan miał rację.

- Pewnie, że mam rację. Weź pan Wellingtona.

Wystukałem tytoń z mojej fajki na tory i ruszyłem z powrotem do przedziału. Weźmy Wellingtona. I Joannę d'Arc z Orleanu. I Johna Paula Jonesa. Im wszystkim się udało, kiedy sprawa wydawała się przegrana.

A kontinuum było bardziej wytrzymałe, niż myśleliśmy. Miało poślizgi, redundancje i sprzężenia zwrotne. „Jeszcze się spotkamy, nie tu, to gdzie indziej". A skoro tak, może słusznie pocieszałem Verity, może pan C. już czekał na peronie w Reading. Albo właśnie w tej chwili dziurkował bilety czy sprzedawał słodycze w naszym przedziale.

Nie było go tam. Był natomiast Baine, rozdawał porcelanowe filiżanki i nalewał herbatę, która niestety podziałała ożywczo na panią Mering. Pani Mering wyprostowała się, poprawiła swój kraciasty szal i przystąpiła do zatruwania wszystkim życia.

- Tossie - powiedziała - usiądź prosto i pij herbatę. To ty chciałaś herbaty. Baine, macie cytrynę?

- Zobaczę, czy sprzedają cytryny na stacji, jaśnie pani - powiedział Baine i wyszedł.

- Czemu tak długo stoimy? - narzekała pani Mering. - Trze było pojechać ekspresem. Verity, ten szal wcale nie daje ciepła. powinnaś powiedzieć Jane, żeby wzięła kaszmirowy.

Pociąg ruszył i po kilku minutach Baine zjawił się ponownie, trochę zdyszany, jakby musiał biec.

- Niestety nie mieli cytryn, jaśnie pani - powiedział, wyjmując butelkę mleka z kieszeni. - Wypije pani z mlekiem?

- Nie wiadomo, od jakiej krowy. Wykluczone. Ta herbata jest letnia.

Baine ustawił maszynkę spirytusową i zaczął podgrzewać więcej wody, a pani Mering rozglądała się za następną ofiarą.

- Panie St. Trewes - zwróciła się do Terence'a, który ukrył się za tomikiem poezji - tu jest za ciemno, żeby czytać. Zepsuje pan sobie oczy.

Terence zamknął książkę i schował do kieszeni z miną człowieka, który zaczyna sobie uświadamiać, w co się wpakował. Baine zapalił lampy i nalał następną kolejkę herbaty.

- Cóż za nudne z was towarzystwo - podjęła pani Mering. - Panie Henry, proszę nam opowiedzieć o Stanach. Pani Chattisbourne mówiła, że pan był na Zachodzie i walczył z Indianami.

- Krótko - odparłem, zastanawiając się, czy następnie zapyta o skalpowanie, ale ona nie o tym myślała.

- Czy będąc na Zachodzie, miał pan okazję uczestniczyć w jednym z seansów baronessy Eusapii w San Francisco? - zapytała.

- Niestety nie - odparłem.

- Szkoda - uznała i widocznie doszła do wniosku, że straciłem wszystkie największe turystyczne atrakcje. - Eusapia słynie ze swoich aportów.

- Aporty? - powtórzył Terence.

- Przenoszenie przedmiotów w powietrzu z odległych miejsc - wyjaśniła.

No właśnie, pomyślałem. Już wiem, co się stało ze strusią nogą Biskupa. Została aportowana na seans spirytystyczny w San Francisco.

- ...kwiaty i fotografie - mówiła pani Mering - a raz aportowała jaskółcze gniazdo aż z Chin! Z jaskółką w środku!

- Skąd wiadomo, że to była chińska jaskółka? - zapytał Terence powątpiewaniem. - Przecież nie świergotała po chińsku, prawda? Skąd wiadomo, że to nie była kalifornijska jaskółka?

- Czy to prawda, że służba w Ameryce nie zna swojego miejsca - odezwała się Tossie, spoglądając na Baine'a - i że państwo pozwalają im wypowiadać opinie o sztuce i wykształceniu, jak równym sobie?

Wyglądało na to, że wszechświat rozpadnie się tutaj, w tym przedziale.

- Ee... yhym... - wyjąkałem.

- Czy widziałaś ducha, ciociu Malwinio - wtrąciła Verity, żeby zmienić temat - kiedy doznałaś przeczucia?

- Nie, ja... - pani Mering znowu miała to nieobecne spojrzenie skierowane do wewnątrz. - Baine, ile jeszcze przystanków ma ten okropny pociąg?

- Osiem, jaśnie pani - odpowiedział Baine.

- Zamarzniemy na śmierć, zanim dojedziemy do domu. Idźcie powiedzieć konduktorowi, żeby przyniósł piecyk. I przynieście mi pled na kolana.

I tak dalej. Baine przyniósł pled i gorącą cegłę pod stopy dla pani Mering, i proszki od bólu głowy, które pani Mering zaproponowała wszystkim, ale sama zażyła.

- Mam szczerą nadzieję, że po ślubie nie zamierza pan trzymać psów - zwróciła się do Terence'a i kazała mu przykręcić lampy, boją raziły w oczy.

Na następnej stacji wysłała Baine'a po gazetę.

- Moje przeczucie mówi, że stanie się coś strasznego. Może był napad. Albo pożar.

- Mówiłaś, że przeczucie miało coś wspólnego z wodą - wytknęła jej Tossie.

- Ogień gasi się wodą - odparła pani Mering z godnością. Wszedł Baine, znowu zdyszany, jakby zdążył w ostatniej chwili.

- Pani gazeta, jaśnie pani.

- Nie chciałam „Oxford Chronicie", tylko „Timesa". - Pani Mering odepchnęła gazetę.

- Gazeciarz nie miał „Timesa" - wyjaśnił Baine. - Spróbuję zdobyć egzemplarz w palarni.

Pani Mering osunęła się na oparcie ławki. Terence podniósł porzuconą „Oxford Chronicie" i zaczął czytać. Tossie znowu wyglądała przez okno bez żadnego zainteresowania.

- Tutaj jest duszno - oznajmiła pani Mering. - Verity, przynieś mój wachlarz.

- Tak, ciociu Malwinio - powiedziała Verity i wymknęła się z wdzięcznością.

- Dlaczego oni muszą tak przegrzewać te wagony? – zapytała pani Mering, wachlując się chusteczką. - Doprawdy to skandal, że musimy podróżować w takich barbarzyńskich warunkach. -

Spojrzała na gazetę Terence'a. - Po prostu nie rozumiem...

Urwała, wpatrując się nieprzytomnie w Terence'a.

Tossie podniosła wzrok.

- O co chodzi, mama?

Pani Mering wstała i chwiejnie zrobiła krok w stronę drzwi.

- Tego wieczoru na seansie... - powiedziała i padła zemdlona.

- Mama! - pisnęła Tossie, zrywając się z miejsca. Terence wyjrzał zza gazety i upuścił szeleszczące płachty.

Pani Mering leżała ukośnie pod drzwiami, z rozrzuconymi ramionami, z głową opartą na pluszowym siedzeniu ławki. Terence i ja dźwignęliśmy ją i umieściliśmy mniej więcej na ławce, podczas gdy Tossie trzepotała wokół nas.

- O, mama! - zawołała, pochylając się nad bezwładną postacią pani Mering. - Obudź się!

Zdjęła matce kapelusz, co nie wydawało się szczególnie potrzebne, i zaczęła ją klepać po policzkach.

- O, zbudź się, mama! Nie było odpowiedzi.

- Przemów do mnie, mama! - prosiła Tossie, delikatnie poklepując matczyny policzek. Terence podniósł upuszczoną gazetę i zaczął wachlować przyszłą teściową.

Wciąż żadnej reakcji.

- Lepiej sprowadź Baine'a - poradziłem Terence'owi.

- Tak, Baine - poparła mnie Tossie. - On będzie wiedział, co robić.

- Racja - przyznał Terence, podał Tossie gazetę i pobiegł korytarzem.

- Mama! -jęknęła Tossie, podejmując wachlowanie przerwane przez Terence'a. - Przemów do mnie!

Powieki pani Mering zatrzepotały.

- Gdzie jestem? - zapytała słabym głosem.

- Pomiędzy Górnym Elmscott a Oldham Junction - poinformowała ją Tossie.

- W pociągu z Coventry - przetłumaczyłem. - Jak się pani czuje?

- O mama, tak nas przestraszyłaś! - powiedziała Tossie. - Co się stało?

- Stało? - powtórzyła pani Mering i usiadła. Pomacała się po głowie. - Gdzie mój kapelusz?

- Tutaj, mama. - Tossie podała mi gazetę i podniosła kapelusz - Zemdlałaś. Miałaś następne przeczucie?

- Przeczucie? - rzuciła z roztargnieniem pani Mering, przypinając szpilką kapelusz. - Ja nie...

- Spojrzałaś na Terence'a i przestałaś mówić, jakbyś zobaczyła ducha, a potem upadłaś na podłogę nieprzytomna. Czy widziałaś lady Godivę?

- Lady Godivę? - prychnęła pani Mering, wyraźnie dochodząc do siebie. - Na litość, co lady Godiva... - urwała.

- Mama*?* - spytała zaniepokojona Tossie.

- Pamiętam - powiedziała pani Mering. - Zapytaliśmy duchy o Księżniczkę Ardżumand i drzwi się otworzyły... -jej głos wznosił się coraz wyżej - ...to musiało być właśnie wtedy... zapytałam, czy utonęła...

I znowu zgasła jak świeczka. Głowa jej opadła na pluszowy podłokietnik, kapelusz zsunął się na nos.

- Mama! - zapiszczała Tossie.

- Czy macie sole trzeźwiące? - zapytałem, posadziwszy prosto panią Mering.

- Jane ma - odparła Tossie. - Przyniosę je. Pobiegła korytarzem.

- Pani Mering - powiedziałem, wachlując ją jedną ręką i przytrzymując drugą. Wykazywała tendencję do osuwania się na boki. - Pani Mering!

Przyszło mi na myśl, że powinienem rozluźnić jej gorset albo przynajmniej kołnierzyk, ale postanowiłem zaczekać na Tossie. Albo na Verity. Gdzie one się podziały?

Drzwi rozwarły się z hukiem i wpadł zdyszany Terence.

- Nigdzie nie mogłem znaleźć Baine'a. „Znikł z oczu śmiertelników". Może został aportowany. - Zerknął z zaciekawieniem na panią Mering. - Wciąż nieprzytomna?

- Znowu zemdlała - wyjaśniłem wachlując. - Nie domyślasz się z jakiego powodu?

- Nie mam pojęcia - odparł i usiadł naprzeciwko. - Czytałem gazetę, a ona nagle spojrzała na mnie jak na ducha Banka. „Jest li to sztylet, co przed sobą widzę, z zwróconą ku mej dłoni rękojeścią?" Tylko że trzymałem „Oxford Chronicie", a ona padła jak ścięta. Myślisz, że chodziło o mój dobór lektury?

Pokręciłem głową.

- Mówiła coś o Księżniczce Ardżumand i o duchach.

Weszła Verity niosąc wachlarz.

- Co... - zaczęła ze zdumieniem.

- Zemdlała - wyjaśniłem. - Tossie poszła po sole trzeźwiące.

Wbiegła Tossie, a za nią Baine.

- Gdzie jest Jane? - zapytałem, rozglądając się za służącą. - Przyniosła pani sole trzeźwiące?

- Przyprowadziłam Baine'a - odparła, mocno zaróżowiona z pośpiechu.

Baine natychmiast przejął dowodzenie. Uklęknął przed panią Mering i zdjął jej kapelusz. Rozpiął jej kołnierzyk.

- Panie St. Trewes, niech pan otworzy okno. Panie Henry, proszę się odsunąć.

- Ostrożnie - ostrzegłem, puszczając ramię pani Mering. - Ona ma tendencję do przechyłu na sterburtę.

Ale Baine już ją trzymał za ramiona. Stanąłem obok Verity, wciąż trzymając złożoną gazetę.

- No - powiedział Baine i wepchnął głowę pani Mering pomiędzy jej kolana.

- Baine! - krzyknęła Tossie.

- Och - powiedziała pani Mering i spróbowała się wyprostować.

- Proszę oddychać głęboko - polecił Baine, mocno przytrzymując jej kark. - Właśnie tak. Głębokie oddechy. Dobrze - powiedział i pozwolił jej usiąść.

- Co... - zapytała oszołomiona.

Baine wydobył z kieszeni płaszcza flaszkę brandy i porcelanową filiżankę.

- Proszę to wypić - rozkazał, wkładając filiżankę w jej urękawiczone dłonie. - O tak. Doskonale.

- Lepiej się czujesz, mamo? - zapytała Tossie. - Dlaczego zemdlałaś?

Pani Mering pociągnęła następny łyk brandy.

- Nie pamiętam... - zaczęła. - W każdym razie teraz czuję się znacznie lepiej. - Oddala filiżankę Baine'owi. -Jak daleko jeszcze do Muchings End?

Verity obok mnie wyszeptała:

- Co się stało?

- Nie mam zielonego pojęcia. Terence czytał gazetę - podniosłem ją dla ilustracji - i nagle... - urwałem i wytrzeszczyłem oczy, zupełnie jak Makbet.

To był drugi artykuł, tuż pod opisem zatoru łódek na Tamizie ŚMIERĆ PROFESORA Z BALLIOL, głosił nagłówek, a niżej mniejszą czcionką, wciąż jednak czytelną (to była „Oxford Chronicie" nie „Times"):

PROFESOR HISTORII MATTHEW PEDDICK UTONĄŁ W WYPADKU NA RZECE

„Klątwa się spełnia”, krzyknęła w głos Pani na Shalott

Alfred lord Tennyson

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wyjaśnienia i pretensje - Następne przeczucie - Nasza cielesność podana w wątpliwość - Burza z piorunami - Tajemnica telegramu rozwiązana - Spokojny wieczór w domu - Wizyta - Dziecięce przezwiska - Ustanowienie tradycji kiermaszów staroci - Rozkwit i upadek

Reszta podróży upłynęła na wyjaśnieniach i wzajemnych pretensjach.

- Przecież powiedziałeś, że on wysłał telegram do siostry - wytknął mi Terence.

- Myślałem, że wysłał - przyznałem. - Zapytałem go: „Czy pan wysłał telegram?", a on powiedział „Tak" i pokazał mi żółte kwity.

- No, widocznie zapomniał zapłacić czy coś w tym rodzaju. Pogrzeb jest jutro o dziesiątej.

- Madame Iritosky próbowała mnie ostrzec - jęczała pani Mering, wsparta na trzech poduszkach i złożonym kocu, który przyniósł jej Baine. - „Strzeż się C!", mówiła. „Strzeż się C!" Próbowała mi powiedzieć, że profesor Peddick utonął!

- Ale on nie utonął - powiedziałem. - To jedno wielkie nieporozumienie. Wpadł do rzeki i wyłowiliśmy go razem z Terence'em. Widocznie profesor Overforce pomyślał, że on utonął, kiedy nie mógł go znaleźć.

- Wpadł do rzeki? - zapytała pani Mering. - Myślałam, że wasza łódź się wywróciła.

- Wywróciła - potwierdził Terence - ale dopiero następnego dnia. Usłyszeliśmy plusk i pomyślałem, że to Darwin, bo tam nad brzegiem rosły drzewa, ale to nie był Darwin. To był profesor Peddick. I całe szczęście, że przypłynęliśmy akurat w odpowiedniej chwili, żeby go uratować, bo zginąłby marnie. Los. „O, szczęsny losie, który czepiasz się szaty szczęsnego trafu!" Bo już się zanurzał po raz trzeci i zostało diabelnie mało czasu...

- Panie St. Trewes! - oburzyła się pani Mering, wyraźnie odzyskując siły. - Tutaj są damy!

Terence przybrał skruszoną minę.

- Och, przepraszam najmocniej. W podnieceniu opowieścią zapomniałem...

Pani Mering skwitowała przeprosiny skinieniem głowy.

- Mówił pan, że profesor Peddick wpadł do rzeki?

- No, właściwie profesor Overforce... dyskutowali o historii, rozumie pani, i profesor Peddick powiedział...

Przestałem słuchać i zapatrzyłem się tępo w ścianę, całkiem jak pani Mering, kiedy doznała przeczucia. Ktoś coś powiedział - przez chwilę już to prawie miałem, rozwiązanie tajemnicy, ważną wskazówkę, i Verity miała rację, szukaliśmy w niewłaściwym miejscu - ale chwila minęła i to coś mi umknęło. Coś, co powiedziało jedno z nich. Pani Mering? Terence? Zerknąłem na Terence'a, próbując sobie przypomnieć.

- ...i wtedy profesor Peddick powiedział, że Juliusz Cezar nie ma nic do rzeczy, i profesor Overforce wpadł do wody.

- Profesor Overforce! - wykrzyknęła pani Mering i wyciągnęła rękę do Verity po sole trzeźwiące. - Przecież pan mówił, że to profesor Peddick wpadł.

- Właściwie został wepchnięty - poprawił ją Terence.

- Wepchnięty!

To nie miało sensu. Cokolwiek znaczyło moje przeczucie, zniknęło bez śladu. I stanowczo powinienem interweniować.

- Profesor Peddick pośliznął się i wpadł do wody - powiedziałem - a my wyratowaliśmy go i

zamierzaliśmy odwieźć go do domu, ale on koniecznie chciał popłynąć z nami. Zatrzymaliśmy się w Abingdon, żeby mógł wysłać telegram do siostry i zawiadomić ją o swoich planach, ale widocznie telegram zaginął i kiedy profesor zniknął, siostra uznała go za zmarłego. Podczas gdy on by z nami.

Pani Mering wciągnęła głęboki haust soli trzeźwiących.

- Z panem - stwierdziła, mierząc Terence'a badawczym wzrokiem. - Powiał zimny wiatr i podniosłam oczy, i zobaczyłam was jak staliście w ciemności. Skąd mam wiedzieć, że nie jesteście duchami?

- Proszę dotknąć - Terence podsunął jej ramię. - „Trwałe, zbyt wytrwałe ciało".

Ostrożnie nacisnęła jego rękaw.

- Widzi pani - powiedział. - Całkiem materialne. Pani Mering nie wyglądała na przekonaną.

- Duch Katie Cook wydawał się materialny. Pan Crookes objął ją w talii na seansie i mówił, że czuł całkiem zwyczajną kobietę.

No tak, istniało wytłumaczenie tego faktu, jak również faktu, że duchy niezwykle przypominają ludzi ubranych w gazę, a przy takim sposobie rozumowania nigdy nie udowodnimy, że żyjemy.

- I mieli ze sobą Księżniczkę Ardżumand - ciągnęła pani Mering, zapalając się do swojej teorii - o której madame Iritosky powiedziała, że odeszła na tamten świat.

- Księżniczka Ardżumand nie jest duchem - zaprotestowała Verity. - Baine przyłapał ją dzisiaj rano nad sadzawką, jak próbowała zjeść Czarnego Maura pułkownika Meringa. Prawda, Baine?

- Tak, panienko - potwierdził - ale złapałem ją, zanim zdążyła wyrządzić jakieś szkody.

Popatrzyłem na niego i zastanowiłem się, czy wrzucił ją na środek Tamizy, czy też za bardzo się przejął incydentem z Verity, żeby znowu spróbować.

- Arthur Conan Doyle mówi, że duchy jedzą i piją w zaświatach tak samo jak my tutaj - odparła pani Mering. - On mówi, że Tamten Świat jest całkiem jak nasz, tylko czystszy i szczęśliwszy, i tamtejsze gazety nigdy nie drukują kłamstw.

I tak dalej aż do przesiadki w Reading, gdzie przerzuciła się na temat haniebnego postępowania profesora Peddicka.

- Narazić swoich bliskich na tak straszliwą udrękę - mówiła, stojąc na peronie i patrząc, jak Baine walczy z bagażem - żeby siedzieli przy oknie i niecierpliwie wypatrywali jego powrotu, i z upływem godzin dogasała w nich nadzieja... o, to szczyt okrucieństwa! Gdybym tylko wiedziała, jak on lekceważy uczucia swoich bliskich, nigdy nie zaprosiłabym go do naszego domu. Nigdy!

- Czy mamy zatelegrafować i ostrzec profesora Peddicka przed burzą? - szepnąłem do Verity, kiedy wsiadaliśmy do drugiego pociągu.

- Kiedy poszłam po wachlarz - odszepnęła, patrząc na Tossie która wsiadła pierwsza z Terence'em - czy ktoś wszedł do przedziału, ktokolwiek?

- Ani żywej duszy - zapewniłem.

- I Tossie tam siedziała przez cały czas?

- Poszła po Baine'a, kiedy jej matka zemdlała.

- Jak długo jej nie było?

- Tylko tyle, żeby sprowadzić Baine'a - powiedziałem i dodałem na widok jej zmartwionej miny: - Może wpadła na kogoś na korytarzu. I jeszcze nie wróciliśmy do domu. Może jeszcze kogoś spotkać w pociągu. Albo na stacji w Muchings End.

Lecz konduktor, który zaprowadził nas do przedziału, miał co najmniej siedemdziesiątkę, a na zadeszczonym peronie w Muchings End nie było żywej duszy, z tego czy z tamtego świata. Również w domu. Oprócz pułkownika Meringa i profesora Peddicka. Stanowczo powinienem był zatelegrafować.

- Miałem wspaniały pomysł - oznajmił pułkownik Mering, radośnie witając nas w deszczu.

- Mesiel, gdzie twój parasol? - przerwała mu pani Mering. - Gdzie twój płaszcz?

- Nie potrzebuję - odparł pułkownik. - Właśnie poszedłem obejrzeć mojego nowego czerwono nakrapianego srebrnego tancho. Całkiem sucho - zapewnił, chociaż wyglądał dość wilgotno i wąsy mu oklapły. - Nie mogłem się doczekać, żeby ci powiedzieć. Absolutnie wspaniały pomysł. Pomyślałem, że musimy od razu ci powiedzieć, prawda, profesorze? Grecja!

Pani Mering, wysiadając z powozu przy pomocy Baine'a, który osłaniał ją parasolem, spojrzała nieufnie na profesora Peddicka, jakby nie całkiem uwierzyła w jego materialność.

- Kreacja?

- Termopile - wyjaśnił uszczęśliwiony pułkownik. - Maraton, Hellespont, cieśnina przed Salaminą. Dzisiaj plan bitwy. Wpadłem na pomysł. Jedyny sposób, żeby obejrzeć ukształtowanie terenu. Wyobrazić sobie armie.

Rozległ się złowieszczy pomruk gromu, który pułkownik zignorował.

- Wakacje dla całej rodziny. Zamówić wyprawę Tossie w Paryżu. Odwiedzić madame Iritosky. Dzisiaj przyszedł od niej telegram że wyjeżdża za granicę. Przyjemna wycieczka. - Umilkł i czekał z uśmiechem na odpowiedź żony.

Pani Mering widocznie doszła do wniosku, że profesor Peddick żyje, przynajmniej na razie.

- Proszę mi powiedzieć, profesorze Peddick - zagadnęła głosem, któremu przydałoby się ciepłe okrycie - czy przed wyjazdem na tę „wycieczkę" zamierza pan powiadomić rodzinę o swoich planach? Czy pozwoli pan im dalej nosić żałobę, jak dotąd?

- Żałobę? - powtórzył profesor, wyciągając pince-nez.

- Co mówisz, moja droga? - zdziwił się pułkownik. Zahuczał następny grzmot, bardzo stosownie do okoliczności.

- Mesiel - powiedziała pani Mering - hodowałeś węża na łonie. - Wyciągnęła oskarżycielski palec w stronę profesora. - Ten człowiek oszukał tych, którzy mu zaufali, którzy przyjęli go pod swój dach, ale co najgorsze, oszukał własną rodzinę.

Profesor Peddick zdjął pince-nez i spojrzał przez szkła.

- Węża?

Przyszło mi do głowy, że możemy tutaj stać przez całą noc, a profesor Peddick i tak nie zrozumie ogromu swojej klęski, więc chyba powinienem interweniować, zwłaszcza że znowu zaczął padać deszcz. Zerknąłem na Verity, ale ona z nadzieją wpatrywała się w pusty podjazd.

- Profesorze - zacząłem, ale pani Mering już wpychała mu „Oxford Chronicie".

- Niech pan przeczyta - rozkazała.

- Prawdopodobnie utonął? - Profesor nałożył pince-nez i znowu je zdjął.

- Czy wysłał pan telegram do siostry? - zapytał Terence. - Wiadomość, że płynie pan z nami w dół rzeki?

- Telegram? - powtórzył niejasno profesor i rozłożył „Chronicie", jakby odpowiedź znajdowała się na drugiej stronie.

- Te telegramy, które pan wysłał z Abingdon - podsunąłem. - zapytałem, czy pan wysłał telegramy, a pan powiedział, że tak.

- Telegramy - mruknął. - Ach tak, już pamiętam. Wysłałem telegram do doktora Maroliego, autora monografii o podpisaniu Magna Carta. I do profesora Edelsweina w Wiedniu.

- Miał pan wysłać telegram do siostry i bratanicy - przypomniał mu Terence - i zawiadomić, co się z panem dzieje.

- Wielkie nieba - powiedział profesor. - Ale Maudie to rozsądna dziewczyna. Jeśli nie wróciłem

do domu, odgadnie, że pojechałem na ekspedycję. Nie jest taka jak większość kobiet, co to ciągle się przejmują i myślą, że człowiek wpadł pod tramwaj.

- One nie myślą, że pan wpadł pod tramwaj - zaprzeczyła ponuro pani Mering. - One myślą, że pan utonął. Pogrzeb jest jutro o dziesiątej.

- Pogrzeb? - Profesor zajrzał do gazety. - Nabożeństwo o godzinie dziesiątej. Katedra Christ Church - przeczytał. - Na litość boską dlaczego wyprawiają mi pogrzeb? Przecież nie umarłem.

- Tak pan mówi - mruknęła podejrzliwie pani Mering.

- Musi pan natychmiast wysłać do nich telegram - wtrąciłem, zanim spróbowała pomacać jego ramię.

- Tak, natychmiast - poparła mnie pani Mering. - Baine, przynieś materiały piśmienne.

Baine skłonił się.

- Chyba wygodniej będzie państwu w bibliotece - zaproponował i miłosiernie wprowadził nas do domu.

Baine przyniósł pióro, papier, atrament i wycieraczkę do piór w kształcie jeża, a następnie herbatę, placuszki i bułeczki z masłem na srebrnej tacy. Profesor Peddick ułożył telegram do siostry i drugi do dziekana Christ Church, wyprawiono Terence'a do wioski, żeby je nadał, a Verity i ja skorzystaliśmy z jego nieobecności, żeby wymknąć się do pokoju śniadaniowego i zaplanować nasz następny ruch.

- I co dalej? - zapytała Verity. - Nikogo nie było na stacji. Ani tutaj. Pytałam kucharkę. Przez cały dzień nikt nie zapukał do drzwi. Jak tylko przestanie padać, powinniśmy przeskoczyć i powiedzieć panu Dunworthy'emu, że przegraliśmy.

- Dzień jeszcze się nie skończył - pocieszyłem ją. - Został obiad i cały wieczór. Zobaczysz, pan C. wpadnie przy zupie i ogłosi, że są potajemnie zaręczeni od Wielkanocy.

- Może masz rację - powiedziała Verity bez przekonania.

Ale nic nie wydarzyło się podczas obiadu, tylko pani Mering ponownie opowiedziała o swoich przeczuciach, które zdążyły już obrosnąć smakowitymi szczegółami.

- I kiedy tam stałam w kościele, zdawało mi się, że widzę przed sobą lady Godivę... oczywiście ubraną, w sukni z coventryskiego błękitu, z rozpuszczonymi długimi włosami, i znieruchomiałam z wrażenia, a ona ostrzegawczo uniosła świetlistą białą dłoń i rzekła: „Rzeczy nie są takie, jakie się wydają".

Nic również nie wydarzyło się przy cygarach i porto, oprócz kompletnego opisu zalet nowego czerwono nakrapianego srebrnego tancho pułkownika Meringa. Przyłapałem się na niedorzecznej nadziei, że kiedy wrócimy do pań, będą siedziały wokół marynarza z rozbitego statku albo wydziedziczonego księcia, słuchając z przejęciem jego opowieści o zabłądzeniu w burzy, lecz kiedy pułkownik Mering rozsunął harmonijkowe drzwi, pani Mering spoczywała na kozetce, najwyraźniej znowu przytłoczona wzruszeniem, oddychając głęboko w perfumowaną chusteczkę, Tossie siedziała przy biurku i pisała w swoim pamiętniku, a Verity w fotelu na kółkach skwapliwie podniosła wzrok, jakby spodziewała się zobaczyć marynarza wśród nas.

Rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Verity poderwała się z fotela i upuściła haft, ale to był tylko Terence, wracający po wysłaniu telegramu.

- Pomyślałem, że najlepiej zaczekać na odpowiedź od pańskiej siostry - powiedział, podając Baine'owi mokry płaszcz i parasol. Wręczył profesorowi dwie żółte koperty.

Profesor wygrzebał z kieszeni pince-nez, rozdarł telegramy i przystąpił do ich odczytywania na głos.

- „Wujku. Ucieszyła mnie wiadomość od ciebie. Wiedziałam, że jesteś cały i zdrowy. Całuję.

Bratanica".

- Kochana Maudie - powiedział. - Wiedziałem, że nie straci głowy. To dowodzi, jak inteligentnym stworzeniem może być kobieta, jeśli jest odpowiednio wykształcona.

- Wykształcona? - wtrąciła Tossie. - Czy ona jest estetycznie wykształcona?

Profesor Peddick kiwnął głową.

- Retoryka, sztuki piękne, filologia klasyczna, matematyka. - Rozdarł drugą kopertę. - Żadnej niemądrej muzyki czy haftowania.

Odczytał głośno drugi telegram.

- „Horacy. Jak mogłeś? Nabożeństwo zamówione. Kwiaty i grabarze opłaceni. Przyjedź pociągiem o dziewiątej trzydzieści dwie. Profesor Overforce zamierza wygłosić mowę pogrzebową". Profesor Overforce! - Wstał. - Muszę natychmiast wracać do Oksfordu. Kiedy jest następny pociąg?

- Dzisiaj już nie ma pociągów do Oksfordu – odpowiedział Baine, chodzący rozkład jazdy. - Pierwszy pociąg odchodzi jutro o siódmej czternaście z Henley.

- Muszę nim jechać - oświadczył profesor Peddick. - Spakujcie natychmiast moje bagaże. Profesor Overforce! On nie zamierza wygłosić mowy pogrzebowej. On chce zdyskredytować moją teorię historii i rozpropagować własną. Poluje na fotel Havilanda. Naturalne siły! Populacja! Morderca!

- Morderca? - pisnęła pani Mering i już myślałem, że znowu zacznie od początku całą kołomyję z żywym-martwym, ale profesor nie pozwolił jej nawet zażądać soli trzeźwiących.

- Chociaż morderstwo wcale się nie liczy w jego teorii historii - ciągnął, gniotąc telegram. - Morderstwo Marata, dwóch książątek w Tower, morderstwo Darnleya, żadne z nich nie miało wpływu na bieg historii, według Overforce'a. Indywidualne działanie nie wpływa na bieg historii. Honor nie ma znaczenia w teorii Overforce'a, ani zazdrość, ani głupota, ani szczęście. Te rzeczy nie kształtują biegu wydarzeń. Ani sir Tomasz Morus, ani Ryszard Lwie Serce, ani Marcin Luter. - I tak dalej.

Pani Mering raz czy dwa próbowała mu przerwać, a potem opadła bezsilnie na kanapę. Pułkownik Mering sięgnął po gazetę (nie „Oxford Chronicie"). Tossie, wsparłszy brodę na ręku, bawiła się bezmyślnie wielką wycieraczką do piór w kształcie goździka. Terence wyciągnął nogi do ognia. Księżniczka Ardżumand zwinęła się w kłębek na moich kolanach i zasnęła.

Deszcz bębnił o szyby, ogień trzaskał, Cyryl chrapał. Verity z determinacją dziobała igłą swój haft i ciągle zerkała na pozłacany zegar z brązu na kominku, który chyba stanął.

- W bitwie pod Hastings - mówił profesor Peddick - król Harold zginął trafiony strzałą w oko. Celny strzał, który przesądził o wyniku bitwy. Jak to pasuje do teorii Overforce'a?

Kołatka na frontowych drzwiach zastukała głośno i Verity ukłuła się w palec. Terence usiadł prosto i zamrugał. Baine, który dokłada do kominka, wstał i poszedł otworzyć.

- Kto to może być o tej godzinie? - zastanawiała się pani Mering.

Proszę, pomyślałem, niech to będzie pan C.

- Siły natury! Populacje! - pienił się profesor Peddick. – Jak do tej teorii pasuje oblężenie Chartumu?

Usłyszałem stłumione głosy w westybulu, Baine'a i drugiego mężczyzny Spojrzałem na Verity, która ssała ukłuty palec, po czym znowu wbiłem wzrok w drzwi salonu.

W drzwiach pojawił się Baine.

- Wielebny pan Arbitage - oznajmił i wikary wszedł pospiesznie, strząsając krople deszczu z kapelusza o płaskim rondzie.

- Absolutnie niewybaczalne składać wizytę tak późno, wiem - zaczął, podając kapelusz Baine'owi

- ale po prostu musiałem wpaść, żeby powiedzieć państwu, jak wspaniale udał się festyn. Byłem w Lower Hedgebury na zebraniu Komitetu Dobroczynnego Slumsów i wszyscy dosłownie emocjonowali się naszym sukcesem. Sukcesem - uśmiechnął się sztucznie - który moim zdaniem całkowicie zawdzięczamy pani pomysłowi urządzenia kiermaszu staroci, pani Mering. Wielebny Chichester chce taki zorganizować na swojej letniej wencie na Misję dla Upadłych Dziewcząt.

- Wielebny Chichester? - zapytałem, wychylając się do przodu.

- Tak - przyświadczył z zapałem wikary. - Pyta, czy pani zechce służyć mu radą w tym przedsięwzięciu, pani Mering. Oczywiście również panna Mering i panna Brown.

- Wielebny Chichester - powtórzyłem. - Zdaje mi się, że o nim słyszałem. Młody, nieżonaty, ciemny wąs?

- Wielebny Chichester? - zdziwił się wielebny Arbitage. - Wielkie nieba, skądże. Dziewięćdziesiątka jak obszył. Niestety dotknięty paraliżem, ale wciąż działa w dobrej sprawie. I bardzo interesuje się życiem pozagrobowym.

- Nic dziwnego - mruknął pułkownik Mering zza gazety. - Już jest jedną nogą na tamtym świecie.

- Każdy z nas stanie kiedyś przed Sądem Ostatecznym - oznajmił wielebny Arbitage, sznurując usta. - „Bójcie się Boga i chwałę mu dajcie, gdyż przyszła godzina sądu jego". Apokalipsa rozdział czternasty, Wers siódmy.

Rzeczywiście wstrętny typ. Nadęty, pruderyjny, bez poczucia humoru. Idealny partner dla Tossie. A zresztą nie było innych kandydatów.

- Arbitage - powiedziałem. - To pańskie pełne nazwisko?

- Słucham?

- Tylu ludzi nosi podwójne nazwiska w naszych czasach - wyjaśniam. - Edward Burne-Jones, Elizabeth Barrett Browning, Edward Bulwer-Lytton. Myślałem, że Arbitage to skrót od Arbitage-Culpepper albo Arbitage-Chutney.

- Arbitage to moje pełne nazwisko - odparł, prostując się sztywno. - Eustace Hieronymous Arbitage.

- I pewnie żadnych przezwisk, nie dla człowieka na pańskim stanowisku - powiedziałem. - Więc w dzieciństwie? Moja siostra nazywała mnie Cherubinek, bo jako dziecko miałem loczki. Czy pan miał kędzierzawe włosy?

- Podobno - odparł wielebny Arbitage - byłem całkiem łysy aż do trzeciego roku życia.

- Ach - powiedziałem. - Więc Ciapuś? Albo Cukiereczek?

- Panie Henry - przywołała mnie do porządku pani Mering. -Pan Arbitage próbuje nam opowiedzieć o rezultatach festynu.

- Tak, właśnie - wielebny Arbitage wyjął skórzany notes z kieszeni. - Po odliczeniu wydatków wpływy wyniosły osiemnaście funtów, cztery szylingi i osiem pensów, więcej niż trzeba, żeby zamalować ścienne freski i wstawić nową kazalnicę. Może nawet wystarczy na zakupienie olejnego obrazu do kaplicy mariackiej. Najlepiej Holmana-Hunta.

- Jaki jest cel sztuki pańskim zdaniem, panie Arbitage? - zapytała nagle Tossie.

- Pouczać i wychowywać - odpowiedział natychmiast. - Wszelka sztuka powinna zawierać morał.

- Jak „Światło świata" - powiedziała.

- Istotnie - potwierdził wikary. - „Oto stoję u drzwi i kołaczę" Apokalipsa, rozdział trzeci, wers dwudziesty. - Odwrócił się do pani Mering. - Więc mogę powiedzieć wielebnemu Chichesterowi, że może liczyć na pani pomoc?

- Niestety nie - odparła pani Mering. - Pojutrze wyjeżdżamy do Torquay.

Zdumiona Verity podniosła wzrok, a pułkownik opuścił gazetę.

- Mam zszarpane nerwy - wyjaśniła pani Mering, patrząc twardo na profesora Peddicka. - Tyle się wydarzyło przez ostatnie kilka dni. Potrzebuję konsultacji z doktorem Fawleighem. Może słyszał pan o nim. Jest ekspertem od spirytyzmu. Ektoplazma. A stamtąd pojedziemy do Kentu, żeby poznać rodziców pana St. Trewesa i poczynić przygotowania do ślubu.

- Ach - powiedział wielebny Arbitage. - Ale wrócą państwo w sierpniu, mam nadzieję. Nasz letni festyn odniósł taki sukces, że postanowiłem urządzić jarmark w dniu Św. Bartłomieja i oczywiście będziemy potrzebować wróżki. I kiermasz staroci. Pani Chattisbourne chciała zamiast tego zorganizować turniej wista, ale powiedziałem jej, że kiermasz staroci musi przejść do tradycji. I wszystko dzięki pani. Zacząłem już zbierać fanty. Panna Stiggins podarowała stojak na buty, a moja cioteczna babka przysłała rycinę „Bitwy pod Naseby".

- Ach tak, Naseby! - ożywił się profesor Peddick. - Szarża kawalerii księcia Ruperta. Klasyczny przykład, jak ktoś był o krok od sukcesu, który nagle obraca się w klęskę, wszystko przez brak przewidywania.

Jeszcze przez chwilę dyskutowano o niebezpieczeństwach działania bez namysłu, po czym wielebny pan Arbitage opuścił nas, udzieliwszy błogosławieństwa. Tossie ledwie zauważyła jego odejście.

-Jestem trochę zmęczona - powiedziała, jak tylko Baine wyprowadził wielebnego. Pocałowała ojca i matkę.

- Wyglądasz blado - zauważyła pani Mering. - Morskie powietrze dobrze ci zrobi.

- Tak, mamo - przyznała obojętnie Tossie, jakby myślała o czym innym. Powiedziała „dobranoc" i poszła na górę.

- Już pora udać się na spoczynek - ogłosiła pani Mering i wstała. - To był długi... - przeszyła profesora świdrującym wzrokiem - i urozmaicony dzień dla nas wszystkich. Mesiel, musisz wstać wcześnie, żeby towarzyszyć profesorowi w podróży.

- Towarzyszyć profesorowi? - zająknął się pułkownik Mering. -Nie zostawię mojego czerwono nakrapianego srebrnego tancho.

- Na pewno wolałbyś osobiście dopilnować, żeby profesor Peddick gdzieś nie przepadł - rzekła stanowczo pani Mering. - Na pewno nie chcesz odpowiadać za pozostawienie drugiej rodziny w niewiedzy i żalu.

- Nie, skądże - ustąpił pokonany pułkownik. - Chętnie odwiozę pana do domu, profesorze.

Kiedy konsultowali się z Baine'em w sprawie pociągów, podszedłem do Verity i szepnąłem:

- Złożę raport rano, kiedy wyprowadzę Cyryla do stajni.

- Dobrze - przytaknęła bez zapału. Po raz ostatni ogarnęła spojrzeniem salon, jakby w nadziei, że pan C. jeszcze się pojawi. - Dobranoc - mruknęła i poszła na górę.

- Chodź, Cyrylu - powiedział Terence, patrząc na mnie znacząco. - Pora wyjść do stajni.

Ale nie zwróciłem na niego uwagi. Patrzyłem na biurko, gdzie Tossie zostawiła swój pamiętnik.

- Zaraz przyjdę - obiecałem i przesunąłem się tak, żeby zasłonić biurko. - Poszukam tylko książki do czytania.

- Książki! - prychnęła pani Mering. - Stanowczo za wielu ludzi czyta książki w naszych czasach. - I majestatycznie wypłynęła z pokoju.

- No chodź, Cyrylu - powtórzył Terence i Cyryl wstał chwiejnie. - Na dworze ciągle pada, Baine?

- Niestety tak, sir - potwierdził Baine i poszedł otworzyć im drzwi.

- Szarża Picketta! - mówił profesor Peddick do pułkownika Meringa. - W amerykańskiej bitwie pod Gettysburgiem. Kolejny doskonały przykład działania bez namysłu. Jak Overforce wytłumaczy szarżę Picketta?

Wyszli razem z salonu. Zamknąłem za nimi drzwi i pospieszyłem do biurka. Pamiętnik był otwarty, pióro i goździkowa wycieraczka zakrywały dolne dwie trzecie strony. Na górze napisano falbaniastym charakterem pisma: „Piętnasty czerwca", a niżej: „Dzisiaj pojechaliśmy do Cov..."

Uniosłem wycieraczkę.

„...entry", odczytałem. Literka „y" zawisła w próżni. Cokolwiek Tossie zapisała dla potomności o tym wielkim dniu, jeszcze tego nie zrobiła, ale we wcześniejszych wpisach mogła wymienić pana C.

Zamknąłem pamiętnik, chwyciłem z półki „Rozkwit i upadek cesarstwa rzymskiego" Gibbona, tom pierwszy i drugi, wetknąłem pamiętnik pomiędzy dwa tomy i odwróciłem się z książkami w ręku.

Za mną stał Baine.

- Chętnie zaniosę pamiętnik panny Mering na górę, żeby oszczędzić panu fatygi, sir - powiedział.

- Doskonale - odparłem i wyciągnąłem pamiętnik spomiędzy Gibbonów. - Właśnie chciałem go odnieść.

- Jak pan sobie życzy, sir.

- Nie, w porządku - zapewniłem. - Wy go odnieście. Ja chyba przejdę się na spacer przed snem.

Wymówka zabrzmiała wręcz śmiesznie, skoro deszcz bębnił o szyby, i nie bardziej zasługiwała na wiarę niż wcześniejsze twierdzenie że zamierzałem odnieść Tossie pamiętnik. Ale Baine powtórzył tylko:

- Jak pan sobie życzy, sir.

- Czy ktoś dzisiaj tu przyszedł? - zapytałem. - Oprócz wielebnego pana Arbitage' a?

- Nie, sir.

- A do kuchennych drzwi? Domokrążca? Może ktoś szukał schronienia przed deszczem?

- Nie, sir. Czy to wszystko, sir?

Tak, to wszystko. A za kilka lat... co? Luftwaffe wykończy RAF i umożliwi lądowanie w Dover, a wnuki Tossie i Terence'a będą walczyć na plażach, łąkach, błoniach Christ Church i w Iffley - daremnie. Niemcy wywieszą nazistowskie flagi z balkonów pałacu Buckingham i przemaszerują defiladowym krokiem przez Muchings End, Oksford i Coventry. No, przynajmniej nie spalą Coventry. Tylko Parlament. I cywilizację.

I kontinuum czasoprzestrzenne kiedyś się naprawi. Chyba że naukowcy Hitlera odkryją podróże w czasie.

- Czy to wszystko, sir? - ponownie zapytał Baine.

- Tak, to wszystko - powiedziałem i otworzyłem drzwi. Deszcz natychmiast mnie zmoczył, co jakoś pasowało do mojego nastroju. Zrobiłem krok na zewnątrz.

- Pozwoliłem sobie umieścić przyjaciela pana St. Trewesa w pańskim pokoju, sir - poinformował mnie Baine.

- Dziękuję - powiedziałem z wdzięcznością. Zamknąłem drzwi, odwróciłem się i ruszyłem w stronę schodów.

- Panie Henry - odezwał się Baine.

- Tak?

Cokolwiek jednak zamierzał powiedzieć, chyba się rozmyślił.

- Doskonała książka. „Rozkwit i upadek".

- Pouczająca i budująca - przyznałem i poszedłem do łóżka.

Kasiu, pocałuj mnie; nasz ślub w niedziele

Petruchio

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nieodłączny optymizm podróży w czasie - Wczesny odjazd - Kłopot - Gladys i Gladys - Finch znika - Anegdoty o macierzyńskiej pomysłowości kotów - Spóźniony odjazd - Podsłuchiwanie - Kapusta - Verity zaginęła - Baine cytuje Szekspira - Propozycja wprowadzenia analfabetyzmu - Tajemnica zamokniętego pamiętnika rozwiązana - Przedwczesny odjazd

Rano poczułem się lepiej. Kiedy zszedłem z Cyrylem o szóstej, deszcz ustal, niebo było błękitne i mokra trawa lśniła jak diamenty.

A nadzieja stanowi nieodłączny atrybut podróży w czasie. Jeśli czegoś nie załatwisz za pierwszym razem, możesz znowu próbować aż do skutku, a przynajmniej ktoś inny może próbować, więc za tydzień albo za rok, kiedy biegła sądowa wreszcie odcyfruje pamiętnik, Carruthers albo Warder, albo jakiś tępy młody rekrut wrócą do piętnastego i dopilnują, żeby pan C. zjawił się w odpowiedniej chwili.

Nie udało nam się, ale w międzyczasie tamci mogli rozwiązać tajemnicę Waterloo i samokorekty. Może właśnie teraz T.J. i pan Dunworthy wysyłają kogoś, żeby zatrzymał mnie w drodze do stacji kolejowej, nie dopuścił do spotkania z Terence'em i ingerencji w jego życie miłosne. Albo żeby rozdzielił profesora Peddicka i profesora Overforce'a. Albo żeby powstrzymał Verity przed wejściem do Tamizy i uratowaniem Księżniczki Ardżumand. Albo żeby wysłał mnie na pierwszą wojnę światową w celu wyleczenia dyschronii.

Kot dopłynąłby do brzegu, Terence poślubiłby Maud, a Luftwaffe zbombardowałaby Londyn. A ja nigdy nie spotkałbym Verity - Mała cena za uratowanie wszechświata. Warta poświęcenia.

I nie odczuwałbym żadnej straty, bo wcale bym jej nie poznał. Zastanowiło mnie, czy Terence to odczuwał, czy jakąś częścią świadomości wiedział, że stracił swoją prawdziwą miłość. A jeśli tak, co odczuwał? Sentymentalny żal, jak w jego wiktoriańskich poematach? Czy palącą, niezaspokojoną potrzebę? Czy po prostu ogólną szarość?

Zaprowadziłem Cyryla do stajni. Księżniczka Ardżumand wyszła z nami i kroczyła pierwsza po mokrej trawie, z wysoko uniesionym ogonem, i co chwila zawracała, żeby otrzeć się o moje kostki lub tylne łapy Cyryla. W stajni rozległ się jakiś hałas i wielkie wrota uchyliły się ze skrzypieniem.

- Kryj się - szepnąłem, złapałem Księżniczkę Ardżumand i schroniłem się w kuchennych drzwiach. Stajenny, najwyraźniej ledwie rozbudzony, rozwarł wrota do końca i woźnica wyprowadził dwa konie zaprzężone do powozu. Powóz, który zawiezie profesora Peddicka i pułkownika Meringa na stację.

Obejrzałem się na dom. Baine wynosił bagaże i ustawiał je na frontowych schodach. Profesor Peddick stał obok niego w swojej akademickiej todze i birecie, przyciskając do brzucha czajnik z rybami, i rozmawiał z Terence'em.

- Chodź - szepnąłem do Cyryla i ruszyłem w stronę bocznego wejścia do stajni.

Księżniczka Ardżumand wiła się jak piskorz w moich ramionach, próbując się wyrwać. Wypuściłem ją, a ona pomknęła jak strzała przez trawnik. Zaprowadziłem Cyryla do bocznych drzwi.

- Udawaj, że byłeś tutaj przez całą noc - nakazałem, a Cyryl szybko wskoczył na swoje posłanie z worka, okręcił się trzy razy, klapnął na brzuch i zaczął głośno chrapać. - Dobry piesek - pochwaliłem go i wyszedłem ze stajni. I wpadłem na Terence'a.

- Przyprowadziłeś Cyryla? - zapytał.

- Właśnie się położył - odpowiedziałem. - Co się stało? Pani Mering mnie zobaczyła?

Pokręcił głową.

- Baine obudził mnie rano i powiedział, że pułkownik Mering zachorował i czy mogę odwieźć profesora Peddicka do Oksfordu, chyba przeziębił się wczoraj, kiedy łowił pstrągi, a pani Mering chce mieć pewność, że profesor dotarł do domu. Właściwie to rozsądny pomysł. On gotów wysiąść z pociągu, jeżeli zobaczy wzgórze, które przypomni mu bitwę pod Hastings czy coś innego. Pomyślałem, że zabiorę Cyryla. Pomyślałem, że powinien trochę odpocząć od... - urwał i zaczął od początku - zwłaszcza że nie pojechał wczoraj do Coventry. On jest w stajni?

- Obok beli siana - odparłem, lecz kiedy Terence otworzył drzwi Cyryl stał tuż za nimi, machając całym baryłkowatym tułowiem.

- Chcesz się przejechać pociągiem, staruszku? - zapytał Terence i obaj pomaszerowali radośnie do domu.

Zaczekałem, aż powóz odjechał i Baine wrócił do domu, potem przebiegłem do kępy szczodrzeńca, zanim stajenny wrócił ziewając do stajni, a następnie przekroczyłem obramowanie z ozdobnych roślin i ruszyłem przez trawnik do krokieta w stronę belwederku.

Ktoś tam był. Obszedłem dookoła wierzbę płaczącą i schowałem się za krzakiem bzu. Ciemna postać siedziała zgarbiona na ławce. Kto tam siedział o tej porze? Pani Mering, czatująca na duchy? Baine, nadrabiający zaległości w lekturze?

Rozchyliłem gałązki bzu, żeby lepiej widzieć, strząsając fontannę wody na mój blezer i flanelowe spodnie. Ktokolwiek to był, dokładnie owinął się płaszczem i naciągnął kaptur na głowę. Tossie, czekająca na randkę z mężczyzną swojego życia? Czy tajemniczy pan C. we własnej osobie?

Ze swojego miejsca nie widziałem twarzy zakapturzonej osoby. Musiałem podejść do belwederku z drugiej strony. Ostrożnie puściłem gałązki, znowu wywołując fontannę, i nadepnąłem na Księżniczkę Ardżumand.

- Miaurrr! - wrzasnęła.

Tajemnicza postać poderwała się z ławki. Kaptur spadł.

- Verity! - zawołałem.

- Ned?

- Mrrrauu! - narzekała Księżniczka Ardżumand. Podniosłem ją, żeby sprawdzić, czy nie zrobiłem jej krzywdy.

- Mrau - powiedziała i zaczęła mruczeć. Zaniosłem ją do belwederku, gdzie czekała Verity.

- Co ty tutaj robisz? - zapytałem.

Verity wyglądała blado jak jeden z duchów pani Mering. Miała na sobie przemoczony płaszcz, widocznie jakieś wieczorowe okrycie a pod nim białą koszulę nocną.

- Jak długo tutaj siedzisz? - zapytałem. Księżniczka Ardżumand zaczęła się kręcić, więc ją puściłem. - Nie musiałaś zdawać raportu. Mówiłem ci, że sam to zrobię, kiedy odprowadzę Cyryla. Co pan Dunworthy mówił o... - zobaczyłem jej twarz. - Co się stało?

- Sieć nie chce się otworzyć - powiedziała.

- Co to znaczy: nie chce?

- To znaczy, że czekam tutaj od trzech godzin. Nie chce się otworzyć.

- Usiądź i powiedz mi dokładnie, co się stało - poprosiłem, wskazując ławkę.

- Nie chce się otworzyć! - krzyknęła. - Nie mogłam spać i pomyślałam, że im szybciej się zgłosimy, tym lepiej, i zdążę wrócić, zanim wszyscy wstaną, więc poszłam do miejsca skoku, ale sieć się nie otworzyła.

- To nie jest miejsce skoku?

- Nie, jest tam. Widać migotanie. Ale kiedy tam wchodzę, nic się nie dzieje.

- Może coś źle zrobiłaś? Na pewno stanęłaś we właściwym miejscu?

- Stałam w dziesięciu różnych miejscach - odparła niecierpliwie. - Nie chce się otworzyć!

- No dobrze, dobrze - powiedziałem. - Może ktoś tu był? Ktoś, kto mógł cię zobaczyć. Pani Mering albo Baine...

- Pomyślałam o tym. Za drugim razem poszłam nad rzekę i do sadzawki, i do ogrodu, ale nikogo tam nie było.

- Nie nosisz niczego z tej epoki?

- O tym też pomyślałam, ale koszulę przeniosłam w swoim bagażu i nie cerowałam jej ani nie przyszywałam guzików.

- Może chodzi o ciebie - powiedziałem. - Sam spróbuję.

- O tym nie pomyślałam - przyznała, nabierając otuchy. - Następny styk powinien być w każdej chwili.

Wyprowadziła mnie z belwederku na spłachetek trawy, obok kępy różowych peonii. Trawa już lekko migotała. Pospiesznie sprawdziłem ubranie. Blezer, flanelowe spodnie, koszulę, buty i skarpetki miałem na sobie podczas skoku.

Powietrze zalśniło. Wszedłem w sam środek trawy. Światło nabierało mocy.

- Czy tak było, kiedy próbowałaś? - zapytałem.

Światło nagle zgasło. Skroplona wilgoć zalśniła na peoniach.

- Tak - potwierdziła Verity.

- Może to mój kołnierzyk. - Odpiąłem kołnierzyk i podałem jej - Nie potrafię rozróżnić mojego i tego, który pożyczyłem od Elliotta Chattisbourne.

- Nie chodzi o twój kołnierzyk - zaprzeczyła Verity. - To nie ma sensu. Utknęliśmy tutaj. Tak jak Carruthers.

Nagle doznałem wizji, że zostajemy tutaj na zawsze, gramy w krokieta, jemy kedgeree na śniadanie i pływamy łódką po Tamizie, a Verity zanurza dłoń w brązowej wodzie i spogląda na mnie spod ronda kapelusza ozdobionego wstążkami.

- Przepraszam, Ned. To wszystko moja wina.

- Wcale nie utknęliśmy - zaprotestowałem. - No dobrze. Zagrajmy w Harriet i lorda Petera i zbadajmy wszystkie możliwości.

- Już sprawdziłam wszystkie możliwości - odparła sztywno. - I tylko jedna pasuje: że wszystko się wali, tak jak uprzedzał T.J.

- Nonsens - oświadczyłem. - Miną lata, zanim niekongruencja zniszczy kontinuum. Widziałaś modele. Może się załamać w 1940 roku, ale nie w tydzień po niekongruencji.

Wyglądała tak, jakby chciała mi uwierzyć.

- No dobrze - rzuciłem, udając pewność siebie. - Wracaj do domu i ubierz się, zanim skompromitujesz nas oboje i będę musiał ożenić się z tobą.

Przynajmniej wywołałem uśmiech na jej twarzy.

- A potem zejdź na śniadanie, żeby pani Mering nie pomyślała, że zaginęłaś, i nie wysłała oddziału na poszukiwania. Po śniadaniu powiedz, że idziesz rysować, wróć tutaj i czekaj na mnie. Znajdę Fincha i zasięgnę jego opinii.

Kiwnęła głową.

- Pewnie to drobiazg, jakaś usterka, której Warder jeszcze nie zauważyła. Albo zamknęła wszystkie powrotne skoki, dopóki nie ściągnie Carruthersa. Cokolwiek to jest, znajdziemy przyczynę.

Ponownie kiwnęła głową, trochę pocieszona, a ja wyruszyłem do Chattisbourne'ów, żałując tylko, że nie wierzyłem w ani jedno swoje słowo i że wiktorianie mieszkali tak daleko od siebie.

Otworzyła mi pokojówka w fartuszku z falbankami i czepeczku.

- Gladys, muszę pomówić z panem Finchem, kamerdynerem - oznajmiłem, kiedy złapałem oddech. Czułem się jak ten żołnierz spod Maratonu opisywany przez profesora Peddicka, który biegł przez całą drogę do Aten i zmarł po dostarczeniu wiadomości. - Zastałem go.

- Bardzo mi przykro, sir - powiedziała pokojówka, dygając jeszcze gorzej niż Jane. - Państwa Chattisbourne nie ma w domu. Zechce pan zostawić wizytówkę?

- Nie - odparłem. - Chciałbym mówić z panem Finchem. Czy jest w domu?

Pokojówki wyraźnie nie przeszkolono na tę okoliczność.

- Może pan zostawić wizytówkę - powiedziała i wyciągnęła do mnie małą srebrną tackę ozdobioną zakrętasami.

- Dokąd pojechali państwo Chattisbourne? - nalegałem. - Czy pan Finch ich zawiózł?

Pokojówka wyglądała na kompletnie zagubioną.

- Państwa Chattisbourne nie ma w domu - powtórzyła i zamknęła mi drzwi przed nosem.

Obszedłem dom i zastukałem do kuchennych drzwi. Otworzyła mi druga pokojówka. Ta nosiła chustkę i płócienny fartuch i była uzbrojona w skrobaczkę do ziemniaków.

- Muszę pomówić z kamerdynerem, panem Finchem, Gladys -powiedziałem.

- Państwa Chattisbourne nie ma w domu - odparła i już nabrałem obawy, że okaże się równie nieprzystępna jak pierwsza, ona jednak dodała: - Pojechali do Donnington. Na wentę robótek św. Marka.

- Chciałbym pomówić z panem Finchem. Czy on im towarzyszy?

- Nie - odpowiedziała. - Jest w Little Rushlade, kupuje kapustę. Wyszedł dzisiaj rano z wielkim koszem.

- Kiedy? - zapytałem z nadzieją, że jeszcze go dogonię.

- Przed śniadaniem. Ledwie świtało. Ja tam nie wiem, co jest złego w kapuście od farmera Gamma przy drodze, ale on mówi, na stół pani Chattisbourne tylko to, co najlepsze. Ja tam mówię, każda kapusta jest taka sama. - Skrzywiła się. - Najmniej trzy godziny na piechotę.

Trzy godziny na piechotę. Nie warto było za nim gonić ani czekać, ponieważ nie wróci tak szybko.

- Jak wróci, bądź tak dobra i powiedz mu, że był pan Henry od Meringów i żeby zaraz tam przyszedł.

Kiwnęła głową.

- Chociaż pewnie on będzie całkiem zmordowany, kiedy wróci. Ja tam nie wiem, czemu poszedł akurat dzisiaj, po takiej nocy. Pani Marmolada okociła się wczoraj wieczorem i dobrze się namęczyliśmy zanim znaleźliśmy kociaki.

Zaciekawiło mnie, czy zasady zakazujące wzmianek o seksie nie dotyczą służby, czy też odkąd kociaki przyszły na świat, stały się dopuszczalnym tematem rozmowy.

- Zeszłym razem schowała je w piwnicy - ciągnęła pokojówka - a jak już otworzą oczy, nigdy nie można wszystkich znaleźć, żeby je utopić. A jeszcze przedtem wcale ich nie znaleźliśmy. Nasza Pani Marmolada to chytra kocica.

- Tak, dobrze, proszę mu przekazać moją wiadomość, jak tylko wróci - powiedziałem, nakładając kapelusz.

- A jeszcze wcześniej w pudełku z szyciem panienki Hortensji. A przedtem w szufladzie z pościelą w kredensie na górze. Ta chytra kocica wie; że chcemy jej zabrać kociaki, więc je chowa w różnych wymyślnych miejscach. Jak kotka państwa Mering okociła się zeszłej zimy, schowała kociaki w piwnicy z winami i nie mogli ich znaleźć prawie trzy tygodnie! Dopiero w Boże Narodzenie je znaleźli i dobrze się namęczyli, zanim wszystkie złapali. Jak służyłam u wdowy Wallace, kotka

okociła się w piecu!

Po kilku następnych anegdotach o pomysłowych kocich matkach wreszcie się wymknąłem i popędziłem z powrotem do belwederku.

Początkowo nie zauważyłem Verity i pomyślałem, że spróbowała jeszcze raz pod moją nieobecność, tym razem z powodzeniem, ale ona siedziała pod drzewem po drugiej stronie belwederku. Miała na sobie białą suknię, w której ją zobaczyłem pierwszy raz, i wdzięcznie pochylała głowę nad szkicownikiem.

- Udało się? - zagadnąłem.

- Nie. - Wstała. - Gdzie jest Finch?

- Poszedł do sąsiedniej wioski kupować kapustę - wyjaśniłem. - Zostawiłem mu wiadomość, żeby przyszedł do Muchings End, jak tylko wróci.

- Wiadomość - powtórzyła. - Dobry pomysł. Możemy przesłać wiadomość. - Popatrzyła z namysłem na szkicownik. - Nie przeniosłeś czasem ze sobą papieru?

Pokręciłem głową.

- Wszystko, co przeniosłem, wpadło do rzeki, kiedy łódź się przewróciła. Nie, czekaj. Mam banknot. - Wyjąłem go z kieszeni. - Ale czym napiszemy wiadomość?

- Zaryzykujemy, że milimetr węgla jest nieistotny. - Podała mi swój ołówek.

- Za gruby - oceniłem. - Pójdę do domu po pióro i atrament. Kiedy następny styk?

- Teraz - odparła Verity i pokazała migotanie w powietrzu. Nie miałem czasu, żeby pobiec do domu i wrócić, i jeszcze napisać: „Nie możemy przeskoczyć” i podać nasze koordynaty.

- Musimy zaczekać do następnego razu - powiedziałem. Verity ledwie mnie słuchała. Patrzyła, jak coraz mocniej lśni światło na trawie. Weszła na środek i podała mi szkicownik z ołówkiem.

- Widzisz? - powiedziała. Światło natychmiast przygasło. - Ciągle nie chce się otworzyć.

I znikła w migotaniu kondensacji.

A więc tak. Kontinuum jeszcze się nie załamało, przynajmniej na razie, i nie utknęliśmy w przeszłości. Ach, to nawet lepiej. Naprawdę nie znosiłem kedgeree, a mecze krokietowe były śmiertelnie groźne. A jeśli sądzić po kościele św. Michała, na lato zapowiadały się niezliczone festyny i kiermasze staroci.

Spojrzałem na kieszonkowy zegarek. Wpół do X. Musiałem wrócić do domu, zanim ktoś mnie zobaczy i zapyta, dlaczego wałęsam się tutaj. Przy odrobinie szczęścia może jeszcze dostanę cynaderki na ostro albo wędzonego śledzia z półmiska pod Osaczonym Rogaczem.

Ruszyłem w stronę skalnego ogródka i prawie wpadłem na Baine’a. Stał spoglądając ponuro na Tamizę. Poszukałem wzrokiem Księżniczki Ardżumand, która na środku rzeki powinna młócić wodę białymi łapkami.

Nie zobaczyłem jej, ale Baine w każdej chwili mógł mnie zauważyć. Znowu wycofałem się w krzaki bzu, starając się nie szeleścić, i prawie nadepnąłem na Księżniczkę Ardżumand.

- Mrrau - powiedziała głośno. - Miaurr.

Baine odwrócił się i marszcząc brwi spojrzał prosto na bez.

- Mrau - powtórzyła Księżniczka Ardżumand. Cii, uciszyłem ją i przyłożyłem palec do ust. Zaczęła ocierać się o moją nogę, miaucząc głośno. Pochyliłem się, żeby wziąć ją na ręce, i potrąciłem uschniętą gałąź. Złamała się z ostrym szelestem suchych liści.

Baine ruszył w stronę bzów. Zacząłem wymyślać wymówki. Zgubiona kula krokietowa? A dlaczego grałem w krokieta sam jeden o dziewiątej rano? Lunatyzm? Nie, byłem całkowicie ubrany. Spojrzałem tęsknie w stronę belwederku, oceniając odległość i czas do następnego styku. Jedno i drugie za długie. A znając Księżniczkę Ardżumand, gotowa tam wejść w ostatniej chwili i

spowodować następną niekongruencje w kontinuum. Będę musiał wykorzystać zgubioną krokietową kulę.

- Miauu - zamiauczała głośno Księżniczka Ardżumand i Baine podniósł ręce, żeby rozchylić krzaki bzu.

- Baine, chodźcie tu natychmiast - zawołała Tossie ze ścieżki holowniczej. - Chcę z wami pomówić.

- Tak, panienko - odpowiedział i podszedł do miejsca, gdzie stała w koronkach, falbankach i plisach, z pamiętnikiem w ręku.

Skorzystałem z okazji, złapałem Księżniczkę Ardżumand i schroniłem się głębiej w gęstwę bzu. Kotka wtuliła się w moje ramiona i zaczęła głośno mruczeć.

- Tak, panienko? - powiedział Baine.

- Żądam, żebyście mnie przeprosili - oznajmiła władczo Tossie. - Nie mieliście prawa mówić wczoraj takich rzeczy.

- Ma panienka całkowitą rację - przyznał poważnie Baine. - Nie do mnie należy wygłaszanie opinii, nawet za przyzwoleniem, dlatego przepraszam za swoje zachowanie.

- Mrrau - powiedziała Księżniczka Ardżumand. Zajęty podsłuchiwaniem zapomniałem ją głaskać, więc delikatnie położyła mi łapkę na dłoni. - Miauu!

Tossie obejrzała się z roztargnieniem, a ja cofnąłem się dalej w zarośla.

- Przyznajcie, że to jest piękne dzieło sztuki - zażądała Tossie. Zapadło długie milczenie, po czym Baine powiedział cicho:

- Jak panienka sobie życzy, panno Mering. Policzki Tossie zaróżowiły się lekko.

- Nie „jak sobie życzę". Wielebny Bauwan powiedział, że to... - krótka przerwa - ...„przykład wszystkiego, co najlepsze w sztuce nowoczesnej". Zapisałam to w swoim pamiętniku.

- Tak, panienko.

Jej policzki jeszcze mocniej poróżowiały.

- Ośmielacie się nie zgadzać z duchownym?

- Nie, panienko.

- Mój narzeczony, pan St. Trewes, powiedział, że jest wyjątkowa - Tak, panienko - powtórzył cicho Baine. - Czy to wszystko, panienko?

- Nie, to nie wszystko. Żądam, żebyście przyznali, że niesłusznie nazwaliście ją odrażająco brzydką i ckliwie sentymentalną.

- Jak panienka sobie życzy.

- Nie jak sobie życzę - zawołała, tupiąc nogą. - Przestańcie tak mówić.

- Tak, panienko.

- Pan St. Trewes i pan Bauwan to dżentelmeni. Jak śmiecie zaprzeczać ich opiniom! Jesteście tylko zwykłym sługą.

- Tak, panienko - powtórzył ze znużeniem.

- Powinnam was zwolnić za zuchwałość wobec lepszych od siebie.

Nastąpiła kolejna długa przerwa, po czym Baine powiedział:

- Żadne zapisy w pamiętniku i zwolnienia nie zmienią prawdy. Galileusz odwołał swoje twierdzenia pod groźbą tortur, ale to nie skłoniło Słońca do okrążania Ziemi. Jeśli panienka mnie zwolni, wazon wciąż będzie wulgarny, ja wciąż będę miał rację, a panienki gust wciąż pozostanie plebejski, bez względu na zapisy w pamiętniku.

- Plebejski? - zawołała jasnoróżowa Tossie. - Jak śmiecie mówić w ten sposób do swojej pani? Zwalniam was. - Władczym gestem wskazała na dom. - Natychmiast pakujcie swoje manatki.

- Tak, panienko - powiedział Baine. - *E pur si muove*.

- Co? - zapytała Tossie, jasnoczerwona z gniewu. - Coście powiedzieli?

- Powiedziałem, że skoro panienka mnie zwolniła, nie należę już do klasy służących, zatem mam prawo mówić swobodnie - odparł chłodno.

- Wcale nie macie prawa do mnie mówić - oświadczyła Tossie, Wznosząc pamiętnik niczym broń. - Odejdźcie natychmiast.

- Ośmieliłem się powiedzieć ci prawdę, ponieważ czułem, że na to zasługujesz - ciągnął Baine poważnym tonem. - Miałem na sercu tylko twoje dobro, jak zawsze. Bóg dał ci wielkie bogactwa: nie tylko pieniądze, pozycję i urodę, lecz także bystry umysł i wrażliwą duszę, i szlachetne serce. Ty zaś trwonisz te bogactwa na krokieta, organdynę i tandetne dzieła sztuki. Masz do swojej dyspozycji bibliotekę wielkich dzieł z przeszłości, a jednak czytasz bzdurne powieści Charlotte Yonge i Edwarda Bulwer-Lyttona. Zamiast zgłębiać tajemnice nauki, rozmawiasz z kuglarzami przebranymi w gazę i wymalowanymi fosforyzującą farbą. Zamiast podziwiać wspaniałość gotyckiej architektury wolisz zachwycać się jej tanią imitacją, a w obliczu prawdy tupiesz nogą jak zepsute dziecko i domagasz się bajek.

Wygłosił niezłe kazanie i spodziewałem się, że Tossie walnie go w głowę pamiętnikiem, po czym odpłynie w trzepocie falbanek, ona jednak zapytała:

- Uważasz, że mam bystry umysł?

- Tak uważam. Dzięki nauce i dyscyplinie mogłabyś osiągnąć wspaniałe rezultaty.

Z mojego punktu obserwacyjnego w bzach nie widziałem ich twarzy i czułem, że tracę coś ważnego. Przesunąłem się w lewo, gdzie zarośla były rzadsze. I wpadłem prosto na Fincha. O mało nie upuściłem Księżniczki Ardżumand. Pisnęła, a Finch wrzasnął.

- Cii - powiedziałem do nich obojga. - Finch, dostał pan wiadomość, którą zostawiłem u Chattisbourne'ów?

- Nie, byłem w Oksfordzie - odparł rozpromieniony Finch - gdzie, donoszę z przyjemnością, moja misja odniosła pełny sukces.

- Cii - syknąłem ponownie. - Mów pan ciszej. Kamerdyner i Tossie właśnie się kłócą.

- Kłócą? - powtórzył, sznurując usta. - Kamerdyner nigdy nie kłóci się z państwem.

- No, ten się kłóci - zapewniłem. Finch szeleścił czymś pod krzakiem.

- Cieszę się, że wpadłem na pana - oznajmił, podnosząc kosz pełen kapusty. - Gdzie jest panna Kindle? Muszę pomówić z wami obojgiem.

- Jak to „Gdzie jest panna Kindle?" Przecież pan mówił, że pan wraca prosto z laboratorium.

- Owszem - potwierdził.

- Więc pan musiał ją widzieć. Właśnie przeskoczyła.

- Do laboratorium?

- Oczywiście - rzuciłem niecierpliwie. - Jak długo pan tam byli zanim pan przeskoczył?

- Półtorej godziny - odparł Finch. - Dyskutowaliśmy o następnej fazie mojej misji, ale nikt nie przeszedł w tym czasie.

- Czy ona mogła przejść niezauważona? - zapytałem. - Kiedy byliście zajęci dyskusją?

- Nie, proszę pana. Staliśmy obok sieci, a panna Warder bardzo uważnie obserwowała konsolę z powodu Carruthersa. - Zamyślił się. - Zauważył pan jakieś kłopoty z siecią?

- Kłopoty? - zawołałem, zapominając, że powinniśmy rozmawiać po cichu. - Przez ostatnie pięć godzin próbowaliśmy otworzyć to cholerstwo!

- Cii - syknął Finch - proszę mówić ciszej.

Ale to już nie miało znaczenia. Baine i Tossie podnieśli głosy do krzyku.

- I nie cytuj mi Tennysona! - wrzasnęła z furią Tossie.

- To nie był Tennyson - odkrzyknął Baine. - To był William Szekspir, który wybitnie zasługuje na cytowanie. „Sądzisz, że trochę wrzasku mnie ogłuszy? Czy nie słyszałem wielkich armat w polu i artylerii Niebios grzmiącej w górze?”

- Sieć nie chciała się otworzyć? - zapytał Finch.

- Właśnie dlatego zostawiłem wiadomość - wyjaśniłem. - Nie chciała się otworzyć dla żadnego z nas. Verity próbowała o trzeciej rano. - Tknęła mnie nagła myśl. - Kiedy pan stąd przeskoczył?

- O wpół do trzeciej.

- Tuż przed próbą Verity - stwierdziłem. - Ile było poślizgu?

- Wcale - odparł z zaniepokojoną miną. - Ojej, pan Lewis mówił, że coś takiego może się zdarzyć.

- Co takiego?

- Kilka jego modeli Waterloo pokazało aberracje w sieci z powodu niekongruencji.

- Jakiego rodzaju aberracje? - zapytałem, znowu podnosząc głos.

- Defekt otwarcia, błędna lokalizacja.

- Co to znaczy „błędna lokalizacja”?

- W dwóch symulacjach historyk przy powrotnym skoku trafił do zupełnie innego miejsca. Nie tylko poślizg czasowy, ale zupełnie inna lokalizacja czasoprzestrzenna. W jednym przypadku Meksyk, rok 1872.

- Muszę powiedzieć panu Dunworthy’emu - oświadczyłem, ruszając do miejsca skoku. - Jak dawno temu pan przeszedł?

- Za dwadzieścia dziesiąta - odparł, biegnąc za mną truchcikiem i wyjął kieszonkowy zegarek. - Dwanaście minut temu.

Dobrze. Więc zostały tylko cztery minuty do następnego styku. Minąłem belwederek i podbiegłem do miejsca, gdzie zniknęła Verity.

- Pan myśli, że to dobry pomysł? - zapytał zdenerwowany Finch - Jeśli sieć nie działa jak należy...

- Verity może być w Meksyku albo Bóg wie gdzie - rzuciłem.

- Ale przecież ona wróci, proszę pana, jak tylko się zorientuje, że pomyliła lokalizację.

- Chyba że sieć się nie otworzy - odparłem, szukając miejsca gdzie stała Verity.

- Ma pan rację - zgodził się Finch. - Jak mogę pomóc? W domu czekają na mój powrót z Little Rushlade - wskazał kosz - ale...

- Niech pan zaniesie kapustę do Chattisbourne’ów i wróci tutaj po mnie. Jeśli mnie nie będzie, proszę przekazać panu Dunworthy’emu, co się stało.

- Tak, sir - powiedział. - A jeśli sieć się nie otworzy?

- Otworzy się - mruknąłem ponuro.

- Tak, sir - powtórzył i oddalił się pospiesznie z koszem w rękach.

Spojrzałem twardo na trawę, próbując wywołać migotanie. Ciągle trzymałem kotkę i nie mogłem jej po prostu wypuścić. Gotowa wejść do sieci w ostatniej chwili, a ja wcale nie potrzebowałem następnej niekongruencji.

Zostały mi jeszcze trzy minuty. Przedarłem się przez bzy z powrotem do miejsca kłótni Tossie i Baine’a, żeby wypuścić kotkę tam, gdzie ją zobaczą.

Sytuacja bynajmniej nie uległa poprawie.

- Jak śmiesz! - krzyczała Tossie.

- „Daj pokój, Kasiu, nie bądź taka kwaśna” - zacytował Baine. - Jak śmiesz nazywać mnie Kasią, niby jakąś pospolitą służącą podobną do ciebie!

Przykucnąłem i postawiłem na ziemi Księżniczkę Ardżumand. Pomaszerowała przez krzaki w

stronę Tossie, a ja wróciłem biegiem na miejsce skoku.

- Zamierzam powiedzieć mojemu narzeczonemu o twoim bezczelnym zachowaniu - krzyczała Tossie. Chyba nie zauważyła Księżniczki Ardżumand. - Kiedy pobierzemy się z panem St. Trewesem. każę mu kandydować do parlamentu i wprowadzić prawo, które zabroni służbie czytać i wymyślać idee.

Rozległ się słaby szum i powietrze zaczęło migotać. Wszedłem w środek migotania.

- I zamierzam zapisać w pamiętniku wszystko, co mi powiedziałeś - ciągnęła Tossie - żeby moje dzieci i dzieci moich dzieci wiedziały jaki bezczelny, zuchwały, barbarzyński, pospolity... co ty robisz?

Sieć migotała na całego i nie odważyłem się z niej wyjść. Wyciągnąłem szyję, żeby coś zobaczyć spoza bzów.

- Co ty robisz? - wrzeszczała Tossie. - Puść mnie! - Seria okrzyczków. - Natychmiast postaw mnie na ziemi!

- Mam tylko twoje dobro na sercu - odparł Baine. Spojrzałem na wzbierającą światłość i próbowałem ocenić, ile

jeszcze mam czasu. Niewiele. Nie mogłem ryzykować czekania na następny styk, skoro Verity wylądowała Bóg wie gdzie. W 1870 w Meksyku była rewolucja, prawda?

- Każę cię za to aresztować! - Głuche odgłosy, jakby uderzenia w klatkę piersiową. - Ty okropny, arogancki, nieokrzesany brutalu!

- „I tak okiełznam jej szaleńczy upór - zacytował Baine. - Kto umie lepiej poskromić złośnicę, niech zawiadomi całą okolicę”.

Powietrze wokół mnie rozbłysło.

- Jeszcze nie - powiedziałem i jak na życzenie światło przygasło. - Nie! - zawołałem i sam już nie wiedziałem, czy chcę, żeby sieć się otwarła, czy nie chcę.

- Puść mnie! - zażądała Tossie.

- Jak panienka sobie życzy! - odparł Baine. Światło z sieci zajaśniało mocniej i objęło mnie.

- Czekaj! - zawołałem i kiedy sieć się zamknęła, zdawało mi się, że usłyszałem plusk.

- Czy umiesz wiosłować ?- zapytała Owca podając jej dwa druty do trykotowania.
-Tak, trochę... ale nie na lądzie... i nie drutami... – zaczęła mówić Alicja, lecz oto nagle druty w jej rękach przemieniły się w wiosła i odkryła, że siedzą w małej łódeczce ślizgającej się po powierzchni między brzegami: nie pozostawało więc nic innego, jak wiosłować z całej mocy.

Lewis Carroll

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Przybycie - W laboratorium - Próbuję ustalić moją lokalizację czasoprzestrzenną - Ukrywam się - Zulejka Dobson - Podsłuchiwanie - Skarby w różnych katedrach - W księgarni - Ponadczasowość męskich ubrań – Ponadczasowość książek - Więcej podsłuchiwania - Zepsuć rozwiązanie zagadki - W lochu - Nietoperze - Próbuję użyć małych szarych komórek - Zasypiam - Jeszcze jedna rozmowa z robotnikiem - Geneza legendy o duchu w katedrze Coventry – Przybycie

Gdziekolwiek trafiłem, nie wylądowałem w laboratorium. Pokój wyglądał jak stara sala wykładowa w Balliol. Na jednej ścianie wisiała tablica, a nad nią staroświecka rolka na mapy. Na drzwiach przyklejono taśmą liczne ogłoszenia.

A jednak to wyraźnie było laboratorium. Na długim metalowym stole stał rząd prymitywnych komputerów z cyfrowymi procesorami i monitorów, połączonych szarymi, żółtymi i pomarańczowymi kablami oraz złączami adapterów.

Obejrzałem się na sieć, z której właśnie wyszedłem. Nic więcej, tylko krąg narysowany kredą na podłodze, z wielkim X naklejonym pośrodku taśmą samoprzylepną. Za nim, podłączony do niego jeszcze groźniejszą z wyglądu plątaniną przewodów i miedzianych drutów, leżał przerażający stos kondensatorów, metalowych skrzynek najeżonych pokrętłami i przyciskami, rurek z PCW, grubych kabli, wtyczek i oporników, wszystko okręcone zwojami szerokiej srebrnej taśmy. Widocznie to był mechanizm sieci, chociaż nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby to urządzenie mogło przenieść kogoś na drugą stronę ulicy, a co dopiero wstecz w czasie.

Uderzyła mnie straszliwa myśl. A jeśli to jednak jest laboratorium? A jeśli niekongruencja zmieniła więcej niż małżeństwo Terence'a i Maud oraz bombardowanie Berlina?

Powoli podszedłem do drzwi, modląc się w duchu, żeby ogłoszenia nie pochodziły z 2057 roku. I nie były po niemiecku.

Nie były. Najwyższe ostrzegało: „Zabrania się parkować na Broad, Parks Road i na parkingu Naffield College, pod karą odholowania", co brzmiało po faszystowsku, no, ale Zarząd Parkingów zawsze był faszystowski. I nie widziałem tam żadnej swastyki, ani na rozkładzie kolejowym poniżej. Duże ogłoszenie na różowym papierze przypominało: „Upłynął termin opłat za trymestr św. Hilarego. Kto nie zapłacił, niech natychmiast zgłosi się do kwestora".

A jeszcze niżej nieuniknione: „Kiermasz staroci i zbiórka na sieroty pandemii, kościół św. Michała przy północnej bramie. Piąty kwietnia, 10-16. Ceny okazyjne. Skarby. Rupiecie".

No, to stanowczo nie była nazistowska Anglia. Anglia po pandemii.

Przejrzałem ogłoszenia. Na żadnym nie podano roku, w ogóle żadnych dat z wyjątkiem kiermaszu staroci w kościele św. Michała przy północnej bramie, co też nie było pewne. Widziałem ogłoszenia sprzed roku na tablicy ogłoszeń w Balliol.

Podszedłem do okna, oderwałem taśmę w jednym rogu i odchyliłem papier. Wyjrzałem na frontowy dziedziniec Balliol w piękny wiosenny dzień. Bzy przed kaplicą kwitły, a pośrodku dziedzińca wielki buk wypuszczał młode listki.

Teraz na środku dziedzińca rósł orzechowiec, co najmniej trzydziestoletni. Zatem wylądowałem przed 2020 rokiem, ale po pandemii, a rozkład pociągów oznaczał, że metro jeszcze nie dotarło do Oksfordu. I już wynaleziono podróże w czasie. Pomiędzy 2013 a 2020 rokiem.

Wróciłem do komputerów. Na środkowym monitorze migał napis: NACIŚNIJ RESET.

Nacisnąłem i zasłony nad siecią opadły z plaśnięciem. Nie był przezroczyste, tylko zakurzone, ciemnoczerwone i aksamitne, jak w amatorskim teatrzyku.

CEL? - migał teraz ekran. Nie miałem pojęcia, jakiego systemu koordynatów używali w latach dwudziestych. Pan Dunworthy opowiadał mi o podróżach czasowych na chybił trafił, jakie odbywano w dawnych czasach, bez koordynatów Pulhaskiego, bez zabezpieczeń i sprawdzania parametrów, bez żadnego pojęcia, dokąd przeskakują i kiedy wrócą. Dawne, dobre czasy.

Ale przynajmniej komputer posługiwał się angielskim, nie żadnym prymitywnym kodem. Wklepałem: OBECNA LOKALIZACJA?

Ekran zgasł, po czym znowu zaczął migać. BŁĄD.

Pomyślałem przez minutę, potem wpisałem: POMOC.

Ekran znowu zgasł i pozostał pusty. Cudownie.

Zacząłem naciskać klawisze funkcyjne. Ekran znowu rozbłysnął. CEL?

Za drzwiami rozległ się hałas. Rozejrzałem się rozpaczliwie za jakąś kryjówką. Żadnej nie znalazłem. Oprócz sieci, która nie była żadną kryjówką. Zanurkowałem za czerwone aksamitne kotary i zaciągnąłem je szczelnie.

Ktokolwiek był pod drzwiami, miał kłopoty z wejściem. Sporo było szczękania i zgrzytania, zanim drzwi się otwarły.

Wycofałem się na środek sieci i zamarłem w bezruchu. Usłyszałem zamykanie drzwi, a potem cisza.

Wytężyłem słuch. Nic. Czyżby ten ktoś zmienił zdanie i wyszedł? Ostrożnie zrobiłem krok w stronę krawędzi koła i uchyliłem zasłonę o milimetr. Piękna młoda kobieta stała przy drzwiach, przygryzając wargę i patrząc prosto na mnie.

Zwalczyłem odruch, żeby odskoczyć z powrotem. Ona mnie nie widziała. Chyba nawet nie widziała sieci. Wydawała się pogrążona we własnej wewnętrznej wizji.

Nosiła białą suknię do kostek, która mogła pochodzić z każdej dekady po roku 1930. Długie rude włosy miała związane w zapętlony koński ogon epoki millenium, ale to nic nie znaczyło. Historycy w latach pięćdziesiątych również nosiły takie fryzury, a także warkocze, koki, siatki, cokolwiek, byle jakoś utrzymać w porządku długie włosy wymagane przy skokach.

Młoda kobieta wyglądała na młodszą od Tossie, ale prawdopodobnie była starsza. Nosiła obrączkę. Kogoś mi przypominała. Nie Verity, chociaż pełen determinacji wyraz jej twarzy skojarzył mi się z Verity. I nie lady Schrapnell ani żadną z jej przodkiń. Kogoś, kogo spotkałem na którymś kiermaszu staroci?

Przyjrzałem się jej zmrużonymi oczami, szukając skojarzenia. Włosy miały niewłaściwy kolor. Nie powinny być jaśniejsze? Może rudoblond?

Stała tak przez długą chwilę, podobna do Verity - przestraszona, rozgniewana, zdeterminowana - a potem szybko podeszła do komputerów, poza moim polem widzenia.

Znowu cisza. Nadsłuchiwałem cichego kliknięcia klawiszów z nadzieją, że nie ustawiała skoku. Ani nie wpisywała polecenia, żeby podnieść zasłony.

Nic nie widziałem z tego miejsca. Ostrożnie przesunąłem się do następnej szparki pomiędzy zasłonami i wyjrzałem. Stała przed komputerami i wpatrywała się w ekrany czy raczej gdzieś poza nie, a na jej twarzy wciąż malowała się determinacja.

I coś jeszcze, czego nigdy nie widziałem na twarzy Verity, nawet kiedy Terence nam powiedział, że zaręczył się z Tossie - błysk szaleńczej desperacji.

Przy drzwiach coś zachrobotało. Kobieta odwróciła się i natychmiast ruszyła w stronę drzwi. I znowu znikła mi z oczu. Osobnik przy drzwiach widocznie miał klucz. Zanim wróciłem na mój pierwotny punkt obserwacyjny, stał w otwartych drzwiach i patrzył na nią.

Nosił dżinsy, obszarpany sweter i okulary. Włosy miał jasnobrązowe, dość długie i nijako obcięte,

jakie zwykle noszą historycy, ponieważ można je ułożyć w stylu prawie każdej epoki, i również wyglądał znajomo, chociaż pewnie tylko ze względu na wyraz twarzy, który rozpoznałbym wszędzie. Nic dziwnego. Taki wyraz twarzy miałem za każdym razem, kiedy patrzyłem na Verity.

Trzymał opasły plik papierów i folderów, i wciąż ściskał w ręku klucz od laboratorium.

- Cześć, Jim - powiedziała kobieta odwrócona do mnie plecaki, a ja żałowałem, że nie widzę jej twarzy.

- Co ty tu robisz? - zapytał głosem, który znałem równie dobrze Jak własny. Dobry Boże! Patrzyłem na pana Dunworthy'ego.

Pan Dunworthy! Opowiadał mi historie o niemowlęctwie podróży w czasie, ale ja zawsze myślałem o nim jak, no wiecie, o panu Dunworthym. Nie wyobrażałem go sobie jako chudego okularnika. Młodego. I zakochanego w kimś bez wzajemności.

- Przyszłam z tobą porozmawiać - wyjaśniła. - I z Shojim. Gdzie on jest?

- Na spotkaniu z dyrem - odparł pan Dun... Jim. - Znowu.

Podszedł do stołu i zwalił stertę papierów na jeden koniec. Zmieniłem punkt obserwacyjny, życząc sobie, żeby przestali się kręcić.

- Zły okres? - zapytała.

- Najgorszy - odparł, szukając czegoś w papierach. - Mamy nowego kierownika wydziału historii, odkąd wyszłaś za Bitty'ego. Pan Arnold P. Lassiter. „P" jak Pedant. Jest taki ostrożny, że nie zrobiliśmy żadnego skoku od trzech miesięcy. „Podróże w czasie to ryzyko, którego nie należy podejmować bez kompletnej wiedzy o ich działaniu". Co oznacza wypełnianie formularzy i następnych formularzy. Żąda kompletnej analizy każdego skoku... każdego, na który zezwoli, czyli bardzo niewielu... sprawdzanie parametrów, wykresy poślizgów, statystyczne prawdopodobieństwo kolizji, sprawdzanie bezpieczeństwa... - Przestał szukać. - Jak weszłaś do laboratorium?

- Nie było zamknięte na klucz - skłamała. Wykręciłem głowę szukając takiego ustawienia, żeby widzieć jej twarz.

- Cudownie - stwierdził Jim. - Jeśli Pedant się dowie, dostanie spazmów. - Znalazł poszukiwany folder i wyciągnął go ze stosu. - Dlaczego nie przyprowadziłaś Bitty'ego Biskupa? - zapytał niemal wojowniczym tonem.

- Jest w Londynie, apeluje do władz Kościoła anglikańskiego. Jim zmienił się na twarzy.

- Słyszałem, że Coventry uznano za nieistotną - powiedział. -Tak mi przykro, Lizzie.

Coventry. Lizzie. Więc to była Elizabeth Bittner, żona ostatniego biskupa Coventry. Krucha, siwowłosa dama, którą przesłuchiwałem w Coventry. I dlatego myślałem, że powinna mieć jaśniejsze włosy.

- Nieistotna - powtórzyła. - Katedra nieistotna. Potem ogłoszą, że religia jest nieistotna, a potem Sztuka i Prawda. Nie mówiąc o Historii.

Podeszła do zaciemnionego okna i znikła mi z oczu. Będziesz wreszcie stać spokojnie? - pomyślałem.

- To takie niesprawiedliwe - powiedziała. - Wiesz, zatrzymali Bristol. Bristol!

- Dlaczego Coventry odpadło? - zapytał Jim.

- Władze kościelne zarządziły, że wszystkie kościoły i katedry muszą być samowystarczalne w siedemdziesięciu pięciu procentach, co oznacza turystów. A turyści zwiedzają tylko groby i skarbce. Canterbury ma Becketa, Winchester ma Jane Austen i czarną marmurową chrzcielnicę Tournaia, a St. Martin in the Fields jest w Londynie, gdzie mają Tower i gabinet figur woskowych Madame Tussaud. My też mieliśmy skarby. Niestety wszystko zniszczyła Luftwaffe w 1940 roku - zakończyła z goryczą.

- Jest okno baptysterium w nowej katedrze - zasugerował Jim.

- Tak. Niestety jest także kościół, który wygląda jak fabryczny magazyn, i witraże założone na odwrót, i najbrzydsze gobeliny pod słońcem. Połowa dziewiętnastego wieku to nie był dobry okres w sztuce. Ani w architekturze.

- Przecież zwiedzają ruiny starej katedry, prawda?

- Niektórzy. Za mało. Bitty próbował przekonać Komitet Asygnacyjny, że Coventry to wyjątkowy przypadek, że posiada historyczne znaczenie, ale nic nie osiągnął. Druga wojna światowa skończyła się dawno temu. Prawie nikt jej nie pamięta. - Westchnęła. - Ta apelacja nic nie da.

- I co wtedy? Będziecie musieli zamknąć katedrę? Widocznie pokręciła głową.

- Nie możemy jej zamknąć. Diecezja tonie w długach. Musimy sprzedać. - Nagle znowu weszła w moje pole widzenia, z zaciętą twarzą. - Kościół Przyszłego Życia złożył ofertę. To sekta New Age. Tablice ouija, manifestacje, rozmowy ze zmarłymi. To go zabije, wiesz.

- Nie znajdzie żadnej innej pracy?

- Nie - odparła kwaśno. - Religia jest nieistotna, co znaczy, że duchownemu trudno zdobyć zajęcie. Szczury uciekają z tonącego okrętu i tak dalej. Zaproponowali mu posadę starszego kanonika w Salisbury.

- Świetnie - zawołał Jim z przesadnym entuzjazmem. - Salisbury nie trafiło na listę nieistotnych?

- Nie - mruknęła. - Mają dużo skarbów. I Turnera. Szkoda, że nie mógł przyjechać do Coventry, żeby malować. Ale ty nie rozumiesz. Bitty nigdy nie pogodzi się ze sprzedażą. Jego przodkiem był Thomas Botomer, który pomógł zbudować oryginalną katedrę. On kocha tę katedrę. Zrobi wszystko, żeby ją ocalić.

- A ty zrobisz wszystko dla niego.

- Tak - przyznała, nie spuszczając wzroku. - Wszystko. - Wzięła głęboki oddech. - Dlatego przyszłam do ciebie. Chcę cię prosić o przysługę.

Skwapliwie przysunęła się do niego i oboje znikli mi z oczu.

- Pomyślałam, żeby przenieść ludzi przez sieć i pokazać im katedrę - powiedziała - żeby zobaczyli, jak spłonęła, bo wtedy zrozumieją, co to znaczy, jaka jest ważna.

- Przenieść ludzi w czasie? - zachłysnął się Jim. - Nie możemy namówić Pedanta, żeby zezwolił na skoki badawcze, a co dopiero na wycieczki turystyczne.

- To nie będą wycieczki turystyczne - odparła urażona. - Tylko kilka wybranych osób.

- Komitet Asygnacyjny?

- I kilku reporterów z vidów. Jeśli publiczność będzie po naszej stronie... jeśli zobaczą to na własne oczy, zrozumieją...

Jim widocznie pokręcił głową, bo Lizzie urwała i zmieniła taktykę.

- Nie musimy koniecznie oglądać nalotu - rzuciła z pośpiechem. - Możemy wrócić do ruin albo... albo do starej katedry. Na przykład w środku nocy, kiedy nikogo tam nie będzie. Gdyby tylko zobaczyli na własne oczy organy i mizerykordię Tańca Śmierci, i dziecięcy krzyż z piętnastego wieku, zrozumieliby, co to znaczy raz stracić katedrę w Coventry, i nie chcieliby jej stracić po raz drugi.

- Lizzie - powiedział Jim i ton jego głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Ona musiała wiedzieć, że to niemożliwe. Oksford nigdy nie pozwalał na wycieczki turystyczne, nawet w dawnych dobrych czasach, podobnie jak sieć.

Wiedziała.

- Nie rozumiesz -jęknęła rozpaczliwie. - To go zabije. Drzwi otwarły się i wszedł niski, kościsty chłopak o azjatyckich rysach twarzy.

-Jim, czy przeleciałeś parametr....

Umilkł i zagapił się na Lizzie. Widocznie szerzyła prawdziwe spustoszenie w Oksfordzie. Jak Zulejka Dobson.

- Cześć, Shoji - powiedziała Lizzie.

- Cześć, Liz - odpowiedział. - Co ty tu robisz?

- Jak tam spotkanie z Pedantem? - zapytał Jim.

- Jak było do przewidzenia - burknął. - Teraz martwi się o poślizg - Jaką spełnia funkcję? Dlaczego podlega tak znacznym fluktuacjom? - Przybrał gderliwy, afektowany ton głosu, naśladując Lassitera. - „Musimy rozważyć wszelkie możliwe konsekwencje, zanim podejmiemy działanie". - Wrócił do własnego głosu. - Żąda kompletnej analizy schematów poślizgu na wszystkich dawnych skokach, zanim zatwierdzi nowe.

Wszedł w moje pole widzenia i podszedł do komputerów.

- Żartujesz. -Jim ruszył za nim. - To zabierze sześć miesięcy. Nigdy nigdzie nie przeskoczymy.

- Chyba o to mu chodzi - odparł Shoji. Usiadł przy środkowym komputerze i zaczął stukać w klawisze. - Jeśli nigdzie nie przeskoczymy, nie ma ryzyka. Dlaczego zasłony są opuszczone?

Nie istniał żaden zapis o przybyszu z przyszłości ani z przeszłości, który nagle zmaterializował się w laboratorium Balliol. Co znaczyło, że albo mnie nie przyłapali, albo wystąpiłem z wyjątkowo przekonującym wyjaśnieniem. Próbowałem jakieś wymyślić.

- Jeśli nigdzie nie skoczymy - zaprotestował Jim - jak mamy się czegoś dowiedzieć o podróżach w czasie? Mówiłeś mu, że nauka wymaga eksperymentów?

Shoji wciąż uderzał w klawisze.

- „My tutaj nie rozmawiamy o lekcji chemii, panie Fudżisaki - powiedział gderliwym głosem. - To jest czasoprzestrzenne kontinuum".

Zasłony niezgrabnie zaczęły się unosić.

- Wiem, że to jest kontinuum - odparł Jim - ale...

- Jim - wtrąciła Lizzie, wciąż poza moim polem widzenia, i obaj odwrócili się do niej. - Czy przynajmniej go zapytasz? To znaczy...

I znalazłem się w kącie księgarni Blackwella. Ciemne drewniane regały wypełnione książkami, które natychmiast rozpoznałem, były ponadczasowe i przez chwilę myślałem, że wróciłem do 2057 roku, że wystarczy przebiec przez Broad do Balliol i wejść do laboratorium, ale jak tylko wystawiłem głowę zza regału, zrozumiałem, że to nie będzie takie proste. Za łukowymi oknami księgarni padał śnieg. A przed Teatrem Sheldona stał zaparkowany daimler.

Zatem nie dwudziesty pierwszy wiek, a kiedy się rozejrzałem, wykluczyłem również koniec dwudziestego wieku. Żadnych terminali, żadnych paperbacków, żadnych wydruków. Twarde oprawy, na ogół bez obwolut, w błękitach, zieleniach i brązach.

I sprzedawczyni zbliżająca się do mnie z notesem w ręku i żółtym ołówkiem zatkniętym za ucho.

Za późno, żeby uskoczyć do kąta. Już mnie zobaczyła. Na szczęście męska moda, w przeciwieństwie do damskiej, nie zmieniła się tak bardzo przez lata i w Oksfordzie wciąż spotykało się wioślarskie blezery oraz flanelowe spodnie, chociaż raczej nie w środku zimy. Przy odrobinie szczęścia mogłem uchodzić za studenta pierwszego roku.

Sprzedawczyni nosiła wąską granatową sukienkę, której datę pochodzenia Verity pewnie mogła określić dokładnie co do miesiąca, ale dla mnie wszystkie dekady polowy dwudziestego stulecia wyglądały podobnie. 1950? Nie, jej przebite ołówkiem włosy były upięte w surowy węzeł, a buty zasznurowane. 1940?

Nie, okna nie miały zaciemnienia i przy drzwiach nie leżały worki z piaskiem, a ekspedientka wyglądała za dobrze jak na czasy powojenne. Lata trzydzieste.

Verity miała stały przydział do lat trzydziestych. Może sieć pomyłkowo wysłała mnie na koordynaty jednego z jej dawnych skoków. A może Verity była tutaj.

Nie, to niemożliwe. Moje ubranie jeszcze jakoś ujdzie, ale nie jej długa suknia z wysokim kołnierzem i upięte włosy. Miała bardzo ograniczony wybór czasu i miejsca, gdzie mogła się pojawić nie wywołując niekongruencji samym swoim wyglądem, i na szczęście większość tych miejsc była cywilizowana.

- Czym mogę służyć, proszę pana? - zapytała sprzedawczyni, zerkając potępiająco na mój wąs. Zupełnie o nim zapomniałem. Czy mężczyźni w latach trzydziestych nie nosili zarostu? Herkules Poirot miał wąsy, prawda? - Czym mogę służyć? - powtórzyła ostrzejszym tonem. - Szuka pan jakiejś konkretnej książki?

- Tak - potwierdziłem. Jakie książki mogli mieć u Blackwella w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym którymś? „Władcę pierścieni?" Nie, to było później. „Do widzenia, panie Chips?" To wyszło w 1934 roku, ale który teraz był rok? Nie widziałem daty na bloczku sprzedawczyni, a w obliczu kontinuum walącego się nam na głowy bynajmniej nie pragnąłem wywołać kolejnej niekongruencji.

- „Rozkwit i upadek cesarstwa rzymskiego" - powiedziałem dla ostrożności. - Gibbon.

- To będzie na pierwszym piętrze - oznajmiła. - W dziale historycznym.

Nie chciałem wchodzić na pierwsze piętro. Chciałem zostać blisko miejsca przeskoku. Co mieli na tym piętrze? Za osiemdziesiąt lat tu będzie metafikcja i autopisy, ale wątpiłem, czy teraz to mają. „Co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra"? A jeśli dziecięca literatura jest w oddzielnym sklepie?

- Schody na pierwsze piętro są tam, proszę pana. - Pokazała je ołówkiem, który wyjęła zza ucha.

- Macie Jerome'a „Trzech panów w łódce"? - zapytałem.

- Muszę sprawdzić - odparła i poszła na zaplecze.

- „Nie licząc psa" - zawołałem za nią i jak tylko znikła za regałem, popędziłem do mojego kąta.

Miałem nieśmiałą nadzieję, że sieć już się otworzyła albo migotała w gotowości, lecz szeregi książek, sięgające od sufitu do podłogi, nie zdradzały żadnego śladu jej obecności. Ani żadnej wskazówki, w którym roku wylądowałem.

Zdejmowałem książki z półek i otwierałem na tytułowych stronach. 1904. 1930. 1921. 1756. W tym cały kłopot z książkami. Są ponadczasowe. 1892. 1914. Brak daty. Odwróciłem stronę. Wciąż brak daty. Odwróciłem stronę z powrotem i przeczytałem tytuł. Nic dziwnego. „Historia" Herodota, którą pułkownik i profesor Peddick czytali jeszcze wczoraj.

Brzęknął dzwonek nad drzwiami. Ostrożnie wyjrzałem zza regału w nadziei, że to Verity. To były trzy kobiety w średnim wieku, wystrojone w futrzane etole i kapelusze o wygiętych rondach.

Przystanęły tuż za drzwiami, czule strzepując śnieg z futer jak z ulubionych zwierzątek i rozmawiając wysokimi nosowymi głosami.

- ...i uciekła z nim! - powiedziała dama z prawej. Jej futro wyglądało jak spłaszczona wersja Księżniczki Ardżumand. - Takie romantyczne!

- Ale farmer! - zaprotestowała środkowa. Jej futro bardziej przypominało Cyryla i było prawie równie szerokie.

- Nie przeszkadza mi, że to farmer - oświadczyła trzecia. - Cieszę się, że za niego wyszła. - Miała najlepsze futro z nich wszystkich, długi sznur lisów z głowami, w których błyszczały szklane oczka. - Gdyby nie on, dalej by tkwiła w Oksfordzie, działała w kościelnych komitetach i prowadziła kiermasze staroci. Zaraz, co to ja chciałam

kupić? Powiedziałam do Harolda dzisiaj rano, muszę o tym pamiętać, jak pójdę do Blackwella. Zaraz, co to było?

- Muszę coś kupić dla chrześniaczki na urodziny - powiedziała ta z Cyrylem na ramionach. - Co mam kupić? Chyba „Alicję", chociaż nigdy nie zrozumiem, dlaczego dzieciom się podoba. Tylko chodzi tu i tam, bez ładu i składu. Pojawia się i znika.

- Och, patrzcie! - zawołała ta z lisami.

Podniosła z lady wystawowej książkę w zielonej zakurzonej okładce. Rękawiczka lisiej barwy zasłaniała tytuł, ale dostrzegłem nazwisko autorki: Agatha Christie.

- Czytałyście jej najnowszą? - zapytały lisy.

- Nie - zaprzeczyła ta z Cyrylem na ramionach.

- Tak - potwierdziła Księżniczka Ardżumand - i...

- Nie - zaprotestowały lisy, wznosząc ostrzegawczo urękawiczoną dłoń. - Nie opowiadaj mi zakończenia. - Odwróciła się do Cyryla. - Cora zawsze psuje zakończenie. Pamiętacie „Morderstwo Rogera Ackroyda"?

- To było co innego. Chciałaś wiedzieć, skąd to całe zamieszanie w gazetach, Miriam - broniła się Księżniczka Ardżumand. - Nie mogłam ci wyjaśnić, nie mówiąc, kto jest mordercą. W każdym razie ta ostatnia wcale nie przypomina „Rogera Ackroyda". Jest tam dziewczyna, którą ktoś próbuje zamordować, przynajmniej na to wygląda. A naprawdę...

- Nie opowiadaj mi zakończenia - błagały Małe Liski.

- Wcale nie zamierzałam - odparła z godnością Księżniczka Ardżumand. - Po prostu chciałam powiedzieć, że zbrodnia tak naprawdę wcale nie jest zbrodnią, i rzeczy wcale nie są takie, jakie się wydają.

- Jak w „Tajemnicy wiecznego pióra" - wtrąciła okryta Cyrylem. - Myślisz, że to pierwsza zbrodnia, a okazuje się, że druga. Pierwsza miała miejsce dużo wcześniej. Nikt nawet nie wiedział, że popełniono pierwszą zbrodnię, a morderca...

- Nie mów mi - wykrzyknęły Małe Liski, zakrywając uszy dłońmi w lisich rękawiczkach.

- Sprawcą był kamerdyner - oznajmił Cyryl.

- Myślałam, że tego nie czytałaś - powiedziały Małe Liski, odejmując dłonie od uszu.

- Bo nie czytałam - przyznała tamta. - To zawsze jest kamerdyner - i światło zgasło.

Ale przecież był dzień i nawet jeśli elektryczność wysiadła, łukowe okna Blackwella powinny przepuszczać dostatecznie dużo światła, żeby coś widzieć.

Wyciągnąłem rękę i ostrożnie pomacałem najbliższy regał. Był zimny, wilgotny i twardy jak kamień. Zrobiłem ostrożny krok przed siebie. I prawie spadłem w pustkę.

Moja stopa w połowie zawisła nad otchłanią. Odskoczyłem, zachwiałem się i usiadłem z rozmachem na twardym kamieniu. Schody. Pomacałem dookoła, poklepałem szorstką kamienną ścianę, sięgnąłem w dół. Kręte schody z wąskimi klinowatymi stopniami, co oznaczało, że jestem w wieży. Albo w lochu.

Zimne powietrze pachniało pleśnią, co chyba znaczyło, że nie jestem w lochu. Loch śmierdziałby znacznie gorzej. Ale jeśli byłem w wieży, światło powinno wpadać przez szczeliny okienne gdzieś w górze, a nie wpadało. Nie widziałem własnej ręki. Loch.

Albo, pomyślałem z nadzieją, od tego skakania na chybił trafił dostałem tak ciężkiej dyschronii, że kompletnie oślepłem.

Wygrzebałem w kieszeniach zapałkę i potarłem ją o ścianę. Nie ma tak dobrze. Kamienne ściany, kamienne stopnie otaczały mnie ze wszystkich stron. Stanowczo loch. Co oznacza, że nie trafiłem do Oksfordu w roku 2018. Ani w 1933.

Siedemnasty wiek słynął z lochów. Podobnie szesnasty aż do dwunastego. Wcześniej w Anglii były tylko chlewy i drewniane chałupy. Cudownie. Uwięziony w średniowiecznym normańskim

lochu.

Albo w zakamarkach londyńskiej Tower, gdzie za chwilę gromada turystów może wejść po schodach. Ale jakoś tego nie oczekiwałem. Schody w krótkim rozbłysku zapałki wyglądały na mało zniszczone, a kiedy pomacałem wzdłuż ściany, nie znalazłem żadnej poręczy.

- Verity! - krzyknąłem w ciemność. Mój głos obudził echo wśród milczących kamieni.

Wstałem przytrzymując się ściany obiema rękami i ostrożnie ruszyłem do góry, wymacując stopami wąskie stopnie. Jeden stopień. Drugi.

- Verity! Jesteś tam?

Nic. Wymacałem następny stopień.

- Verity!

Postawiłem nogę na stopniu. Ustąpił pod moim ciężarem. Poleciałem do tyłu, dziko wymachując ramionami. Próbowałem się przytrzymać, lecz tylko obtarłem sobie dłonie. Ześliznąłem się z dwóch stopni i wylądowałem twardo na jednym kolanie.

Jeśli Verity tutaj była, na pewno usłyszała hałas. Ale zawołałem jeszcze raz:

- Verity!

Wybuchła burza dźwięków, gwałtowne łopotanie i trzepotanie skrzydeł, pikujące prosto na mnie. Nietoperze. Cudownie. Machnąłem przed sobą ręką, której nie widziałem.

Trzepotanie przybrało na sile, ale chociaż wytężałem wzrok, niczego nie widziałem w ciemności.

Trzepotanie zbliżyło się do mnie. Skrzydło musnęło moje ramię. Cudownie. Nietoperze też nie widzą. Zamachałem ramionami jak wiatrak, wywołując gorączkowe trzepotanie, które po chwili ustało. Usiadłem bardzo cicho i powoli.

No dobrze. Widocznie najmądrzej było siedzieć i czekać na otwarcie sieci. I modlić się, żebym nie utknął na stałe jak Carruthers.

- A tymczasem Verity gdzieś zginęła! - krzyknąłem i natychmiast tego pożałowałem. Nietoperze znowu zaatakowały i minęło dobre pięć minut, zanim się wyniosły.

Siedziałem bez ruchu i nadsłuchiwałem. Albo ten loch był całkowicie dźwiękoszczelny, albo zniosło mnie poza ostatnie trzy stulecia. Świat nie zna prawdziwej ciszy od początku rewolucji przemysłowej. Nawet epoka wiktoriańska miała pociągi i statki parowe, a w miastach turkot i stukot ulicznego ruchu, który wkrótce zmieni się w ryk. A dwudziesty i dwudziesty pierwszy wiek miały elektroniczny szum, zawsze obecny. Tutaj, odkąd nietoperze poszły spać, panowała absolutna cisza.

I co teraz? Pewnie zabiję się, jeśli spróbuję dalej badać otoczenie, a w dodatku przegapię otwarcie sieci. Zakładając, że się otworzy.

Wygrzebałem z kieszeni następną zapałkę i zegarek. Pół po X. Warder miała półgodzinne intermisje na skoku w Muchings End, a ja spędziłem w laboratorium tylko dwadzieścia minut, w księgarni najwyżej piętnaście. Więc sieć mogła się otworzyć w każdej chwili. Albo wcale, pomyślałem, wspomniawszy Carruthersa.

A tymczasem co? Siedzieć tutaj i gapić się w ciemność? Martwic się o Verity? Zachodzić w głowę, co się stało ze strusią nogą biskupa.

Według Verity detektywi nie musieli nigdzie chodzić i nic robić. Mogli siedzieć w wygodnym fotelu (albo w lochu) i rozwiązywać zagadki, używając tylko „małych szarych komórek". A ja miałem pod dostatkiem zagadek do rozwiązania: Kto chciałby ukraść strusią nogę biskupa? Kim był cholerny pan C. i dlaczego jeszcze się nie pokazał? Co kombinował Finch? Co ja robiłem w samym środku średniowiecza?

Lecz odpowiedź na to ostatnie pytanie była oczywista. Verity i ja przegraliśmy, i kontinuum zaczęło się rozpadać. Carruthers uwięziony w Coventry, potem poślizg na powrotnych skokach i

wreszcie Verity - nie powinienem jej wpuścić do sieci. Powinienem był zrozumieć, co się dzieje, kiedy sieć nie chciała się otworzyć. Powinienem był przewidzieć, co się stanie, kiedy Tossie nie spotkała pana C.

To był najgorszy przypadek scenariusza Waterloo stworzonego przez T.J., niekongruencja tak niszczycielska, że kontinuum nie zdołało jej naprawić. „Widzisz - mówił T.J. wskazując na bezkształtną szarość - tutaj i tutaj masz radykalnie zwiększony poślizg, ale nie może objąć niekongruencji, a tutaj widzisz, jak rezerwy zawodzą i sieć zaczyna wadliwie funkcjonować, kiedy historia zmienia bieg".

Zmiana historii. Terence żeni się z Tossie zamiast z Maud i inny pilot leci z misją na Berlin, i błądzi albo trafia go flak, albo zdaje mu się, że słyszy coś złego w silniku, więc zawraca, a inne samoloty myślą, że otrzymał rozkazy, i lecą za nim albo przez niego gubią drogę, jak ten niemiecki pilot dwie noce wcześniej, albo brak ich wnuka na świecie jakoś wpływa na rozwój awiacji, albo na ilość benzyny w Anglii, albo na pogodę. I wcale nie dochodzi do nalotu.

Luftwaffe w odwecie nie bombarduje Londynu. Nie bombarduje Coventry. Więc nie powstaje projekt odbudowy. I żadna lady Schrapnell nie wysyła Verity wstecz do 1888 roku. Paradoksy mnożą się, osiągają masę krytyczną i sieć zaczyna się załamywać, zatrzymuje Carruthersa w Coventry, przerzuca mnie coraz dalej w przeszłość. Ten kot to jest chwat, przez którego pocisk spadł, który zburzył dom, który zbudował Jack.

Zrobiło się zimniej. Owinąłem się ciasno blezerem, żałując, że nie jest tweedowy.

Ale jeśli to był najgorszy scenariusz, dlaczego przy skoku Verity nie wystąpił zwiększony poślizg? „Popatrz tutaj - mówił TJ. wywołując jeden sym za drugim - każda pojedyncza niekongruencja ma obszar radykalnie zwiększonego poślizgu wokół ogniska". Z wyjątkiem naszej.

Dziewięć minut poślizgu przy tym pierwszym skoku, dwie do trzydziestu przy pozostałych, przeciętnie czternaście przy wszystkich skokach do epoki wiktoriańskiej. Tylko dwa obszary zwiększonego poślizgu, a jeden z powodu Ultry.

Zdjąłem marynarkę i owinąłem się nią jak kocem. Dygotałem w ciemnościach i rozmyślałem o Ultrze.

Ultra również miała rezerwowy system zabezpieczeń. Pierwsza linia obrony była tajna. Lecz gdyby doszło do przecieku, włączał się drugi system obronny, jak w północnej Afryce.

Alianci posługiwali się Ultra, żeby lokalizować i zatapiać konwoje wiozące olej napędowy dla Rommla, co mogło wzbudzić podejrzenia, że złamali kody, więc za każdym razem wysyłali samolot zwiadowczy, który pokazywał się nad konwojem, i naziści myśleli, że w ten sposób wytropiono i zatopiono ich statki.

Oprócz jednego razu, kiedy z powodu gęstej mgły samolot nie mógł znaleźć konwoju, więc RAF i Royal Navy w panice, że olej dotrze do Rommla, wspólnie zaatakowały konwój i prawie zniszczyły kamuflaż.

Więc dowództwo Ultry zastosowało rezerwowy plan, rozpuściło plotki w portach Malty, wysłało łatwą do odszyfrowania wiadomość do nieistniejącego agenta w taki sposób, żeby ją przechwycono. Wiadomość dziękowała agentowi za informacje o konwoju i przyznawała mu podwyżkę. I naziści poświęcili sześć miesięcy na tropienie plotek i szukanie agenta. Nie podejrzewając, że mieliśmy Ultrę.

A gdyby ten plan zawiódł, spróbowaliby czegoś innego. A nawet gdyby wszystkie plany zawiodły, najpierw musiało dojść do przecieku, niejednocześnie.

Kontinuum powinno próbować naprawić każdą niekongruencję, nawet najgorszą. Zamiast tego dodało dziewięć minut poślizgu, dziewięć minut, dzięki którym Verity przeszła akurat w

odpowiedniej chwili, żeby uratować kota, podczas gdy pięć minut do przodu czy do tyłu zapobiegłoby całej historii. Zupełnie jakby kontinuum raz rzuciło okiem na niekongruencję i natychmiast zemdlało, niczym pani Mering.

Verity radziła mi szukać jednego drobnego faktu, który nie pasował, ale tutaj nic nie pasowało: Skoro kontinuum próbowało się naprawić, dlaczego nie wysłało mnie do Muchings End, żebym zwrócił kota, zanim pani Mering pojedzie na konsultację do madame Iritosky? Dlaczego wysłało mnie z trzydniowym opóźnieniem, akurat w porę, żebym udaremnił spotkanie Terence'a i Maud? I najważniejszy drobny fakt ze wszystkich: dlaczego w ogóle sieć dopuściła do niekongruencji, skoro powinna się zamknąć automatycznie?

„Rozumiesz, że to są tylko hipotetyczne scenariusze - powiedział T.J. W tych wszystkich przypadkach sieć nie chciała się otworzyć".

Nikt nie mógł się zbliżyć do Waterloo. Ani do Teatru Forda. Ani do ulicy Franciszka Józefa. Jeśli kot miał takie kluczowe znaczenie w historii, dlaczego mogliśmy się zbliżyć do Muchings End? Dlaczego zwiększony poślizg nie wystąpił przy skoku Verity, gdzie był potrzebny, tylko w Oksfordzie w kwietniu 2018 roku? I w jaki sposób przeszedłem, skoro poślizg nikogo tam nie dopuszczał?

Cieszyłbym się, gdyby odpowiedź czekała właśnie tam, w laboratorium w 2018 roku, ale cokolwiek spowodowało poślizg, z pewnością nie wywołali go Jim Dunworthy ani Shoji Fudżisaki. Oni nie robili żadnych skoków.

Gdyby był tutaj Herkules Poirot, niewątpliwie przedstawiłby zgrabne rozwiązanie nie tylko Zagadki Kłopotliwej Niekongruencji, lecz również tajemnicy Książątek z Tower, Kuby Rozpruwacza i wysadzenia w powietrze katedry Św. Pawła. Lecz nie było go ani tego elegancika lorda Petera Wimseya, a gdyby byli, zabrałbym im marynarki i okrył sobie kolana.

W trakcie tych rozmyślań nagle uświadomiłem sobie, że patrzę na nierówność w smolistej czerni muru, która mogła być zaprawą pomiędzy kamieniami, a to oznacza światło.

Rozpłaszczyłem się na ścianie, lecz światło - czy raczej bardzo maleńka nieobecność ciemności - nie migotało ani nie narastało jak coraz bliższy płomień pochodni.

I nie miało czerwonożółtej barwy światła latarni. Było tylko odrobinę bardziej szare od ciemności. Widocznie naprawdę cierpiałem na dyschronię, skoro upłynęło całe pięć minut, zanim zaświtała mi inna możliwość: że egipskie ciemności panowały z powodu nocy i rzeczywiście siedziałem w wieży. A droga do wyjścia prowadziła w dół.

Mało nie upadłem i obtarłem sobie prawą dłoń, zanim zaświtała mi kolejna możliwość: jeśli zaczekam jeszcze pół godziny, nie zabiję się przy schodzeniu.

Znowu usiadłem na stopniu, oparłem głowę o ścianę i patrzyłem, jak narasta szarość.

Przyjąłem założenie, że ciemność oznacza loch, i w konsekwencji widziałem wszystko na opak. Czy tak samo postępowaliśmy wobec niekongruencji? Czy przyjęliśmy niesłuszne założenie?

Historia roi się od błędnych założeń - Napoleon zakładał, że Nev wziął Quatre Bras, Hitler zakładał, że inwazja nastąpi w Calais, saski król Harold zakładał, że ludzie Wilhelma Zdobywcy wycofują się zamiast wciągać go w pułapkę.

Czy przyjęliśmy błędne założenie wobec niekongruencji? Czy istniało jakieś prawidłowe podejście, które wszystko wyjaśniało - od braku poślizgu przy skoku Verity po nadmierny poślizg w 2018 roku? Czy z właściwego punktu widzenia wszystko pasowało - Księżniczka Ardżumand i Carruthers, i strusia noga biskupa, i te wszystkie przeklęte kiermasze staroci, i nawet wikary, nie licząc psa - i wszystko miało sens?

Widocznie zasnąłem, bo kiedy otworzyłem oczy, był jasny dzień i na schodach rozbrzmiewały głosy.

Rozejrzałem się dziko po wąskiej wieży, jakbym mógł gdzieś znaleźć kryjówkę, i popędziłem w górę po schodach.

Pokonałem co najmniej pięć stopni, zanim uświadomiłem sobie, że powinienem liczyć stopnie, żeby trafić z powrotem na miejsce skoku. Sześć, siedem, osiem, liczyłem bezgłośnie, wchodząc za następny zakręt. Dziewięć, dziesięć, jedenaście. Przystanąłem i nadsłuchiwałem.

- Czyżyściech tydachówki załuszyli? - zapytała kobieta.

To brzmiało jak średniowieczny angielski, więc miałem rację, że trafiłem do średniowiecza.

- Dobrupani Boetoneer, tydachówki niprzyśli - odpowiedział mężczyzna.

- Tydachówki trzazałuszyć wtynitydziń - oświadczyła kobieta.

- Nimożebne - odparł mężczyzna.

Nie rozumiałem, co mówią, ale słyszałem tę rozmowę już kilka razy, ostatnio przed południowymi drzwiami kościoła św. Michała. Kobieta chciała wiedzieć, dlaczego coś nie zostało zrobione. Mężczyzna się tłumaczył. Kobieta, która na pewno była wczesną antenatką lady Schrapnell, mówiła, że nic jej nie obchodzi, to musi być zrobione na czas przed kiermaszem staroci.

- Nimouże bydź, doubrupani Boetoneer - mamrotał mężczyzna. - Toż trzebaby wiency ruboutnikuf niżmomy.

- Tako wiencyweźmi, Gruwens - burknęła kobieta. Kamień szczęknął o kamień i kobieta krzyknęła:

- Paczino, Gruwens! Tyn stoupiń siechwieje.

Wrzeszczała na niego za obluzowany stopień. Dobrze. Miałem nadzieję, że porządnie natrze mu uszu.

- Każewoum naprawidź nocom - warknęła.

- Ni trza takożeu gadoć - uspokajał ją robotnik.

Ciągle szli do góry. Zadarłem głowę i próbowałem odgadnąć, czy a szczycie wieży znajduje się jakieś pomieszczenie lub platforma.

- Toć zrobim bezouchyby, dobroupani Boetonner.

Botoner. Czy ta kobieta to była Ann Botoner albo Mary, która budowała iglicę katedry w Coventry? Czy to była ta wieża?

Ponownie ruszyłem w górę, starając się nie hałasować i licząc stopnie. Dziewiętnaście, dwadzieścia.

Na szczycie była platforma z widokiem na otwartą przestrzeń, spojrzałem w dół. Dzwony. Czy raczej miejsce na zawieszenie dzwonów. Właśnie ustaliłem swoją lokalizację czasoprzestrzenną. To była wieża katedry Coventry w tym roku, kiedy ją zbudowano. 1395.

Nie słyszałem ich. Wróciłem na schody i ostrożnie zszedłem dwa stopnie. I prawie na nich wpadłem.

Stali tuż poniżej. Widziałem czubek białego czepca. Wskoczyłem ta platformę i pobiegłem dalej po schodach, i prawie nadepnąłem na gołębia.

Skrzeknął i wzbił się w powietrze, łopocząc skrzydłami niczym nietoperz, a potem przeleciał obok mnie i sfrunął na platformę.

- Sio! - krzyknęła jaśnie pani Bo toner. - Sio! Te diable poumioty!

Czekałem gotów do ucieczki, próbując nie sapać, ale oni nie zeszli wyżej. Ich głosy budziły dziwaczne echo, jakby przeszli na drugi koniec platformy. Po chwili podkradłem się bliżej, żeby ich zobaczyć.

Mężczyzna miał brązową koszulę, skórzane nogawice i zbolały wyraz twarzy. Potrząsał głową.

- Nii, dobroupani Marree - mówił. - To bydzieu najmnij dwinidzieli.

Mary Botoner. Spojrzałem z zainteresowaniem na tę antenatkę biskupa Bittnera. Nosiła luźną

czerwono-brązową szatę z szerokimi rękawami rozciętymi tak, żeby pokazać żółty spód, spiętą metalowym pasem, który opadał dość nisko. Lniany czepiec ciasno opinał jej pulchną średniowieczną twarz. Kogoś mi przypominała. Lady Schrapnell? Panią Mering? Nie, kogoś starszego. Z siwymi włosami? Pokazywała jakieś rzeczy i kręciła głową.

- Tedżwi trzazrobidź dopiętku - powiedziała. Robotnik gwałtownie potrząsnął głową.

- Nimożeubydź, dobrupani Boetonner. Kobieta tupnęła nogą.

- Tako mabydź, Gruwens. - Ruszyła w stronę schodów. Odskoczyłem, gotów do ucieczki w górę, ale dyskusja widocznie się skończyła.

- Allepani Boetonner - błagał robotnik, idąc za nią. Skradałem się za nimi, trzymając się jeden zakręt z tyłu.

- Muszesami nimougem zmienioúć - skomlał robotnik, wlokąc się za nią jak zbity pies.

Zbliżałem się do miejsca przeskoku.

- Dzoo tto jess? - syknęła kobieta.

Ostrożnie zszedłem o jeden stopień niżej, a potem jeszcze jeden, aż ich zobaczyłem. Mary Botoner wskazywała na coś w murze.

- To znouwu źlezrobione - oznajmiła, a nad jej głową jak aureola zamigotało słabe światło.

Nie teraz, pomyślałem, skoro czekałem przez całą noc.

- Allepani Boetonner... - zaczął robotnik.

- Tako mabydź - ucięła Mary Botoner, stukając kościstym palcem w ścianę.

Migotanie przybrało na sile. Za chwilę któreś z nich podniesie wzrok i zobaczy...

- Weźmicie totam! - rozkazała.

No prędzej, prędzej. Powiedz jej, że to naprawisz.

- To moużecie naprostou wziąć - powiedziała i wreszcie ruszyła w dół. Robotnik przewrócił oczami, zaciągnął mocniej pas ze sznura na obfitym brzuchu i poszedł za nią.

Dwa stopnie. Trzy. Czepiec Mary Botoner znikł za zakrętem i znowu wskoczył w moje pole widzenia.

- Wytutej zostaunicie ażewszysko zroubicie.

Nie mogłem czekać dłużej, nawet gdyby mieli mnie zobaczyć. W średniowieczu ludzie wierzyli w anioły - przy odrobinie szczęści wezmą mnie za anioła.

Migotanie zalśniło pełnym blaskiem. Zbiegłem ze schodów, przeskoczyłem przez gołębia, który poderwał się z przeraźliwym skrzekiem.

- Doubrybożeuniebiesiech - powiedział robotnik i oboje obejrzeli się na mnie.

Mary Botoner przeżegnała się.

- Swiętamarryjou paninasza...

A ja zanurkowałem w zamykającą się sieć i rozciągnąłem się jak długi na błogosławionej kafelkowej podłodze laboratorium.

Zrozumieliśmy z głęboką rozpaczą i przerażeniem... że nic więcej nie można zrobić.

Rektor Howard

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

W laboratorium - Bardzo spóźnione przybycie - List do wydawcy - W wieży - Określam swoją lokalizację czasoprzestrzenną - W katedrze - Działam bez namysłu - Cygara - Herod-baba - Procesja - Na posterunku policji - W schronie - Lewa - Verity wreszcie odnaleziona - „Nasza piękna, piękna katedra!" - Odpowiedź

Niech to będzie 2057, nie 2018. Podniosłem wzrok i tak, to był 2057. Warder pochylała się nade mną z wyciągniętą ręką, żeby pomóc mi wstać. Kiedy zobaczyła, że to ja, wyprostowała się i oparła ręce na biodrach.

- Co pan tutaj robi? - zapytała ostro.

- Co ja tutaj robię? - powtórzyłem, podnosząc się z podłogi- -A co robiłem w 1395, do jasnej cholery? Co robiłem u Blackwella w 1933? Chcę wiedzieć, gdzie jest Verity.

- Wyjść z sieci - rozkazała, wróciła do konsoli i zaczęła stukać. Zasłony nad siecią zaczęły się podnosić.

- Niech pani znajdzie Verity - poprosiłem. - Przeskoczyła wczoraj i coś poszło źle. Ona...

Uniosła dłoń, żeby mnie uciszyć.

- Jedenasty grudnia - powiedziała do ucha konsoli. - Druga po południu.

- Pani nie rozumie - zacząłem jeszcze raz. - Verity zaginęła, coś się zepsuło w sieci.

- Za chwilę - odparła wpatrzona w ekran. - Szósta po południu. Dziesiąta wieczorem. Carruthers jest uwięziony w Coventry - wyjaśniła, nie odrywając wzroku od ekranu - i próbuję...

- Verity może być uwięziona w lochu. Albo w środku bitwy pod Hastings. Albo w lwiej klatce w zoo. - Walnąłem pięścią w konsolę. -Niech pani ją znajdzie.

- Za chwilę - warknęła. - Dwunasty grudnia. Druga rano. Szósta rano...

- Nie! - krzyknąłem i wyrwałem jej ucho konsoli. - Teraz!

Wstała rozzłoszczona.

- Jeśli pan próbuje utrudnić ten styk...

Weszli pan Dunworthy i T.J., z niepokojem pochylając głowy nad komunikatorem.

- ...następny obszar zwiększonego poślizgu - mówił T.J. - Widzi pan, tutaj...

- Oddawaj ucho - zażądała wściekle Warder i obaj unieśli głowy.

- Ned - zawołał pan Dunworthy i podszedł z pośpiechem. - Jak poszło w Coventry?

- Nie poszło - wyznałem.

Warder wyrwała mi ucho i zaczęła wprowadzać do niego terminy.

- Żadnego pana C. żadnego „doświadczenia, które zmieniło życie" - ciągnąłem. - Verity próbowała przejść, żeby panu powiedzieć, ale nie dotarła na miejsce. Niech pan powie Warder, że trzeba ją znaleźć.

- Prowadzę przyspieszone - wyjaśniła Warder.

- Nie obchodzi mnie, co pani prowadzi - odparłem. -To może zaczekać. Musi pani ją znaleźć natychmiast!

- Za chwilę, Ned - powiedział cicho pan Dunworthy. Wziął mnie pod ramię. - Próbujemy wyciągnąć Carruthersa.

- Carruthers może zaczekać! - zawołałem. - Przecież wiecie, gdzie on jest, na litość boską! Verity może być wszędzie!

- Powiedz mi, co się stało - poprosił spokojnie pan Dunworthy.

- Sieć zaczyna się załamywać - oświadczyłem. - To się stało. Verity skoczyła zawiadomić pana, że

nie udało nam się w Coventry, a zaraz po niej przeskoczył Finch i powiedział, że ona nie przeskoczyła do laboratorium. Więc próbowałem przejść i powiedzieć panu, ale trafiłem tutaj w 2018 roku, a później do Blackwella w 1933, a potem...

- Byłeś w laboratorium w 2018? - zapytał pan Dunworthy, spoglądając na T.J. - Właśnie tam jest obszar poślizgu. Co widziałeś, Ned?

- ...a potem na wieżę katedry Coventry w 1395 - dokończyłem.

- Błędna lokalizacja - powiedział zmartwiony T.J.

- Druga po południu. Szósta po południu - mówiła Warder, wpatrzona w ekran.

- Sieć się załamuje - podjąłem - a Verity jest gdzieś tam. Musicie ją namierzyć i...

- Warder - powiedział pan Dunworthy. - Przerwać przyspieszone. Potrzebujemy...

- Zaraz, mam coś - oznajmiła.

- Natychmiast - rozkazał pan Dunworthy. - Chcę namiar na Verity Kindle.

- Za chwi...

I w sieci pojawił się Carruthers. Ubrany był tak samo jak wtedy, kiedy go ostatnio widziałem, w kombinezon PSP i nieregulaminowy hełm, tyle że nie usmolone sadzą.

- No, najwyższy czas! - oświadczył, zdejmując blaszany hełm. Warder podbiegła do sieci, odepchnęła zasłony i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Tak się martwiłam! - powiedziała. - Nic ci się nie stało?

- Prawie mnie aresztowali za brak dowodu tożsamości - wyznał Carruthers z lekko zaskoczoną miną - i o mały włos nie wyleciałem w powietrze, kiedy wybuchła z opóźnieniem bomba burząca, ale poza tym nic mi nie jest. - Wyplątał się z objęć Warder. - Myślałem, że coś się zepsuło w sieci i utknąłem tam na cały okres wojny. Coście tu robili, do jasnej cholery?

- Próbowaliśmy cię wyciągnąć - odparła rozpromieniona Warder. - My też myśleliśmy, że coś się zepsuło w sieci. Potem wpadłam na pomysł, żeby puścić przyspieszenie i sprawdzić, czy nie można ominąć blokady. - Zamknęła go w objęciach. - Na pewno nic ci nie jest? Potrzebujesz czegoś?

- Ja potrzebuję Verity - przypomniałem. - I to zaraz! Trzeba natychmiast przeprowadzić namiar.

Pan Dunworthy kiwnął głową.

- No dobrze! - prychnęła Warder i poczłapała do konsoli.

- Nie miałeś żadnych kłopotów z powrotem? - T.J. zagadnął Carruthersa.

- Żadnych, tyle że cholerna sieć nie chciała się otworzyć przez trzy tygodnie - burknął Carruthers.

- To znaczy nie trafiłeś gdzie indziej, zanim tutaj przeskoczyłeś? Carruthers pokręcił głową.

- I nie masz pojęcia, dlaczego sieć nie chciała się otworzyć?

- Nie - przyznał Carruthers. - Opóźniona bomba wybuchła sto jardów od miejsca skoku. Myślałem, że to przez wybuch.

Podszedłem do konsoli.

- Jest coś?

- Nie - zaprzeczyła Warder. - I niech pan tak nie stoi nade mną. Nie mogę się skupić przez pana.

Wróciłem do Carruthersa, który usiadł obok zestawu symulacyjnego T.J. i ściągał buty.

- Jedno dobre z tego wynikło - oznajmił, zdejmując bardzo brudną skarpetkę. - Mogę zapewnić lady Schrapnell, że strusiej nogi biskupa nie było w ruinach. Przeczesaliśmy każdy cal katedry i niczego nie znaleźliśmy. Ale ona była w katedrze podczas nalotu. Kierowniczka Komitetu Kwiatowego, ta okropna stara panna, nazywa się Sharpe... znacie ten typ, siwe włosy, spiczasty nos, twarda jak głaz... widziała ją tamtego dnia o piątej po południu. Wracała do domu z zebrania Komitetu Bazaru Adwentowego i Paczek Dla Żołnierzy i zauważyła, że niektóre chryzantemy brązowieją, więc je wyjęła.

Słuchałem tylko jednym uchem. Obserwowałem Warder, która stukała w klawiaturę, spoglądała na ekran, odchylała się do tyłu z zamyśloną miną, znowu stukała. Ona nie ma pojęcia, gdzie jest Verity, pomyślałem.

- Więc pan myśli, że zniszczył ją ogień? - zapytał pan Dunworthy.

- Tak myślę - potwierdził Carruthers - ja i wszyscy inni oprócz tej okropnej starej jędzy Sharpe. Ona twierdzi, że strusią nogę ukradziono.

- Podczas nalotu? - zdziwił się pan Dunworthy.

- Nie. Ona mówi, że jak tylko zawyły syreny, wróciła i stanęła na straży, więc ktoś musiał ją ukraść po piątej i przed ósmą, i musiał wiedzieć o nalocie.

Cyfry szybko wyskakiwały na ekranie. Warder pochyliła się do przodu i pospiesznie stukała w klawisze.

- Ma pani namiar?

- Właśnie namierzam - rzuciła z irytacją.

- Całkiem zbzikowała na tym punkcie - podjął Carruthers, ściągając drugą skarpetkę, którą wepchnął do buta. - Przesłuchała wszystkich, którzy byli w katedrze albo w pobliżu podczas nalotu, oskarżyła szwagra kościelnego, nawet napisała list do wydawcy miejscowej gazety. W ogóle zatruwała wszystkim życie. Nie musiałem prowadzić żadnego śledztwa. Ona mnie wyręczyła. Gdyby ktoś rzeczywiście ukradł strusią nogę biskupa, wykryłaby to na pewno.

- Mam - odezwała się Warder. - Verity jest w Coventry.

- Coventry? - powtórzyłem. - Kiedy?

- Czternasty listopada 1940.

- Gdzie?

Stuknęła w klawisze i koordynaty pojawiły się na ekranie.

- To katedra - stwierdziłem. - O której godzinie? Jeszcze przez chwilę stukała w klawisze.

- Pięć po ósmej wieczorem.

- To nalot - oświadczyłem i ruszyłem do sieci. - Niech pani mnie wyśle.

- Jeśli sieć źle działa... - zaczął T.J.

- Verity tam jest - przerwałem mu. - W samym środku nalotu.

- Niech pani go wyśle - polecił pan Dunworthy.

- Próbowaliśmy już przedtem, pamiętasz? - wtrącił Carruthers. - Nikt nie mógł zbliżyć się do tego miejsca, włącznie z tobą. Dlaczego teraz myślisz, że...

- Daj mi swój kombinezon i hełm - zażądałem. Spojrzał na pana Dunworthy'ego i zaczął się rozbierać.

- Jak była ubrana Verity? - zapytał pan Dunworthy. Carruthers podał mi kombinezon, który naciągnąłem na swoje ubranie.

- Długa biała suknia z wysokim kołnierzem - odpowiedziałem i uświadomiłem sobie, że przyjąłem błędne założenie. Jej strój nie stworzyłby żadnej niekongruencji podczas nalotu. Nikt nie zwróciłby na nią uwagi. Albo pomyślałby, że jest w nocnej koszuli.

- Masz, weź to - T.J. podał mi płaszcz deszczowy.

- Chcę pięciominutowych intermisji - oznajmiłem, wziąłem płaszcz i wszedłem do sieci. Warder opuściła zasłony.

- Jeśli wylądujesz na polu z dyniami - odezwał się Carruthers - stodoła jest po zachodniej stronie. Sieć zaczęła migotać.

- Uważaj na psy - dodał Carruthers. - I żonę farmera...

Znalazłem się dokładnie tam, skąd wyruszyłem. I w grobowych ciemnościach. Ciemność

oznaczała, że trafiłem na następną noc lub jedną z tysiąca innych nocy, z dziesięciu tysięcy nocy, gdy katedra stalą spokojnie przez całe średniowiecze. A tymczasem Verity trafiła w sam środek nalotu, a ja nie mogłem nic zrobić, tylko czekać, aż cholerna sieć znowu się otworzy.

- Nie! - krzyknąłem i walnąłem pięścią w szorstki kamień. I świat wokół mnie eksplodował.

Rozległ się szum, a potem trzask, na wschodzie zaterkotały działka przeciwlotnicze. Ciemność rozbłysła błękitnobiałym światłem i czerwienią powidoku. Z dołu doleciał zapach dymu.

- Verity! - zawołałem i wbiegłem po schodach na dzwonnicę, pamiętając tym razem, żeby liczyć stopnie. Słaba pomarańczowa poświata ledwie pozwalała widzieć, w powietrzu wisiał zapach dymu.

Dotarłem do podestu dzwonnicy i krzyknąłem w górę:

- Verity! Jesteś tam?

Gołębie, niewątpliwie potomkowie tych, które spłoszyłem sześćset lat wcześniej, sfrunęły z wieży prosto na mnie, dziko łopocząc skrzydłami.

Nie było jej na górze. Zbiegłem po schodach aż do stopnia, na którym przeskoczyłem, po czym zacząłem odliczać od nowa.

Trzydzieści jeden, trzydzieści dwa. Wołałem Verity, przekrzykując warkot samolotów i wycie syren alarmowych, które niepotrzebnie włączyły się poniewczasie.

Pięćdziesiąt trzy, pięćdziesiąt cztery, odliczałem.

- Verity! Gdzie jesteś?

Dotarłem do ostatniego stopnia. Pięćdziesiąt osiem. Zanotowałem to w pamięci, po czym pchnąłem drzwi wieży i wszedłem do zachodniej kruchty. Zapach dymu był tutaj silniejszy i miał gęsty kwaśny posmak, jak dym z cygara.

- Verity! - zawołałem, otwierając ciężkie wewnętrzne drzwi wieży. I wszedłem do nawy.

W kościele panował mrok, rozjaśniony tylko światłem z tęczy i czerwonawą łuną z arkadowych okien. Próbowałem odgadnąć, która godzina. Wybuchy i syreny w większości dochodziły jakby z północy. Przy organach zobaczyłem mnóstwo dymu, ale nie widziałem płomieni w Kaplicy Pasamoników, która została trafiona wcześniej. Więc było najwyżej wpół do dziewiątej i Verity spędziła tutaj zaledwie kilka minut.

- Verity! - zawołałem. Mój głos rozbrzmiał echem w ciemnym kościele.

Kaplica Bławatników została zbombardowana w pierwszej fali bomb zapalających. Ruszyłem głównym przejściem w stronę chóru, żałując, że nie zabrałem latarki.

Terkotanie działek umilkło, po czym wybuchło ponownie ze wzmożoną siłą na tle narastającego buczenia samolotów. We wschodniej stronie rozległo się łup, łup, łup spadających bomb i płomienie jaskrawo rozbłysły w oknach. Połowa, z których wyjęto witraże dla bezpieczeństwa, była zabita deskami lub zasłonięta papierowym zaciemnieniem, lecz trzy okna od północy pozostały nietknięte i na mgnienie oświetliły kościół chorobliwą czerwienią i błękitem, kiedy za szybami zapłonęły zielonkawe flary. Nigdzie nie widziałem Verity. Dokąd poszła? Powinna zostać w pobliżu miejsca przeskoku, może jednak przestraszyła się nalotu i poszukała gdzieś schronienia. Ale gdzie?

Buczenie samolotów urosło w gniewny ryk. Daremnie próbowałem przekrzyczeć hałas. Na dachu rozległo się bębnienie, jakby padał grad, potem stukanie i stłumione krzyki.

Służba pożarowa na dachu gasi bomby zapalające. Czyżby Verity usłyszała ich i schowała się gdzieś, żeby jej nie zobaczyli?

W górze coś trzasnęło, a potem usłyszałem jakiś świst i szum. Podniosłem wzrok, na całe szczęście, bo mało nie trafiła mnie bomba zapalająca.

Pocisk spadł na drewnianą ławkę, sycząc i wypluwając płynne iskry. Chwyciłem śpiewnik z następnej ławki i strąciłem nim bombę na podłogę. Potoczyła się przejściem na koniec rzędu ławek

po drugiej stronie.

Usunąłem bombę kopniakiem, ale drewno już się zajęło. Bomba pluła i syczała, kręciła się jak żywa. Uderzyła w poręcz klęcznika i zapłonęła białym ogniem.

Gaśnica, pomyślałem i rozejrzałem się rozpaczliwie, ale chyba zabrali wszystkie na dach. Przy południowych drzwiach wisiało wiadro. Pobiegłem po nie w nadziei, że zawiera piasek. Zawierało.

Wróciłem biegiem i opróżniłem wiadro nad pociskiem oraz płonącą poręczą, po czym odstąpiłem i czekałem, aż bomba sypnie iskrami.

Nie sypnęła. Stopą przesunąłem ją na sam środek przejścia i sprawdziłem, czy ogień na poręczy wygasł. Rzuciłem wiadro, które potoczyło się pod ławkę. Jutro znajdzie je kościelny i wybuchnie płaczem.

Stałem, patrzyłem na wiadro i myślałem o tym, co właśnie zrobiłem. Działałem bez namysłu, jak Verity, kiedy wskoczyła za kotem do wody. Ale w tym wypadku nie miałem szans zmienić historii. Luftwaffe właśnie korygowała wszelkie możliwe niekongruencje.

Podniosłem wzrok na Kaplicę Bławatników. Płomienie lizały już drewniany rzeźbiony sufit i żadne wiadra z piaskiem nie mogły ich ugasić. Za dwie godziny cała katedra stanie w ogniu.

Rozległ się głuchy huk, kiedy coś wylądowało przed Kaplicą Pasamoników, oświetlając ją na moment. Przez sekundę, zanim światło zgasło, widziałem piętnastowieczny drewniany krzyż z rzeźbioną figurką dziecka klęczącego u stóp. Za pół godziny zobaczy go rektor Howard za ścianą płomieni, kiedy ogień obejmie całą wschodnią część katedry.

- Verity! - krzyknąłem, budząc echo w ciemnym kościele. - Verity!

- Ned!

Obróciłem się gwałtownie.

- Verity! - wrzasnąłem i popędziłem z powrotem głównym przejściem. Wyhamowałem z poślizgiem na końcu nawy. - Verity! - powtórzyłem i wytężyłem słuch.

- Ned!

Na zewnątrz kościoła. Południowe drzwi. Przelazłem pomiędzy ławkami, potykając się o poręcze, i dotarłem do południowych drzwi.

Przed drzwiami zgromadził się tłumek ludzi, zerkających niespokojnie na dach. Dwaj młodzieńcy wyglądający na twardych facetów, oparci niedbale o latarnię na rogu, z rękami w kieszeniach, omawiali pożar na zachodzie.

- Co tak pachnie cygarami? - zapytał wyższy tak spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie.

- Tytoniowy na rogu Broadgate - odparł niższy. - Było tam zaglądnąć i zgarnąć trochę cygarków, zanim poszły z dymem.

- Widziała pani dziewczynę, która wyszła z katedry? - zagadnąłem najbliższą osobę, kobietę w średnim wieku, w chustce na głowie.

- Chyba się nie zapali, jak pan myśli? - rzuciła nerwowo. Owszem, pomyślałem.

- Na górze jest służba pożarowa. Widziała pani dziewczynę która wybiegła z kościoła?

- Nie - odparła i natychmiast znowu podniosła wzrok na dach. Przebiegłem do końca Bailey Lane i z powrotem pod murem kościoła, ale nie zobaczyłem ani śladu Verity. Widocznie wyszła innymi drzwiami. Nie drzwiami zakrystii. Tamtędy wchodzili i wychodzili członkowie służby pożarowej. Zachodnie drzwi.

Pobiegłem naokoło do zachodnich drzwi. Tam również stała grupka ludzi stłoczonych na ganku, kobieta z trzema dziewczynkami, stary mężczyzna okutany w koc, dziewczyna w stroju pokojówki. Przed drzwiami stała siwowłosa kobieta z ostrym nosem i opaską PSK, ze skrzyżowanymi ramionami.

- Widziała pani, czy ktoś wyszedł z kościoła przez ostatnie kilka minut? - zapytałem ją.

- Nikomu nie wolno wchodzić do kościoła oprócz służby pożarowej - odparła oskarżycielskim tonem i jej głos również kogoś mi przypomniał, ale nie miałem czasu, żeby szukać skojarzeń.

- Dziewczyna z rudymi włosami - powiedziałem. - W długiej białej... w białej nocnej koszuli.

- W nocnej koszuli? - powtórzyła z naganą. Podszedł niski, krępy wartownik z COP.

- Mam rozkazy, żeby opróżnić ten teren - oznajmił. - Straż pożarna potrzebuje swobodnego dojazdu do katedry. Proszę się rozejść.

Kobieta z dziewczynkami wzięła na ręce najmniejszą i zeszła z ganku. Starzec poczłapał za nią.

- Rozejść się - powiedział wartownik do pokojówki, która wygadała jak sparaliżowana strachem. - Pani też. Proszę stąd odejść, panno Sharpe. - Machnął ręką na siwowłosą kobietę.

- Nigdzie nie odejdę - oświadczyła, jeszcze bardziej wojownicze krzyżując ramiona. - Jestem wiceprzewodniczącą Katedralnego Kobiecego Kółka Parafialnego i kierowniczką Komitetu Kwiatowego.

- Wszystko jedno, kim pani jest - burknął wartownik. - Mam rozkaz, żeby opróżnić wejście dla straży pożarnej. Załatwiłem już południowe drzwi, a teraz wasza kolej.

- Widzieliście młodą kobietę z rudymi włosami? - wtrąciłem

- Wyznaczono mnie do pilnowania tych drzwi przed szabrownikami - kobieta wyprostowała się groźnie. - Stoję tutaj od początku nalotu i zamierzam stać przez całą noc, jeśli trzeba, żeby chronić katedrę.

- A ja zamierzam opróżnić to wejście - odparł wartownik i też się wyprostował.

Nie miałem czasu. Wszedłem pomiędzy nich.

- Szukam zaginionej dziewczyny - oznajmiłem i również się wyprostowałem. - Rude włosy. Biała koszula nocna.

- Niech pan zapyta na posterunku policji - poradził wartownik. Pokazał stronę, z której przyszedłem. - Na St. Mary's Street.

Oddaliłem się truchcikiem, próbując odgadnąć, kto zwycięży. Stawiałem na kierowniczkę Komitetu Kwiatowego. Kogo mi przypominała? Mary Botoner? Lady Schrapnell? Jedną z futrzanych dam w księgarni Blackwella?

Wartownik niezbyt dokładnie opróżnił południowe wejście. Stała tam dokładnie ta sama grupka ludzi, a dwaj młodzieńcy wciąż opierali się o latarnię. Przebiegłem wzdłuż południowej ściany kościoła na Bailey Lane i wpadłem prosto na procesję.

Czytałem o tym, co sierżant policji nazwał „smutną małą procesją", kiedy służba pożarowa uratowała tyle skarbów, ile zdążyła, i zaniosła na posterunek policji. I tak to sobie wyobrażałem - stateczny orszak, prowadzony przez rektora Howarda, który niesie barwy pułkowe Warwickshire, a za nim inni z lichtarzami, kielichem i puszką na komunikanty, stąpający odmierzonym krokiem, i drewniany krucyfiks zamykający pochód - więc początkowo ich nie rozpoznałem.

Ponieważ to nie była procesja, tylko motłoch, tłuszcza, napoleońska Stara Gwardia pod Waterloo gorączkowo ratująca, co się dało. Potykali się w pośpiechu na jezdni, kanonik z lichtarzami pod pachami i naręczem ornatów, nastolatek kurczowo ściskający kielich oraz gaśnicę, rektor szarżujący ze sztandarem pułkowym jak lancą, przydeptujący materiał, który wlókł się po ziemi.

Przystanąłem i zagapiłem się na nich jak na prawdziwą paradę. W ten sposób wykluczyłem jedną możliwość, zaproponowaną przez Verity. Żaden z nich nie niósł strusiej nogi biskupa.

Wbiegli na posterunek policji. Widocznie zrzucili bezceremonialnie swój ładunek na pierwsze wolne miejsce, ponieważ zjawili się ponownie po niecałej minucie i pobiegli z powrotem do drzwi zakrystii.

Łysiejący mężczyzna w niebieskim kombinezonie zastąpił im drogę na schodach i pokręcił głową.

- To na nic. Za dużo dymu.

- Muszę znaleźć Ewangelię i Listy - wydyszał rektor, odepchnął go i znikł w drzwiach.

- Gdzie jest ta cholerna straż pożarna? - zapytał nastolatek

- Straż pożarna? - powtórzył kanonik, spoglądając w niebo - Gdzie jest ten cholerny RAF?

Nastolatek zawrócił na posterunek policji poprosić ich, żeby znowu zadzwonili po straż pożarną, a ja pobiegłem za nim przez St. Mary's Street.

Uratowane skarby spoczywały w żałosnym szeregu na biurku sierżanta, sztandar pułkowy stał oparty o ścianę za biurkiem. Kiedy nastolatek mówił do sierżanta: „No to niech pan spróbuje jeszcze raz. Cały dach się pali", obejrzałem przedmioty na biurku. Lichtarze, drewniany krucyfiks. Również mały stosik podniszczonych brązowych modlitewników, które nie trafiły na listę, oraz kilka kopert na datki i komża ministranta. Zaciekawiło mnie, ile jeszcze ocalonych przedmiotów rektor Howard opuścił w swoim spisie. Ale strusiej nogi biskupa tam nie było.

Chłopiec wybiegł. Sierżant podniósł słuchawkę telefonu. Zanim wykręcił numer straży pożarnej, zapytałem:

- Nie widział pan młodej kobiety z rudymi włosami? Pokręcił głową, zasłaniając ręką słuchawkę.

- Najpewniej będzie w którymś schronie.

Schron. Oczywiście. Logiczne miejsce podczas nalotu. Verity miała dość rozsądku, żeby nie zostawać na dworze.

- Gdzie jest najbliższy schron?

- Na Małej Parkowej - odpowiedział sierżant, odkładając słuchawkę. - Niech pan pójdzie Bailey i skręci w lewo.

Podziękowałem mu skinieniem głowy i wyszedłem. Ogień się zbliżał. Pomarańczowy dym zakrył całe niebo, żółte płomienie strzelały w górę przed Trinity College. Smugi reflektorów krzyżowały się na niebie, które wyraźnie pojaśniało. Poza tym robiło się coraz zimniej, co wydawało się niemożliwe. W biegu chuchałem na zgrabiałe dłonie.

Nie mogłem znaleźć schronu. Bomba trafiła w środkowy dom i zmieniła go w dymiące zgliszcza, a obok płonął sklep spożywczy. Reszta ulicy była cicha i ciemna.

- Verity! - krzyknąłem i przestraszyłem się, że usłyszę odpowiedź z kupy gruzów.

Ruszyłem z powrotem ulicą, rozglądając się za znakiem schronu na budynku. Znalazłem znak leżący na środku jezdni. Rozejrzałem się bezradnie, próbując ustalić, z której strony przywiał go podmuch.

- Halo! - wołałem na kolejnych klatkach schodowych. -Jest tam kto?

Wreszcie znalazłem schron na samym końcu ulicy, praktycznie obok katedry, w suterenie, która nie chroniła przed niczym, nawet przed zimnem.

Był to mały, obskurny pokój bez żadnych mebli. Ze dwa tuziny ludzi, niektórzy w szlafrokach, siedzieli na brudnej podłodze pod ścianami wyłożonymi workami z piaskiem. Lampa sztormowa zwisała z belki na jednym końcu i kołysała się gwałtownie przy każdym uderzeniu bomby, a pod lampą mały chłopiec grał w karty z matką.

Rozejrzałem się w mroku, szukając Verity, chociaż oczywiście tutaj jej nie było. Więc gdzie była?

- Czy ktoś widział dziewczynę w białej koszuli nocnej? - zapytałem. - Ma rude włosy.

Siedzieli, jakby mnie nie usłyszeli, wpatrując się tępo w pustkę.

- Masz jakieś szóstki? - zapytał chłopiec.

- Tak - matka podała mu kartę.

Dzwony katedry zaczęły dzwonić, zagłuszając uporczywy terkot działek przeciwlotniczych i huk

wybuchów. Dziewiąta godzina. Wszyscy podnieśli wzrok.

- To dzwony katedry - powiedział chłopczyk, wyciągając szyję do sufitu. - Masz damy?

- Nie - odparła matka, spojrzawszy na karty w ręku, a potem na sufit. - Bierz lewę. Po tym poznasz, że katedra stoi, jeśli słyszysz dzwony.

Musiałem stąd wyjść. Wspiąłem się po schodach na ulicę. Dzwony dźwięczały wesoło, wybijając godzinę. Będą tak dzwoniły przez całą noc, wydzwaniały godziny, dodawały otuchy mieszkańcom Country, kiedy samoloty huczą na niebie, a katedra płonie jak pochodnia.

Tłumek spod południowych drzwi przemieścił się na drugą stronę ulicy, żeby lepiej widzieć płomienie strzelające z dachu katedry. Dwaj młodzieńcy wciąż podpierali latarnię. Podbiegłem do nich.

- Nic z tego - mówił wysoki. - Teraz już nigdy tego nie wyciągną.

- Szukam młodej kobiety, dziewczyny... - zacząłem.

- Każdy szuka, no nie? - powiedział niski i obaj parsknęli śmiechem.

- Ma rude włosy - nalegałem. - Ubrana w białą koszulę nocną. Oczywiście to jeszcze bardziej ich rozśmieszyło.

- Myślę, że poszła do któregoś schronu, ale nie wiem, gdzie one są.

- Jeden jest na Małej Parkowej - powiedział wysoki.

- Już tam byłem - odparłem. - Nie znalazłem jej. Obaj zamyślili się głęboko.

- Jest jeden na Gosford Street, ale tam pan nie dojdziesz - powiedział niski. - Wybuchła mina ziemna. Zablokowało drogę.

- Może jest w krypcie - powiedział wysoki i widząc moją minę wyjaśnił: - W krypcie katedry. Tam jest schron.

W krypcie. Oczywiście. Kilkadziesiąt osób schroniło się tam podczas nalotu. Zostali na dole do jedenastej, kiedy katedra płonęła nad ich głowami, a potem wyprowadzono ich po schodach.

Przedarłem się przez tłumek gapiów do południowych drzwi i wbiegłem po schodach.

- Nie może pan tam wejść! - krzyknęła kobieta w chustce.

- Ekipa ratunkowa - odkrzyknąłem i wbiegłem do środka.

W zachodnim końcu kościoła wciąż panowała ciemność, ale prezbiterium i sanktuarium dawały aż nadto światła. Płonęły zakrystie i Kaplica Pasamoników, a z arkadowych okien buchał gęsty brązowy dym. W Kaplicy Czapników płomienie lizały olejny obraz Chrystusa ze zbłąkaną owieczką w ramionach. Płonące kartki z programu nabożeństwa fruwały po całej nawie, rozsiewając popiół.

Próbowałem przypomnieć sobie plan kościoła z odbitek lady Schrapnell. Krypta znajdowała się pod Kaplicą św. Wawrzyńca w północnym przejściu, tuż na zachód od Kaplicy Sukienników.

Ruszyłem nawą, wymijając płonące kartki i usiłując sobie przypomnieć, gdzie są schody. Na lewo od pulpitu.

Daleko z przodu, na chórze, dostrzegłem jakieś poruszenie.

- Verity! - krzyknąłem i pobiegłem nawą.

Postać przemknęła przez chór w stronę sanktuarium. Dojrzałe błysk bieli wśród stelli chóru.

Bomby zapalające grzmotnęły o dach. Podniosłem wzrok, a potem znowu spojrzałem na chór. Postać, jeśli tam była jakaś postać, znikła. Nad wejściem do Kaplicy Sukienników tańczył program nabożeństwa, pochwycony przez powietrzne prądy.

- Ned!

Okręciłem się gwałtownie. Słaby głos Verity dochodził jakby z tylu i z dużej odległości, ale może przegrzane powietrze w kościele wywoływało złudzenia akustyczne? Pobiegłem wzdłuż chóru. Nikogo nie było ani tam, ani w sanktuarium. Program nabożeństwa zawirował w przeciągu od

Kaplicy Sukienników, potem zajął się ogniem i płonąc spadł na ołtarz.

- Ned! - krzyknęła Verity i tym razem słuch mnie nie mylił. Była na zewnątrz kościoła. Za południowymi drzwiami.

Wyskoczyłem na dwór i zbiegłem po schodach, wykrzykując jej imię, obok oglądaczy dachu i podpieraczy latarni.

- Verity!

Zobaczyłem ją prawie zaraz. Stała w połowie Małej Parkowej, dyskutując zawzięcie z krępym wartownikiem COP. Rozdarta biała spódnica ciągnęła się za nią po ziemi.

- Verity! - zawołałem, ale panował za duży hałas.

- Nie, pan nie rozumie - krzyczała na wartownika. - Nie chcę publicznego schronu. Szukam młodego człowieka z wąsami...

- Panienko, mam rozkaz usunąć wszystkich cywili z tego terenu - oznajmił wartownik.

- Verity! - krzyknąłem prawie jej w ucho. Chwyciłem ją za ramię. Odwróciła się.

- Ned! - zawołała i rzuciła mi się na szyję. - Wszędzie cię szukałam.

- *Ditto* - powiedziałem.

- Nie wolno wam tutaj przebywać - ostrzegł surowo wartownik. Zabrzmiał donośny, przeciągły gwizd, który zagłuszył jego następne słowa. - Ten teren jest wyłącznie dla służb miejskich. Cywile nie powinni... - Nagle coś huknęło ogłuszająco i wartownik znikł pod lawiną cegieł i kurzu.

- Hej! - krzyknąłem. - Wartownik!

- O nie! - jęknęła Verity, wymachując rękami, jakby próbowała rozpędzić chmury kurzu. - Gdzie on jest?

- Pod spodem - wyjaśniłem, gorączkowo rozkopując cegły.

- Nie mogę go znaleźć! - Verity odrzucała cegły na bok. - Nie, Czekaj, tu jest ręka! I ramię!

Wartownik gwałtownie strząsnął jej dłoń i wstał, strzepując ku z kombinezonu.

- Nic panu nie jest? - zapytaliśmy unisono.

- Oczywiście, że nic mi nie jest - odkaszlnął - ale to nie wasz zasługa! Cywile! Nie wiedzą, co robią. Mogliście kogoś zabić, kiedy tak rzucaliście cegłami. Utrudnianie oficjalnego postępowania COP to wykroczenie karane...

Samoloty zahuczały nad głowami. Podniosłem wzrok. Ostre błyski rozświetliły niebo i rozległ się następny przeraźliwy gwizd, tym razem bliżej.

- Lepiej wynośmy się stąd - zaproponowałem. - Na dół! Popchnąłem Verity przed sobą na schody do piwnicy i do wąskiego wejściowego korytarzyka.

- Nic ci nie jest? - zawołałem. Włosy jej się rozpuściły po jednej stronie, na podartej sukni widniały smugi sadzy. Twarz również miała umazaną sadzą, a lewą rękę plamiła krew. Uniosłem tę rękę.

- Jesteś ranna?

- Nie - odparła. - Uderzyłam się o arkadę w kościele. Było ciemno i nic nie widziałam. - Dygotała. - Dlaczego jest t-tak zimno, kiedy całe miasto p-p-płonie?

- Masz, nałóż to - powiedziałem. Zdjąłem płaszcz deszczowy i okryłem jej ramiona. - Z pozdrowieniami od T.J.

- Dzięki - wyjąkała drżącym głosem.

Znowu coś huknęło i obsypały nas śmieci. Pociągnąłem Verity dalej w głąb korytarzyka i otoczyłem ją ramionami.

- Zaczekamy, aż trochę się uspokoi, potem wrócimy do katedry i przeskoczymy z powrotem do cieplejszego klimatu - rzuciłem lekko, próbując ją rozśmieszyć. - Musimy ukraść pamiętnik i znaleźć

męża dla Tossie. Myślisz, że ktoś tutaj chciałby zamienić to wszystko - pokazałem niebo rozświetlone płomieniami - na dziecinne gaworzenie i Księżniczkę Ardżumand? Nie, chyba nie.

Niestety wywołałem nie taki efekt, jaki zamierzałem.

- Och, Ned - powiedziała Verity i wybuchnęła płaczem.

- Co się stało? - zapytałem. - Wiem, że nie powinienem żartować w środku nalotu. Chciałem...

Potrząsnęła głową.

- Nie o to chodzi. Och, Ned, nie możemy wrócić do Muchings End. Utknęliśmy tutaj. - Ukryła twarz na mojej piersi.

- To znaczy jak Carruthers? Wyciągnęli go. Nas też wyciągną.

- Nie, nie rozumiesz - zaprzeczyła, spoglądając na mnie przez łzy - Nie możemy wrócić do miejsca skoku. Pożar...

- Jak to? - zdziwiłem się. - Wieża nie spłonęła. Właśnie wieża i iglica ocalały. Wiem, że ten babsztyl z Komitetu Kwiatowego pilnuje zachodnich drzwi, ale możemy wejść od południowej strony...

- Wieża? - powtórzyła bezbarwnie. - O czym ty mówisz?

- Nie przeszłaś na wieży?

- Nie. W sanktuarium. Czekałam tam prawie przez godzinę w nadziei, że znowu się otworzy, a potem zaczęło się palić i bałam się, że służba pożarowa mnie przyłapie, więc wyszłam na dwór i szukałam ciebie...

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Wiedziałam, że przeskoczysz, jak tylko się dowiesz, gdzie jestem - odparła rzeczowo.

- Ale... - zacząłem i postanowiłem jej nie mówić, że przedtem próbowaliśmy dostać się tutaj przez dwa tygodnie i nawet się nie zbliżyliśmy.

- ...i kiedy wróciłam do kościoła, sanktuarium płonęło. A sieć nie otworzy się w ogniu.

- Masz rację - przyznałem - ale nie potrzebujemy tego. Przeskoczyłem na wieży, która tylko trochę się osmaliła. Ale musimy przejść przez nawę, żeby dostać się do wieży, więc lepiej chodźmy.

- Zaraz - powstrzymała mnie. Naciągnęła płaszcz, potem wysunęła pasek ze szlufek i podwiązała rozdartą, opadającą spódnicę na wysokości kolan. - Czy teraz wyglądam na 1940 rok? - zapytała, zapinając płaszcz.

- Wyglądasz cudownie - zapewniłem.

Weszliśmy na schody i ruszyliśmy w stronę katedry. Wschodnia krawędź dachu płonęła. Straż pożarna wreszcie przyjechała. Wóz strażacki stał zaparkowany na rogu; musieliśmy przestępować przez plątaninę węży i pomarańczowo rozświetlone kałuże, żeby dotrzeć do Południowych drzwi.

- Gdzie są strażacy? - zapytała Verity, kiedy mijaliśmy grupkę ludzi przy południowych drzwiach.

- Nie ma wody - odpowiedział dziesięciolatek w cienkim sweterku. - Szkopy rozwaliły wodociągi.

- Poszli na Priory Row, żeby znaleźć inny hydrant.

- Nie ma wody - wymamrotała Verity.

Podnieśliśmy wzrok na katedrę. Teraz płonęła spora część dachu, sypiąc iskrami na bliższym końcu obok apsydy, i płomienie strzelały przez wybite okna.

- Nasza piękna, piękna katedra - powiedział ktoś za nami. Chłopiec pociągnął mnie za rękaw.

- Już po niej, co?

Już po niej. Do dziesiątej trzydzieści, kiedy strażacy wreszcie znajdą działający hydrant, cały dach stanie w płomieniach. Strażacy spróbują polewać sanktuarium i Kaplicę Mariacką, ale woda skończy się prawie natychmiast i potem to już tylko kwestia czasu, zanim dach spłonie i stalowe dźwigary,

które zainstalował J.O. Scott, żeby zmniejszyć napięcia w łukach, zaczną wyginać się i topić od żaru, i pociągną za sobą piętnastowieczne arkady oraz dach w dół, na ołtarz i rzeźbione mizerykordie, i organy Haendla, i drewniany krzyż z dzieckiem klęczącym u stóp.

Nasza piękna, piękna katedra. Zawsze umieszczałem ją w tej samej klasie co strusią nogę biskupa - irytujące starocie - i na pewno istniały piękniejsze katedry. Ale kiedy tam stałem i patrzyłem, jak płonie, zrozumiałem, co oznaczała dla rektora Howarda budowa nowej katedry, nawet nowocześnie brzydkiej. Co oznaczała dla Lizzie Bittner sprzedaż świętego przybytku na złom. I zrozumiałem, dlaczego lady Schrapnell gotowa była walczyć z Kościołem Anglii, wydziałem historii, Radą Miejską Coventry i całym światem, żeby ją odbudować.

Spojrzałem na Verity. Łzy bezgłośnie spływały jej po twarzy. Objąłem ją ramieniem.

- Nic nie możemy zrobić? - zapytała bez nadziei.

- Odbudujemy ją. Będzie jak nowa.

Ale tymczasem musieliśmy wejść do środka i wrócić na wieżę. Tylko jak?

Tłum nigdy nie wpuści nas do płonącego kościoła, choćbym wymyślił najbardziej przekonujący pretekst, a zachodniego wejścia pilnowała herod-baba. W dodatku im dłużej czekaliśmy, tym bardziej niebezpieczne stawało się przejście przez nawę do drzwi wieży.

Przez hałas działek przeciwlotniczych przebiło się donośne dzwonienie.

- Druga straż pożarna! - zawołał ktoś i chociaż nie było wody, wszyscy, nawet podpieracze latarni pobiegli na wschodni koniec kościoła.

- Teraz mamy szansę - stwierdziłem. - Nie możemy czekać dłużej. Gotowa?

Przytaknęła.

- Zaczekaj - powiedziałem i oddarłem dwa długie pasy od już naddartego rąbka jej spódnicy. Zamoczyłem je w kałuży, którą pozostawił strażacki wąż. Woda była lodowato zimna. Wyżąłem materiał. - Obwiąż tym usta i nos - poleciłem, podając jej jeden pas. - Kiedy wejdziemy do środka, idź prosto na koniec nawy, a potem wzdłuż ściany. Jeśli się rozdzielimy, drzwi do wieży są zaraz za zachodnimi drzwiami, po lewej stronie.

- Rozdzielimy? - powtórzyła, zawiązując maskę.

- Owiń tym prawą rękę - poradziłem. - Klamki u drzwi mogą być gorące. Przeskok jest na pięćdziesiątym ósmym stopniu w górę, nie licząc podłogi wieży.

Owinąłem dłoń w resztkę materiału.

- Nie zatrzymuj się w żadnym wypadku. Gotowa? Przytaknęła, szeroko otwierając zielonobrązowe oczy nad maską.

- Trzymaj się za mną - rozkazałem.

Ostrożnie uchyliłem odrobinę prawe skrzydło drzwi. Ze szpary nie wyskoczył ryczący płomień, tylko kłąb brązowego dymu. Poczekałem, aż się rozwieje, i zajrzałem do środka.

Nie wyglądało tak źle, jak się obawiałem. Dym i płomienie przesłaniały wschodni koniec kościoła, ale w tym końcu dym jeszcze nie zgęstniał na tyle, żeby utrudniać widzenie, a dach chyba się trzymał. Okna, oprócz tego w Kaplicy Kowali, zostały wybite podmuchem, podłogę zaścielały odłamki czerwonego i niebieskiego szkła.

- Uważaj na szkło. - Popchnąłem Verity przed sobą. - Weź głęboki oddech i ruszaj! Będę za tobą.

Otworzyłem drzwi na całą szerokość. Verity ruszyła pędem. Biegłem za nią, kuląc się od gorąca. Dotarła do drzwi i otwarła je szarpnięciem.

- Drzwi na wieżę masz po lewej! - krzyknąłem, chociaż nie mogła mnie słyszeć przez wściekły ryk płomieni.

Przystanęła, przytrzymując otwarte drzwi.

- Biegnij na górę! - krzyknąłem. - Nie czekaj na mnie! - Przyspieszyłem na ostatnich metrach. - Na górę!

Usłyszałem łoskot, więc obejrzałem się na sanktuarium, myśląc że wali się jeden z łuków arkadowych okien. Rozległ się ogłuszający ryk i okno w Kaplicy Kowali roztrzaskało się w deszczu lśniących odłamków.

Skuliłem się i osłoniłem twarz ramieniem. W ostatniej sekundzie, zanim podmuch zwalił mnie na kolana, pomyślałem: „Bomba burząca. Ale to niemożliwe. W katedrę nie trafiła bezpośrednio żadna bomba".

Wyglądało to jednak na bezpośrednie trafienie. Wybuch zatrząsł katedrą i oświetlił ją oślepiającym białym blaskiem.

Chwiejnie podniosłem się z kolan, a potem spojrzałem w drugi koniec nawy. Podmuch na chwilę rozwiał dym wypełniający katedrę i w jaskrawym białym poblasku widziałem wszystko: rzeźbę nad pulpitem objętą płomieniami, z ręką wzniesioną jak u tonącego człowieka; stalle w dziecięcej kaplicy, ich unikatowe mizerykordie płonące dziwacznym żółtym ogniem; ołtarz w Kaplicy Czapników. I ażurową przegrodę przed Kaplicą Kowali.

- Ned!

Ruszyłem w tamtą stronę. Zrobiłem tylko kilka kroków. Katedra zadrżała, płonąca belka spadła z trzaskiem przed Kaplicą Kowali i wylądowała w poprzek rzędu ławek.

- Ned! - krzyknęła rozpaczliwie Verity. - Ned!

Kolejna belka, niewątpliwie wzmocniona stalowym dźwigarem przez J.O. Scotta, runęła na pierwszą i wzbiła czarną chmurę dymu, która przesłoniła całą północną część kościoła.

To nie miało znaczenia. Zobaczyłem już dosyć. Zawróciłem w stronę drzwi i wbiegłem po schodach oświetlonych pożarem, zastanawiając się w duchu, co mam powiedzieć lady Schrapnell. W tym jednym krótkim rozbłysku bomby zobaczyłem wszystko: mosiężne płyty nagrobne na ścianach, wypolerowanego orła na pulpicie, poczerniałe kolumny. A w północnym przejściu, przed ażurową przegrodą, pusty postument z kutego żelaza.

Jednak zabrano ją na przechowanie. Albo oddano na złom. Albo sprzedano na kiermaszu staroci.

- Ned! - krzyczała Verity. - Szybko! Sieć się otwiera! Lady Schrapnell nie miała racji. Strusiej nogi biskupa tam nie było.

Nie – powiedział Harris – jeśli chcecie odpoczynku i odmiany, nie masz nic lepszego nad morską wycieczkę.

Jerome K. Jerome, „Trzech panów w łódce”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Z powrotem w wieży - Beczka amontillado - W zmywalni, kuchni, stajni i kłopotach - Jane wyraża się niezrozumiale - Więzień Zendy – Omdlenie, tym razem nie pani Mering - Nowe znaczenie poezji według Terence'a - List - Niespodzianka - Ostatnie omdlenie, z użyciem mebli - Jeszcze większa Niespodzianka

Niekoniecznie do trzech razy sztuka. Sieć zamigotała i znowu znaleźliśmy się w grobowych ciemnościach. Huk ucichł, ale wciąż czuliśmy silną woń dymu. Temperatura spadła co najmniej o dwadzieścia stopni. Jedną ręką puściłem Verity i ostrożnie pomacałem w ciemnościach. Natrafiłem na kamień.

- Nie ruszaj się - powiedziałem. - Wiem, gdzie jesteśmy. Byłem już tutaj. To dzwonnica w Coventry. W 1395 roku.

- Nonsens - odparła Verity i ruszyła w górę po schodach. - To piwnica z winami Meringów.

Uchyliła drzwi dwa stopnie wyżej i do środka wpadło światło, ukazując drewniane schody oraz rzędy butelek okrytych pajęczynami.

- Dzienne światło - szepnęła. Otwarła drzwi trochę szerzej, wystawiła głowę i rozejrzała się w obie strony. - Ten korytarzyk prowadzi obok kuchni. Miejmy nadzieję, że wciąż jest szesnasty.

- Miejmy nadzieję, że wciąż jest 1888 - powiedziałem. Znowu wyjrzała.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? Wrócić do miejsca skoku? Pokręciłem głową.

- Nie wiadomo, dokąd trafimy. I czy w ogóle możemy wrócić. -Spojrzałem na jej białą suknię, podartą i poplamioną sadzą. – Musisz zdjąć ten strój. Zwłaszcza płaszcz, który pochodzi circa z 2057 roku Oddaj mi go.

Verity zrzuciła płaszcz.

- Możesz dostać się do swojego pokoju tak, żeby cię nikt nie zobaczył?

Przytaknęła.

- Pójdę tylnymi schodami.

- Spróbuję ustalić naszą lokalizację czasoprzestrzenną. Spotkamy się za kwadrans w bibliotece i stamtąd wyjdziemy.

Podała mi płaszcz.

- A jeśli minął tydzień? Albo miesiąc? Albo pięć lat?

- Powiemy, że byliśmy na tamtym świecie - zaproponowałem, ale nie wywołałem uśmiechu na jej twarzy.

- A jeśli Tossie i Terence już się pobrali? - zapytała ponuro.

- Nie będziemy się martwić na zapas - odparłem. Obdarzyła mnie uśmiechem, jednym z tych zniewalających uśmiechów, na które nie mógłby mnie uodpornić nawet najdłuższy wypoczynek.

- Dziękuję, że mnie znalazłeś - powiedziała.

- Do usług, panienko. Idź włożyć czystą sukienkę. Kiwnęła głową.

- Odczekaj kilka minut, żeby nie widziano nas razem.

Otwarła drzwi i wyśliznęła się na korytarz, a ja nagle uświadomiłem sobie, że nie powiedziałem jej tego, po co wracałem aż do czternastego wieku.

- Odkryłem, w jaki sposób pamiętnik Tossie... - zacząłem, ale ona już weszła na tylne schody.

Ściągnąłem kombinezon. Całkiem nieźle ochronił moje spodnie i blezer, ale ręce i twarz miałem chyba strasznie brudne. Wytarłem je w podszewkę kombinezonu, żałując, że piwnice na wina nie mają luster. Potem zwinąłem kombinezon razem z płaszczem i wepchnąłem za stojak z butelkami

klaretu.

Rozejrzałem się ostrożnie i wyszedłem na korytarz. Zobaczyłem tam czworo drzwi, z których jedne musiały wychodzić na zewnątrz - Ostatnie były obite zielonym rypsem, co oznaczało, że prowadzą do głównej części domu. Otworzyłem pierwsze.

Zmywalnia. Wypełniały ją stosy brudnych naczyń w stylu Kopciuszka, garnki i rondle. Zobaczyłem rząd niewyczyszczonych butów - buty oznaczały, że minęła już pora spoczynku, ale rodzina jeszcze nie wstała, i całe szczęście - Verity nie spotka nikogo w drodze do swojego pokoju - ale z drugiej strony to nie miało sensu. Tej pierwszej nocy, kiedy odprowadzałem Cyryla do stajni, prawie wpadłem na Baine'a ustawiającego wyczyszczone buty przed drzwiami, a wtedy było jeszcze ciemno. A Baine zbierał buty dopiero, kiedy wszyscy poszli spać. Ale już był ranek. Słońce świeciło na garnki i patelnie.

Nie znalazłem gazety ani żadnej innej wskazówki co do naszej lokalizacji czasoprzestrzennej.

Jeden z garnków miał miedziane dno. Przejrzałem się w nim. Szeroka smuga sadzy zdobiła mój policzek i wąsy. Wyjąłem chusteczkę, splunąłem na nią, wytarłem twarz, przygładziłem włosy i wróciłem na korytarz. Jeśli to jest zmywalnia, kalkulowałem, obok musi być kuchnia, a następne drzwi prowadzą na zewnątrz.

Błąd. Następne drzwi prowadziły do kuchni, gdzie Jane szeptała w kącie z kucharką. Odskoczyły od siebie z minami winowajczyń. Kucharka podeszła do ogromnego czarnego pieca i zaczęła szybko coś mieszać, a Jane nabiła kromkę chleba na widelec i przysunęła do ognia.

- Gdzie jest Baine? - zapytałem.

Jane podskoczyła na jakąś stopę. Chleb spadł z widelca w popiół i strzelił jasnym płomieniem.

- Co? - bąknęła Jane, trzymając przed sobą widelec jak rapier.

- Baine - powtórzyłem. - Muszę z nim pomówić. Czy jest w pokoju śniadaniowym?

- Nie - odparła z lękiem. - Przysięgam na Najświętszą Panienkę, nie wiem, gdzie on jest, sorr. On nam nic nie mówił. Pan myśli, że pani nas zwolni?

- Zwolni was? - zapytałem ze zdumieniem. - Dlaczego? Co zrobiłyście?

- Nic. Ale ona powie, że musiałyśmy wiedzieć przez cały czas, służba tak plotkuje i w ogóle - tłumaczyła Jane, wymachując widelcem dla podkreślenia swoich słów. - To samo się przytrafiło mojej siostrze Margaret, kiedy młody pan Val uciekł z pomywaczką Rosę. Pani Abbott wszystkich wyrzuciła.

Odebrałem jej widelec.

- Co musiałyście wiedzieć?

- Nikt się nie domyślał - odezwała się kucharka od pieca. - Te wszystkie fumy i rozkazywanie. Aż wyszło szydło z worka.

Nic nie rozumiałem i brakowało mi czasu. Postanowiłem zastosować bezpośrednie podejście.

- Która godzina? - zapytałem.

Jane znowu zrobiła przerażoną minę.

- Dziewiąta - odparła kucharka, sprawdzając na zegarku przypiętym do biustu.

- Dziewiąta godzina i muszę zanieść im to na górę - oznajmiła Jane i wybuchnęła płaczem. - On mówił, żeby nie zanosić, dopóki nie przyjdzie poranna poczta, żeby zostawić im dosyć czasu, a poczta zawsze przychodzi o dziewiątej. - Otarła łzy rąbkiem fartuszka, wyprostowała się i zebrała siły. - Lepiej pójdę na górę i zobaczę, czy już przyszła.

Chciałem zapytać: „Czego nie zanosić?", ale zrezygnowałem, żeby nie wywołać kolejnej fali łez i niezrozumiałej gadaniny. Wolałem nie sprawdzać, jaką odpowiedź uzyskam, jeśli zapytam, którego dzisiaj mamy.

- Powiedz Baine'owi, żeby przyniósł mi „Timesa". Będę w bibliotece - oznajmiłem i wyszedłem.

Przynajmniej wciąż trwało lato, a nawet czerwiec, po bliższej inspekcji. Róże wciąż kwitły, a peonie, mające posłużyć za prototypy dla niezliczonych wycieraczek do piór, dopiero się rozwijały. Pułkownik Mering maszerował w stronę sadzawki, niosąc parciany worek, i chociaż zazwyczaj był taki roztargniony, zaabsorbowany wyłącznie swoimi złotymi rybkami, wolałem uniknąć spotkania z nim, dopóki nie sprawdzę, ile czasu minęło.

Wobec tego uskoczyłem za róg domu. Wejdę tylnymi drzwiami do stajni, a stamtąd przekradnę się do oszklonych drzwi salonu. Wśliznąłem się tylnym wejściem do stajni. I mało nie potknąłem się o Cyryla. Leżał na parcianym worku, z łapami pod brodą.

- Nie wiesz przypadkiem, która godzina? - zapytałem go. - I jaka data?

Następny znak, że coś poszło źle: Cyryl nie wstał. Podniósł tylko łeb, spojrzał na mnie niczym Więzień Zendy i opuścił łeb z powrotem.

- Co się stało, Cyrylu? Jesteś chory? - zapytałem i chciałem pociągnąć go za obrożę. I zobaczyłem łańcuch. - Dobry Boże - powiedziałem do niego. - Terence chyba jeszcze się nie ożenił?

Cyryl wciąż patrzył na mnie beznadziejnym wzrokiem. Odpiąłem łańcuch.

- Chodź, Cyrylu - powiedziałem. - Musimy to naprawić.

Podniósł się chwiejnie i poczłapał za mną z rezygnacją. Wyszedłem ze stajni i okrążyłem dom, żeby znaleźć Terence'a. Siedział w łodzi na przystani Meringów i wpatrywał się w rzekę, zwiesiwszy głowę prawie tak nisko jak Cyryl, kiedy go zostawiliśmy, żeby pilnował łodzi.

- Co ty tam robisz? - zagadnąłem. Podniósł puste spojrzenie.

- „Zwierciadło pękło w odłamków stos - wyrecytował. - Szatę wiatr porwał do rzeki wprost" - co wcale nie wyjaśniało sytuacji.

- Cyryl był w stajni na łańcuchu - zawiadomiłem go.

- Wiem - odparł Terence z nieruchomą twarzą. - Pani Mering przyłapała mnie wczoraj w nocy, jak go szmuglowałem na górę.

Więc od naszego zniknięcia minął co najmniej jeden cały dzień i noc, i powinienem szybko wymyślić jakieś wyjaśnienie, zanim Terence zapyta mnie, gdzie byłem. Ale on dalej wpatrywał się w rzekę.

- Wiesz, on miał rację. Że tak to działa.

- Co działa?

- Los - odpowiedział z goryczą.

- Cyryl był na łańcuchu - powtórzyłem z naciskiem.

- Musi się przyzwyczaić do stajni - odparł bezbarwnie Terence. - Tossie nie uznaje zwierząt w domu.

- Zwierząt? - zapytałem z niedowierzaniem. - Przecież mówimy o Cyrylu. A Księżniczka Ardżumand? Ona śpi na poduszkach.

- Ciekawe, czy obudziła się dziś rano, szczęśliwa jak skowronek, nie wiedząc, że czekają zguba.

- Kto? - zapytałem. - Księżniczka Ardżumand?

- Niczego nie podejrzewałem, wiesz, nawet kiedy zajechaliśmy na stację. Profesor Peddick mówił o Aleksandrze Wielkim i bitwie pod Issos, coś o kluczowym momencie, od którego wszystko zależy, a ja nie miałem pojęcia.

- Odwiozłeś bezpiecznie profesora Peddicka do Oksfordu, prawda? - zaniepokoiłem się nagle. - Nie wysiadł z pociągu, żeby szukać kamienistego dna?

- Nie - zapewnił. - Odstawiłem go w ramiona kochającej rodziny. W ramiona kochającej rodziny - powtórzył zbolałym tonem. - I w samą porę. Profesor Overforce właśnie zamierzał wygłosić jego

mowę pogrzebową.

- Co powiedział?

- Zemdlał - odparł Terence - a kiedy odzyskał przytomność, rzucił się do kolan profesorowi Peddickowi i bełkotał, że nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby profesor utonął, że uznaje swoje błędy, że profesor Peddick miał rację, jeden bezmyślny uczynek może zmienić bieg historii i zaraz wraca prosto do domu i powie Darwinowi, żeby więcej nie skakał z drzew. A wczoraj wycofał swoją kandydaturę do fotela Havilanda na rzecz profesora Peddicka.

- Wczoraj? - powtórzyłem. - Kiedy odwiozłeś profesora Peddicka do Oksfordu? Przedwczoraj?

- Wczoraj? - rzucił niejasno Terence. - Czy też przed wiekami? Czy przed chwilą? „Wszyscy będziemy odmienieni, w jednym momencie, w mgnieniu oka". Człowiek jest na swojej wyspie i tka sobie, aż tu nagle... Wiesz, nigdy naprawdę nie rozumiałem poezji. Myślałem, że to tylko taki sposób mówienia.

- Jaki sposób?

- Poezja. To wszystko o umieraniu z miłości. I zwierciadle pękającym w odłamków stos. Wiesz, pękło. Na pół. - Smutno potrząsnął głową. - Nigdy nie rozumiałem, dlaczego po prostu nie powiosłowała do Kamelot i nie powiedziała Lancelotowi, że go kocha. - Ponuro zapatrzył się w wodę. - No, teraz wiem. On już był zaręczony z Ginewrą.

No, nie całkiem zaręczony, skoro Ginewra była żoną króla Artura, a w każdym razie miałem ważniejsze rzeczy na głowie.

- Cyryl jest zbyt wrażliwy, żeby go brać na łańcuch - oznajmiłem.

- Wszyscy jesteśmy skuci łańcuchami. Spętani, bezsilni i cierpiący w żelaznych okowach losu. O losie! - wykrzyknął z goryczą. - O podły Losie, któryś nas zetknął zbyt późno. Myślałem, że ona jest jak te okropne nowoczesne dziewczęta, spodnie i sine pończochy, i niedowarzone pomysły. Wiesz, mówił mi, że ją polubię. Polubię!

- Maud - zawołałem, bo wreszcie mi zaświtało. - Poznałeś Maud, bratanicę profesora.

- Stała na peronie kolejowym w Oksfordzie. „Kochałżem dotąd?/O, zaprzecz, mój wzroku!/Boś jeszcze nie znał równego uroku!"

- Na peronie - powtórzyłem ze zdumieniem. - Spotkałeś ją na peronie kolejowym w Oksfordzie. Ależ to cudownie!

- Cudownie? - rzucił z goryczą. - „Późno cię umiłowałem,/Piękności tak dawna, a tak nowa,/późno cię umiłowałem!" Jestem zaręczony z panną Mering.

- Nie możesz zerwać zaręczyn? Panna Mering na pewno nie zechce wyjść za ciebie, skoro kochasz pannę Peddick.

- Nie mam prawa nikogo kochać. Ślubowałem miłość pannie Mering, kiedy dałem jej słowo, a panna Peddick nie zechce miłości bez honoru, miłości, którą przyrzekłem już innej. Och, gdybym tylko spotkał pannę Peddick tamtego dnia w Oksfordzie, jakże inaczej...

- Panie Henry, sorr - przerwała nam Jane, nadbiegając w przekrzywionym czepku, z rozwianymi rudymi włosami. - Nie widział pan pułkownika Meringa?

O nie, pomyślałem. Pani Mering przyłapała Verity na schodach.

- Co się stało? - zapytałem.

- Muszę najpierw znaleźć pułkownika - oświadczyła, nie odpowiadając na pytanie. - Mówił, żeby mu to oddać przy śniadaniu, ale go nie ma i poczta przyszła, i w ogóle.

- Widziałem, jak pułkownik szedł nad sadzawkę - powiedziałem. - Co mu oddać? Co się stało?

- Och, sorr, lepiej niech obaj dżentelmeni wrócą do domu -jęknęła Jane. - Oni są w salonie.

- Kto? Jest tam Verity? Co się dzieje? - zawołałem, ale ona już pobiegła nad sadzawkę, trzepocząc

spódnicą. - Terence - zapytałem nagląco. - Jaki dzisiaj dzień?

- Co za różnica? - odparł Terence. - „Ciągle to jutro, jutro i znów jutro/Wije się w ciasnym kółku od dnia do dnia,/A wszystkie wczora to były pochodnie,/Które głupocie naszej przyświecały". Głupota!

- To ważne - zapewniłem, podnosząc go na nogi. - Data, człowieku!

- Poniedziałek - odpowiedział. - Osiemnasty czerwca.

O Boże, nie było nas przez trzy dni!

Ruszyłem w stronę domu z Cyrylem przy nodze.

- „Klątwa się spełnia - zacytował Terence - krzyknęła w głos Pani na Shalott".

Usłyszałem panią Mering, zanim weszliśmy we frontowe drzwi.

- Twoje zachowanie jest doprawdy niewybaczalne, Verity. Nie spodziewałam się, że córka mojej kuzynki okaże się tak egoistyczna i bezmyślna.

Wiedziała, że zniknęliśmy na trzy dni, a biedna Verity nie wiedziała. Popędziłem korytarzem w stronę salonu, Cyryl deptał mi po piętach. Musiałem ją uprzedzić, zanim coś palnie.

- Na mnie spadł cały ciężar opieki - mówiła pani Mering. - Jestem zupełnie wyczerpana. Trzy dni i trzy noce przy chorej osobie i ani chwili odpoczynku.

Trzymałem już rękę na klamce. Zamarłem. Trzy dni i trzy noce przy chorej osobie? Więc jednak nic nie wiedziała, tylko sztorcowała Verity za brak pomocy. Ale kto zachorował? Tossie? Wyglądała blado i mizernie tamtego wieczoru po wycieczce do Coventry.

Przyłożyłem ucho do drzwi i słuchałem z nadzieją, że podsłuchiwani tym razem dostarczą więcej informacji niż zwykle.

- Mogłaś przynajmniej zaproponować, że posiedzisz z pacjentem przez chwilę - grzmiała pani Mering.

- Bardzo przepraszam, ciociu - powiedziała Verity. - Myślałam, że obawiasz się infekcji.

Dlaczego ludzie nie mogą powiedzieć wyraźnie, o czym mówią, żeby podsłuchujący przynajmniej miał jakąś szansę? Pacjent. Infekcja. Dokładniej proszę!

- I myślałam, że ona woli, żebyś opiekowała się nim razem z Tossie - ciągnęła Verity.

Nim? Czyżby zjawił się pan C. i natychmiast zachorował? I zakochał się w swojej pielęgniarce Tossie?

- Za żadne skarby nie pozwolę Tocelyn wejść do pokoju chorego - oświadczyła pani Mering. - To taka delikatna dziewczyna.

Zobaczyłem, jak na drugim końcu korytarza Terence otwiera frontowe drzwi. Musiałem wejść do salonu, bez względu na informacje. Spojrzałem na Cyryla. Pani Mering niewątpliwie zażąda wyjaśnienia, co pies robi w domu. Z drugiej strony mógł dostarczyć dywersji pożądanej w danych okolicznościach.

- Tocelyn ma zbyt delikatną konstytucję do pielęgnowania chorych - mówiła pani Mering - a widok nieszczęsnego ojca w takim stanie zbytnio nadszarpnąłby jej nerwy.

Nieszczęsny ojciec. Więc to pułkownik Mering chorował. Lecz w takim razie dlaczego poszedł nad sadzawkę? Otworzyłem drzwi.

- Myślałam, że okażesz więcej względów biednemu wujowi, Verity - ciągnęła pani Mering. - Jestem straszliwie rozczarowana twoją...

- Dzień dobry - odezwałem się.

Verity spojrzała na mnie z wdzięcznością.

- Jak się dzisiaj czuje pułkownik? - zagadnąłem. - Ufam, że lepiej. Właśnie widziałem go na dworze.

- Na dworze? - Pani Mering przycisnęła dłoń do łona. - Przecież miał nie wstawać z łóżka. Przeziębi się na śmierć. Panie St. Trewes - zwróciła się do Terence'a, który właśnie wszedł i stał obok drzwi z miną winowajcy - Czy to prawda? Czy mój mąż wyszedł na dwór? Musi pan natychmiast go przyprowadzić.

Terence posłusznie wyszedł.

- Gdzie jest Tossie? - rzuciła z rozdrażnieniem pani Mering. - Czemu jeszcze nie zeszła? Verity, powiedz Jane, żeby ją przyprowadziła.

Terence zjawił się ponownie z pułkownikiem i Jane.

- Mesiel! - wykrzyknęła pani Mering. - Jak mogłeś wyjść na dwór? Jesteś śmiertelnie chory.

- Musiałem zajrzeć do sadzawki - chrząknął pułkownik. - Sprawdzić to i owo. Nie mogę tak zostawić moich japońskich demekinów na pastwę tego kota. Zatrzymała mnie ta głupia dziewczyna... nigdy nie pamiętam jej imienia... pokojówka...

- Colleen - podpowiedziała odruchowo Verity.

- Jane - poprawiła pani Mering i spiorunowała Verity wzrokiem.

- Powiedziała, że mam natychmiast wracać - ciągnął pułkownik.

- Narobiła zamieszania. O co chodzi?

Odwrócił się do Jane, która przełknęła, wzięła głęboki, płaczliwy oddech i wyciągnęła list na srebrnej tacy.

- Hrrump, co to? - zapytał pułkownik.

- Poczta, sorr - odpowiedziała Jane.

- Dlaczego Baine tego nie przyniósł? - zapytała pani Mering. Wzięła list z tacy. - Na pewno od madame Iritosky - stwierdziła otwierając kopertę - z wyjaśnieniem, dlaczego musiała tak nagle wyjechać.

- Odwróciła się do Jane. - Powiedz, żeby pan Baine tu przyszedł. I powiedz Tossie, żeby zeszła na dół. Będzie chciała wysłuchać listu.

- Tak, psze pani - rzuciła Jane i umknęła.

- Mam nadzieję, że załączyła adres - mruknęła pani Mering, rozkładając kilka gęsto zapisanych stroniczek - żebym mogła jej napisać o naszych przejściach z duchami w Coventry. - Zmarszczyła brwi. - Ależ to nie od madame... - urwała i dalej czytała w milczeniu.

- Od kogo jest ten list, moja droga? - zapytał pułkownik.

- O - powiedziała pani Mering i zemdlała.

Tym razem to było prawdziwe omdlenie. Pani Mering uderzyła w kredens, zdekapitowała palmę w doniczce, rozbiła szklany klosz nad dekoracją z piór i wylądowała głową na aksamitnym podnóżku. Kartki listu trzepotały wokół niej.

Terence i ja skoczyliśmy na pomoc.

- Baine! - zagrzmiał pułkownik, szarpiąc za sznur dzwonka. -Baine!

Verity podłożyła pani Mering poduszkę pod głowę i zaczęła ją wachlować listem.

- Baine! - ryknął pułkownik.

Jane pojawiła się w drzwiach z przerażoną miną.

- Każ Baine'owi natychmiast przyjść - polecił jej pułkownik.

- Nie mogę, sorr - odparła, skręcając rąbek fartuszka.

- Dlaczego? - krzyknął tak głośno, aż odskoczyła.

- Wyjechał, sorr.

- Jak to wyjechał? - huknął pułkownik. - Dokąd wyjechał? Jane skręciła fartuszek w ciasny węzeł.

- List - bąknęła, wykręcając końce węzła.

- Czy to znaczy, że poszedł na pocztę? No to idź i przyprowadź go. - Odesłał ją machnięciem ręki. - Przeklęta madame Iritosky! Denerwuje moją żonę, nawet jak jej tu nie ma! Przeklęte spirytystyczne nonsensy!

- Nasza córka - odezwała się pani Mering, trzepocząc powiekami. Skupiła wzrok na liście, którym ją wachlowała Verity. - O, ten list! Ten fatalny list... - i znowu zemdlała.

Jane wbiegła niosąc sole trzeźwiące.

- Gdzie jest Baine? - zagrzmiał pułkownik Mering. - Nie przyprowadziłaś go? I powiedz Tossie, żeby natychmiast zeszła. Matka jej potrzebuje.

Jane usiadła na pozłacanym krzesełku, zarzuciła sobie fartuszek na głowę i zaczęła beczeć.

- No, no, o co chodzi? - chrząknął pułkownik Mering. - Wstawaj, dziewczyno.

- Verity - odezwała się pani Mering, ściskając słabo ramię Verity. - List. Przeczytaj. Ja nie wytrzymam...

Verity posłusznie przestała wachlować i podniosła list do oczu.

- „Najdroższy papo i kochana mamciu" - przeczytała i zrobi taką minę, jakby sama miała zemdleć.

Ruszyłem w jej stronę, ale milcząco potrząsnęła głową i czytała dalej:

- „Najdroższy papo i kochana mamciu, kiedy przeczytacie ten list, będę już zamężną kobietą".

- Zamężną? - powtórzył pułkownik Mering. - Jak to zamężną?

- „...i będę szczęśliwsza, niż kiedykolwiek marzyłam - czytała dalej Verity. - Bardzo mi przykro, że tak was oszukałam, zwłaszcza papę, który jest chory, lecz bałam się, że kiedy poznacie nasze zamiary, zabronicie mi małżeństwa, i wiem, że kiedy poznacie kochanego Baine'a tak jak ja... - głos Verity załamał się, ale po chwili podjęła czytanie, blada jak śmierć - ...tak jak ja, nie zobaczycie w nim sługi, lecz najlepszego, najdroższego, najwspanialszego człowieka na świecie i przebaczycie nam obojgu".

- Baine? - powtórzył tępo pułkownik Mering.

- Baine - szepnęła Verity. Upuściła list na kolana i spojrzała na mnie rozpaczliwie, potrząsając głową. - Nie. Ona nie mogła.

- Uciekła z kamerdynerem? - upewnił się Terence.

- Och, panie St. Trewes, mój biedny chłopcze! - zawołała pani Mering, przyciskając ręce do łona. - Czy jest pan zdruzgotany?

Nie wydawał się zdruzgotany. Wydawał się raczej oszołomiony i miał ten dziwny, niezdecydowany wyraz twarzy żołnierza, który właśnie stracił nogę albo dowiedział się, że odsyłają go do domu, ale to jeszcze do niego nie dotarło.

- Baine? - warknął pułkownik Mering i spojrzał groźnie na Jane. - Jak do tego doszło?

- Czytaj dalej, Verity - poprosiła pani Mering. - Musimy wiedzieć najgorsze.

- Najgorsze - wymamrotała Verity i podniosła list. - „Na pewno jesteście ciekawi, jak to się stało tak szybko".

Łagodnie mówiąc.

- „Wszystko zaczęło się podczas naszej wycieczki do Coventry". - Umilkła, niezdolna czytać dalej.

Pani Mering niecierpliwie wyrwała jej list.

- „...naszej wycieczki do Coventry - podjęła - na którą wysłały nas duchy, teraz to wiem, żebym mogła znaleźć swoją prawdziwą miłość". Lady Godiva! Ona ponosi całkowitą odpowiedzialność za to wszystko! - Ponownie spojrzała na list. - „Kiedy tam byliśmy, podziwiałam piedestałową figuralną urnę z kutego żelaza na nóżkach, która, co teraz wiem, była w okropnym guście, całkowicie pozbawiona prostoty formy i kształtu, ale ja nigdy nie otrzymałam należytego wykształcenia w

dziedzinie Poezji i Literatury i nie nauczono mnie Wrażliwości Artystycznej, i byłam tylko bezmyślną, zepsutą ignorantką.

Zapytałam Baine'a, gdyż tak ciągle o nim myślę, chociaż teraz muszę zacząć nazywać go Williamem i ukochanym mężem! Mąż! Jakże słodko brzmi to cudowne słowo! Zapytałam, czy podziela mój zachwyt nad żelazną figuralną urną. Zaprzeczył. Nie tylko jej nie pochwalił, ale nazwał ohydną i oświadczył, że skoro mi się podoba, to świadczy o moim plebejskim guście.

Jeszcze nigdy nikt mi się nie sprzeciwił. Wszyscy zawsze przyklaskiwali moim opiniom i zgadzali się ze wszystkim, co powiedziałam, oprócz kuzynki Verity, która poprawiła mnie raz czy dwa, ale tłumaczyłam to brakiem męża i perspektyw zamążpójścia. Próbowałam jej pomóc, żeby lepiej układała włosy, ale niewiele mogłam zrobić dla tego biedactwa".

- W ten sposób spaliła za sobą mosty - mruknąłem.

- „Może teraz, kiedy wyszłam za mąż, pan Henry zwróci na nią uwagę - czytała pani Mering. - Próbowałam go nakłonić ku niej, lecz niestety on widział tylko mnie. Stworzyliby dobrą parę, chociaż brakuje im urody i inteligencji, ale pasują do siebie".

- Wszystkie mosty - rzuciłem przez zęby.

- „Nie przywykłam, żeby mi się sprzeciwiano, i najpierw byłam zła, ale kiedy zemdlałaś w pociągu, mamo, poszłam po niego i on był taki silny, zaradny i opiekuńczy wobec ciebie, mamo, że spojrzałam na niego nowymi oczami i zakochałam się w nim wtedy, w przedziale kolejowym".

- To wszystko moja wina - wymamrotała Verity. - Gdybym nie nalegała na wycieczkę do Coventry...

- „Ale byłam zbyt uparta, żeby przyznać się do tego uczucia - ciągnęła pani Mering - i następnego dnia zażądałam, żeby mnie przeprosił. Odmówił, pokłóciliśmy się i on wrzucił mnie do rzeki, a potem mnie pocałował i to było takie romantyczne, och, mamo! Całkiem jak u Szekspira, którego sztuki mój ukochany mąż każe mi czytać, zaczynając od «Poskromienia złośnicy»".

Pani Mering opuściła list.

- Czytać książki! Oto powód tego wszystkiego! Mesiel, nigdy nie powinieneś był najmować służącego, który czyta książki! To wyłącznie twoja wina. Ciągle czytał Ruskina, Darwina i Trollope'a. Trollope; Cóż to za nazwisko dla pisarza? A jego nazwisko! Służący powinni nosić solidne angielskie nazwiska. „Używałem go, kiedy pracowałem u lorda Dunsany'ego", powiedział. „No, tutaj z pewnością nie będziecie go używać", odpowiedziałam. Oczywiście czego można się spodziewać po człowieku, który nie chciał przebierać się do obiadu? On też czytał książki. Okropne socjalistyczne bzdury. Bentham i Samuel Butler.

- Kto? - zapytał pułkownik zbity z tropu.

- Lord Dunsany. Okropny człowiek, ale ma kuzyna, który odziedziczy połowę Hertfordshire i Tossie mogła być przedstawiona na dworze, a teraz... teraz...

Zachwiała się i Terence sięgnął po sole trzeźwiące, ale odsunęła je zirytowanym gestem.

- Mesiel! Nie siedź tak! Zrób coś! Trzeba jakoś ich powstrzymać, zanim będzie za późno!

- Już jest za późno - szepnęła Verity.

- Może nie. Może wyjechali dopiero dzisiaj rano - odezwałem się, zebrałem stroniczki listu i przejrzałem je dokładnie. Pokryte były ozdobnym pismem Tossie, wykrzyknikami i podkreśleniami, a gdzieniegdzie widniały wielkie kleksy. Szkoda, że nie kupiła wycieraczki do piór na naszym kiermaszu staroci, pomyślałem bez związku. - „Nie próbujcie nas powstrzymać - przeczytałem. - Zanim otrzymacie ten list, weźmiemy ślub w urzędzie stanu cywilnego w Surrey i wyruszymy do naszego nowego domu. Mój najdroższy mąż - ach, to najcudowniejsze słowo! - uważa, że lepiej nam będzie w społeczeństwie mniej skrępowanym archaiczną strukturą klasową, w kraju, gdzie każdy

może nosić takie nazwisko, jakie zapragnie, i dlatego popłyniemy do Ameryki, gdzie mój mąż - ach, znowu to słodkie słowo! - zamierza zarabiać na życie jako filozof. Księżniczka Ardżumand towarzyszy nam, ponieważ nie zniosłabym rozłąki jednocześnie z nią i z wami, a papa pewnie by ją zabił, gdyby dowiedział się o złotej rybce calico".

- Mój perłowy ryunkin! - jęknął pułkownik, podrywając się z krzesła. - Co z nim?

- „Zjadła rybkę. Och, drogi papo, czy potrafisz przebaczyć jej w swoim sercu tak jak mnie?"

- Musimy ją wydziedziczyć - oświadczyła pani Mering.

- Koniecznie musimy - zgodził się pułkownik. - Ten ryunkin kosztował dwieście funtów!

- Colleen! - zawołała pani Mering. - To znaczy Jane! Przestań chlipać i przynieś mi pulpit do pisania. Zamierzam napisać do niej że od dzisiejszego dnia nie mamy córki.

- Tak, psze pani - chlipnęła Jane i wytarła nos w fartuszek. Spojrzałem na nią, myśląc o podwójnym imieniu Colleen/Jane i o pani Chattisbourne, która nazywała wszystkie swoje służące Gladys. Próbowałem przypomnieć sobie, co pani Mering powiedziała o Bainie. „Używałem go, kiedy pracowałem u lorda Dunsany'ego". A co powiedziała pani Chattisbourne tamtego dnia, kiedy zbieraliśmy dary na kiermasz staroci? „Zawsze uważałam, że nie nazwisko tworzy kamerdynera, tylko szkolenie".

Colleen/Jane wróciła z pulpitem, pociągając nosem.

- W tym domu nikt już nigdy nie wymówi imienia Tocelyn - oznajmiła pani Mering, siadając przy biurku. - Od tej chwili jej imię nigdy nie przejdzie mi przez usta. Wszystkie listy Tocelyn odeślemy nie otwarte. - Wzięła pióro i atrament.

- Jak się dowiemy, dokąd wysłać list z wiadomością o wydziedziczeniu, jeśli nie będziemy otwierać jej listów? - zapytał pułkownik Mering.

- Już za późno, prawda? - powiedziała do mnie Verity. - Nie możemy nic zrobić.

Nie słuchałem. Złożyłem stroniczki listu i spojrzałem na ostatnią kartkę.

- Od dzisiaj będę nosić żałobę - mówiła pani Mering. - Jane, idź na górę i wyprasuj moją czarną bombazynę. Mesiel, kiedy ktoś cię zapyta, musisz powiedzieć, że nasza córka umarła.

Znalazłem zakończenie listu. Tossie podpisała się: „Wasza skruszona córka Tocelyn", a potem przekreśliła „Tocelyn" i napisała swoje nowe nazwisko.

- Posłuchaj - zwróciłem się do Verity i zacząłem czytać:

- „Proszę, powiedzcie Terence'owi, iż wiem, że nigdy mnie nie zapomni, ale niech się stara i niech nie zazdrości nam szczęścia, ponieważ Baine i ja byliśmy sobie przeznaczeni".

- Jeśli ona naprawdę wyjechała i poślubiła tego człowieka - odezwał się Terence, któremu zaświtała nadzieja - to moje zaręczyny są zerwane.

Zignorowałem go.

- „Mój kochany William nie wierzy w Przeznaczenie - brnąłem dalej - i mówi, że jesteśmy istotami obdarzonymi Wolną Wolą, ale według niego żona ma prawo do własnych opinii, a cóż to było innego, jeśli nie Przeznaczenie? Bo gdyby Księżniczka Ardżumand nie zginęła, nigdy nie pojechalibyśmy do Coventry..."

- Przestań -jęknęła Verity - proszę.

- Musisz wysłuchać reszty - nalegałem. - „...do Coventry. I gdybym nie zobaczyła tej żelaznej figuralnej urny, nigdy nie bylibyśmy razem. Napiszę, kiedy osiedlimy się w Ameryce. Wasza skruszona córka - zakończyłem, kładąc nacisk na każde słowo - pani Williamowa Patrickowa Callahan".

Popatrz tylko! Nie miałem pojęcia, że podchodzimy do tego od niewłaściwej strony.

Lord Peter Wimsey

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Rozczarowanie -Jak się kończą powieści kryminalne - Pani Mering obwinia pułkownika - Co To Znaczy - Szczęśliwe zakończenie dla Cyryla - Pani Mering obwinia Verity - Propozycja seansu spirytystycznego - Pakowanie - Przeczucia - Pani Mering obwinia mnie - Finchowi nadal nie wolno powiedzieć - Czekając na pociąg - Zniknięcie strusiej nogi biskupa - Co To Znaczy

No, to nie było takie zakończenie jak w powieściach Agathy Christie, kiedy Herkules Poirot zbiera wszystkich w salonie, żeby ujawnić mordercę i olśnić wszystkich swoimi zdumiewającymi zdolnościami dedukcji.

I stanowczo nie przypominało to książki Dorothy Sayers, z bohaterem detektywem mówiącym do swojej asystentki: „Kapitalna z nas para detektywów, że tak powiem. Co ty na to, żebyśmy założyli stały zespół, hę?", a potem oświadcza się po łacinie.

Nie byliśmy nawet drugorzędną parą detektywów. Nie rozwiązaliśmy sprawy. Sprawa rozwiązała się sama bez naszej pomocy. Gorzej, stanowiliśmy przeszkodę, którą trzeba było usunąć z drogi, zanim historia mogła skorygować swój bieg. Oto jak kończy się świat, nie z hukiem, a z mezaliansem.

Chociaż nie zabrakło również skowytu. Pani Mering wydawała go co chwilę, a ponadto jęczała, szlochała i przyciskała list do łona.

- O, moja najdroższa córko! - łkała. - Mesiel, nie stój tak. Zrób coś!

Pułkownik rozejrzał się niepewnie.

- Co mogę zrobić, moja droga? Według listu Tossie oni już odpłynęli.

- Nie wiem. Zatrzymaj ich. Anuluj małżeństwo. Wyślij telegram do Królewskiej Marynarki! - Urwała, chwyciła się za serce i wykrzyknęła: - Madame Iritosky próbowała mnie ostrzec! Powiedziała: „Strzeż się C!"

- Phi! Mnie się zdaje, że gdyby naprawdę miała kontakt z tamtym światem, wymyśliłaby lepsze ostrzeżenie - uznał pułkownik.

Ale pani Mering nie słuchała.

- Tamtego dnia w Coventry. Miałam przeczucie... och, gdybym tylko wtedy zrozumiała, co to znaczy, mogłam ją ocalić!

Upuściła trzepoczący list na podłogę. Verity schyliła się i podniosła go.

- „Napiszę, kiedy osiedlimy się w Ameryce - przeczytała cicho. -Wasza skruszona córka, pani Williamowa Patrickowa Callahan". William Patrick Callahan. - Potrząsnęła głową. - I co ty na to? - szepnęła. - Sprawcą był kamerdyner.

Kiedy to powiedziała, doznałem przedziwnego uczucia, zupełnie jakbym przeżył proroczą wizję pani Mering albo jakby podłoga zachwiała mi się pod nogami. Nagle przypomniałem sobie tłumek protestujący przeciwko katedrze i furtkę dla pieszych w Merton.

„Sprawcą był kamerdyner". A potem coś jeszcze. Coś ważnego. Kto tak powiedział? Verity, wyjaśniająca kryminały? „To był zawsze ktoś najmniej podejrzany", mówiła w mojej sypialni tej pierwszej nocy. „W pierwszej setce kryminałów sprawcą był kamerdyner, a później on był najbardziej podejrzany, więc musieli się przerzucić na innych nieprawdopodobnych zbrodniarzy, no wiesz, nieszkodliwa starsza pani albo kochająca żona pastora, te rzeczy, ale czytelnicy szybko się połapali i autor musiał zrobić mordercę z detektywa albo narratora,

chociaż..."

Ale nie o to chodziło. Ktoś inny powiedział: „Sprawcą był kamerdyner". Ale kto? Nikt stąd. Tutaj

jeszcze nie wymyślono kryminałów, z wyjątkiem „Księżycowego kamienia". „Księżycowy kamień". Tossie coś powiedziała o „Księżycowym kamieniu", o nieświadomym popełnieniu przestępstwa. I coś jeszcze. Coś o rozpływaniu się w powietrzu.

- A sąsiedzi! - zawodziła pani Mering. - Co powie pani Chattisbourne, kiedy się dowie? A wielebny pan Arbitage?

Nastąpiła długa chwila ciszy, którą mąciły tylko szlochy pani Mering, a potem Terence odwrócił się do mnie i powiedział:

- Czy wiesz, co to znaczy?

- Och, Terence, biedny, biedny chłopcze! - zajęczała pani Mering. - Miałbyś pięć tysięcy funtów rocznie!

Zapłakana pozwoliła, żeby pułkownik wyprowadził ją z salonu. Patrzyliśmy, jak wchodzą po schodach. W połowie drogi pani Mering zachwiała się na mężowskim ramieniu.

- Będziemy musieli nająć nowego kamerdynera! - zawołała z rozpaczą. - Gdzie ja teraz znajdę nowego kamerdynera? To wyłącznie twoja wina, Mesiel. Gdybyś mi pozwolił nająć angielskich służących zamiast irlandzkich... - zapłakała rzewnie.

Pułkownik Mering podał jej chusteczkę.

- No, no, moja droga - zamruczał - nie przejmuj się tak bardzo. Jak tylko znikli nam z oczu, Terence powtórzył:

- Czy wiesz, Co To Znaczy? Nie jestem zaręczony. Jestem wolny i mogę poślubić Maud. „O, wielny dniu! Kalej! Kalu!"

Cyryl wyraźnie zrozumiał, Co To Znaczy. Usiadł prosto i zaczął merdać całym ciałem.

- Ty już wiesz, prawda, mój stary? - zagadnął go Terence. - Koniec sypiania w stajni.

I koniec dziecinnego gaworzenia, pomyślałem. Koniec kłopotów z Księżniczką Ardżumand.

- Odtąd będziesz miał jedwabne życie - ciągnął Terence. - Sypianie w domu i jazda pociągiem, i tyle kości od rzeźnika, ile zmieścisz! Maud uwielbia buldogi!

Cyryl rozdziawił mordę w szerokim, zaślinionym uśmiechu czystego szczęścia.

- Muszę natychmiast wracać do Oksfordu. Kiedy odchodzi następny pociąg? Szkoda, że Baine'a nie ma. On by wiedział.

Popędził po schodach. Na szczycie zatrzymał się i przechylił przez poręcz.

- Ona chyba mi wybaczy, jak myślisz?

- Że byłeś zaręczony z niewłaściwą dziewczyną? Drobna pomyłka - zapewniłem. - Każdemu może się zdarzyć. Popatrz na Romea. Kochał się w niejakiej Rozalinie. Julii nigdy to nie przeszkadzało.

- „Kochałżem dotąd? - zacytował Terence, wyciągając dramatycznie rękę w stronę Verity. - O, zaprzecz, mój wzroku! Boś jeszcze nie znał równego uroku!"

Znikł w korytarzu na górze.

Spojrzałem na Verity. Stała z rękami opartymi na słupku poręczy i odprowadzała Terence'a smutnym wzrokiem.

Ona jutro wróci do tysiąc dziewięćset trzydziestego któregoś roku, pomyślałem i zrozumiałem, Co To Znaczy. Wróci do depresji gospodarczej i czytania powieści kryminalnych, obetnie na pazia swoje piękne rude włosy i naciągnie jedwabne pończochy ze szwem na długie nogi, których nigdy nie widziałem. I już nigdy jej nie zobaczę.

Nie, pewnie zobaczę ją na konsekracji. Jeśli pozwolą mi przyjść. Jeśli lady Schrapnell nie przydzieli mnie na stałe do kiermaszów staroci, kiedy jej powiem, że strusiej nogi biskupa nie było w katedrze.

A jeśli zobaczę Verity na konsekracji, co właściwie mam jej powiedzieć? Terence musiał

przeprosić tylko za to, iż myślał, że jest zakochany. Ja musiałem przeprosić za to, że tak bardzo namieszałem w porządku rzeczy, że trzeba było zamknąć mnie w lochu na okres naprawy. Żaden powód do dumy. Lepiej już niech mnie wsadzą za stragan z robótkami ręcznymi.

- Będę tęskniła za tym wszystkim - powiedziała Verity, wciąż patrząc na schody. - Powinnam się cieszyć, że wszystko dobrze się skończyło i kontinuum się nie załamie... - Zwróciła na mnie swoje piękne oczy najady. - Chyba niekongruencja została naprawiona, jak myślisz?

- Jest pociąg o dziewiątej czterdzieści trzy - zawołał Terence, zbiegając ze schodów z neseserem w jednej ręce i kapeluszem w drugiej. - Baine przezornie zostawił rozkład jazdy w moim pokoju. Przyjazd o jedenastej dwie. Chodź, Cyrylu, jedziemy się zaręczyć. Gdzie on się podział? Cyryl! - Znikł w salonie.

- Tak - powiedziałem do Verity. - Całkowicie naprawiona.

- Ned, załatwisz, żeby odesłali łódź Jabezowi, dobrze? - poprosił Terence, zjawiając się z Cyrylem. - I żeby odesłano resztę moich rzeczy do Oksfordu?

- Tak - obiecałem. - Jedź. Uścisnął mi dłoń.

- Żegnaj. „Ahoj, mój druhu! To rozstania czas!" Zobaczymy się w przyszłym trymestrze.

- No... nie jestem pewien - mruknąłem i zrozumiałem, jak bardzo będzie mi go brakowało. - Do widzenia, Cyrylu. - Nachyliłem się, żeby poklepać psa po łbie.

- Nonsens. Wyglądasz znacznie lepiej, odkąd jesteśmy w Muchings End. Przed trymestrem św. Michała całkiem dojdziesz do zdrowia. Byczo się zabawimy na rzece - oznajmił Terence i wybiegł, a Cyryl radośnie podreptał za nim.

- Chcę, żeby natychmiast opuścili mój dom - odezwał się znękany głos pani Mering.

Oboje podnieśliśmy wzrok na schody. Gdzieś na górze trzasnęły drzwi.

- Absolutnie wykluczone! - oświadczyła pani Mering, po czym usłyszeliśmy mamrotanie ściszonych głosów. - I powiedz im...

Więcej mamrotania.

- Masz natychmiast zejść na dół i powiedzieć im. To wszystko przez nich!

Więcej mamrotania, a potem:

- Gdyby była odpowiednią przyzwoitką, do niczego by nie do... Trzaśniecie drzwi odcięło dalsze słowa, a za chwilę pułkownik

Mering zszedł po schodach z zakłopotaną miną.

- Za dużo tego wszystkiego dla mojej biednej drogiej żony - oznajmił, wpatrując się w dywan. - Nerwy. Bardzo delikatne. Potrzebuje wypoczynku i absolutnego spokoju. Najlepiej będzie, jeśli wrócisz do ciotki w Londynie, Verity, a pan do... - zabrakło mu konceptu.

- Do Oksfordu - podpowiedziałem.

- Ach tak, na studia. Bardzo mi przykro - powiedział pułkownik Mering do dywanu. - Chętnie służę powozem.

- Nie, nie trzeba - podziękowałem.

- Żaden kłopot - zapewnił. - Każę powiedzieć Baine'owi... - urwał skrępowany.

- Dopilnuję, żeby panna Brown dotarła na stację - obiecałem. Kiwnął głową.

- Muszę wracać do mojej biednej żony - mruknął i wszedł na schody.

Verity ruszyła za nim.

- Panie pułkowniku - zawołała, zatrzymując go w połowie drogi - uważam, że nie powinien pan wydziedziczyć córki.

Pułkownik miał zakłopotaną minę.

- Niestety Malwinia jest całkiem zdecydowana. Okropny wstrząs, rozumiecie. Kamerdyner i tak

dalej.

- Baine... to znaczy pan Callahan nie dopuścił, żeby kotka Tossie zjadła pańskiego Czarnego Maura - przypomniałem.

Błąd.

- Ale pozwolił, żeby zjadła mojego wyłupiastookiego perłowego ryunkina - odparł gniewnie pułkownik. - Kosztował dwieście funtów.

- Ale zabrał Księżniczkę Ardżumand ze sobą i nie będzie więcej zjadała pańskich rybek - perswadowała mu Verity - i nie dopuścił, żeby madame Iritosky ukradła naszyjnik z rubinów cioci Malwinii. I on czyta Gibbona. - Oparła dłoń na słupku balustrady i spojrzała na pułkownika. - I to wasza jedyna córka.

Pułkownik Mering wzrokiem poszukał u mnie oparcia.

- Jak pan myśli, panie Henry? Czy ten kamerdyner będzie dla niej dobrym mężem?

- On ma na sercu tylko jej dobro - zapewniłem stanowczo. Pułkownik potrząsnął głową.

- Niestety moja żona postanowiła nigdy więcej nie odzywać się do córki. Powiedziała, że od tej chwili Tossie dla niej umarła.

Smutny ruszył po schodach.

- Ale ona jest spirytystką - zawołała Verity, biegnąc za pułkownikiem. - Ona może kontaktować się ze zmarłymi.

Twarz mu się rozjaśniła.

- Kapitalny pomysł! Urządzimy seans. - Radośnie poczłapał po schodach. - Uwielbia seanse. Może wystukać: „Wybaczam". Musi się udać. Nigdy nie myślałem, że te spirytualne brednie na coś się zdadzą.

Stuknął głośno trzy razy w poręcz schodów.

- Kapitalny pomysł!

Ruszył korytarzem, potem zawrócił i położył dłoń na ramieniu Verity.

- Powinnaś się spakować i jak najszybciej pojechać na stację. Mam na sercu tylko twoje dobro. Nerwy, rozumiesz.

- Doskonale rozumiem - przyświadczyła Verity i otworzyła drzwi do swojego pokoju. - Pan Henry i ja zaraz wyjeżdżamy. - Zamknęła za sobą drzwi.

Pułkownik Mering znikł w korytarzu. Drzwi otwarły się i natychmiast zamknęły, lecz głos pani Mering zdążył wyrwać się na zewnątrz niczym wrzask Czerwonej Królowej:

- ...jeszcze nie wjechali? Przecież ci mówiłam... Pora odejść.

Poszedłem na górę do swojego pokoju. Otworzyłem szafę i wyjąłem sakwojaż. Postawiłem go na łóżku, usiadłem obok i zacząłem rozmyślać o wszystkim, co się wydarzyło. Kontinuum jakimś cudem naprawiło niekongruencję, łącząc pary kochanków niczym w zakończeniu szekspirowskiej komedii, chociaż nie całkiem rozumiałem, jak tego dokonało. Rozumiałem natomiast, że chciało usunąć nas z drogi, kiedy się tym zajmowało. Więc posłużyło się podróżami w czasie jako ekwiwalentem zamknięcia nas w naszych pokojach.

Ale dlaczego musiało wysłać nas do Coventry podczas nalotu, do krytycznego punktu, gdzie mogliśmy wyrządzić znacznie większe szkody? Tylko czy Coventry było punktem krytycznym?

Świadczyła o tym jego niedostępność, a powiązania z Ultra logicznie to potwierdzały, może jednak nalot tylko dlatego był niedostępny, kiedy szukaliśmy strusiej nogi biskupa, że ja i Verity już tam byliśmy. Może był niedostępny, żeby oczyścić dla nas pole działania.

Jakiego działania? Mieliśmy popatrzeć, jak rektor Howard zanosi świeczniki i sztandar pułkowy na posterunek policji, i sprawdzić, że strusiej nogi biskupa nie było wśród ocalonych przedmiotów?

Zobaczyć, że nie było jej w kościele podczas nalotu?

Oddałbym wszystko, żeby tego nie widzieć, żebym nie musiał tego mówić lady Schrapnell. Ale tam jej nie było. Zastanawiałem się, kto ją ukradł i kiedy.

Musiał ją ukraść tego popołudnia. Carruthers mówił, że ta jędza z Komitetu Kwiatowego, panna Sharpe, twierdziła, jakoby widziała strusią nogę biskupa, kiedy wychodziła z katedry po zebraniu Komitetu Bazaru Adwentowego i Paczek dla Żołnierzy, że zatrzymała się i wyjęła z niej trzy zwiędłe kwiaty.

Wszystko zaczęło się przemieszczać jak wtedy, kiedy Finch powiedział: Jest pan na boisku Merton, więc chwyciłem się słupka od łóżka, jakby to była furtka dla pieszych.

Trzasnęły drzwi.

- Jane! - rozległ się głos pani Mering w korytarzu. - Gdzie moja czarna bombazyna?

- Tutaj, pszepani - odpowiedział głos Jane.

- O, zupełnie się nie nadaje! - znowu głos pani Mering. - O wiele za ciężka jak na czerwiec. Będziemy musieli zamówić żałobne stroje u Swana i Edgara. Mają śliczną miękką czarną krepę ze stanikiem obszywanym dżetami i plisowaną spódnicą.

Przerwa na otarcie łez lub planowanie garderoby.

- Jane! Zanieś tę wiadomość do Notting Hill. I ani słówka pani Chattisbourne. Słyszysz? - Trzaśniecie.

- Tak, pszepani - potulnie wymamrotała Jane.

Stałem ściskając słupek od łóżka i próbowałem na powrót schwytać tę myśl, to dziwne uczucie, którego doznałem przed chwilą, ale umknęło równie szybko, jak się zjawiło. To samo musiało przydarzyć się pani Mering w katedrze. Nie odebrała żadnej wiadomości ze świata duchów ani od lady Godivy, tylko spojrzała na Baine'a i Tossie i w jednym okamgnieniu wszystko wskoczyło na miejsce, i zobaczyła, na co się zanosi.

A potem widocznie to jej umknęło, bo inaczej natychmiast zwolniłaby Baine'a i wysłała Tossie na wycieczkę po Europie. Widocznie to znikło równie szybko, jak nadeszło, podobnie jak w moim przypadku, i ten dziwny wyraz jej twarzy, jakby sondowała nadłamany ząb, oznaczał próby uchwycenia zgubionej myśli.

Sprawcą był kamerdyner. Jeśli mogę jakoś odwdzięczyć się panu za uratowanie Księżniczki Ardżumand, zrobię dla pana wszystko", powiedział Baine i rzeczywiście odwdzięczył się. Z nawiązką. „Sprawcą był kamerdyner", powiedziała Verity i miała całkowitą rację.

Tylko że nie Verity tak powiedziała. Futrzana kobieta u Blackwella. „Zawsze sprawcą jest kamerdyner", powiedziała, a druga, ta z futrzanym kołnierzem podobnym do Cyryla, powiedziała: „Myślisz, że to pierwsza zbrodnia, a okazuje się, że druga. Prawdziwą zbrodnię popełniono dużo wcześniej. Nikt nawet nie wiedział, że popełniono pierwszą zbrodnię". Prawdziwa zbrodnia. Przestępstwo popełnione nieświadomie. I coś jeszcze. O poślubieniu farmera.

- Ale kamerdyner! - wykrzyknął w korytarzu zbolały głos pani Mering, po którym nastąpiły uspokajające pomruki.

- Wcale nie trzeba było ich zapraszać! - oświadczył pułkownik.

- Gdyby nie poznała pana St. Trewesa - jęczała pani Mering - nigdy by nie pomyślała o małżeństwie.

Jej głos zamarł wśród cichnących łkań i z przyjemnością usłyszałem, że inni też żałują poniewczasie, ale naprawdę musiałem już odejść.

Otworzyłem komodę i spojrzałem na ubrania, które Baine schludnie poukładał. Wszystkie koszule należały do Elliotta Chattisbourne'a i epoki wiktoriańskiej. Podobnie kołnierzyki, mankiety i koszula

nocna. Nie miałem pewności co do skarpetek, ale żeby sieć się otwarła, musiałem nosić tę samą parę, w której przeskoczyłem. Chyba że zamierzałem stworzyć niekongruencję, w którym to przypadku nie byłoby nawet zwiększonego poślizgu.

A jeśli kontinuum próbowało pozbyć się Verity i mnie, dlaczego sieć po prostu nie odmówiła otwarcia za pierwszym razem, kiedy próbowaliśmy wrócić z Oksfordu po złożeniu raportu? Dlaczego się otworzyła, kiedy Verity przeniosła Księżniczkę Ardżumand? Baine nie próbował utopić kota. Ucieszyłby się, gdyby zobaczył Verity obok belwederku z Księżniczką Ardżumand na ręku, podziękowałby jej za uratowanie kota. Dlaczego sieć się otwarła, kiedy Verity za pierwszym razem przeskoczyła do Muchings End? To nie miało sensu.

Otworzyłem dolną szufladę. Baine starannie poskładał moje za małe koszule i wypastował za małe skórzane buty. Włożyłem je do sakwojażu i rozejrzałem się po pokoju za pozostałymi rzeczami. Nie brzytwy, na całe szczęście. Nie srebrne szczotki.

Mój słomkowy kapelusz panama leżał na nocnej szafce. Zacząłem go nakładać, ale zmieniłem zdanie. Nie czas na popisy.

Nic już nie miało sensu. Jeśli kontinuum nie chciało, żebym się wtrącał, dlaczego wyrzuciło mnie czterdzieści mil od celu? A Carruthersa na polu z dyniami? Dlaczego sieć nie chciała się otworzyć dla Carruthersa przez trzy tygodnie po nalocie? Dlaczego wysłała mnie do 2018 i 1395 roku, a Verity do 1940? I najważniejsze pytanie: dlaczego sprowadziła nas z powrotem?

- Amerykanin! - wrzasnęła pani Mering na końcu korytarza. - To wszystko przez pana Henry'ego. Te jego haniebne amerykańskie idee równości klasowej!

Stanowczo pora odejść. Zamknąłem sakwojaż i wyszedłem na korytarz. Zatrzymałem się przed drzwiami Verity i podniosłem rękę, zęby zapukać, ale zmieniłem zdanie.

- Gdzie jest Jane? - zagrzmiał głos pani Mering. - Dlaczego jeszcze nie wróciła? Irlandzka służba! To wszystko twoja wina, Mesiel. Ja chciałam nająć...

Szybko i cicho zszedłem po schodach. Colleen/Jane stała na dole, skręcając w dłoniach fartuszek.

- Zwolniła cię? - zapytałem.

- Nie, sorr, jeszcze nie - odparła, zerkając nerwowo w stronę pokoju pani Mering. - Ale jest taka zła.

Kiwnąłem głową.

- Czy panna Brown już zeszła?

- Tak, sorr. Kazała panu powiedzieć, że zaczeka na stacji.

- Na stacji? - powtórzyłem, a potem zrozumiałem, że miała na myśli miejsce skoku. - Dziękuję, Jane. Colleen. I powodzenia.

- Dziękuję, sorr. - Przeżegnała się i weszła na schody. Otworzyłem frontowe drzwi, a tam stał Finch w porannym

surducie i meloniku kamerdynera, jego dłoń już sięgała do kołatki.

- Pan Henry - powiedział. - Właśnie do pana przyszedłem. Zamknąłem za sobą drzwi i zaprowadziłem go do miejsca, gdzie nikt nie mógł nas zobaczyć przez okna.

- Tak się cieszę, że złapałem pana przed wyjazdem, sir - powiedział Finch. - Mam dylemat.

- Ja go raczej nie rozwiążę - odparłem.

- Widzi pan, prawie zakończyłem swoją misję i mogę wrócić nawet jutro rano, ale pani Chattisbourne wydaje jutro herbatę, żeby zaplanować kiermasz w dniu św. Anny. To dla niej bardzo ważne, więc postanowiłem zostać i dopilnować, żeby wszystko poszło gładko. Ta jej podkuchenna Gladys ma kurzy móżdżek i...

- I boi się pan, że nie zdąży na konsekrację, jeśli pan zostanie kilka dni dłużej? - dokończyłem.

- Nie. Zapytałem pana Dunworthy'ego, a on powiedział, że nic nie szkodzi, mogą mnie ściągnąć w tym samym czasie. Nie, mój dylemat jest inny. - Wyciągnął do mnie małą kopertę ze złotymi wytłaczanymi inicjałami M.M. - To oferta zatrudnienia od pani Mering. Chce, żebym został jej kamerdynerem.

Więc dlatego Colleen/Jane miała na sobie płaszcz. Córka pani Mering uciekła z kamerdynerem i złamała jej serce, więc zbolała matka czym prędzej wysłała Colleen/Jane do Chattisbourne'ów, żeby podkupić Fincha.

- To bardzo dobra oferta, sir - oznajmił Finch. - Wiele przemawia za jej przyjęciem.

- I chce pan zostać na stałe w epoce wiktoriańskiej?

- Ależ skąd, sir! Chociaż - wyznał tęsknie - są chwile, kiedy czuję, że właśnie tutaj odnalazłem swoje prawdziwe *metier*. Nie, mój dylemat polega na tym, że Muchings End znacznie lepiej nadaje się dla mojej misji niż dom Chattisbourne'ów. Jeśli prawidłowo rozpoznałem oznaki, zakończę misję dzisiaj wieczorem i to nie będzie miało znaczenia, ale może się okazać, że potrzeba jeszcze kilku dni. A w takim wypadku moja misja...

- Co to za misja, panie Finch? - zapytałem zirytowany. Przybrał pełen ubolewania wyraz twarzy.

- Niestety nie wolno mi powiedzieć. Pan Lewis zobowiązał mnie do dochowania tajemnicy, a ponadto byłem świadkiem wydarzeń, o których pan nie wie, i mam dostęp do informacji, których pan nie posiada, i nie ośmielę się narażać naszych misji przez niepotrzebne gadanie. „Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami", jak pan wie.

Ponownie doznałem tego dziwnego poczucia dezorientacji, wrażenia, że wszystko przesuwa się i zmienia miejsce. Próbowałem to uchwycić tak, jak chwyciłem furtkę dla pieszych.

„Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami". Wiedziałem, kto to powiedział. Sam tak powiedziałem, mając na myśli Ultrę, Coventry i tajemnice jako punkty krytyczne. Chodziło o Ultrę i co by było, gdyby naziści odkryli, że złamaliśmy ich kod... nie, to bez sensu. Ledwie coś zaczęło się układać, kiedy znowu znikło.

- Jeśli misja zabierze kilka dni - mówił Finch - Muchings End leży znacznie bliżej plebanii i miejsca skoku. I wcale nie porzucam pani Chattisbourne na pastwę losu. Znalazłem już dla niej doskonałego kamerdynera przez agencję w Londynie. Wyślę do niego telegram o wolnej posadzie, zanim odejdę. Ale chyba nie postąpię uczciwie, jeśli przyjmę posadę u pani Mering, skoro nie zamierzam zostać. Mogę poszukać dla niej zastępcy, ale...

- Nie - przerwałem mu. - Niech pan weźmie tę posadę. I proszę nie zawiadamiać o swoim odejściu. Tylko zniknąć. Pani Mering powinna trochę pocierpieć z powodu niesolidnej służby, żeby nauczyła się doceniać swojego nowego zięcia. No i dostanie nauczkę, żeby nie podkradać służby przyjaciołom.

- Och, doskonale, sir - rozpromienił się Finch. - Dziękuję panu. Powiem jej, że przyjmę tę posadę po herbacie u pani Chattisbourne - Znowu ruszył w stronę drzwi. - I proszę się nie martwić, sir. Zawsze najciemniej jest przed świtem.

Uniósł kołatkę, a ja pospieszyłem w stronę belwederku. W ostatniej chwili przypomniałem sobie kombinezon i płaszcz burberry, więc zbiegłem do piwnicy na wino, zabrałem tłumoczek i schowałem do sakwojażu. Kombinezon miał naszywki COP, a Burberry zaczął wytwarzać płaszcze przeciwdeszczowe dopiero w 1903 roku, za piętnaście lat. Ostatnie, czego potrzebowaliśmy, to spowodowanie następnej niekongruencji.

Zamknąłem sakwojaż i znowu poszedłem na miejsce skoku. Zastanawiałem się, czy Verity tam będzie, czy może już przeskoczyła do Oksfordu, żeby uniknąć niezręcznych pożegnań.

Ale była tam, w białym kapeluszu, z torbami po obu stronach, jakby stała na peronie kolejowym.

Podszedłem do niej.

- No więc - zacząłem, stawiając sakwojaż.

Spojrzała na mnie spoza białej woalki, a ja pomyślałem sobie, jaka szkoda, że w pojedynkę nie uratowałem wszechświata. Skoro jednak nie uratowałem, popatrzyłem na peonie za belwederkiem i zapytałem:

- Kiedy następny pociąg?

- Za pięć minut - powiedziała. - Jeśli się otworzy.

- Otworzy się - zapewniłem. - Tossie poślubiła pana C, Terence zaręczy się z Maud, ich wnuk poprowadzi nocny nalot na Berlin, Luftwaffe przestanie bombardować lotniska i zacznie bombardować Londyn, i wszystko będzie dobrze.

- Pomimo naszych wysiłków.

- Pomimo naszych wysiłków - przyznałem. Zapatrzyliśmy się na peonie.

- Pewnie się cieszysz, że już po wszystkim - mruknęła Verity. - No bo w końcu dostaniesz, czego chciałeś.

Spojrzałem na nią. Odwróciła wzrok.

- To znaczy wyśpisz się.

- Już tak bardzo mi nie zależy - powiedziałem. - Nauczyłem się obywać bez snu.

Jeszcze trochę popatrzyliśmy na peonie.

- Ty pewnie wrócisz do swoich kryminałów - odezwałem się po następnej chwili milczenia.

Potrząsnęła głową.

- Są takie nieżyciowe. Zawsze kończą się rozwiązaniem zagadki i naprawieniem błędów. Panna Marple nigdy nie uciekała do Coventry, żeby inni sprzątali po niej bałagan. - Próbowała się uśmiechnąć. - Co teraz będziesz robił?

- Pewnie kiermasze staroci. Podejrzewam, że lady Schrapnell wyznaczy mnie na stałe do kokosowych rzutków, kiedy się dowie, że strusiej nogi biskupa jednak tam nie było.

- Gdzie nie było?

- W katedrze - wyjaśniłem. - Widziałem wyraźnie północne przejście, kiedy wychodziliśmy. Postument tam był, ale nie było strusiej nogi biskupa. Wolałbym jej nie mówić, tak bardzo jej na tym zależało. Dziwne, ale ktoś musiał zabrać urnę na przechowanie.

Verity zmarszczyła brwi.

- Na pewno patrzyłeś we właściwą stronę? Przytaknąłem.

- Przed przegrodą Kaplicy Kowali, pomiędzy trzecią a czwartą kolumną.

- Ale to niemożliwe - zaprotestowała. - Ona tam była. Widziałam ją.

- Kiedy? - zapytałem. - Kiedy ją widziałaś?

- Zaraz po przeskoku - wyjaśniła.

- Gdzie?

- W północnym przejściu. W tym samym miejscu, gdzie stała, kiedy wczoraj tam byliśmy.

Powietrze lekko zaszeptało i sieć zaczęła migotać. Verity pochyliła się, podniosła swoje torby i weszła na trawę.

- Czekaj - chwyciłem ją za ramię. - Powiedz mi dokładnie, kiedy i gdzie ją widziałaś.

Spojrzała niespokojnie na migoczącą sieć.

- Powinniśmy chyba...

- Złapiemy następny - obiecałem. - Powiedz mi dokładnie, co się stało. Przeskoczyłaś w sanktuarium...

Przytaknęła.

- Syreny wyły, ale nie słyszałam samolotów i w kościele było ciemno. Nad ołtarzem paliła się lampka i druga na tęczy. Pomyślałam, ze lepiej zostanę w pobliżu skoku na wypadek, gdyby sieć zaraz się otwarła. Więc schowałam się w zakrystii i czekałam, i po chwili zobaczyłam pochodnie przez drzwi zakrystii, i służba pożarowa poszła na dach, i usłyszałam, jak jeden z nich mówi: „Może lepiej zaczniemy wynosić rzeczy z zakrystii?", więc przekradłam się do Kaplicy Bławatników. Stamtąd widziałam miejsce skoku.

- A potem Kaplica Bławatników zaczęła się palić? Verity przytaknęła.

- Podeszłam do drzwi zakrystii, ale tam było tyle dymu i widocznie źle skręciłam. Trafiłam na chór. Właśnie wtedy rozcięłam sobie rękę o arkadę. Pamiętałam, że wieża się nie spaliła, więc uklękłam na podłodze i przeczołgałam się wzdłuż poręczy chóru do nawy, a potem czołgałam się nawą, aż dym zrobił się rzadszy i mogłam wstać.

- Kiedy to było?

- Nie wiem - odparła, oglądając się nerwowo na sieć. - A jeśli już się więcej nie otworzy? Może powinniśmy o tym porozmawiać w Oksfordzie.

- Nie - zaprzeczyłem. - Kiedy stanęłaś w nawie?

- Nie wiem! Trochę wcześniej, zanim zaczęli wynosić rzeczy. Migotanie urosło w stały blask. Zignorowałem to.

- No dobrze. Czołgałaś się nawą... - podpowiedziałem.

- Czołgałam się nawą i kiedy dotarłam do połowy, dym zaczął rzednąć i zobaczyłam zachodnie drzwi. Przytrzymałam się kolumny i wstałam, i ona tam była, przed ażurową przegrodą. Na postumencie. Stał w niej duży bukiet żółtych chryzantem.

- Jesteś pewna, że to była strusia noga biskupa?

- Trudno ją pomylić z czym innym. Ned, o co ci chodzi?

- Co wtedy zrobiłaś?

- Pomyślałam, no, przynajmniej do czegoś doszłam. Mogę powiedzieć Nedowi, że urna tam była podczas nalotu. Jeżeli wyjdę stamtąd żywa. I poszłam do drzwi wieży. Przejście blokowała przewrócona ława i musiałam ją obejść, i zanim dotarłam do wieży, weszli ludzie ze służby pożarowej i zaczęli wynosić rzeczy.

- I? - ponagliłem.

- Pobiegłam do Kaplicy Czapników i tam się schowałam.

- Jak długo tam siedziałaś?

- Nie wiem. Jakiś kwadrans. Ktoś ze służby pożarowej wrócił i zabrał księgi z ołtarza. Zaczekałam, aż odejdzie, a potem wyszłam cię poszukać.

- Przez południowe drzwi? - upewniłem się.

- Tak - potwierdziła, patrząc na sieć. Zaczęła przygasać i zanikać.

- Czy przed drzwiami na schodach byli ludzie, kiedy wyszłaś?

- Tak. Jeśli zmarnowaliśmy szansę na powrót do domu...

- Czy ktoś ze służby zbliżył się do strusiej nogi biskupa?

- Nie. Wchodzili do sanktuarium i do zakrystii, a jeden pobiegł i zabrał świeczniki i krzyż z Kaplicy Kowali.

- Niczego więcej nie zabrał?

- Tak.

- Na pewno?

- Na pewno. Musiał wrócić na koniec nawy i wynieść je południowym przejściem, z powodu dymu. Przebiegł tuż obok mnie.

- Widziałaś kogoś z nich w Kaplicy Sukienników?
- Nie.
- A sama nie wchodziłaś do Kaplicy Sukienników?
- Mówiłam ci. Przeskoczyłam w sanktuarium, potem byłam w Kaplicy Bławatników i na chórze. Nigdzie więcej.
- Widziałaś północne drzwi z miejsca, gdzie się schowałaś? Przytaknęła.
- I nikt tamtędy nie wyszedł?
- Były zamknięte na klucz - wyjaśniła. - Słyszałam, jak jeden ze służby pożarowej mówi do drugiego, żeby otworzyć północne drzwi, żeby straż pożarna mogła tamtędy wnieść węże, a tamten odpowiedział, że muszą otworzyć od zewnątrz, bo Kaplica Kowali płonie.
- A zachodnie drzwi? Drzwi wieży?
- Nie. Wszyscy ze służby wyszli przez drzwi zakrystii.
- Widziałaś jeszcze kogoś w katedrze? - zapytałem. - Oprócz służby pożarowej? I strażaków?
- W katedrze? Ned, w katedrze był pożar.
- Jak byli ubrani ci ze służby pożarowej?
- Ubrani? - powtórzyła tępo. - Nie wiem. W mundury. Kombinezony. Ee... kościelny miał blaszany hełm.
- Czy któryś z nich był ubrany na biało?
- Na biało? Nie, skąd. Ned, co...?
- Czy widziałaś zachodnie drzwi... drzwi do wieży... ze swojej kryjówki?

Przytaknęła.

- I nikt nie wyszedł zachodnimi drzwiami, kiedy patrzyłaś? Nie widziałaś nikogo w Kaplicy Sukienników?
- Nie. Ned, o co ci chodzi?

Północne drzwi były zamknięte na klucz, a Verity wyraźnie widziała południowe drzwi, a na zewnątrz przez cały czas byli ludzie - grupka gapiów i dwaj wałkonie pod latarnią.

Służba pożarowa korzystała z drzwi zakrystii, które wkrótce potem zablokował ogień, zaledwie rektor Howard zdążył wynieść księgi z ołtarza. Przy drzwiach zakrystii też byli ludzie. I krępy wartownik COP robił obchód. I herod-baba z Komitetu Kwiatowego pełniła wartę przed zachodnimi drzwiami. Nie było wyjścia z katedry.

Nie było wyjścia z katedry. Nie było wyjścia z laboratorium. I żadnej kryjówki. Oprócz sieci.

Chwyciłem Verity za ramiona. Schowałem się w sieci, za teatralną kurtyną, i słyszałem, jak Lizzie Bittner mówi: „Zrobię dla niego wszystko". W Oksfordzie, w 2018 roku. Gdzie T.J. wykrył obszar zwiększonego poślizgu.

„Dlatego że nie mamy takich skarbów jak Canterbury i Winchester", powiedziała Lizzie Bittner. Lizzie Bittner, której mąż pochodził od Botonerów, którzy zbudowali ten kościół w 1395 roku. Lizzie Bittner, która skłamała o otwartych drzwiach laboratorium. Która miała klucz.

„Myślisz, że to pierwsza zbrodnia, a okazuje się, że druga - powiedziała kobieta w futrze. - Pierwszą zbrodnię popełniono dużo wcześniej". Albo później. Ostatecznie to była podróż w czasie. A w jednym z symów Waterloo kontinuum cofnęło się do 1812 roku, żeby dokonać samokorekty.

A wskazówka, ten drobny fakt, który nie pasował, to był zwiększony poślizg. Zwiększony poślizg, który nie nastąpił przy skoku Verity, który nie powstrzymał jej przed uratowaniem kota, który przede wszystkim nie uchronił jej przed wywołaniem niekongruencji. Pięć minut w każdą stronę wystarczało, ale zamiast tego poślizg wynosił dziewięć minut. Dziewięć minut, które skierowały ją prosto na scenę zbrodni.

„Każda symulowana niekongruencja powoduje zwiększony poślizg w ośrodku", powiedział T.J. Każda symulacja. Nawet takie, gdzie niekongruencja była za duża, żeby kontinuum ją skorygowało. Każda.

Oprócz naszej.

My mieliśmy tylko trochę poślizgów w 2018 roku, zdaniem TJ. za dużych jak na taką odległość od ośrodka. I Coventry. Które stanowiło punkt krytyczny.

- Ned - powiedziała nagląco Verity. - Co się stało?

- Szsz - uciszyłem ją, ściskając jej ramiona jak wtedy zielone metalowe poręcze furtki dla pieszych w Merton. Prawie to miałem i jeśli tego nie zmącę nagłym ruchem czy rozproszeniem uwagi, zobaczę klarowną całość.

Poślizg występował za daleko od ośrodka, a rozbieżności wykrywano tylko w bezpośrednim otoczeniu niekongruencji. A futrzana dama w księgarni Blackwella powiedziała: „Cieszę się, że za niego wyszła". Mówiła o jakiejś kobiecie, która poślubiła farmera. „Gdyby nie on, dalej by tkwiła w Oksfordzie, działała w kościelnych komitetach i prowadziła kiermasze..."

- Ned? - odezwała się Verity.

- Szsz.

„Była przekonana, że ktoś ukradł strusią nogę biskupa", powiedział Carruthers. Miał na myśli tę „zgorzkniałą starą pannę", pannę Sharpe, która zarządzała Komitetem Kwiatowym.

A wartownik z COP powiedział: „Proszę stąd odejść, panno Sharpe" do siwowłosej kobiety, pilnującej zachodnich drzwi. Siwowłosa kobieta, która kogoś mi przypominała, odpowiedziała: „Nigdzie nie odejdę. Jestem wiceprzewodniczącą Katedralnego Kobiecego Kółka Parafialnego i kierowniczką Komitetu Kwiatowego".

Panna Sharpe, tak ją nazwał.

Panna Sharpe, która tak się przejęła, że oskarżała wszystkich, iż wiedzieli z góry o nalocie. Wysłała nawet list do wydawcy.

Napisała list do gazety, że ktoś wiedział wcześniej o nalocie.

W Coventry, które wiedziało zawczasu o nalocie. Które, w przeciwieństwie do Muchings End, nie było zapadłym kątem historii. Które było punktem krytycznym. Z powodu Ultry.

Ponieważ gdyby naziści dowiedzieli się, że mamy ich maszynę Enigma, to zmieniłoby przebieg wojny. Bieg historii.

A jedyny przypadek przeniesienia czegoś przez sieć do przodu stanowił część samokorekty.

Ściskałem ramiona Verity tak mocno, że musiało ją boleć.

- Ta młoda kobieta w katedrze - powiedziałem. - Jak się nazywała?

- W katedrze? - powtórzyła oszołomiona Verity. - Ned, tam nikogo nie było. W katedrze był pożar.

- Nie podczas nalotu - wyjaśniłem. - Tamtego dnia, kiedy tam pojechaliśmy z Tossie. Młoda kobieta, która przyszła do wikarego. Jak się nazywała?

- Nie pamiętam... coś jak kwiat - powiedziała Verity. - Marzanka?

- Ostróżka - poprawiłem. - Nie imię. Nazwisko.

- No... zaczynało się na S. Sherwood, nie, Sharpe - powiedziała Verity i świat obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, nie stałem przed bramą Balliol, tylko na boisku Merton, a tam, na Błoniach Christ Church, stała katedra z Coventry, ośrodek wszystkiego. - Ned, co się dzieje? - zapytała niespokojnie Verity.

- Patrzyliśmy na to od niewłaściwej strony - wyjaśniłem. - Ty wcale nie spowodowałaś niekongruencji.

- Ale... zbiegi okoliczności... - wyjąkała - i zwiększony poślizg w 2018. Musiała zaistnieć

niekongruencja.

- Zaistniała - potwierdziłem. - I dzięki pracy moich zdumiewających szarych komórek wiem już, kiedy zaistniała. I co ją spowodowało.

- Co?

- Elementarne, mój drogi Watsonie. Dam ci wskazówkę. Nawet kilka wskazówek. Ultra. „Księżycowy kamień". Bitwa pod Waterloo. Trzymać język za zębami.

- Język za zębami? - powtórzyła. - Ned...

- Carruthers. Pies, który nie szczekał w nocy. Wycieraczki do piór. Gołębie. Najmniej podejrzana osoba. I generał Rommel.

- Generał Rommel?

- Bitwa w Afryce północnej - wyjaśniłem. - Używaliśmy Ultry, żeby zlokalizować konwoje z zaopatrzeniem dla Rommla i zatapiać je, i zawsze pilnowaliśmy, żeby wysłać samolot rozpoznawczy, który widziano z konwoju, żeby naziści nie nabrali podejrzeń.

Opowiedziałem jej o mgle i jak samolot nie mógł znaleźć konwoju, o jednoczesnym przybyciu RAF-u i floty, i co Ultra zrobiła później - telegram, rozsiewane plotki, wiadomości wysyłane specjalnie, żeby je przechwycono.

- Gdyby naziści dowiedzieli się, że mamy Ultrę, to zmieniłoby przebieg wojny, więc musieli uruchomić skomplikowaną operację wywiadu, żeby naprawić potknięcie. - Obdarzyłem ją promiennym uśmiechem. - Nie rozumiesz? Wszystko pasuje.

Wszystko pasowało. Carruthers uwięziony w Coventry, Terence, który przeze mnie nie spotkał Maud, profesor Overforce wpychający profesora Peddicka do Tamizy, nawet te cholerne kiermasze staroci.

Futrzane damy u Blackwella, Herkules Poirot, T.J., profesor Peddick ze swoim gadaniem o Wielkim Planie, oni wszyscy próbowali mi powiedzieć, a ja byłem zbyt ślepy, żeby to zobaczyć.

Verity patrzyła na mnie z troską.

- Ned - zapytała - ile dokładnie skoków zrobiłeś?

- Cztery - odpowiedziałem. - Drugi był do Blackwella, gdzie podsłuchałem trzy matrony w futrach, prowadzące wyjątkowo pouczającą dyskusje o powieściach kryminalnych, a pierwszy był do laboratorium w 2018 roku, gdzie usłyszałem, jak Lizzie Bittner mówi, że zrobiłaby wszystko, żeby nie dopuścić do sprzedania katedry w Coventry bandzie spirytystów.

Sieć zaczęła słabo błyszczeć.

- A jeśli powstała niekongruencja? - zapytałem. - Potknięcie? I kontinuum, próbując chronić bieg historii, uruchomiło skomplikowany system dodatkowych linii obrony, żeby skorygować problem? Podobnie jak Ultra, kiedy wysyłała telegramy i fałszywe wskazówki, kontinuum realizowało rozbudowany plan, obejmujący topienie kotów i seanse spirytystyczne, i kiermasze staroci, i potajemne małżeństwa. I posługiwało się dziesiątkami agentów, a niektórzy nawet nie znali prawdziwego celu swojej misji.

Peonie zalśniły jasnym blaskiem.

- Zgodnie z najlepszą detektywistyczną tradycją nie mogę niczego udowodnić - oznajmiłem. - A zatem, Watsonie, musimy zebrać dowody. - Podniosłem torby Verity i ustawiłem obok peonii. - Szybko, Watsonie! Dorożka!

- Dokąd idziemy? - zapytała podejrzliwie.

- Do laboratorium. 2057. Żeby sprawdzić miejscowe gazety z Coventry i spisy katedralnych komitetów za rok 1888 i 1940.

Wziąłem ją pod ramię i wstąpiliśmy do migotliwego kręgu.

- A potem - dodałem - pojedziemy odzyskać strusią nogę biskupa.

Światło zaczęło rosnąć.

- Zaczekaj - powiedziałem i wyszedłem z kręgu, żeby zabrać sakwojaż.

- Ned! - zawołała Verity.

- Idę - odpowiedziałem. Otworzyłem sakwojaż, wyjąłem słomkowy kapelusz, zamknąłem sakwojaż i zaniosłem do kręgu. Postawiłem sakwojaż na ziemi i nałożyłem kapelusz pod zawadiackim kątem, z którego byłby dumny sam lord Peter.

- Ned - szepnęła Verity i cofnęła się o krok, szeroko otwierając zielonobrązowe oczy.

- Harriet - powiedziałem i wciągnąłem ją do jasno świecącej sieci.

I całowałem ją przez sto sześćdziesiąt dziewięć lat.

Szybko Hastings. Byłem ślepy i głupi. Szybko, taksówka.

Herkules Poirot

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Zapominam określić swoją lokalizację czasoprzestrzenną - Carruthers nie chce jechać do Coventry - Tajemnica przeskoku Verity rozwiązana - Komplikacje - Carruthers jedzie do Coventry - Finchowi wciąż nie wolno powiedzieć - Więcej gazet - W metrze do Coventry - Ludzie nigdy nie doceniają transportu w swoich czasach - Cytuję poezję - Wyznanie zbrodni - Strusia noga biskupa wreszcie odnaleziona

Kiedyż, ach, kiedyż nauczę się określać swoją lokalizację czasoprzestrzenną po przybyciu? Owszem, kilka innych spraw zaprzątało mi głowę, zwłaszcza co powiem Verity, kiedy znajdę trochę czasu, i co powinienem zrobić teraz, ale to żadna wymówka.

- Gdzie jest pan Dunworthy? - zapytałem Warder natychmiast, jak tylko przeszliśmy. Nie czekałem, aż zasłony się uniosą. Chwyciłem Verity za rękę i przedarłem się przez zasłony do konsoli.

- Pan Dunworthy? - powtórzyła tępo Warder. Była wystrojona w drukowaną sukienkę i miała fryzurę z loczkami, w której wyglądała niemal ładnie.

- Jest w Londynie - odpowiedział wchodząc Carruthers. On także ubrał się odświętnie i zmył z siebie sadze. - Widzę, że znalazłeś Verity. - Uśmiechnął się do niej. - Nie widziałeś przypadkiem, czy strusia noga biskupa była w katedrze, kiedy skoczyłeś do Coventry?

- Owszem - przytaknąłem. - Co pan Dunworthy robi w Londynie?

- Lady Schrapnell w ostatniej chwili otrzymała wiadomość, że strusią nogę biskupa mogli schować w tym samym miejscu co skarby z British Museum podczas wojny, w nieużywanym tunelu metra.

- Nie mogli - zaprzeczyłem. - Zadzwoń do niego i powiedz, żeby wracał tu natychmiast. T.J. chyba z nim nie pojechał? - Popatrzyłem na zestaw trójwymiarowych ekranów, na których puszczał swoje modele Waterloo.

- Nie - odpowiedział Carruthers. - Przebiera się. Powinien wrócić za minutę. O co chodzi?

- Gdzie jest lady Schrapnell? - zapytałem.

- Lady Schrapnell? - powtórzyła Warder, jakby nigdy o niej nie słyszała.

- Tak, lady Schrapnell - potwierdziłem. - Katedra w Coventry. Zmora naszej egzystencji. Lady Schrapnell.

- Myślałem, że starasz się jej unikać - zauważył Carruthers.

- Właśnie staram się jej unikać - przyznałem. - Ale za kilka godzin mogę jej potrzebować. Nie wiesz, gdzie ona jest?

Carruthers i Warder wymienili spojrzenia.

- Myślę, że w katedrze.

- Jedno z was musi sprawdzić - oświadczyłem. - Zapytajcie ją, jaki ma rozkład zajęć na resztę dnia.

- Rozkład zajęć? - zakrztusił się Carruthers. Jednocześnie Warder powiedziała:

- Niech pan sam jej szuka. - Widocznie kilka loczków nie wystarczyło, żeby poprawić jej charakter. - Nie chcę jej widzieć, bo znowu znajdzie dla mnie robotę. Już mi kazała wyprasować wszystkie obrusy na ołtarz i...

- Nieważne - uciąłem. Nie potrzebowałem lady Schrapnell już teraz, najpierw musiałem sprawdzić parę ważniejszych rzeczy. - Niech pani zrobi dla mnie co innego. Potrzebuję egzemplarzy „Coventry Standard" i „Midlands Daily Telegraph" od piętnastego listopada do... - odwróciłem się do Carruthersa. - Kiedy wróciłeś z Coventry? Którego dnia?

- Trzy dni temu. W środę.
- Którego dnia w Coventry?
- Dwunastego grudnia.
- Od piętnastego listopada do dwunastego grudnia - dokończyłem.
- To wykluczone! - odparła Warder. - Muszę wyprasować obrusy na ołtarz i wprowadzić trzy styki. I odprasować wszystkie komże z chóru. Len! Mogła wybrać na komże jakiś inny materiał, który się nie pogniecie, zanim przejdą nawą do chóru, ale ona musiała mieć len! „Bóg jest w szczegółach", powiedziała. A pan chce, żebym biegała po jakieś gazety...
- Ja to załatwię - przerwała Verity. - Chcesz faksymile czy tylko artykuły, Ned?
- Faksymile. Kiwnęła głową.
- Odbiję w bibliotece. Zaraz wracam - obiecała, błysnęła do mnie uśmiechem najady i wyszła.
- Carruthers - powiedziałem. - Musisz pojechać do Coventry.
- Do Coventry? - Carruthers cofnął się gwałtownie i wpadł na Warder. - Ja tam nie wrócę. Dosyć już się namęczyłem ostatnim razem, żeby się stamtąd wyrwać.
- Nie musisz wracać do nalotu - pocieszyłem go. - Potrzebuję...
- I nie skoczę nigdzie w pobliże. Pamiętasz pole z dyniami? I te cholerne psy? Nie ma mowy.
- Nie chcę, żebyś cofał się w czasie - uspokoiłem go. - Potrzebuję tylko paru faktów z kościelnych archiwów. Możesz pojechać metrem. Chcę, żebyś sprawdził...

Wszedł T.J., również wystrojony w białą koszulę i krótką akademicką togę. Przemknęło mi przez głowę podejrzenie, że lady Schrapnell wprowadziła jakiś kodeks ubraniowy.

- Zaczekaj chwilę, Carruthers - poprosiłem. – T.J., chcę, żebyś coś zrobił. Ten twój model niekongruencji. Chcę, żebyś zmienił ognisko.
- Zmienić ognisko? - powtórzył tępo.
- Ośrodek, w którym wystąpiła niekongruencja - wyjaśniłem.
- Chyba pan nie powie, że powstała następna niekongruencja - jęknęła Warder. - Tego tylko nam trzeba. Mam pięćdziesiąt lnianych komży do wyprasowania, trzy styki...
- Mówiłeś, że samokorekta może rozszerzyć się w przeszłość, prawda, T.J.? - zapytałem, ignorując ją.

TJ. przytaknął.

- Niektóre modele pokazywały samokorektę z wyprzedzeniem.
- I jedyny przykład przeniesienia w czasie istotnego przedmiotu stanowił część samokorekty.

Ponownie przytaknął.

- I mówiłeś, że nasza niekongruencja nie pasuje do żadnego modelu Waterloo. Sprawdź, czy pasuje ze zmienionym ogniskiem.

TJ. posłusznie zasiadł przed zestawem komputerów i podwinął rękawy togi.

- Jakie ognisko?
- Katedra w Coventry - odparłem. - Czternastego listopada...
- Czternastego listopada? - powtórzyli chórem Carruthers i TJ., a Warder zmierzyła mnie spojrzeniem pytającym: „Ile skoków zrobiłeś?"
- Czternastego listopada - potwierdziłem. - 1940. Nie znam dokładnej godziny. Pomiędzy siódmą czterdzieści pięć wieczorem a jedenastą. Zgaduję, że o wpół do dziesiątej.
- Ale to podczas nalotu - zaprotestował Carruthers - kiedy żaden z nas nie mógł się tam zbliżyć.
- O co ci chodzi, Ned? - zapytał TJ.
- „Tajemnica wiecznego pióra" i Herkules Poirot - odparłem. - Podchodziliśmy do tego od niewłaściwej strony. A jeśli uratowanie kota nie stworzyło niekongruencji? A jeśli to była część

samokorekty kontinuum, a prawdziwa niekongruencja zaistniała wcześniej? Albo później?

T.J. zaczął wpisywać cyfry.

- Nie było zwiększonego poślizgu przy skoku Verity - ciągnąłem - chociaż pięć minut wcześniej albo później nie mogłaby uratować Księżniczki Ardżumand. Albo gdyby sieć się nie otwarła, ale nie zadziałała żadna linia obrony. I dlaczego poślizg przy moim skoku wysłał mnie do Oksfordu, żebym spotkał Terence'a, udaremnił jego spotkanie z Maud i pożyczył mu pieniądze na wynajęcie łodzi, żeby popłynął na spotkanie z Tossie? A jeśli tak się stało, ponieważ kontinuum tego chciało? A jeśli wszystkie fakty, które uznaliśmy za symptomy załamania - przerzucenie mnie do średniowiecza, uwięzienie Carruthersa w Coventry - również były częścią samokorekty?

Pojawiła się tabela koordynatów. T.J. przejrzał kolumny, wpisał więcej danych, przejrzał nowe wzory.

- Tylko ognisko? - zapytał.

- Mówiłeś, że rozbieżności występują tylko w bezpośrednim sąsiedztwie ośrodka - przypomniałem mu. - Ale jeśli tym ośrodkiem nie było Muchings End? Jeśli to był nalot na katedrę, a to, co ja i Verity postrzegaliśmy jako rozbieżność, było ciągiem wydarzeń, które zaszłyby, gdyby niekongruencja nie została naprawiona?

- Interesujące - mruknął TJ. Szybko wpisał więcej cyfr.

- Tylko ognisko - potwierdziłem. - Te same wydarzenia, ten sam poślizg.

- To trochę potrwa - mruknął, wstukując kolejne liczby. Odwróciłem się do Carruthersa.

- Powiem ci, czego masz szukać w Coventry. - Sięgnąłem po komunikator Warder i powiedziałem do niego: - Potrzebuję nazwisk pracowników katedry, świeckich i duchownych, w 1940 roku, i katedralnego rejestru ślubów na lata 1888... - zawahałem się przez chwilę i po zastanowieniu dokończyłem: - 1888 do 1915. Nie, na wszelki wypadek do 1920.

- A jeśli rejestry zostały zniszczone podczas nalotu?

- Więc znajdź listę beneficjów Kościoła anglikańskiego na rok 1940. Mają to w aktach w Canterbury i w kilku innych miejscach. Wojna nie mogła wszystkich zniszczyć.

Uderzyłem w klawisz wydruku, odczekałem, aż komunikator wypluje listę, i oddarłem wydruk.

- Potrzebuję tego jak najszybciej. Carruthers popatrzył na listę.

- Chcesz, żebym pojechał teraz?

- Tak - potwierdziłem. - To ważne. Jeśli mam rację, zdobędziemy strusią nogę biskupa na czas przed konsekracją.

- Więc lepiej się pospieszcie - rzuciła sucho Warder - bo zostały dwie godziny.

- Do konsekracji? - zdziwiłem się. - To niemożliwe - i wreszcie zadałem pytanie, które powinienem był zadać natychmiast po wyjściu z sieci. - Którego dzisiaj?

Wpadła Verity z naręczem odbitek. Przebrała się w szarą sukienkę i pepegi. Nogi miała tak długie, jak sobie wyobrażałem.

- Ned, konsekracja jest za parę godzin!

- Właśnie się dowiedziałem - mruknąłem i próbowałem coś wymyślić. Liczyłem, że będę miał kilka dni, żeby zebrać dowody na poparcie mojej teorii, ale teraz ledwie wystarczy czasu na dojazd do Coventry i z powrotem...

- Czy mogę pomóc? - zapytała Verity.

- Potrzebujemy dowodu, że niekongruencja została naprawiona - odparłem. - Zamierzałem wysłać Carruthersa...

- Ja mogę pojechać - zaofiarowała się Verity. Potrząsnąłem głową.

- Nie ma czasu. Kiedy rozpoczyna się konsekracja? - zapytałem Warder.

- O jedenastej - odpowiedziała.
- A która teraz godzina?
- Kwadrans po dziewiątej. Spojrzałem na TJ.
- Ile jeszcze, zanim dostaniesz sym?
- Jeszcze minuta. - Palce TJ. fruwały po klawiaturze. - Mam. -Stuknął w „return", kolumny koordynatów znikły i model pojawił się na ekranie.

Sam nie wiem, czego się spodziewałem. Model wyglądał zupełnie tak samo jak inne - bezkształtna, rozmazana plama.

- No, no, popatrz na to - szepnął TJ. Nacisnął jeszcze kilka klawiszy. - To jest nowe ognisko - oznajmił - a to jest nakładka symu kociołka na zupę spod Waterloo.

Przemówił do komputerowego ucha. Oba modele zostały wyświetlone jeden na drugim i nawet ja zobaczyłem, że do siebie pasowały.

- Pasują? - zapytała Warder.
- Aha. - TJ. powoli kiwnął głową. - Jest kilka drobnych różnic. Poślizg w ośrodku nie jest taki duży i widać, że tutaj i tutaj nie pasuje dokładnie - wskazał na prawie niewidoczne odcienie. - I nie wiem, co to jest - pokazał nie wiadomo co - ale wygląda zdecydowanie na wzorzec samokorekty. Spójrzcie, jak poślizg zmniejsza się coraz bliżej 1888 roku, a potem całkowicie zanika w dniu...
- Osiemnastym czerwca - podpowiedziałem. TJ. wstukał kilka cyfr.
- Osiemnasty czerwca. Będę musiał zbadać poślizgi i prawdopodobieństwa, i sprawdzić, co to jest- oznajmił, stukając w nie wiadomo co - ale to chyba była niekongruencja.
- Jaka niekongruencja? - zdenerwował się Carruthers. - I kto ją spowodował?
- Tego właśnie miałeś się dowiedzieć w Coventry - wyjaśniłem, spoglądając na mój bezużyteczny kieszonkowy zegarek. - Ale brakuje nam czasu.
- Przecież mamy mnóstwo czasu - sprzeciwiła się Verity. - To jest laboratorium podróży w czasie. Możemy wysłać Carruthersa w przeszłość, żeby zdobył informacje.
- On nie może wrócić do 1940 roku - powiedziałem. - Już tam był. Przecież nie chcemy spowodować następnej niekongruencji.
- Nie do 1940 roku, Ned. Do zeszłego tygodnia.
-On nie może być w dwóch miejscach jednocześnie - zaprotestowałem i uświadomiłem sobie, że wcale nie będzie. Ostatni tydzień Carruthers spędził w 1940 roku, nie w 2057. - Warder, jak szybko pani może obliczyć skok?
- Skok! Mam już trzy styki...
- Wyprasuję komże - zaofiarowała się Verity.
- Chcę go cofnąć o... ile ci to zajmie? Dzień?
- Dwa - podwyższył Carruthers.
- O dwa dni. Powszednie. Kościelne archiwa są zamknięte w weekendy. To muszą być dwa dni, kiedy był w 1940 roku. A później trzeba go natychmiast sprowadzić z powrotem.

Warder zrobiła upartą minę.

- Skąd mam wiedzieć, że on znowu nie utknie w Coventry?
- Stąd - odparłem, wskazując komputer. - Niekongruencja jest naprawiona.
- W porządku, Peggy - uspokoił ją Carruthers. - Bierz się za obliczenia. - Odwrócił się do mnie. - Masz spis tego, co muszę znaleźć?

Wręczyłem mu listę.

- Nic więcej. Potrzebuję spisu kierowniczek wszystkich kobiecych komitetów kościelnych w 1940 roku.

- Nie muszę sprawdzać Komitetu Kwiatowego - oznajmił. - Wiem, kto nim kierował. Ta megiera panna Sharpe.

- Wszystkie kobiece komitety kościelne, włącznie z Komitetem Kwiatowym - podkreśliłem.

Verity podała mu ołówek i bloczek do notatek.

- Żeby cię nie kusiło przenosić przez sieć jakichś papierów z zeszłego tygodnia.

- Gotowe? - zwrócił się Carruthers do Warder.

- Gotowe - potwierdziła czujnie.

Carruthers zajął miejsce w sieci. Warder podeszła i poprawiła mu kołnierzyk.

- Bądź ostrożny - poprosiła, prostując mu krawat.

- Wrócę za kilka minut - powiedział z głupkowatym uśmiechem - Prawda?

- Jeśli nie wrócisz, sama po ciebie pójdę - uśmiechnęła się Warder.

- Trudno uwierzyć - mruknąłem do Verity.

- Dyschronia - wyjaśniła.

- Nastawiłam na dziesięciominutowe intermisje - zagruchała Warder.

- Nie zostanę ani minuty dłużej, niż trzeba - zapewnił ją Carruthers. - Postaram się wrócić jak najszybciej, żeby zabrać cię na konsekrację.

Wziął ją w ramiona i obdarzył długim pocałunkiem.

- Słuchajcie, nie chcę przerywać tej czułej sceny - wtrąciłem się - ale konsekracja jest za dwie godziny.

- No dobrze - warknęła Warder, po raz ostatni przygładziła kołnierzyk Carruthersa i pomaszerowała do konsoli. Wprawdzie miłość zwycięża wszystko, ale przyzwyczajenie jest drugą naturą. Miałem nadzieję, że Baine w Stanach zamieszka gdzieś nad rzeką.

Warder opuściła zasłony i Carruthers zniknął.

- Jeśli on nie wróci za dziesięć minut, wyślę pana na wojnę stuletnią - zagroziła i zwróciła się do Verity: - Obiecała pani wyprasować komże.

- Za chwilę - rzuciłem i podałem Verity jeden arkusz faksymiliów.

- Czego szukamy? - zapytała Verity.

- Listów do wydawcy. Albo listu otwartego. Nie jestem pewien. Przekartkowałem „Midlands Daily Telegraph". Artykuł o wizycie króla, lista ofiar, artykuł rozpoczynający się od słów: „Oto pokrzepiający dowód odrodzenia Coventry".

Wziąłem „Coventry Standard". Reklama worków z piaskiem COP, Oryginalny Rządowy Rozmiar i Jakość, 36 szylingów 6 pensów za setkę. Zdjęcie ruin katedry.

- Tutaj są jakieś listy - odezwała się Verity i podała mi swój arkusz.

List wychwalający odwagę służby pożarowej. List z pytaniem, czy ktoś widział Molly, „śliczną rudą kotkę, ostatnio widzianą wieczorem 14 listopada na Greyfriars Lane", list ze skargą na wartowników COP.

Drzwi wejściowe otwarły się. Verity podskoczyła, ale to nie była lady Schrapnell. To był Finch.

Na jego włosach i surducie błyszczały płatki śniegu, prawy rękaw miał przemoczony.

- Gdzie pan był? - zapytałem. - Na Syberii?

- Nie wolno mi powiedzieć - odparł i odwrócił się do TJ. - Panie Lewis, gdzie jest pan Dunworthy?

- W Londynie - odpowiedział TJ., wpatrzony w ekran komputera.

- Och - mruknął rozczarowany Finch. - No więc proszę mu powiedzieć... - zerknął na nas podejrzliwie - ...że misja wypełniona - wykręcił mokry rękaw - chociaż sadzawka była zamarznięta, a woda lodowata. Proszę mu powiedzieć, że ilość - znowu zerknął na nas - wynosi sześć.

- Nie zamierzam tracić całego dnia - burknęła Warder i podała mu duży parciany worek. - Masz pan swoją torbę. Nie może pan tak przeskoczyć - oświadczyła z niesmakiem. - Chodźmy, wysuszę pana.

Poprowadziła go do sali szkoleniowej.

- Nawet nie jestem technikiem. Mam tylko zastępstwo. Muszę wyprasować obrusy na ołtarz, prowadzę dziesięciominutowe intermisje... - Drzwi zamknęły się za nimi.

- O co im chodziło? - zapytałem.

- Masz - Verity podała mi arkusz faksymiliów. - Więcej listów do wydawcy.

Trzy listy komentujące wizytę króla w Coventry, jeden ze skargą na jedzenie w obwoźnej kantynie, jeden z ogłoszeniem o kiermaszu staroci w St. Aldate's na ofiary nalotu.

Finch, wysuszony i uczesany, wszedł razem z Warder, która ciągle narzekała.

- Nie rozumiem, dlaczego musicie je wszystkie przenieść dzisiaj - burczała, maszerując do konsoli. - Mam trzy styki do wprowadzenia, pięćdziesiąt...

- Finch - przerwałem jej. - Nie wie pan, czy pani Bittner weźmie udział w konsekracji?

- Pan Dunworthy kazał mi wysłać do niej zaproszenie - odpowiedział - i myślałem, że kto jak kto, ale ona będzie chciała zobaczyć odbudowaną katedrę Coventry, ale odpisała, że niestety to byłoby dla niej zbyt męczące.

- Doskonale - stwierdziłem, wziąłem „Standard" z dwunastego i przekartkowałem go. Żadnych listów. - A „Telegraph"? - zapytałem Verity.

- Nic - mruknęła, odkładając arkusze.

- Nic - powtórzyłem radośnie i w sieci pojawił się Carruthers z ubawioną miną.

- No i? - zapytałem, podchodząc do niego.

Sięgnął do kieszeni po notatnik i podał mi go przez zasłony. Otworzyłem notes i przejrzałem listę kościelnych urzędników, szukając pewnego nazwiska. Nic. Przewróciłem kartkę i dotarłem do listy beneficjów.

- Kierowniczką Komitetu Kwiatowego w 1940 roku była pani Lois Warfield - oznajmił Carruthers, marszcząc brwi.

- Dobrze się czujesz? - zapytała niespokojnie Warder. - Czy coś się stało?

- Nie - zaprzeczyłem, sprawdzając kościelne beneficja. Hertfordshire, Surrey, Noruiumberland. Tutaj. Św. Benedykt, Northumberland.

- Panny Sharpe nie było w żadnym komitecie - ciągnął Carruthers - ani w wykazie członków kościoła.

- Wiem - rzuciłem, gryzrnoląc wiadomość na pustej stroniczce notesu. - Finch, niech pan zadzwoni do pana Dunworthy'ego i powie mu, żeby natychmiast wracał do Oksfordu. Kiedy przyjedzie, proszę dać mu to. - Wyrwałem stroniczkę, złożyłem na pół i podałem mu. - Potem niech pan znajdzie lady Schrapnell i powie jej, żeby się nie martwiła, Verity i ja panujemy nad całością, i żeby nie rozpoczynali konsekracji, dopóki nie wrócimy.

- Dokąd jedziecie? - zapytał Finch.

- Obiecała pani wyprasować komże chórzystów - powiedziała Warder z wyrzutem.

- Spróbujemy wrócić przed jedenastą - obiecałem i wziąłem Verity za rękę. - Jeśli nie wrócimy, grajcie na zwłokę.

- Na zwłokę? - przeraził się Finch. - Przyjeżdża arcybiskup Canterbury. I księżniczka Wiktoria. Jak mam grać na zwłokę?

- Coś pan wymyśli. Pokładam w tobie wielkie nadzieje, Jeeves. Rozpromienił się.

- Dziękuję panu bardzo, sir - powiedział. - Mam powiedzieć lady Schrapnell, że dokąd pan

pojechał?

- Po strusią nogę biskupa - odparłem i razem z Verity popędziliśmy na stację metra.

Na dworze było szaro i pochmurno.

- Och, żeby tylko nie padało podczas konsekracji - zmartwiła się Verity.

- Żartujesz? - zasapałem. - Lady Schrapnell nigdy na to nie pozwoli.

Stacja metra była zatłoczona. Tłumy ludzi w kapeluszach, krawatach i z parasolami wylewały się z wejścia.

- Katedra! - burknęła dziewczyna z warkoczami i z tablicą Partii Gai, przeciskając się obok mnie. - Wiesz, ile drzew mogliśmy posadzić na Błoniach Christ Church za cenę tej budowli?

- Na szczęście wyjeżdżamy z miasta - krzyknąłem do Verity, zanim nas rozdzielono. - Pociągi z Oksfordu powinny być luźniejsze.

Przepchaliśmy się do ruchomych schodów. Nie lepsza sytuacja. Straciłem Verity z oczu i wreszcie odnalazłem ją kilka stopni niżej.

- Dokąd wszyscy jadą? - zawołałem.

- Na spotkanie księżniczki Wiktorii - poinformowała mnie duża kobieta z amerykańską flagą, stojąca na stopniu za mną. - Ona przyjeżdża z Reading.

Verity zjechała do końca ruchomych schodów.

- Coventry! - krzyknąłem do niej, wskazując ponad głowami tłumu w stronę linii Warwickshire.

- Wiem - odkrzyknęła i już skręciła w korytarz.

Korytarz był zatłoczony, podobnie jak peron. Verity przepchnęła się do mnie.

- Nie ty jeden potrafisz rozwiązywać zagadki, Sherlocku - oświadczyła. - Zgadłam nawet, co takiego robi Finch.

- Co? - zapytałem, ale pociąg właśnie nadjechał. Tłum zafalował i rozdzielił nas.

Ponownie utorowałem sobie drogę do Verity.

- Dokąd jadą ci wszyscy ludzie? Księżniczki Wiktorii nie ma w Coventry.

- Jadą na protest - odpowiedział mi chłopiec z warkoczami. - Coventry urządza wiec, żeby zaprotestować przeciwko haniebnej kradzieży swojej katedry przez Oksford.

- Doprawdy? - zagadnęła słodko Verity. - A gdzie urządzają ten wiec? W centrum handlowym?

Miałem ochotę ją pocałować.

- Zdajesz sobie sprawę - ciągnęła, odsuwając z twarzy ręcznie wymalowany plakat z napisem: ARCHITEKCI PRZECIWKO KATEDZRE Z COVENTRY- że gdzieś w tym tłumie pewnie tkwi podróżnik z przyszłości, który myśli, że to wszystko jest niezwykle oryginalne i urocze.

- Niemożliwe - stwierdziłem. - Co takiego robi Finch?

- On próbuje... - zaczęła, ale drzwi już się otwierały i ludzie tłoczyli się do pociągu.

Podczas wsiadania znowu nas rozdzielono i znalazłem się pół wagonu od niej, wciśnięty na ławkę pomiędzy starszym panem a jego synem w średnim wieku.

- Ale czemu musieli odbudować akurat katedrę z Coventry? -narzekał syn. - Skoro już chcieli odbudować coś, co zostało zniszczone, czemu nie odbudowali Banku Anglii? Przynajmniej byłby jakiś pożytek. Co za pożytek z katedry?

- „Tajemne są dzieła Boże - zacytowałem - niepojęte Jego cuda". Obaj spiorunowali mnie wzrokiem.

- James Thomson - wyjaśniłem. - „The Seasons". Nadal ciskali wzrokiem pioruny.

- Wiktoriański poeta - bąknąłem i skuliłem się na ławce, rozmyślając o kontinuum oraz jego tajemnych dziełach. Musiało skorygować niekongruencję i dokonało tego: uruchomiło cały zestaw dodatkowych zabezpieczeń, zamknęło sieć, zmieniło cele, manipulowało poślizgiem tak, żebym

udaremnił spotkanie Terence'a z Maud i żeby Verity przeskoczyła akurat w tej chwili, kiedy Baine wrzucił kota do rzeki. Żeby uratowała kota, który był chwat i szczura zjadł, który ziarno kradł, które było w domu, który zbudował Jack.

COVENTRY, odczytałem napis na peronie. Wygramoliłem się spomiędzy bankierów i wysiadłem z wagonu, machając do Verity, żeby też wysiadła. Wcisnęliśmy się na ruchome schody, które wyrzuciły nas na Broadgate, przed pomnikiem lady Godivy. Coraz wyraźniej zanosiło się na deszcz. Protestujący rozkładali parasole, kiedy szliśmy do centrum handlowego.

- Nie powinniśmy najpierw do niej zadzwonić? - zapytała Verity.

- Nie.

- Na pewno ją zastaniemy w domu?

- Na pewno - uciąłem, chociaż wcale nie miałem pewności. Ale zastaliśmy ją, chociaż otwarcie drzwi zabrało jej trochę czasu.

- Przepraszam, mam atak bronchitu - wychrypiała pani Bittner, a potem rozpoznała nas i powiedziała: - Och.

Odsunęła się od drzwi, żeby nas wpuścić.

- Wejdźcie, czekałam na was. - Wyciągnęła do Verity dłoń poznaczoną żyłami. - Na pewno to panna Kindle. Jak rozumiem, jest pani również miłośniczką kryminałów.

- Tylko tych z lat trzydziestych - wyznała Verity. Pani Bittner kiwnęła głową.

- Te są najlepsze. - Odwróciła się do mnie. - Czytałam bardzo wiele kryminalnych powieści. Najbardziej lubię te, w których przestępcy prawie udaje się uniknąć kary.

- Pani Bittner - zacząłem i nie wiedziałem, co dalej. Spojrzałem bezradnie na Verity.

- Rozwikłał pan zagadkę, prawda? - powiedziała pani Bittner. - Tego się bałam. James powiedział mi, że wy dwoje jesteście jego najlepszymi uczniami. - Uśmiechnęła się. - Wejdziemy do bawialni?

- O... obawiam się, że nie mamy czasu... - wyjąkałem.

- Nonsens - oznajmiła i ruszyła korytarzem. - Przestępca zawsze dostaje rozdział, w którym wyznaje swoje grzechy.

Wprowadziła nas do pokoju, gdzie ją wcześniej przepytywałem.

- Usiądziecie? - zaproponowała, wskazując sofę pokrytą perkalem. - Słynny detektyw zawsze gromadzi podejrzanych w bawialni - powoli szła w stronę kredensu znacznie mniejszego niż u Meringów, opierając się na meblach - a przestępca zawsze częstuje ich drinkiem. Napije się pani sherry, panno Kindle? Kieliszek sherry, panie Henry? Albo *sirop de cassis ?* Herkules Poirot zawsze to pije. Obrzydlistwo. Spróbowałam raz, kiedy czytałam „Morderstwo w trzech aktach" Agathy Christie. Smakuje jak lekarstwo na kaszel.

- Poproszę sherry - powiedziałem.

Pani Bittner nalała dwa kieliszki sherry i odwróciła się do nas.

- To stworzyło niekongruencję, prawda?

Wziąłem od niej kieliszki, podałem jeden Verity i usiadłem obok niej.

- Tak - potwierdziłem.

- Tak się tego bałam. A kiedy w zeszłym tygodniu James powiedział mi o teorii dotyczącej nieistotnych przedmiotów przeniesionych ze swojej lokalizacji czasoprzestrzennej, wiedziałam, że chodzi o strusią nogę biskupa. - Z uśmiechem potrząsnęła głową. - Wszystko inne w katedrze spaliłoby się na popiół tamtej nocy, ale od pierwszego spojrzenia wiedziałam, że ona jest niezniszczalna.

Nalała sobie kieliszek sherry.

- Wiecie, próbowałam naprawić to, co zrobiłam, ale sieć nie chciała się otworzyć, a potem

Lassiter... on był kierownikiem wydziału... założył nowe zamki i nie mogłam się dostać do laboratorium.

Oczywiście powinnam była powiedzieć Jamesowi. Albo mojemu mężowi. Ale nie mogłam się na to zdobyć. - Podniosła swój kieliszek. - Wmawiałam sobie, że niemożność otwarcia sieci oznacza, że nie powstała żadna niekongruencja, że nie wyrządziłam żadnej szkody, ale wiedziałam, że to nieprawda.

Powoli, ostrożnie podeszła do jednego z foteli obitych perkalem. Zerwałem się z miejsca i potrzymałem jej kieliszek, dopóki nie usiadła.

- Dziękuję - powiedziała, biorąc ode mnie kieliszek. - James mówił mi, jaki pan jest miły. - Spojrzała na Verity. - Pewnie żadne z was nigdy nie zrobiło niczego, czego potem żałowało? Nie zrobiło niczego bez namysłu?

Spuściła wzrok na swój kieliszek.

- Kościół anglikański zamykał katedry, które nie zarabiały na siebie. Mój mąż kochał katedrę w Coventry. Pochodził z rodziny Botonerów, którzy wybudowali oryginalny kościół.

Podobnie jak pani, pomyślałem, bo nagle zrozumiałem, kogo mi przypominała Mary Botoner, kiedy w wieży kłóciła się z robotnikiem. Pani też pochodzi od Botonerów.

- Katedra była jego życiem - podjęła pani Bittner. - Zawsze mówił, że nie liczy się kościół, tylko to, co symbolizuje, ale nowa katedra, chociaż taka brzydka, była dla niego wszystkim. Myślałam, że gdybym zabrała trochę skarbów ze starej katedry, zrobiłabym dobrą reklamę. Turyści przyjeżdżaliby je oglądać i nie trzeba by było sprzedawać katedry. Myślałam, że ta sprzedaż zabije mojego męża.

- Ale czy Darby i Gentilla nie udowodnili, że nie można niczego przenieść przez sieć w przyszłość?

- Tak - przyznała - ale myślałam, że jeśli coś przestało istnieć we własnej czasoprzestrzeni, można to przenieść. Darby i Gentilla nigdy nie próbowali przenieść przedmiotów, które już nie istniały w swoim czasie. - Obróciła w palcach nóżkę kieliszka. - A ja byłam zrozpaczona.

Podniosła wzrok.

- Więc którejś nocy włamałam się do laboratorium, skoczyłam do 1940 roku i zrobiłam to. A następnego dnia zadzwonił James z nowiną, że jeśli chcę dostać pracę, Lassiter autoryzował serię skoków do Waterloo, a potem powiedział mi... - urwała, wpatrzona w przeszłość - powiedział, że Shoji dokonał przełomu w teorii temporalnej, że odkrył, dlaczego nie można przenieść przedmiotów do przodu przez sieć, że takie działanie wywoła niekongruencję, która może zmienić bieg historii albo jeszcze gorzej.

- Więc próbowała pani ją odnieść?

- Tak. Poszłam do Shojiego i wyciągnęłam z niego tyle o niekongruencjach, ile mogłam bez wzbudzania podejrzeń. Same złe wiadomości, a najgorsze, kiedy mi powiedział, że przystosowali sieć do zabezpieczenia się przeciwko niekongruencjom i jakie mieliśmy szczęście, że żadna nie powstała wcześniej, bo mogliśmy spowodować załamanie całego kontinuum czasoprzestrzennego.

Spojrzałem na Verity. Patrzyła na panią Bittner ze smutnym wyrazem pięknej twarzy.

- Więc ukryłam łup, jak mówią w kryminałach, i czekałam na koniec świata. Który nastąpił. Katedra została zdekonsekrowana i sprzedana Kościołowi Przyszłego Życia, a potem przerobiona na centrum handlowe.

Wpatrywała się w swoje sherry.

- Jak na ironię okazało się, że to wszystko było niepotrzebne. Mój mąż kochał Salisbury. Tak się bałam, że utrata katedry w Coventry zabije go, ale nie zabiła. Naprawdę wierzył, że kościoły stanowią tylko symbol. Nie przejmował się nawet, kiedy na ruinach zbudowano dom towarowy

Marksa i Spencera. - Uśmiechnęła się czule. - Wiecie, co powiedział, kiedy usłyszał, że lady Schrapnell odbudowuje starą katedrę? Powiedział: „Mam nadzieję, że tym razem ustawią iglicę prosto".

Odstawiła kieliszek.

- Po śmierci Harolda wróciłam tutaj. Dwa tygodnie temu James zadzwonił do mnie i zapytał, czy pamiętam skoki, które razem zrobiliśmy, że wokół 2018 roku jest obszar zwiększonego poślizgu i bał się, że to z powodu niekongruencji. Wtedy już wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, zanim mnie złapią, chociaż on wykrył niewłaściwą niekongruencję. - Podniosła na nas wzrok. - James powiedział mi o kocie i o Tossie Mering. Udało wam się doprowadzić do małżeństwa praprababki lady Schrapnell z tajemniczym panem C?

- Nie całkiem - przyznałem. - Wyszła za niego, ale to nie nasza zasługa.

- To był kamerdyner - wyjaśniła Verity - pod przybranym nazwiskiem.

- Oczywiście - zawołała pani Bittner i klasnęła w żylaste dłonie. - Stare rozwiązania zawsze są najlepsze. Kamerdyner, fałszywa tożsamość, najmniej podejrzana osoba... - popatrzyła na nas znacząco -...zagubiony list. - Wstała. - Schowałam ją na strychu.

Ruszyliśmy po schodach.

- Bałam się, że jeśli ją przeniosę, tylko pogorszę sytuację - mówiła pani Bittner, powoli wchodząc na stopnie - więc zostawiłam łup tutaj, kiedy wyjechaliśmy do Salisbury. Dobrze ją ukryłam i dopilnowałam, żeby wynająć dom bezdzietnym ludziom... dzieci są takie ciekawskie, sami wiecie... ale wciąż się bałam, że ktoś wejdzie na górę, znajdzie ją i zrobi coś, co zmieni bieg historii. - Obejrzała się na mnie, przytrzymując się poręczy. –Ale już się zmienił, prawda?

- Owszem - przytaknąłem.

Nie mówiła nic więcej. Zdawała się skupiać wszystkie siły na wspinaczce po schodach. Kiedy weszliśmy na pierwsze piętro, poprowadziła nas korytarzem obok sypialni i otworzyła wąskie drzwi, za którymi znajdowały się następne, bardziej strome schody.

- Te prowadzą na strych - oznajmiła, lekko zdyszana. - Przepraszam. Muszę chwilę odpocząć, zanim pójdę dalej. W sypialni jest krzesło.

Pobiegłem je przynieść i pani Bittner usiadła.

- Podać pani szklankę wody? - zaproponowała Verity.

- Nie, dziękuję, kochanie. Opowiedzcie mi o tej niekongruencji, którą spowodowałam.

- Nie pani jedna uważała, że strusia noga biskupa jest niezniszczalna - zacząłem. - Podobnie myślała przewodnicząca Komitetu Kwiatowego nazwiskiem...

- Ostróżka Sharpe - podpowiedziała Verity. Kiwnąłem głową.

- Ona tam była w noc nalotu, pilnowała zachodnich drzwi i wiedziała, że nikt nie mógł wynieść strusiej nogi biskupa. Kiedy jej nie znaleziono w ruinach ani wśród rzeczy uratowanych przez służbę pożarową, doszła do wniosku, że skradziono ją przed nalotem i że złodziej musiał wiedzieć wcześniej o nalocie, musiał wiedzieć, że kradzież ujdzie mu bezkarnie. Głośno wyrażała swoje zdanie...

- Nawet napisała list do wydawcy jednej z gazet w Coventry - dodała Verity.

Kiwnąłem głową.

- Następna część to tylko domysły, jak w przypadku panny Sharpe - podjąłem. - Jedyne dowody, jakimi dysponujemy, to zeznanie Carruthersa, spis kobiecych komitetów kościelnych za rok 1940 i list do wydawcy, który nie ukazał się w żadnej gazecie w Coventry.

Pani Bittner przytaknęła z mądrą miną.

- Przypadek psa w nocy.

- Właśnie - potwierdziłem. - Naziści regularnie zdobywali i czytali alianckie gazety na wypadek, gdyby jakieś wojskowe informacje przeciekły do prasy. Myślę, że list panny Sharpe oraz słowa „zawczasu uprzedzeni o nalocie" przyciągnęły wzrok kogoś z nazistowskiego wywiadu, kto martwił się kompromitacją niemieckiego systemu kodów, i w rezultacie przeprowadzono dochodzenie, które wykryło, że Najwyższe Dowództwo tamtej nocy wysłało myśliwce RAF-u do Coventry i usiłowało zakłócić wiązki naprowadzające.

- I Niemcy dowiedzieli się, że mamy Ultrę - dokończyła Verity i zmienili maszynę Enigma.

- I przegraliśmy kampanię w Afryce północnej - dorzuciłem -a może nawet inwazję w Dunkierce...

- I naziści wygrali wojnę - podsumowała pani Bittner. - Tylko że nie wygrali. Powstrzymaliście ich.

- Kontinuum powstrzymało ich dzięki swojemu systemowi dodatkowych zabezpieczeń, prawie równie dobrych jak Ultra - odpowiedziałem. - Jedyne, co nie pasowało w tym całym bałaganie, to poślizg przy skoku Verity. Gdyby nie było żadnego poślizgu, to mogłoby znaczyć, że linie obronne kontinuum upadły, ale pojawił się poślizg. Chociaż za mały, żeby pasować do teorii Fudżisakiego, że niekongruencja zachodzi, kiedy wymagany poślizg przekracza możliwości sieci. Sieć łatwo mogła spowodować czternaście minut poślizgu, albo cztery, co wystarczyłoby w zupełności, żeby nie dopuścić do powstania niekongruencji. Więc z tego wynika jedyny logiczny wniosek, że sieć celowo przeniosła Verity w ten dokładnie moment...

- Chcesz powiedzieć, że kontinuum zrobiło tak, żebym uratowała Księżniczkę Ardżumand? - zapytała Verity.

- Właśnie - potwierdziłem. - Dlatego myśleliśmy, że ty spowodowałaś niekongruencję, którą musimy naprawić, i dlatego urządziliśmy seans spirytystyczny, żeby wysłać Tossie do Coventry, żeby zobaczyła strusią nogę biskupa i napisała w pamiętniku, że to doświadczenie odmieniło jej życie...

- A lady Schrapnell przeczyta to - podchwyciła Verity - i postanowi odbudować katedrę z Coventry, i wyśle mnie w przeszłość do Muchings End, żebym się dowiedziała, co się stało ze strusią nogą biskupa, i dlatego uratuję kota...

- I dlatego wyślą mnie w przeszłość, żebym go zwrócił i podsłuchał rozmowę o powieściach sensacyjnych w księgarni Blackwella i spędził noc na wieży...

- I rozwiązał zagadkę strusiej nogi biskupa - dokończyła pani Bittner. Wstała i zaczęła wchodzić na schody. - Wie pan, cieszę się z tego. Nic tak nie ciąży jak tajemnica ukrywanego przestępstwa.

Otworzyła drzwi na strych.

- Zresztą i tak wkrótce prawda wyszłaby na jaw. Bratanek mnie męczy, żebym przeprowadziła się do jednopoziomowego mieszkania.

W książkach i vidach strychy zawsze wyglądają malowniczo, z rowerem, kilkoma wielkimi kapeluszami z piórami, antycznym koniem na biegunach i oczywiście wielkim kufrem, zawierającym zwłoki albo zaginiony testament.

Na strychu pani Bittner nie było kufra ani konia na biegunach, przynajmniej w moim polu widzenia. Chociaż swobodnie mogły się tam zmieścić, razem z Arką Przymierza i Wielką Piramidą z Gizy.

- Ojej - zawołała skonsternowana pani Bittner. - Obawiam się, że to bardziej „Tajemnica Sittaford" niż „Zaginiony list".

- Agatha Christie - wyjaśniła Verity. - Nikt nie zauważył dowodu, ponieważ wepchnięto go do kredensu, obok torby kijów golfowych, rakiet tenisowych i wielu innych rzeczy.

„Wiele innych rzeczy" to było łagodne określenie. Całą przestrzeń pod krokwiami niskiego stropu wypełniały kartonowe pudła, sterty ogrodowych krzeseł, stare ubrania zawieszone na odsłoniętej rurze, układanki z Wielkim Kanionem i marsjańską kolonią, przybory do krokieta, rakiety do squasha,

zakurzone ozdoby choinkowe, książki oraz rozmaite meble okryte narzutami, wszystko spiętrzone jedno na drugim niczym liczne warstwy osadowe.

- Możecie mi podać tamto krzesło? - poprosiła pani Bittner, wskazując dwudziestowieczny koszmarek z plastiformu ustawiony na pralce. - Nie mogę długo stać.

Zdjąłem krzesło, odczepiłem rydel i kilka wieszaków od jego aluminiowych nóżek i strzepnąłem kurz. Pani Bittner usiadła ostrożnie.

- Dziękuję - powiedziała. - Niech pan mi przyniesie tamtą blaszaną skrzynkę.

Z szacunkiem wręczyłem jej skrzynkę. Postawiła ją obok siebie na podłodze.

- I tamte duże kartonowe pudła. Niech pan je odsunie na bok. I te walizki.

Wykonałem polecenie, a ona wstała i ruszyła wąskim przejściem, które dla niej zrobiłem, prosto w ciemność.

- Włączcie jakąś lampę - powiedziała. - Tam jest kontakt.

Wskazała na ścianę za olbrzymią plastikową aspidistrą. Sięgnąłem po najbliższą lampę, masywny przedmiot z wielkim plisowanym abażurem i kwadratową, bogato zdobioną podstawą.

- Nie tę - sprzeciwiła się ostro pani Bittner. - Tamtą różową. Pokazała wysoką lampę z frędzlami, pochodzącą z początku dwudziestego pierwszego wieku.

Włączyłem lampę do kontaktu i nacisnąłem przemyślnie ukryty przełącznik, ale niewiele to pomogło. Oświetliłem frędzle i waterhouse'owską twarz Verity, i właściwie nic więcej.

Widocznie pani Bittner również tak uważała. Podeszła do ozdobnej metalowej lampy.

- „Zamaskowana zbrodnia" - powiedziała. Verity wychyliła się do przodu.

- Dowód udający coś innego - mruknęła.

- Właśnie - potwierdziła pani Bitner i zdjęła plisowany abażur ze strusiej nogi biskupa.

Wielka szkoda, że lady Schrapnell tutaj nie było. Ani Carruthersa. Tak długo szukaliśmy jej w ruinach, a ona przez cały czas była tutaj. Zabrana na przechowanie, jak sugerował Carruthers, i przechowana w idealnym stanie. Wody Morza Czerwonego wciąż rozdzielone; Wiosna, Lato, Jesień i Zima wciąż dzierżą swe szacowne girlandy z kwiecia jabłoni, róż, pszenicy i ostrokrzewu; głowa Jana Chrzciciela na półmisku wciąż spogląda z wyrzutem na króla Artura i rycerzy Okrągłego Stołu. Gryfy, maki, ananasy, maskonury, bitwa pod Prestonpans, wszystko nietknięte i nawet nie zakurzone.

- Lady Schrapnell tak się ucieszy - powiedziała Verity. Wcisnęła się w przejście, żeby lepiej obejrzeć urnę. - Rany boskie. Widocznie była odwrócona tą stroną do ściany. Co to jest? Wachlarze?

- Muszle - sprostowałem. - Muszle z wypisanymi nazwami ważnych bitew morskich. Lepanto, Trafalgar, bitwa z łabędziami.

- Trudno sobie wyobrazić, że ona zmienia bieg historii - powiedziała pani Bittner, patrząc na Shadrach, Meshach i Abednego w piecu ognistym. - Nie pięknieje z wiekiem, prawda? Jak Albert Memorial.

- Z którym ma wiele wspólnego - mruknęła Verity, dotykając słonia.

- No, nie wiem - powiedziałem, przechylając głowę na bok, żeby lepiej widzieć. - Zaczynam się do niej przywiązywać.

- On jest dyschronowany - uznała Verity. - Ned, ten słoń niesie *howdah* pełen bananów i ananasów dla orła z widelcem.

- To nie jest widelec - zaprzeczyłem. - To płonący miecz. I to nie orzeł, tylko archanioł strzegący bramy do Edenu. Albo do zoo.

- Naprawdę jest ohydna - stwierdziła pani Bittner. - Nie wiem, co sobie myślałam. Pewnie po tych wszystkich podróżach sama miałam lekką dyschronię. I tam było mnóstwo dymu.

Verity obejrzała się i popatrzyła na nią, a potem na mnie.

- Ile podróży pani zrobiła? - zapytała wreszcie.

- Cztery - odpowiedziała pani Bittner. - Nie, pięć. Pierwsza się nie liczy. Przeszłam za późno. Cała nawa się paliła i prawie się dusiłam od dymu. Wciąż jeszcze mam kłopoty z płucami.

Verity wciąż patrzyła na nią i próbowała zrozumieć.

- Pięć razy skakała pani do katedry? Pani Bittner przytaknęła.

- Miałam tylko parę minut po wyjściu służby pożarowej, zanim pożar się rozprzestrzenił, a poślizg ciągle przerzucał mnie później, niż chciałam. Zdążyłam zrobić tylko pięć.

Verity rzuciła mi niedowierzające spojrzenie.

- Proszę mi podać to okrągłe pudło - zwróciła się do niej pani Bittner. - Za drugim razem mało mnie nie przyłapali.

- To byłem ja - wyznałem. - Widziałem, jak pani biegnie w stronę sanktuarium.

- To był pan? - zaśmiała się, przykładając rękę do piersi. - Myślałam, że to rektor Howard i że mnie aresztują za szaber.

Verity podała jej pudło, a ona zdjęła pokrywę i zaczęła szperać wśród bibułki.

- Zabrałam strusią nogę biskupa za ostatnim razem. Próbowałam dotrzeć do Kaplicy Kowali, ale tam się paliło. Przebiegłam na drugą stronę do Kaplicy Farbiarzy i zdjęłam z ołtarza świeczniki z brązu, ale były za gorące. Upuściłam jeden, który potoczył się pod ławkę. A ja go znalazłem i pomyślałem, że podmuch go tam rzucił, przypomniałem sobie.

- Pobiegłam po niego - ciągnęła rzeczowo pani Bittner, rozkładając bibułkę - ale krokwie już się waliły, więc zawróciłam na początek nawy i zobaczyłam, że organy się palą, wszystko się pali.... drewniane rzeźby, chór i sanktuarium... cała piękna, piękna katedra... i nie mogłam niczego uratować. Nie myślałam, po prostu chwyciłam pierwsze, co mi wpadło w rękę, i pobiegłam do sieci, rozsypując chryzantemy i rozlewając wodę. - Wyjęła kłąb bibułki i rozwinęła świecznik z brązu. - Dlatego mam tylko jeden.

Pan Dunworthy mówił, że ona nie zna strachu, i chyba naprawdę nie znała, skoro tak biegała wśród płonących krokwi i spadających bomb, z siecią otwartą Bóg wie gdzie i bez żadnej gwarancji, że pozostanie otwarta, bez żadnej gwarancji, że dach się nie zawali. Spojrzałem na nią z podziwem.

- Ned - rozkazała - przynieś mi ten obraz. Ten zasłonięty kołdrą.

Przyniosłem, a ona ściągnęła kołdrę z wizerunku Chrystusa ze zbłąkaną owieczką w ramionach. Verity, która stała za mną, chwyciła mnie za rękę.

- Reszta jest tutaj - oznajmiła pani Bittner. - Pod plastikiem.

I była. Haftowany obrus na ołtarz z Kaplicy Kowali. Grawerowany cynowy kielich. Drewniana skrzynia z szesnastego wieku. Mały posążek św. Michała. Średniowieczne emaliowane cyborium. Srebrny kandelabr, w którym jeszcze tkwiły świece. Mizerykordia, na której wyrzeźbiono jeden z Siedmiu Miłosiernych Uczynków. Paliusz czapnika. Georgiańska płyta ołtarzowa. I drewniany krzyż z Kaplicy Pasamoników, z dzieckiem klęczącym u jego stóp.

Wszystkie skarby katedry Coventry.

Harris zapewnił mnie, że to przepiękny labirynt i że nieźle go poznał. Postanowiliśmy w drodze powrotnej namówić Jerzego, by tam wszedł.

Jerome K. Jerome, „Trzech panów w łódce”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Dostawy - Finch gra na zwlokę - Lady Schrapnell znika - Co To Znaczy - List - Tajemnica Księżniczki Ardżumand rozwiązana - Oświadczyny po angielsku - Powody skłaniające do małżeństwa - Tajemnica misji Fincha rozwiązana - Nowa tajemnica - Lady Schrapnell widzi strusią nogę biskupa - Trzęsienie ziemi w San Francisco - Los - Szczęśliwe zakończenie

Verity pierwsza odzyskała równowagę.

- Do konsekracji zostało czterdzieści pięć minut - zawołała, spoglądając na zegarek. - Za nic nie zdążymy.

- Zdążymy - obiecałem i chwyciłem komunikator. Zadzwoniłem do pana Dunworthy'ego.

- Mamy ją - oświadczyłem. - Potrzebujemy transportu z powrotem do Oksfordu. Może pan przysłać helikopter?

- Księżniczka Wiktoria bierze udział w konsekracji - poinformował mnie, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

- Środki bezpieczeństwa - wyjaśniła Verity. - Nie dopuszczają żadnych helikopterów, samolotów czy innych śmigłowców.

- Wobec tego czy może pan załatwić naziemny transport? - zapytałem pana Dunworthy'ego.

- Metro jest szybsze od wszelkich naziemnych środków transportu - zauważył. - Dlaczego nie przywieziecie jej metrem?

- Nie możemy - odparłem. - Potrzebujemy co najmniej... -spojrzałem na skarby, które Verity już znosiła ze strychu - ...dwieście siedemdziesiąt do trzystu stóp kubicznych przestrzeni transportowej.

- Na strusią nogę biskupa? - zdziwił się. - Chyba nie urosła?

- Wytłumaczę wszystko na miejscu - obiecałem i podałem mu adres pani Bittner. - Niech robotnicy czekają na nasz przyjazd. Nie pozwólcie zaczynać konsekracji bez nas. Jest tam Finch?

- Nie, poszedł do katedry - odpowiedział pan Dunworthy.

- Niech pan mu każe zwlekać - poprosiłem. - I nie pozwólcie, żeby lady Schrapnell się dowiedziała. Proszę do mnie zadzwonić, jak tylko pan załatwi transport.

Wetknąłem komunikator do kieszeni blezera, podniosłem strusią nogę biskupa i ruszyłem w dół po schodach. Komunikator zabrzęczał.

- Ned - powiedziała lady Schrapnell. - Gdzie pan był? Konsekracja zaczyna się za niecałe trzy kwadranse!

- Wiem - przyznałem. - Przyjedziemy jak najszybciej, ale potrzebujemy transportu. Może pani załatwić ciężarówkę? Albo transport metrem?

- Transport metrem jest tylko dla towarów - odparła. - Nie chcę, żeby pan chociaż na sekundę spuścił z oka strusią nogę biskupa. Raz już zginęła. Nie chcę, żeby znowu zginęła.

- Ani ja - zapewniłem i przerwałem połączenie. Znowu podniosłem strusią nogę biskupa. Komunikator zabrzęczał.

Tym razem dzwonił pan Dunworthy.

- Nie uwierzysz, czego ta kobieta od nas żąda! Chce, żebyś zabrał strusią nogę biskupa do najbliższej sieci i cofnął ją o dwa dni, żeby zdążyli ją wyczyścić i wypolerować na konsekrację.

- Mówił jej pan, że to niemożliwe, że żaden przedmiot nie może być w dwóch miejscach jednocześnie?

- Oczywiście, że jej mówiłem, a ona na to...

- „Prawa są po to, żeby je łamać” - zacytowałem. -Wiem. Wysłał pan do nas ciężarówkę?

- Nie ma ani jednej ciężarówki w Coventry. Lady Schrapnell zarekwirowała wszystkie w czterech okręgach na konsekrację. Carruthers dzwoni do agencji wynajmu samochodów i solarów.

- Ale potrzebujemy trzystu stóp kubicznych - przypomniałem. - Nie może pan wysłać ciężarówki z Oksfordu?

- Księżniczka Wiktoria - odpowiedział. - Dojazd zajmie wiele godzin.

- Z powodu korków - przetłumaczyła Verity.

- Jeżeli ciężarówka nie może dojechać z powodu korków, jak mamy się dostać do katedry?

- Wszyscy będą w katedrze, zanim przyjedziecie. Och, świetnie - powiedział do kogoś innego. - Carruthers dodzwonił się do agencji wynajmu.

- Świetnie - przytaknąłem i coś mi przyszło na myśl. - Nie przysyłajcie solara. Tutaj jest pochmurno, chyba zaraz zacznie padać.

- O rety. Lady Schrapnell koniecznie chce mieć słońce na konsekracji - jęknął i rozłączył się.

Tym razem zniosłem strusią nogę biskupa aż na drugie piętro, zanim komunikator ponownie zadzwonił. Po raz drugi zgłosił się pan Dunworthy.

- Wysyłamy samochód.

- Samochód będzie za mały na... - zacząłem.

- Przyjedzie za dziesięć minut - ciągnął. – T.J. chce cię zapytać o niekongruencję.

- Niech pan mu powie, że porozmawiam z nim po przyjeździe - rzuciłem i przerwałem połączenie.

Komunikator zabrzęczał. Wyłączyłem go i zniosłem strusią nogę biskupa do niedużego westybulu, już zagraconego rozmaitymi przedmiotami.

- Wysyłają samochód - uprzedziłem Verity. - Przyjedzie za dziesięć minut.

Wszedłem do bawialni, żeby porozmawiać z panią Bittner.

- Wysyłają samochód, żeby nas zawieźć na konsekrację - zawiadomiłem ją. - Podać pani płaszcz? Albo torebkę?

- Nie, dziękuję - odparła spokojnie. - Pańskim zdaniem to dobry pomysł, żeby pokazać światu strusią nogę biskupa? Myśli pan, że ona nie zmieni historii?

- Już zmieniła - oświadczyłem. - Podobnie jak pani. Zdaje pani sobie sprawę, co pani zrobiła? Dzięki pani odkryliśmy całą klasę przedmiotów, które można przenosić przez sieć do przodu. Inne skarby, które zniszczył ogień. Dzieła sztuki, książki i...

- Pamiętniki sir Richarda Burtona - podsunęła. Podniosła na mnie wzrok. - Żona spaliła je, kiedy zmarł. Ponieważ go kochała.

Usiadłem na sofie.

- Nie chce pani, żebyśmy zabrali strusią nogę biskupa?

- Nie. - Potrząsnęła siwą głową. - Nie. Ona należy do katedry. Pochyliłem się do przodu i ująłem jej dłonie.

- Dzięki pani przeszłość nie będzie tak bezpowrotnie stracona, jak myśleliśmy.

- Fragmenty przeszłości - powiedziała cicho. - Lepiej znieście na dół resztę rzeczy.

Kiwnąłem głową i ruszyłem z powrotem na strych. W połowie schodów wpadłem na Verity, która ostrożnie niosła paliusz czapnika na wyprostowanych ramionach.

- To wręcz zdumiewające - zacytowała, świetnie naśladując głos pani Mering - jakie skarby ludzie trzymają na strychach.

Wyszczerzyłem do niej zęby i pospieszyłem na górę. Zniosłem dziecięcy krzyż i płytę ołtarzową i właśnie taszczyłem po schodach drewnianą szesnastowieczną skrzynię, kiedy Verity zawołała:

- Przyjechał samochód.

- To nie solar? - upewniłem się.
- Nie - odparła. - To karawan.
- Z trumną w środku?
- Nie.
- Świetnie, więc wystarczy miejsca - ucieszyłem się i wyniosłem skrzynię przed dom.

Starożytny karawan z archaicznym napędem wyglądał tak, jakby używano go w czasie pandemii, ale przynajmniej był duży i otwierał się z tyłu. Kierowca gapił się na stos skarbów.

- Urządzacie kiermasz staroci?
- Tak - potwierdziłem i władowałem skrzynię do tyłu.
- Wszystkiego nie zmieścicie - oświadczył z przekonaniem. Wepchnąłem skrzynię jak najdalej do przodu i wziąłem od Verity srebrny kandelabr.
- Zmieścimy - zapewniłem. - Umiem doskonale pakować. Daj mi to.

Wszystko się zmieściło, chociaż musieliśmy postawić posążek Św. Michała na przednim fotelu.

- Pani Bittner może siedzieć z przodu - powiedziałem do Verity - ale ty i ja musimy się wcisnąć z tyłu.
- A strusia noga biskupa? - zapytała.
- Wezmę ją na kolana. Wróciłem do bawialni.
- Samochód załadowany - powiedziałem do pani Bittner. - Jest pani gotowa? - chociaż nie wyglądała na gotową. Wciąż siedziała cichutko w fotelu obitym perkalem.

Pokręciła głową.

- Jednak nie pojadę z wami - oświadczyła. - Mój bronchit...
- Nie pojedzie pani? - zawołała Verity od drzwi. - Przecież to pani uratowała te skarby. Powinna pani je zobaczyć w katedrze.
- Już je widziałam w katedrze - powiedziała. - Nie mogą wyglądać piękniej niż tamtej nocy, wśród płomieni.
- Pani mąż chciałby, żeby pani pojechała - nalegała Verity. - On kochał tę katedrę.
- To tylko zewnętrzny symbol czegoś większego - odparła. - Jak kontinuum.

Kierowca wsadził głowę w drzwi.

- Podobno państwo się spieszą.
- Już idziemy - rzuciłem przez ramię.
- Proszę, niech pani pojedzie - Verity uklękła obok fotela. - Powinna pani tam być.
- Nonsens - stwierdziła pani Bittner. - Czy przestępca towarzyszył Harriet i lordowi Peterowi podczas ich miodowego miesiąca? Nie. Przestępca zostaje sam, żeby rozpamiętywać swoje grzechy i konsekwencje swoich uczynków, co właśnie zamierzam robić. Chociaż w moim przypadku konsekwencje są trochę inne, niż się spodziewałam. Potrzebuję czasu, żeby się przestawić. Tak długo nosiłam worek pokutny i posypywałam głowę popiołem.

Olśniła nas nagłym uśmiechem i w jednej ulotnej chwili zobaczyłem, dlaczego Jim Dunworthy, Shoji Fudżisaki i Bitty Bittner stracili dla niej głowy.

- Na pewno pani nie pojedzie? - zapytała jeszcze raz Verity, powstrzymując łzy.
- W przyszłym tygodniu, kiedy poprawi mi się z bronchitem - przyrzekła. - Wy dwoje możecie mnie oprowadzić.
- Mówił pan, że musicie być w Oksfordzie przed jedenastą - odezwał się kierowca. - Nigdy nie zdążymy.
- Zdążymy - uciąłem i pomogłem wstać pani Bittner, żeby odprowadziła nas do samochodu.
- Na pewno dobrze się pani czuje? - zatroskała się Verity. Pani Bittner poklepała ją po ręku.

- Doskonale. Wszystko skończyło się lepiej, niż przypuszczałam. Alianci wygrali drugą wojnę światową - ponownie błysnęła uśmiechem Zulejki Dobson - a ja pozbyłam się ze strychu tej ohydnej strusiej nogi biskupa. Czego chcieć więcej?

- Krzyż zasłaniał mi widok, więc przeniosłem go na przód - powiedział kierowca. - Wy dwoje musicie siedzieć z tyłu.

Pocałowałem panią Bittner w policzek.

- Dziękuję - szepnąłem i wgramoliłem się do samochodu.

Kierowca podał mi strusią nogę biskupa. Umieściłem ją na kolanach. Verity przecisnęła się obok mnie, pomachała do pani Bittner i odjechaliśmy pełnym gazem.

Włączyłem znowu komunikator i zadzwoniłem do pana Dunworthy'ego.

- Już jedziemy - oznajmiłem. - Powinniśmy dojechać za jakieś czterdzieści minut. Niech pan powie Finchowi, żeby dalej grał na zwłokę. Załatwił pan robotników, żeby na nas czekali?

- Tak - potwierdził.

- Dobrze. Czy arcybiskup już przyjechał?

- Nie, ale lady Schrapnell przyjechała i dostała szału. Chce wiedzieć, gdzie pan znalazł strusią nogę biskupa i jakie kwiaty powinny w niej stać. Zgodnie z programem nabożeństwa.

- Żółte chryzantemy - poinformowałem i rozłączyłem się. -Wszystko gra - powiedziałem do Verity.

- Nie całkiem, Sherlocku. - Siedziała oparta o bok karawanu, z kolanami podciągniętymi pod brodę. - Jeszcze parę szczegółów wymaga wyjaśnienia.

- Owszem - przytaknąłem. - Mówiłaś, że wiesz, na czym polegała pokrewna misja Fincha. Na czym?

- Na przeniesieniu nieistotnych przedmiotów - odpowiedziała.

- Nieistotnych przedmiotów? Przecież dopiero teraz odkryliśmy, że to możliwe - zaprotestowałem. - A nieistotne przedmioty nie mają nic wspólnego z naszą niekongruencją.

- To prawda - zgodziła się - ale przez ponad tydzień T.J. i pan Dunworthy myśleli, że mają, i próbowali z rozmaitymi rzeczami.

- Ale nic się nie spaliło w Muchings End ani w Iffley, kiedy tam byliśmy. Co przeniósł Finch? Kapustę?

Zadzwonił komunikator.

- Ned - powiedziała lady Schrapnell - gdzie pan jest?

- W drodze - uspokoiłem ją. - Pomiędzy... - nachyliłem się do kierowcy. - Gdzie jesteśmy?

- Między Banbury a Adderbury.

- Między Banbury a Adderbury - powtórzyłem. - Przyjedziemy jak najszybciej.

- Dalej nie rozumiem, dlaczego nie możemy jej przerzucić w przeszłość - poskarżyła się lady Schrapnell. - Byłoby znacznie prościej. Czy strusia noga biskupa dobrze wygląda?

Na to nie znalazłem odpowiedzi.

- Przyjedziemy jak najszybciej - zapewniłem ponownie i przerwałem połączenie.

- No dobrze, teraz moja kolej na pytanie - powiedziała Verity. - Wciąż czegoś nie rozumiem. W jaki sposób wycieczka Tossie do Coventry piętnastego czerwca, kiedy zobaczyła strusią nogę biskupa i zakochała się w Bainie, mogła naprawić niekongruencję?

- Nie naprawiła - odparłem. - Nie dlatego Tossie tam pojechała.

- Ale wtedy zobaczyła strusią nogę biskupa, co zainspirowało lady Schrapnell do odbudowy katedry i wysłania mnie w przeszłość, żebym przeczytała pamiętnik, i dlatego uratowałam Księżniczkę Ardżumand...

- Co stanowiło część samokorekty. Ale Tossie musiała tam być piętnastego głównie po to, żeby ją

przyłapano na flirtowaniu z wielebnym panem Bauwanem.

- Och! - wykrzyknęła Verity. - Przyłapała ich dziewczyna z wycieraczkami do piór.

- Bardzo dobrze, Harriet - pochwaliłem ją. - Dziewczyna z wycieraczkami do piór. Nazywała się Ostróżka Sharpe.

- Kobieta kierująca Komitetem Kwiatowym.

- Już nie - zaprzeczyłem. - Pamiętasz, że bardzo się zdenerwowała, kiedy zobaczyła Tossie flirtującą z wielebnym Bauwanem. Wyleciała jak burza ze swoimi wycieraczkami i kiedy wychodziliśmy z kościoła, maszerowała po Bailey Lane, zadzierając długi nos. Widziałem, jak wielebny pan Bauwan biegnie za nią, żeby ją ułagodzić. Nie jestem pewien, co zaszło potem, ale domyślam się, że podczas sprzeczki ona wybuchnęła płaczem, a on się oświadczył. Co znaczy, że wielebny pan Bauwan nie został w katedrze, ale otrzymał kościelne beneficjum na jakiejś wiejskiej plebanii.

- Dlatego zażądałeś listy beneficjów.

- Doskonale, Harriet. Uwinął się znacznie szybciej, niż przypuszczałem. Poślubił ją w 1891 roku, a rok później objął parafię w Northumberland.

- Więc w nocy czternastego listopada 1940 roku Ostróżka przebywała daleko od Coventry - dokończyła Verity. - A zajęta parafialnymi kiermaszami staroci i zbiórką złomu, nie zauważyła zaginięcia pewnej strusiej nogi biskupa.

- Więc nie napisała listu do wydawcy - podjąłem - a wszyscy inni zakładali, że strusia noga spłonęła w pożarze.

- I tajemnica Ultry pozostała bezpieczna. - Verity zmarszczyła brwi. - Więc to, że uratowałam Księżniczkę Ardżumand, że pojechaliśmy do Oksfordu odwiedzić madame Iritosky, że nie dopuściłeś do spotkania Terence'a z Maud i pożyczyłeś mu pieniądze na łódź, i ten seans spirytystyczny, to wszystko było częścią samokorekty? Wszystko?

- Wszystko - przyświadczyłem, a potem zacząłem się zastanawiać. Właściwie jak bardzo rozbudowana była samokorekta i co wchodziło w jej zakres? Wojna pomiędzy profesorem Peddickiem a profesorem Overforce'em? Towarzystwo Badań Metapsychicznych? Pudełeczko na fiołki w cukrze przekazane w darze na kiermasz staroci? Futrzane damy w księgarni Blackwella?

- Ciągle nie rozumiem - wyznała Verity. - Jeżeli kontinuum musiało tylko powstrzymać pannę Sharpe przed napisaniem listu do wydawcy, istniały prostsze sposoby.

- To chaotyczny system - powiedziałem. - Każde zdarzenie jest powiązane ze wszystkimi innymi. Nawet niewielka zmiana wymaga rozległych poprawek.

Ale jak rozległych? - zadałem sobie pytanie. Czy objęły również Luftwaffe? I Agathę Christie? I pogodę?

- Wiem, że to chaotyczny system, Ned - mówiła Verity. - Ale tam był nalot. Gdyby samokorekta dokonywała się automatycznie, bezpośrednie trafienie skorygowałoby niekongruencję znacznie łatwiej i szybciej niż jakiś skomplikowany plan, uwzględniający koty i wycieczki do Coventry.

Bezpośrednie trafienie bomby burzącej usunęłoby wszelkie zagrożenie, jakie panna Sharpe stanowiła dla Ultry, i to bez żadnych konsekwencji. Ponad pięćset osób zginęło tamtej nocy w Coventry.

- Może Ostróżka Sharpe czy jakaś inna osoba spod zachodnich drzwi miała do odegrania inną rolę w historii - zasugerowałem, myśląc o krępym wartowniku COP i kobiecie z dwójką dzieci.

- Nie mówię o Ostróżce Sharpe - odparła Verity. - Mówię o strusiej nodze biskupa. Gdyby bomba trafiła bezpośrednio w Kaplicę Kowali, panna Sharpe uwierzyłaby w zniszczenie strusiej nogi biskupa i nie napisałaby listu do wydawcy. Albo wystarczyłoby bezpośrednie trafienie, zanim Lizzie

Bittner przeskoczyła, i wcale nie spowodowałaby niekongruencji.

Miała rację. Bezpośrednie trafienie wystarczyłoby w zupełności. Chyba że bomba burząca zmieniłaby coś innego. Albo strusia noga biskupa miała do odegrania inną rolę w Wielkim Planie. Albo kontinuum miało inne, subtelniejsze powody, żeby zastosować taką właśnie korektę.

Plany, zamiary, powody. Jakbym słyszał profesora Overforce'a. „Wiedziałem! To tylko argument na rzecz Wielkiego Planu!"

Wielki Plan, którego nie widzimy, ponieważ jesteśmy jego częścią. Wielki Plan, którego fragmenty dostrzegamy jedynie przelotnie. Wielki Plan, obejmujący całą historię, cały czas i całą przestrzeń, który z niepojętych przyczyn posłużył się dla swoich celów kotami, wycieraczkami do piór i młotkami do krokieta, nie licząc psa. I ohydnego wiktoriańskiego dzieła sztuki. I nas.

„Historia to charakter", mówił profesor Peddick. I rzeczywiście charakter odgrywał ważną rolę w procesie samokorekty - przywiązanie Lizzie Bittner do męża, upór pułkownika Meringa, który nie chciał nałożyć płaszcza w deszcz, zamiłowanie Verity do kotów i zamiłowanie Księżniczki Ardżumand do ryb, temperament Hitlera i łatwowierność pani Mering. I moja dyschronia. Jeśli stanowiły część samokorekty, jak to wpływało na pojęcie wolnej woli? A może wolna wola również stanowiła część planu?

- Jeszcze czegoś nie rozumiem - ciągnęła Verity. - Niekongruencja została naprawiona, kiedy Tossie uciekła z Baine'em, tak?

Kiwnąłem głową.

- Więc co tam robiła Ostróżka Sharpe? Przecież TJ. powiedział, że prawdopodobieństwo załamuje się w prawdziwy ciąg wydarzeń, jak tylko niekongruencja zostaje naprawiona?

- Ale niekongruencja nie została jeszcze naprawiona, kiedy tam byliśmy - zwróciłem jej uwagę. - Baine wrzucił Tossie do wody, ale jeszcze z nią nie uciekł. A dopóki nie uciekli, niekongruencja nie naprawiła się w pełni.

- Przecież uciekli. Uciekli osiemnastego czerwca 1888 roku. I to było przesądzone, odkąd ją pocałował, więc po co w ogóle pojechaliśmy do Coventry? Na pewno nie po to, żeby Tossie uciekła z Baine'em.

Znałem przynajmniej tę odpowiedź.

- Żeby znaleźć strusią nogę biskupa - oznajmiłem. - Musiałem zobaczyć drzwi i pusty żelazny postument, żeby zrozumieć, co zaszło.

- Ale dlaczego? - upierała się, wciąż marszcząc brwi. - Mogła się naprawić nawet bez naszej wiedzy.

- Z litości - podsunąłem. - Bo wiedziała, że lady Schrapnell zabije mnie, jeśli jej nie znajdę przed konsekracją.

Ale Verity miała słuszność. Strusia noga biskupa nadal mogła tkwić na strychu pani Bittner i obrastać kurzem, skoro niekongruencja została naprawiona i naziści nie dowiedzieli się o Ultrze. Więc dlaczego wysłano mnie do laboratorium w 2018 i do Blackwella, i do nalotu, i dostarczono mi takie wyraźne wskazówki, skoro nie miało znaczenia, czy znajdziemy strusią nogę biskupa? Czyżby jej ewentualne odkrycie po śmierci pani Bittner spowodowało jakąś inną niekongruencję? Czy też z jakiegoś powodu musiała znaleźć się w katedrze podczas konsekracji?

- Dojeżdżamy do Oksfordu - odezwał się kierowca. - Dokąd mam jechać?

- Chwileczkę - poprosiłem i zadzwoniłem do pana Dunworthy'ego.

Odebrał Finch.

- Dzięki niebiosom - powiedział. - Jedźcie Parks Road do Holywell i Longwell, a potem skręcajcie na południe w Główną i na boisko Merton. Skorzystajcie z drogi dojazdowej. Będziemy

na was czekać przy drzwiach zakrystii. Wie pan, gdzie to jest?

- Tak - powiedziałem. - Zrozumiał pan? - zapytałem kierowcę. Kiwnął głową.

- Zabieracie te rzeczy do katedry?

- Tak.

- Strata czasu i pieniędzy, gdyby mnie kto pytał - mruknął. - To znaczy, jaki jest pożytek z katedry?

- Zdziwiłby się pan - odparła Verity.

- Proszę tutaj skręcić - poleciłem, wypatrując furtki dla pieszych w Merton. - Finch, jesteśmy na miejscu - powiedziałem do komunikatora, a do kierowcy: - Niech pan jedzie na wschodni koniec. Drzwi zakrystii są na południowej ścianie.

Kierowca zahamował przed drzwiami zakrystii, gdzie czekał na nas tuzin robotników od Fincha. Jeden z nich otworzył tylne drzwi karawanu. Verity wygramoliła się z pojazdu i zaczęła wydawać rozkazy:

- Obrus na ołtarz idzie do Kaplicy Kowali, tak samo ten świecznik. Uważajcie, żeby nie pomieszać rekonstrukcji z oryginałami. Ned, podaj mi paliusz czapnika.

Położyłem go na jej wyciągniętych ramionach, a ona wniosła go po schodach. Sięgnąłem po komunikator.

- Finch, gdzie pan jest?

- Tutaj, sir - odezwał się od drzwi karawanu. Wciąż nosił surdut kamerdynera, chociaż rękaw miał już suchy. Podałem mu emaliowane cyborium.

- Konsekracja jeszcze się nie zaczęła? - upewniłem się.

- Nie, sir - powiedział. - Niestety powstał zator w St. Aldate's. Wozy straży pożarnej i karetki pogotowia całkowicie zablokowały ulicę. Wszystko okazało się zwykłym nieporozumieniem - ciągnął z absolutnie pokerową twarzą - ale rozładowanie korka zabrało trochę czasu. Nikt nie mógł dojechać na Błonia Christ Church prawie przez godzinę. A potem biskup się spóźnił. Jego kierowca źle skręcił i pojechał do Iffley. A teraz wynikły jakieś kłopoty z biletami.

Z podziwem pokręciłem głową.

- Jeeves byłby z pana dumny. Nie licząc Buntera i Niezrównanego Crichtona.

Wyładowałem strusią nogę biskupa.

- Mam to zanieść, sir?

- Chcę to sam dostarczyć. - Ruchem głowy wskazałem dziecięcy krzyż. - To idzie do Kaplicy Pasamoników. A posążek św. Michała idzie na chór.

- Tak, sir - powiedział. - Pan Lewis pana szuka. Chce z panem omówić jakąś kwestię dotyczącą kontinuum.

- Świetnie - stęknąłem, szamocząc się z mizerykordią. - Jak tylko uporządkujemy ten bałagan.

- Tak, sir - powtórzył. - A w wolnej chwili ja też chciałbym z panem pomówić, sir, o mojej misji.

- Proszę mi powiedzieć tylko jedno. - Wyciągnąłem mizerykordię i podałem ją dwóm pierwszorocznym studentom. - Czy pańska misja polegała na przenoszeniu wstecz nieistotnych przedmiotów?

Wydawał się urażony.

- W żadnym wypadku.

Podniosłem strusią nogę biskupa.

- Nie wie pan, gdzie jest lady Schrapnell?

- Przed chwilą była w zakrystii, sir. - Podniósł wzrok na niebo. - Ojej, coraz bardziej się chmurzy. A lady Schrapnell chciała, żeby wszystko wyglądało dokładnie jak w dniu nalotu.

Zataszczyłem strusią nogę biskupa po schodach do drzwi zakrystii, bardzo stosowny postępek:

wnieść strusią nogę biskupa tymi samymi drzwiami, którymi rektor Howard wyniósł świeczniki, krucyfiks i sztandar pułkowy. Skarby z Coventry.

Otworzyłem drzwi i wniosłem ją do zakrystii.

- Gdzie jest lady Schrapnell? - zapytałem historyczkę, którą rozpoznałem z Kolegium Jezusa.

Wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Nie - zawołała do kogoś w sanktuarium. - Potrzebujemy jeszcze śpiewników na ostatnie pięć rzędów ławek w zachodnim skrzydle. I trzech książeczek do nabożeństwa.

Wszedłem na chór. I wpadłem w chaos. Ludzie biegali dookoła wykrzykując rozkazy, a z Kaplicy Bławatników dochodziło głośne stukanie młotka.

- Kto zabrał Listy Apostolskie? - wołał wikary przy pulpicie. - Przed chwilą tu leżały.

Organy zagrały próbny akord i pierwsze nuty hymnu „Tajemne są dzieła Boże, niepojęte Jego cuda". Chuda kobieta w zielonym fartuchu wtykała długie różowe gladiolusy do wazy z brązu przed pulpitem, a przysadzista matrona w okularach, z kartką papieru w dłoni, chodziła od jednej osoby do drugiej i wszystkich o coś pytała. Pewnie ona też szukała lady Schrapnell.

Organy umilkły i organista krzyknął do kogoś na arkadowej galerii: „Rejestr trąbki nie działa". Wszędzie kręcili się chłopcy z chóru w lnianych komżach i czerwonych sutannach. Widocznie Warder kazała komuś wyprasować komże, pomyślałem bez związku.

- Nie rozumiem, co to za różnica, czy ławki chóru są wykończone od wewnątrz - mówiła blondynka z długim nosem do chłopca leżącego częściowo pod jedną ze stalli chóru. - Nikt z kongregacji tego nie zobaczy.

- „My o powód nie pytamy - zacytował chłopiec. - My na rozkaz umieramy". Podaj mi laser, dobrze?

- Przepraszam - odezwałem się. - Czy któreś z was wie, gdzie jest lady Schrapnell?

- Ostatnio widziałem ją w Kaplicy Sukienników - odpowiedział chłopiec spod ławki.

Ale nie było jej w Kaplicy Sukienników ani w sanktuarium, ani na górze pod arkadami. Zszedłem do nawy.

Carruthers siedział tam w ławce, składając programy nabożeństwa.

- Widziałeś lady Schrapnell? - zapytałem.

- Była tu przed chwilą - odparł z niesmakiem. - Właśnie dlatego muszę to robić. Zdecydowała w ostatniej chwili, że trzeba od nowa wydrukować programy nabożeństwa. - Podniósł wzrok. - Wielki Boże, znalazłeś ją! Gdzie była?

- To długa historia - odparłem. - Dokąd poszła lady Schrapnell?

- Do zakrystii. Czekaj. Zanim pójdziesz, chcę ci zadać jedno pytanie. Co myślisz o Peggy?

- Peggy?

- Warder - wyjaśnił. - Nie uważasz, że jest najsłodszą, najmilszą osobą na całym świecie?

- Jeszcze nie poskładałeś tych programów? - zapytała Warder, podchodząc do nas. - Lady Schrapnell chce je dać porządkowym.

- Gdzie ona jest? - zapytałem.

- W Kaplicy Bławatników - odpowiedziała Warder, a ja szybko uciekłem.

Ale lady Schrapnell nie było w Kaplicy Bławatników ani w baptysterium. Zauważyłem, że coś się dzieje obok zachodnich drzwi. Sam będę musiał odstawić na miejsce strusią nogę biskupa.

Zaniosłem ją do Kaplicy Kowali, myśląc: teraz na pewno zniknął postument, ale postument z kutego żelaza stał tam, gdzie powinien, przed ażurową przegrodą. Pieczołowicie ustawiłem na nim strusią nogę biskupa.

Kwiaty. Potrzebowała kwiatów. Wróciłem do pulpitu i kobiety w zielonym fartuchu.

- Potrzebuję kwiatów do wazy przed ażurową przegrodą Kaplicy Kowali - oznajmiłem. - Żółte chryzantemy.

- Żółte chryzantemy! - przeraziła się i chwyciła komunikator. - Lady Schrapnell pana przysłała? W programie nic nie ma o żółtych chryzantemach.

- Dodatek z ostatniej chwili - wyjaśniłem. - Nie widziała pani przypadkiem lady Schrapnell?

- W Kaplicy Pasamoników - odparła, wtykając gladiolusy do wazy na pulpicie. - Chryzantemy! Skąd ja wezmę żółte chryzantemy?

Ruszyłem przez transept, zatłoczony chórzystami i ludźmi w akademickich togach.

- No dobrze! - mówił młody człowiek, wypisz wymaluj wielebny Arbitage. - Tu jest porządek procesji. Najpierw kadzielnica i chór. Potem członkowie wydziału historii, według kolegiów. Panie Ransome, gdzie pańska toga? Instrukcje wyraźnie mówiły: „pełny strój akademicki".

Przecisnąłem się wzdłuż rzędu ławek do północnego przejścia i ruszyłem nawą. Nagle zobaczyłem pana Dunworthy'ego.

Stał w wejściu do Kaplicy Pasamoników, opierając się o jeden z łuków. Trzymał kartkę papieru, która właśnie sfrunęła z jego dłoni na podłogę.

- Co się stało? - zawołałem i podbiegłem do niego. - Nic panu nie jest?

Objąłem go ramieniem.

- Chodźmy tam - pociągnąłem go do najbliższej ławki. - Niech pan usiądzie.

Podniosłem kartkę papieru i usiadłem obok niego.

- Co to jest?

Obdarzył mnie słabym uśmiechem.

- Patrzyłem na dziecięcy krzyż - powiedział, wskazując Kaplicę Pasamoników. - I nagle uświadomiłem sobie, co to znaczy. Tak bardzo byliśmy zajęci rozwiązywaniem niekongruencji, wyciąganiem Carruthersa i misją Fincha, że dopiero teraz dotarło do mnie, co odkryliśmy.

Sięgnął po kartkę papieru, którą podniosłem.

- Zacząłem robić listę - oznajmił. Spojrzałem na kartkę w mojej dłoni.

- Biblioteka w Lizbonie - przeczytałem. - Biblioteka Publiczna w Los Angeles. „Rewolucja francuska" Carlyle'a. Biblioteka Aleksandryjska.

Podniosłem na niego wzrok.

- Wszystko zniszczone przez ogień - wyjaśnił. - Służąca przez pomyłkę spaliła jedyny egzemplarz „Rewolucji francuskiej". - Wziął ode mnie kartkę. - Tyle zdążyłem wymyślić przez kilka minut.

Złożył listę na pół.

- Katedra św. Pawła wyparowała po trafieniu bombą - mruknął. - Wszystko przepadło. Obraz „Światło świata", grobowiec Nelsona, posąg Johna Donne'a. Pomyśleć, że mogły...

Podszedł do nas wikary.

- Panie Dunworthy - powiedział - powinien pan stanąć w szeregu.

- Nie widział pan lady Schrapnell? - zapytałem wikarego.

- Przed chwilą była w Kaplicy Sukienników - poinformował mnie. - Panie Dunworthy, gotowy pan?

- Tak - oświadczył. Zdjął swój biret, włożył do niego listę i ponownie naciągnął biret na głowę. - Jestem gotowy na wszystko.

Ruszyłem nawą w stronę Kaplicy Sukienników. Boczne przejście wypełniał skłębiony tłum donów, a Warder na chórze próbowała ustawić chłopców w szeregu.

- Nie, nie, nie! - krzyczała. - Nie siadać! Pogniotą się wam komże. Właśnie je wyprasowałam. Stańcie porządnie. Nie będę was ustawiać przez cały dzień!

Wyminąłem ją i skierowałem się do Kaplicy Sukienników. Stała tam Verity przed witrażowym oknem, pochyliwszy piękną głowę nad kartką papieru.

- Co to jest? - zagadnąłem, podchodząc do niej. - Program nabożeństwa?

- Nie - odparła. - To list. Pamiętasz, jak znaleźliśmy list Maud, poprosiłam biegłą sądową, żeby sprawdziła, czy przetrwały jakieś listy Tossie do innych osób. - Podniosła list. - Znalazła jeden.

- Żartujesz - zawołałem. - I pewnie jest w nim nazwisko Baine'a.

- Nie, Tossie ciągle nazywa go „ukochanym mężem". I podpisuje się: „Toots". Ale jest tam parę interesujących rzeczy. - Verity usiadła w rzeźbionej ławce. - Posłuchaj tego: „Mój drogi Terence..."

- Terence? - zdziwiłem się. - Na litość, dlaczego ona pisze do Terence'a?

- On do niej napisał - wyjaśniła Verity. - Jego list zaginął. To jest odpowiedź Tossie.

- Terence napisał do niej?

- Tak - potwierdziła. - Słuchaj: „Mój drogi Terence, Nie zdołam wyrazić słowami, jak bardzo ucieszył mnie twój list z trzeciego". Słowo „ucieszył" podkreślone. „Straciłam już wszelką nadzieję, że otrzymam wiadomość o mojej kochanej Księżniczce Ardżumand na tym świecie!" Słowo „świecie"...

- Podkreślone - dokończyłem.

- I dwa wykrzykniki - dodała Verity. Czytała dalej: - „Wypłynęliśmy już daleko w morze, kiedy odkryłam, że zginęła. Mój ukochany mąż zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby skłonić kapitana do natychmiastowego powrotu, lecz ten okrutnik odmówił i myślałam, że już nigdy w tym życiu nie ujrzę mojej najdroższej ślicznej Dziudziu i nie poznam jej Losu". Praktycznie każde słowo podkreślone - zaznaczyła Verity - a „Los" napisany dużą literą.

Podjęła lekturę:

- „Nie potrafisz sobie wyobrazić mojej radości, kiedy otrzymałam twój list. Tak straszliwie się bałam, że utonęła w morskiej otchłani, a teraz dowiaduję się, że nie tylko żyje, lecz jest z tobą!"

- Co? - wykrztusiłem.

- Od tego miejsca wszystko podkreślone - ciągnęła Verity. - „Pomyśleć tylko, że moje delikatne kochanie podróżowało z Plymouth aż do Kent, kiedy Muchings End byłoby znacznie bliżej! Ale może lepiej się stało. Mama pisała, że papa ostatnio otrzymał nowego złotego welona ryunkina. I wiem, że będziesz się nią dobrze opiekował.

Dziękuję za twoją wspaniałomyślną propozycję, że odeślesz mi Księżniczkę Ardżumand pod opieką Dawsona, lecz mój ukochany mąż i ja doszliśmy do wniosku, że ze względu na jej niechęć do wody najlepiej będzie, jeśli najdroższa kiciunia pozostanie pod twoją opieką. Wiem, że ty i twoja żona Maud będziecie ją kochali równie mocno jak ja. Mama napisała mi o waszym ślubie. Chociaż wydaje mi się nieco pospieszny i mam szczerą nadzieję, że nie popełniłeś tego kroku w chwili słabości, cieszę się niezmiernie, że zdołałeś o mnie zapomnieć, i żywię głęboką nadzieję, że będziecie równie szczęśliwi jak ja z moim ukochanym mężem! Ucałuj ode mnie Księżniczkę Ardżumand i pogłaszcz jej kochane futerko, i powiedz jej, że mamusia każdego dnia myśli o swojej słodkiej kiciuni. Serdecznie zobowiązana, Toots Callahan".

- Biedny Cyryl - westchnąłem.

- Nonsens - zaprzeczyła Verity. - Byli dla siebie stworzeni.

- Tak jak my - powiedziałem. Przechyliła głowę na bok.

- No więc jak, Harriet? - zagadnąłem. - Kapitalna z nas para detektywów, hę? Co powiesz na to, żebyśmy założyli stały zespół?

- Nie! - krzyknęła Warder. - Nie kazałam wam siadać. Spójrzcie, jak się pogniotły! Te komże są lniane!

- A zatem co powiesz, Watsonie? - zapytałem.

- Nie wiem - odparła żałośnie. – A jeśli to tylko dyschronia? Popatrz na Carruthersa. Wydaje mu się, że zakochał się w Warder...

- Absolutnie wykluczone! - szczeknęła Warder na małego chłopca. - Trzeba było o tym pomyśleć, zanim nałożyłeś komżę!

- Spójrz na nią! A jeśli teraz, kiedy wszystko się skończyło - ciągnęła Verity, podnosząc na mnie poważny wzrok - kiedy wreszcie odpoczniesz i wyleczysz się z dyschronii, wówczas dojdziesz do wniosku, że to wszystko było straszną pomyłką?

- Nonsens - oświadczyłem, przypierając ją do ściany. - Także brednie, banialuki, dyrdymały, koszałki-opałki i duby smalone. Nie licząc andronów. Po pierwsze wiesz doskonale, że kiedy cię ujrzałem pierwszy raz, jak wyżymałaś rękaw na dywan pana Dunworthy'ego, było jak w „Pani na Shalott"... szata porwana, zwierciadło pękło, wszędzie pełno strzępków i odłamków szkła.

Oparłem dłoń o ścianę nad głową Verity i pochyliłem się ku jej twarzy.

- Po drugie - powiedziałem - to twój patriotyczny obowiązek.

- Mój patriotyczny obowiązek?

- Właśnie. Jesteśmy częścią samokorekty, pamiętasz? Jeśli się nie pobierzemy, stanie się coś okropnego: naziści domyśla się, że mamy Ultrę, albo lady Schrapnell przekaże pieniądze do Cambridge, albo kontinuum się załamie.

- Tutaj jesteście - zawołał Finch, wbiegając z komunikatorem i wielkim kartonowym pudłem. - Wszędzie was szukam. Pan Dunworthy powiedział, że pan i panna Kindle macie dostać jednego, ale nie wiedziałem, czy to znaczy jednego czy dwa.

Nie miałem pojęcia, o czym on mówi, ale po tygodniowym pobycie w epoce wiktoriańskiej przestałem się przejmować takimi rzeczami.

- Jednego - powiedziałem.

- Tak, sir. Jednego - powiedział do komunikatora i położył go na nagrobku. - Pan Dunworthy mówił, że ze względu na wasze cenne zasługi możecie wybrać pierwsi. Czy macie jakieś preferencje co do koloru?

- Tak - odezwała się Verity. - Czarny. Z białymi łapkami.

- Co? - bąknąłem.

- Mówiłam ci, że on przenosi nieistotne przedmioty - mruknęła Verity.

- Bynajmniej nie uważam ich za nieistotne - oświadczył Finch, otworzył pudło i wyjął kociaka.

Kotek wyglądał identycznie jak Księżniczka Ardżumand, włącznie z białymi pantalonami na tylnych łapkach, tylko w miniaturze.

- Skąd? - zapytałem. - Jak? Koty to wymarły gatunek.

- Tak, sir - przyznał, podając kociaka Verity - ale w czasach wiktoriańskich występował nadmiar kotów, dlatego też farmerzy często topili nowo narodzone kocięta, żeby ograniczyć liczebność populacji.

- A kiedy przeniosłam w czasie Księżniczkę Ardżumand - podjęła Verity, głaszcząc kociaka – T.J. i pan Dunworthy postanowili sprawdzić, czy kociaki wrzucone w worku do stawu okażą się nieistotne.

- Więc pan wędrował po okolicy i szukał ciężarnych kotów - stwierdziłem, zaglądając do pudła. W środku były dwa tuziny kociąt, większość jeszcze z zamkniętymi oczami. - Czy któreś są od Pani Marmolady?

- Tak, sir - przyświadczył i wskazał kilka małych futrzanych kuleczek. - Te trzy pręgowane i ten cętkowany. Oczywiście wszystkie są za małe, żeby je odstawić od smoczka, ale pan Dunworthy kazał

wam powtórzyć, że dostaniecie swojego za pięć tygodni. Te po Księżniczce Ardżumand są trochę starsze, bo nie mogli ich znaleźć prawie przez trzy tygodnie.

Odebrał kociaka od Verity.

- Kot właściwie nie będzie waszą własnością - ciągnął - i musicie go zwrócić do laboratorium dla sklonowania oraz regularnego rozpłodu. Nie dysponujemy jeszcze wystarczającą pulą genową, ale nawiązaliśmy kontakt z Sorboną, Caltechem i Uniwersytetem Tajlandii, a ja będę wracał do wiktoriańskiej Anglii po dodatkowe okazy.

Włożył kociaka z powrotem do pudła.

- Czy możemy go odwiedzać? - zapytała Verity.

- Naturalnie - odpowiedział Finch. - I musicie przejść szkolenie w kwestii opieki oraz pokarmu. Polecam dietę z mleka oraz...

- Perłowych wyłupiastookich ryunkinów - dokończyłem. Komunikator Fincha zapiszczał. Finch spojrzał na niego i podniósł kartonowe pudło.

- Przyjechał arcybiskup, a strażnik przy zachodnich drzwiach mówi, że zaczyna padać. Trzeba wpuścić tłum do środka. Koniecznie muszę znaleźć lady Schrapnell. Nie widzieliście jej?

Oboje pokręciliśmy głowami.

- Lepiej pójdę jej poszukać - mruknął i odszedł pośpiesznie.

- Po trzecie - zwróciłem się do Verity, podejmując przerwany wątek - przypadkiem wiem od tamtego dnia w łódce, że czujesz dokładnie to samo, i jeśli czekasz, żebym oświadczył się po łacinie...

- Tutaj jesteś, Ned - zawołał T.J. Niósł mały monitor i przenośny zestaw komputerowy. - Muszę ci coś pokazać.

- Konsekracja już się zaczyna - zaprotestowałem. - Czy to nie może zaczekać?

- Raczej nie - odparł.

- W porządku - rzuciła Verity. - Zaraz wracam. Wymknęła się z kaplicy.

- Co jest? - zapytałem.

- Pewnie nic - odpowiedział T.J. - To prawdopodobnie błąd matematyczny. Albo usterka systemu.

- Co to jest? - powtórzyłem.

- No dobrze, pamiętasz, jak mi kazałeś przenieść ognisko niekongruencji do Coventry w 1940 roku, i tak zrobiłem, i mówiłem ci, że prawie idealnie pasowało do symu Waterloo z kociołkiem.

- Tak - mruknąłem ze znużeniem.

- No więc „prawie" to kluczowe słowo. - Wywołał na ekranie jeden ze swoich zamazanych szarych modeli. - Pasowało bardzo dobrze przy poślizgu peryferyjnym i na głównych obszarach tutaj, tutaj i tutaj - wskazał nierozróżnialne fragmenty ekranu. - Ale nie przy poślizgu wokół ośrodka. I chociaż w ośrodku przeniesienia strusiej nogi biskupa przez panią Bittner wystąpił poślizg, nie był radykalnie zwiększony.

- Przecież tam nie było miejsca na radykalnie zwiększony poślizg - przypomniałem mu. - Lizzie Bittner musiała się zmieścić w bardzo wąskim okienku czasowym... pomiędzy chwilą, kiedy ostatni raz widziano skarby, a ich zniszczeniem przez ogień. Miała ledwie kilka minut. Zwiększony poślizg wysłałby ją prosto w płomienie.

- No tak, nawet jeśli to uwzględnimy, pozostaje problem poślizgu w otoczeniu - zauważył, wskazując na nicość. - A więc - stuknął w kilka klawiszy - spróbowałem przesunąć ognisko do przodu.

Na ekranie pojawiła się nieokreślona szara plama.

- Do przodu?

- Tak. Oczywiście nie miałem wystarczających danych, żeby wybrać lokalizację czasoprzestrzenną jak ty, więc zrobiłem inaczej: potraktowałem poślizg w otoczeniu jako peryferyjny i ekstrapolowałem nowy poślizg w otoczeniu, a z tego wyprowadziłem nowe ognisko.

Wywołał kolejny szary obraz.

- Okay, to jest model Waterloo. Teraz nałożę go na model z nowym ogniskiem. - Nałożył. - Widzisz, że pasuje.

Widziałem.

- Gdzie wypada to ognisko? - zapytałem. - W którym roku?

- 2678 - odpowiedział.

2678. Ponad sześćset lat w przyszłość.

- Piętnasty czerwca 2678 roku - ciągnął. - Jak mówiłem, to pewnie nic nie znaczy. Błąd w obliczeniach.

- A jeśli znaczy?

- Wtedy przeniesienie strusiej nogi biskupa przez panią Bittner nie stanowi niekongruencji.

- Ale jeśli to nie stanowi niekongruencji...

- To też jest część samokorekty - wyjaśnił T.J.

- Samokorekty czego?

- Nie wiem - przyznał. - Czegoś, co jeszcze się nie wydarzyło. Czegoś, co wydarzy się w...

- ...w 2678 roku. Jaka jest lokalizacja przestrzenna? - spytałem, bo zaciekawiło mnie, czy będzie równie odległa jak data. Addis Abeba? Mars? Mniejszy Obłok Magellana?

- Oksford - odpowiedział T.J. - Katedra z Coventry.

Katedra z Coventry. Piętnastego czerwca. Verity miała rację. Kontinuum chciało, żebyśmy znaleźli strusią nogę biskupa i zwrócili ją do katedry. I to wszystko, sprzedaż nowej katedry, odbudowa starej przez lady Schrapnell, nasze odkrycie, że nieistotne skarby można przenieść do przodu przez sieć, wszystko stanowiło część tej samej ogromnej samokorekty, jakiegoś Wielkiego...

- Sprawdzę jeszcze raz wszystkie obliczenia i przeprowadzę kilka testów logicznych na modelu - mówił T.J. - Nie martw się. Pewnie się okaże, że to zwykły błąd w symie Waterloo, nic więcej. To tylko prymitywny model.

Dotknął kilku klawiszy i szarość znikła. Zaczął składać ekran.

- T.J. - powiedziałem. -Jak myślisz, co przesądziło o wyniku bitwy pod Waterloo? Charakter pisma Napoleona czy jego hemoroidy?

- Ani jedno, ani drugie - odparł. - I myślę, że nie zadecydował żaden z czynników, których symulację robiliśmy... odwrót Gneisenau do Wavre czy zabłąkany posłaniec, czy pożar w La Sainte Haye.

- Więc co to było według ciebie? - zapytałem z ciekawością.

- Kot - odpowiedział.

- Kot?

- Albo koło, albo wóz, albo...

- ...kierowniczka komitetu kościelnego - mruknąłem.

- Właśnie - potwierdził. - Coś tak nieistotnego, że nikt tego nawet nie zauważył. W tym cały kłopot z modelami... zawierają tylko te szczegóły, które ludzie uznali za istotne, a Waterloo stanowiło chaotyczny system. Wszystko było istotne.

- A my wszyscy jesteśmy chorążym Kleppermanem - podchwyciłem - który nagle obejmuje stanowisko o kluczowym znaczeniu.

- No - wyszczerzył zęby - i wszyscy wiemy, co się stało z chorążym Kleppermanem. I co się stanie

ze mną, jeśli nie wrócę do zakrystii. Lady Schrapnell chce, żebym zapalił świece w kaplicach. - Pospiesznie chwycił ekran i zestaw komputerowy. - Lepiej wezmę się do zapalania. Oni chyba zaraz zaczną.

Rzeczywiście na to wyglądało. Chłopcy z chóru i donowie ustawili się mniej więcej w szeregach, kobieta w zielonym fartuchu zbierała nożyce, wiadra i bibułkę do zawijania kwiatów, chłopiec z laserem wylazł spod ławki. „Czy rejestr trąbki już działa?", zawołał jakiś głos z galerii, a organista odkrzyknął: „Tak". Carruthers i Warder stali przy południowych drzwiach, ściskając w objęciach stosy programów i siebie nawzajem. Wyszedłem do nawy, rozglądając się za Verity.

- Gdzież pan był? - natarła na mnie lady Schrapnell. - Wszędzie pana szukałam. - Ujęła się pod boki. - No, podobno pan znalazł strusią nogę biskupa. Gdzie ona jest? Czyżby znowu pan ją zgubił?

- Nie - zapewniłem. - Stoi na swoim miejscu, przed ażurową przegrodą Kaplicy Kowali.

- Chcę ją zobaczyć - oświadczyła i ruszyła przez nawę. Zabrzmiała fanfara i organista rozpoczął z rozmachem: „O Boże, który stwarzasz rzeczy wielkie i niepojęte". Chórzyści otworzyli śpiewniki. Carruthers i Warder rozdzielili się i zajęli stanowiska przy południowych drzwiach.

- Chyba już nie ma czasu - powiedziałem. - Konsekracja zaraz się zacznie.

- Nonsens - odparła, rozpychając chórzystów. - Mamy mnóstwo czasu. Słońce jeszcze nie zaszło.

Przepchnęła się przez donów, którzy rozstąpili się przed nią jak Morze Czerwone, i pospieszyła północnym przejściem do Kaplicy Kowali.

Szedłem za nią pełen nadziei, że strusia noga biskupa nie zniknęła znowu w tajemniczy sposób. Nie zniknęła. Ciągle tam stała, na postumencie z kutego żelaza. Kobieta w zielonym fartuchu wstawiła do niej piękny bukiet białych wielkanocnych lilii.

- Oto ona - zaprezentowałem ją dumnie. - Po niewysłowionych trudach i cierpieniach. Strusia noga biskupa. Co pani myśli?

- Ojej - westchnęła i przycisnęła ręce do łona. - Naprawdę jest ohydna, nie?

- Cooo? - zakrztusiłem się.

- Wiem, że jakoby spodobała się mojej pra-pra-praprababce, ale mój Boże! Co to ma być? - wskazała na podstawę. - Jakiś gatunek dinozaura?

- Podpisanie Magna Carta - wyjaśniłem.

- Prawie żałuję, że zmarnował pan tyle czasu na szukanie tego przedmiotu - wyznała. Popatrzyła na urnę w zamyśleniu. - Pewnie jest nietłukąca? - zapytała bez większej nadziei.

- Owszem - potwierdziłem.

- No, chyba musimy ją zatrzymać ze względu na autentyczność. Oby tylko w innych kościołach nie było takiej szkarady.

- W innych kościołach? - powtórzyłem.

- Tak, nie słyszał pan? - ożywiła się. - Teraz, kiedy możemy przenosić przedmioty do przodu przez sieć, mam rozlegle plany. Trzęsienie ziemi w San Francisco, magazyny MGM, Rzym, zanim go spalił Juliusz Cezar...

- Neron - sprostowałem.

- Tak, oczywiście. Musi pan przenieść flet Nerona.

- Ale on się nie spalił - zaprotestowałem. - Tylko przedmioty zredukowane do cząstek składowych...

Lekceważąco machnęła ręką.

- Prawa są po to, żeby je łamać. Zaczniemy od czternastu kościołów Christophera Wrena, które spłonęły podczas wojny, a potem...

- My? - zapytałem słabym głosem.

- Tak, oczywiście. Już wystąpiłam specjalnie o pana. - Umilkła i spojrzała karcąco na strusią nogę biskupa. - Dlaczego tam są lilie? Przecież miały być żółte chryzantemy.

- Uważam, że lilie są bardzo stosowne - powiedziałem. - Skoro katedra i wszystkie jej skarby powstała z martwych. Symbolizm...

Nie zainteresowała się symbolizmem.

- Program nabożeństwa wymienia żółte chryzantemy - oznajmiła. - „Bóg jest w szczegółach".

Odpłynęła niczym groźny okręt wojenny, żeby znaleźć nieszczęsną kobietę w zielonym fartuchu.

Zostałem sam na sam ze strusią nogą biskupa. Czternaście kościołów Christophera Wrena. I magazyn MGM. Nie licząc innych rzeczy, których niewątpliwie zażąda lady Schrapnell, kiedy w pełni zrozumie, Co To Znaczy.

Podeszła do mnie Verity.

- Co się stało, Ned? - zapytała.

- Z woli przeznaczenia mam spędzić całe życie na kiermaszach staroci, służąc lady Schrapnell.

- Banialuki! - oświadczyła. - Z woli przeznaczenia masz spędzić całe życie ze mną. - Podała mi kociaka. - I z Piórkiem.

Kociak prawie nic nie ważył.

- Piórko - szepnąłem, a on podniósł na mnie szarozielone oczy.

- Mrau - powiedział i zaczął mruczeć, bardzo cichutkie mruczenie. Mrucząteko.

- Skąd masz tego kociaka? - zapytałem Verity.

- Ukradłam go - oznajmiła. - Nie patrz tak. Zamierzam go zwrócić. Finch wcale nie zauważy braku.

- Kocham cię - powiedziałem i potrząsnąłem głową. - Jeśli mam spędzić z tobą całe życie, czy to znaczy, że postanowiłaś mnie poślubić?

- Muszę - wyjaśniła. - Właśnie wpadłam na lady Schrapnell. Doszła do wniosku, że katedra potrzebuje...

- Ślubu? - podpowiedziałem.

- Nie, chrztu. Żeby mogli użyć marmurowej chrzcielnicy Purbecka.

- Nie chcę, żebyś robiła coś wbrew własnej woli - powiedziałem. - Mogę napuścić lady Schrapnell na Carruthersa i Warder, a ty uciekniesz do jakiegoś bezpiecznego miejsca. Na przykład bitwa pod Waterloo.

Zagrzmiała fanfara, organy zaintonowały „Niebiosa głoszą chwałę Boga" i wyszło słońce. Wschodnie okna zapłonęły błękitem, czerwienią i purpurą. Podniosłem wzrok. Arkada zmieniła się w jedno długie pasmo złota, jak sieć tuż przed otwarciem. Wypełniło katedrę światłem, opromieniło srebrne świeczniki i dziecięcy krzyż, i ławki na chórze, chórzystów, robotników i ekscentrycznych donów, posąg św. Michała, Taniec Śmierci i programy nabożeństwa. Opromieniło samą katedrę - Wielki Plan stworzony z tysiąca tysięcy szczegółów.

Spojrzałem na strusią nogę biskupa, tuląc kotka w zgięciu ramienia. Witrażowe okno z tyłu obrysowało urnę wspaniałymi barwami, a witraże w Kaplicy Farbiarzy naprzeciwko rzucały szmaragdowe, szafirowe i rubinowe blaski na wielbłądy, cherubiny i egzekucję Marii, królowej Szkocji.

- Ohydna jest, prawda? - zagadnąłem. Verity wzięła mnie za rękę.

- *Placet* - powiedziała.

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

W tekście wykorzystano cytaty literackie w przekładzie tłumaczy: Kazimierza Piotrowskiego, Macieja Słomczyńskiego, Józefa Paszkowskiego, Jana Kasprowicza, Jerzego Pietrkiewicza, Stanisława Barańczaka, Zygmunta Kubiaka, Krystyny Jurasz-Dąmbskiej. Pozostałe cytaty w przekładzie Danuty Górskiej.

---

[1] keb - dwukołowy pojazd
[2] Amelia Jenks Bloomer (1818-94) - amer. reformatorka, walczyła o prawa kobiet
Betsy Trotwood - energiczna i przebojowa ciotka dickensowskiego Dawida Copperfielda
[3] Anna of Cleves (1515-1557) - czwarta żona Henryka VIII
[4] William Bligh (1754-1817) - angielski oficer marynarki, słynny z okrucieństwa, dowódca na H.M.S. „Bounty"

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY.. 7
ROZDZIAŁ DRUGI. 17
ROZDZIAŁ TRZECI. 29
ROZDZIAŁ CZWARTY.. 42
ROZDZIAŁ PIĄTY.. 54
ROZDZIAŁ SZÓSTY.. 67
ROZDZIAŁ SIÓDMY.. 82
ROZDZIAŁ ÓSMY.. 92
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.. 100
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.. 109
ROZDZIAŁ JEDENASTY.. 118
ROZDZIAŁ DWUNASTY.. 128
ROZDZIAŁ TRZYNASTY.. 141
ROZDZIAŁ CZTERNASTY.. 153
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.. 163
ROZDZIAŁ SZESNASTY.. 178
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.. 195
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.. 207
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.. 218
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.. 229
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY.. 237
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI. 245
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI. 254
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY.. 266
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY.. 278
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY.. 287
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY.. 299
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY.. 312
NOTA BIBLIOGRAFICZNA.. 327
[1]
[2]
[3]
[4]